

PODSTAWOWY DYLEMAT POLITOLOGII:  
DYSCYPLINA NAUKI  
CZY POTOCZNA WIEDZA O SPOŁECZEŃSTWIE?

O TRADYCJI UNIWERSYTETU I DEMARKACJI WIEDZY

*Wspominając pouczającą lekcję, udzieloną H.G. przez J.B.  
20 grudnia 1983 r. w Warszawie, w sali im. Brudzińskiego*

Ryszard Skarżyński

PODSTAWOWY DYLEMAT POLITOLOGII:  
DYSCYPLINA NAUKI  
CZY POTOCZNA WIEDZA O SPOŁECZEŃSTWIE?

○ TRADYCJI UNIwersYTETU I DEMARKACJI WIEDZY



**Temida2**

Białystok 2012

## **Rada programowa Wydawnictwa Temida 2:**

Leonard Etel, Marian Grzybowski, Adam Jamróz, Dariusz Kijowski, Cezary Kosikowski, Adam Lityński, Emil Pływaczewski, Stanisław Prutis, Eugeniusz Ruśkowski, Walerian Sanetra, Halina Świączkowska, Bogdan Wierzbicki

## **Redaktor naukowy wydawnictwa:**

Halina Świączkowska

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem – bez pisemnej zgody wydawcy lub autora.

Recenzent: *Edmund Dmitrów*

ISBN 978–83–62813–04–9

Opracowanie graficzne i typograficzne: *Katarzyna Frąckiewicz*

Projekt okładki: *Jerzy Banasiuk*

Redakcja techniczna: *Jerzy Banasiuk*

Korekta: *Bogumiła J. Mancewicz*

Wydawca: **Temida 2**

Przy współpracy

Wydziału Prawa Uniwersytetu w Białymstoku

© Copyright by Ryszard Skarzyński and Temida 2, Białystok 2012

## Spis treści

Wstęp .....	9
Teoretycy polityki III Rzeczypospolitej o przedmiocie poznania politologii.....	24

### Część I

#### **Powstanie teorii polityki: od trudnych narodzin do łatwej autodestrukcji**

1. Politologia – przedmiot poznania i teoria .....	25
2. Podstawowy dylemat politologii.....	31
3. Pierwsi teoretycy polityki .....	33
4. Pierwsi teoretycy polityki w Polsce .....	49
5. 1992 – początek końca.....	68
6. Teoria jądra .....	75
7. Kosz na śmiecie .....	80

### Część II

#### **Politologia III Rzeczypospolitej, czyli potoczna wiedza o społeczeństwie**

8. Język i problem tego, co polityczne.....	105
9. Teoria, metodologia i erudycja.....	111
10. Samolikwidacja politologii .....	118
11. Prawidłowa akredytacja .....	122
12. Od rolnictwa do politologii politechnicznej .....	136
13. Bilans rozwoju teorii polityki po upadku komunizmu .....	139
14. „Politologdzy” – z nazwy .....	144

Część III

**Główne twierdzenia teoretyków polityki III Rzeczypospolitej**

15. Politologia interdyscyplinarna .....	147
16. Politologia empiryczna .....	159
17. Politologia jako metodologia .....	167
18. Politologia otwarta ontologicznie .....	170
19. Politologia jako socjologia.....	177
20. Ku pseudonauce politologii .....	183

Część IV

**Politolog w warunkach kolonizacji dyscypliny (187)**

21. Wydział Dziennikarstwa i Nauk Potocznych.....	188
22. Politologia turystyczna, drogowa, kościelna i historyczna .....	203
23. Od teorioignorancji do postpolityki.....	217
24. Kto jest politologiem?.....	228
25. Imigranci a rozwój politologii .....	234

Część V

**Podstawy teorii i metodologii politologii**

26. Teoria i poznanie .....	239
27. Nauki polityczne, nauka o polityce i politologia .....	248
28. Teoria politologii.....	258
29. Znaczenie problemu tego, co polityczne dla politologii.....	262
30. Pozorna mnogość teorii politologii.....	265
31. Przedmiot poznania politologii .....	279
32. Kryterium tego, co polityczne.....	286

## Spis treści

---

33. Przedmiot poznania politologii w ujęciu historyczno–socjologicznym .....	295
34. Rozstrzygnięcie podstawowego dylematu politologii .....	303
35. Struktura tego, co polityczne .....	313
36. Metoda politologii.....	331
37. Status poznawczy teorii tego, co polityczne.....	333

### **Wnioski**

1. Politologia i problem dyscypliny nauki .....	335
2. Tradycja uniwersytetu, kultura wumłowska i problem demarkacji wiedzy ..	337
3. Politologia jako pseudonauka .....	341
4. Politologia jako dyscyplina nauki .....	344
Bibliografia .....	347





## WSTĘP

Czy ktoś widział historyka nazywającego się socjologiem, ekonomistą albo prawnikiem? Czy ktoś miał do czynienia z prawnikiem głoszącym, że jest socjologiem albo ekonomistą? Czy ktokolwiek spotkał ekonomistę przedstawiającego się jako socjologa, prawnika lub historyka albo rozmawiał z historykiem nazywającym się prawnikiem lub psychologiem?

Takie zachowania prawnika, historyka czy socjologa uznane byłyby przez reprezentantów innych dyscyplin za niedorzeczne. Za wyjątkiem sytuacji, kiedy głoszący, iż mają tak szerokie horyzonty, potrafiliby wykazać się uznanym dorobkiem z dodatkowej dyscypliny. Lecz podobne przypadki zdarzają się tak rzadko, że z powodzeniem można je pominąć. Są zastrzeżone dla wybitnych uczonych, o wyjątkowej intuicji i warsztacie badawczym, którzy na dodatek zwykle oszczędnie wypowiadają się o swoich kompetencjach.

Nonsensowność, absurdalność zachowania historyka nazywającego się prawnikiem czy prawnika socjologiem od razu zostałaby uchwycona i właściwie oceniona. Tutaj nie ma miejsca dla tak skrajnych zachowań. Natychmiast pojawiałoby się pytanie: mamy do czynienia z dyletantem, czy pozbawionym skrupułów oszustem? Wydziały prawa nie są wypełnione historykami, socjologami czy filozofami. Jeśli prawnicy zajmują się historią, czynią to z punktu widzenia przedmiotu własnej dyscypliny. Historia prawa ma swoją długą tradycję i uprawiają ją prawnicy. Wydziały historii nie zatrudniają licznych prawników, socjologów czy demografów. Zwykle w ogóle ich nie zatrudniają, ponieważ historyk jest w stanie spojrzeć na interesujące go problemy prawnicze, socjologiczne i demograficzne z perspektywy przedmiotu poznania macierzystej dyscypliny, wykorzystując w charakterze pomocniczym ustalenia innych dyscyplin nauki.

Takie postępowanie nie jest przypadkiem, ale skutkiem zaawansowania badań naukowych w zakresie prawa i historii, a także zrozumienia, że **własna dyscyplina jest dobrem**. Ma nie tylko specyficzny, sprecyzowany przedmiot poznania, metodę i wypracowany warsztat badawczy, ale wiedza zgromadzona w jej ramach jest cenna. Gdy bliżej przyjrzymy się ludzkiemu poznaniu, łatwo dostrzec, że nie badamy rzeczywistości przypadkiem, dowolnie, ale zawsze w kontekście przedmiotu poznania. Nawet jeśli nie mamy jego świadomości. **Poznanie naukowe różni się od potocznego przede wszystkim tym, że ów przedmiot poznania badacz sobie uzmysławia i go rozumie**. Do niego dostosowuje metody badawcze.

Dyscypliny nie należy zamykać przed rzadkimi przybyszami zdolnymi wyka-  
zać się wybitnymi zdolnościami, natomiast doświadczenie obliguje do jej ochro-  
ny przed inwazją ignorantów. **Jeśli przybysze stają się liczni, tym bardziej zaś  
zaczynają dominować, oznacza to, że reprezentanci dyscypliny, którą oni ko-  
lonizują, nie radzą sobie z własnymi zadaniami.** Gdy inwazja przybiera cha-  
rakter masowy i absolwenci studiów prowadzonych w danej dyscyplinie są wy-  
pierani z własnych wydziałów przez wykształconych na innych, oznacza to, że  
**zainfekowana dyscyplina faktycznie dyscypliną nie jest lub została zrujno-  
wana przez środowisko głoszące, że ją uprawia.** Gdy w najwyższych gremiach  
oceniających przyznawanie stopni naukowych w danej dyscyplinie przez dziesię-  
ciolecia zasiadają wykształceni w innych dyscyplinach, oznacza to brak zdolności  
rozwoju owej dyscypliny lub nawet jej kres.

Wyłącznie w świecie ludzi nazywających siebie „politologami” nie obowią-  
zują powyższe zasady. Zupełnie oczywiste i elementarne. Nie ma drugiego ta-  
kiego środowiska naukowego, które miałoby o sobie tak niskie wyobrażenie, że  
samo podważa sens istnienia własnej dyscypliny, doprowadza ją do ruiny i pod-  
daje w wątpliwość prawo do istnienia wydziałów, na których ona jest wykłada-  
na. Wykształceni politolodzy jakby gardzili samymi sobą, twierdząc, że ich nauka  
nie jest dyscypliną, a może w ogóle nie jest nauką, przekonani, iż najlepiej naślą-  
dować to, co robią prawnicy, historycy i socjologowie, przepisując z ich książek  
i z gazet.

Kiedy historycy, prawnicy, filozofowie, socjologowie czy nawet specjaliści  
od wychowania fizycznego masowo zatrudniają się na wydziałach politologii,  
kiedy przedstawiają się jako politolodzy, to nie razi. Takie deklaracje są przyjmo-  
wane za dobrą monetę. Każdego akceptuje się w gronie politologów, a najchę-  
tniej ludzi bez dorobku, zwłaszcza z politologii. **Habilitację z politologii można  
uzyskać, nie studiując politologii, nie zdając żadnego poważnego egzaminu  
z tej dyscypliny i nie czytając żadnej politologicznej książki.** Tym bardziej nie  
zdając jakiegokolwiek egzaminu z podstaw wiedzy dyscypliny. Stopnie naukowe,  
ze szczególną zaś łatwością stopień doktora habilitowanego politologii, nadaje  
się kandydatom niemającym nawet pojęcia o tym, czym zajmuje się politologia.  
Z ich publikacji wynika, że mogą cokolwiek znać się na turystyce, ruchu drogo-  
wym, wychowaniu fizycznym, historii bezpieczeństwa, przestępczości, gospodar-  
ce przestrzennej, ale o polityce, tym bardziej zaś tym, co polityczne i przedmiocie  
poznania politologii, wiedzą nie więcej aniżeli zwykły człowiek za ulicy.

Jest to możliwe tylko dlatego, gdyż **nawet mający dyplomy z politologii fla-  
gowych uniwersytetów, Warszawskiego i Jagiellońskiego** wprawdzie powierzch-  
ownie znają się na jakimś wycinku wiedzy, na partiach, kampaniach wybor-  
czych, marketingu politycznym, celebrytyzacji polityki, syndromach, metaforach,  
ustroju państwa, z ochotą piszą o postpolityce, ale nie rozumieją genezy, mecha-

nizmów, funkcji, zakresu, a przede wszystkim znaczenia tych zjawisk, ponieważ nie mają pojęcia, co jest przedmiotem badań politologii. Nie rozumieją w ogóle tego problemu, chociaż nazywają się politologami.

Wielu profesorów wykładających na uniwersyteckich wydziałach politologii, a może nawet zdecydowana większość, nie zdaje sobie w ogóle sprawy z tego, że politologia ma przedmiot poznania. Do tego grona należą nie absolwenci jakiejś podrzędnej szkoły, ale Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego i doktorzy Polskiej Akademii Nauk. Do tego grona należą nie jacyś profesoria, ale zajmujący się podstawami dyscypliny nauki zwanej „politologią”. Głoszą oni, że zajmują się teorią polityki i metodologią nauki o polityce, czy nawet politologii, ale publikują na ten temat książki dowodzące, że politologia nie jest dyscypliną nauki. Takiego stosunku do samych siebie, własnych kolegów, studentów i doktorantów nie ma w żadnym innym środowisku naukowym. Warto zbadać, w jaki sposób narodziło się to niezwykle, niespotykane gdzie indziej destrukcyjne nastawienie.

Tego, czym się zajmuje politologia, w ogóle nie uczy się na studiach politologicznych, gdyż politolodzy nie umieją określić, co badają. Pracownicy uniwersyteckich zakładów teorii polityki parają się wszystkim po trochu, za wyjątkiem jednej kwestii: przedmiotu poznania politologii. Nikt z nich nie prowadzi badań zdolnych sprostować elementarnej krytyce w zakresie teorii własnej dyscypliny, nie wie czym jest politologia i na czym polega jej dorobek. Dominuje stanowisko potoczne, skrajnie naiwne: politologia jest nauką o polityce, a więc jej przedmiotem poznania jest polityka.

Co powoduje, że dyplomowani politolodzy nie wiedzą, czym się zajmują, a mający dyplomy z zakresu wiedzy innych dyscyplin, zwłaszcza historycy, ale także prawnicy, znawcy problematyki wychowania fizycznego, ruchu drogowego, filozofowie, specjaliści od ekonomiki przemysłu, marketingu, psychologii i turystyki mogą głosić, że są politologami? Gdzie leżą przyczyny ignorancji politologów, pociągające za sobą tak daleko idące konsekwencje, że każdy może uznać się za politologa”, a nawet zostać jako politolog zatrudniony na uniwersytecie? Może pracować w zakładzie teorii polityki przez dziesięciolecia, jako jego kierownik, nie podejmując podstawowego problemu przedmiotu poznania politologii.

Czy nazywający się „politologami”, gdyby dysponowali jakąkolwiek, przynajmniej elementarną świadomością, co powinni badać i kim są, pozwalaliby ludziom bez dorobku, nierozumiejącym, czym jest politologia, głosić, że są politologami? Na przykład na organizowanych przez siebie konferencjach naukowych. Gdy nie mają jakiegokolwiek świadomości przedmiotu poznania i wyobrażenia o metodach, nie abstrakcyjnych, ale nadających się do zastosowania. Gdy nie od-

różniają wiedzy potocznej i doktryny od teorii naukowej. Gdy nie badają rzeczywistości, tylko streszczają poglądy innych autorów, własnych kolegów, by na koniec nawet nie wyciągnąć wniosków. Gdy za teorię uznają każde stwierdzenie, a jako najważniejsze teorie prezentują ideologiczne wypowiedzi Amerykanów, uzasadniających panowanie nad światem własnego państwa. Gdy posługują się terminami zaczerpniętymi z gazet i telewizji, nie zdając sobie sprawy, że nie mogą one być narzędziem analizy naukowej. Przecież **główną metodą polskiej politologii jest kopiowanie treści przekazywanych przez dziennikarzy, polityków i innych politologów. Za takie prace nadaje się stopnie naukowe, a ich autorzy są lansowani jako autorytety.**

Jak doszło do tego, że politolodzy, zajmujący stanowiska profesorskie na flagowych uniwersytetach, tolerują zależności stawiające ich w tak skrajnie niewygodnym położeniu? Gdy wyraźnie widać, że nie uprawiają nauki, tylko symulują prowadzenie badań naukowych. **Jak doszło do tego, że historycy, prawnicy, socjologowie i reprezentanci wielu innych dyscyplin, nie mając jakiegokolwiek stopnia z politologii, nie mając na koncie jakiegokolwiek publikacji politologicznej, bez zahamowań nazywają siebie politologami?** Oni nawet kandydują do zasiadania w komisji podejmującej kluczowe decyzje w sprawach stopni i tytułów naukowych. Wystarczy przecież przejrzeć portal „Nauka Polska”, by zauważyć, że znaczna część historyków zajmujących się dziejami najnowszy uważa się za politologów i tak oficjalnie klasyfikuje. Czynią to wyłącznie dlatego, że nie mają pojęcia, czym jest politologia? A może doprowadzili do tego nazywający się „politologami” i przez lata dezorganizujący pracę wydziałów politologii Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu? Dezorganizujący myślenie całego środowiska polskich politologów swoimi nieodpowiedzialnymi tekstami na temat teorii polityki.

Może warto zbadać, z jakiej problematyki najczęściej powstają prace doktorskie i habilitacyjne na wydziałach politologii. Czy czasem nie przeważa, ale dominuje historia najnowsza, a do problematyki politologicznej zalicza się bezpieczeństwo ruchu drogowego, turystykę i zarządzanie? Jakich zakładów jest najwięcej na wydziałach politologii? Czy czasem nie zajmujących się historią? Nie historią polityki i tego, co polityczne, nie historią państwa, ale historią najnowszą? Kiedy powstaną pierwsze politologiczne zakłady turystyki i organizacji ruchu drogowego? Powyższe pytanie stawiam całkowicie poważnie! W ostatnich latach nadano niemało doktoratów z politologii turystycznej. Zaakceptowana nawet została habilitacja z tego zakresu. Powstały pierwsze studia politologiczne na politechnice, gdzie najważniejszymi przedmiotami są informatyka i zarządzanie.

Nasuwa się jeszcze inne, bardziej fundamentalne pytanie: **dlaczego za politologa może uważać się niemal każdy, a na przykład za prawnika czy psychologa tylko ten, kto ukończył studia prawnicze lub w zakresie psycholo-**

**gii?** Czy dlatego, że politologia nie istnieje jako dyscyplina naukowa, nazywający się politologami nie wiedzą, czym się zajmują, a studia politologiczne są na dużo niższym poziomie od studiów historycznych, ekonomicznych, socjologicznych, prawniczych czy pedagogicznych? Czy politologia istnieje tylko jako forma wiedzy potocznej, która w sprzyjających okolicznościach zagnieździła się na uniwersytetach i obecnie nie wiadomo, co z nią zrobić?

Czy politolodzy nie tworzą jakiejś specjalnej grupy w środowisku uniwersyteckim, złożonej z ludzi niezdolnych do stawiania sobie elementarnych pytań? Czy ta grupa nie cechuje się tym, co Piotr Sztompka nazwał „**zdefiniowaną ignorancją**”<sup>1</sup>? Ta ignorancja tak głęboko przeniknęła sposób myślenia profesorów skupionych na uniwersyteckich wydziałach politologii, że nie zdają sobie sprawy z tego, co robią, nie dostrzegają niestosowności własnego zachowania i tragicznego położenia. Zwłaszcza że ich wiedza coraz bardziej przypomina wiedzę z zakresu astrologii i amatorskiej meteorologii. Porównanie politologii do meteorologii jest znane od dawna, ale dotychczas żaden politolog nie podjął analizy tej kwestii. Może nadszedł czas, aby zająć się tym zagadnieniem? Może warto zadać sobie pytanie, czy polska politologia nie oddaliła się już od meteorologii i jest znacznie bliższa astrologii czy alchemii? Ono przecież narzuca się samo, gdy w telewizji obserwujemy profesorów określających się „politologami” (a jeszcze lepiej mianem „socjolog i politolog”), oceniających bieżącą politykę, trafność decyzji partyjnych i próbujących przewidzieć bieg przyszłej polityki. Jak jest możliwe, że ci „astrologi” mogą udawać politologów i nie spotyka ich jakakolwiek krytyka. Czy nie jest to czasem efektem kompletnej destrukcji polskiej politologii?

Myśl ludzka radzi sobie z tak abstrakcyjnymi problemami, jak przestrzeń i czas. Rozpoznano kod genetyczny i coraz więcej wiemy na temat jego funkcjonowania. Rośnie nasza wiedza o początkach wszechświata. Tylko politolodzy nie są w stanie podołać poznaniu własnego przedmiotu badań. Jawi się on jako trudniejszy do wyjaśnienia aniżeli zagadnienia przestrzeni i czasu, kodu genetycznego, o pierwszych minutach wszechświata nie wspominając.

Nazywający siebie „politologami” ciągle utyskują, że jest wiele koncepcji, podejść, orientacji, stanowisk i właściwie nie wiadomo o co chodzi, ponieważ ich przedmiot badania, o którym niczego sensownego nie umieją powiedzieć, jest bardzo skomplikowany, wieloaspektowy, wielopoziomowy... Zamiast rzetelnie stawiać pytania naukowe, narzekają na trudności. Uniwersyteckie wydziały politologii stały się na początku XXI w. enklawami nieporadności, ignorancji i anachronizmu. Profesorowie politologii nie wiedzą, co jest przedmiotem poznania ich dyscypliny i zaczynają snuć coraz bardziej zaskakujące myśli na ten temat. Dezorientują własnych studentów, którzy w akcie rozpaczy, przerażeni, że

1 P. Sztompka, *Socjologia*, Kraków 2002, s. 550–551.

nie wiedzą, kim są i czym się zajmują, wydają tom prac pod tytułem *Politologia jako nauka?*<sup>2</sup>

Studentów do tego stopnia obciąża problem własnej tożsamości, iż można się zastanawiać, czy czasem nie jest potrzebna jakaś bardziej wnikliwa diagnoza i wstrząsająca kuracja. Oczywiście nie przedmiotu badań, nie studentów, tylko tych wykładowców, którzy określają wiedzę o podstawach politologii. Przede wszystkim zaś profesury prowadzącej na manowce studentów, serwującej im wiedzę potoczną i doktrynalną, niczego niewyjaśniającą, ale skutecznie frustrującą bardziej inteligentnych uczestników wykładów. Znak zapytania w tytule zielonogórskiej książki, wydanej przez młodych i sfrustrowanych adeptów politologii, wyraża wątpliwości już nie w stosunku do wartości ukończonych studiów, ale statusu całej dyscypliny naukowej. Czy aby tym młodym politologom nie należy się wyjaśnienie od politologów wcześniejszej generacji, jak i dlaczego uznają dyscyplinę nauki sprowadzili do poziomu pseudonauki?

**Czy bowiem ktoś, kto dysponuje zdolnością samodzielnego myślenia, mógłby dzisiaj studiować politologię?** Przecież wyraźnie widać, że przekształciła się ona w Polsce w coś, co w zakresie metody do złudzenia przypomina średniowieczną scholastykę. Na wydziałach politologii prawie wyłącznie się kopiuje, a pierwszymi, którzy powielają, są wykładowcy. Politologia nie jest dzisiaj dyscypliną do studiowania dla ludzi myślących. Przekształciła się w potoczną wiedzę o społeczeństwie i nadaje się tylko dla powierzchownie odbierających świat, bez zastanowienia poddających się treściom płynącym z mediów.

Na wydziałach politologii mogą funkcjonować obecnie jedynie osoby, które gotowe są uczestniczyć w reprodukowaniu ignorancji. Tutaj politologów zastąpili wyrzuceni ze środowiska historyków, prawników, socjologów itd. Myślący studenci szybko uciekają z tych wydziałów. Zostają na nich głównie specjaliści od manipulowania świadomością wyborców i ci, którym wszystko jedno, co studiują. Jeśli jest ich niemało, to tylko dowodzi, jak słabo jest wykształcona polska młodzież. Jak mizerne ma ambicje edukacyjne.

Każda dyscyplina nauki jest tworzona przez ludzi, a więc funkcjonuje społecznie. Wprawdzie celem zawsze jest wyjaśnianie rzeczywistości, lecz sposób jej pojmowania zależy od sieci relacji międzyosobniczych i kształtujących się w ich ramach wizji świata. Nawet astronomia czy biologia podlegają takim uwarunkowaniom i możemy to obserwować, chociażby studiując historię recepcji teorii Mikołaja Kopernika i Karola Darwina, które niegdyś potępiono, a dzisiaj określają nasze myślenie o świecie.

2 *Politologia jako nauka? Analiza politologiczna wobec kwestii współczesnego świata*, M. Krzysztofik, D. Gauza, (red.), Zielona Góra 2009; ta książka, dzieło studentów i asystentów politologii, jest sztandarowym pomnikiem naukowej i dydaktycznej klęski profesury wykładającej na uniwersyteckich wydziałach politologii.

Tym bardziej nauki społeczne są uzależnione od ludzkiego odczuwania świata. Spośród nich politologia wydaje się być skrajnie uwikłana w przeżycia umysłu niemające nic wspólnego z tym, co określa się mianem „racjonalizmu” czy „realizmu” i zależna od języka, jakim posługują się ludzie w dyskursie publicznym. Tutaj nowe idee przyjmują się z trudem, najłatwiej kiedy są nośne politycznie. Gdy wyrażają ludzkie uczucia, tym bardziej zaś ambicje rządów czy narodów, szczególnie imperialne, sławni stają się ich twórcy. Wnikliwi na tym polu nie bardzo się liczą. Dlatego pokusa przysłowiowej drogi na skróty, przypominającej karierę Francisa Fukuyamy, bywa bardzo silna, natomiast budowa solidnej teorii wydaje się zadaniem z góry skazanym na porażkę. Wielu ludziom w tych warunkach teoria jawi się po prostu jako zbyt techniczna, a nawet jako balast.

Pytanie o to, czym jest politologia: dyscypliną nauki, czy może jakimś zlepkiem przypadkowej wiedzy, gdzie czasem bez zahamowań, bezwstydnie biegnie się ku sławie, zwykle zaś symuluje prowadzenie badań naukowych, wydaje się dawno rozstrzygnięte. Jednak nie dla wszystkich. Okazuje się, że znaczna część pracowników uniwersyteckich wydziałów politologii ma z tym wielkie problemy. Nawet uważający się za teoretyków i metodologów kierownicy zakładów teorii i metodologii nauki o polityce czy politologii nie umieją wyjaśnić, czym jest politologia. Chętnie widzieliby w niej dyscyplinę równą historii czy socjologii, mieszczącą się na „panteonie nauk humanistycznych”, co ze swadą wyraził warszawski profesor<sup>3</sup>. Nie potrafią jednak powiedzieć, jak należałoby ów problem rozumieć. W praktyce czynią coś odwrotnego, sami wnosząc wkład do pograżania politologii i przekształcając ją w naiwne wydanie potocznej wiedzy o społeczeństwie.

**Podstawowy dylemat politologii sprowadza się do kwestii: czy ma ona być dyscypliną współczesnej nauki, czy też zlepkiem nieokreślonej, mglistej i pozornej wiedzy o społeczeństwie, nieodbiegającej od pozostającej w dyspozycji tych, którzy w wyborach bezwiednie poddają się manipulacjom.** Formułuję argumenty za pierwszym stanowiskiem, wbrew tym dominującym dzisiaj pracownikom uniwersyteckich wydziałów politologii, którzy orzekają, że politologia jest nauką indukcyjną, czy też w ogóle jakimś nieokreślonym melanzem wiedzy o państwie, polityce, administracji i marketingu. Ci ludzie, lekceważąc dorobek teorii nauki, osiągnięcia politologii, warsztat naukowy mistrzów, sami podważają własne funkcjonowanie na uniwersytecie, zupełnie nie zdając sobie na dodatek z tego sprawy. Jakby nie widzieli, że ośmieszają kolegów uprawiających tę samą dyscyplinę. Jakby nie obawiali się ich reakcji!

Ci ludzie, zupełnie nieświadomi, że wedle polskiego prawa doktoraty mogą być nadawane wyłącznie w zakresie wiedzy, która uzyskuje status dyscypliny na-

3 M. Karwat, *Metodologiczne przewartościowania politologów*, „Studia Nauk Politycznych” 2004, nr 1, s. 9 i 14.

uki<sup>4</sup>, odmawiają go politologii, nieświadomi, że nie tylko wzywają tym samym do likwidacji własnych zakładów i katedr, ale uzasadniają odebranie wydziałom politologii uprawnień doktorskich i zmianę ich nazwy na wydziały wiedzy o społeczeństwie, a może nawet wydziały potocznej wiedzy o społeczeństwie. Czy jednak takie placówki mogą istnieć na uniwersytecie? Oto jak daleko sięgnęła nieświadomość profesorów określających podstawy myślenia polskich politologów, którzy nie zdają sobie sprawy z elementarnych konsekwencji formułowanych przez siebie twierdzeń.

Prezentowana książka zawiera diagnozę i remedium na tę chorobę. Jest polemiką z trendami dominującymi dzisiaj na uniwersyteckich wydziałach politologii w Polsce, gdzie już zwykle nawet nie podąża się na skrót, ale przekształca politologię w nieokreślony zestaw czynności polegających na naśladowaniu badań prowadzonych przez historyków, socjologów, administratywistów i przedstawicieli innych dyscyplin. Nie widząc, że historycy, socjologowie, administratywiści przychodzą na wydziały politologii, ponieważ wśród kadry na nich nauczającej nie ma miejsca dla źle wykształconych absolwentów tych placówek. Dyplomowani politolodzy są bowiem tak kiepsko wyuczeni w zakresie wiedzy politologicznej, że bardzo rzadko robią habilitacje, a tytuł profesorski jest dla nich praktycznie nieosiągalny.

Równocześnie więc niniejsza praca jest poświęcona problemowi destrukcji uznanej dyscypliny nauki przez znaczną część wykładowców politologii. Analizuję ich twierdzenia, by pokazać, że szczególnie profesorowie zatrudnieni w zakładach teorii polityki weszli na fałszywą drogę, prowadząc całe środowisko za sobą, które zdezorientowane, niezdolne do krytyki, nieporadnie drepcze za nimi. **Prezentuję stanowisko alternatywne, głęboko osadzone w tradycji politologii jako dyscypliny nauki o takim samym statusie, jak socjologia, historia czy psychologia.**

Lektura prac polskich politologów, zwłaszcza tych opublikowanych ostatnio, w latach 2009–2010, skłoniła mnie do sformułowania przypuszczenia, że część wykładowców polskich uniwersytetów wprawdzie nazywa się „politologami”, nie wie jednak, czym się zajmuje, a więc zajmuje się, czym popadnie i robi to przypadkiem, intuicyjnie, bez świadomości przedmiotu poznania i możliwej do zastosowania metody. Oni nie znają twórczego dorobku światowej politologii i dlatego gubią się w dywagacjach, które wiedzą ich na manowce nauki, a faktycznie także zdrowego rozsądku. W podręcznikach automatycznie powtarzają stare wzorce marksistowskie, albo reprodukują treści z zachodnich książek, bez jakiegokol-

4 Art. 1.1. Ustawy o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki z dnia 14 marca 2003 r. brzmi: „Stopniami naukowymi są stopnie doktora i doktora habilitowanego określonej dziedziny nauki w zakresie danej dyscypliny naukowej” (Dz.U. Nr 65, poz. 595).



wiek krytycznej refleksji. Stworzyli sobie nawet swoistą pseudoteorię politologii bez przedmiotu poznania, by usprawiedliwić zastąpienie poważnych problemów badawczych spokojnym powtarzaniem kilku sformułowań sprzecznych z dorobkiem nie tylko politologii, ale nawet z elementarnymi ustaleniami teorii nauki.

Potwierdzeniem tej tezy są niewątpliwie liczne artykuły pokonferencyjne. Ilość spotkań tego typu na temat metodologii politologii czy czegoś podobnego, świadomości lub tożsamości dyscypliny, wzbudza zastanowienie. Doszło do tego, że w tomie ogłoszonym po konferencji metodologicznej redaktorzy zwracają się do swoich kolegów w bezprecedensowy sposób: „[...] apelujemy do środowiska politologów w Polsce o większą precyzję i staranność stosowania metod badawczych, teorii i pojęć politologicznych”<sup>5</sup>. Takie zdanie mogło zostać napisane tylko przez kogoś, kto przeżywał jakieś dramatyczne rozterki podczas redagowania tomu.

Zdanie to dowodzi, że problematyka upadku teoretycznego i metodologicznego politologii gnębi uczestników konferencji, którzy powtarzają dziwaczne formuły, zwykle oparte na wiedzy potocznej. Nie dysponują bowiem elementarną znajomością teorii nauki i horyzontu poznawczego politologii. Kwestię naiwności wiedzy wykładanej na uniwersyteckich wydziałach politologii w Polsce porusza przynajmniej paru profesorów. Niemało zdaje sobie sprawę z upadku teorii polityki i metodologii politologii. Jednak teksty zawarte w pracach zbiorowych wskazują, że są oni bezsilni wobec treści sprzecznych z dorobkiem teorii nauki i samej politologii, obficie produkowanych przez kolegów. Ilość i zakres obecnych w nich paranaukowych, a faktycznie pseudonaukowych twierdzeń, zaskakuje. Politolodzy są wypierani przez ignorantów nazywających samych siebie „politologami”, chociaż nie ukończyli studiów politologicznych i nie legitymują się nawet jedną publikacją z zakresu politologii.

W przywołanym wstępie znajdujemy zdanie, które musi poruszyć każdego, kto cokolwiek rozumie, czym jest nauka. Oto redaktorzy, w niczym nieskrępowanym przychylnym szczerości, deklarują: „Naszym zdaniem nieunikniona interdyscyplinarność badań politologicznych z pewnością nie zaszkodzi tożsamości naszej dyscypliny”<sup>6</sup>. Czyli **profesorowie ogłaszają w marcu 2009 r., że politologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”!** Czy aby nie jest to zaprzeczeniem cytowanej powyżej deklaracji, wygłoszonej w poprzednim zdaniu wstępu? Profesorowie wzywają do precyzji i staranności, ale sami głoszą nonsens. Czy istnieje „dyscyplina interdyscyplinarna”? Czy aby takie stwierdzenie nie jest aktem skrajnej ignorancji i wyrazem totalnego zagubienia? Kto mógł coś takiego wymyślić i publicznie ogłosić? Czy rozumie on, czym jest nauka i na czym polega proces

5 Redaktorzy, *Wstęp*, (w:) A. Antoszewski, A. Dumala, B. Krauz-Mozer, K. Radzik (red.), *Teoretyczne i metodologiczne wyzwania badań politologicznych*, Lublin 2009, s. 7.

6 *Ibidem*

badawczy? Oto pytania, które narzucają się po lekturze tekstu profesorów politologii, wzywających do staranności i precyzji.

Polski politolog zwykle nie wie, czym się zajmuje politologia, ponieważ nie ma elementarnej wiedzy o przedmiocie poznania tej dyscypliny i dlatego może głosić, że jest to dyscyplina interdyscyplinarna. Ktoś taki nie widzi niczego nie stosownego w tym sformułowaniu, sprzecznym z podstawowymi ustaleniami współczesnej teorii nauki, wiedzy i umysłu. On nie zdaje sobie sprawy z tego, że politologia na polskich uniwersytetach jest zastępowana przez potoczną wiedzę o społeczeństwie i to deprecjonuje wydziały politologii, dowodząc przynajmniej konieczności odebrania im uprawnień doktorskich.

Wychowankiem teoretyka polityki głoszącego powyższe nonsensy jest politolog z nazwy, czyli ktoś, kto najczęściej w dobrej wierze mówi o sobie, że jest politologiem, ale nie wie, czym zajmuje się politologia, a nawet nie czuje, iż wypadaloby to wiedzieć, ponieważ nie ma pojęcia o przedmiocie nie tylko badań, ale nawet zainteresowania dyscypliny. Politolog zwykle uważa, że poznaje politykę, bez świadomości, iż ta jest tylko jednym ze zjawisk politycznych, czyli przejawem tego, co polityczne. Nie zdaje sobie sprawy, że wypowiada się na temat powierzchniowych zjawisk, mających swoje głębokie korzenie społeczne. W gruncie rzeczy taki człowiek czerpie poczucie swojej tożsamości z terminu uchodzącego za atrakcyjny (możemy to na co dzień obserwować w telewizji, gdy wypowiadają się nie socjologzy, ale „socjologzy–politologzy”), często używanego i poddaje się wpływowi wiedzy potocznej, co najwyżej doktrynalnej. On tę wiedzę kopiuje i posługuje się nią, nieświadom śmieszności własnego stanowiska.

Wydana w 1984 r. książka Franciszka Ryszki *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*<sup>7</sup> i opublikowany pośmiertnie dwa lata później skrypt Marka Sobolewskiego *Podstawy teorii państwa*<sup>8</sup> były ostatnimi twórczymi aktami nieśmiało raczkującej polskiej politologii na polu teorii i metodologii politologii. Z dzisiejszej perspektywy okazują się być końcową próbą uczynienia czegoś poważnego, co opiera się na erudycji, przemyśleniach i prowadzi do konkluzji, z którymi można się mierzyć. Od 1992 r., kiedy ukazała się rozprawa habilitacyjna Barbary Krauz–Mozera *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*<sup>9</sup>, po 2010 r., symbolizowany tomem Tadeusza Klementewicza, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce*<sup>10</sup> i artykułem Mirosława Karwata, zamieszczonym w „Studiach Politologicznych”, zatytułowanym *Polityczność i upolitycznienie*, w którym przyrównuje on politologię do pedagogiki i nauki o pra-

7 F. Ryszka, *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*, Warszawa 1984.

8 M. Sobolewski, *Podstawy teorii państwa*, Kraków 1986.

9 B. Krauz–Mozera, *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*, Kraków 1992.

10 T. Klementewicz, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce*, Warszawa 2010.

cy<sup>11</sup>, faktycznie zaś traktuje ją jak wiedzę z bezpieczeństwa i higieny pracy, mamy do czynienia z zadziwiającym upadkiem metodologii. Teoria polityki po prostu zakończyła swój żywot, ponieważ nie ukazują się prace z tego zakresu, nawet jeśli niektórzy autorzy wydają książki pod takim tytułem<sup>12</sup>. Czynią to tylko dlatego, ponieważ nie znają dorobku politologii, nie rozumieją czym jest teoria, jakie problemy musi podejmować książka na ten temat i, zamiast pisać o rzeczywistości społecznej, podejmują scholastyczną egzegezę wcześniej opublikowanych prac kolegów. W wyniku tego powstaje coś, co można uznać wyłącznie za dzieło kopyisty idei czy doktryn. Z nauką nie ma to nic wspólnego.

Wszystko to dowodzi, że **polska politologia już cofnęła się do poziomu wiedzy potocznej**. Doszła do takiego poziomu, że profesorowie bez zahamowań publikują teksty, które stanowią jednoznaczny dowód, że ich erudycja mocno szwankuje, a zdolność krytycznej analizy po prostu dawno utracili.

Przekształcanie politologii w pseudonaukę jest między innymi skutkiem pośilkowania się ideą „interdyscyplinarności”, zwykle bezrefleksyjnie powtarzaną, bez odwołania do wnikliwej argumentacji. Bardzo łatwo ustalić, że nie istnieje nie tylko teoria i metodologia badań interdyscyplinarnych, ale nawet jakakolwiek koncepcja godna rozważenia. Jednak chyba żaden z politologów nie zdaje sobie z tego sprawy, dlatego z taką łatwością wielu z nich głosi, że politologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”.

Jest to możliwe wyłącznie w efekcie porzucenia solidnych metod naukowych, przede wszystkim zaś utraty świadomości, że poznanie nie istnieje bez określenia przedmiotu poznania, ponieważ nie ma badania naukowego, jeśli się nie wie, co się bada. Przecież już dawno ustalono i w niejednej klasycznej pracy z teorii nauki wykazano, że **rozwój nauki dokonuje się między innymi przez coraz bardziej restrykcyjne, precyzyjne definiowanie przedmiotu poznania**<sup>13</sup>. Inaczej można badać wszystko i dowolną metodą, nawet tylko kopiując wypowiedzi polityków i ideologów. W ten sposób bez trudu powraca się na poziom wiedzy potocznej. To jest właśnie *pseudonauka*, czyli pozorowanie pracy, metody i wiedzy naukowej<sup>14</sup>. Jej obecność ujawnia się w postaci zjawisk społecznych, które lokalizuje się, między innymi odróżniając sekty od szkół naukowych<sup>15</sup>.

**Problem pseudonauki nie jest moim wymysłem, ale jednym z podstawowych zagadnień badań naukowych**, zwłaszcza w kontekście tego, co jest nauką

11 M. Karwat, *Polityczność i upolitycznienie. Metodologiczne ramy analizy*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17, s. 63–88.

12 M. Chmaj, M. Żmigrodzki, *Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin 1996; A. Laska, J. Nocoń, *Teoria polityki. Wprowadzenie*, Warszawa 2010.

13 Np. T. Kuhn, *Struktura rewolucji naukowych*, Warszawa 1968, s. 35.

14 J. Such, M. Szcześniak, *Filozofia nauki*, Poznań 1999, s. 41.

15 S. Ossowski, *O osobliwościach nauk społecznych*, Warszawa 1983, s. 144–146.

i tego, co nie ma takiego statusu, ale jest prezentowane jako nauka lub za naukę uchodzi na gruncie myślenia potocznego. Kwestie te opisuje się w sposób popularny<sup>16</sup>. Analizują je w przystępny sposób nawet autorzy wytyczający podstawy metody naukowej<sup>17</sup>. Bada się konkretne przypadki, zwłaszcza na przykładach Karola Marksa<sup>18</sup> i Zygmunta Freuda<sup>19</sup>. Próbuje się wypunktować podstawowe grzechy symulujących badania naukowe<sup>20</sup>.

Przede wszystkim jednak problem pseudonauki stał się poważnym pytaniem badawczym w efekcie twierdzeń sformułowanych niegdyś w kręgu Koła Wiedeńskiego i później sprecyzowanych w głośnych traktatach Karla Poppera<sup>21</sup> i Imre Lakatosa<sup>22</sup>. Teoretycy nauki już dawno ustalili, że **jednym z podstawowych zadań nauki jest demarkacja wiedzy, czyli oddzielenie nauki od pseudonauki**<sup>23</sup>. Niestety, kwestia ta pozostaje do dnia dzisiejszego nie tylko niezrozumiała, ale nawet nieznaną politologom. Jest to trudne do pojęcia, ponieważ politologia stale zmagą się z problemem odróżnienia własnej dyscypliny naukowej od wiedzy potocznej, propagandowej, marketingu, doktryn i publicystyki. **Badanie politologii jako pseudonauki mogłoby wiele wnieść do zrozumienia jej statusu poznawczego i przyczynić się do rozwoju tej dyscypliny nauki.**

Być może taka próba byłaby przełomem w historii politologii. Który jednak z politologów zatrudnionych na polskich uniwersyteckich wydziałach politologii odważy się sformułować hipotezę, że **politologia jest pseudonauką, istniejącą w efekcie braku zdolności demarkacji wiedzy?** A przecież teoretycy polityki III Rzeczypospolitej swoim dorobkiem faktycznie udzielają na tak postawione pytanie odpowiedzi pozytywnej. Jednak na uniwersyteckich wydziałach politologii dotychczas nie spowodowało to nikogo do krytyki ich stanowiska.

Kto dzisiaj nie jest w stanie rozważyć problemu politologii jako pseudonauki, nie jest też zdolny zmierzyć się z problemem politologii jako dyscypliny nauki. Zadowala się tezą o politologii jako „dyscyplinie interdyscyplinarnej”, pozbawionej przedmiotu poznania, bez zastanowienia się, co to w ogóle znaczy i jakie konsekwencje z tego wynikają. Zarówno konsekwencje poznawcze, dydaktyczne, jak i prawne.

16 M. Gardner, *Pseudonauka i pseudouczni*, Warszawa 1966; A. Wróblewski, *Nauka i pseudonauka*, (w:) *idem*, *Prawdy i mity w fizyce*, Warszawa 1982, s. 133–166.

17 I. Lakatos, *Nauka i pseudonauka*, (w:) *idem*, *Pisma z filozofii nauk empirycznych*, Warszawa 1995, s. 352–362.

18 K. Popper, *Spółczesność otwarte i jego wrogowie*, t. II, *Wysoka fala prorocत्व: Hegel, Marks i ich następstwa*, Warszawa 1993, s. 88–223.

19 A. Derksen, *The seven strategies of sophisticated pseudo-scientist. A look into Freud's rhetorical tool box*, „Journal of General Philosophy of Science” 2001, nr 2, s. 329–350.

20 A. Derksen, *The seven sins of pseudo-science*, *ibidem* 1993, nr 1, s. 17–42.

21 K. Popper, *Logika odkrycia naukowego*, Warszawa 1977, s. 68–79.

22 I. Lakatos, *Falsyfikacja a metodologia naukowych programów badawczych*, (w:) *idem*, *Pisma z filozofii...*, *op. cit.*, s. 3–169.

23 Podręcznikowe wprowadzenie: A. Grobler, *Metodologia nauk*, Kraków 2006, s. 61–65.

Politologdy zupełnie nie zdają sobie sprawy, że uprawianie pseudonauki nie jest długo możliwe bezkarnie. Przekształca ono dyscyplinę nauki w wiedzę opartą na ignorancji, a wydziały podejmujące czynności tego typu przeobraża w kosze na śmiecie, do których wrzuca się wszystko to, co nie znajduje miejsca w innych, bardziej zaawansowanych dyscyplinach nauki i na pozostałych, silniejszych wydziałach uczelni. Jak przebiega ten proces, pokazuję w tej książce na przykładzie politologii III Rzeczypospolitej, która doszła do tego, że uważający się za teoretyków polityki publikują teksty uzasadniające odebranie własnym wydziałom uprawnień doktorskich. Na podstawie takich rozpraw otrzymują oni tytuły naukowe i są powoływani na stanowiska profesorskie.

Aby możliwe było zrozumienie upadku politologii w Polsce, podejmuję w tej książce kluczowe kwestie: czym jest politologia, czy jest dyscypliną nauki i jak musi ona funkcjonować, by znalazła się pośród innych nauk społecznych, jak socjologia, historia czy ekonomia. Dzisiaj politologia nie ma takiego statusu, a jest to głównie skutkiem aktywności pracowników uniwersyteckich placówek, szumnie nazywanych „zakładami teorii polityki”, faktycznie zajmujących się niszczeniem polskiej politologii. Dlatego podejmuję też pewne problemy związane ze społecznym funkcjonowaniem wiedzy.

Wiedza naukowa, również ta abstrakcyjna, teoretyczna, a może ona właśnie najbardziej, jest uwarunkowana społecznie, zależna od konfiguracji ludzkich relacji. W każdym razie od ich stanu zależą przepływ, selekcja i oddziaływanie takiej wiedzy. Dlatego analiza produktów teoretyków polityki w kontekście społecznym jest jak najbardziej zasadna.

Wbrew pozorom tego typu praca nie jest czymś zupełnie nowym na gruncie uniwersyteckim. Jest po prostu analizą i polemiką, nieco podobną w stylu do tego, co Kurt Sontheimer zawarł w swojej krytyce utopijnej myśli niemieckiej lewicy<sup>24</sup>, która niegdyś opanowała uniwersyteckie wydziały nauk społecznych w Niemczech. Monachijski profesor miał odwagę przeciwstawić się dominującym trendom w nauce niemieckiej. Podążam jego tropem, analizując nie jak nauka przeobraża się w ideologię, ale jak schodzi na poziom wiedzy potocznej. Tutaj przedmiotem rozważań nie są przecież wizje polityczne czy parapolityczne akademików, ale symulowanie pracy naukowej. Gdy krytyka tak bardzo upadła, iż można publikować dowolne treści i nie obawiać się oceny. Faktycznie idzie o zamknięcie umysłów prowadzące do ograniczania się do adoracji nielicznych doktrynalnych formuł. Być może lewicowe utopie są groźne dla społeczeństwa, ale zorganizowane symulowanie uprawiania nauki na uniwersytecie jest niebezpieczne dla nauki i dydaktyki.

---

24 K. Sontheimer, *Das Elend unserer Intellektuellen. Linke Theorie in der Bundesrepublik Deutschland*, Hamburg 1976.

Przedstawione przystępnym językiem problemy charakteryzują społeczne funkcjonowanie teorii polityki i politologii w Polsce. Faktycznie jednak **dorobek i działalność uważających się za teoretyków polityki badam w kontekście możliwego funkcjonowania szkoły naukowej, tradycji uniwersytetu i zagadnienia demarkacji wiedzy**. Ich poglądy charakteryzuje dość daleko posunięta zbieżność, a efekt działalności jest ten sam: wspólna negacja politologii jako dyscypliny naukowej, koncentrującej się, jak każda normalna dyscyplina, na dającym się określić przedmiocie poznania. Tego teoretycy polityki nie rozumieją i dlatego zaprzeczają, że politologia ma własny przedmiot poznania, sugerując jakoby była ona „dyscypliną interdyscyplinarną”.

Jednak w tej książce nie ograniczam się do opisu i oceny zachowań społecznych oraz produkcji pisarskiej teoretyków polityki III Rzeczypospolitej. Przede wszystkim formułuję kilka elementarnych twierdzeń, które stanowią kwintesencję dorobku politologii, aby go przypomnieć, że on istnieje, a politologia, jak wiadomo od dawna, jest dyscypliną nauki, ponieważ ma własny przedmiot poznania.

**Uprawiana dyscyplina nauki powinna być traktowana jako dobro, stanowi przecież efekt wysiłku i dokonań wielu pokoleń. Własna dyscyplina nauki powinna być rozwijana, tymczasem z jakichś powodów na uniwersyteckich wydziałach politologii stała się obiektem pogardy. Rozumiem, że gardzą nią imigranci, ale dlaczego tak samo postępują uczniowie profesorów, którzy tworzyli podstawy tej dyscypliny nauki w Polsce? Tego fenomenu nie jestem w stanie zrozumieć. Wskazuję jedynie, że domaga się on diagnozy.**

Wyjaśnienia wymaga jeden termin często używany w książce, a mianowicie słowo *ignorant*. Niejako wszyscy jesteśmy ignorantami, gdyż nasza wiedza jest ograniczona i nie powinniśmy wypowiadać się na tematy, na których się nie znamy. **Ignorantami są więc z pewnością ci, którzy – nie mając wiedzy politologicznej – głoszą, że są „politologami”**. Tak się składa, że reprezentujący wiedzę potoczną i doktrynalną mają odwagę wypowiadać się na każdy temat. Uczonym, zwłaszcza o statusie profesora uniwersyteckiego, to nie przystoi. Przystoi jednak tym, którzy symulują zachowania profesorskie.

Dlatego w tej książce chodzi o specyficzne rozumienie pojęcia *ignorant*. Jest to uczony, w szczególności profesor uniwersytetu, który nie ma elementarnej wiedzy na temat wykładanej przez siebie dyscypliny, przede wszystkim na temat tego, co ona bada, a jednak głosi, że ją uprawia. Innymi słowy – w nauce *ignorant* jest przeciwieństwem *erudyty*. W politologii dodatkowo ignorant otwarcie przypisuje sobie kwalifikacje, których nie posiada, umieszcza informacje o nich w oficjalnych dokumentach i głośno mówi o sobie, że jest politologiem, chociaż nie napisał żadnej pracy politologicznej, nie studiował politologii i nie zdał żadnego egzaminu w tym zakresie. Nie waha się promować i opiniować doktoratów z po-

litologii, chociaż jest historykiem, socjologiem czy prawnikiem, a o przedmiocie poznania politologii niczego nie potrafi powiedzieć. Zamiast tego głosi, że politologia nie ma własnego przedmioty poznania i nie jest dyscypliną nauki. Nieświadomy konsekwencji, które wynikają z takiego stanowiska.

Z pewnością nie jest uczonym, nie jest godny uniwersytetu ktoś, kto za pomocą argumentu nie może bronić swoich racji. Kto nie jest w stanie próbować siłą przeprowadzonego dowodu przeciwstawić się zarzutowi błędu czy ignorancji. Jest ignorantem każdy, kto nie pojmuje, że spór w nauce nierzadko rozciąga się na dziesięciolecia. Nauka bowiem tym się charakteryzuje, że jest przedsięwzięciem ponadpokoleniowym. Wiele sporów na jej gruncie trwa stulecia. Zaczynają je jedni, by kontynuować mogli drudzy, ich następcy. Szczególnie zaś dotyczy to sporów nad przedmiotem poznania dyscyplin naukowych.

TEORETYCY POLITYKI III RZECZYPOSPOLITEJ  
O PRZEDMIOCIE POZNANIA POLITOLOGII

1. „Potoczna świadomość politologa obciążona jest tzw. myśleniem <<dyscyplinowym>>. Dąży on do poszukiwania <<specyficznego>> przedmiotu badania oraz <<właściwej>> metody czy technik badawczych. Poszukiwania te są bezcelowe [...]”.  
[Tadeusz Klementewicz, 2010, s. 30]
2. „Politolog bada fakty złożone o charakterze syndromu”.  
[Tadeusz Klementewicz, 2010, s. 80]
3. „Politologia jest multidyscyplinarną rodziną nauk, podobnie jak np. pedagogika czy nauka o pracy”.  
[Miroslaw Karwat, 2010, s. 65]
4. „Słuszne są racje po temu, by uważać naukę o polityce za subdyscyplinę socjologiczną, a politologa za socjologa z ograniczoną odpowiedzialnością [...]”.  
[Tadeusz Klementewicz, 2010, s. 92.]
5. „Politologia tradycyjna pozostawała, a właściwie pozostaje, bowiem w dalszym ciągu ma ona licznych reprezentantów, w perspektywie potocznego doświadczenia ludzi”.  
[Zbigniew Blok, 2009, s. 55]
6. „Na najwyższym szczeblu winna znaleźć się teoria czy teorie jądra polityki, którego pole jest przekrojem czterech płaszczyzn”.  
[Zbigniew Blok, 2009, s. 86]
7. „Wyzbyliśmy się raczej kompleksu naukowości politologii jako megadyscypliny i jej subdyscyplin. Co prawda, nie nadążają za tym, jak celnie zauważył prof. Mołdawa, nasi koledzy z innych dyscyplin, nie tylko tych starszych. [...] Dziś <<politolog>> to brzmi niemal dumnie”.  
[Miroslaw Karwat, 2004, s. 9 i 14]
8. „Ostatecznie więc lepiej poprzestać na stawianiu wspólnych zadań badaczom instytucjonalnie reprezentującym różne dyscypliny a zainteresowanym tym samym, niż nieustannie poszukiwać – wymykającego się jednoznacznyemu określeniom – przedmiotu politologii”.  
[Barbara Krauz-Mozer, 1992, s. 12]
9. „[...] być może nie należy pytać co to jest polityka i uznać, że w taki sposób postawione pytanie jest sformułowane fałszywie, tym bardziej, że ciągłe powracanie do niego jest prawdopodobnie odpowiedzialne za kryzys tożsamości oraz jawną bezradność dyscypliny nieustannie poszukującej swego przedmiotu”.  
[Barbara Krauz-Mozer, 1992, s. 10]
10. „Opowiadając się za analityczno-empirycznym modelem nauki trudno politologię traktować jako naukę w ścisłym tego słowa znaczeniu. Indukcyjny charakter osiągniętych przez nią rezultatów osłabia przysługującą im cechą naukowości, tak że przypominają one często wyniki pracy historyka, przedstawiającego w formie usystematyzowanego opisu to co już się zdarzyło”.  
[Barbara Krauz-Mozer, 1992, s. 5]



## CZĘŚĆ I

# POWSTANIE TEORII POLITYKI:

## OD TRUDNYCH NARODZIN DO ŁATWEJ AUTODESTRUKCJI

### 1. Politologia – przedmiot poznania i teoria

Jeśli wszystko traktujemy jako polityczne<sup>1</sup>, tym samym nic nie jest polityczne, ponieważ zjawiska polityczne utożsamiamy ze społecznymi<sup>2</sup>. Wówczas przedmiotem rozważań jest to, co społeczne, określane jako „polityka” lub to, co „polityczne”, bez rozróżnienia tego, co społeczne i tego, co polityczne. Jest tak również wtedy, gdy zaprzeczmy, iż taki właśnie mamy przedmiot poznania.

**Wiedza zbudowana na gruncie twierdzeń, że wszystko jest polityką czy wszystko jest polityczne, nie może dysponować statusem naukowym i faktycznie nie może być nazywana *politologią*, ponieważ jest wariantem wiedzy o zupełnie innym charakterze i statusie poznawczym – jest wiedzą o społeczeń-**

1 B. Krauz–Mozer: „[...] zjawiska polityczne występują wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z organizacją społeczeństwa i sprawowaniem władzy – lub ujmując ten proces szerzej – z organizacją i kierowaniem procesami społecznymi” (*Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*, Kraków 1992, s. 11); M. Żmigrodzki: „Polityka jest sztuką wyboru, ale także sztuką osiągnięcia założonych celów. Można zaryzykować stwierdzenie, że jest nią każde działanie, cała rzeczywistość, wszystko, co nas otacza” (*Polityka*, (w:) *Encyklopedia politologii*, t. I, *Teoria polityki*, Kraków 1999, s. 230); „Polityczne aspekty przejawiają się praktycznie w każdym rodzaju ludzkiej aktywności społecznej” (J. Potulski, *Socjologia polityki*, Gdańsk 2008, s. 21); „Każdy autorytet społeczny jest *de facto* autorytetem politycznym, choćby przez fakt samego uwikłania w szeroko rozumianą politykę” (J. Ziółkowski, *Socjotechnika autorytetu politycznego*, Warszawa 2007, s. 107); „[...] <<cecha polityczności>> ma charakter relacyjny lub kontekstowy (to proces wzajemnego przenikania się <<polityki>> i <<niepolityki>>), co wiąże się z *praxis* polityczną” (F. Pierzchalski, *Podmiotowość polityczna w perspektywie indywidualistycznej i holistycznej*, Pułtusk 2009, s. 61).

2 W przypadku takiego stanowiska możliwe są definicje polityki i państwa z pominięciem cech politycznych. B. Krauz–Mozer: „Polityka, jeśli ujmować ją w sensie <<działań politycznych>> oznacza działalność wytyczoną przez sformalizowany ośrodek decyzyjny, posługujący się technikami społecznymi i zmierzającą do tego, by grupy ludzi o różnej wielkości realizowały cele wskazane przez ów ośrodek” (*Metodologiczne problemy...*, *op. cit.*, s. 116); M. Żmigrodzki: „[...] polityka to zespół działań podjętych przez ośrodek decyzyjny, zmierzających do osiągnięcia zamierzonych celów za pomocą odpowiednio dobranych środków” (*Polityka...*, *op. cit.*, s. 232); M. Chmaj: „[...] państwo to: trwałe związki ludzi stale zamieszkujących na określonym terytorium, podlegających władzy zwierzchniej” (*Państwo*, (w:) *Encyklopedia politologii...*, *op. cit.*, s. 218). Trudno nie zauważyć, że zgodnie z definicjami z przypisów 1 i 2 koło gospodyrń wiejskich, gang tym bardziej zaś mafia, mogą być uważane za państwo i uznane za podmiot prowadzący politykę. Warto też uświadomić sobie, że powyższe cytaty nie pochodzą z przypadkowych publikacji, na przykład konferencyjnych, ale między innymi z rozprawy habilitacyjnej i encyklopedii, w której znaczna część środowiska politologów polskich zaprezentowała swój dorobek i stan wiedzy. Takie same konsekwencje wynikają także ze zbyt długiej, aby ją tutaj cytować, definicji S. Wróbla (*Polityka i proces polityczny*, (w:) B. Szmulik, M. Żmigrodzki (red.), *Wprowadzenie do nauki o państwie i polityce*, Lublin 2002, s. 244). W każdym razie pozwala ona dowolnie zjawisko społeczne uznać za politykę.

stwie. Na naszych oczach przekształca się już tylko w naiwną, powierzchowną wiedzę o społeczeństwie.

Jeśli uznamy, że wszystko jest polityką lub wszystko jest polityczne, wówczas każdy obiekt staje się „tematem” politologicznym i nazywający się „politologami” czynią przedmiotem własnych badań dowolne zjawisko społeczne. Wtedy też rodzi się odczucie, jakoby rozważania o przedmiocie poznania politologii nie miały sensu i były zbyteczne. Tak nie funkcjonuje żadna nauka. **Czyli politolodzy nie są naukowcami w dzisiejszym rozumieniu tego terminu, a politologia we współczesnym polskim wydaniu nie jest nauką i faktycznie nie jest politologią. Nie ma ona świadomie określonego własnego przedmiotu poznania, czyli nie różni się od wiedzy potocznej.**

Beztroska politologów, objawiająca się brakiem krytycyzmu wobec własnego myślenia i dokonań, prowadzi do ich autodestrukcji, ale nie jest przez nich dostrzegana. W polskiej politologii jedność zjawisk społecznych i politycznych przyjmuje się intuicyjnie, a założenie to ujawnia w podstawowych definicjach bez świadomości obecności poważnego problemu badawczego. Tymczasem w literaturze światowej jest on obecny przynajmniej od czasów, kiedy Platon próbował ustalić różnice pomiędzy politykami i pozostałymi obywatelami oraz pomiędzy tym, co jest polityką i tym, co nią nie jest<sup>3</sup>. Mniej więcej sto lat temu Max Weber<sup>4</sup> i Carl Schmitt<sup>5</sup> zbadali go bliżej, ale w Polsce jak dotąd tylko nieliczni dostrzegli i zrozumieli ich twierdzenia.

Tymczasem kwestia ta ma znaczenie dla zrozumienia funkcjonowania ludzkich społeczeństw już na poziomie filozoficznym, jak dowodzi tego lektura pism Platona. Na poziomie teorii naukowej staje się ona kluczowa, lecz na uniwersyteckich wydziałach politologii nikt tego obecnie nie widzi. W ten sposób **po cichu, bezkrytycznie kształtuje się koncepcja politologii bez przedmiotu poznania, badającej nieokreśloną „tematykę” społeczeństwa jako tworów w całości politycznego, objętego przez politykę**. Politolodzy nie pojmują, że jest ona czystym nonsensem, który pojawił się wskutek tego, że wśród nich nie ma nikogo, kto rozumiałby elementarne ustalenia współczesnej teorii nauki i dorobek politologii – będącej nie potoczną wiedzą o społeczeństwie, ale jedną z dyscyplin nauki.

Wraz z rozwojem nauk zajmujących się badaniem zjawisk społecznych i podziałem ich na dyscypliny, takie chociażby jak prawo, historia, socjologia czy ekonomia, przedmiotem poznania musi stać się to, co polityczne. Już tylko dlatego, że społeczeństwa te wyłaniają władzę polityczną, organizację polityczną, a przede wszystkim podlegają mobilizacji politycznej i nasz język odnotowuje to

3 Platon, *Polityk*, (w:) *idem, Sofista, Polityk*, Kęty 2002, s. 76–78, 116, 133, 136–143.

4 M. Weber, *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*, Warszawa 2002, s. 40–42.

5 C. Schmitt, *Pojęcie polityczności*, (w:) *idem, Teologia polityczna i inne pisma*, Kraków 2000, s. 191–250.

w czasie życia dziesiątków pokoleń. Zjawiska *polityczne* stają się obiektami coraz bardziej wnikliwych dociekań, którymi z czasem zajmuje się jedna z dyscyplin nauki. Oczywiście obok refleksji potocznej, która rządzi się własnymi zasadami.

Nauka oddziela się od wiedzy potocznej. Jeśli jednak nie posiadamy zespołu twierdzeń pozwalających wyjaśnić, czym specyficznym wyróżnia się to, co polityczne w ramach tego, co społeczne, nie ma racji bytu dyscyplina wiedzy nazywana *politologią*<sup>6</sup>. Przypisany jej intuicyjnie obszar badania z powodzeniem mogą przejąć inne nauki społeczne: socjologia, historia, ekonomia, psychologia i prawo. One nie tylko mają własne tradycje teoretyczne i metody, ale reprezentanci tych dyscyplin są ich świadomi i stosują je przynajmniej w elementarnym zakresie podczas badań do momentu, kiedy nie staną się pracownikami wydziału politologii. Wówczas ich perspektywa ulega nagłej zmianie i przeobrażają się w rzeczników anarchizmu teoretycznego. W środowisku, którego członkowie nazywają się „politologami”, każdy pracuje jak chce. Zwłaszcza w warunkach nieobecności autorytetów ujawnia się brak sprawdzonej teorii i wiarygodnej metodologii. Pojawia się nawet możliwość głoszenia poglądów, że teoria jest zbyteczna, a politologia może z powodzeniem istnieć bez przedmiotu poznania.

Proces umacniania politologii, która nie spełnia wymagań dyscypliny naukowej, o której na uniwersyteckich wydziałach politologii coraz częściej mówi się, że nie należy do dyscyplin nauki, ma miejsce w Polsce w wyniku rozwoju karykatury teorii i metodologii. Tworzonych na przykład drogą powielania doktryn politycznych, a nawet powtarzania potocznych sformułowań mało zorientowanych publicystów, przeczytanych w gazecie lub zasłyszanych z radia czy telewizji. W efekcie zaczyna dominować politologia medialna, ukierunkowana na symulowanie badań w zakresie historii najnowszej i komentowanie aktualnych wydarzeń.

**Nie tylko nie może zaistnieć metodologia jakiegokolwiek dyscypliny, jeśli próbuje się ją rozwijać bez teorii. Bez teorii nie sposób nawet przyswoić sobie metod innych nauk.** Które bowiem wybrać i w jakim zakresie? Na to pytanie nie da się odpowiedzieć bez znajomości podstaw wiedzy teoretycznej, a jej funda-

6 Chyba że, jak A. Chodubski, przyjmujemy perspektywę „zdroworozsądkową” i po prostu zadeklarujemy, że politologia jest dyscypliną nauki (*Wstęp do badań politologicznych*, Gdańsk 2004, s. 31). Musimy mieć jednak świadomość, iż nie jest to nauka we współczesnym rozumieniu tego terminu. Z tekstu tej książki wynika, że politologia jest co najwyżej jakąś formą ludowej wiary, a ostatnim teoretykiem polityki był Włodzimierz Lenin, „[...] który skonkretyzował w nowych warunkach historycznych wiedzę teoretyczną o polityce” (s. 36). Autor kilkanaście lat po upadku komunizmu uznaje, że po nim nie było już nikogo godnego wymienienia. Zdroworozsądkową perspektywę przyjęli także A. Łaska i J. Nocoń, którzy analizują szereg zjawisk politycznych (*Teoria polityki. Wprowadzenie*, Warszawa 2010, s. 143–275), ale nawet nie rozważają kryterium pozwalającego pokazać ich odrębność wobec zjawisk pozbawionych cechy polityczności, co powoduje formułowanie redukcjonistycznych, przypadkowych i poplątanych definicji. Prowadzi do przypisywania atrybutu polityczności nieomal dowolnym obiektom, lecz przedmiotem analizy nie są tak elementarne zjawiska polityczne, jak podmiot i środek. Ujawnia się to najwyraźniej w rozważaniach nad władzą polityczną, której istoty autorzy nie umieją określić, co w końcu powoduje, że cechę polityczności przyznają samorządowi terytorialnemu (*ibidem*, s. 146).

mentem są zawsze ustalenia odnośnie do przedmiotu poznania. Dlaczego politologia miałaby posługiwać się metodami nauk społecznych, a nie przyrodniczych? Dlaczego bliższa jej socjologia, a nie geografia czy demografia? Dlaczego nie ma nic wspólnego z pedagogiką, nauką o pracy, geopolityką i biopolityką? Bez refleksji nad przedmiotem poznania nie da się tego rozstrzygnąć. Teoria polityki oparta na wiedzy potocznej, medialnej to wszystko uniemożliwia i powoduje, że naiwni politolodzy szukają inspiracji na przykład w liberalizmie i feminizmie. Tak na uniwersyteckich wydziałach politologii w Polsce zaczyna dominować amatorszczyzna i ujawnia się to rozwojem pseudonauki.

Ogólna metodologia nauki czy grupy nauk dostarcza podstaw wiedzy o zasadach i sposobach prowadzenia badań. Kiedy jednak nie dysponujemy wyobrażeniem tego, co mamy poznać i w jakim kontekście (wyobrażenia spornego, ale poddawanego systematycznie refleksji, tak że widoczne są konkretne ustalenia, chociaż dalekie od tego, co można uznać za oczekiwany stan finalny), realne są wyłącznie luźne dywagacje, rozważania nad tym czy tamtym, czyli zjawiskami przypadkowo stającymi się przedmiotem zainteresowania, ale nie dochodzi do wdrożenia konkretnych procedur poznawczych. Wówczas posługujemy się przypadkową terminologią i naszym udziałem staje się przede wszystkim wiedza potoczna. Uczeni zajmujący się życiem publicznym, stosunkami międzynarodowymi, praktyką demokracji zaczynają czerpać z języka mediów, które również określają ich system pojęciowy, preferencje poznawcze i całą perspektywę badawczą. Z nauką nie ma to nic wspólnego. Tacy uczeni stają się pseudouczonymi.

Wtedy pojawiają się też teorie pozorne, „teorie” na poczekaniu wymyślane bez odniesienia do dorobku nauki. Gdy zdobywają nawet tylko minimalną popularność w środowisku akademickim, politolodzy przeobrażają się w bezbronne marionetki, łatwo ulegające najbardziej bezsensownym terminom, koncepcjom czy – jak nieliczni z nich głoszą w aktach poznawczej rozpacz – „podejściom”, takim jak „system dwubiegunowy”, „system wielobiegunowy”, „system jednobiegunowy”, „turbulencje” i „koniec historii”. Na marginesie powyższych procesów kształtują się całkowicie niszowe pseudoteorie w rodzaju „teorii” prowokacji, akredytacji, indukcyjnego sposobu poznawania rzeczywistości przez politologów, a nawet popularnej „teorii” stosunków międzynarodowych.

Poważnym impulsem do tworzenia wiedzy może być chęć zdobycia rozgłosu, sławy za wszelką cenę, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych, gdzie pseudopolitolodzy, medialni showmani kreują i reprodukują koncepcje mające podbudowywać morale narodu o imperialnych ambicjach i promować ten kraj na świecie. One przynoszą nagrody i popularność. Zjawisko to jest wyraźnie widoczne w tzw. „teorii” stosunków międzynarodowych, z ochotą reprodukowanej w Polsce przez akademików zupełnie nietroszczących się o to, czym jest teoria

i na czym polega uprawianie historii idei. Mało kto dostrzega, że to, co nazywa się „teorią stosunków międzynarodowych”, nie jest nauką. Mamy tu do czynienia głównie z doktrynami służącymi nie wyjaśnianiu rzeczywistości, ale uzasadnianiu pozycji i uprawnień dominujących potęg. Nierzadko to, co nazywa się „teorią stosunków międzynarodowych”, jest wyłącznie zlepkiem luźno powiązanych tez, z których niejedna jest całkowicie pozbawiona sensu. Istnieją one, ponieważ ich powtarzanie, czyli kopiowanie jest łatwe. Powielać mogą także ci, którzy nie wiedzą czym jest uprawianie nauki. Tacy ludzie obecnie wypierają poważnych uczonych z uniwersyteckich wydziałów politologii.

Tak oto w przypadku politologii niemal automatycznie dominujące znaczenie zdobywa łatwa, codziennie narzucająca się wiedza czerpana z mediów, nierzadko wymyślana na poczekaniu, bez znajomości dotychczasowego dorobku nauki, aby w gazetach, radiu i telewizji popisywać się, oceniając zamiary partii politycznych lub mocarstw. Taką wiedzę, a nie naukową, łatwiej na uniwersytecie przyswajają studenci. Nie wymaga ona przecież od nich trudnych lektur, gdyż młodzi ludzie z potoczną „politologią” obcuja codziennie. Jeśli nawet nie czytają gazet, dociera do nich z samochodowego radia, a wieczorem z telewizji. Dzisiaj, w warunkach forsowanej przez polityków macdonaldyzacji nauki, konstruowana i rozpowszechniana jest pseudonauka przez tych, którzy zatrudnili się na uniwersytecie, ale nie prowadzą badań naukowych, jedynie je symulując, przepisując z amerykańskich książek lub od kolegów.

Tym właśnie w ogromnej mierze zajmuje się współczesna politologia i dlatego widać, jak bardzo ugina się pod ciężarem wiedzy potocznej, służalczości politycznej (wbrew pozorom nie skończyła się wraz z upadkiem komunizmu), niedostatku badań empirycznych i bezmyślnie importowanych idei, pomagających w okiełznaniu narodów zależnych. Część politologów bez zahamowań poddała się charakterystycznej metodzie symulowania pracy naukowej i przysłowiowego „bicia piany” (w polskiej politologii to termin o znaczeniu historycznym), by przysłonić efekty takich czynności. Wśród nich główną rolę odgrywają nie teoretycy stosunków międzynarodowych, ale polscy teoretycy polityki, gdy głoszą proste analogie i umacniają zagubienie własnych kolegów. Ci ludzie nieświadomie promują bezkrytyczne przyjmowanie zagranicznych idei, będących efektem ambicji politycznych.

W tych warunkach zdaje się być godna zbadania teza, która dla wielu zatrudnionych na wydziałach politologii będzie wstrząsająca i wzbudzi w ich kołach opór. Otóż konsekwentne wykorzystanie elementarnego dorobku teorii nauki prowadzi do niecodziennego, ale stosunkowo prostego wniosku. **Jedyną teorią zdolną określić podstawy politologii jest teoria rozwinięta na gruncie jasno sformułowanej na początku XX w. hipotezy tego, co polityczne.** Wszystkie pozostałe tzw. „podejścia” w politologii to albo ślepe uliczki, albo efekty nieporozu-

mień odnośnie do tego, jak funkcjonuje ludzkie poznanie, jak działają i myślą ludzie.

W nauce nie ma możliwości rozwijania „podejść”. Są tylko hipotezy i potwierdzone hipotezy, czyli twierdzenia. W nauce nie ma też miejsca na „orientacje” badawcze. Występują wyłącznie teorie i szkoły naukowe. Pierwsze obejmują zespoły twierdzeń, drugie ludzi skupionych wokół mistrza. W Polskiej politologii mistrzowie wymarli i role przewodnie przypadły tym, którzy odrzucają teorię lub symulują badania w tym zakresie. Próbuje oni grać role mistrzów, ale widać, że nie mogą sprostać związanym z tym wymaganiom. Łatwo kapitulują w obliczu prostych pytań, proponują odpowiedzi anachroniczne, zbudowane na ich osobistej ignorancji, kopiowaniu zagranicznych wzorów, a środowisko nie ma odwagi, by podjąć jakąkolwiek krytykę. Profesorowie, którzy coś z tego rozumieją, milczą przytłoczeni obserwowaną masowością zjawiska i spontanicznym umacnianiem się pseudonauki politologii.

Przedmiotem poznania nauk społecznych nie są opinie, doktryny i teorie, które się powiela, tylko ludzie, którzy współpracują ze sobą i rywalizują w konkretnym środowisku, a politologia zajmuje się częścią tych zjawisk wyłącznie wówczas, jeśli teoretycy politologii mogą je wyodrębnić w ramach tego, co społeczne i użyć twierdzeń je określających w procesach poznania własnego przedmiotu badań. Gdy nie udaje się tego uczynić, nie można mówić o istnieniu politologii. Wtedy trzeba uznać, że jest ona efektem uzurpacji, a jej miejsce przypada przede wszystkim socjologii. Nie może być bowiem tak, że główną czynnością politologów jest powielanie tego, co robią historycy, administratywiści, prawnicy albo pisanie prac opartych na kopiowaniu tez z publikacji Amerykanów czy własnych kolegów. Na dowolny temat, w ten sposób, że politologia z dyscypliny nauki przekształca się w naiwną wiedzę o społeczeństwie.

Politologia nie będzie istnieć jako dziedzina brylowania wydajnych ideokopiarek, które ogłaszają coraz częściej książki pozbawione nie tylko podstaw warsztatowych, ale nawet sensu i promują doktorów bez kwalifikacji – bez jakiegokolwiek świadomości tego, czym jest politologia. Ona jest taką samą dyscypliną nauki, jak socjologia, ekonomia czy historia. Podlega tym samym zasadom prowadzenia badań naukowych i kształcenia kadry. Niestety, politolodzy tego wszystkiego zwykle nie rozumieją, ponieważ na studiach politologicznych nikt nie zaznajomił ich z dorobkiem politologii.

Nauka bada rzeczywistość, ale politologia obecnie coraz mniej ma z nią wspólnego, gdyż przeobraża się w nurt przypominający scholastykę i w ten sposób staje się „politologią”. Głównie w efekcie działalności teoretyków polityki, którzy politologów pozbawili nawet elementarnej refleksji nad podstawami własnej dyscypliny, proponując rozwiązania pozorne, zbudowane na ignorancji. Swo-

ją działalnością powodują, że politologia nie może dorównać historii, socjologii, psychologii czy nauce prawa. Jest nauką gorszą, a faktycznie w ciągu ostatnich dwudziestu lat została w Polsce obrócona w pseudonaukę. Na potwierdzenie tej tezy łatwo znaleźć wiele dowodów, ale politolodzy z nazwy robią wszystko, by ich nie zauważyć. Natomiast politolodzy poważnie traktujący swoje zadania badawcze zdają się być przytłoczeni tym całym balastem i niezdolni do pozbycia się go.

## 2. Podstawowy dylemat politologii

Teoria polityki w wydaniu charakterystycznym dla III Rzeczypospolitej jest źródłem dzisiejszego zagubienia politologów i bezradnego poddania się inwazji przedstawicieli innych nauk społecznych, przede wszystkim historyków.

**Podstawowy dylemat politologii sprowadza się do kwestii: czy ma być dyscypliną współczesnej nauki, czy też zlepkiem nieokreślonej, mglistej i pozornej wiedzy o społeczeństwie,** formułowanej przez osoby, które nie utrzymały się w środowisku prawników, historyków, socjologów czy ekonomistów i w kręgu politologów tworzą zamęt myślowy. Nie dlatego, że w nim znaleźli się w efekcie oceny merytorycznej, ale ponieważ sami nazwali się „politologami”, nierzadko nie opublikowali nie tylko pracy politologicznej, ale nawet przypominającej coś, co z politologią miałoby jakikolwiek związek. Tacy politolodzy – uzurpatorzy – korzystają z pomocy słabo lub nawet źle wykształconych kolegów, absolwentów wydziałów politologii, którzy nie znają przedmiotu własnych badań. Tych specjalistów z nazwy jest coraz więcej, w efekcie czego politologia przeobraża się już nie w naukę wzbudzającą wątpliwości odnośnie do własnego statusu, ale w pseudonaukę. Widać to wyraźnie, gdy na dokonania politologów spojrzy się z perspektywy wykształconego historyka, prawnika czy socjologa.

Imigranci pierwszej generacji, tacy jak Marek Sobolewski, Kazimierz Opałek i Franciszek Ryszka tworzyli niegdyś zręby teoretycznych podstaw politologii. Jednak czas ludzi tej proweniencji powinien był przeminąć. Ich miejsce mieli zająć wykształceni politolodzy. Tak się jednak nie stało. **Na wydziałach politologii nadal dominują imigranci. Różnica polega na tym, że nowa dziedzina nie jest obecnie przedmiotem ich troski, jak była, gdy próbowali ją rozwijać Sobolewski, Opałek i Ryszka.** Imigranci obecnej generacji głoszą dowolne poglądy, bez zainteresowania stanem wiedzy. Celem tych pozbawionych erudycji uciekinierów, nieudanych historyków, socjologów i prawników, pozbawionych świadomości niestosowności własnych zachowań i osobistego położenia, nie jest politologia rozumiana w postaci dyscypliny nauki. Taki jej rozwój nie leży w ich interesie, ponieważ musiałby prowadzić do wykazania ignorancji imigrantów.

Teoretycy polityki nowego typu, którzy zaczęli dominować na wydziałach politologii polskich uniwersytetów już u schyłku życia Ryszki, także w jego bezpośrednim otoczeniu, by potem ostatecznie zająć na nich niepodzielnie miejsce i wyeliminować wszelką dyskusję nad teorią polityki i metodologią politologii, doszli do tego, że negują istnienie politologii jako dyscypliny nauki<sup>7</sup> i narzucają sposób rozumowania, który politologów prowadzi na manowce w efekcie utraty tożsamości<sup>8</sup> lub kompletnie dezorientuje po lekturze zbioru pozbawionych jakiegokolwiek ugruntowania „refleksji”, bałamutnych dywagacji i twierdzeń pozbawionych sensu<sup>9</sup>.

Podstawowe tezy teoretyków polityki pokazują dosadnie, że politologia zmierza obecnie w Polsce do utraty statusu dyscypliny nauki, a może nawet już go postradała, popadając w stan poważnej zapaści, wynikający z ich prób wykazania, że dzieło imigrantów pierwszej generacji było bez sensu, światowa politologia nie ma żadnego dorobku, horyzont poznawczy politologii nie istnieje, a jedynym uzasadnieniem istnienia wydziałów politologii jest liczba naiwnych studentów przyciąganych nie stanem wiedzy politologii, nie kompetencjami politologów, ale potocznymi skojarzeniami i jej atrakcyjną nazwą.

Tak oto symulujący uprawianie teorii polityki, przy cichej akceptacji wielu innych profesorów pseudonauki politologii, opowiadają się za tezą, iż **politologia nie jest dyscypliną nauki, tylko nieokreśloną hybrydą**, którą uprawiać może dowolny reprezentant nauk społecznych, a w praktyce każdego innego, ponieważ w tym kręgu nawet specjalista od wychowania fizycznego nadaje się na pracownika zakładu teorii polityki, zaś filozof uchodzi za poważnego metodologa politologii. Socjolog może w telewizji tak często ogłaszać, że jest politologiem, iż nie

7 M. Karwat: „[...] politologia jest multidyscyplinarną rodziną nauk, podobnie jak np. pedagogika czy nauka o pracy [...]” (*Polityczność i upolitycznienie. Metodologiczne ramy analizy*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17, s. 65). To co ta rodzina właściwie bada? Tego pytania nie da się uniknąć.

8 B. Krauz-Mozer z aprobatą twierdzi, że politologia „[...] próbuje scalić wiele wątków refleksji nad polityką, poczynając od historii i filozofii po kulturoznawstwo”. Uważa ona, że „[...] rolę czynnika integracyjnego mogłyby z powodzeniem odgrywać rozważania metodologiczne nad wytworami własnej aktywności, prowadzone zgodnie ze strategią rozumiejącą” (*Metodologia politologii w perspektywie pluralistycznej*, (w:) K. Wojtaszczyk, A. Mirska (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie. I Ogólnopolski Kongres Politologii, Warszawa 22–24 września 2009*, Warszawa 2009, s. 162). Takie stanowisko w świetle wiodącej obecnie teorii nauki oznacza czystą herezję. Czyni z politologii zbiór przypadkowych przypowieści (refleksji), zwykle zresztą wypełnionych nonsensami. Ciekawe na czym ma polegać to „scalanie”? Mamy tu do czynienia z jakąś nową metodą, czy autorka po prostu publikuje to, co danego dnia akurat przyjdzie jej do głowy?

9 Niestety, do takich wniosków dochodzę po lekturze najnowszej książki T. Klementewicza, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce* (Warszawa 2010). Już we wstępie czytamy między innymi: „Dla opisu i wyjaśnienia współczesnej sceny politycznej konieczna jest adaptacja teoretyczna politologii. Dotychczas układ odniesienia do analizy państwa i polityki było i jest społeczeństwo narodowe i badająca go socjologia teoretyczna, teoria społeczna. Natomiast teraz do analizy makropolityki brakuje politologowi oparcia w takiej teorii ogólnej. Istnieje globalny ekosystem, waloryzacja kapitału dokonuje się w światowej przestrzeni gospodarczej, kształtuje się globalne społeczeństwo (w sensie samodzielności funkcjonalnej) – brak zaś teorii tego poziomu. [...] Żeby analizować makropolitykę, trzeba makropolitologii w sensie strategii badań, wykraczającej poza optykę własnej dyscypliny” (s. 15). Chaos pojęć, dowolne skojarzenia, terminologia po części z publicystyki, po części wymuszona swobodnym posiłkowaniem się zasobami pojęciowymi socjologii, a to wszystko wyłożone w języku trudnym do zrozumienia. Innym przykładem jest książka Z. Bloka (*O polityczności, polityce i politologii*, Poznań 2009, szczególnie s. 55–86). Dalej szerzej na ten temat.



tylko sam zaczyna w to wierzyć, ale takie przekonanie przejmują środowiska reprezentujące nauki społeczne.

Chyba wreszcie trzeba wyraźnie powiedzieć, że mamy tu do czynienia z symulowaniem uprawiania nauki, czasem może nawet ze świadomym oszukiwaniem, a jedynym „osiągnięciem” osób tak prowadzących badania jest unieczystwienie dorobku tych, którzy zapoczątkowali dyscyplinę politologii w Polsce. Publikacje ich następców zwykle są zaprzeczeniem tego, czego uczyli twórcy polskiej politologii. Dokonali oni całkowitej dewastacji dorobku zbudowanego na gruncie warsztatu prawniczego – nauki, dysponującej silnie rozwiniętą refleksją nad własnym przedmiotem poznania i metodologią.

### **3. Pierwsi teoretycy polityki**

Twierdzenia zwykle nazywane „teorią polityki” nie kształtowały się przypadkiem, nie budowano ich też na gruncie prostej wiedzy potocznej. Wyrastały powoli z doktryn religijnych i politycznych, czyli zespołów twierdzeń na temat dominujących wartości, mających określać zbiorowe życie członków naszego gatunku i wizji ładu społecznego, w jakim ludzie powinni żyć. Z rozważań nad nimi wyłaniały się pierwsze przypuszczenia, których celem nie było pokazywanie, jak ma być, jak powinno funkcjonować społeczeństwo. Kolejne twierdzenia były formułowane w odpowiedzi na proste pytania: jak jest i dlaczego jest tak, jak jest? W ten sposób rodziła się wiedza o strukturze i funkcjach podobnych do tworzonej na gruncie astronomii, fizyki, chemii czy biologii, tylko odnosząca się do innego przedmiotu poznania i dojrzewająca o wiele wolniej.

Tym samym teoria polityki rozwijała się i w znacznej mierze nadal jeszcze kształtuje, gdy od myśli religijnej i politycznej oddziela się nurt, który nie jest polityczny, nie wyraża interesów politycznych, ale wyodrębnia się na skutek samych ambicji poznawczych. Dokładnie tak samo jak w astronomii, fizyce, chemii czy biologii!!! Dzieje się to w efekcie ludzkiej ciekawości, wyrażanej w specyficznie postawionych pytaniach. Takich samych, jakie leżą u podstaw innych nauk. Teoria polityki miała i ma własny przedmiot poznania, jeśli tylko jest rzetelnie rozwijana, lecz jej zadania, z racji specyfiki obiektu dociekań, nie mogą sięgać formułowania wyrażanych matematycznie praw, dlatego ograniczają się do opisu i wyjaśniania związanego początkowo z obserwacją zjawisk rzucających się w oczy, jak władza publiczna, grupowanie się ludzi, ich rywalizacja i walka, interesy i wpływy. Z czasem pojawia się jednak myślenie w kategoriach bardziej abstrakcyjnych, związanych z krytyczną refleksją nad językiem dyskursu społecznego. Tak rozwija się refleksja nie tylko nad polityką, ale także nad tym, co polityczne.

Okazuje się bowiem, że – wbrew potocznym opiniom – nie wszystko jest polityczne. Powoli dociera do świadomości przynajmniej nielicznych badaczy, iż to, co polityczne, jest zmienną częścią tego, co społeczne. Na przykład nie każda organizacja jest polityczna i nie każda myśl jest polityczna, nawet jeśli z dowolnej myśli mogą być wyciągnięte konsekwencje polityczne i może być ona użyta politycznie.

Polityczne nie były teorie Mikołaja Kopernika i Karola Darwina, chociaż zrodziły konsekwencje sięgające wiary w boga i polityki, a nawet pociągnęły za sobą reakcje i działania polityczne, ponieważ podważały istniejący porządek społeczny lub nawet tylko rodziły uczucia, że taki porządek negują. Eugenika może zostać uznana za coś, co wywołało skutki polityczne, wpłynęło na wzmocnienie trendów zmian politycznych uzasadnianych ideami rasistowskimi, lecz nie wynikało to z samej teorii Darwina, ale było skutkiem jej specyficznej interpretacji. Tak samo jak efektem szczególnej, oszukańczej wykładni genetyki były twierdzenia głoszone przez Trofima Łysenkę, które miały wyrzucić skutek polityczny.

Powoli rodziła się i nadal kształtuje świadomość obecności tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Powyższe przykłady pokazują, jak wiele obiektów może zyskać status polityczny. Nawet genetyka, nauka z samej swej istoty apolityczna, może być przekształcona w środek polityczny. Wszystko, nawet czysto naukowa teoria, może stać się polityczna, ale to nie znaczy, że wszystko jest polityczne. Warto zauważyć, że wspomniane zespoły poglądów przejściowo stawały się polityczne, ponieważ ktoś zmienił ich status. Ktoś je z teorii czysto naukowych czy pseudonaukowych przekształcił w teorie polityczne. Potem teorie te utraciły status polityczny. Na gruncie obserwacji owych procesów zrodziło się rozróżnienie pomiędzy podmiotem politycznym (czyli tym, który dysponuje statusem politycznym i władny jest przekształcać obiekty niepolityczne w polityczne) i środkiem politycznym (czyli tym, co nie jest polityczne, ale w pewnych warunkach jest przekształcane w to, co polityczne przez podmiot polityczny).

Teoria polityki wywodzi się z refleksji mającej na celu uzasadnienie odrębności i uprawnień podmiotów politycznych, czyli z doktryn religijnych i politycznych, ale tą myślą już nie jest, ponieważ nie jest polityczna, chociaż zawsze może być politycznie wykorzystana, czyli użyta jako środek polityczny. Tym samym **teoria naukowa nie ma charakteru normatywnego**, ponieważ jej celem nie jest mówienie, jak powinno być, ale jak jest i dlaczego jest tak, a nie inaczej. Jednak przez długi czas kształtowała się, a w niektórych wydaniach nadal kształtuje się na gruncie normatywnych oczekiwań ludzi, gdy część ich rozważań wykracza poza próby ustalenia, jak jest i zostaje poświęcona określeniu, jak powinno być.

Zwykły człowiek, operujący na poziomie wiedzy potocznej, poszukuje w ideach wsparcia swojej egzystencji. Ciągłe zwraca się ku doktrynom i wizjom. Na-

tomiast uczoney bada rzeczywiste zależności i właściwości swego przedmiotu poznania. Dlatego rozumie funkcje doktryn i zdaje sobie sprawę z charakteru dostarczanej przez nie wiedzy. Jest świadom przeciwieństw zachodzących pomiędzy doktryną i teorią. Na przykład wie, że treść doktryny zwykle powtarza się bezrefleksyjnie, a teoria jest przedmiotem krytycznej analizy i w świecie rzeczywistej nauki nie ma miejsca na mantry. Tu stawia się pytania badawcze, dokonując demarkacji wiedzy, czyli oddzielając naukę od tego, co już nią nie jest, na przykład od doktryny.

Teoria polityki wyłaniała się między innymi z katolicyzmu, konserwatyzmu, liberalizmu, marksizmu i wielu innych nurtów myśli politycznej, ponieważ stanowiły źródło inspiracji do tworzenia tez opisujących i wyjaśniających rzeczywistość polityczną. Jednak droga do niej nie była i nie jest ani łatwa, ani prosta. Polega bowiem na tym, że twórcy teorii polityki uwalniają swoje myślenie od wartości charakterystycznych dla myśli politycznej, od interesów, od dążeń związanych z kształtowaniem świata i próbują formułować hipotezy podlegające weryfikacji przez konfrontację z danymi pozyskiwanymi empirycznie, a przede wszystkim przez konfrontację z innymi teoriami. **Tak doktryny i ideologie zostają powoli odrzucone i rodzi się teoria, czyli wiedza dysponująca statusem nauki.**

Teoria naukowa jest przeciwieństwem wiedzy zawartej w doktrynie. Doktryna obowiązuje, gdy ludzie przeżywają wobec jej twierdzeń uczucia je afirmujące, ponieważ odpowiadają one ich oczekiwaniom i dają nadzieję. Teoria niczego nie ofiarowuje, poza odpowiedziami na pytania, jak jest i dlaczego jest tak, a nie inaczej. Doktryna, jak katolicyzm czy feminizm, odnosi ludzi do przyszłości i daje poczucie pewności, które ujawnia się w akcie wiary. Skutkiem wiary jest oddanie i poświęcenie, by otrzymać coś w zamian. Na przykład nadzieję na jakiś stan, związany z poprawą egzystencji lub życiem po życiu. Katolicyzm daje nadzieję na życie po śmierci, a feminizm obiecuje sprawiedliwe społeczeństwo dla kobiet.

Teoria nie dysponuje czymś takim. W szczególności nie ma nic wspólnego z nadzieją i pewnością. Teorię rodzi czysta ciekawość, a efektem jej rozwoju okazuje się narastanie przeświadczenia o tymczasowości wiedzy. Wprawdzie teoria może być wykorzystana do przewidywania przyszłości, ale tylko kiedy wykracza się poza jej twierdzenia. Prognozowanie, na przykład o kierunkach rozwoju społecznego, nawet praktykowane na uniwersytecie, nie jest bowiem nauką, a jedynie spekulacją opartą na ograniczonej liczbie danych (pełny ich zestaw jest nieosiągalny i to między innymi określa ograniczenia wiedzy prognostycznej).

Nie ma innej drogi rozwoju teorii polityki, ponieważ myśl dedykowana wyjaśnianiu i rozumieniu nie rodzi się nagle z niczego, tym bardziej sama, ale wyłania w skomplikowanym i rozciągniętym w czasie społecznym procesie poznaw-

czej emancypacji ludzkiego umysłu. Tak było z astronomią, z biologią i tak jest z politologią. Proces kształtowania się wiedzy naukowej nierzadko ściśle powiązany jest z wydarzeniami rewolucyjnymi, z burzeniem istniejącego i powoływaniem nowego porządku, kiedy ludzie są silnie uczuciowo zaangażowani w dramatyczne zmiany. Wielkie idee polityczne rodzą się zwykle, gdy ludzie masowo umierają lub nadchodzi czas ich śmierci. Natomiast teorie naukowe powstają w zaciszu gabinetów, gdy dojrzewają podejrzenia wobec obowiązujących pewników. Są wyłącznie efektem ambicji poznawczych nielicznych badaczy, których zwykle przez długi czas się nie rozumie, wyśmiewa, a nawet prześladuje, gdyż podważają system dominującej wiary – religijnej i świeckiej. Jednak takie teorie nierzadko też mają charakter rewolucyjny i pociągają za sobą niemałe konsekwencje. Już tylko dlatego, że wypierają dotychczas obowiązujące poglądy na świat<sup>10</sup>.

Każdy człowiek, a tym samym i każdy umysł funkcjonuje w sieciach stosunków społecznych. W ich ramach przebiega proces poznania. Innymi słowy – teoria polityki wyrasta nie w próżni myślowej, nie z nagłego oświecenia, odkrycia, ale powoli wyłania się z refleksji codziennej, potocznej, politycznej, od nich oddziela, uwalnia i dystansuje, gdy ludzie zaczynają rozumieć, iż twierdzenia wyjaśniające mają zupełnie inny status i pełnią inne funkcje aniżeli idee normatywne. **Te dwie formy refleksji, normatywna i eksplanacyjna, ostatecznie są ze sobą nie do pogodzenia**, szczególnie kiedy wychodzi na jaw, że podmioty polityczne traktują naukę jako własny środek i posługują się nią w walce.

Dlatego wyłoniła się idea autonomii uniwersytetu, który zaczęto rozumieć jako źródło niezależnej myśli, zdolnej przynajmniej nie ulegać bezkrytycznie politycznym ambicjom książąt, królów, księży i partii politycznych. Rola ta nie zmieniła się w demokracji medialnej, tylko współczesny europejski uniwersytet nie jest w stanie sprostać jej wymaganiom. Na polskich uniwersytetach w ciągu ostatnich dwudziestu lat w ogóle zanikła świadomość autonomii uniwersytetu. Prawdopodobnie w efekcie naiwnej wiary, że demokracja gwarantuje wolność i niezależność. Nic bardziej mylnego. Demokracja jest systemem politycznym, a więc niczego nie gwarantuje, poza obróceniem w polityczny środek.

Uniwersytet z jednej strony służył ambicjom książąt, królów, księży i partii politycznych, z czasem równocześnie jednak zaczął pełnić rolę środowiska umożliwiającego inkubację teorii pozwalającej wydobyć się ponad poznanie potoczne i polityczne – teorii coraz lepiej wyjaśniającej rzeczywistość. Dzięki temu zdobywał znaczenie. Jego powołaniem stawała się nie obrona ideologii, ale misja społeczna, ujawniająca się między innymi w analizie interesów grup społecznych i demarkacji wiedzy, czyli oddzielaniu tego, co jest nauką, od tego, co nią nie jest. Książęta, królowie, księża i partie polityczne interesowali się teorią jako środkiem

10 T. Kuhn, *Struktura rewolucji naukowych*, Warszawa 1968, s. 127–150.

do realizacji własnych interesów. Jej funkcje wyjaśniające nie miały dla nich znaczenia. Nowoczesny uniwersytet, jeśli nie wchodził z nimi w konflikt, próbował przynajmniej chronić własną niezależność. Na gruncie tej niezależności mogła kształtować się teoria tego, co polityczne, będąca fundamentem rodzącej się dyscypliny nauki: politologii.

Przedmiotem powstającej w opisany sposób teorii powoli stawało się to, co polityczne, czyli przede wszystkim zjednoczenie ludzi, które wyłoniło się w efekcie szczególnej mobilizacji do ustanowienia z powołania i każdym środkiem porządku w wielkiej przestrzeni. Dlatego owo zjednoczenie zawsze dąży do tego, by podtrzymać świadomość swego nieprzypadkowego, wyjątkowego pochodzenia<sup>11</sup>, tożsamości i powinności (czynów do wykonania), ponieważ od pewnego momentu ewolucji tylko takie zgrupowanie ludzi może przetrwać i funkcjonować jako całość skutecznie uczestnicząca w rywalizacji o zasoby. Dla podmiotu politycznego nie liczy się wiedza o tym, co jest, a w każdym razie nie jest ona priorytetem. Dla niego podstawowe znaczenie ma przedstawienie świata w efekcie refleksji normatywnej, która mówi jak świat ma wyglądać i jakie zadania stoją przed podmiotem powołanym do formowania jego powszechnego porządku. Takie twierdzenia jednoczą ludzi, wyzwalają ich energię, gotowość do ofiary i mobilizują do ponoszenia kosztownych skutków działań wojennych, rewolucyjnych i innych awanturniczych przedsięwzięć, które mają przynieść korzyści.

Kto wypełnia zadania normatywne i zdobywa znaczenie społeczne, staje się środkiem podmiotu politycznego, czyli jego narzędziem. Są nimi doktrynerzy i ideolodzy. Kto podejmuje zadanie opisu i wyjaśniania, wykracza poza oczekiwania podmiotu politycznego i koncentruje się na badaniu rzeczywistości. On jest uczonym. Jednak tylko wtedy, gdy ma świadomość przedmiotu własnego poznania.

**Doktryner** bazuje na ludzkich uczuciach, którym przedstawia obiekt nadający się do uwielbienia i przeżywania. Jego nie interesuje przedmiot poznania, ponieważ on nie bada, tylko z powołania tworzy idee mające tak działać na ludzkie umysły, aby poruszać osobniki do działania. Doktryner ma dowieść wyższości jednych interesów nad drugimi, słuszności konkretnej walki i konieczności prowadzenia jej do końca. Powołanie określa na przykład idee boga, rasy, klasy czy płci. Z nimi są związane wizje porządku, który ma być ustanowiony w świecie. Powołanie może kształtować każdy inny podział, jeśli tylko porusza ludzkie uczucia, skłania do współpracy, zachowania jedności i umożliwia wspólne działanie. Centralny przedmiot rozważań myśliciela, który mocno popuścił wodzy swoim fantazjom, tworzy wizja pożądanego ładu, czyli coś, co nie istnieje, co jest obiektem obróbki wyobraźni i masowego pożądania. Jak boski, rasowy czy kla-

---

11 Z powołania boga, historii, uprawnień rasy czy narodu.

sowy porządek świata. Doktryner buduje wiedzę niepodlegającą weryfikacji. Taki człowiek boi się krytyki, gdyż głosi jedynie „prawdę”, która staje się w kręgach zwolenników doktrynera nie przedmiotem analizy, ale adoracji, jako podstawa myślenia i odczuwania świata. W warunkach konfliktu społecznego krytyków tej prawdy prześladowuje się każdym dostępnym środkiem.

**Uczony** idzie inną drogą tylko dlatego, ponieważ poznaje i wyjaśnia obiekt uznany za ważny. Metody uczonego są ograniczone. Dlatego on, stojąc wobec problemu złożoności świata i selektywności ludzkiego poznania, celem dociekań nie czyni czegokolwiek, co działa na uczucia. Punktem wyjścia jego aktywności jest jasne sformułowanie problemu, a ten może dotyczyć tylko określonego przedmiotu poznania. **Kto nie dysponuje świadomością przedmiotu poznania, nie prowadzi badań naukowych. Ktoś taki porusza się na poziomie wiedzy potocznej lub buduje doktrynę.** Niekoniecznie noszą politycznie, ale jednak doktrynę z racji treści, struktury i funkcji wiedzy, którą operuje.

Innymi słowy, doktryna powstaje w efekcie artykulacji *interesów* i wynikających z nich *praw*, rozumianych jako *uprawnienia* do czegoś, co jest pożądane. Teoria kształtuje się z *ciekawości*, a motywem jej rozwijania jest samo *poznanie*. Pseudoteoria staje się możliwa wtedy, gdy teoria uznawana jest za coś cennego, na przykład nadaje się do wykorzystania politycznego, czyli obrócenia w doktrynę lub użycia do lepszego uzasadnienia doktryny. Pseudonauka jest w tych warunkach efektem naśladowania działań uczonego, symulowania jego czynności, gdy nauką określa się to, co faktycznie nią nie jest lub korzysta z wyników badań do osiągnięcia celów związanych z określonymi dążeniami, na przykład ekonomicznymi czy politycznymi. Pseudonauką jest na przykład prognozowanie przyszłego rozwoju rynku lub demokracji, gdy używa się autorytetu uniwersytetu, a szczególnie kiedy twierdzi, że prognoza ma charakter naukowy.

Teoria polityki kształtuje się na gruncie refleksji politycznej, czyli prowadzonej w odniesieniu do egzystencji specyficznych zjednoczeń ludzi (zmierzających do ustanowienia z powołania i każdym środkiem porządku świata wedle własnej wizji), w środowisku stosunków tworzonych przez tak ukształtowane podmioty. Taka teoria rozwija się w efekcie procesu mozolnego oddzielania dociekań mających na celu wyłącznie rozumienie świata (przez opis i wyjaśnianie za pomocą weryfikowanych hipotez) od twierdzeń poświęconych pokazaniu, jak on ma wyglądać, jak powinien być uporządkowany, na przykład, by zadowolić boga, żyć w zgodzie z tradycją, czy aby ludzie byli szczęśliwi.

Dlatego pojawiają się wielkie symbole przekształcające zbiorowości ludzkie w rywalizujące ze sobą zjednoczenia. Członkowie tych zbiorowości są połączeni ze sobą za pośrednictwem uczuć lojalności i nadziei, które przeżywają wobec wizji świata bogów, pojedynczego boga, idei narodu wybranego, powołanego do pa-

nowania nad światem, wielkiej rasy czy mającej wyzwolić ludzkość klasy. Albo też bywają ufundowane na przekonaniu o własnej wyższości w stosunku do „narodów niedemokratycznych”, którym rzekomo chce się nieść w darze parlamentaryzm i prawa człowieka. Wszystkie one składają się na doktryny, z których – a potem w opozycji do których – wyłania się teoria. Poświęcona nie całościowej interpretacji świata, dostarczeniu jego kompletnej wizji, ale dedykowana jedynie opisowi jakiegoś wycinka, aspektu rzeczywistości i jego wyjaśnianiu.

**Gdy ludzie odrzucają myślenie dogmatyczne, na gruncie podejrzeń rodzi się nauka, a jej uzbrojeniem są wyartykułowana, uświadomiona teoria i oparta na niej metoda. Teoria zawsze dotyczy przedmiotu poznania, który jest przynajmniej w przybliżeniu określony.** Tym nauka różni się od myślenia potocznego i doktrynalnego, żywiołowego, którego celem nie jest poznanie, ale oddziaływanie na uczucia i emocje, artikulacja racji, interesów, przygotowanie do udzielenia poparcia stronnikom i udział w walce. Gdy nie ma świadomości przedmiotu poznania, owocem myślenia mogą być jedynie rozproszone twierdzenia, które wprawdzie dostarczają wiedzy, ale wrywkowej, nieuporządkowanej, pozbawionej systematyczności i dlatego nietrwałej, a często fałszywej. W świadomości ludzi pozostaje z niej tylko to, co jest zgodne z ich uczuciami i interesami. Pozostałe elementy są wypierane ze świadomości i konsekwentnie ignorowane.

Tak dochodzi do kształtowania się **trzech ścieżek ludzkiej myśli**: potocznej (zwykłego człowieka, rozwiązującego swoje codzienne problemy, zbudowanej na dążeniu do realizacji funkcji życiowych organizmu), doktrynalnej (zbudowanej na apriorycznych twierdzeniach, obronie ortodoksji i rozszerzanej do postaci ideologii) i naukowej (zbudowanej na podejrzeniach, przedstawionej w hipotezach i weryfikowanej). Nauka bada, jak jest i wyjaśnia, dlaczego tak jest, a podstawę badania tworzy teoria, gdyż każda nauka dzieli się na dyscypliny mające własny przedmiot poznania<sup>12</sup>. Dalej wyjaśniam, dlaczego nie jest możliwe poznanie indukcyjne, a każda refleksja, nawet zbieracza faktów, jest efektem aktywności umysłu uzbrojonego w narzędzia poznawcze, czyli opiera się na metodzie dedukcyjnej.

**Badanie naukowe tym się różni od pozostałych dociekań, że nie tylko wychodzi od obowiązującej teorii, ale od teorii określającej jego przedmiot poznania, uświadomionej i rozważonej pod kątem właściwych jej ograniczeń.** W takim przypadku celem nie jest reprodukcja, powielanie obowiązującej wiedzy, jak ma to miejsce na gruncie wiedzy potocznej i doktryny. Teorię nauko-

12 Specyfika poznania świata przez człowieka wynika z ewolucyjnie ukształtowanej konstrukcji jego umysłu. Poznanie jest ograniczone na wiele sposobów. Między innymi w ten sposób, że dotyczy pewnych obszarów czy aspektów rzeczywistości. Ważnymi spośród nich zajmują się dyscypliny nauki, z których każda ma określony przedmiot poznania.

wą rozwija się, by budować alternatywę wobec istniejącej teorii, czyli tworzyć kolejną, nową, lepszą w zakresie zdolności wyjaśniania<sup>13</sup>.

W każdym razie podstawowym uzbrojeniem umysłu uczonego zawsze jest poddawana krytyce teoria, zaś warunkiem jej istnienia jest wiedza na temat przedmiotu poznania. Natomiast uzbrojeniem umysłu polityka i w ogóle człowieka zaangażowanego w politykę (jak i w działalność religijną) jest doktryna będąca wykładnią ortodoksji, której broni się do końca, ponieważ działa się z powołania odnoszącego się do podstaw egzystencji stron konfliktu, tworząc zarówno sekty, kościoły, jak i proste kółka różańcowe czy podstawowe komórki partyjne, gdzie jedynie recytuje się ustalone formuły wiary w nadziei przetrwania czy odniesienia sukcesu. Tu nie ma miejsca na myślenie. Liczy się wiara, czyli wierność ortodoksji, gdyż ona inicjuje i umacnia uczucie powołania, a więc pozwala działać w imię racji nadrzędnych. Gdy pojawiają się wątpliwości, nie prowadzą one do myślenia, ale owocują intuicyjnymi działaniami określanymi uczuciami. Nowe idee, poza bardzo rzadkimi przypadkami głębokiej kontestacji ortodoksji, wyrastają nie z debaty, nie z analizy, ale z uczuć przeżywanych przez organizm w efekcie jego położenia w społeczeństwie. Przede wszystkim w kontekście lokalizowanych zagrożeń i szans, z którymi związany jest strach i łączą się nadzieje.

Wszystko to wynika z ewolucyjnie ukształtowanej natury człowieka<sup>14</sup>. W zachowaniach ludzi, zwłaszcza zbiorowych, uczucia nadziei i strachu odgrywają kluczową rolę. Do tego stopnia, że wpływa to nie tylko na wiarę, ale także na myślenie uczonych na uniwersytetach. Nie są one izolowanymi wyspami inkubacji teorii, ale ośrodkami funkcjonującymi w środowisku stymulującym lub hamującym ich działalność. Dlatego w pewnych okresach uniwersytety mogą tracić swoją podstawową funkcję i nawet obecnie wspierają pseudonaukę, jak ma to miejsce w Stanach Zjednoczonych, gdzie na uniwersytetach zaczęto promować przeciwieństwo teorii naukowych, czyli doktryny feminizmu, pseudoteorii stosunków międzynarodowych, zderzenia cywilizacji, świata jednobiegunowego czy końca historii. W Stanach Zjednoczonych niektóre środowiska uniwersyteckie zaczęły wspierać imperialne ambicje mocarstwa w krótkim okresie jego triumfu po upadku Związku Radzieckiego. Ich dorobek jest epizodem w historii światowej pseudonauki.

To, co polityczne staje się przedmiotem rozważań ujawniających w kolejnych hipotezach nie bezpośrednio (gdyż celem poznania początkowo nie jest wiedza o specyficznym zjednoczeniu ludzi, jakim jest agregacja wyłoniona celem powołania wyobrażonego porządku wielkiej przestrzeni), tylko poprzez formułowanie idei o jego genezie, statusie i przeznaczeniu, aby nie jawiło się ono jako przypad-

13 Jak to pokazał K. Popper w *Logice odkrycia naukowego* (Warszawa 1977, s. 29–52).

14 Popularne wprowadzenie: S. Pinker, *Tabula rasa. Spory o naturę ludzką*, Gdańsk 2005.



kowe. Na dodatek to, co polityczne długo nie jest przedmiotem refleksji systematycznej, tylko wrywkowej, która koncentruje się na zjawiskach politycznych szczególnie rzucających się w oczy, jak polityk, władza polityczna, działanie polityczne (nazwane „polityką”), państwo, partia, dyplomacja czy wojna. Tym bardziej, kiedy myśl jest politycznie zaangażowana i ukierunkowana na artykulację interesów.

Opisana tu refleksja, doktrynalna, całkowicie polityczna, nierzadko dość przypadkowa i mało konsekwentna, oparta na przeżyciach i uczuciach, nie ma nic wspólnego z nauką w dzisiejszym rozumieniu tego terminu. Gdy nazywamy ją „teorią”, mamy do czynienia z potocznym użyciem tego terminu. **Kto mówi o „teoriach politycznych”, nie rozumie, czym jest teoria i jest nieświadomy, że przedmiotem jego rozważań jest zupełnie inny typ wiedzy ludzkiej, mianowicie doktryna polityczna.** Arystoteles i Platon nie byli ani teoretykami, ani politologami, podobnie jak Niccolo Machiavelli, Thomas Hobbes, John Locke i Edmund Burke. Oni nieco wykraczali poza proste instynkty, ponad uczuciową artykulację interesów, wznosili się ponad wiedzę potoczną, ale jednak przede wszystkim odczuwali ważne interesy polityczne i je artykułowali. Ich myśl nie była naukowa, lecz polityczna, miała charakter filozofii politycznej, ponieważ impulsem do jej tworzenia nie była chęć odpowiedzi na pytanie, jak jest, tylko odpowiedzi na pytanie, jak ma być w kontekście interesów zjednoczeń ludzi, panujących lub walczących o panowanie.

Jednak na gruncie wiedzy formułowanej przez ludzi typu Machiavellego, Hobbesa, Locke’a i Burke’a równocześnie powoli rodziły się pierwsze idee wyjaśniające, przede wszystkim to, co najbardziej rzucało się w oczy i pobudzało do stawiania wnikliwych pytań. Czyli pytań o to, czym są natura ludzka, polityka, państwo i władza. One, nierzadko formułowane powierzchownie i pobudzające do odpowiedzi mało odległych od wiedzy potocznej, mogły i nadal mogą być impulsem do głębszej refleksji, stawiającej sobie za cel już nie wizje i twierdzenia normatywne (najchętniej rozwijane przez wielkich filozofów), ale wyjaśnianie tylko po to, by poznać i zrozumieć (wszystkie pozostałe czynności są wobec nich wtórne), jak to jest w fizyce, chemii, astronomii i w naukach przyrodniczych. Politologia nie może posługiwać się metodami tych nauk, nie znaczy jednak, że jej teoria, a tym samym i ona, nie mogą być budowane na wzorcu teoretycznym wymienionych wyżej nauk.

Pierwszym efektem nowego podejścia, zbudowanego na gruncie przekonania o jedności podstaw wszelkiej nauki, będzie rozróżnienie wiedzy opartej na doktrynach od wiedzy sformułowanej na gruncie teorii. Przecież **astronomia i nauki przyrodnicze, a nawet medycyna też wyrosły z buntu wobec doktryn.**

O ile stosunkowo łatwo wykroczyć poza politykę (przynajmniej początkowo – ponieważ potem rodzi się opór światopoglądowy), badając zjawiska fizyczne i chemiczne, a także kosmiczne, o wiele trudniej dokonać tego w odniesieniu do fenomenów społecznych, w szczególności zaś politycznych. Tutaj zaangażowane są intensywne, masowe uczucia, które kierują myślenie na tory nie czystego poznania, lecz zmuszają do wysiłku mającego na celu ustalenie, jak ludzie powinni żyć. Zbiorowości zaangażowane politycznie nie tylko działają razem, ale przede wszystkim myślą wedle tych samych schematów. Ich egzystencja związana jest z obroną i reprodukcją podstawowych wzorców określających postrzeganie świata i myślenie.

Dlatego naturalna i pierwsza jest refleksja normatywna. Teoria i nauka są o wiele późniejsze i rodzą się w bólach, co najłatwiej zaobserwować, studiując historię astronomii, zwłaszcza zaś osobiste losy Mikołaja Kopernika, Giordano Bruno, Galileusza i historię recepcji głoszonych przez nich poglądów. Niewiele mniej pouczające są dzieje biologii. W niej szczególnie interesujące są rozterki Darwina, który długo obawiał się ogłosić rezultaty własnych odkryć i uczynił to dopiero pod presją, gdy okazało się, że do takich samych ustaleń doszedł ktoś inny. Nie mało mówią o naturze ludzkiego poznania także losy „darwinizmu społecznego”, a potem problemu ewolucji społecznej, który był do tego stopnia nieufnie traktowany, że na pewnym uniwersytecie amerykańskim wykładającego go profesora, Edwarda O. Wilsona, z pogardą obrzucono jajkami.

Polityka wkracza wszędzie, gdzie może i porywa ludzi szczególnie łatwo, kiedy ujawniają się wielkie uczucia oraz chodzi o wyobrażenie podstaw egzystencji. Dlatego teoria polityki i politologia są niełatwe do uprawiania, lecz przecież nie trudniejsze od wielu innych dyscyplin nauki. Jednak najmniejsze uchybienia na gruncie refleksji politologicznej natychmiast spychają dyscyplinę na poziom potoczny lub doktrynalny i powodują zlekceważenie dorobku uczonych, którzy wcześniej pracowicie uwalniali ją z uwarunkowań myślenia ludowego i politycznych więzów.

Dlatego **nie istnieje trwale rozgraniczenie myśli potocznej, doktrynalnej i teoretycznej**, tym bardziej że pierwsza i druga nie zanika i nie jest zastępowana przez trzecią. Jak teoria odrywa się od doktryny, tak potem łatwo słabnie i obraca się w wiedzę, której fundamentem jest obrona ortodoksji. Proces ten może nasilać się do tego stopnia, że nauka obrócona w doktrynę schodzi na poziom wiedzy potocznej, nią się posługuje i na niej opiera. Z tym obecnie mamy do czynienia w polskiej politologii. **Uprawianie nauki to między innymi proces ciągłego zmagania z rzecznikami wiedzy doktrynalnej i potocznej.**

Uprawianie nauki zawsze jest czynnością społeczną i podlega determinantom związanym z kształtowaniem się stosunków społecznych, obyczajów, dogmatów

i kontrolą zachowań. Także na uniwersytecie, który jest powołany do rozwoju nauki, ale nierzadko powstają w jego ramach kręgi zajmujące się kopiowaniem myśli kolegów i zacieraniem śladów działalności odkrywców. Likwiduje się nawet pamięć o tych, którzy próbowali tworzyć podstawy dyscypliny nauki o dużym potencjale rozwojowym. Tylko dlatego, by funkcjonować na uniwersytecie małym kosztem, bez wysiłku związanego z prowadzeniem rzetelnych badań, a nawet aspirować do rangi mistrza.

Teoria polityki jest zakorzeniona w dokonaniach normatywnych, z trudem i powoli wyłania się z nich, lecz sama w sobie nie ma nic, co łączyłoby się z projektowaniem świata lub określaniem powinności, tym bardziej zaś formułowaniem praw i przewidywaniem przyszłości. **Politologia, jeśli ma być nauką, nie może formułować instrukcji ani dla polityków, ani dla zwykłych ludzi. Jeśli jakiś politolog to czyni, oznacza tylko, że zarzucił działalność naukową i poddał się myśleniu doktrynalnemu lub potocznemu.** Kiedy tego nie rozumie, grozi mu przeobrażenie w „politologa”, czyli kogoś, kto określa swą tożsamość nie przemyśleniami na temat przedmiotu poznania, ale wyłącznie uznanym terminem. On jest politologiem z nazwy.

Podkreślmy jeszcze raz: droga politologii do dojrzałości faktycznie jest podobna do dróg innych dziedzin ludzkiej refleksji nad światem. Przecież dzisiejsza wiedza o pochodzeniu Ziemi i jej miejscu w kosmosie wyłaniała się z myśli potocznej, a potem z teologii i ostatecznie ukształtowała w efekcie zerwania z nimi. Tak stała się możliwa astronomia. Tą samą drogą idą nauki społeczne, w tym politologia, tylko ona jest dłuższa i bardziej kręta. Poruszanie się po niej polega na oddzieleniu refleksji opisującej i wyjaśniającej od codziennej i normatywnej, czyli uzasadniającej realizację funkcji życiowych, projektującej ludzkie społeczeństwo i egzystencję w nim człowieka.

**Politologia może stać się nauką wyłącznie wtedy, kiedy zerwie z myśleniem zwykłego człowieka, z normatywną refleksją religijną i polityczną, czyli z teologią, a przede wszystkim z doktrynami politycznymi i ideologiami politycznymi.**

Teoria polityki kształtuje się w znaczeniu naukowym, gdy język i refleksja odchodzą od praktyki formułowania idei o charakterze potocznym i normatywnym, zarówno od prostego języka codziennego dyskursu publicznego, jak i wyrefinowanego języka traktatów z zakresu filozofii politycznej, podejmując jednocześnie zadania opisowe i wyjaśniające. One wcale nie są oczywiste, codzienne, ponieważ dobór naturalny tak ukształtował ludzki umysł, że ten bardziej interesuje się stanami pożądanymi aniżeli istniejącymi. Zwykłym człowiekiem rządzą interesy określone właściwościami ciała i uczucie nadziei przeżywane przez umysł

(modyfikowane strachem). Dlatego ten organ preferuje powielanie kosztem odważnych hipotez, wykraczających poza utarte schematy myślenia.

Rzeczywistość nie jest tym, co fascynuje nasz umysł, interpretujący świat w kategoriach interesów przenoszącego go ciała. Ono ma przetrwać i pozostać po sobie potomstwo, dlatego prowadzący go umysł koncentruje się na stanach pożądanych i tak kieruje ciałem, by organizm, wedle jego kryteriów, poprawiał swoje szanse na drodze do kolejnych celów. Powstanie, ukształtowanie się i upowszechnienie umysłu mogło mieć miejsce tylko w efekcie tego, że organizmy w niego wyposażone podnosiły swój wynik reprodukcyjny<sup>15</sup>.

Dlatego refleksja naukowa, oparta na budowaniu podejrzeń, stawianiu problemów celem wyjaśniania rzeczywistości, nie jest czymś naturalnym i łatwo się upowszechniającym. Wymaga dojrzałości i odwagi, ponieważ podważa istniejące przesady, wierzenia, wizje, a przede wszystkim uderza w marzenia i interesy ludzi. Tylko tak mogą być jednak formułowane oryginalne problemy. Karierowicze i niedojrzali idą inną drogą. Gubią oni dotychczasowy dorobek nauki i powracają do refleksji potocznej. Ich celem bowiem nie jest poznanie, tylko symulowanie pracy badawczej i łatwa kariera.

Niemalą podejrzliwych oddało życie za swoje myśli. Prawdziwy badacz często, a może nawet zawsze budzi w swoim otoczeniu przekonanie, że jest dziwakiem, gdyż jego twierdzenia wykraczają poza ustalone dogmaty i dopiero po pewnym czasie mogą zostać zrozumiane. Właśnie dlatego jest badaczem, czyli człowiekiem zdolnym sprawdzać podejrzania. Wszyscy inni nazywający się „naukowcami” zwykle kopiują jego dokonania. Tylko nieliczni je rozwijają jako uczniowie, także borykając się z oporem środowiska rozumującego wedle starych pewników.

Rozwijanie teorii zjawisk politycznych coraz bardziej ujawniających swoją obecność w świadomości ludzi polega na tworzeniu hipotez pozwalających uchwycić istotę zespołów obiektów politycznych, uchodzących za znaczące i z tego względu dostrzeganych w postaci problemów – zagadnień, z którymi zmagają się ludzki umysł. Przedstawia się je nie językiem potocznym, codziennym, medialnym, także nie prezentuje się językiem postulatycznym, normatywnym, ale możliwie coraz bardziej neutralnym, opisowym, a potem abstrakcyjnym, pozwalającym wyjaśniać, a więc rozumieć sens owych zjawisk. Tak właśnie kształtują się podstawy politologii, jako jednej z nauk społecznych, dysponującej własnym przedmiotem poznania. Ma ona angażować nie uczucia i emocje, ale wywoływać podejrzliwość, krytycyzm, pobudzać do poszukiwań nowego, opisywać i wyjaśniać.

15 S. Pinker, *Jak działa umysł*, Warszawa 2002; A. Damasio, *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, Poznań 1999 i inne prace tego autora.

Proces ten jest długi, złożony i trudny. Powolny, chociaż coraz szybszy. Z racji uwikłania w dramatyczne konflikty dotyczące egzystencji wielkich ludzkich zbiorowości może nawet w pewnych wydaniach spektakularny, gdy łączy się z losami takich postaci, jak Hobbes, Tocqueville czy Schmitt, głęboko uwikłanych w przemiany społeczne związane z destabilizacją całych społeczeństw. W istocie wszyscy myśliciele, którzy cokolwiek powiedzieli nam na temat tego, co polityczne, od Platona poczynając, kształtowali swoje przypuszczenia w warunkach mniej lub bardziej dramatycznej rywalizacji społecznej, gdy załamywał się dotychczasowy porządek i rodził nowy ład.

Początki myśli stopniowo wyłaniającej się w postaci elementów składowych teorii polityki, określającej horyzont poznawczy badaczy wykraczających poza problematykę potoczną i narzucaną przez język polityczny, faktycznie sięgają starożytności, jednak okresów znacznie bardziej odległych w czasie aniżeli epoki klasycznej, gdy powstawały dzieła Arystotelesa i Platona. Ich treść tylko w niewielkim stopniu jest nam dostępna, na przykład za pośrednictwem kamiennych inskrypcji władców egipskich i rywalizujących o porządek przestrzeni Mezopotamii. Takie idee są głęboko związane z poszukiwaniem sensu ludzkiej egzystencji, zapędami normatywnymi, interesami, ale i klasyfikacjami oraz wyjaśnieniami.

Nie można jednak autorów dawnych idei uważać za pierwszych politologów, tym bardziej teoretyków, ponieważ **są nimi tylko ci, którzy mają świadomość uprawianej dyscypliny i tworzą spójny system twierdzeń wyjaśniających jej przedmiot poznania.** Inni myśliciele czy badacze należą do mniej lub bardziej odległych prekursorów, formułujących pytania i próbujących udzielić na nie odpowiedzi. Oni inspirują, wskazując co jest ważne. Ich dzieło, sprowadzające się do twierdzeń przyciągających uwagę, podejrzeń, wskazówek, ale pozbawione systematycznej analizy przedmiotu badań, nie może być przedstawiane dowolnie, poddawane egzegezie wedle aktualnych interesów, zgodnie z rytuałami cytowania obowiązującymi w literaturze symulującej badania naukowe. Dorobek takich autorów musi być zawsze rozumiany w kontekście epoki – jeśli mamy do czynienia z nauką. Pierwszymi politologami nie byli więc ani starożytni, ani nawet nowożytni myśliciele. Politologia jest dyscypliną nauki, której korzenie nie sięgają poza XX w.

Kiedy pomija się uwarunkowania czasu, odwołuje do idei sprzed setek lub nawet tysięcy lat, by podbudować jakąś wizję, **dochodzi do przypisywania dawnym traktatom czy wypowiedziom znaczeń naukowo nieuprawnionych, gdyż nieobecnych za życia autorów.** Takie przypisywane *ex post* znaczenia są oczywiście dopuszczalne i nieuchronne w religijnej i politycznej refleksji normatywnej, która ma swoje cele, niezmiennie związane z artykulacją interesów. W nauce nie można jednak naśladować takich czynności. Tutaj przedmiotem dociekań jest obiektywny byt, a więc wypowiedzi z przeszłości związane z interesami wpraw-

dzie mogą i muszą się pojawiać, także jako inspiracje, lecz należy je badać wyłącznie historycznie i w postaci problemów. Nie można też bezkrytycznie powielać, interpretować i inkorporować w obręb teorii **z racji autorytetu osób je wypowiadających, czy tylko dlatego, że ukształtował się zwyczaj ich cytowania**. Gdy tak się postępuje, nauka obraca się w swoją imitację lub przekształca w doktrynę. Przykładem takiej dziwacznej atrapy jest obecnie teoria stosunków międzynarodowych, oparta na kopiowaniu dość przypadkowego katalogu idei, którym przypisuje się znaczenie, jakiego one faktycznie nie posiadały w czasach, kiedy żyli ich twórcy. One faktycznie i dzisiaj takiego znaczenia nie mają. Próbuje się im jedynie przypisywać sens czy wymowę odpowiadające wzorcom myślenia współczesności<sup>16</sup>.

Czym innym jest tworzenie zrębów doktryny politycznej, gdy idee wyrastają żywo w społeczeństwie w funkcjonalnej zależności od interesów i nie ma znaczenia weryfikacja twierdzeń przy pomocy specjalnych procedur, prowadzona pod kątem tego, na ile ich treść jest zgodna z rzeczywistością. Doktryny wynikają z uczuć przeżywanych przez ludzki umysł w specyficznych sytuacjach egzystencjalnych. Ich „prawdziwość” i rangę określa się w walce o przetrwanie i zwycięstwo, a nie w gabinetach uczonych. Gdy porywają ludzi, zyskują nośność społeczną i podlegają reprodukcji. Tutaj liczy się nie zdolność wyjaśniania rzeczywistości, ale siła perswazji i mobilizacji.

Nauka jest czymś zupełnie innym. Opiera się ona na procedurach formułowania hipotez. Jej fundamentem są przypuszczenia i odrzucenia<sup>17</sup>. Ponieważ badania hipotez pod kątem zgodności z rzeczywistością okazują się niewystarczające z racji ograniczeń ludzkiego umysłu, ostatecznie idzie o ustalenie ewentualnej przewagi konkretnej teorii w wyjaśnianiu w stosunku do teorii konkurencyjnych<sup>18</sup>. **Podstawą jest tutaj świadomość przedmiotu poznania**. Celem nie jest bowiem wyjaśnianie zjawisk czy obiektów dowolnych, ale tych, które uznaje się za ważne i czyni przedmiotem systematycznych dociekań przez pokolenia, a nawet dziesiątki czy setki pokoleń. Nauka nie jest dziełem jednego badacza, nawet najbardziej wnikliwego i oryginalnego. Stanowi zawsze efekt wysiłku badaczy działających w czasie życia wielu generacji. By mogli komunikować się i rozumieć, co robią, muszą znać przedmiot poznania. Dlatego **w nauce nic nie zastąpi erudycji, efektem jej dojrzewania, rozwoju jest debata nad przedmiotem poznania, a sporów naukowych nie da się rozstrzygnąć w sądzie**. Obecnie, w czasach ekspansji pseudonauki, wielu profesorów nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie może więc dziwić, że politycy nie rozumieją, czym jest uniwersytet.

16 J. Czaputowicz, *Teorie stosunków międzynarodowych. Krytyka i systematyzacja*, Warszawa 2007; A. Gałganek, *Historia teorii stosunków międzynarodowych*, Warszawa 2009.

17 K. Popper, *Nauka: domysły i refutacje*, (w:) *idem, Droga do wiedzy. Domysły i refutacje*, Warszawa 1999, s. 61–107.

18 K. Popper, *Logika odkrycia...*, *op. cit.*, s. 53–79.

Nośność społeczna, moda, popularność, tak dzisiaj cenione w środowisku uniwersyteckim zgodnie z wzorcami amerykańskimi, utrudniają, a nawet uniemożliwiają refleksję naukową. Gra uczuć, skłonność do formułowania wizji, instrukcji musi być odkrywana i eliminowana przez procedury badawcze. Tak myśl potoczna zostaje zweryfikowana i kształtują się twierdzenia składające się na wiedzę naukową, która istnieje tylko wtedy, gdy ludzie dysponują teorią określającą jej przedmiot poznania. Wiedza na ten temat podlega ciągłemu sprawdzaniu. Kiedy teorię buduje się drogą powielania poglądów myślicieli epok minionych, powstaje wyłącznie jej imitacja, czyli pseudoteoria, która faktycznie jest efektem kopiowania doktryn, a nawet wiedzy potocznej. Podstawą tej pseudonauki jest naśladownictwo, tak chętnie uprawiane przez zwykłych ludzi.

Poważniejsze hipotezy na temat istoty zjawisk politycznych i ich miejsca w ramach zjawisk społecznych zaczęły coraz częściej pojawiać się dopiero po rewolucji francuskiej. Głównie w pracach Alexisa de Tocqueville, Maxa Webera, Hermanna Hellera i Carla Schmitta. Dyskusyjna, a nawet wątpliwa jest rola na przykład takich myślicieli, jak John Locke, John Stuart Mill i Karol Marks. Ich podejrzania w kwestii władzy, ideologii, roli kapitału, znaczenia masowych ruchów społecznych, emancypacji i innych, mogły inspirować do badań. Jednak Locke, Mill i Marks byli przede wszystkim, a może nawet prawie w całości doktrynerami, ponieważ rozumieli naturę ludzką w sposób swoisty. Nie badali jej cech, ale ją gloryfikowali. Ich myślenie opierało się na uczuciach, dlatego postrzegali funkcjonowanie człowieka przede wszystkim w kontekście charakterystycznego dla niego uczucia nadziei i koncentrowali się na kreowaniu wizji pożądanego modelu ładu społecznego, zdolnego sprostać tym nadziejom. Locke, Mill i Marks nie pytali o naturę człowieka, tylko przeżywali ją i ujawniali w marzeniach, które stały się fundamentem świeckiej ortodoksji politycznej.

Te same trudności pojawiały się u innych myślicieli, którzy je jednak próbowali przezwyciężyć. Rozwój krytycznej refleksji nad tym, co polityczne był związany z pytaniami o naturę człowieka, specyfikę stosunków społecznych, istotę państwa i polityki. Trwało to wszystko dość długo i rozwijało się powoli. Rozważania Tocqueville'a, Webera, Hellera i Schmitta nad naturą ludzką też były w ogromnej mierze oparte na uczuciach, ale szły w kierunku, który pozwalał więcej zrozumieć aniżeli naiwny optymizm liberałów i socjalistów.

Kolejne spostrzeżenia, podejrzania, problemy, skojarzenia stopniowo przychodziły do głowy poszczególnym osobom i stawały się przedmiotem dyskusji. Na przykład, kiedy Hannah Arendt przedstawiła tezę o banalności zła<sup>19</sup>, wywołu-

---

19 H. Arendt, *Eichmann w Jerozolimie*, Kraków 1987.

jąc wielką debatę na ten temat<sup>20</sup>. Dzięki badaniom empirycznym<sup>21</sup> zrozumieliśmy nie tylko, czym charakteryzuje się natura ludzka, ale pojęliśmy znaczenie odważnej tezy filozofki, której rozgłos przyniosły zupełnie inne twierdzenia, związane z marzeniami o wolnym społeczeństwie. W praktyce bowiem debata także w demokracji zwykle miała charakter mało podobny do debaty naukowej lub w ogóle była pozbawiona jakiegokolwiek odniesienia w tej perspektywie, gdy spory i rozstrzygnięcia określały interesy lub była efektem dezorientacji zrodzonej nadziejami, a nawet, typowo amerykańskim, redukcjonistycznym podejściem do analizy zjawisk społecznych<sup>22</sup>.

W końcu także otwarcie postawiono utajone dotychczas pytanie (pojawiające się nieświadomie co najmniej od epoki klasycznej starożytnej Grecji) o to, co polityczne, gdy język debaty publicznej coraz bardziej dawał do myślenia na ten trudny temat, gdy pojawiała się uczucie potrzeby wykroczenia poza projekty roztaczane przez polityków i związanych z nimi wizjonerów. Jednak koncepcje czy idee wymienionych autorów zawierają co najwyżej mało spójne elementy teorii wyjaśniającej zjawiska polityczne. Być może pierwszy system teorii polityki stworzył dopiero Bertrand de Jouvenel<sup>23</sup>, jeśli za teorię uznać zespół abstrakcyjnych twierdzeń formułowanych celem wyjaśniania przedmiotu uznanego za wart poznania. Weber bardziej pokazywał społeczne korzenie zjawisk politycznych, pewne podejrzenia, uwikłanie idei i teorii, błędy metodologiczne, aniżeli sformułował twierdzenia wyjaśniające, tym bardziej zdolne przemawiać do czytelnika<sup>24</sup>. W przypadku Schmitta teoria tego, co polityczne wyłaniała się na gruncie doktryny konserwatywnej, zbudowanej na fundamencie decyzyzmu, czyli anachronicznej wizji porządku utrzymywanego przez suwerena<sup>25</sup>.

Jouvenel rozwinął podejrzenia Tocqueville'a. Pokazał mechanizm zmiany społecznej w powiązaniu z naturą ludzką i funkcjonowaniem sieci stosunków społecznych, wyjaśniając, że rewolucje nie służą osłabianiu władzy. One obalają władzę, która znalazła się w fazie rozpadu i nie jest w stanie zaspokoić oczekiwań

20 J. Robinson, *And the crooked shall be made straight. The Eichmann trial, the Jewish catastrophe and Hannah Arendt's narrative*, New York 1965; *Die Kontroverse. Hannah Arendt, Eichmann und die Juden*, München 1964.

21 S. Milgram, *Posłuszeństwo wobec autorytetu*. Kraków 2008; P. Zimbardo: *Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?* Warszawa 2008; S. Pinker, *Tabula rasa...*, op. cit.

22 Przykładem takiej dezorientacji jest myśl Harolda Lasswella (*Politics. Who gets what, when, how*. New York 1936) i Roberta Dahla, który podejmował rozważania nad podstawowymi problemami politologii bez rozważenia specyfiki zjawisk politycznych (R. Dahl, B. Stinebrickner: *Współczesna analiza polityczna*. Warszawa 2007).

23 Jest to z pewnością kwestia dyskusyjna, ale jego *The pure theory of politics* (Cambridge 1963) jest pierwszym systematycznym wykładem tego, co można uznać za teorię polityki, zwłaszcza kiedy czyta się ją w kontekście wydanej w 1945 r. książki *On power. Its nature and the history of its growth* (Boston 1962).

24 Między innymi w wykładzie *Polityka jako zawód i powołanie* (idem, *Polityka jako zawód i powołanie*, Kraków 1998, s. 55–110)

25 Niektóre kwestie szerzej: R. Skarżyński, *W poszukiwaniu istoty polityki i tego, co polityczne. Tomasz Mann, Max Weber, Carl Schmidt i Hannah Arendt pomiędzy emocjami, marzeniami i poczuciem rzeczywistości. „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2010, vol. XXXII, s. 7–30.*



mas ludzkich, którymi kierują nie tylko wielkie nadzieje, ale przede wszystkim proste dążenie do przetrwania. Dlatego władza polityczna nie jest prostym efektem podziału na rządzących i rządzonych, ale skutkiem mobilizacji zbiorowości do postaci zjednoczeń rywalizujących pomiędzy sobą o zasoby. Prawomocność władzy nie jest określona przez boga. Przesądzają o niej ludzkie uczucia. Oznacza to, że zwykli ludzie nie pragną wolności, ale oczekują bezpieczeństwa. W okresie destabilizacji społecznych układów sił z łatwością porzuca dotychczas prawowicie panujących, gdy tylko pojawi się ktoś, kto wzbudzi większe nadzieje w zakresie działań pozwalających przywrócić bezpieczeństwo.

W każdym razie **proces powolnego oddzielania refleksji opisowej i wyjaśniającej od normatywnej ma kluczowe znaczenie dla politologii, gdyż określa jej horyzont poznawczy**. Z jednej strony przedmiot poznania i metodę, z drugiej zaś krąg autorów, którzy wnieśli wkład do kształtowania tego nowego spojrzenia na świat, skoncentrowanego na tym, co polityczne, pokazującego, jak ono istnieje w ramach tego, co społeczne.

Tak ujawniające się nam dzieło umysłów wnikliwych dalekie jest od ukończenia. Praca właściwie dopiero się zaczyna, ale cel jest coraz bardziej wyraźny: poznanie tego, co polityczne i wyjaśnienie, jak określa ono życie ludzi. Przecież to, co polityczne nie jest wieczne, tylko wyłoniło się na konkretnym etapie ewolucji gatunku ludzkiego. Ma też ogromne znaczenie dla jego funkcjonowania.

**Dopiero refleksja naukowa pokazuje, że przedmiotem poznania politologii nie jest sama polityka, gdyż jest ona jednym ze zjawisk politycznych. Dlatego nie można mówić, że politologia jest tym samym, co nauki polityczne czy nauka o polityce.** Refleksja potoczna i doktrynalna spycha politologów na margines uniwersytetu, kiedy tracą świadomość własnego przedmiotu poznania i zdaje im się, w fazie kompletnej dezorientacji, że politologia może istnieć jako „nauka interdyscyplinarna”.

#### 4. Pierwsi teoretycy polityki w Polsce

W naszym kraju teoria polityki kształtowała się podobnie jak na świecie, tylko ze znacznym opóźnieniem, a rozwój jej był nad wyraz skromny<sup>26</sup>. Polska myśl polityczna pewnie sięga okresu początków państwowości (nie ma bowiem pań-

26 Tak samo było z politologią. Twierdzenie Marcelego Kosmana, że początki polskiej politologii sięgają XVI w., można z powodzeniem włożyć między bajki (*Polityka – historia – politologia*, (w:) *idem* (red.), *Na obrzeżach polityki*, t. III, Poznań 2002, s. 129). Przykład tego badacza, który w środowisku politologów utracił podstawy rzetelnego warsztatu badawczego historyka, formułuje nieuzasadnione twierdzenia i inspirowane innych do ich powielania (zob. B. Pasierb, *Politologia historyczna jako tradycyjna dyscyplina naukowa*, *ibidem*, t. VII, Poznań 2009, s. 8–31), skłaniać musi do refleksji, jak bardzo destrukcyjna jest atmosfera panująca na uniwersyteckich wydziałach politologii w Polsce.

stwowości bez wizji, a ona jest zawsze zbudowana z idei), jednak poważne problemy typu istoty państwa czy polityki nie były tu przedmiotem jakiegokolwiek debaty. W Polsce nie było stabilnego życia publicznego. Stosunki były niejasne, oparte na policentrycznym systemie pozbawionych wizji patronów i wyjątkowo biednych klientów, uginających się pod ciężarem przesądów. Króla sprowadzano z zagranicy i do świadomości elit nie mogła przebić się prosta myśl, że w oparciu o takie reguły gry długo nie przetrwa jakiegokolwiek państwo. Nie tylko w chłopskich chatkach, ale na dworach najznamienitszych magnatów dominowała niebywała ignorancja i prywata.

Dlatego w Polsce instytucje publiczne były rachityczne, a społeczeństwo coraz słabiej artykułowało własne interesy, stając się przedmiotem gry obcych mocarstw. Tradycja bezmyślnego naśladowania wzorów zagranicznych ma tu historię sięgającą setek lat. Rzeczpospolita Obojga Narodów opierała się na polityce, która niejednokrotnie bardziej przypominała szarpaninę w warunkach anarchii (tak też uchwalono Konstytucję 3 Maja) aniżeli porządek nowoczesnej monarchii.

Wprawdzie Polacy ofiarnie walczyli o co tylko się dało i ginęli w całej Europie, ale mało kto myślał o celach, tym bardziej tych osiągalnych. Trudno było o to, gdy refleksja polityczna miała charakter szczątkowy. Dlatego Polacy wyspecjalizowali się w angażowaniu w konflikty, których nie rozumieli. Było to efektem daleko posuniętej ignorancji politycznej. Kolejne powstania i czyny zbrojne, nie od kościuszkowskiego, ale co najmniej od słynnej bitwy z Turkami pod Wiedniem, po skrajnie nieodpowiedzialne, nieomal przypominające Somosierrę przedsięwzięcie irackie, są tego niepodważalnym dowodem. Beneficjentami tych czynów były obce rządy. Polakom pozostawała gorycz, której genezy nie umiano wyjaśnić. A przecież zawsze chodziło o to, że brak dojrzałej refleksji politycznej, a potem teoretycznej, obezwładniał myślenie i w aktach rozpacz, niezrozumienia własnego położenia prowadził do tego, że Polacy nie mieli własnej polityki i łatwo stawali się środkiem polityki mocarstw: Rosji, Prus, Austrii, Napoleona i Stanów Zjednoczonych. Trzeba cokolwiek rozumieć z historii i polityki, by uświadomić sobie kontinuum polskiej polityki od „wiktorii” wiedeńskiej po współczesną „misję” w Afganistanie. W kwestii politycznych zdolności Polaków jasno i trafnie wypowiadał się już car Piotr Wielki.

Dlatego zarówno II jak i III Rzeczpospolita mogą być oceniane jako efekt zmagania Polaków o suwerenność wyłącznie w tym sensie, że narażali życie, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi w konfliktach. W kwestii powołania państwa i jego funkcjonowania zawsze najwięcej do powiedzenia miały obce mocarstwa i stan ten trwa do dzisiaj. Polska zależność od obcych mocarstw ujawniła się ostatnio nie tylko w operacjach wojskowych w Iranie i Afganistanie. Przede wszystkim była widoczna w braku dyskusji nad sensem angażowania się w pozbawione szans powodzenia przedsięwzięcia, a także idei wdzięczności wobec Amerykanów, którzy

jakoby zawsze starali się pomóc Polakom. Takie twierdzenia jak najgorzej świadczą o naszej myśli politycznej i elitach narodu, niezdolnych rozpoznać układy sił i towarzyszące im interesy<sup>27</sup>. Łączy się z tym wszystkim niejasne i złudne przeswiadczenie o znaczącej pozycji narodu polskiego wśród narodów świata.

W efekcie utrzymującego się uzależnienia od obcych potęg polska myśl polityczna była bardzo mizernej jakości, okresy jej rozwoju rzadkie, a sama czynność myślenia politycznego najczęściej ograniczała się do kopiowania zagranicznych wzorów i argumentowania pod dyktando obcych. Jeśli zbadamy polskie myślenie polityczne od 1989 r., czyli w okresie istnienia szczególnie sprzyjającego naszemu krajowi środowiska międzynarodowego, z łatwością dojdziemy do wniosku, że w sposób niewolniczy kształtowało się ono pod dyktando Waszyngtonu. Nie tylko artykuły w gazetach, ale nawet podręczniki pisane przez czołowych profesorów uniwersyteckich wydziałów politologii do dzisiaj w liczących się sprawach powielają treści dostarczane przez ośrodek imperialny<sup>28</sup>. Natomiast tam, gdzie ich brak, nadal spokojnie kopiuje się dawne wzory radzieckie, jak to ma miejsce na gruncie teorii polityki. Oryginalnej myśli prawie nie ma i nikt nie odczuwa potrzeby jej rozwijania. Takie jest dziedzictwo przeszłości, które obecnie promuje teorioignorantów i ideokopiarki.

Zalążki świadomej refleksji nad polityką określanej mianem „teorii” są luźno związane z myślą prawniczą XIX i XX w.<sup>29</sup> Polską politologię, w warunkach słabości socjologii i stosunkowo wysokiej świadomości metodologicznej historyków nieskorych szukać sobie dodatkowego zajęcia, które mogłoby być poddane w wątpliwość przez własnych kolegów, kształtowali ludzie z uniwersyteckich wydziałów prawa: teoretycy państwa i prawa oraz historycy doktryn politycznych i prawnych. Tutaj przecież istniała stara tradycja badań nad państwem, którą traktowano jako punkt wyjścia do rozważań nad polityką. Zbiegło się to w czasie z dominacją oficjalnej doktryny PRL, czyli z panowaniem marksizmu-leninizmu. Dopiero wtedy zaczęła wyłaniać się myśl, określana mianem „teorii polityki”, w niesprzyjających warunkach kopiowania materializmu historycznego, czyli w układzie sił odznaczającym się przewagą rozumujących w granicach obowiązującej doktryny.

27 Szczególny wyraz uzależnienia to, przy braku krytycznej refleksji, znalazło wyraz w tekstach byłego ministra spraw zagranicznych profesora Adama Rotfelda, w których kopiuje on wizje i oceny amerykańskie (*Polska w niepewnym świecie*, Warszawa 2006).

28 Współczesna polska internacjologia została w znacznej mierze oparta na amerykańskiej wizji świata jednobiegunowego, którą studentom serwuje się w podręcznikach międzynarodowych stosunków politycznych. Zob. szerzej w 23 rozdziale niniejszej książki.

29 Pierwsze tzw. Katedry Polityki czy Katedry Umiejętności Politycznych nie miały żadnego związku z tym, co się rozumie przez naukę, tym bardziej zaś teorię. (D. Malec, J. Malec, *Z dziejów Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mikołaja Moroza Hoszowskiego (1778–1828) starania o Katedrę Umiejętności Politycznych*, (w:) M. Mikołajczyk i inni (red.), *O prawie i jego dziejach księgi dwie. Studia ofiarowane profesorowi Adamowi Lityńskiemu w czterdziestopięciolecie pracy naukowej i siedemdziesięciolecie urodzin*, Białystok 2010, s. 729–737). Były one związane z funkcjonowaniem państwa i jego instytucji, czyli faktycznie z rządzeniem.

We wstępnej fazie rozwoju refleksji nad polityką można wyodrębnić nurt ortodoksyjny, reprezentowany głównie przez ekonomistę Artura Bodnara<sup>30</sup>, absolwenta jednej z uczelni leningradzkich, wieloletniego pracownika Sekretariatu Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej w Moskwie i jego ucznia, młodego Mirosława Karwata<sup>31</sup>, zaangażowanego autora licznych publikacji, jeszcze w czasach późnego Gierka wspierającego morale członków partii<sup>32</sup>, później ofiarnie kontynuującego to ambitne zadanie.

Karwat był zarówno autorem broszurek szkoleniowych Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu–Leninizmu (WUML)<sup>33</sup>, jak i głosów w dyskusji nad celami partyjnych zjazdów<sup>34</sup>. Wszystkie jego ówczesne teksty wyróżniały się niewzruszoną wiernością marksizmowi<sup>35</sup>. Dzisiaj można je uznać za pierwszy cykl publikacji późniejszego profesora Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, który nigdy nie uwolnił się od ich treści, a przede wszystkim właściwego im przesłania. Do czołowych postaci tego kręgu należał między innymi obiecujący metodolog Tadeusz Klementewicz<sup>36</sup>. Sprawiał on wówczas wrażenie zaangażowanego w poważne spory naukowe. Już po upadku komunizmu obronił pracę habilitacyjną, niezbyt wprawdzie erudycyjną, ale rozprawa ta mogła stać się punktem wyjścia do tworzenia metodologii politologii w sensie dyscypliny nauki<sup>37</sup>. Bliższy Karwatowi był Bohdan Kaczmarek, ceniony wówczas popularyzator wiedzy wykładanej na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu–Leninizmu<sup>38</sup>. Młody absolwent studiów politologicznych, w 1987 r. pod kierunkiem socjologa Bronisława Gołębińskiego obronił pracę doktorską noszącą wymowny tytuł *Przesłanki przewodniej roli partii komunistycznej w socjalistycznym systemie politycznym: próba analizy teoretycznej*.

Łatwo dostrzec, że zwłaszcza Karwat i Kaczmarek nie dostrzegali procesów społecznych przebiegających na ich oczach lub nie rozumieli ich znaczenia i konsekwencji. Gdyby cokolwiek z nich pojmowali, nie zaangażowaliby się po stronie odchodzącej ideologii i partii. Pamiętam, że przynajmniej nieliczni inni dok-

30 A Bodnar, *Polityka i ekonomika. Podstawowe zależności*, Warszawa 1978; *idem*, *Decyzje polityczne. Elementy teorii*, Warszawa 1985.

31 Doktorat, *Interpretacja humanistyczna działań politycznych*, napisał pod kierunkiem Bodnara i obronił go w 1977 r.

32 M. Karwat, *Teoria działacza, czyli załącznik do prakseologii*, Warszawa 1979 (Seria: Materiały Szkoleniowe dla Aktywu SZSP).

33 *Idem*, *O przewodniej i kierowniczej roli partii*, Warszawa 1987 (Redakcja Publikacji Wydziału Ideologicznego KC PZPR, Biblioteka Lektora i Wykładowcy, nr 20/87).

34 Np. M. Karwat, W. Milanowski, *Ciągłość i zmiana w partii*, Warszawa 1985; *idem*, *idem*, *Co konieczne i co możliwe*, Warszawa 1988.

35 Np. M. Karwat, *Podmiotowość polityczna. Humanistyczna interpretacja polityki w marksizmie*, Warszawa 1980.

36 Doktorował się w 1982 r. pod kierunkiem Bodnara na podstawie pracy *Uzasadnienie decyzji politycznych*.

37 T. Klementewicz, *Spór o model metodologiczny nauki o polityce*, Warszawa 1991.

38 B. Kaczmarek, *Klasy i walka klas*, Warszawa 1985 (tę liczącą 38 stron broszurę opublikowało wydawnictwo Książka i Wiedza w instruktażowej serii „Podstawy Marksizmu–Leninizmu” – na polecenie Redakcji Publikacji Wydziału Ideologicznego KC PZPR).

toranci i pracownicy Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego w latach osiemdziesiątych doskonale zdawali sobie sprawę z faktu nieuchronnego końca systemu. Karwat i Kaczmarek nie byli oportunistami, karierowiczami, lecz ideowcami nieakceptującymi zachodzących przeobrażeń. Dowodem są pozostawione przez nich teksty, gdzie jednoznacznie opowiadali się po stronie komunizmu.

Cechy ideowca, jak sam mogłem zaobserwować, szczególnie przejawiał Karwat i ich świadectwem pozostaje dzisiaj całkiem pokaźna liczba publikacji o naprawie partii komunistycznej oraz tekstów szkoleniowych przydatnych na WUML-u. W 1987 r. z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy udzielał słuchaczom partyjnej „uczelni” instrukcji, jak utrzymać zdolność bojową partii marksistowsko-leninowskiej. Swoje wywody kończył wyznaniem żarliwej wiary, ujętym następującymi słowami: „Jeśli trafnie zrozumiemy istotę mechanizmów przewodniej i kierowniczej roli partii oraz swoistość i zmienność historyczną okoliczności i sposobów jej urzeczywistnienia, charakter obiektywnego zapotrzebowania na przewodnią i kierowniczą rolę partii, to wtedy potrafimy również zdobyć się na trafną diagnozę stanu i stopnia efektywności tego mechanizmu w dotychczasowych warunkach, na prawidłowe i precyzyjne sformułowanie zadań praktycznych. Oby tak się stało, oby potwierdziło się stwierdzenie, że <<nie ma nic bardziej praktycznego niż dobra teoria>>”<sup>39</sup>.

Powyższa wypowiedź jest wyznaniem świeckiej wiary, stanowiącej efekt przeżywanych nadziei, której towarzyszy typowe pustostlowie, kreowane celem zaklęcia rzeczywistości przez wyznawcę doktryny, gdy odczuwa on obcość świata i koncentruje się na powtarzaniu haseł przypadających do gustu towarzyszom dzielącym wspólny los. W praktyce tak kształtował się wzorzec powtarzanych dzisiaj mantr w kierowanym obecnie przez Karwata Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki. Ich początki, jeśli chodzi o formę, sięgają retoryki popularnej w szeregach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i praktykowanej przez lata na WUML-u. Zwieńczenie pokazuję i analizuję w dalszej części tej książki.

Nie powołanie do badań naukowych, ale zaangażowanie polityczne określiło także treść doktoratu i habilitacji Karwata, całkowicie poświęconych kopiowaniu schematów myślowych marksizmu. Pasję reformatora i przywiązanie do tej doktryny, którą powieliła się w postaci prostych formułek, aby tworzyć instrukcje, widać do ostatniej publikacji profesora. Przekazał on ją własnym doktorantom. Wszystko to bez prób konfrontacji z innymi nurtami myśli społecznej i politycznej, bez chęci zapoznania się z ich dorobkiem. Dyskusja, wymiana myśli, recepcja tego, co obce, hipotezy, debata, weryfikacja, nigdy nie były nie tylko mocną stroną kręgów skupionych wokół Bodnara i Karwata. One tutaj w ogóle nie mogły się

39 M. Karwat, *O przewodniej i kierowniczej...*, op. cit., s. 29.

pojawić. Dominowała wierność ortodoksji, dokładnie w stylu specyficznej kultury wumłowskiej, gdzie powtarzano magiczne formuły, także celem niedopuszczenia do kontaktu z obcymi ideami, pojmowanymi jako produkt wroga. Wszystko to było bowiem dziełem nie oportunisty, karierowicza, ale ideowca.

Ideowcy rzadko pojawiają się w schyłkowych fazach upadających reżimów politycznych. Wtedy wśród młodych, spragnionych szybkiej kariery dominują zmierzający do tego, by być tylko po właściwej stronie. Tutaj było inaczej. Ideowcy otwarcie stanęli w obronie partii, w którą wierzyli. Wyniesiona ze studiów wiedza, nie naukowa, uniwersytecka, ale doktrynalna, całkowicie w stylu wumłowskim miała ogromny udział w podejmowaniu decyzji, które dzisiaj budzą zadumę i współczucie. Zwłaszcza wzruszenie wywołuje dorobek Bohdana Kaczmarka. Młody absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych nie wahał się poświęcić egzegezie idei przewodniej roli partii komunistycznej w czasie, gdy nawet ludzie mało wnikliwi, bez studiów politologicznych, a nawet w ogóle bez studiów, zdawali sobie sprawę z tego, że ona już dawno się skończyła. Po upadku starego reżimu młodemu absolwentowi politologii pozostał tylko wstydlivy dorobek w zakresie kopiowania doktryny partii komunistycznej.

Wszystkie te wydarzenia, warto dodatkowo podkreślić, miały miejsce nie na jakiejś prowincjonalnej uczelni, ale na Uniwersytecie Warszawskim. Tutaj kształtowały się główne trendy polskiej politologii. W ogniu walki, który z łatwością palił jej podstawy. W atmosferze rewolucji, ale także w oparach ideologii powtarzanej w formie mantr na szkoleniach Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu–Leninizmu.

Nurt ortodoksyjny nie tylko trzymał się ściśle marksizmu<sup>40</sup>, ale był nastawiony wręcz hermetycznie. Z powodu swoich politycznych koneksji ludzie zgrupowani wokół Bodnara dominowali w środowisku ówczesnych badaczy zajmujących się naukami politycznymi. Tak się jednak uzależnili duchowo od marksizmu, że żaden z nich po przełomie 1989 r. nie próbował nawet przyswoić sobie podstawowych osiągnięć politologii światowej. Ich publikacje dowodzą utrzymującej się izolacji, którą rzadko próbowano przezwyciężyć, powierzchownie powołując się na niemarksistowskie autorytety. W ten sposób na Uniwersytecie Warszawskim stara, peerelowska politologia przetrwała w znakomitym stanie. Jeśli obecnie zaczyna się gubić i pękać, to tylko w efekcie własnej nieporadności, ujawniającej

40 Do reprezentantów tego nurtu należy też pewnie zaliczyć J. Wiatra. Jego socjologia (*Socjologia stosunków politycznych*, Warszawa 1978) była bardziej teorią. Pisał on: „Socjologiczna teoria polityki – którą w tych rozważaniach nazywam socjologią polityczną – jest przede wszystkim teorią władzy politycznej” (wyd. III, Warszawa 1980, s. 193). Wiatr próbował, opisując i starając się nieco wyjaśnić zjawiska polityczne, czerpać inspiracje z prac „burżuazyjnych”, jednak jego teksty były demonstracją marksistowskiego zaangażowania i opierają się na terminologii marksistowskiej. Taka jest też teoria władzy, która nie może być podstawą politologii. Na temat wnikliwości Wiatra i jego ówczesnej zdolności oceny zjawisk szczególnie dużo informacji dostarcza książka *Kapitalizm. Zmierzch formacji* (Warszawa 1976). Trzeba jednak podkreślić, że zdawał on sobie sprawę z tego, czym jest dyscyplina nauki i jakie znaczenie ma określenie jej przedmiotu.

się niepotrzebnymi książkami i chowem wsobnym kolejnej generacji pseudoteoretyków, pozbawionych elementarnej znajomości teorii wiedzy i dorobku politologii – nawet tego ukształtowanego na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Gdyby Karwat, Klementewicz i Kaczmarek przyswoili sobie przynajmniej coś z dorobku Karla Poppera, a także Franciszka Ryszki, z pewnością nie wystawiliby się dzisiaj na nieuchronną i łatwą krytykę. Po prostu dawno zaprzestaliby publikowania tekstów niespełniających elementarnych wymogów uniwersytetu.

Z tym obozem nieśmiało konkurował nurt poszukujący, reprezentowany przez Franciszka Ryszkę<sup>41</sup> i Marka Sobolewskiego<sup>42</sup>, odnoszący się do marksizmu i z nim koegzystujący, ale otwarty na inne szkoły teoretyczne, nazywane wówczas burżuazyjnymi. Niewielka rola przypadła tutaj Kazimierzowi Opałkowi, który sam nie badał zjawisk politycznych, ale ograniczał się do wytyczania linii myślenia w ramach nowej dyscypliny, korzystając ze swojej erudycji prawniczej<sup>43</sup>.

Nie jestem znawcą dokonań Bodnara, ale nawet pobieżna lektura jego tekstów dowodzi, że nic z nich nie pozostało twórczego, gdyż nie zawierały żadnej oryginalnej myśli. Bodnar raczej powtarzał tezy zasłyszane od kogoś. Warto jednak pokreślić, że chociaż kopiował liczne nonsensy z racji swojej wierności ideologii, czasem reprodukował też nośne, a nawet ważne twierdzenia.

Przynajmniej jedno zdanie utrwaliło się w świadomości współczesnych teoretyków polityki do tego stopnia, że tworzy najczęściej powtarzaną przez nich obecnie formułę: „[...] polityka stanowi szczególnie skomplikowany obiekt badawczy”<sup>44</sup>. Ten slogan, automatycznie, by nie rzec bezmyślnie reprodukowany w pracach mało zorientowanych we własnej dyscyplinie politologów, razi i skłania do krytycznej refleksji, podobnie jak obecnie modna i powtarzana do znudzenia teza, że teoria polityki jest *in statu nascendi* albo że brak jednolitego poglądu na jakiś problem. Takie właśnie myśli upowszechniał Bodnar i za nim powtarzali jego uczniowie. W III Rzeczypospolitej przepisywało je w swoich pracach wielu politologów młodszej generacji, którzy nie znali Bodnara i pewnie nie czytali jego prac. Możemy tu obserwować siłę przekazu szeptanego.

Tymczasem wszystkie powyższe tezy są fałszywe. Teoria polityki zajmuje się niełatwym, ale nie jakimś szczególnie skomplikowanym przedmiotem (czyżże on jest wobec problemu początku wszechświata czy mechanizmów dziedzi-

41 F. Ryszka, *Wstęp do nauki o polityce (rozważania metodologiczne)*. Warszawa 1978; *idem*, *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*, Warszawa 1984.

42 M. Sobolewski, *Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego*. Warszawa 1974; *idem*, *Podstawy teorii państwa*, Kraków 1986.

43 K. Opałek, *Zagadnienia teorii prawa i teorii polityki*. Warszawa 1986; *idem* (red.), *Metodologiczne i teoretyczne problemy nauk politycznych*, Warszawa 1975.

44 A. Bodnar, *Status metodologiczny teorii polityki*, (w:) K. Opałek (red.), *Elementy teorii polityki*, Warszawa 1989, s. 15.

czenia w procesie reprodukcji życia) i dysponuje zasobem wiedzy, który pozwala wytyczyć horyzont poznawczy dojrzałej dyscypliny. Problem w tym, że politolodzy nie mają o tym wszystkim pojęcia, gdyż w zasadzie nie istnieje społeczne zapotrzebowanie na teorie mające wyjaśniać zjawiska polityczne. Oczekuje się natomiast prostych wizji i doktryn nadających się do wykorzystania w aktach mobilizacji politycznej, w Polsce służących demonstrowaniu zależności wobec obcych mocarstw i podkreślających wyjątkową pozycję, wielkość narodu polskiego wśród narodów świata. Nie tylko doświadczenia zimnej wojny, ale także ostatniego dwudziestolecia potwierdzają tę tezę. Przecież najbardziej nagłośnione w III Rzeczypospolitej „teorie” zawsze były tylko próbami wykazania specyficznej roli w świecie imperialnej potęgi Stanów Zjednoczonych. Dokładnie tak samo, jak kiedyś uzasadniano i sławiono wielkość Asyrii czy Rzymu, a w całkiem nieodległych czasach świetność Związku Radzieckiego. Trzeba tylko znać chociaż trochę historię, aby to zrozumieć.

Dzisiaj najwybitniejsi specjaliści na wydziałach politologii łamią sobie głowy nad tym, co stanie się po wycofaniu upadającego amerykańskiego kolosa na normalne pozycje, jednej z kilku potęg. Zdaje się, że nikt nie umie ani wyjaśnić mechanizmów rządzących tymi zjawiskami, ani ich sensu. A przecież one są stosunkowo proste, jeśli tylko nie powielią się dominujących ideologii, nie kopiuje analiz z Departamentu Stanu i chociaż trochę rozumie procesy historyczne, rozważając powyższe zmiany przez pryzmat teorii poliarchii. Trudno jednak o to, gdy brak znajomości teorii pozwalającej sformułować podstawy politologii jako dyscypliny nauki. Jeszcze trudniej, kiedy koledzy rozwijają jej atrapę, prowadząc myślenie na manowce wskutek reprodukcji wizji radzieckiej, a potem amerykańskiej.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku Bodnar, Karwat i otaczające ich kręgi poddały się myśli radzieckiej. Po upadku komunizmu materializm historyczny był reprodukowany z przyzwyczajenia, a obok niego powielano treści płynące z nowego ośrodka „hegemonicznej stabilności”, czyli z Waszyngtonu. Mało kto dostrzegał, że uleganie tym mechanizmom prowadzi do utraty słabo zaznaczającej się tożsamości politologów i promocji fałszywego twierdzenia, iż politologia nie jest dyscypliną nauki albo jest dyscypliną bez własnego przedmiotu poznania czy wreszcie, co jest już skrajnym nonsensem, jest „dyscypliną interdyscyplinarną”. Ostatecznie Bodnar i Karwat wiele zrobili, aby wpoić politologom skłonność do kopiowania tego, co napływa z zagranicy. Klementewicz i Kaczmarek im pracowicie pomagali. Ich wychowankowie mogli co najwyżej próbować zmienić kierunek. Karwata jednak nawet na to nie było stać. Pozostał skrytym wielbicielem marksizmu, wpajającym go swoim uczniom. Tak ukształtowała się ortodoksja polskiej teorii polityki, oparta na wzorcach radzieckich, która – pozbywszy



się otwartej retoryki marksistowskiej – reprodukuje się dzisiaj bez jakichkolwiek zmian<sup>45</sup>.

Myślenie Bodnara, pomimo całej jego płytkości, a nawet trywialności, charakteryzowało jednak poczucie konieczności określenia przedmiotu poznania politologii i przekonanie, że jest to możliwe. Profesor, być może pod wpływem prawników (gdyż trudno to inaczej wyjaśnić – biorąc pod uwagę jego erudycję, sam takich wniosków nie mógł sformułować), wskazywał przynajmniej na elementarnym poziomie na znaczenie refleksji nad przedmiotem poznania dla funkcjonowania dyscypliny naukowej. Bodnar roztropnie dowodził, że „[...] ogniwem teoretycznym nauki o polityce jest teoria podmiotowości politycznej”<sup>46</sup>. Jednak, przy dramatycznym braku erudycji, szybko się gubił i wtedy potrafił twierdzić, że „Nauka o polityce lub – ściślej – teoria polityki integruje różne teorie cząstkowe przez pryzmat teorii podmiotu polityki”<sup>47</sup>. Idea integracji przez politologię teorii cząstkowych była niewątpliwie efektem ignorancji w zakresie wiedzy z teorii nauki. Z ochotą powielali ją teoretycy polityki III Rzeczypospolitej.

Perspektywa spojrzenia od strony podmiotu politycznego została w środowisku Bodnara wytyczona trafnie. Problem w tym, iż rozwijana przez Bodnara i Karwata teoria podmiotowości politycznej była bardzo marnej jakości, zarówno jeśli chodzi o analizy socjologiczne, jak i od strony rozważań na temat tego, co czyni dany podmiot politycznym. O ile pierwszy element był obecny w jakiejś szczątkowej postaci, drugi zlekceważono niemal całkowicie<sup>48</sup>. Dzisiaj fakt ten określa myślenie polskich politologów do tego stopnia, że nie pozwala im zrozumieć, że jeśli wszystko uznaje się za polityczne, wówczas nic nie jest polityczne, a politologia nie ma racji bytu. Bodnar pozostawił wrażenie, jakby po części zdawał sobie z tego sprawę, jednak nie wpoił tej fundamentalnej tezy uczniom, ponieważ nie był świadomy jej znaczenia. Świadczy to, że raczej bezkrytycznie powielał twierdzenia przejęte od prawników.

Gdy dzisiaj czyta się rozważania Bodnara na temat działania politycznego, stosunku politycznego i podmiotu politycznego<sup>49</sup>, razi nie tylko ich powierzchowność, ale i sztuczność. Widać, że nie idzie tutaj o stawianie problemów i próby

45 Najbardziej znanym przykładem jest cytowana wyżej *Socjologia stosunków politycznych* J. Wiatra. W III Rzeczypospolitej wznowiono ją pod tytułem *Socjologia polityki* (Warszawa 1999, kolejne wznowienia 2002, 2009) po wyczyszczeniu z marksistowskiej retoryki.

46 A. Bodnar, *Status metodologiczny...*, op. cit., s. 21.

47 *Ibidem*, s. 21.

48 Czasem pojawiał się on nieświadomie: „Polityka należy do szczególnie złożonych zjawisk społecznych. Dane zjawisko społeczne odniesiemy do sfery polityki, a zatem powiemy, iż jest ono zjawiskiem politycznym, jeśli wyróżnia się dwiema następującymi właściwościami: po pierwsze – jeśli ma kontekst makrospołeczny, czyli – ściślej – jest związane z wielkimi grupami ludzi, zgodnie z określeniem Lenina, który do grup tych zaliczał klasy społeczne; po drugie – jeśli ma ono kontekst ideologiczny, czyli cechę wartościowości ze względu na potrzeby i interesy wielkich grup społecznych” (A. Bodnar, O. Cetwiński, *Rola teorii wyjaśniającej w nauce o polityce*, (w:) K. Opalek (red.), *Elementy teorii...*, op. cit., s. 28).

49 A. Bodnar, *Decyzje polityczne...*, op. cit., s. 95–105 i 174–242.

ich rozwiązania, ale o wierność oficjalnej doktrynie i symulowanie czynności badawczych, polegające na powielaniu przede wszystkim tez filozofów i socjologów marksistowskich. Dlatego można było wtedy nawet uznawać badania zjawisk politycznych za możliwe tylko na gruncie naukowego komunizmu<sup>50</sup>. Dzisiaj to stanowisko wydaje się komiczne. Jednak w istocie jest ono typowo polskie. Podejście bodnarowskie, charakterystyczne dla całego kręgu uczniów twórcy Centralnego Ośrodka Metodycznego Studiów Nauk Politycznych, a potem Instytutu Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk, znakomicie mieści się w narodowej tradycji niewolniczego kopiowania wzorców zagranicznych.

Podobne wrażenie powstaje podczas lektury *Podmiotowości politycznej* Karwata, autora sprawnie operującego terminologią, jednak tylko w odniesieniu do kwestii, do których opisu i analizy odczuwa on powołanie. Jeśli posłużymy się cisnącą się na usta metaforą, Karwat w tej książce pomachiwał marksistowskimi komunałami jak osiemnastowieczny szlachcic szabelką. Nie wiadomo po co, ale długo i wytrwale, gdy stosunki społeczne, w jakich się wychował i żył, miały się już wyraźnie ku końcowi. Karwat posługiwał się terminologią uniemożliwiającą wyjaśnienie i zrozumienie czegokolwiek. Wierzył w nią jak szlachcic w szabelkę. Na dodatek zamykał się w wąskim kręgu lektur, które jednoznacznie dowodzą braku znajomości horyzontu poznawczego politologa. Uczyniło to młodego aktywistę obojętnym na problem przedmiotu politologii, wystawiając jednocześnie na penetrację trywialnych prac polskich marksistów. Wszystko to było widoczne już w okresie powstania Solidarności i stanu wojennego, ale Karwat tak mocno ideowo przeniknął marksizmem<sup>51</sup>, że nie zdołał się od niego wyzwolić nawet w warunkach demokracji. Dzisiaj marksizm coraz odważniej wpaja swoim uczniom.

Żaden fragment tekstów ucznia Bodnara pewnie bardziej nie ujawnia, jak prowincjonalny, czyli niszowy, zamknięty i egzegetyczny charakter miała jego młodzięcza praca (bo o refleksji, czyli o przemyśleniu przedmiotu badań nie sposób w ogóle mówić) aniżeli poniższy. „Cechą charakterystyczną podejścia metodologicznego wypracowanego w nauce o polityce jest więc aktywistyczne ujęcie polityki. Dodajmy tutaj, iż specyfiką nauki o polityce (i teorii polityki) jest nie tylko ujęcie aktywistyczne, ale i humanistyczne. Aktywistyczne ujęcie polityki polega na rozpatrywaniu zjawisk i procesów politycznych w kategoriach działań ludzkich, zwłaszcza działań świadomych i celowych; ujęcie humanistyczne oznacza w konkretyzacji coś więcej: wyjaśnianie działań politycznych w kategoriach racjonalności. Cechą specyficzną humanistyki jest bowiem racjonalizowanie działań ludzkich”<sup>52</sup>. Tak Karwat rozumował od czasów swojego doktoratu i takie po-

50 A. Bodnar, W. Pianowski, *Miejsce nauki o polityce w naukowym komunizmie*, (w:) K. Opalek (red.), *Metodologiczne i teoretyczne problemy nauk politycznych*, Warszawa 1975, s. 466.

51 Ciekawym dokumentem jest książka M. Karwata, *Odnowiciele* (Warszawa 1984).

52 M. Karwat, *Podmiotowość polityczna...*, op. cit., s. 11.

dejscie jest obecne w jego ostatnich publikacjach. Kontynuuje je najwybitniejszy uczeń warszawskiego profesora, Filip Pierzchalski. W mojej ocenie jest to ortodoksyjny marksizm, w stylu kodyfikacji leninowskich i stalinowskich. Jest to też marksizm typowy dla kultury wumłowskiej, gdzie recytuje się formułki i unika rzeczywistej dyskusji z myślącymi inaczej.

Nie chodzi tu tyle o pustosłowie, charakterystyczne dla autora głęboko przeżywającego swoje zadanie, ile przede wszystkim o to, że myślenie Karwata od czasów młodości po ostatnią niefortunną pracę na temat akredytacji, tragicznie rozmija się z tendencjami dominującymi w nauce światowej. Ta bowiem coraz lepiej dowodzi, że ludzkie działania nie mogą być interpretowane w kategoriach racjonalności i rozumności. Te pojęcia należą do przebrzmiałego katalogu terminów przeszłości, przydatnych w zmaganiach rywalizujących ze sobą obozów politycznych, z których każdy chciał uzasadnić słuszność swoich racji, przekonując, jak bardzo jest rozumny i racjonalny. Tymczasem od pewnego już czasu ludzkie myślenie interpretowane jest w kategoriach ewolucyjnie wyłonionych skłonności umysłu, wizji, dążeń i budowanych dla niego usprawiedliwień, gdy towarzyszy im przeżywanie uczuć i wyrażanie emocji, a zachowaniami sterują iluzje<sup>53</sup>.

Takie rozminięcie z trendami nauki światowej nastąpiło chyba nieprzypadkowo. Po pierwsze, Karwat poszedł w młodości na skróty, pozwalając sobie na proste powielanie wzorców myślowych marksizmu i postaw ludzi radzieckich. Nie starał się poznać tradycji teoretycznej politologii zachodniej, lecz chciał być za wszelką cenę wierny dominującej ortodoksji i partii. Jego prace dowodzą, że czytał tylko literaturę uchodzącą za prawomyślną, której przytoczenie nie pozwoli sformułować nawet najbardziej skromnego zarzutu rewizjonizmu. W końcu okazało się, że autentyczne poznawcze zaangażowanie przerastało możliwości intelektualne mistrza i ucznia. Obu brak było erudycji. Dlatego siły skupiano na wierności prawomyślnym poglądom, by przetrwać.

Prace Bodnara i młodego Karwata tworzą „marksistowską teorię polityki”. Oni sami tak ją określali, nieświadomi, że nie ma to nic wspólnego z nauką w sensie poznania rzeczywistości. Nie zdawali sobie sprawy, iż to, co produkują, jest faktycznie wyłącznie kopiowaniem materializmu historycznego. Mówienie o „teorii” było efektem swoistej ignorancji, braku świadomości, czym powielanie doktryny, porządkowanie jej w mantry różni się od nauki<sup>54</sup>. Jednak w tamtych czasach był to dominujący standard – tak ludzi idących na skróty, by utrzymać się na ścieżce kariery, jak i ideowców czerpiących energię z wierności partyjnej ortodoksji. O demarkacji wiedzy nikt z nich nie miał pojęcia.

53 Szerzej piszę na ten temat poniżej, szczególnie w rozdziale 11.

54 Karwat tak samo pisał o teorii w broszurach szkoleniowych WUML-a (*O przewodniej i kierowniczej... op. cit.*, s. 3 i 29) i w pracach, którym starał się nadać status naukowy.

Marxizm uchodził w tych kręgach za synonim nauki i ta tendencja do dzisiaj nie zanikła. Produkcja Bodnara i młodego Karwata mieściła się w ramach radzieckiego kanonu naukowości tamtych czasów. Dzisiaj pozostał bagaż, który ciąży i uniemożliwia dokonanie czegokolwiek twórczego. **Utracono z oczu nawet ten jeden problem, który Bodnar uwypuklał, a mianowicie zagadnienia przedmiotu badań, skupiając się na kopiowaniu podstawowych dogmatów.** Zagadnienie przedmiotu poznania dyscypliny przypadło gdzieś bez śladu, prawdopodobnie okazało się bowiem zbyt trudne do poważnego rozważenia. W warunkach demokracji łatwiej było pójść drogą na skróty, czyli wrócić do wiedzy potocznej, aniżeli zajmować przedmiotem poznania politologii. Kopiowanie ogranicza się do powielania nie dorobku Bodnara, ale obumarłego marksizmu i dochodzi nawet do tego, że pod kierunkiem Karwata powstaje praca doktorska będąca już nie egzegezą idei Marksa, ale samego promotora<sup>55</sup>.

Czy tak kształtuje się nowa szkoła, a może dyscyplina wiedzy? Nie – wykładowcy uniwersyteccy trzymają się wypróbowanych szlaków przetartych w czasach kariery partyjnej i działalności na Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu–Leninizmu. Jest to typowe dla polskiej tradycji: kopiowanie dominujących wzorów zagranicznych, prowincjonalne zamknięcie i powtarzanie mantr we własnym gronie, bez oglądania się na to, co dzieje się aktualnie na świecie nie w zakresie dominujących doktryn, ale ich naukowej kontestacji. Tak nasi szlacheccy pradiadowie doprowadzili do upadku Polskę, eliminując zdolność samodzielnego myślenia politycznego (w efekcie czego zdeorientowani żołnierze polscy ginęli na całym świecie, służąc obcym interesom), a teraz Karwat, działając w ramach pradawnych wzorców, przewodzi w procesach rujnowania zarodków dorobku polskiej politologii. On, jako kierownik warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, zamiast rozwijać osiągnięcia autentycznych mistrzów ze swojego dawnego wydziału, spycha w otchłań zapomnienia dorobek tych profesorów, którzy w czasach komunistycznej dyktatury próbowali myśleć autonomicznie.

Twórczość Ryszki i Sobolewskiego poszła inną drogą. Czerpali oni bez zahamowań z tradycyjnej i wyrafinowanej przedwojennej prawniczej szkoły naukowej, reprezentowanej przez Konstantego Grzybowskiego, znawcę problematyki demokracji zachodnich i autora erudycyjnej książki o państwie<sup>56</sup>, która w połowie XX w. z powodzeniem mogła pobudzać do myślenia w kategoriach wykraczających poza tradycyjną formalistyczną wykładnię prawniczą. Dlatego pozostawiony przez Sobolewskiego i Ryszkę dorobek cechuje się wyraźną dozą samodzielności. Ujawnia się ona, przy nieuchronnej wówczas pewnej zależności wobec perspektywy prawniczej i marksistowskiej, w poszukiwaniu własnych dróg myślenia, obcych Bodnarowi i młodemu Karwatowi. Szlacheckiej tępoty nie ma tu za grosz.

55 F. Pierzchalski, *Podmiotowość polityczna...*, op. cit., szczególnie s. 61–72.

56 K. Grzybowski, *Nauka o państwie*, Kraków 1949.

W życiu Sobolewskiego i Ryszki nie małą rolę odegrała szczególna cecha Grzybowskiego, który był wnikliwym i krytycznym recenzentem prac kolegów. Jego szkoła była wolna od wazelinarstwa czy sekciarstwa. Tutaj coś podobnego nie mogło się wyłonić z racji cech mistrza. Liczyły się poszukiwania, inspiracje, wnikliwość, zdolność przemyślenia, erudycja i krytyka. Nawet czasem przesadzona i niesprawiedliwa, do jakiej potrafił posuwać się Ryszka. Wokół Bodnara coś takiego nie istniało. Krótco zagościłem na jego seminarium w ostatnich miesiącach funkcjonowania Instytutu Nauk Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Dominowała na nim atmosfera jedności i bicia piany celem ukrycia własnej ignorancji. Uczestnicy spotkań mówili, co im przyszło do głowy, powoływali się na autorów, których prac nigdy nie czytali. Wszystko to nie miało żadnego naukowego sensu, poza dążeniem do przetrwania. Przetrwiała przede wszystkim skłonność do powtarzania utartych formułek i cytowania publikacji, których nigdy nie miało się w rękach. No i oczywiście wierność marksizmowi, w efekcie zmian społecznych zepchniętemu do podświadomości. Nikt z tych ludzi nie tylko nie pokusił się o krytykę marksizmu, ale nawet nie posunął się do recepcji myśli niemarksistowskiej.

Ryszka w dziedzinie teorii polityki nie miał zdolnych uczniów. Odnosiłem wrażenie, że mało kto go wówczas rozumiał. Może nawet nikt go nie rozumiał, a przytakiwano mu z racji autorytetu, jakim cieszył się poza kręgami politologów (bo w kręgu środowiska bodnarowskiego jego status był wątpliwy). Natomiast niektórzy uczniowie Bodnara tworzą zwarty związek i nadają dzisiaj ton myśleniu politologów nie tylko w Warszawie, ale w całej Polsce. Nie dlatego, że ich twierdzenia szeroko się aprobuje, ale ponieważ ich publikacje nie tylko nie są krytykowane, ale nawet oceniane na marginesie publikacji politologicznych. Jednak pewne tezy z książek uczniów Bodnara, którzy faktycznie zapomnieli, co głosił ich mistrz w kwestii podstaw politologii, przywołuje się za pośrednictwem przekazu szeptanego. Polska politologia nigdy nie rozliczyła się z dziedzictwem Bodnara i to po dziś dzień kładzie się na niej cieniem.

Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, wbrew opinii Klementewicza<sup>57</sup>, nie jest ośrodkiem uczniów Jana Baszkiewicza. Szkoła Bodnara nie tylko nie zanikła, ale jej bezpośrednią kontynuację znajdujemy obecnie w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki kierowanym przez Karwata. Płynące stąd poglądy wpływami deklasują oddziaływanie uczniów Ryszki i Baszkiewicza. W zasadzie nie ma w tym niczego dziwnego, poza faktem, że jednostka organizacyjna istnieje dwadzieścia lat po upadku komunizmu i w warunkach demokracji coraz bardziej dynamicznie kontynuuje dorobek marksistowskiej ortodoksji. Wyłącznie ten najgorszy, negujący politologię jako dyscyplinę nauki, czyli

57 T. Klementewicz, *Rozumienie polityki...*, op. cit., s. 25.

rozwija to, czego sam Bodnar nie głosił. Także promując doktorów opiewających aktualność marksizmu i podejmujących egzegezę idei młodego Karwata (na podobieństwo Marksa). Jest to oczywiście skutkiem erudycyjnego bagażu najpłodniejszego ucznia Bodnara, który nawet w warunkach demokracji nie zdobył się na rewizjonizm, na głębszą lekturę prac Ryszki, ale uparcie trwa przy starym wyznaniu wiary. Tak oto w typowo polski sposób po raz kolejny triumfują najgorsze zwyczaje Rzeczypospolitej szlacheckiej. Niemalą rolę odgrywają w tym wszystkim także mechanizmy określające funkcjonowanie polskich uniwersytetów. One wyznaczają wpływowych, którymi okazali się kształceni na myśli radzieckiej. Z nimi próbują teraz rywalizować kopiści wizji amerykańskiej potęgi imperialnej. Miejsca na odkrywczę hipotezy i teorie jak nie było, tak nadal nie ma.

Ryszka niemalą czasu spędził w instytutach badawczych Niemiec i Francji. Był pasjonatem, dużo czytał i rozmyślał<sup>58</sup>, dlatego – pomimo niemalych trudności ze zdrowiem – nawet w podeszłym wieku wnikliwie zmagął się z podstawowymi problemami teorii polityki<sup>59</sup>. Podobnie kształtowała się aktywność przedwcześnie zmarłego Sobolewskiego, interpretującego zjawiska polityczne w kategoriach specyficznej więzi społecznej<sup>60</sup>. Okazuje się więc, że nawet w trudnych czasach dominacji na uniwersytetach obcej doktryny i skłonności do myślenia zależnego, możliwe było nie popadanie w pustostowie, nie zamykanie się w kręgu oficjalnej ortodoksji, nie przepisywanie z obcych książek, ale studiowanie Webera, Schmita i innych twórców teorii określających horyzont badań nad zjawiskami politycznymi. Możliwe było korzystanie z nauk Grzybowskiego, a nie schematów moskiewskich.

Politologiczna refleksja czasów PRL nie była ani szeroka, ani specjalnie wnikliwa. Kształtowali ją w zasadzie tylko Sobolewski i Ryszka, przy znikomym udziale Opalka. Jednak pozostał po niej dorobek, który obecnie może stanowić inspirację, zarówno w kontekście tego, czym politologia nie może być, jak i tego, czym ma być. Dlatego nie przekreślałbym też całkowicie dorobku Bodnara, ponieważ wskazywał on (może w efekcie kontaktów z Ryszką i Opalkiem) konieczność określenia politologii jako odrębnej dyscypliny nauki. Problem ten stracili z oczu jego uczniowie, kierując politologię na teoretyczne i metodologiczne manowce.

Warto przypomnieć pouczający głos Jana Woleńskiego, który – jako filozof niepodszycający się pod politologa i bez przemądrzałości charakterystycznej dzisiaj dla niektórych reprezentantów tej dziedziny wiedzy, którzy tak łatwo wno-

58 Sporą wiedzę o jego warsztacie i erudycji mogłem zdobyć, gdy wdowa Elżbieta Grabczak–Ryszkowa przekazała mi po śmierci Ryszki notatki i książki dotyczące Schmita.

59 F. Ryszka, *O pojęciu polityki*, Warszawa 1992. Zob. też prace zebrane w tomie: F. Ryszka, *Historia – polityka – państwo*, t. II, Toruń 2002.

60 M. Sobolewski, *Podstawy teorii państwa...*, *op. cit.*, s. 12–13.

szą wkład do psucia polskiej politologii – już w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku roztropnie wskazywał, że politologia jest ważną dyscypliną naukową. Autor nie posługiwał się w tym tekście wyrafinowanym językiem i wiele kwestii jest w nim wyrażonych mało precyzyjnie, ale fundamenty stanowiska dają się obecnie zrekonstruować.

Politologia ma, wedle Woleńskiego, swój przedmiot poznania w postaci zjawisk politycznych. Jednak nie jest podstawową nauką społeczną, gdyż ta ranga przypada socjologii, historii i ekonomii, ponieważ one odgrywają bardziej fundamentalną rolę w wyjaśnianiu. **Można więc zjawiska polityczne wyjaśniać w perspektywie ekonomii, socjologii i historii, ale politologia jest po to, aby ten przedmiot poznania pokazać w sposób kompleksowy, swoisty, przy pomocy owych nauk, a nie kopiowania ich stanowiska.** Oznacza to, że politologia nie jest jakimś melanzem nauk, skutkiem podejścia interdyscyplinarnego. Takie stanowisko jest **charakterystyczne dla początkowego etapu istnienia nauki zajmującej się ważnym przedmiotem** i wraz z jej rozwojem musi ustępować podejściu monistycznemu<sup>61</sup>.

Jakże znakomity głos w dyskusji! Jakże świeży, rozważny, mądry i inspirujący! Kto go jednak wówczas odczytał i pojął? Uczniowie Bodnara nie zrozumie-li Woleńskiego, wskazującego drogę samodzielną, wolną od reprodukcji obcych wzorców. Poszli oni w zupełnie innym kierunku. Jego symbolem może być książka Kaczmarka, który w 1979 r. z wyróżnieniem ukończył politologię na Uniwersytecie Warszawskim. Wydany w 2001 r. tom nosi tytuł *Organizacje. Polityka – władza – struktury* i dzisiaj okazuje się o tyle ciekawy, że człowiek uznany za wybitnego absolwenta warszawskich studiów politologicznych, reklamowanych jako najlepsze w kraju, już jako wykładowca Zakładu Filozofii i Teorii Polityki opiera się w swoich rozważaniach nie na inspiracjach politologów, ale teoretyków organizacji. Tych pierwszych w ogóle nie cytuje (przywołuje jedynie nielicznych prawników udających politologów), obficie streszczając twierdzenia specjalistów od problematyki organizacji. **Kaczmarek do tego stopnia ignoruje dorobek politologii, że wszystkim organizacjom społecznym przypisuje cechę polityczności.** Można bez wahania stwierdzić, że uznany za wybitnego absolwenta warszawskiej politologii, wieloletni wykładowca, także po obronie doktoratu, nie zna elementarnego dorobku światowej politologii, natomiast bezwiednie uległ wpływom nauki o organizacji<sup>62</sup>.

Lektura wzmiankowanej książki wywołuje uczucie współczucia. Oto mamy do czynienia ze skrajnie zagubionym absolwentem politologii, który nie wie,

61 J. Woleński, *Spór o status metodologiczny nauki o polityce*, (w:) K. Opalek (red.), *Metodologiczne i teoretyczne...*, op. cit., s. 32–57.

62 Inaczej doskonałby krytyki tradycji myśli politologicznej, rozprawił chociażby z Weberem i Schmittem, a może także Jouvenelem, Dahlem i Lasswelliem. Tego jednak próżno szukać w książce Kaczmarka.

czym się zajmuje. Odbiciem tego są już same tytuły tekstów autora. W nich głównie mamy do czynienia z „tymczasowymi uwagami o...”. On nie stawia jasno problemów badawczych, jakby nie wiedział, jak je formułować i tylko próbuje wokół nich krążyć. Kaczmarek nie jest też świadom, jako rzekomo wybitny absolwent studiów politologicznych, że istnieje horyzont poznawczy i dorobek politologii. Dlatego korzysta z inspiracji teoretyków organizacji. Czy aby nie jest to typowe dla absolwentów studiów politologicznych, którzy studiują, nie wiedząc, co jest przedmiotem poznania ich dyscypliny? Jeśli zagubił się Kaczmarek, to jak rozumieć mogą politologię ci absolwenci studiów politologicznych, którzy obecnie uczą się od teoretyków głoszących, że politologia nie ma przedmiotu poznania?

„Polityka – konkluduje Kaczmarek – jest więc tą sferą rzeczywistości społecznej, której istotą jest zapewnienie istnienia całości społecznych poprzez definiowanie celów, kryteriów i sposobów produkcji i dystrybucji zasobów służących zaspokojeniu potrzeb i interesów społecznych”<sup>63</sup>. „[...] każda organizacja jest też strukturą polityczną [...]”<sup>64</sup>. Gdyby jakiś nieco bardziej rozzagrabiony student politologii próbował na podstawie cytowanej książki odpowiedzieć na pytanie, co odróżnia korporację albo nawet małą firmę od partii politycznej, z pewnością doszedłby do wniosku, że nie ma pomiędzy nimi istotnej różnicy. Wedle Kaczmarka wszystko jest polityczne. Oto poziom refleksji postbodnarowskiej, warszawskiej szkoły teorii polityki. Jej reprezentanci nawet nie próbują określić, czym polityka odbiega od tego, co nie jest polityką, czym organizacja polityczna wyróżnia się wobec organizacji pozbawionej atrybutu polityczności.

Kaczmarek, przynajmniej pisząc książkę o organizacjach, nie rozumiał, że rozróżnienie organizacji politycznych i niepolitycznych to jeden z kluczowych problemów zarówno politologii, jak i nauki o organizacji. Tym bardziej nie pojmował i z pewnością nadal nie pojmuję, że jeśli wszystko uznajemy za polityczne (jak on uczynił w swoich *Organizacjach*), to nic nie jest polityczne, a więc nie można mówić ani o polityce, ani o polityczności. Cytowana książka Kaczmarka dowodzi, że nie dostrzega on różnicy pomiędzy fabryką i komitetem partii politycznej. Dla niego oba byty są polityczne, jak polityczne jest koło gospodyń wiejskich i funkcjonowanie warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki. Nawet ta placówka jest polityczna, ponieważ – wedle Kaczmarka – organizacje pozbawione cechy polityczności nie istnieją. Czy aby nie odnajdujemy tutaj wyraźnych wpływów rozumowania Lenina? Kaczmarek na trwałe dostał się pod wpływ duchowego ojca myśli radzieckiej?

63 B. Kaczmarek, *Organizacje. Polityka – władza – struktury*, Warszawa 2001, s. 174.

64 *Ibidem*, s. 295.



Polska teoria polityki przez ostatnie dwadzieścia lat nie rozwijała się w kierunku wskazanym przez Ryszkę i tak precyzyjnie określonym przez Woleńskiego. Mówiąc górnolotnymi słowami, wyraźnie zaczęło dominować stanowisko pluralistyczne, charakterystyczne dla wiedzy niedojrzałej, pozbawionej statusu naukowego, degenerującej się i powracającej do kultuwowania tradycji myślenia doktrynalnego, a nawet potocznego. W istocie poświęcono się biciu piany na dowolny temat, by zasłonić własną ignorancję. Na sztywno. W ten sposób skutecznie zepchnięto polską politologię na poziom wiedzy potocznej.

Jak twierdzi sam Karwat, prac teoretyków polityki nikt nie czyta<sup>65</sup>. Jednak ich idee są żywe, gdyż łatwo wpadają w ucho w efekcie powtarzania na konferencjach. Nie wymagają erudycji i wysiłku myślowego. Pozwalają na sprawne symulowanie badań naukowych. W ten sposób także ćwiczy się młodzież, asystentów miernych, ale wiernych, w zakresie czynności recytowania mantr na seminariach naukowych. Ostatecznie nikt nie oczekuje, aby formułki miały sens. Liczy się tylko czynność powtarzania, jak w jesziwie czy medresie. Do tego celu znakomicie nadają się pomysły wyłaniające się w warszawskim Zakładzie Teorii i Filozofii Polityki. Doktoranci z ochotą powielają treści wyznaczone przez zagubionych profesorów. Jest to przecież warunkiem przetrwania na uniwersytecie. O badaniach naukowych nikt nie myśli. Ta czynność stała się zbędna.

Ekspansja teorii polityki okazuje się obecnie prowadzić do wyraźnej rewolty wobec stanowiska zajmowanego przez Sobolewskiego, Opałka, w szczególności zaś Ryszkę, którego dorobkiem całkowicie wzgardzono. Ta wzgarda szczególnie razi i skłania do przypominania o niej, gdy obserwuję ją w Warszawie, na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, gdzie nie przećwiczeni w dogmatyzmie i posłuszeństwie przegrywają z wiernymi ortodoksji i nie mają nic do powiedzenia. Skutki wynikające z owej ekspansji są ogromne. Nie tylko na przykład bezmyślnie reprodukuje się wzorce amerykańskie, ale także przyjmuje prace habilitacyjne, które są zaprzeczeniem warsztatu naukowego, wpajanego niegdyś uczniom przez dawnych mistrzów wydziału.

Teoria polityki czerpie swoje wzorce ze schematów Bodnara<sup>66</sup> (pomijając to, co dzisiaj nadawałoby się jeszcze do przypomnienia) i młodego Karwata (obecnie pasującego się na myśliciela i klasyka), którzy już w latach siedemdziesiątych, szczególnie zaś osiemdziesiątych pracowicie zamykali polską politologię na wpływy zewnętrzne, na to, co można nazwać dorobkiem w ramach horyzontu poznawczego politologii. Wszelkimi siłami, propagując dogmatyczny marksizm, uniemożliwiali oni samodzielne myślenie. **Likwidując kolejne problemy badawcze (zwłaszcza zagadnienie przedmiotu poznania i statusu dyscypliny**

65 M. Karwat, *Metodologiczne przewartościowania...*, op. cit., s. 7.

66 Którego elementy antyteorii z ochotą się cytuje. W szczególności zaś pozbawioną jasności i ugruntowania koncepcję „pola polityki”.

politologii), przez głoszenie, że nie mają znaczenia lub są nierozwiązywalne, ten nurt zrujnował polską politologię, powodując wylanianie się coraz liczniejszej grupy politologów z nazwy, ograniczających się do czynności egzegezy dogmatów, niewolniczego kopiowania najbardziej nieudanych pomysłów ideologów zachodnich (najpierw kopiowano schematy radzieckie, potem automatycznie zmieniono kierunek na przeciwny), a nawet do zaprzeczenia, że politologia jest dyscypliną nauki.

Mówiąc o Ryszce, trzeba jedno podkreślić wyraźnie. Nie był tak dzisiaj często spotykaną na uniwersyteckich wydziałach politologii ideokopiarką<sup>67</sup>. Wszystko, co głosił, wcześniej przemyślał, gdyż nie tylko był zdolny do własnych ocen, ale nie wyobrażał sobie, że mógłby postępować inaczej. Ryszka promował zachodnie książki i idee, analizował nie tylko Schmitta, ale Herberta Marcusego, Quincy Wrighta czy Hermana Kahna. Nigdy jednak nie miał do nich stosunku nie tylko niewolniczego, ale nawet mało krytycznego. Ryszka nie przepisywał, nie kopiował i nie proponował bezmyślności. Wiem na ten temat sporo, gdyż z większością jego tez się nie zgadzałem, a on uparcie polemizował z moimi. Nie przypominam jednak sobie nawet jednego przypadku, abym posądził go o dogmatyzm<sup>68</sup>.

Dzisiaj dominują inne wzorce. Obecnie pod przywództwem Karwata powstają prace doktorskie, które nie uwzględniają nie tylko dorobku światowej, ale nawet polskiej politologii. Dokonania Sobolewskiego i Ryszki pomija się również tam, gdzie są niewątpliwe i ważne. Marksizm powraca jako teoria aktualna i bogata<sup>69</sup>. Teoretycy polityki pogrzebali wskazówki Sobolewskiego, Opałka, Bierzanka, Baszkiewicz i Ryszki, zaczął szkoły naukowej przekształcając w sieć tajemniczych kółek adoracji „prawdy”. W najbardziej wpływowym z nich zwalcza się wszystkich profanów, powtarza mantry, stopniowo poświęcając utrzymywaniu w dobrym nastroju własnego szefa<sup>70</sup> i egzegezie jego poglądów<sup>71</sup>.

**Obserwując dorobek osób zgrupowanych wokół Karwata, nie sposób dopatrzeć się czegoś, co przypominałoby szkołę naukową.** Nad tym kółkiem ciąży przeszłość przewodnika. Ideowość w złym guście, ponad dokonania nauki, wierność ortodoksji, strach przed zarzutem rewizjonizmu, powtarzanie utartych

67 Zob. R. Skarzyński, *Profesor Franciszek Ryszka 1924–1998*, „Archiwum Historii Myśli Politycznej” 1998, t. VII, s. 5–6.

68 Nasza debata trwała mniej więcej przez ostatnie dziesięć lat życia Ryszki, a jej opublikowanymi efektami były materiały z małej konferencji zorganizowanej w okazji dziesiątej rocznicy śmierci Schmitta (R. Skarzyński (red.), *Carl Schmitt i współczesna myśl polityczna*, Warszawa 1996), a także siedem tomów „Archiwum Historii Myśli Politycznej” (1991–1998).

69 F. Pierzchalski, *Podmiotowość polityczna...*, op. cit., s. 237–238.

70 M. Tobiasz, [recenzja: M. Karwat, *Akredytacja w życiu społecznym i politycznym*, Warszawa 2010], „Studia Politologiczne” 2010, vol. 18, s. 330–332.

71 W cytowanej pracy doktorskiej Pierzchalskiego, obronionej w Pułtusk pod batutą Karwata, najczęściej przywoływany jest Karwat, potem Marks, a nazwiska Ryszki w ogóle w niej nie ma. Nie cytuje się też innych polskich autorów zajmujących się podmiotowością polityczną.

formulek, zamknięcie na wpływy zewnętrzne i demonstrowanie lojalności to cechy charakterystyczne dla opisanego tu kręgu. Cóż to za szkoła? Co to za uniwersytet? Na te ważne pytania przyjdzie udzielić ostatecznej odpowiedzi w dalszej części pracy, po bardziej dogłębnej analizie dorobku warszawskich teoretyków polityki.

Ktoś mi ostatnio powiedział podczas mojej wizyty na Krakowskim Przedmieściu 3: „A kim są Karwat, Klementewicz i Kaczmarek – przecież oni w polskiej politologii w ogóle się nie liczą!”. Otóż to nieprawda. Z pewnością nie dysponują autorytetem, a ich książki traktuje się z przymrużeniem oka i przemilcza. Jednak wielką różnicę tworzy fakt, że **z najstarszego wydziału politologii, mającego się za najlepszy w Polsce, z Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, nie płyną teorie wspierające rozwój dyscypliny politologii, inspirujące rozważania na temat przedmiotu poznania politologii. Zamiast tego sączy się pomysły, które oficjalnie się ignoruje i lekceważy, faktycznie zaś z wygody, z nieświadomionej skłonności do naśladownictwa, reprodukuje.**

Wszystko to ma miejsce w efekcie działalności Karwata, Klementewicza i Kaczmarka, pod ich cichym przewodnictwem, gdy uniemożliwiają pojawienie się niezależnych, nowatorskich hipotez, gdy pozanaukowymi środkami duszą krytykę. Wskutek tej niedostrzeganej działalności teoretyków polityki na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych ćwiczy się asystentów w ignorancji (czyli przeciwieństwie erudycji), generuje się wzorce propagujące obcy nauce, potocznie rozumiany pluralizm i wiele oczywistych nonsensów, co powoduje, że polska politologia podlega stałej destrukcji, zwłaszcza w warunkach kopiowania obcych schematów myślowych.

Jednak fakt ciągłego, nieomal corocznego organizowania konferencji metodologicznych w Polsce dowodzi istnienia zapotrzebowania wśród politologów na teorię. Wiele wskazuje, że **owe konferencje są z jednej strony przesłaniem, które pozostawił po sobie Bodnar.** Przecież to on utrwalił myśl o teoretycznych podstawach politologii. Jej wierni są jego uczniowie, pracujący nadal na wielu uczelniach. Nawet jeśli uczniowie Bodnara dzisiaj nie wiedzą, czym jest teoria polityki i politologia, a konferencje organizują z przyzwyczajenia czy chęci podtrzymania kontaktów towarzyskich. Idei konferencji metodologicznych nie kultywują ani uczniowie Ryszki (tych nie ma), ani Baszkiewicza (oni zajmują się innymi sprawami). Z drugiej strony te konferencje są świadectwem zagubienia uczniów Bodnara, ponieważ ich dorobek niczego twórczego nie wnosi do rozwoju politologii w Polsce. Kolejne konferencje pozostawiają świadectwo, że uczniowie Bodnara kompletnie się zagubili, gdy utracili przewodnika. Karwat nie zdołał zająć jego miejsca, pomimo ilościowo ogromnego dorobku pisarskiego i wieloletnich starań.

Wskutek upadku polskiej teorii polityki proponuje się jedynie dezorientację, ponieważ utracona została wiedza o elementarnych problemach politologii. W szczególności zaś wiedza na temat tego, że jeśli wszystko uznaje się na polityczne, to to, co polityczne nie istnieje. Nie ma więc polityki i wówczas nie ma także politologii. Nikt nie pyta, co z tego wynika dla uniwersyteckich wydziałów politologii w Polsce.

## 5. 1992 – początek końca

Refleksja nad statusem politologii, jej teorią i metodą, nie była mocną stroną rodzącej się dyscypliny. Po wielu latach w końcu pierwszy badacz podjął próbę przeprowadzenia szerszej analizy problematyki metodologii politologii z perspektywy ustaleń teorii nauki, czyli teorii wyższego rzędu. Teksty Barbary Krauz–Mozera stanowiłyby trudne do przecenienia elementarne wprowadzenie do tej problematyki, gdyby nie ich treść. Krakowska badaczka politologię mgliście prezentuje jako naukę społeczną<sup>72</sup>. Po co w ogóle więc o niej mówić. Nie prościej byłoby ogłosić, że politologia nie istnieje, a wydziały politologii są efektem uzurpacji ignorantów, czyli tych, którzy nie poradzili sobie na wydziałach filozofii, historii, prawa i socjologii? Przecież oni w ciągu ostatnich dwudziestu lat obrócili politologię w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Nie chcą się jednak do tego przyznać i dalej nazywają się politologami. **Czy prezentując politologię jako naukę społeczną, Krauz–Mozera chciała wytyczyć politologom kierunek myślenia czy uzasadnić istniejący stan rzeczy?**

Jakimś ponurym żartem z czytelnika wydaje mi się stwierdzenie z pierwszego rozdziału ogłoszonej w 1992 r. rozprawy habilitacyjnej Krauz–Mozera, noszącej tytuł *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*: „W tej sytuacji być może nie należy pytać co to jest polityka i uznać, że w taki sposób postawione pytanie jest sformułowane fałszywie, tym bardziej, że ciągle powracanie do niego jest prawdopodobnie odpowiedzialne za kryzys tożsamości oraz jawną bezradność dyscypliny nieustannie poszukującej swojego przedmiotu”<sup>73</sup>.

W ten sposób Krauz–Mozera, także konstatując rzekomą bezradność politologów, wystawiła jak najgorsze świadectwo nie tylko samej sobie, ale i uczelni, która nadała jej stopnie naukowe. Kto bierze się za metodologię, przede wszystkim powinien zdawać sobie sprawę z dwóch rzeczy. **Istnieją odwieczne pytania ludzkości i pytanie o politykę jest jednym z nich, gdyż polityka jest ściśle związana z egzystencją ludzkich zbiorowości w warunkach rywalizacji w wielkiej**

72 B. Krauz–Mozera, *Teorie polityki...*, op. cit., s. 34–39.

73 B. Krauz–Mozera, *Metodologiczne problemy...*, op. cit., s. 10.

**przestrzeni i długim czasie. Po drugie, zarzucenie takiego problemu nie oznacza jego zniesienia. On powróci. Wynika to z jego znaczenia dla ludzi.**

Jednak Krauz–Mozier z uporem głosi od dwudziestu lat: „Taki stan rzeczy sprawia, że badacz reprezentujący dowolną dziedzinę nauk społecznych może znaleźć w obszarze swoich zainteresowań szczegółowych zjawiska o znaczeniu politycznym: co więcej, zbada je wówczas w sposób właściwy dla swojej dyscypliny i ujmie na przykład w perspektywie właściwej historykowi, socjologowi, ekonomście czy prawnikowi. Z poznawczego punktu widzenia taka sytuacja jest korzystna, zważywszy że przecież przedmioty nauk społecznych – badających ostatecznie ten sam zbiór danych – wzajemnie się na siebie nakładają. [...] **lepiej przestać na stawianiu wspólnych zadań badaczom instytucjonalnie reprezentującym różne dyscypliny a zainteresowanym tym samym, niż nieustannie poszukiwać – wymykającego się jednoznacznyemu określeniom – przedmiotu politologii**”<sup>74</sup>.

Przecież te słowa oznaczają, że w opinii krakowskiej badaczki politologia nie ma racji bytu, ponieważ mogą ją zastąpić historia, socjologia, prawo itd. Reprezentanci tych dyscyplin lepiej zbadają to, co politologom ciągle umyka. **Dlaczego więc istnieje politologia na Uniwersytecie Jagiellońskim?** Przecież po nadaniu stopnia doktora habilitowanego Krauz–Mozier powinna była zostać zamknięta! Przynajmniej zaś należało zaprzestać nadawania doktoratów i habilitacji z politologii, ponieważ stopnie naukowe są nierozdzielnie związane z ustalonymi dyscyplinami nauki. Tymczasem Krauz–Mozier już w 1992 r. sugerowała, że politologia jest wiedzą o społeczeństwie, którą tworzą prawnicy, socjologowie, historycy itd. Jak można więc za wiedzę o takim charakterze przyznawać doktoraty?

Pracę habilitacyjną *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce* mógł przyjąć wydział filozofii jako krytykę nieuzasadnionej ambicji politologów (tylko czy ona od strony merytorycznej w tamtych czasach spełniała wymagania któregośkolwiek wydziału filozofii?), ale akceptacja jej na wydziale nadającym stopień naukowy w zakresie politologii dowodzi, że profesorowie, którzy to uczynili, nie zrozumieli tekstu. Przede wszystkim nie zdawali sobie sprawy z tego, co wynika z zawartych w nim tez.

**Przyznanie stopnia naukowego za brak wiedzy owocujący rozprawą bezpodstawnie negującą istnienie dyscypliny, w której jest on nadawany, wiele mówi zarówno o kompetencjach rady wydziału, jak i całego środowiska politologów.** Dlaczego rozprawę, która mogła być przedmiotem rozważań wyłącznie na wydziale filozofii, przyjął i uznał wydział nadający stopień naukowy w zakresie politologii? Jak możliwe jest obecnie zatrudnienie Krauz–Mozier na wydziale politologii i powierzanie jej zajęć teoretycznych i metodologicznych z politolo-

74 *Ibidem*, s. 11–12; podkreślenie moje.

gii, skoro profesor twierdzi, że taka dyscyplina nie istnieje, gdyż nie dysponujemy wiedzą na temat jej przedmiotu poznania? Czyżby krakowscy akademicy zgodzili się, że zajmują się wiedzą o społeczeństwie, którą tylko nazywają „politologią”?

Tutaj problematyczne nie są już prace Krauz–Mozer, ale w ogóle wątpliwe są aktualne kompetencje politologów skupionych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Środowisko to nie wie, co bada, a więc reprezentowana przez nie wiedza (bo nie ta dyscyplina – ona ma znany poważnym uczonym przedmiot poznania) nie ma racji bytu na uniwersytecie!

Nieśmiało nasuwa się proste pytanie: jeśli wedle Krauz–Mozer mogą istnieć te „różne dyscypliny”, to dlaczego nie jest możliwa politologia? Na to pytanie krakowska badaczka udziela odpowiedzi pośrednio: politologia nie ma racji bytu, gdyż politolodzy nie określili jej przedmiotu poznania. Może jednak ten stan rzeczy nie dowodzi, że nie istnieje politologia, **tylko po prostu wskazuje, że niektórzy politolodzy albo raczej nazywający się „politologami” nie wiedzą, co jest przedmiotem poznania politologii?** Nie wiedzą tego tylko dlatego, że nie znają dorobku dyscypliny, której uprawianie jedynie symulują, zajmując się kopiowaniem potocznej wiedzy o społeczeństwie? W takim razie jednak nadanie stopnia doktora habilitowanego za pracę *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce* było jedynie efektem błędu, który domaga się oceny i naprawienia, ponieważ jest to błąd fundamentalny. Rzutuje on na status nie tylko politologii krakowskiej, ale politologii w Polsce.

Wydaje mi się, że te pytania nie są źle postawione. Odpowiedź na nie pozwoliłaby wyjaśnić, kto jest politologiem, kto zaś jedynie mówi nie swoim głosem i fatalnie odgrywa rolę w teatrze upadłej nauki. **Czy aby czasem nie jest to rola kogoś, kto funkcjonuje, wykorzystując organizm traktowany jako obcy, na którym zainstalował się z racji braku alternatywy?** Ta trudna, a może nawet przerażająca kwestia staje się godna naukowej dyskusji, ponieważ możemy tu mieć do czynienia z czynnościami systematycznie niszczącymi dyscyplinę, zaistniałymi w efekcie ignorancji całego środowiska. Być może rok 1992 trzeba uznać za przełomowy w historii polskiej politologii. Wtedy, niefortunną decyzją podjętą na Uniwersytecie Jagiellońskim, zapoczątkowano proces inwazji kolejnej generacji imigrantów, których już nie interesuje politologia jako dyscyplina nauki. Są to tacy ludzie, którzy nie mogą uzyskać stopni w zakresie prawa, historii czy filozofii, a nawet filologii i dlatego szturmują wydziały politologii. Tu wszystko się przyjmie. Kolejni imigranci nie rozumieją dyscypliny i niszczą jej podstawy, ale nikogo to nie interesuje.

Nasuwa się pytanie, czy czasem wydziały politologii pod wpływem zdeorientowanych teoretyków polityki nie promują obecnie całych rzesz pseudouczono-

nych przypominających pasożytów<sup>75</sup>, którzy nie ukończyli studiów politologicznych, nie zrobili doktoratu z politologii, nie mają pojęcia, czym jest politologia, jaki jest jej dorobek, ale otrzymują habilitacje w zakresie politologii, przedstawiając do oceny prace, których żaden normalny wydział uniwersytetu by nie zaakceptował. Prace z turystyki, regulacji ruchu drogowego, zarządzania, historii, a nierzadko z pseudohistorii. Czy aby jedną z pierwszych prac inicjujących tę tendencję nie była rozprawa *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*? Przecież w niej znajdujemy uzasadnienie tej procedury.

Trudno utrzymać stanowisko zajęte przez Krauz–Mozer w rozprawie habilitacyjnej, ponieważ rzekoma niesamodzielność politologii nie wynika z ustaleń współczesnej filozofii i teorii nauki. Wystarczy uważnie poczytać tekst Wołęńskiego, cytowany w poprzednim rozdziale<sup>76</sup>. Wynikają z niego przeciwstawne wnioski. Tymczasem Krauz–Mozer poszła zupełnie inną drogą: zignorowała dorobek dyscypliny, którą próbuje uprawiać, interpretując ją w kategoriach niejasnej pseudonauki. Przecież jej publikacje nie są efektem rozwijania teorii i metodologii politologii na gruncie rzetelnej znajomości dorobku teorii nauki.

Nasuwa się jednak kolejne ważne pytanie. Czy wedle opinii krakowskiej badaczki podobnie do politologii nie należałoby oceniać statusu socjologii, historii czy ekonomii? One także nie posiadają swojego przedmiotu badań i nie są dyscyplinami nauki? Są tylko jakimiś wariantami wiedzy o społeczeństwie? Mam wrażenie, graniczące z pewnością, że krakowska uczona nie zna dostatecznie nawet elementarnych prac określających horyzont teoretyczny politologa, ponieważ we własnych tekstach cytuje bardzo mało publikacji z tego zakresu, a ze sposobu operowania przez nią wiedzą widać, że ich nie studiowała. Tym bardziej o przemyśleniu nie mogło być mowy. Czyżby Krauz–Mozer niegdyś uważała, że takie dzieła nie istnieją? Czy obecnie podtrzymałaby tę ocenę?

Stwierdzenie, że politologia różni się od wiedzy potocznej, jest pewnie odkrywczym dla wielu kolegów, ale przecież to tylko trywialna konstatacja, która na dodatek w przypadku wielu prac, zwłaszcza „teoretycznych”, nie znajduje potwierdzenia. **W habilitacji Krauz–Mozer faktycznie dominuje podejście potoczne** i dlatego praca ta była nie do przyjęcia na szanującym się wydziale filozofii. Została więc przedłożona na stopień z politologii, gdzie o merytoryczną ocenę nikt nie dba i przyjmuje się prace na dowolny temat, ponieważ uważa się, że wszystko jest polityczne i politologia jest wiedzą o społeczeństwie.

75 Terminu tego używam tutaj w sensie obowiązującym na gruncie biologii: jest to organizm bytujący w innym organizmie, pełniącym funkcję jego żywiciela. Pasożyt nie tylko czerpie pokarm z opanowanego organizmu, ale także zakłóca jego funkcjonowanie. Do tego stopnia, że może znacznie osłabić żywiciela, a nawet doprowadzić go do śmierci.

76 Zob. przypis 61.

Lektura rozprawy habilitacyjnej *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce* dowodzi, że ustalenia Webera i Poppera, nie mówiąc już o tezach Lakatosa, nie zostały uwzględnione. Nie przeanalizowano głębiej nawet problematyki przedmiotu poznania dyscypliny naukowej, nie wspominając o kwestii przedmiotu poznania samej politologii. Krauz–Mozer próbowała dowieść i nadal dowodzi, że politologia nie jest dyscypliną nauki, nie widząc konsekwencji, które z tego wynikają. Krakowska autorka na dodatek nie uwzględnia tak podstawowych problemów, jak społeczne funkcjonowanie wiedzy, wpływ natury ludzkiej i cech umysłu człowieka na poznanie świata. W szczególności nie widzi problemów wiedzy apriorycznej i krytycznej, selektywności poznania, roli uwagi, struktur, jakimi operuje umysł, funkcji uczuć i emocji w poznaniu. Bez tego nie można zrozumieć tez teorii nauki i skutków z nich wynikających. Tym bardziej nie sposób wyjaśnić statusu takiej dyscypliny nauki, jaką jest politologia.

Aby wybrnąć z kłopotu, Krauz–Mozer posiłkuje się mało precyzyjnym wywodem i sugeruje, że nie warto rozgraniczać dyscyplin nauk społecznych, a politologia to synteza wielu dyscyplin, które zajmują się wszystkim, co ma znaczenie polityczne. „Jest to cel zbyt szeroki i ambitny, aby politologia mogła być postrzegana jako odrębna jednolita dyscyplina z własną metodologią, stąd nazwa ta jest używana trochę na wyrost”<sup>77</sup>. Jakby profesor nie zdawała sobie sprawy z tego, że **takie stanowisko nie eliminuje pytania o przedmiot poznania, ale wskazuje jego obecność**. Tylko że badaczka, nieznająca dorobku politologii, owego przedmiotu uparcie nie widzi. I nie dostrzeże go bez odpowiednich lektur oraz przemyśleń. Tych jednak nie podjęła dwadzieścia lat ucząc studentów teorii polityki i metodologii politologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Nieznajomość teorii nauki owocuje w jej pracach niemożliwymi do utrzymania tezami o statusie poznawczym nauk społecznych. Ta, co najmniej wątpliwa wiedza, została zaprezentowana w podręczniku i jest serwowana studentom politologii, znakomicie służąc ich dezorientacji.

Stale obecne w pracach Krauz–Mozer utożsamienie tego, co polityczne z tym, co społeczne<sup>78</sup>, typowe dla pozbawionych znajomości dorobku politologii, narzuca fałszywe „podejście”. Jeśli już zajmuje się takie stanowisko, należałoby wykazać, dlaczego jest ono zasadne i poddać wnikliwej krytyce stanowisko wypracowane przez Webera i Schmitta. Może warto byłoby zastanowić się nad specyfiką teorii Harolda Lasswella, Bertranda Jouvenela i Roberta Dahla? Oni popełnili interesujące błędy. Ich wnikliwa analiza dałaby pewnie szansę wniesienia wkładu do dorobku nauki. Tymczasem Krauz–Mozer nie pokusiła się o zbadanie hipotezy tego, co polityczne, tylko – w charakterystyczny sposób dla pozbawionych ele-

77 B. Krauz–Mozer, *Teorie polityki...*, op. cit., s. 14–15.

78 Najwyraźniej, *ibidem*, s. 37.



mentarnej znajomości dorobku politologii, ale aspirujących do symulowania bycia politologiem – ją zignorowała.

Wedle zawartego w książce *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce* wykładu politologia to tylko nazwa nauk politycznych. Ciekaw jestem, czy autorka jest świadoma konsekwencji, które wynikają z takiej tezy? Według mnie uzyskała habilitację z politologii na podstawie pracy zawierającej wywód zbudowany na tezach nieuprawnionych, możliwych wyłącznie w efekcie dramatycznego niedostatku erudycji w zakresie elementarnego dorobku politologii. **Tezy te uzasadniają brak możliwości istnienia dyscypliny, w zakresie której został nadany stopień**<sup>79</sup>. Mamy tu do czynienia ze sprzecznością, która dotyka nie tylko autorkę pracy habilitacyjnej, ale całe środowisko polskich politologów.

W rozprawie habilitacyjnej Krauz–Mozer napisała o politologii (naukach politycznych?): „Indukcyjny charakter osiągniętych przez nią rezultatów osłabia przysługującą im cechę naukowości, tak że przypominają one często wyniki pracy historyka, przedstawiającego w formie usystematyzowanego opisu to, co już się zdarzyło”<sup>80</sup>. Abstrahując od tego, że krakowska profesor, pisząc te słowa, dysponowała potocznym wyobrażeniem warsztatu historyka (faktycznie dezawuuje pracę historyków<sup>81</sup>), zdanie to sugeruje, jak i wiele innych fragmentów jej prac, że politolog teorii nie potrzebuje. Politologia rzekomo jest jak historia, czyli mamy tu do czynienia ze swoistym kolekcjonowaniem faktów. Taka przecież nie jest ani politologia, ani nie jest historia (nawet uprawiana w Instytucie Pamięci Narodowej). Wprawdzie autorka zdaje się rozumieć, że nie ma czystej indukcji<sup>82</sup>, ale wiele fragmentów jej nielicznych prac sugeruje przeciwne stanowisko. W każdym razie Krauz–Mozer nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że historyk nie jest kolekcjonerem faktów. Gdyby poczytała sobie na przykład prace Fernanda Braudela, Marca Blocha i Paula Kennedy’ego, czy chociażby Józefa Gierowskiego, mogłaby bez trudu pogłębić wiedzę o metodach historyka i głębiej spojrzeć na problem przedmiotu nauk społecznych. Wtedy też może lepiej zrozumiałaby status poznawczy politologii.

79 Chyba nie zauważyli tego też recenzenci. Chętnie przypuszczałbym, że autorka nie broniłaby obecnie stwierdzenia, iż politologia jest nauką indukcyjną (*Metodologiczne problemy...*, op. cit., s. 5), ponieważ to oczywisty nonsens. Jednak ostatnie teksty krakowskiej badaczki dowodzą, że tamta teza nie może być dzisiaj traktowana jako nieprzemyślany błąd młodości. Potwierdzenie trwałego przypisania politologii statusu nauki indukcyjnej dowodzi zdanie z najnowszego artykułu: „Politologia jako przedsięwzięcie naukowe oznacza systematyczne porządkowanie danych empirycznych, w powiązaniu z tworzeniem perspektyw poznawczych i teorii, które służą do objaśniania tych danych” (*Politologia z punktu widzenia metodologii sensu largo*, (w:) A. Antoszewski, A. Dumala, B. Krauz–Mozer, K. Radzik (red.), *Teoretyczne i metodologiczne wyzwania badań politologicznych w Polsce*, Lublin 2009, s. 12). Teoria tylko w potocznym rozumieniu może być traktowana jako coś, co służy do objaśniania danych! Być może niedługo krakowska autorka przedstawi nam *metodologię sensu forte*. Niczego to jednak nie wyjaśni. Takie terminy tylko zaciemniają problemy, ponieważ są efektem typowego braku zrozumienia, czym jest teoria naukowa.

80 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy...*, op. cit., s. 5.

81 Gdyby krakowska profesor przeczytała i przemyślała treść objętościowo małej, ale jakże wnikliwej książki M. Blocha (*Pochwała historii, czyli o zawodzie historyka*, Warszawa 1960), pewnie nie głośiłaby swoich tez.

82 B. Krauz–Mozer, *Teorie polityki...*, op. cit., s. 90–95.

Tymczasem krakowska badaczka popisuje się dramatycznym brakiem znajomości literatury klasycznej i z uporem godnym lepszej sprawy forsuje tezy wzbudzające już nie sprzeciw, ale prowokujące do postawienia pytania: z kim mamy tu do czynienia – z uczonym czy promotorem wiedzy potocznej? Napisany przez Krauz–Mozer podręcznik stanowi kolejną próbę umocnienia stanowiska polegającego na wykazywaniu, że politologia nie jest dyscypliną nauki. Zastanawia sam tytuł *Teorie polityki*. Czyżby krakowska badaczka utożsamiała teorie polityki z metodologią politologii? Czy taka skrajna nedorzecznosc może pojawić się w publikacji samodzielnego pracownika nauki, w książce wydanej przez wydawnictwo nazywające się naukowym? Ta książka powinna nosić tytuł „Nieprzemysłane rozważania na temat metodologii potocznie rozumianych nauk społecznych”. Politologia nie jest wiodącą dyscypliną nauki, ale daleko jej do statusu przypisanego w tekstach krakowskiej badaczki.

Tymczasem lektura *Teorii polityki* prowadzi do wniosku przedstawionego już w rozprawie habilitacyjnej: politologia jako dyscyplina nauki nie jest możliwa i trzeba powielać to, co robią inne nauki społeczne. **Krauz–Mozer zdyskwalifikowała historię i politologię, a faktycznie także prawo i socjologię jako dyscypliny nauki i swoimi publikacjami próbuje dowieść, że można wypowiadać się na temat teorii i metodologii politologii bez znajomości dorobku dyscypliny, tylko na podstawie powierzchownych lektur prac z filozofii, paru przypadkowo dobranych tekstów na temat teorii polityki i ogólnej metodologii.** Jest to podejście całkowicie fałszywe. Przede wszystkim jest to podejście szkodliwe dla nauki i w szczególności samej politologii. Trudno zrozumieć, jak autorka takich twierdzeń może funkcjonować w uniwersyteckim środowisku krakowskich politologów. Dlaczego tam nie pojawiła się jakakolwiek krytyka?

Prace Krauz–Mozer sugerują: (a) tradycja i horyzont poznawczy politologii jako dyscypliny nauki są bez znaczenia, gdyż tutaj niczego nie osiągnięto; (b) teoria dyscypliny, w szczególności wiedza na temat jej przedmiotu poznania nie są istotne, a poznanie naukowe może przebiegać bez nich; (c) **nie tylko określenie przedmiotu poznania politologii nie jest możliwe, ale nawet debata nad tym problemem jest bezsensowna!!!**; (d) politologia nie jest dyscypliną nauki, tylko mglistą częścią nauk społecznych; (e) istnieje wielość metod badawczych i nie ma możliwości ustalenia wyższości którejkolwiek z nich<sup>83</sup>. Przyjęcie takich twierdzeń, a przecież każde kolejne jest bardziej nonsensowne od poprzedniego, oznaczałoby kompletną destrukcję nie tylko politologii, ale w ogóle nauk społecznych. Gdyby były słuszne. Wszystkie one są fałszywe, lecz podejmując ocenę twierdzeń Krauz–Mozer, musimy zmagać się z elementarnymi błędami oraz tezami typu: (f) politologia rozwijać się może na gruncie metodologii<sup>84</sup>; (g) zadania politolo-

83 *Ibidem*, s. 50.

84 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy...*, op. cit., s. 7.

gii dyktuje przyszłość<sup>85</sup>. W nich ujawnia się poziom erudycji autorki już nie tylko w zakresie politologii, ale także teorii nauki.

## 6. Teoria jądra

**Gdyby na najstarszym polskim wydziale politologii, Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, istniał zakład proponujący jakiegokolwiek oryginalne hipotezy badawcze, nikt nie odważyłby się publikować tekstów wyrażających pogardę wobec dorobku nie tylko światowej, ale i polskiej politologii.** Gdyby na Krakowskim Przedmieściu 3 rozwijano dorobek Franciszka Ryszki, nie doszłoby do przekształcenia politologii w potoczną wiedzę o społeczeństwie i przyznawania stopni doktorskich za prace niespełniające elementarnych wymagań współczesnej nauki. Tymczasem tutaj wspiera się procesy destrukcji teorii polityki i doktoraty nadaje się z wiedzy potocznej – z wiedzy o społeczeństwie.

Dlatego w ostatnich latach pojawiło się niemało publikacji pracowników uniwersyteckich wydziałów politologii, które stanowią próbę reanimacji starej szkoły, ufundowanej niegdyś przez Bodnara i to w najgorszym wydaniu. Dużo gorszym od reprezentowanego przez twórcę Centralnego Ośrodka Metodycznego Studiów Nauk Politycznych. Wzbudzają one już nie zdziwienie, ale opór. Zastanawia bowiem, jak można w warunkach demokracji wracać do tego, co dawno przebrzmiało, co odznacza się dzisiaj już nie cechami anachronicznymi, ale całkowicie zdaje się być pozbawione sensu. Być może najbardziej symptomatyczna publikacja wyszła spod pióra Zbigniewa Bloka, kierownika Zakładu Teorii Polityki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Nosi niewyszukany tytuł *O polityczności, polityce i politologii*.

Podczas lektury rzuca się w oczy rozpaczliwa mizéria warsztatu profesora, który pisze „sądzi się”, „uważa się”, „w literaturze podejmuje się próbę”, bez jakiegokolwiek odniesienia do opracowań, tym bardziej zaś tekstów klasycznych. Blok lubi też zaczynać zdania od „Wydaje się...” bez jakiegokolwiek stwierdzenia, dlaczego wydaje mu się akurat tak, a nie inaczej. Razi to mocno, a przede wszystkim skłania do twierdzenia już nie tylko o słabościach erudycji autora, ale o jej zaskakującym poziomie. Blok ma odwagę wypowiadać się na temat istoty społeczeństwa i jego ewolucji<sup>86</sup> bez jakiegokolwiek odniesienia się do literatury, nawet popularnonaukowej. Jego punktem wyjścia jest tu sformułowanie „Wydaje

---

85 *Ibidem*, s. 8.

86 Z. Blok, *O polityczności...*, *op. cit.*, s. 63.

się...”. Pewnie uważa się za autorytet w tych sprawach. Zapoznałem się z profilem dorobku profesora i stwierdzam, że taki pogląd byłby niemożliwy do obrony.

Wywód naukowy, a także popularnonaukowy, nie może opierać się na tym, co się komuś wydaje, ale musi odwoływać do danych, faktów i uznanych analiz. Tego zaś w książce brak. Także literatura na temat polityki i tego, co autor nazywa „politycznością” znacznie wykracza poza to, co zebrał on w bibliografii. Uporczywe powoływanie się na wąski krąg kolegów dowodzi, że poznański profesor nie liczy na to, że będzie go czytał ktoś spoza niego. Takie stanowisko wydaje się ryzykowne.

W efekcie nieznamomości podstawowej literatury przedmiotu Blok prezentuje poglądy nieuzasadnione, przypadkowe, pozbawione elementarnej logiki i uproszczone. Powołuje się na Bodnara, jakby zapomniał, że ten swoje rozważania odnosił do społeczeństw socjalistycznych. Czyżby nie zauważył, że świat naszej młodości nieodwracalnie należy do przeszłości?

Tymczasem Blok wypowiada się w kwestiach uniwersalnych, posiłkując Bodnarowskim wykładem o polu polityki, jakby nie zdawał sobie sprawy, że czas tamtej koncepcji skończył się wraz z systemem, w którym ona powstała, a nauka dysponuje nowymi hipotezami i materiałem empirycznym. „Celem polityki *rozumianej jako pewien rodzaj społecznej aktywności* jest stworzenie ładu społecznego, który zapewni ludziom, społeczeństwom funkcjonowanie i rozwój zgodny z preferowanymi wartościami i zasadami”<sup>87</sup>. Przywołuję ten fragment, ponieważ jest jednym z nielicznych klarownych w tej pracy. Z czym się jednak kojarzy? Przecież nie z analizą zjawisk politycznych. Mnie on się łączy – gdy tylko podda się go nieznacznej modyfikacji, usuwając fragment oznaczony przeze mnie kursywą – z retoryką z czasów mojej młodości, z okresu Edwarda Gierka. Ale oczywiście dałoby się go także dopasować do innych epok i miejsc, ponieważ jest to uniwersalne zawołanie polityczne ideologów i mężów stanu. „Celem naszej polityki jest stworzenie ładu społecznego, który zapewni ludziom, społeczeństwu (stwierdzenie o „społeczeństwach” obecne w oryginale jest bez sensu – każda polityka odnosi się przecież do jednego, konkretnego społeczeństwa, a jej retoryka podkreśla jedność – chyba że myśli się w kategoriach internacjonalizmu komunistycznego) funkcjonowanie i rozwój zgodny z preferowanymi wartościami i zasadami”.

Z naukowego punktu widzenia takie sformułowanie nic nie mówi, ale dobrze odwołuje się do ludzkich uczuć. Kto nie chciałby żyć zgodnie z własnymi wartościami i zasadami? Dlatego definicja Bloka nie jest politologiczna, ale polityczna, potoczna i warto to zauważyć! **Poznański profesor postuluje powrót do politologii potocznej, a może ją po prostu kultuwuje.** Czy ma na koncie jakąś książkę z teorii polityki, która mogłaby uchodzić za naukową? Ja takiej nie znalazłem.

87 *Ibidem*, s. 42.

Jednak stanowisko autora nie jest przypadkowe. Blok bez zahamowań przyjmuje język polityki i podnosi go do rangi dyskursu naukowego. Nie robi tego bez powodu. Wyodrębnia bowiem model politologii tradycyjnej, który wynika z potocznego doświadczenia ludzi. Taka ludowa politologia uogólnia doświadczenia, „[...] w dodatku wyrażane językiem naturalnym, tzn. w języku uprawiania polityki [...]”<sup>88</sup>.

Pamiętam, że podczas studiów uczono, że **nie wolno ulegać językowi źródła**. Wskazówka wydaje się oczywista do tego stopnia, że powinna być stosowana w politologii, a każde jej naruszenie należy tępić. Tymczasem Blok, jak wielu politologów, nie ma pojęcia o zagadnieniu demarkacji wiedzy i nie ma zahamowań w kwestii uznania języka polityki za język politologii. Nawet uważa, że taki język jest podstawą politologii tradycyjnej. Jakby nie rozumiał, że politologia ma ambicje bycia nauką (a nauka nie jest wiedzą potoczną!), dlatego tworzy wiedzę zdecydowanie różniącą się od potocznej i nie może posługiwać się językiem politycznym. Autor, jak ja, wychowany w atmosferze marksistowskiej indoktrynacji epoki naszej młodości, nie poddał jednak krytycznej refleksji własnego podłoża intelektualnego. Na tym gruncie zrodziła się idea politologii tradycyjnej. Ten dziwaczny i szkodliwy pomysł funkcjonuje także w świadomości innych wykładowców uniwersyteckich wydziałów politologii, niezdolnych do refleksyjnego odniesienia się do swojej przeszłości. Oni w praktyce akademickiej nie odróżniają politologii jako nauki od doktryn i ideologii, chociaż pewnie, wezwani teraz do tablicy, zaprzeczają.

Blok jest z wykształcenia ekonomistą, a nie politologiem. Ujawnia się to w jego podejściu do badanej problematyki. Rozumie to, czego nie pojmują dzisiejsi pracownicy wydziałów politologii, a mianowicie, że politologia jako dyscyplina musi zmagać się z problemem własnego przedmiotu poznania. Jednocześnie jako ekonomista nie zadał sobie trudu lektury podstawowej literatury, która pozwalałaby coś powiedzieć na temat podjętego przez niego problemu. Będąc od 1986 r. kierownikiem Zakładu Teorii Polityki, nie znalazł czasu na zaznajomienie się z pozycjami w języku polskim. Jeśli powołuje się na jakieś poważniejsze dzieło, to z drugiej ręki, z prac swoich bliskich kolegów. Jednak sam nie sięga poza ten krąg. *O polityczności, polityce i politologii* to książka, która wyrosła z układu towarzyskiego i do niego jest skierowana. Jestem niepowołanym czytelnikiem, ale z pojawieniem się takiego muszą liczyć się członkowie społeczności uniwersytetu. Nawet jeśli uwierzyli, że na polskim uniwersytecie krytyka jest niemożliwa.

---

88 *Ibidem*, s. 55.

Blok ma ambicje ufundowania podstaw własnej teorii polityki poprzez stworzenie nowej koncepcji strukturyzacji pola polityki<sup>89</sup>. Co jednak znaczy samo pojęcie „pole polityki”. Na podstawie recenzowanej książki próba wyrobienia sobie jakiegoś, nawet elementarnego wyobrażenia w tej sprawie, kończy się niepowodzeniem. Jako historyk myśli politycznej radziłem sobie niegdyś dobrze z tekstami wyjątkowo zawiłymi, Erica Voegelina, Maxa Horkheimera i Theodora Adorno. I to w językach oryginalnych. Jednak wykładu Bloka po polsku po prostu nie rozumiem.

Odwołując się chaotycznie do tekstów bliskich sobie duchowo kolegów, poznański profesor nie mówi nic sensownego na temat pola polityki, od razu przechodząc do określenia pola polityki pierwszego stopnia. Pisze: „Te części, najważniejszych dla egzystencji społeczeństw, rodzajów aktywności, które nabierają cech zjawisk i procesów politycznych, proponujemy nazwać polami polityki pierwszego stopnia”<sup>90</sup>. Nie trzeba wielkiej inteligencji, aby dojść do wniosku, że to zdanie nie ma sensu, nawet jeśli przeanalizuje się je w kontekście całej książki, co parokrotnie czyniłem. Terminologia autora w ogóle jest dziwaczna. Wyróżnia w ramach pola polityki pierwszego stopnia społeczeństwo gospodarujące, społeczeństwo państwowe, społeczeństwo ideowe i społeczeństwo obywatelskie<sup>91</sup>. Wszystko to zostało zaprezentowane graficznie, ale przyjrzenie się obrazkom nie pomaga w zrozumieniu tekstu. Koncepcja jest z pewnością oryginalna, tyle że bez sensu. Można odnieść wrażenie, że autor nie oczekuje, iż ktoś w ogóle będzie czytał jego tekst, tym bardziej zaś spróbuje pokusić się o jego zrozumienie.

W końcu Blok dochodzi do „odkrywczego” wniosku, że pole polityki jest niejednorodne, „[...] co oznacza, że nie należy poszukiwać jednej definicji polityki”<sup>92</sup>. Jaki to ma związek, nie wiem. W każdym razie autor proponuje, aby „[...] definiować każdy jednorodny fragment pola polityki osobno”<sup>93</sup>. Jest to z pewnością idea, której nie spotkałem u kogokolwiek innego, tylko niestety nie sposób jej pojąć. Aby jednak czytelnik przedwcześnie nie spoczął na laurach, Blok serwuje mu jeszcze teorię „[...] jądra polityki, którego pole jest przekrojem czterech płaszczyzn”<sup>94</sup>. Logika tego tekstu jest rozbijająca w swojej niezrównanej prostocie. Po prostu nie ma tu jakiegokolwiek logiki, ale jest książka, którą można wpisać do dorobku. I o to chyba chodzi poznańskiemu profesorowi. Ostatecznie pozycja była recenzowana, a więc można uczciwie zaliczyć sobie i wydziałowi punkty.

Blok powie pewnie, że wyrwałem jego słowa z kontekstu. Jednak faktycznie przywołałem je wyłącznie z tekstu, cytując tylko krótkie zdania, aby nie zame-

89 *Ibidem*, s. 62 i n.  
90 *Ibidem*, s. 64.  
91 *Ibidem*, s. 64–72.  
92 *Ibidem*, s. 85.  
93 *Ibidem*, s. 87.  
94 *Ibidem*

zczać czytelnika. Z kontekstu nie mogłem wyjąć, ponieważ ten nie istnieje. Lektura całej książki nic nie wnosi ponad to, co wynika z powyższych zdań. Autorowi nie pomaga świadomość konieczności określenia przedmiotu poznania politologii. Pewnie dlatego, że jego znajomość stanu badań jest tak bardzo selektywna.

Lektura książki poznańskiego profesora skłania mnie do paru wniosków. Trzy najważniejsze są poruszające.

Po pierwsze, w polskiej politologii pojawia się coraz więcej tekstów napisanych przez autorów niemających zahamowań przed manifestowaniem nieznanomości literatury przedmiotu, pisanych bez opanowania podstaw warsztatu naukowego, pozbawionych odpowiedzialności za słowo, w których brak wniosków, a nawet jakiegokolwiek zakończenia. Teraz taką pracę opublikował profesor tytularny, od blisko ćwierć wieku kierownik zakładu na jednym z czołowych polskich uniwersytetów.

Po drugie, obserwujemy właśnie wzrost aktywności w kręgu pracowników wydziałów politologii, którzy uważają się za teoretyków polityki. Pewnie niedługo ktoś powie, że narodził się nowy trend, szkoła, a jej twórcami są Zbigniew Blok, Barbara Krauz-Mozer, Mirosław Karwat, Tadeusz Klementewicz i Bohdan Kaczmarek. Moim zdaniem byłaby to błędna opinia. Po prostu weterani polskiej politologii już po przekształceniu jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie serwują środowisku niepotrzebne publikacje. Jakby nie zdając sobie sprawy, że są czytani poza swoim kręgiem.

Po trzecie, lektura *O polityczności, polityce i politologii* pokazuje, do czego doszli przez lata teoretycy polityki III Rzeczypospolitej, nie stawiając poważnych hipotez badawczych, nie próbując określić przedmiotu swoich dociekań, tylko zamykając się we własnym gronie. Ich warsztat w wieku profesorskim jest dużo gorszy od tego, który obowiązywał na przyzwoitych seminariach magisterskich w schyłkowym okresie epoki Gierka. Nawet u Bodnara zdecydowanie więcej się działo. Warsztat ten charakteryzuje nieznanomość literatury przedmiotu, ograniczanie się do cytowania kolegów, a także pozbawiona komunikatywności forma prezentowania własnych myśli, które okazują się niemożliwe do zrozumienia. Książka poznańskiego profesora nie popularyzuje wiedzy o polityce, nie zawiera prezentacji zespołu poglądów, które można byłoby uznać za elementy teorii polityki.

## 7. Kosz na śmiecie

Brak zdolności poradzenia sobie przez politologów ze specyfiką własnego przedmiotu poznania, skłonność do schodzenia na poziom refleksji potocznej, uleganie wpływom imigrantów symulujących działalność naukową, są widoczne w szeregu wyraźnie obecnych zjawisk, powodujących, że polska politologia to dzisiaj bardziej fenomen wymagający co najmniej analizy socjologicznej i psychologicznej aniżeli zjawisko naukowe. Badania pokazałyby, jak dyscyplina nauki obraca się w coś, co z nauką nie ma nic wspólnego, gdyż nie służy opisowi i wyjaśnianiu rzeczywistości. Tutaj problemy te z konieczności omawiam na wybranych przykładach.

1) podstawowy dylemat politologii nie istnieje w świadomości badaczy nazywających siebie „politologami” i tym samym nie jest przedmiotem debaty. Stanowi to efekt pracy teoretyków polityki, którzy swoimi wystąpieniami kierują myślenie na manowce, a nawet zabijają dyskusję, zamiast ją stymulować. W ich pracach, zwłaszcza pracowników warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, uderza beztraska. Widać, że znajomość wszystkich liczących się tradycji myślenia o zjawiskach politycznych, poza może marksizmem, jest im obca. Bez zahamowań sami o tym informują swoimi tekstami, nie odwołując się do tez i publikacji tych, którzy jednak niemało powiedzieli na temat politycznej aktywności ludzkich zbiorowości. Tak dowodzą osobistej nieznamośności debaty toczącej się na świecie. Teoretycy polityki co najwyżej stwarzają pozory erudycji i spowalniają myślenie politologów. Dowodem tego są ich teksty, gdzie przejawy ignorancji znajdujemy nieomal na każdej stronie. Ignorancja ta jest tak daleko posunięta, że nie zdają sobie sprawy z tego, że **ich dorobek stanowi uzasadnienie likwidacji nie tylko zakładów teorii polityki, ale w ogóle wydziałów politologii.**

2) problem tego, co polityczne nie jest całkowicie pomijany przez teoretyków polityki<sup>95</sup>, lecz w ich pracach nie znajdziemy odniesienia nawet do podstawowych dzieł, w których został on dotychczas postawiony i przeanalizowany<sup>96</sup>. Teoretycy polityki nie pojmują, że analiza tego, co polityczne nie ma na celu wyodrębnienia abstrakcyjnej klasy zjawisk<sup>97</sup>, poznania ich w izolacji, nie da się ich

95 Teoretykom polityki udało się skutecznie sprowadzić na manowce myślenie młodszej generacji badaczy. Problem tego, co polityczne został zepchnięty poza ich pole widzenia i pojawia się co najwyżej intuicyjnie. A. Laska i J. Nocoń w wykładzie teorii polityki pomijają problem rozumienia polityki i tego, co polityczne, ale nieświadomie zaznaczają, że to, co polityczne określa „polityczna doniosłość” (*Teoria polityki...*, *op. cit.*, s. 24). Szkoda, że autorzy nie rozwinęli tego ujęcia. Mogłoby z niego wynikać wiele ciekawych wniosków, które jednak podważyłyby główne tezy ich książki.

96 M. Karwat, *Polityczność i upolitycznienie...*, *op. cit.*, s. 64–70.

97 Tym bardziej „mechanicznego”, jak sugerują Karwat (*ibidem*, s. 65) oraz Laska i Nocoń (*Teoria polityki...*, *op. cit.*, s. 24). W ten sposób ci autorzy nieświadomie bronią się przed podjęciem problemów, które same się narzucają. W ogóle łatwo dostrzec, że słowo „mechaniczny” jest nadużywane w polskiej „politologii”, wykorzystywane do ukrywania braku zdolności poradzenia sobie z analizą niestandardowych, a faktycznie antydogmatycznych koncepcji.



sprowadzić do „splotu czynników”<sup>98</sup>, ale chodzi o zbadanie kształtowania się pochodzenia, istoty i miejsca, czyli genezy, właściwości, statusu i funkcji tego, co polityczne w społeczeństwie, w jego sieciach interakcji, instytucjach, układach sił i organizacjach, gdy stosunki międzyludzkie podlegają koncentracji i polaryzacji, w efekcie czego ujawnia się lojalność egoistycznych jednostek wobec jednoczących symboli i inicjowane są akty mobilizacji do walki toczonych z powołania i przy użyciu każdego środka o ustanowienie powszechnego porządku. Gdyby Mirosław Karwat chociaż trochę wglębił się w teksty Webera i Schmitta, tym bardziej zaś poznał łatwo dostępny dorobek Ryszki, nie rozpoczynałby swojej analizy od stwierdzenia, że polityczność jest cechą zjawisk pozostających w „[...] ścisłym związku z mechanizmem życia politycznego”<sup>99</sup>. Nawet poczyniona przez autora w tym miejscu deklaracja, iż jest to stwierdzenie tautologiczne, nie niweczy myśli, iż nie umie poprawnie wyrazić, o co tutaj chodzi. Karwat nie wykracza w swoich pracach poza powszechne w tekstach polskich politologów definiowanie politycznego przez polityczne, niezdolny zagłębić się w analizie socjologicznej i psychologicznej, tym bardziej zaś zrozumieć znaczenia problemu tego, co polityczne dla teorii polityki i tym samym politologii. Potwierdza to nietrafioną krytyką formalistycznego podejścia do problemu, tego, co polityczne, które rzekomo jest „[...] oparte na próbie mechanicznego wydzielenia dziedziny zjawisk <<specyficznie politycznych>>, jakoby jednorodnie politycznych i jakoby powstałych lub funkcjonujących odrębnie niż jakoby równie jednorodne zjawiska np. prawne, ekonomiczne czy moralne [...]”<sup>100</sup>. Niestety, Karwat nie powołuje się na tekst, który miałby to ilustrować. A je nie znam żadnego takiego i skłaniam się do wniosku, że jego teza jest wynikiem pominięcia znacznej części literatury politologicznej. Autor już przed laty wykazał się niechęcią do przemyślenia tekstów Schmitta<sup>101</sup>, której do dzisiaj uparczywie nie skorygował. Ustalenia Webera są dla niego całkowicie niedostępne<sup>102</sup>. Nigdzie nie odwołuje się do nich. Błędne rozumowanie z przeszłości stanowi w jego refleksji punkt odniesienia po piętnastu latach<sup>103</sup>. Schmitt nigdy nie głosił przypisanych mu tez, chociaż formalizm był cechą jego myśli i przez politologa musi być odrzucany. Jednak nie miał on takiego charakteru, jak twierdzi Karwat i nie upoważnia go do traktowania teorii tego, co polityczne w sposób, z jakim mamy do czynienia w tekście z 2010 r. Jest on je-

98 M. Karwat, *Syndromatyczny charakter przedmiotu nauki o polityce*, (w:) K. Wojtaszczyk, A. Mirska (red.), *Demokratyczna Polska...*, op. cit., s. 187.

99 M. Karwat, *Polityczność i upolitycznienie...*, op. cit. s. 64.

100 *Ibidem*, s. 65.

101 M. Karwat, *Cecha polityczności i dziedzina teorii polityki* (w:) R. Skarżyński (red.), *Carl Schmitt...*, op. cit., s. 107–136.

102 Recepta Webera w polskiej politologii, którego teoria nie nadaje się do kopiowania (jest zbyt trudna), to odrębny problem, który pewnie będzie kiedyś zbadany.

103 Karwat nie zauważył (czy raczej nie chciał zauważyć), że ja już blisko dwadzieścia lat temu napisałem (w książce, którą mu osobiście wręczyłem, zatroskany wówczas o jego dalszy rozwój naukowy), że teoria Schmitta nie wyjaśnia wystarczająco tego, co polityczne, a uchwycić jego istotę można wyłącznie, badając status podmiotu politycznego i jego relacji z innymi podobnymi bytami (R. Skarżyński, *Od chaosu do ładu. Carl Schmitt i problem tego, co polityczne*, Warszawa 1992, s. 205–208).

dynie kolejnym dowodem braku znajomości literatury przedmiotu, w tym także tekstów swego poprzednika na stanowisku kierownika zakładu.

3) w świadomości politologów nie istnieje coś takiego, jak dorobek i horyzont teoretyczny ich dyscypliny. Uczy się historii myśli politycznej, ale przecież jest to zupełnie inna problematyka. Nie ma i nie może mieć czegokolwiek wspólnego z dorobkiem teorii polityki i jej horyzontem poznawczym. Jeśli na historii, prawie czy socjologii ważnym przedmiotem jest wiedza na temat przeszłości tych dyscyplin, o której mówi się praktycznie od pierwszego roku studiów, na ostatnich systematyzując wiedzę, o tyle na politologii nie ma czegoś takiego. Jak już ktoś heroicznym wysiłkiem podejmie się zadania określenia głównych „orientacji” czy „podejść” teoretyczno–metodologicznych w politologii, jego wykład przekształca się w pozbawione konkluzji referowanie przypadkowych treści. Nie można zrozumieć, na czym polega wkład tych „orientacji” na rozwój politologii. Pomija się też dokonania wybitnych uczonych, poświęcając opisowi tego, co mało istotne lub wręcz bez znaczenia<sup>104</sup>. A przecież za każdy kierunek czy szkołę są odpowiedzialni ich inicjatorzy, mistrzowie rozwijający przełomowe hipotezy i teorie. W efekcie nawet profesorowie politologii, w tym przede wszystkim zajmujący się metodologią<sup>105</sup>, nie mają pojęcia na temat tego, że politologia ma swój dorobek teoretyczny, istnieją w jej ramach wielkie hipotezy i kierunki, ale ich wzajemny status nie jest równoprawny, ponieważ niektóre lepiej wyjaśniają rzeczywistość polityczną, a inne znacznie gorzej. Wkład takich uczonych, jak Bertrand de Jouvenel czy Hendrik Spruyt do badań politologicznych jest nie tylko nieznan. Ich nazwiska praktycznie nie występują w literaturze przedmiotu. Nawet politologiczne ustalenia powszechnie wzmiankowanego (ale czy czytanego?) Alexisa de Tocqueville nie są uświadamiane i dyskutowane przez politologów. Znajomość dorobku Maxa Webera ogranicza się do problematyki definicji polityki i zagadnienia legitymizacji oraz istoty władzy (zwykle zresztą błędnie wykładanych). Jego pouczające rozważania nad tym, co polityczne pozostają poza obszarem poznania polskich politologów. Kto rozumie wnioski wynikające z epokowego dzieła Paula Kennedy’ego o rywalizacji mocarstw. Z pewnością nie dostąpili tego politolodzy zajmujący się stosunkami międzynarodowymi w kontekście „zasady równowagi sił”, „porządku międzynarodowego”, „społeczności międzynarodowej” i amerykańskiej „jednobiegunowej hegemonicznej stabilności”. Te przykłady można mnożyć w nieskończoność. Prace Schmitta zostały przełożone na język polski, ale który z politologów je zna i rozumie. Jeśli już odwołują się do niego, to w przypisie umieszczają odniesienie do niefortunnego tłumaczenia umieszczonego niegdyś

104 A. Laska i J. Nocoń, *Teoria polityki...*, op. cit., s. 44–110.

105 T. Klementewicz, *Spór o model teoretyczny...*, op. cit.; idem, *Rozumienie polityki...*, op. cit.; B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy...*, op. cit.; idem, *Teorie polityki...*, op. cit.

w tygodniku „Zdanie”, cytują za kimś błędnie przywołując tytuł książki w języku niemieckim<sup>106</sup> lub nie wskazując strony, na której znajduje się dana myśl<sup>107</sup>.

4) nie istnieje w świadomości politologów nie tylko jasna, ale jakkolwiek granica pomiędzy filozofią i teorią polityki. Wielu politologom wydaje się, że są to dziedziny pokrewne czy tożsame. Tymczasem jest to pogląd całkowicie fałszywy. Filozofia polityki i teoria polityki są tak sobie bliskie jak kosmologia i budowa maszyn. **Kto w jednym zakładzie badawczym umieszcza problematykę filozofii i teorii polityki, ten dowodzi własnej niezajomości ich przedmiotów dociekań.** Warto w ogóle zdać sobie sprawę z tego, że na wydziałach politologii nie ma miejsca na zakłady filozofii polityki. Tutaj można jedynie badać historię filozofii politycznej w ramach historii myśli politycznej. Filozofia polityki, która faktycznie jest filozofią polityczną<sup>108</sup> i nie jest nauką, jako czynność umysłu poszukującego prawdy, przypada filozofom. Oni znają się na niej najlepiej. Politolodzy powinni zająć się swoim przedmiotem poznania, a nie naśladować działania socjologów, historyków, filozofów czy specjalistów od administracji. Historia myśli politycznej nie jest filozofią polityczną, jak nie jest nią to, co uprawia się w warszawskim Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki. Tutaj nie powstała ani jedna praca z teorii polityki, a filozofię polityki rozumie się jako zestaw instrukcji przypominających wskazania z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy.

5) dublowanie na wydziałach politologii historii, filozofii, socjologii, ekonomii, administracji bez określenia, czym charakteryzuje się politologiczne podejście do problematyki badanej przez uznane dyscypliny, jest tylko wyrazem niedojrzałości teoretycznej i metodologicznej, którą widać wyraźnie w Warszawie i Krakowie, o najmłodszych ośrodkach politologii nie wspominając. Tu już bowiem żadne hamulce nie występują, kiedy warszawski Zakład Filozofii i Teorii Polityki upowszechnia ideę, że wszystko jest polityczne. Nikt natomiast nie pisze na temat tego, jakie funkcje pomocnicze dla politologii mogłyby wypełniać powyższe dyscypliny. W ten sposób z powodu braku świadomości teoretycznej dochodzi do rozmywania politologii i przekształcania jej w zlepek kopii nauk, które zawsze będą dużo gorsze od oryginałów, a politologom na uniwersytecie przypada jedynie rola zagubionych kolegów, pozbawionych tożsamości, uprawiających potoczną wiedzę o społeczeństwie. Wymienione dyscypliny mogłyby zyskać specyficznie politologiczny wymiar tylko wtedy, gdyby powstały do tego inspiracje teoretyczne. Tych jednak nie ma i nie będzie aż do momentu, kiedy politolodzy nie ustalą, po co istnieją. Wedle Karwata „Przyszłość politologii należy do tych, którzy nie boją się operować na pograniczu socjologii, psychologii społecznej,

106 Z. Blok, *O polityczności...*, *op. cit.*, s. 39–40.

107 M. Karwat, *Polityczność i upolitycznienie...*, *op. cit.*, s. 80, przyp. 22.

108 Powoli chyba staje się jasne, po dyskusjach prowadzonych w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, że nie istnieje przedmiotowe uzasadnienie wyodrębnienia filozofii polityki i filozofii politycznej. Przynajmniej nikt jego nie dowiódł.

etyki, prawoznawstwa, cybernetyki. Natomiast strażnicy granic (granic między dyscyplinami) łapią muchy w dziurawe sito<sup>109</sup>. Moim zdaniem, przyszłość należy do tych, którzy przekraczają te i inne granice, ale polegną, jeśli nie będą świadomi przedmiotu swoich dociekań. **Politolodzy zbyt łatwo lekceważą, a nawet depczą wszelkie granice, ponieważ nie wiedzą, dlaczego i po co zostały wytyczone.**

6) wskutek braku znajomości podstawowej wiedzy z zakresu teorii nauki i niezdolności określenia przedmiotu poznania własnej dyscypliny, a nawet dowodzenia, że każdy może być politologiem, politologów z łatwością zastępują socjologowie i historycy, teorię i metodologię wykładaną na wydziałach politologii bez trudu kontrolują filozofowie, którzy wyraźnie przerastają politologów nie tylko w zakresie erudycji, ale świadomości warsztatowej. Chciałoby się powiedzieć, że politolodzy są Don Kichotami bez konia i zbroi, jednak oni w niczym nie przypominają tego romantycznego i szlacheckiego jeźdźcy. Wielu z nich to zgorzkniali ludzie typu ronina, obojętni na argumenty i niezdolni udać się gdziekolwiek w warunkach braku przewodnika zdolnego określić teoretyczne podstawy dyscypliny.

7) zakłady i katedry teorii polityki (a także metodologii) skupiają osoby zajmujące się przypadkową problematyką, co znajduje wyraz w ich publikacjach. Nie dotyczą one problematyki teorii polityki, tylko różnych zjawisk politycznych, dobranych na chybcika i rozważanych na gruncie niejasnej, a nawet bezsensownej metodologii, dawno odrzuconej na gruncie teorii nauki. O demarkacji wiedzy nikt tu nie ma jakiegokolwiek pojęcia. W skrajnych przypadkach przedmiot badań jest analizowany na kanwie osobistych przeżyć i emocji.

8) zamiast prezentować jasne, podatne na falsyfikację twierdzenia dotyczące zjawisk politycznych, teoretycy polityki uciekają w badania „metafor” i inne dziwne terminy. Piszą teksty w rodzaju „Kilka uwag o ...”<sup>110</sup>, niezdolni sformułować poprawnie jakiegokolwiek rzeczywistego problemu, zastanawiając się, czy nie istnieje czasem możliwość „[...] przekształcenia metafory w bardziej naukowo doprecyzowaną postać teoretycznego modelu”<sup>111</sup>. Przy tym metafory rozumie się jako „[...] szczególnego rodzaju figury konceptualne pozwalające analizować zjawiska poprzez odwołanie się do wybranych jego aspektów i przejawów [...]”<sup>112</sup>. Fantazja politologów odnośnie do analogii, którzy niczego poważnego nie czytają, nie są zdolni stawiać pytań badawczych i w związku z tym przez dziesięciolecia w ogóle nie napisali wnoszącej cokolwiek do nauki książki, zdaje się być rozbudzona w zakresie nienaturalnym. W ten sposób mnoży się pub-

109 M. Karwat, *Syndromatyczny charakter...*, op. cit., s. 188.

110 Celuje w nich B. Kaczmarek. Ten niestosowny schemat powiela także po angielsku. Zob. tenże, *In serach of a driving force and hegemonic leader of transformation – several tentative observations*, (w:) J. Błuszkowski, S. Sulowski (red.), *Dilemmas of Polish transformation*, Warsaw 2010, s. 59–75.

111 B. Kaczmarek, *Wstęp*, (w:) *idem* (red.), *Metafory polityki*, Warszawa 1991 s. 10.

112 *Ibidem*, s. 11.

likacje, które nie mają żadnej wartości poznawczej. Niczego nie wyjaśniają, są natomiast dowodem jałowości działalności prowadzonej w zakładach i katedrach teorii polityki. Są nim z pewnością wszystkie trzy tomy zatytułowane *Metafory polityki*. Gdy teoretykom polityki znudzi się jakaś własna koncepcja, natychmiast sięgają po nową, nie czytając literatury, ale samotnie snując rozważania. Sam Mirosław Karwat nie uwzględnia tej banalnej konstatacji teorii nauki, że teoria dyscypliny wiedzy jest warunkiem poznania w ramach tej dyscypliny<sup>113</sup>. **Także poznanie naukowe przebiegające poza dyscypliną musi opierać się na teorii lub przynajmniej jej namiastce**, chociaż ta może być przyjęta nieświadomie lub mieć charakter eklektyczny. Bez niej nie ma poznania. **Oznacza to, że nie należy tworzyć nieodpowiedzialnie dowolnych teorii bez odniesienia się do dotychczasowego dorobku nauki**. Nie da się uniknąć rozprawy z wiedzą zastaną. Tymczasem obecnie w warszawskim Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki na znaczeniu tracą metafory, a aktualne staje się „syndromatyczne” podejście do polityki<sup>114</sup>. Są to takie namiastki teorii dla niedojrzałych i zagubionych, kreowane bez uwzględnienia faktu, że teoria wprawdzie określa przedmiot poznania, ale nie czyni tego przypadkiem. Dzieło poprzedników musi być uwzględnione i poddane krytyce. Dzisiaj już żadnej teorii nie buduje się bez znajomości dorobku dyscypliny nauki i teorii nauki. Tymczasem coś takiego charakteryzuje stanowisko oparte na metaforach i syndromach. Ograniczanie się do egzegezy poglądów kolegów we własnym kręgu i brak krytyki wyraźnie **motywują teoretyków polityki III Rzeczypospolitej do powrotu do tego, co w nauce zostało dawno odrzucone: do „twórczości” na własną rękę**. Do faktycznego zerwania z tradycją jest uprawniony tylko ktoś rozumiejący błędy poprzedników i zdolny je pokazać. Natomiast prace teoretyków polityki bazują jedynie na niejasności albo na marzeniach o naprawianiu świata. Nie trzeba dodawać, że są zaprzeczeniem odkrycia naukowego. Należy natomiast zadać pytanie o to, co oni tworzą?

9) ukryty, redukcjonistyczny marksizm najbardziej porusza w najnowszej książce Klementewicza. We wstępie do *Rozumienia polityki* znajdujemy nazwiska autorów, których autor przywołuje jako autorytety. Niemało z nich jest mi zupełnie obcych. Podczas lektury na usta ciśnie się pytanie: po co we wstępie wymienić „E. Romińską”, „T. Bielickiego” czy „A. Wiercińskiego”<sup>115</sup>, by potem nawet

113 Niezdolny wskazać, jak formułowane są hipotezy badawcze i poddawane weryfikacji, Karwat wyraźnie propaguje anarchię poznawczą. M. Karwat, *Specyfika metodologiczna i poziomy badań teoriopolitycznych*, (w:) T. Łoś–Nowak (red.), *Politologia w Polsce. Stan badań i perspektywy rozwojowe*, Toruń 1999, s. 100, od słów: „Właściwym punktem wyjścia [...]”. Dalej Karwat stwierdza: „[...] specyfika teorii polityki tkwi nie w przedmiocie (rozumianym dosłownie, w sposób formalistyczno–naturalistyczny), lecz w funkcjach poznawczych i w metodzie (wyjaśnianie i przewidywanie oparte na modelach abstrakcyjnych), w aspekcie badań. Dopiero w tym aspektowym, a nie dosłownym rozumieniu przedmiot badań teorii polityki jest swoisty” (*ibidem*, s. 102). Te słowa oznaczają negację całego dorobku teorii nauki.

114 M. Karwat: *Syndromatyczny charakter...*, *op. cit.*, s.175–188. W tekście nie ma żadnego odniesienia do tradycji myślenia o polityce, ponieważ autor jej najwyraźniej nie ceni albo nie zna. Stanowisko to rozwija też Klementewicz (*Rozumienie polityki...*, *op. cit.*, s. 82–93).

115 *Ibidem*, s. 16.

nie umieścić ich publikacji w bibliografii, o odwołaniu się do tez nie wspominając. Jeśli są tacy wielcy, że godni wymienienia na początku, to dlaczego nie odwołano się do ich osiągnięć. Problem w tym, że Klementewicz w sposób typowy dla politologa III Rzeczypospolitej traktuje literaturę nonszalancko. Wymienia także powszechnie znane nazwiska, ale nie odnosi się do prac nimi podpisanych i tym bardziej zawartych w nich tez. Traktuje je jak zawartość kosza na śmiecie. Nazwisko Webera występuje na 18 stronach, ale tylko jeden popularny tekst Niemca jest cytowany. *Gospodarkę i społeczeństwo* odnotowano w bibliografii, jednak w tekście nie jest przywołana. Immanuel Wallerstein występuje na 19 stronach i jest trzy razy cytowany. Ferdynanda Braudela wymieniono 14 razy. Tylko w jednym przypisie przywołano jego pracę. Żadna z tez tych sławnych autorów nie została przeanalizowana w książce. **Ich nazwiska służą inicjowaniu wrażenia, że autor jest erudyta. Tymczasem, gdy czyta się tom, nieodparte staje się odczucie, iż liczące się inspiracje pochodzą wyłącznie z kręgu marksistów i byłych marksistów.** Z aprobatą, a nawet ciepło cytuje się i chwali prace Zdzisława Cackowskiego, Marii Hirszowicz, Stanisława Kozyra–Kowalskiego, Jerzego Wiatra, Jerzego Topolskiego, Jerzego Kmity, Mirosława Karwata (Marcel Proust politologii), Bohdana Kaczmarka, Stefana Opary i wreszcie Karola Marksa. Każdy ma prawo wyboru inspiracji i nie powinien się go wstydzić. Gorszące jest natomiast to, że autor ów fakt ukrywa, odwołując się do nazwisk, których znaczenia nie rozumie, ponieważ z tekstu książki wynika, że nie zna ich dzieł. Korzysta z nich w formie atrapy.

10) zastanawiający brak erudycji, tak charakterystyczny dla polskiej politologii, być może najbardziej rzuca się w oczy w ostatniej książce Klementewicza, gdy manipuluje on znanymi nazwiskami, a faktycznie posiłkuje dorobkiem kolegów marksistów. Szkoła podejmująca problem tego, co polityczne, mająca kluczowe znaczenie dla zrozumienia przedmiotu badań politologii, nie jest w niej w ogóle obecna. Czy nie zasłużyła chociażby na wzmiankę, a może krytykę? Autor nie odwołuje się także do tych wielkich dzieł XX w., które określiły podstawy naszego myślenia o statusie, specyfice i funkcjach teorii naukowej, dorobek Karla Poppera, Paula Feyerabenda, Imre Lakatosa, Johna Watkina i Thomasa Kuhna mając za nic. Podobnie traktuje socjologię wiedzy. Nie tylko koncepcje, ale także nazwiska Karla Mannheim'a i Alfreda Schütza nie pojawiają się w książce. Klementewicz nie przywołuje nawet tak elementarnego traktatu, jak *Spoleczne tworzenie rzeczywistości* Petera Bergera i Thomasa Luckmanna. O pracach polskich autorów na te tematy nie wspominam. Klementewicz stara utrzymać się w modnych trendach i odwołuje się do problematyki biologicznej. Ujęcie człowieka jako „całości bio–psycho–socjokulturowej”<sup>116</sup> razi brakiem umiejętności w posługiwaniu się fachowymi terminami. Wystarczyłoby napisać o człowieku w kontek-

116 *Ibidem*, s. 82.

ście ewolucyjnym, co oznacza spojrzenie z perspektywy biologii ewolucyjnej. Nowsza psychologia i neurologia są bowiem także na niej ugruntowane i nie mają innego liczącego się punktu odniesienia. Jednak nie tylko nieudolność terminologiczna, ale kompletny brak znajomości podstawowej literatury przedmiotu charakteryzuje tekst Klementewicza. Powołuje się on na prace popularne i to nawet te gorsze, a na dodatek w szczątkowym zakresie. Zapytam więc o znajomość publikacji Williama D. Hamiltona, George C. Williamsa, Ernsta Mayra, Johna Maynarda Smitha, Richarda E. Michoda, czy chociażby Richarda Dawkinsa. Nazwisko tego ostatniego, jak i Edwarda O. Wilsona autor wymienia raz. Jednak nie cytuje żadnej ich pracy. **Klementewicz podejmuje temat, z zakresu którego nie zna jakiegokolwiek liczącej się literatury naukowej.** W efekcie takiej nieodpowiedzialności jego tekst jest popisem amatorszczyzny zrodzonej kompletnym brakiem erudycji, osobistą zarozumiałością i skłonnością do popadania w wymagany świat, w którym dobry nastrój utrzymuje się, zadowolając symulowaniem znajomości badanej problematyki i szeptaniem szefowi ciepłych słów, z których jedno, porównujące go do wielkiego francuskiego pisarza, nawet – chyba mimochodem – utrwaliło się drukiem. *Rozumienie polityki* to popis symulowania pracy naukowej, której najbardziej rzucającym się w oczy przejawem jest wielka liczba wymienionych w tekście znanych nazwisk. Lektura tekstu dowodzi, że Klementewicz zupełnie nie zna łączącego się z nimi dorobku.

11) w polskiej politologii nie ma już obecnie żadnych hamulców, jeśli chodzi o tworzenie nonsensownych twierdzeń czy pseudoteorii. Gratulować można Klementewiczowi wyobraźni, kiedy w *Rozumieniu polityki* pisze o **konieczności rozwinięcia teorii stosunków międzynarodowych w społeczeństwach rolniczych**<sup>117</sup>. Czemu nie posunąć się dalej i nie zbudować od razu teorii stosunków międzynarodowych neandertalczyków, a może nawet szympanсів. Są to bardzo ruchliwe zwierzęta, wyznaczające granice, zdolne bronić i zdobywać terytoria za pomocą łupieżczych wypraw. Zupełnie niedorzeczna jest też na przykład teza, że Grecy, Etruskowie i Rzymianie „zainicjowali politykę jako arenę ścierania się interesów, głównie ekonomicznych”<sup>118</sup>. Klementewicz nie zna historii i nie wie, że tego rodzaju procesy znacznie wcześniej, bo w czwartym tysiącleciu p.n.e. miały miejsce w Egipcie i w Mezopotamii<sup>119</sup>. Takie twierdzenia są nie tylko efektem braku erudycji, ale przede wszystkim skutkiem zagubienia teoretycznego, kiedy dowolne zjawiska można uznawać za polityczne, gdy nie rozumie się, dlaczego istnieją dyscypliny i po co wytycza się pomiędzy nimi granice. **Który z teorety-**

117 *Ibidem*, s. 280.

118 *Ibidem*, s. 38–39.

119 Literatura na ten temat powstawała przynajmniej w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Zob. R. Skarzyński, *Powstanie polityki i początki prehistorii stosunków międzynarodowych*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17, s. 22–31.

## **ków polityki odpowie na elementarne pytanie: czym różni się społeczna organizacja szympansów od ludzkiej?**

12) syndromatyczne podejście do polityki jest efektem braku jakiegokolwiek liczącego się rodowodu intelektualnego i tym bardziej teoretycznego. **Jeśli nawet próbuje się wyodrębnić syndromy zjawisk politycznych, to przecież nie unika się pytania o kryterium dokonywanego osądu.** Dla Karwata jest nim „ewidentność”<sup>120</sup>. Warszawski profesor nie waha się nawet pisać o zjawiskach „zdecydowanie syndromatycznych”<sup>121</sup>. Takie podejście niczego nie wyjaśnia i dlatego jest metodologicznie niedopuszczalne. Nie mówiąc już o tym, że ono jedynie frustruje i denerwuje czytelnika. Kiedy twierdzenie niczego nie wyjaśnia, nie da się go zastosować do jakichkolwiek badań. Karwat i jego współpracownicy nie są w stanie dostrzec, że proponują politologom koncentrację uwagi na zewnętrznych objawach zjawisk politycznych, nie tylko nie wyjaśniając ich źródeł, istoty, ale i nie podając kryterium wskazującego, dlaczego jedne są ważne, a pozostałe akurat mniej lub są bez znaczenia. **W ten sposób nakłaniają do unikania dyskusji nad przedmiotem poznania politologii i odwracają uwagę od tego, co konstytuuje zjawiska polityczne, czyli określa to, co polityczne w ramach tego, co społeczne.** Oni po prostu zacierają podstawowe problemy badawcze i starają się ukryć dylemat, jaki politolodzy muszą rozstrzygnąć. **Politologia syndromatyczna to tylko ładnie nazwany wariant uprawianej na uniwersytecie politologii potocznej, czyli pseudonauki.**

13) drogą Karwata kroczy Klementewicz, skupiając swoją uwagę na cechach i formach zjawisk politycznych. Jednak warszawski autor nie określa, czym one są, ani jakie mają być kryteria ich doboru, lecz w swoich analizach kieruje się wyłącznie wyczuciem. Przyjmując niesamodzielność poznawczą politologii, Klementewicz niejasno mówi o poziomach refleksji nad zjawiskami politycznymi, nie definiuje jednak sfery politycznej, ani nawet nie szkicuje z grubsza, jak rozumie tę ostatnią kwestię. A przecież, jeśli ciągle mówi się o politycznej sferze życia społecznego, to trzeba by ją bliżej określić. Czy rozumie się ją na przykład, jak pojmowali Arystoteles, Hannah Arendt, Ralf Dahrendorf i Jürgen Habermas (każdy z nich zresztą na swój sposób), Weber, Dahl czy Hobbes lub Schmitt (spośród nich też każdy widział ją inaczej). Takie podejście, spowodowane brakami erudycyjnymi autora, nie prowadzi do wyjaśniania zjawisk, ale do ich zaciemniania. Faktycznie mówimy o tym, co ma na myśli Klementewicz, nie wiedząc, o co chodzi. Próba samodzielnelnego zmierzenia się Klementewicza z problemem statusu politologii (zrodzona pewnie bardziej przez nieznamość literatury aniżeli osobiste ambicje) wymusza jakieś rozumienie społeczeństwa, państwa, tego, co polityczne, sfery publicznej, ale czytelnik nie może wiele ustalić w kontekście kwiecistych, lecz

120 M. Karwat: *Syndromatyczny charakter...*, op. cit., s. 186.

121 *Ibidem*



mało komunikatywnych sformułowań autora i preferencji generowanych uczuciami. Zawarte w książce rozważania skłaniają do wniosku, że socjologiczna i politologiczna wiedza autora są ograniczone do znajomości pewnych haseł i nazwisk, ale już nie przełomowych dzieł i problemów badawczych. Stąd właśnie biorą się liczne nonsensy, które mogą u czytelnika wzbudzać sprzeciw. Argumentacja zawarta w *Rozumieniu polityki* wspiera się na pozbawionej ugruntowania tezie, że wielopoziomowa wiedza o świecie polityki nie posiada fundamentu<sup>122</sup>. Jeśli tak, to jak istnieje? Wisi w powietrzu? Lewituje w świadomości uczonych? Niestety, tej kwestii autor nie poświęca uwagi. A ja znam przynajmniej cztery fundamenty owej wiedzy: wiedzę potoczną, wiedzę uchodzącą za objawioną, wiedzę promowaną za pomocą doktryn świeckich i wiedzę teoretyczną. Rola tej ostatniej jest mała, ale jednak coraz bardziej się zaznacza. **Traktuję tezę o braku fundamentu wiedzy politologicznej w kontekście tezy o jej niesamodzielności jako jeden z licznie obecnych w *Rozumieniu polityki* nonsensów. Z pewnością może on aspirować do tytułu szczytowego nonsensu politologii III Rzeczypospolitej.**

14) specyfikę „podejścia” do polityki określa wedle Klementewicza ujęcie „człowieka jako całości bio– psycho– socjokulturowej”, warstwy: społeczna, historyczna, ograniczona dostępność źródeł (ponieważ politolog bada rzeczywistość otwartą, czyli taką, która nie jest ukończona, ale aktualnie się staje), a także sposób ujmowania zjawisk, różny od demografii i socjologii. „Rzeczywistość polityczna wypełniona jest wydarzeniami jednostkowymi, będącymi przejawem gry i walki politycznej, w wyniku której realizuje się bieżący program polityczny państwa”<sup>123</sup>. W tych sformułowaniach ujawnia się cała intuicyjność wiedzy socjologicznej i politologicznej Klementewicza, oparta nie na erudycji i przemyśleniach, ale na przeżywaniu uczuć i uległości wobec treści aprobowanych przez ludzi rozumujących potocznie. Dlatego w cytowanym zdaniu tak łatwo popełnia on elementarny błąd, opisany przez Schmitta blisko sto lat temu. Otóż **autor rozpatruje politykę z perspektywy państwa, a państwo z perspektywy polityki**. Faktycznie zaś posuwa się jeszcze dalej i głosi: rzeczywistość polityczną określają gry i działania polityczne, co pozwala funkcjonować państwu. Tak oto koło się zamyka i ujawniają utajone podstawy rozumowania autora. On to, co jest *par excellence* polityczne, a więc państwo, tłumaczy w kategoriach rzeczywistości politycznej, by tę pojmować w kontekście obecności w niej państwa. Nieświadomy, że to, co polityczne jest wtórne wobec tego, co społeczne i musi być umiejscowione w ramach tego, co nie jest polityczne. Inaczej wszystko jest polityczne, czyli nic nie jest polityczne. Tego oczywiście Klementewicz wiedzieć nie może, ponieważ nie rozumie znaczenia ustaleń poczynionych na gruncie niemieckiej tradycji prawa i socjologii (nie odwołuje się do żadnej pracy powstałej w jej ramach).

122 Obecna jest w całej książce *Rozumienie polityki*, a dosadnie została wyłożona na s. 82.

123 *Ibidem*, s. 100.

W ten sposób dostarcza kolejnego dowodu niezrozumienia dorobku politologii, który nie jest taki, że można go lekceważyć i prowadzić dowolne dywagacje.

15) objawowe „podejście” do politologii powoduje, że Klementewicz wymienia dowolne cechy badanego zjawiska (także natury ludzkiej<sup>124</sup>), ale nie wiemy, dlaczego akurat te, a nie inne i jakie kryteria przesądziły o wyborze. Jest to wielka słabość jego wykładu. Daje nam wiedzę nie tylko wątpliwą, ale rozproszoną, trudną do zebrania i krytyki. Sam autor do pewnego stopnia zdaje sobie sprawę z tego, że jego wywód rozrywają sprzeczności i brak mu logiki. Daje temu świadectwo, pisząc: „Politolog bada więc fakty złożone o charakterze syndromu. Jeśli dołożymy do tego faktu wieloparadygmatową strukturę badań politologicznych, można by się spodziewać kakofonii wypowiedzi o świecie polityki, jak przed koncertem orkiestry symfonicznej. Jednak istnieje jedna politologia. Ponieważ wiarygodnej, cennej poznawczo wiedzy o polityce dostarczają tylko te orientacje teoretyczno–metodologiczne, które stoją na gruncie realizmu poznawczego, choćby umiarkowanego”<sup>125</sup>. Mamy tu do czynienia z przykładem cichego przemycania do pracy naukowej naiwnej wiary w realizm. W efekcie tego nasuwa się pytanie: kim jest autor? Politologiem chyba nie jest! Naukowcem też nie? Więc kim? **Pozostaje tylko jedno wyjaśnienie: mamy tu do czynienia z promotorem politologii potocznej, który działa nie na gruncie erudycji, ale intuicji.**

16) trudno cokolwiek krytykować w szczegółowym ujęciu Klementewicza, w którym wszystko opiera się na odczuciach, a argumentacja jest chaotyczna i pozbawiona odniesienia do aktualnej wiedzy. Autor na przykład głosi, że przedstawił podstawową charakterystykę natury gatunkowej człowieka<sup>126</sup>. A ja nie znajduję potwierdzenia tego w tekście, ponieważ on jedynie wybiórczo, dowolnie wyliczył niektóre jej składniki. Może spróbuje odpowiedzieć na elementarne pytania o to, jak ukształtowały się cechy natury ludzkiej i jak ujawniają się w działaniach politycznych? Natura ludzka nie jest bowiem zestawem przypadkowych objawów (dających się sprowadzić do listy), ale kształtowała się w efekcie działania doboru naturalnego w czasie milionów lat. Czy Klementewicz chociaż trochę zdaje sobie sprawę z tego, jak ten proces przebiegał? Tekst *Rozumienia polityki* zmusza do negatywnej odpowiedzi na to pytanie. Tymczasem problem natury ludzkiej jest jednym z głównych zadań badawczych dyscypliny politologii.

17) wysiłek teoretyków polityki jest tak wielki, że nie wahają się objawiać, iż teoria polityki jest niemożliwa, ponieważ nie akceptują jej wszyscy. Najwyraźniej chyba wyłożył tę tezę Karwat, który 12 maja 2010 r. w Poznaniu na konferencji „Czym jest teoria w politologii?” głosił „Zatem możliwa jest w tym pierwszym rozumieniu teoria (i to niejedna) genezy państwa, teoria wyjaśniająca zagła-

124 *Ibidem*, s. 83–88.

125 *Ibidem*, s. 80.

126 *Ibidem*, s. 82–88.

dę dinozaurów, okoliczności wybuchu II wojny światowej czy powody upadku i rozpadu ZSRR, względnie teoria z określoną tezą przewodnią (teoria ewolucji – w przeciwstawieniu do koncepcji kreacjonistycznych; teoria determinizmu dziejowego – w przeciwstawieniu do koncepcji woluntarystycznych czy heroicystycznych), lecz już nie teoria polityki, pod którą podpisaliby się wszyscy”<sup>127</sup>. Nie będę komentował wszystkich dramatycznych błędów zawartych w tym zdaniu. Zarówno ich liczba, charakter i zasięg muszą zastanawiać. Stwierdzę tylko: już samo pojęcie teorii zakłada wielość hipotez, w odróżnieniu od pojęcia doktryny, które hipotezę traktuje jak herezję. Doktryna narzuca wyłączność wiedzy ze względu na źródło pochodzenia. Teoria pociąga za sobą pluralizm hipotez poddawanych weryfikacji, ale nie dowolność w konstruowaniu podejść i prawo tych hipotez do wiecznego trwania. W miarę dojrzewania dyscypliny nauki ilość hipotez maleje, a ich sformułowanie staje się trudniejsze. Celem teorii rozumianej jako program badawczy rozciągnięty w czasie, podobnie jak doktryny, nie jest pluralizm, ale dopracowanie się finalnego stanowiska, wobec którego jednak zawsze może zostać przedstawiona alternatywa. Droga do tego jest wszakże inna. Wiedza doktrynalna od samego początku jest prezentowana jako „jedyna” prawda. Kulturowo się ją i chroni, starając, by nikt nie rzucił jej wyzwania. Wiedza teorii jest przejściowym ustaleniem, wyłanianym zgodnie z procedurami metodologicznymi nauki, dopóki istnieją hipotezy konkurencyjne. Każda teoria naukowa czeka na odpowiednie wyzwanie. Odrzucenie teorii naukowej oznacza opowiedzenie się za doktryną. Kto nie rozumie fundamentalnych różnic pomiędzy teorią i doktryną, nie powinien wypowiadać się na temat teorii polityki. Już dlatego, że nie wie, jak i dlaczego istnieją doktryny, a także nie zdaje sobie sprawy z jakich przyczyn ludzki umysł powoli, opornie przechodzi do posługiwania się teoriami i ogranicza wpływ doktryn. Aby to pojąć, trzeba znać badania nad ludzkim umysłem i rozumieć, jak on posługuje się wiedzą o różnym znaczeniu i odmiennych funkcjach. Gdy to się pozna, nie stwierdzi się wówczas, że teoria ewolucji jest teorią z określoną tezą przewodnią, ponieważ taka wypowiedź jest dowodem, że Karwat uważa teorię ewolucji za doktrynę. Tym samym dowodzi, że nie zdaje sobie sprawy w elementarnym zakresie z tego, jak funkcjonuje wiedza naukowa. Na przykład nie wie, czym różni się twierdzenie doktrynalne od hipotezy charakterystycznej dla teorii i postawiona hipoteza od hipotezy potwierdzonej empirycznie (nie ma i nie może być doktryny potwierdzonej empirycznie). Dla ułatwienia dodam, że to, co Karwat nazywa „teorią z określoną tezą przewodnią”, jest teorią, na którą składają się hipotezy – podstawowe z nich zostały potwierdzone, a ewolucja jest uznawana za fakt. Wyjaśnia go teoria sformułowana przez Darwina. Warto z tego zdać sobie sprawę, zanim zacznie się pisać o teorii.

127 M. Karwat, *Czym jest teoria w politologii? Rodzaje teorii w nauce o polityce*, [http://wnpid.amu.edu.pl/attachments/787\\_Prof.%20Karwat%20-%20referat.pdf](http://wnpid.amu.edu.pl/attachments/787_Prof.%20Karwat%20-%20referat.pdf) (30.09.2010).

18) modne stało się „podejście politologiczne”. Jeśli to określenie mogło coś znaczyć za życia Ryszki, gdy trwały dyskusje i czegoś szukano, to dzisiaj nikt już nie wie, czym takie stanowisko miałyby odróżniać się od socjologicznego czy historycznego. Nikt nawet nie próbuje go zdefiniować. Wprawdzie dwadzieścia lat temu wprowadziłem ten problem do obiegu<sup>128</sup>, ale nikt nie podjął pałeczki i nie zdołałem zainicjować wymiany myśli na ten temat. Dzisiaj doszło do tego, że w pracy habilitacyjnej wystarczy zadeklarować, że przyjmuje się taką perspektywę. Niczego nie trzeba wyjaśniać<sup>129</sup>. Niejasność w tym zakresie wielkim nakładem pracy podtrzymuje swoimi licznymi książkami Mirosław Karwat. Stanowisko reprezentowane przez niego dowodzi, że uważa on politologię za dziedzinę, która istnieje instynktownie, wsparta uczuciami i emocjami, a jej przedmiot poznania nie jest możliwy do określenia<sup>130</sup> poza syndromami i aspektami. Jedną z jego najobszerniejszych książek nosi tytuł *Teoria prowokacji. Analiza politologiczna*. Można się spodziewać, że we wstępie znajdziemy wykładnię założeń podejścia politologicznego. Kto by jednak tak uważał, okazuje tylko brak zorientowania w zakresie dorobku politologii III Rzeczypospolitej. Karwat ogranicza się do stwierdzenia, że pracę napisał politolog<sup>131</sup>. Czyżby więc uważał, że podejście politologiczne po prostu sprowadza się do analizy dokonanej przez politologa? Jednak omawiając prowokację polityczną, autor nie może uniknąć problemu tego, co polityczne. Podchodzi do niego po cichu, z boku, jakby obawiał się skutków, nie unikając jednak charakterystycznego dla siebie moralizowania. „Polityczny charakter nadaje danemu działaniu (aktowi dobrej lub złej woli) uwikłanie w relację między interesami partykularnymi rozmaitych wielkich grup społecznych, a także małych grup (zespołów, ekip, koterii, klik) i jednostek a interesem powszechnym, dobrem wspólnym i warunkami równowagi ogólnospołecznej, integracji, wymogami ciągłości istnienia i zachowania tożsamości danej wspólnoty; oraz odpowiednio – w relację między dążeniami partykularnymi a wolą zbiorową, między stroniczymi wyobrażeniami określonych grup a opinią względnie powszechną”<sup>132</sup>. To niezwykle zdanie obrazuje charakterystyczną dla teoretyków polityki nieporadność językową, terminologiczną i koncepcyjną. Ujawnia całą ich bezradność w zakresie analizy poznawanego obiektu. Gdy się w nie dobrze wczytać, mówi nam, że działania polityczne podejmują związki zawodowe, komitety sportowe, bankierzy, a pewnie i może je zainicjować bardziej aktywne koło gospodyń wiejskich czy związek filatelistów (jest to „podejście” nieomal powszechne w polskiej politologii). Czyli wszyscy prowadzą politykę. Wystarczy nieprzed-

128 R. Skarzyński, *Historia myśli politycznej w ujęciu politologicznym. Zarys koncepcji*, „Studia Polityczne” 1992, nr 1, s. 110–118.

129 J. Czaputowicz, *Teorie stosunków międzynarodowych...*, op. cit., s. 11.

130 Np. teksty Karwata *Specyfika metodologiczna...*, op. cit., s. 97–105 i *Cecha polityczności...*, op. cit., s. 65–67.

131 M. Karwat, *Teoria prowokacji. Analiza politologiczna*, Warszawa 2007, s. 14.

132 *Ibidem*, s. 178.

kładanie swoich interesów nad powszechnymi i równowagą społeczną, a będzie to przyzwoita polityka, wyrosła z aprobowanego przez Karwata aktu dobrej woli. Ciekawe, co znaczy termin „opinia względnie powszechna”? Po co tu został użyty? **Dzielo Karwata dowodzi, że unikanie problemu tego, co polityczne prowadzi politologa jedynie do zagubienia teoretycznego i metodologicznego, zmuszając do posługiwania się pojęciami dobieranymi w pośpiechu, przypadkowo, bez głębszej refleksji i odniesienia do tradycji teorii politologii.**

19) profesorowie teorii polityki gubią się i uciekają w badania nad zjawiskami drugorzędnymi, w których jak na dłoni widać brak nie tylko zrozumienia, ale nawet świadomości istnienia podstawowego dylematu politologii. Dlatego żaden obecnie żyjący profesor teorii polityki, nawet bliski emerytury czy już emeryt, nie napisał podręcznika z tej dziedziny wiedzy. Są wprawdzie publikowane książki pod tym tytułem, ale one analizę pojęć czy pojedynczych, analizowanych w odezwaniu zjawisk, myślą z teorią<sup>133</sup>. Są to w istocie pseudopodręczniki z pseudoteorii, powstałe w nieprzemyślanych aktach adaptacji staromodnie i powierzchownie rozumianych nauk politycznych, a nie wykłady teorii polityki. Streszczenia poglądów różnych autorów, nierzadko przepisane z innych książek lub napisane wedle obecnych tam wzorców (jeszcze z czasów Bodnara) na temat paru przypadkowo wybranych pojęć i determinant nie tworzą zarysu jakiegokolwiek teorii. Opierają się także na podstawowych dla politologa błędach, jak definiowanie władzy politycznej w kontekście przymusu i dóbr publicznych<sup>134</sup>.

20) sprytni młodzi doktorzy, a nawet magistrzy politologii, bez żadnego doświadczenia dydaktycznego, o erudycji nie mówiąc, bez przygotowania teoretycznego i warsztatu metodologicznego, piszą podręczniki i nikt tego nie ocenia. W tych książkach przepisują od kolegów i z internetu, używając zwrotów: „pojawiają się opinie”, „wskazuje się”, „twierdzi się” czy „uznaje się”. Tacy autorzy nie mają żadnych poglądów, doświadczenia i zdolności oceny stanu nauki. Najnowsze światowe tendencje w politologii i naukach pomocniczych, jak psychologia, neurologia, genetyka, historia czy socjologia są im obce. Streszczają poglądy kolegów, nierzadko posiłkując się starymi podręcznikami z czasów Centralnego Ośrodka Metodycznego Studiów Nauk Politycznych. Nie tylko w kolejnych słownikach i nieszczęsnej *Encyklopedii politologii*, ale w książkach publikowanych pod tytułami, których poważni profesorowie nierzadko nie mieliby odwagi

133 M. Chmaj i M. Żmigrodzki (*Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin 1996), A. Laska i J. Nocoń, (*Teoria polityki...*, *op. cit.*).

134 Laska i Nocoń piszą: „[...] władza polityczna to układ stosunków społecznych zachodzący pomiędzy określonymi podmiotami, polegający na możliwości stosowania trwałego i instytucjonalnego przymusu w celu dystrybucji, ochrony i kreacji dóbr publicznych” (*Teoria polityki...*, *op. cit.*, s. 146). Nie tylko nie uwzględniają w ten sposób symbolicznych podstaw władzy politycznej (z nich wynikają jej uprawnienia), nie dostrzegają, że publiczny charakter władzy politycznej nie jest specjalnie ważny (władza pozbawiona statusu politycznego często jest publiczna, a publiczne funkcjonowanie władzy politycznej jest przez politologów źle rozumiane), ale także stan swojej znajomości problemu tego, co polityczne kamuflują niezrozumiałym pojęciem „określonych podmiotów”.

napisać. Tymczasem młodzi doktorzy, bez doświadczenia dydaktycznego i erudycji nabywanej latami żmudnej praktyki badawczej, nie mają żadnych skłonności, aby przemyśleć przedstawiane problemy (nieświadomi, ile potrzeba do tego czasu) i nie mają zahamowań, by pisać czy może raczej przepisywać, co im wpadnie w oko<sup>135</sup>. Właśnie wspomniana *Encyklopedia politologii* pod redakcją Marka Żmigrodzkiego, w znacznej mierze **napisana nawet nie przez początkujących doktorów, ale doktorantów**, jest przykładem upadku warsztatowego i erudycyjnego politologii. To, do czego niegdyś dochodzono przez dziesięciolecia, grupa magistrów i początkujących doktorów pod wodzą odważnych i nierozważnych profesorów wyprodukowała w przerwach między zajęciami studiów doktoranckich. Wielotomowy efekt zdaje się pobudzać do refleksji, że nawet w czasach *Wikipedii* ta droga powinna być zaniechana. Tym bardziej, że akurat politologia to dyscyplina mająca szczególne problemy z własnym aparatem terminologicznym. Powstaje pytanie: czy w czasach *Ipada* ma jeszcze sens pisanie narodowych encyklopedii, zwłaszcza w zakresie dyscyplin nauki?

21) w literaturze politologicznej szeroko jest powielany kompromitujący błąd logiczny, gdy politykę lub to, co polityczne definiuje się przez to, co polityczne<sup>136</sup>, bez jakiegokolwiek troski o słowo i gotowości do głębszego wywodu socjologicznego (ten zastępuje się referowaniem poglądów kolegów, czyli nowoczesnym wariantem scholastyki). Dominuje wygodny pogląd, że teoria polityki jest niemożliwa, a nawet obecnie niepotrzebna. Jeśli nie jest możliwe napisanie podręcznika w zakresie teoretycznych podstaw jakiejś dyscypliny wiedzy, to albo ona nie istnieje, albo ci, którzy uważają, iż ją uprawiają, faktycznie nie wiedzą, czym się zajmują. Definiowanie tego, co polityczne przez polityczne jest efektem upadku teorii polityki do poziomu uniemożliwiającego dostrzeżenie elementarnych błędów logicznych i utratę zdolności do badania tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne.

135 Np. J. Potulski, *Socjologia polityki...*, *op. cit.* – tom ukazał się w 2008 r. (autor uzyskał doktorat w 2003 r.); A. Laska, J. Nocoń, *Teoria polityki...*, *op. cit.* – pierwsze wydanie książki ukazało się w 2005 r. (doktoraty 2008 i 2002).

136 B. Krauz-Mozer: „Stosunki polityczne to taka bowiem płaszczyzna wzajemnych odniesień, które w konkretnym układzie społecznym mają znaczenie polityczne” (*Metodologiczne problemy...*, *op. cit.*, s. 11); T. Klementewicz: „Rzeczywistość polityczna wypełniona jest wydarzeniami jednostkowymi, będącymi przejawem gry i walki politycznej, w wyniku której realizuje się bieżący program polityczny państwa” (*Rozumienie polityki...*, *op. cit.*, s. 100); Z. Blok: „Te części, najważniejszych dla egzystencji społeczeństw, rodzajów aktywności, które nabierają cech zjawisk i procesów politycznych proponujemy nazwać polami polityki pierwszego stopnia” (*O polityczności...*, *op. cit.*, s. 64); S. Wróbel: „Najczęściej w ujęciu podmiotowym politykę określa się jako dziedzinę (sferę, zespół, całokształt itp.) działań zmierzających przy pomocy władzy politycznej do osiągnięcia celów społecznych zaspokajających indywidualne oraz zbiorowe potrzeby i interesy” (*Polityka i proces polityczny...*, *op. cit.*, s. 246); J. Sielski: „Polityka współczesna to ciąg zjawisk politycznych – od tworzenia bodźców po implementację polityczną – w celu realizacji własnych interesów grupowych i osobistych przez neutralizację przeciwstawnych interesów i wywoływanie subiektywnych skutków wpływających sugestywnie na otoczenie polityczne” (*Wyznaczniki politologii*, (w:) A. Antoszewski, A. Dumala, B. Krauz-Mozer, K. Radzik (red.), *Teoretyczne i metodologiczne...*, *op. cit.*, s. 84).

22) politologia sprawia wrażenie dyscypliny „wielobiegunowej”. Tylko tym słynnym terminem potocznej pseudonauki o stosunkach międzynarodowych, którego jeszcze nikt poważnie nie badał od strony poprawności językowej i metodologicznej, można opisać sposób wyjaśniania dominujący w publikacjach politologicznych. Zwykle bowiem czytamy, że nie ma jednego poglądu na dany problem, potem referuje się opinie kilku autorów (Arystotelesa, Platona, kolegów, albo przepisuje z amerykańskich traktatów rozwijających wizję amerykańskiej „hegemonicznej stabilności”), by na koniec uniknąć jakichkolwiek konkluzji. **Wnioski bowiem to coś bardzo trudnego dla politologa, nawet w pracy habilitacyjnej.** Ów standard wielobiegunowości pozwala symulować uprawianie nauki, gdyż tworzy już nowy wzorzec zachowania. Trzymanie się go gwarantuje sukces, wykroczenie może narażać na krytykę. Zrozumiałe jest, że kandydaci do stopnia naukowego unikają wyrażania poglądów i stają się konformistami. Przez lata ćwiczeni w posłuszeństwie przeobrażają się w tchórzy. Tak oto pozorna wielobiegunowość urasta do rangi ważnej instytucji społecznej, promującej w końcu poddaństwo i wazelinarstwo. Nauka zabija się sama, a kolejne rządy III Rzeczypospolitej coraz silniej wspomagają ten proces, symulując jej finansowanie i utrzymując wadliwe prawo.

23) nie może więc dziwić, że kierownikami zakładów i katedr teorii polityki zostają historycy, socjologowie czy ekonomiści, którzy nie wiedzą czym jest teoria polityki, a o istnieniu problemu tego, co polityczne nie słyszeli. Właśnie dlatego obejmują te funkcje, ponieważ mogą bez wykształcenia i dorobku w zakresie teorii polityki trwać w błogim stanie nieświadomości śmieszności własnego położenia.

24) z racji dominacji w środowisku teoretyków polityki uprawiających pseudonaukę **w zakładach teorii polityki może pracować każdy i powoli stają się one gułagami polskich uniwersytetów.** Posyła się tam prawdopodobnie tych profesorów, dla których nie ma lepszego miejsca albo wrogów. Na przykład w Zakładzie Teorii Polityki krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego pracuje profesor, która habilitowała się na temat: „Sport zawodniczy a style życia. Studium socjologiczne kobiet czynnych w sporcie”<sup>137</sup>. W Zakładzie Teorii Polityki i Myśli Politycznej na Uniwersytecie Łódzkim etat zajmuje profesor habilitowana przed wieloma laty na Wydziale Przemysłu Akademii Ekonomicznej w Katowicach na podstawie pracy „Fazy życia zawodowego i rodzinnego”. Połączenie w jednej placówce problematyki teorii polityki i historii myśli politycznej jest efektem braku zrozumienia podstawowej problematyki politologicznej. Nie można się jednak temu dziwić, skoro jej kierownikiem jest historyk<sup>138</sup>. Kierownikiem Zakładu Teorii Polityki na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego jest ekonomista specjalizują-

137 <http://politologia.up.krakow.pl/index.php/institut/struktura-organizacyjna> (01.10.2010).

138 <http://wsmp.uni.lodz.pl/jednostki/ZTPiMP/ZTPiMP.htm> (15.09.2010).

cy się w pisaniu książek na temat gospodarki światowej i marketingu międzynarodowego<sup>139</sup>. Kieruje on też Zakładem Teorii Polityki Uniwersytetu Gdańskiego. Jego skład został tak pieczołowicie dobrany, że wśród dziewięciu pracowników placówki ze stopniem doktora nie ma żadnej promowanej w zakresie teorii polityki<sup>140</sup>. Powyższe przykłady można bez trudu mnożyć. W każdym razie triumf pseudoteorii polityki prowadzi do masowej inwazji imigrantów na uniwersyteckie wydziały politologii, już nie tylko historyków, prawników i socjologów. Tutaj przyjmuje się każdego, kto nie może znaleźć miejsca wśród kolegów z własnej dyscypliny. **Czy na uniwersyteckich wydziałach politologii w Polsce istnieje chociażby jedna jednostka organizacyjna, której pracownicy faktycznie zajmowałiby się teorią i metodologią politologii?** Nie ma jej przecież w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Poznaniu.

25) kierunek rozwoju teorii polityki rzutuje też na metodologię politologii. Szczególnym przypadkiem jest Zakład Metodologii Badań Politycznych Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza<sup>141</sup>. Dlaczego został nazwany zakładem badań „politycznych”? Wnioskować można, że pracownicy nie tylko nie mają przygotowania do pracy nad problematyką firmowaną nazwą ich jednostki. W ogóle nie wiedzą, o co w tym przypadku chodzi, nie rozróżniają pomiędzy tym, co polityczne i politologią. Inaczej nie użyliby w nazwie zakładu słowa „polityczny”.

26) powierzanie zakładów teorii i metodologii na wydziałach politologii filozofom i historykom jest nagminne. Już tylko dlatego, że osoby z wykształceniem uzyskanym na wydziałach politologii nie mają kwalifikacji, w wyniku działalności teoretyków polityki do tego typu pracy, a **filozofowie i historycy żadnej pracy się nie boją, przeświadczeni o swojej teoretycznej i intelektualnej wyższości nad politologami**. Jest ono słuszne, tylko że opacznie interpretowane ich samych prowadzi na manowce i ośmiesza<sup>142</sup>. Zdaje się, że jedynym wydziałem

139 <http://www.ukw.edu.pl/pokazStrone.php?idStr=2c8566ee3e0d3c214757> (12.08.2010).

140 <http://www.politologia.univ.gda.pl/struktura.html> (20.09.2010).

141 <http://wnpid.amu.edu.pl/kadra.html?catid=29> (02.10. 2010).

142 Chyba najwyraźniej ogłosił poczucie wyższości filozofów wobec politologów Stefan Opara, samozwańczy teoretyk polityki (bez dorobku i znajomości podstawowej literatury przedmiotu w tym zakresie), który ze swadą i słusznie wytyka politologom elementarne błędy, nie rozumiejąc jednak, że sam powieła szereg z nich. Chociażby przedstawiając definicję polityki, która jest nieprecyzyjna i złudna (definiowanie polityki przez proste odniesienie jej do państwa jest tyle samo warte, co określanie przez odniesienie do władzy publicznej – akurat drugie podejście słusznie zostało skrytykowane przez autora, ale nie wskazuje on, co z tego wynika). Prowadzi to do rozciągnięcia przez Oparę rozumienia polityki praktycznie na każde działanie społeczne w efekcie wyodrębnienia trzech typów polityki, przede wszystkim zaś polityki wpływu (*Tyrania złudzeń. Studia z filozofii polityki*, Warszawa 2009, s. 26–28). Z tekstu widać, że Opara poza klasycznymi traktatami filozoficznymi nie jest w stanie powołać się na jakiegokolwiek inny tekst i uważa, że niepodważalny wzorzec myślenia o polityce ustalono w starożytnej Grecji, a Machiavelli i Hobbes tylko go powieliili. Opara to klasyczny przykład filozofa, którego horyzont poznawczy wytycza własna zarozumiałość, dokładnie w najgorszym stylu platońskim. Jest to typ filozofa, który – nie znając się na problemie, pozbawiony dostępnej wiedzy, bez elementarnej znajomości literatury przedmiotu – za nic ma ustalenia obcej mu dyscypliny i z wielką pewnością siebie wypowiada się tylko dlatego, ponieważ jest filozofem. Wie, że nie wie wszystkiego, ale uważa, że wszystko wie lepiej aniżeli inni, a z pewnością lepiej aniżeli politolodzy. Dlatego ogłasza, że „globalistyka” jest subdyscypli-



uniwersyteckim, który przez długi czas nie miał jednostki teorii i metodologii jest Wydział Politologii UMCS. Zastanawiam się, jak do tego doszło?<sup>143</sup> Skoro w jednej z najstarszych placówek politologicznych w Polsce, od lat oficjalnie istniejącej niejako domyślnie (z powodu braku zakładu teorii polityki), napotykamy na taki stan, to jak mogą najmłodsze uniwersyteckie środowiska politologiczne (w Opolu, Olsztynie czy Zielonej Górze) od razu tworzyć zakłady tego typu i otrzymywać uprawnienia doktorskie. Tylko w efekcie zamętu wzbudzonego przez teoretyków polityki? **Powierzenie placówek teorii polityki i metodologii politologii zagubionym politologom lub ludziom spoza branży jest karygodnym błędem.** Oni nie tylko nie tworzą niczego, lecz skutecznie rozbijają środowisko politologiczne, studentom zaś przekazują wiedzę nie wątpliwą, ale fałszywą. Wystarczy przejrzeć cytowane w tym tomie publikacje pokonferencyjne profesorów teorii i metodologii politologii, aby się o tym przekonać. **Warto pamiętać, że teorii prawa i teorii wiedzy historycznej w XX w. nie tworzyli filozofowie. Dokonali tego sami wnikliwi prawnicy i historycy, ponieważ tylko ludzie, którzy poważnie i przez długie lata uprawiają daną dziedzinę wiedzy, mogą budować jej podstawy. Inni tego nie dokonają. Mogą jedynie wystawiać jak najgorsze świadectwo politologom.**

27) teoria polityki trwa tylko dzięki swojej niejasności. Stan ten pracownicy umacniają teoretycy polityki, którzy zajmują się symulowaniem pracy naukowej. Nie pozostaje to jednak bez wpływu na politologię. **Niejasność teorii polityki pociąga za sobą niejasność politologii i powoli sprowadza ją do statusu „politologii”, czyli imitacji wiedzy, faktycznie pozbawionej swojego miejsca wśród nauk społecznych, coraz bardziej poddającej się ekspansji badaczy z innych nauk społecznych, przede wszystkim zaś historii.** Widać to między innymi w braku zdolności określenia tradycji myśli politologicznej, specyfiki podejścia politologicznego i bezwarunkowej kapitulacji na polu debaty na temat przedmiotu poznania politologii.

28) wydziały i instytuty szumnie nazywane politologicznymi, pomimo że istnieją już dziesiątki lat, nie kształcą kadry zdolnej wytworzyć odrębne środowiska politologiczne, dlatego są w znacznej mierze opanowane, a nawet zdominowane przez osoby, które zdobyły wykształcenie na wydziałach prawa, socjologii,

---

na politologii (*ibidem*, s. 163), tym samym nieświadomy, że naśladuje tylko nieodpowiedzialnych politologów, którzy za część politologii uznają dowolną problematykę, ponieważ nie wiedzą, co jest przedmiotem poznania ich dyscypliny, a w związku z tym nie mogą ustalić jej granic. Nie zdziwię się, jeśli olsztyńscy uczniowie Opatry za część politologii uznają ornitologię i gerontologię. Przecież mogą one być zakwalifikowane, na zasadach proponowanych przez mistrza, jako subdyscypliny ekopolityki i polityki społecznej. Oto do czego prowadzi ignorancja imigrantów, którzy nie rozumieją swego położenia i nie podlegają krytyce ze strony politologów.

143 Tym bardziej, że prawdopodobnie można mówić o lubelskiej szkole teorii polityki, reprezentowanej przez Marka Żmigrodzkiego, Marka Chmaja i Bogumiła Szmulika, która wszystko uznawała za politykę, a państwo definiowała bez uwzględnienia statusu politycznego. Zob. wyżej przypisy 1 i 2 na s. 25. Także tekst M. Żmigrodzkiego i B. Szmulika *Pojęcie, sposoby definiowania oraz cechy państwa* (w tomie pod ich redakcją: *Wprowadzenie do nauki o państwie...*, op. cit., s. 16).

a przede wszystkim historii. Ostatnia dziedzina wiedzy zawłaszczyła niejednego instytut czy wydział politologii. Może warto pod tym kątem dokonać przeglądu, zwłaszcza wśród jednostek, którym niedawno przyznano prawo do nadawania stopnia doktora. Czy one w ogóle dysponują przynajmniej jednym pracownikiem mającym dorobek w zakresie teorii polityki, nie mówiąc już o teorii politologii? Jakie są w nich proporcje profesorów, którzy ukończyli politologię i profesorów, którzy studiowali historię, ekonomię, prawo, socjologię itd. Oni nierzadko nie mają żadnego stopnia z politologii, nie zdawali z politologii żadnego egzaminu, a ich dorobek jest dowodem, że nie wiedzą, czym jest politologia. Przecież w tych placówkach stopnie z politologii głównie nadają historycy, którzy udają politologów. Oni nie mają żadnego dorobku w zakresie politologii i jakiegokolwiek znajomości dorobku tej dyscypliny naukowej, a na dodatek głoszą, że są politologami, bez jakiegokolwiek świadomości, że są politologami jedynie z nazwy, czyli uzurpatorami. Mamy tu do czynienia z ewidentnym oszustwem, które podtrzymują władze uniwersytetów. Do tego stanu doprowadzili profesorowie pseudoteorii polityki i pseudopolitologii, którzy nie wiedzą, czym jest ich dyscyplina i tym samym nie rozumieją, czym się zajmują. Dlatego właśnie udawać politologa może w zasadzie każdy, także absolwent wychowania fizycznego, gerontologii, zarządzania, fizyki czy chemii.

29) tym wszystkim procesom patronuje najstarszy wydział politologii w Polsce, Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Tutaj wprawdzie przyznaje się nagrodę im. Franciszka Ryszki, ale pracownicy za dbano, aby dorobek człowieka, który samotnie budował podstawy polskiej teorii polityki, został zapomniany. Czy po jego odejściu w piśmie Instytutu Nauk Politycznych ukazał się przynajmniej jeden tekst wspomnieniowy? Pośmiertne wydanie pism profesora, *Historia, polityka, państwo*, zostało przygotowane przez wrocławskie środowisko prawnicze. Tam pamięta i ceni się profesora, który we Wrocławiu spędził młodość. Na Krakowskim Przedmieściu 3, tym bardziej w jednostce organizacyjnej, którą profesor kierował w okresie ostatniej dekady życia, nikt nie pomyślał o przypomnieniu jego dorobku. Tutaj czyni się coś odwrotnego: pracuje nad zapomnieniem osiągnięć uczonego. **Czy aby lista wyróżnionych nie dowodzi, że nagroda im. Franciszka Ryszki jest przeznaczona wyłącznie dla politologów uległych wobec nauk teoretyków polityki zatrudnionych w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki?** Prace Ryszki czyta się poza Wydziałem Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, którego działalność jest w ogromnej mierze efektem sprzeniewierzenia się temu, co pozostawił po sobie mistrz. Jego nazwisko zostało wykorzystane w celach niezgodnych z etosem uniwersytetu. Jest to wyrazem braku uczciwości wobec zasłużonego profesora, który w trudnych warunkach komunizmu samotnie próbował rozwijać podstawy wiedzy o polityce. Dlatego nasuwa się pytanie: **czy Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego ma moralne**

**prawo do nazywania przyznawanej przez siebie nagrody imieniem profesora Franciszka Ryszki? Daje się bowiem zaobserwować drastyczną sprzeczność pomiędzy dążeniem do zapomnienia dorobku Ryszki i przyznawaniem nagrody jego imienia. Ona domaga się pilnego wytłumaczenia.**

30) poziom prac doktorskich i habilitacyjnych z politologii daleko odbiega od obowiązującego na prawie, historii, socjologii i ekonomii. Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje, okazuje się łatwa. Wśród ośmiu kandydatów zgłoszonych w 2010 r. przez wydziały politologii do Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów nie było ani jednej osoby, która ukończyła studia politologiczne. Na liście znaleźli się wyłącznie absolwenci prawa i historii, nierzadko o małym i wątpliwym dorobku, jeśli rozpatruje się go w kontekście fotela w tak szacownej komisji. Czterech, czyli połowa, nie uzyskała jakiegokolwiek stopnia w zakresie politologii. Żaden z kandydatów nie splamił się ani pracą z teorii polityki, ani też tekstem z metodologii politologii. W tym składzie widać jak na dłoni słabość absolwentów politologii, którzy nie mają dorobku, pozycji, autorytetu i nie są w stanie reprezentować swojej dyscypliny kilkadziesiąt lat po jej powstaniu. **Politology nawet nie są władni kontrolować dostępu do własnego środowiska**, jak robią to socjolodzy, prawnicy, o psychologach i historykach nie wspominając. Nie będą w stanie tego uczynić za kolejne kilkadziesiąt lat, ponieważ **kształcenie na wydziałach politologii skutecznie to uniemożliwia**. Powodem są produkty teoretyków polityki, które studentom tylko mieszają w głowach, a doktorantów prowadzą na manowce. Efektem tego jest także specyfika przewodów habilitacyjnych.

31) właściwie każda praca z wiedzy o społeczeństwie może stać się przedmiotem przewodu doktorskiego i habilitacyjnego z tego, co dzisiaj w Polsce określa się mianem „politologii”. Może to być praca o samorządzie, administracji, zarządzaniu, gerontologii, kobiecie samotnej, darmowej prasie, z zakresu gospodarki przestrzennej, regulacji ruchu drogowego albo o turystyce. **Na wydziałach politologii profesorowie nie oczekują politologicznego potraktowania problemu, ponieważ nie wiedzą, co to znaczy**. A więc można napisać standardowy tekst z potocznie rozumianej wiedzy o społeczeństwie. Nikt go nie zaakceptuje na prawie, historii czy socjologii, ale na uniwersyteckim wydziale politologii przyjmą go bez zastrzeżeń. Jeśli w tytule pojawia się słowo *polityka*, dla profesorów tychże placówek jest to już bez wątpienia praca z zakresu politologii, którą oni rozumieją na podobieństwo ludzi niewykształconych jako wiedzę o polityce. Jeśli rozprawa nosi na przykład tytuł *Muzyka jako instrument wpływu politycznego*, wydaje się, że jest to już politologiczna dysertacja. Tymczasem książka Iwony Massaki<sup>144</sup>, oprócz politologicznie brzmiącego tytułu, zawiera z pewnością wie-

144 I. Massaka, *Muzyka jako instrument wpływu politycznego*, Łódź 2009.

le ciekawych rozważań i ustaleń, nie sposób jednak zrozumieć dlaczego stała się przedmiotem przewodu habilitacyjnego z politologii. **Zdaje się, że spośród akceptujących ją profesorów nikt nie wiedział, iż praca doktorska jest rozprawą w zakresie dyscypliny nauki, a więc musi być napisana przez osobę rozumiejącą jej przedmiot badań.** Autorka, z wykształcenia filolog, w przedłożonej rozprawie nie dowodzi jakoby miała jakiegokolwiek pojęcie, czym jest politologia i czym w ogóle ta dyscyplina nauki się zajmuje. Massaka wybrała sobie ciekawy temat, w tytule postawiła ważny problem badawczy, jednak nie zajmuje się nim w sposób, w jaki powinien to uczynić politolog, zwłaszcza na poziomie habilitacji. Temat został zrealizowany standardowo, czyli opisowo, w ramach potocznie wytyczonej wiedzy o społeczeństwie, bez świadomości, że politologia ma własny przedmiot poznania. Dlatego autorka nie podjęła wielu kluczowych problemów i jednocześnie głosi nierzadko jawne nonsensy, ponieważ nie ma elementarnej wiedzy o tym, co polityczne. Prezentuje to na przykład wówczas, kiedy twierdzi, że „Historia wykorzystania muzyki w celach politycznych zaczyna się od wydobycia dźwięku z instrumentu muzycznego”<sup>145</sup>. Czyżby autorka uważała, że zjawiska polityczne są tak samo stare jak muzyka? Cytowane zdanie nie jest przypadkowym lapsusem językowym, ale skutkiem braku podstawowej wiedzy z zakresu politologii. Praca Massaki w równym stopniu nadaje się na habilitację z zakresu politologii, jak odpowiada wymaganiom muzykologii czy historii. Jej obszerna książka jest luźnym zbiorem refleksji, które nie zawierają wniosków oczekiwanych od rozprawy habilitacyjnej, często mają charakter potoczny, a nawet w mojej ocenie czasem do złudzenia przypominają styl wypracowania szkolnego<sup>146</sup>. Nie znajdujemy tu na przykład w ogóle poważnej (czyli uwzględniającej aktualne teorie, a nie poglądy czy doktryny z odległych czasów) analizy, jak muzyka działa na ludzki umysł, wpływa na niego do tego stopnia, że staje się środkiem mobilizacji politycznej. Zamiast niej referuje się oderwane od siebie obserwacje o nastroju, dyscyplinie, eskapizmie, symbolach i emblematkach, ubierając w odniesienia do literatury przedmiotu dobranej wedle wymagań potocznej wiedzy o społeczeństwie, a nie dyscypliny nauki, jaką jest politologia. Autorka okazała się nieprzygotowana do podjęcia tematu w sposób pozwalający potraktować owoc jej wysiłków jak rozprawę z politologii. Czy Massaka odpowiada na elementarne pytanie: na czym polega realizowanie wpływu politycznego za pomocą muzyki? Nie znajdziemy tutaj takich ustaleń, gdyż ona nie wie, czym jest polityka i jakie funkcje wypełnia to, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Nie może to dziwić. **Skoro nie wiedzą tego profesorowie politologii, jak może na ten temat coś powiedzieć filolog.** Trudno sformułować myśli poza oczywiście potocznymi twierdzeniami. Niestety nasuwa się wniosek, że praca ta nie mogła być przedmiotem przewodu habilitacyjnego na żadnym wydziale poza politolo-

145 *Ibidem*, s. 294.

146 Warto w tym celu zapoznać się z dalszą częścią rozważań (*ibidem*, s. 294–295)

gicznym (na pewno nie mogła być na muzykologii, pedagogice ani na historii), dlatego została przyjęta na wydziale, gdzie profesorowie pojmują dyscyplinę nauki jako potoczną wiedzę o społeczeństwie. W ten sposób każdy może habilitować się w Polsce pod warunkiem, że będzie to habilitacja z pseudonauki, czyli z potocznej wiedzy o społeczeństwie, w Polsce nazywanej „politologią”. W tym aspekcie praca Massaki jest bardzo pouczająca. Nawet podejmując tak bardzo politologiczny temat, łatwo schodzi się na poziom potocznej wiedzy o społeczeństwie, gdy problemu badawczego nie rozpatruje się z punktu widzenia dyscypliny nauki, lecz traktuje go wedle odczuć i przypadkowo zebranej wiedzy. **Takie teksty są akceptowane na stopień naukowy w sposób sprzeczny z obowiązującym prawem tylko w placówkach politologicznych.**

32) w efekcie przekształcenia wydziałów politologii w wydziały potocznej wiedzy o społeczeństwie doszło do tego, że promotorami i recenzentami w przewodach doktorskich i habilitacyjnych na stopnie w zakresie politologii są ludzie, którzy nigdy nie studiowali politologii, nie zdawali żadnego egzaminu z politologii i co najwyżej mogą prezentować wiedzę potoczną na temat dorobku politologii i jej przedmiotu badań. **Nierzadko jest tak, że w przewodzie doktorskim ani promotor, ani recenzenci nie są politologami. To samo ma miejsce w przewodach habilitacyjnych**<sup>147</sup>. Często żaden z recenzentów, albo większość, nie ma wykształcenia politologicznego. Bywa, że wszyscy są historykami, którzy bez zahamowań rozstrzygają o nadaniu stopnia w zakresie politologii. Powoduje to, iż za prace politologiczne uchodzą mierne teksty z gospodarki przestrzennej, „turytykologii”, wiedzy o samorządach, administracji i problematyki regulacji ruchu drogowego. Historia jest już zwykle traktowana jako subdyscyplina politologii (czy jest na to zgoda historyków, którzy uznają swoje kompetencje do recenzowania prac w przewodach na stopień z politologii?). Jest to możliwe tylko w warunkach pojmowania politologii nie jako nauki, ale jako wiedzy o społeczeństwie i przekształcenia uniwersyteckich wydziałów politologii w placówki, w których o treściach nauczania, badaniach i nadawaniu stopni naukowych przesądzą nie politolodzy, ale ludzie niezdolni utrzymać się na wydziałach prawa, socjologii czy historii. Tylko jako pseudouczni (nie wiedząc, czym zajmuje się politologia) mogą uważać się za politologów, gdy nie wykazali się jakąkolwiek wiedzą z politologii, natomiast publicznie demonstrują, że uważają politologię za potoczną wiedzę o społeczeństwie.

147 Dowolną ilość przykładów można znaleźć na portalu „Nauka Polska”. Przytaczam przypadkowo wybrane tytuły trzech prac uznanych za habilitacyjne w zakresie politologii przez radę naukową Instytutu Studiów Politycznych PAN, których nie oceniał żaden profesor posiadający dorobek z politologii, potwierdzony studiami, doktoratem czy habilitacją z politologii: *Działalność komunistycznego aparatu represji wobec środowiska kombatanatów wileńskich AK 1945–1980*; *Turystyka i polityka turystyczna a rozwój: między starym a nowym paradygmatem*; *Bitwa o prawdę. Historia zmagania o pamięć powstania warszawskiego 1944–1989*. Recenzentami tych prac są zwykle historycy, wspomagani przez socjologów. Szerzej na ten temat w rozdziale 22.

33) efektem opisanych wyżej procesów jest otwieranie studiów nazywanych „politologicznymi” na każdej uczelni, bez dostrzeżenia, że faktycznie są to studia z pseudonaukowej wiedzy o społeczeństwie. W Polsce jest wielokrotnie więcej placówek prowadzących nie tylko magisterskie studia „politologiczne”, ale „politologiczne” studia doktoranckie aniżeli profesorów politologii, którzy o swojej dyscyplinie mają cokolwiek sensownego do powiedzenia. Tym bardziej tych, którzy rozumieją, czym jest dyscyplina politologii. Ich liczba ma się nijak do ilości wykształconych teoretyków i metodologów. Dlatego nowe wydziały są jedynie symptomami pogłębiającego się upadku politologii, która i tak na uniwersytetach znajduje się w hierarchii na ostatnim miejscu (jedyną szansą przesunięcia na przedostatnią pozycję jest tworzenie wydziałów teologii). Rola w tym procesie teoretyków polityki jest trudna do przecenienia. Są oni głównymi promotorami tego procesu, nawet jeśli bezpośrednio nie przykładają do niego ręki. Dowodząc, że politologia jest nie wiadomo czym, skutecznie wspierają proces przejmowania jej przez reprezentantów innych dyscyplin, zwłaszcza tych, którzy w macierzystym środowisku utracili rację bytu.

W III Rzeczypospolitej, gdzie kolejne rządy coraz sprawniej symulują finansowanie nauki i wyższych uczelni, gdzie władze udają, że stanowią prawo wspomagające szkolnictwo i badania naukowe, politologia spośród wszystkich nauk upadła najszybciej i najniżej, przekształcając się z dyscypliny nauki, z wielkim trudem zainicjowanej w PRL i mającej szansę rozwoju, w typową potoczną wiedzę o społeczeństwie.

Nie tylko sama dyscyplina, ale w ogóle uniwersyteckie wydziały politologii, podejmując się nauczania w zakresie naiwnej pseudonauki, przeobraziły się w kosze na śmiecie, gdzie dyskusja, tym bardziej zaś krytyka są niedopuszczalne, natomiast premiuje się kopiowanie treści dostarczanych przez media. **Dlatego placówki te zatrudniają, doktoryzują i habilitują wszystkich poddanych negatywnej selekcji na innych wydziałach szkół wyższych, od historii po ruch drogowy, turystykę, wiedzę o muzyce i wychowanie fizyczne.** Absolwenci uniwersyteckich wydziałów politologii w zakresie wykształcenia nie są w stanie konkurować z absolwentami innych wydziałów, dlatego stanowiska profesorów obejmują na nich prawnicy, socjologowie, a przede wszystkim historycy.

Głównym promotorem tego procesu jest najstarszy wydział politologii w Polsce, Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie z pamięci usunięto dorobek Franciszka Ryszki. Kierownictwo zakładu mającego zajmować się teorią politologii przejął profesor, który **nie wie, że doktrynaty nadaje się tylko w zakresie dyscyplin nauki, a więc politologia, jeśli ma być utrzymany jej dotychczasowy status, nie może funkcjonować bez własnej teorii.**

Jeśli nie dojdzie do likwidacji wszystkich uniwersyteckich wydziałów politologii, należałoby przynajmniej pozbawić je uprawnień doktorskich i przemianować na wydziały wiedzy o społeczeństwie, a zatrudnioną na nich profesurę poprosić o wykazanie, czym nauczane przez nią treści różnią się od wiedzy potocznej (ona oczywiście z tym zadaniem sobie nie poradzi). W imię troski o młodych ludzi, których uczy się nie politologii, ale nonsensów z naiwnie pojmowanej i źle wykładanej wiedzy o społeczeństwie.

Przeprowadzania przewodów doktorskich z politologii należałoby szybko zaprzestać nie tylko w powodu ich drastycznie niskiego poziomu i pseudonaukowego charakteru. Także dlatego, ponieważ na uniwersyteckich wydziałach politologii III Rzeczypospolitej ukształtowała się i obowiązuje teza, której nawet w PRL nikt nie głosił. **Wedle ustaleń poczynionych przez politologów w demokratycznej Polsce przedmiot poznania politologii nie jest znany i nie jest ona dyscypliną nauki. Wprawdzie uzasadnia to traktowanie politologii jako wiedzy o społeczeństwie, lecz to z kolei powoduje, że z tak określonej „tematyki” nie powinno nadawać się doktoratów.**





CZĘŚĆ II

**POLITOLOGIA III RZECZYPOSPOLITEJ,  
CZYLI POTOCZNA WIEDZA O SPOŁECZEŃSTWIE**

### **8. Język i problem tego, co polityczne**

W warunkach pomijania problemu tego, co polityczne lub upowszechniania przekonania, że niemożliwe jest określenie tego, co polityczne (i nie warto w ogóle trudzić się dyskusją nad tym zagadnieniem), rzekomo nie występuje kategoria zjawisk politycznych lub nie sposób ich wyodrębnić. Dlatego, jak postulują w warszawskim Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki, trzeba badać metafory lub syndromy. Bez znajomości dorobku polskiej i światowej politologii. Dokonania w tym zakresie pozostają tajemnicą dla współczesnych polskich teoretyków polityki. Oni po prostu nie odwołują się do nich, konsekwentnie je ignorując.

Wówczas nie ma też jednak argumentów pozwalających uzasadnić twierdzenie, że polityka w ogóle jest na tyle specyficzna wśród zjawisk społecznych, czyli ma wśród nich taki status, iż potrzebna jest dyscyplina wiedzy, która ją bada. Jakoś socjologowie czy prawnicy, o historykach nie wspominając, ustalili, że mają do poznania coś więcej aniżeli metafory i syndromy. Pokazali, że ich dyscypliny dysponują przedmiotem poznania i nie zajmują się metaforami i syndromami. Może warto zapytać, jak im się to udało? **Może warto wyjaśnić, dlaczego uniwersyteccy teoretycy polityki zrobili tak wiele, aby unieważnić pytanie o przedmiot poznania politologii i obrócić ją w coś, co już na pierwszy rzut oka nie ma niczego wspólnego z nauką?**

Jeśli politologia miałaby badać metafory, syndromy i być tylko federacją czy rodziną nauk albo interdyscyplinarnym polem spotkania prawników, historyków i socjologów, to mimo wszystko trzeba byłoby ustalić, co dokładnie w tej formie poznaje i jak to czyni. **Takie stanowisko nie eliminuje pytania o przedmiot poznania i w konsekwencji o metodę.** Już samo pojęcie *badania naukowego* zakłada istnienie przedmiotu eksploracji, który trzeba określić. Wypada bowiem, aby uczony czymś się odróżniał od człowieka rozumującego potocznie. Przynajmniej aby wiedział, czym się zajmuje, co i jak poznaje. Jeśli nie ma świadomości tego wszystkiego, nie uprawia nauki, tylko myśli w sposób przednaukowy. „Podejścia”

metaforyczne czy syndromatyczne są wyłącznie nieudolnymi próbami ucieczki od elementarnych rygorów naukowości i tworzą wariant pseudonauki.

W obecnym wydaniu politologia jest dowodem bezsilności badawczej symulujących uprawianie tej dyscypliny, niezdolnych nie tylko formułować oryginalnych pytań w zakresie własnej dyscypliny nauki, ale nawet rozważać kwestii klasycznych. Do tego stopnia posunął się proces rozkładu środowiska uniwersyteckich wydziałów politologii, że na stopnie naukowe akceptuje się prace niespełniające elementarnych wymogów nauki, także negujące status politologii jako dyscypliny nauki. Ich istnienie prowadzi do bezrefleksyjnego powielania czynności socjologów, historyków, prawników, administratywistów, tylko w o wiele gorszym wariantach. Skutkiem jest zagubienie myślowe i tolerowanie lub nawet akceptowanie destrukcyjnych tez składających się na pseudoteorię polityki (na przykład o interdyscyplinarnym charakterze politologii). Problemy badawcze nikną z pola widzenia, dominować zaczyna chaos terminologiczny i koncepcyjny. Naukowcy przekształcają się w bezrefleksyjnych teorioignorantów i zautomatyzowane ideokopiarki.

Czy aby w tych warunkach głównymi metodami nie stają się naśladownictwo i ukrywanie ignorancji? Skutkiem tego są dyskusje, które faktycznie można określić jedynie jako bicie piany, którego celem jest przysłonięcie rzeczywistego stanu wiedzy. Towarzyszy temu imitowanie tego, co łatwe lub pozornie łatwe. Dlatego nie idzie się drogą wytyczoną przez inne nauki społeczne, aby określić przedmiot poznania politologii, ale powierzchownie naśladuje ich najprostsze procedury badawcze, a nawet promuje rozumowanie potoczne. Tym samym **sprowadza się politologię na poziom wiedzy pseudonaukowej**.

Mówiąc innymi słowy, jeśli uznajemy na przykład, że kościoły, korporacje transnarodowe, organizacje sportowe (jak MKOL, FIFA czy UEFA), grupy nacisku, zbiorowości etniczne, związki przestępcze czy związki zawodowe prowadzą politykę, wtedy twierdzimy, że każda działalność społeczna, w którą zaangażowanych jest wielu, tym bardziej publiczna, ma status polityczny. Tak samo politykę prowadzą często zwierzęta, szympansy, a także pszczoły (gdy na zimę wyrzucają trutnie z gniazda), mrówki i termity (gdy na śmierć i życie walczą z obcymi, nierzadko obracając ich w niewolników). Czyżby polityka była atrybutem owadów i ssaków? Czyżby pokrywała się z wszystkimi działaniami i zachowaniami społecznymi?

Charakterystyczny tutaj jest brak rozróżnienia pomiędzy tym, co polityczne i tym, co publiczne, tak samo jak pomiędzy tym, co dotyczy wielu i tym, co dotyczy wielu zgrupowanych politycznie. Nie dostrzega się tak mało subtelnych różnic, jakie zachodzą pomiędzy zbiorowością i podmiotem politycznym, przyznając

na przykład narodom status uczestników stosunków międzynarodowych<sup>1</sup>. Nie rozumie się, że zgrupowanie miliona mrówek, publiczne na pierwszy rzut oka, nie ma charakteru politycznego. Żaden politolog w przekonujący sposób nie wyjaśni, dlaczego tak jest.

Wielu zaprzeczy moim słowom, stwierdzi, że widzi, rozumie, ale gdzie są ich argumenty? Nawet nie ma wypowiedzi na ten temat. Politolodzy oszukują samych siebie i czynią to sprawnie<sup>2</sup>. Zgodnie z założeniem, że nie można określić tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne, a więc wszelkie wypowiedzi na ów temat są niepotrzebne. Kiedy się pojawiają, trzeba je ignorować lub twierdzić, że nic nie wnoszą. Nawet nie znając podstawowych publikacji na ten temat. Przejawem takiego „podejścia” do badań naukowych jest cały dorobek teoretyków polityki III Rzeczypospolitej.

Określanie dowolnych, przypadkowych zjawisk mianem politycznych, dzisiaj modne, a nawet powszechne, bez wyodrębnienia ich wśród tego, co społeczne, prowadzi w końcu myślenie na manowce. Nie pozwala wyjaśnić, czym jest polityka, jak jest możliwa, po co i jak istnieje. Tym samym stanowisko zajmowane przez komunikujących swoją tożsamość stwierdzeniem „jestem teoretykiem polityki” rodzi wielkie konsekwencje dla nauki mającej ambicje badania zjawisk politycznych wedle swojej perspektywy. Gdyby ich ta nauka nie miała, musiałoby to oznaczać, że politologia nie zasługuje na status odrębnej dyscypliny nauki i należy zaprzestać przyznawania w niej doktoratów. Kandydaci powinni uzyskiwać stopnie w dyscyplinach nauk społecznych.

Nie jest to jednak droga właściwa, ponieważ łatwo można wykazać, że politologia jest dyscypliną nauki. Będzie to jednak droga nieuchronna, jeśli politolodzy nie zaprzestaną negocjowania statusu własnej dyscypliny, jeśli nie zajmą się jej obroną jako dyscypliny nauki równoprawnej socjologii, psychologii, ekonomii czy historii. Wtedy dorobek politologii zostanie zapomniany, a politolodzy ostatecznie przeobrażą się w pseudouczonych zajmujących wiedzą o społeczeństwie, jaką można spotkać w tramwaju, pociągu czy kawiarni, a nawet przy budce z piwem<sup>3</sup>. W ten sposób ludzie współcześnie określający się jako „politolodzy” będą faktycznie tymi, którzy utracili dorobek swoich poprzedników. Tak należy nazwać

1 Powszechny i powtarzany jak mantra pogląd w uprawianej przez politologów nauce o stosunkach międzynarodowych, stojący w sprzeczności z elementarną wiedzą socjologiczną.

2 Na przykład propagując koncepcję państwa, która pomija jego cechy polityczne. B. Szmulik i M. Żmigrodzki na temat państwa jako organizacji politycznej mają tyle do powiedzenia: „Jako organizacja polityczna, państwo odnosi się do działalności społecznej, która wiąże się bezpośrednio ze sprawowaniem władzy” (*Pojęcie, sposoby definiowania oraz cechy państwa*, (w:) *idem, idem* (red.), *Wprowadzenie do nauki o państwie i polityce*, Lublin 2002, s. 16). Dalej autorzy omawiają różne cechy państwa, ale cecha polityczności nie przyciąga ich uwagi (*ibidem*, s. 17–21), jakby sobie nie zdawali sprawy, że ma ona fundamentalne znaczenie dla specyfiki państwa. Brak tu świadomości, że bez rozpoznania tego, co polityczne nie można zrozumieć i wyjaśnić fenomenu określonego mianem „państwa”!

3 Zob. na ten temat niżej, rozdział 21.

i traktować teoretyków polityki demokratycznej Polski. Oni zgodnie zaprzeczyli zdolności istnienia politologii jako samodzielnej dyscypliny nauki.

W języku ludzi, w codziennym dyskursie, ujawniają się obiekty poznania o istotnym dla nich znaczeniu, które muszą być przedmiotami penetracji nauki, ponieważ jej zadaniem jest nie tylko tworzenie abstrakcyjnych hipotez i ich badanie, ale także weryfikacja ludzkiej wiedzy. Może ona dotyczyć wiedzy potocznej i prowadzić, drogą refleksji nad nią, do wyłaniania kluczowych problemów badawczych. Kluczowych dlatego, ponieważ angażują ludzki umysł przez stulecia, a nawet tysiąclecia. Do nich da się już zastosować najnowsze metody badawcze, w tym falsyfikacjonizm. Efektem tego będzie wiedza naukowa, różna od potocznej. Taka wiedza jest możliwa w odniesieniu do zjawisk politycznych i pokazało to wielu teoretyków w XX w., konkretyzując pytania Platona i udzielając na nie wnikliwych odpowiedzi.

**Jeśli mówimy o zjawiskach politycznych, a w praktyce mówimy stale, od tysięcy lat, dla politologa kluczowe znaczenia ma pytanie o powód tworzenia i sens takich sformułowań i o to, co odróżnia to, co jest polityczne od tego, co nie jest polityczne. Innymi słowy, co uprawnia do nazywania czegośkolwiek *politycznym*. Jest to problem, którego nie da się skreślić z listy podstawowych zagadnień badawczych obejmujących zjawiska społeczne. Przeciwnie, on na tej liście zawsze pozostanie na czołowym miejscu, niezależnie od tego, co powie taki czy inny teoretyk. Dla politologa będzie to problem nie tylko fundamentalny, ale po prostu najważniejszy. Jest to problem ujawniający się nam w sposób intersubiektywny – transmitowany w procesie komunikowania międzypokoleniowego przez tysiące lat, tak samo jak problem miejsca Ziemi w kosmosie i sensu naszej egzystencji. Tylko jego ranga w strukturze istotnościowej wiedzy przetwarzanej przez nasz umysł jest odmienna. Niższa, ale nie znaczy to wcale, że mało ważna.**

Być może ranga ta jest niższa dlatego, ponieważ nie uświadamiamy sobie znaczenia problemu tego, co polityczne. Nie zdajemy sobie sprawy, że rozwój gatunku ludzkiego bez wykształcenia zdolności mobilizacji politycznej przebiegałby w ciągu ostatnich sześciu tysięcy lat zupełnie inaczej, a nasze wielkie cywilizacje z wspaniałymi ideami i technologiami, z lotami w kosmos, nigdy by nie powstały. Który jednak z politologów postawił pytanie o funkcje mobilizacji politycznej w rozwoju cywilizacji ludzkich i podziale gatunku ludzkiego na zjednoczenia rywalizujące ze sobą w wielkiej przestrzeni i długim czasie?

**Ludzkie umysły instynktownie odkrywają problem tego, co polityczne (potocznie odbierany na przykład w postaci pytań o państwo, pewien typ wła-**

**dzy publicznej i politykę<sup>4</sup>) i zaczyna on funkcjonować w języku, w świadomości, a nawet w debacie, stając się zagadnieniem reprodukowanym w czasie, z generacji na generację. Na tyle ważnym, iż poddaje się go coraz bardziej wnikliwej eksploracji. Tak problem urasta do rangi pytania naukowego, bez względu na to, co sądzi taki czy inny teoretyk. On albo uczyni tak ujawniony problem zagadnieniem badawczym, albo wyłącznie symuluje uprawianie nauki. Wtedy faktycznie sam stawia się na pozycji teorioignoranta, ponieważ z własnego wyboru, w efekcie osobistej nieznamomości stanu wiedzy, jego refleksja schodzi na poziom potoczny.**

Jeśli ktoś otrzymał stopień naukowy z politologii twierdząc, że „[...] być może nie należy pytać co to jest polityka i uznać, że w taki sposób postawione pytanie jest sformułowane fałszywie, tym bardziej, że ciągle powracanie do niego jest prawdopodobnie odpowiedzialne za kryzys tożsamości oraz jawną bezradność dyscypliny nieustannie poszukującej swego przedmiotu”<sup>5</sup>, dowodzi tylko, że nie zna tradycji ludzkiej refleksji nad polityką. Nie ma pojęcia zarówno o funkcji i treści dyskursu potocznego, nie rozumie roli doktryn politycznych, jak i przede wszystkim nie poznał tego nurtu politologii, który przynajmniej od stu lat za pomocą kolejnych publikacji kontynuuje debatę nad problemem tego, co polityczne. Przecież jednak ów problem w codziennym, potocznym dyskursie ludzkości jest wyraźnie, w sposób uświadomiony, obecny przynajmniej od dwóch i pół tysiąca lat. Dlatego nauka podejmuje go nie przypadkowo, lecz z konieczności.

Tym bardziej powyższe twierdzenie zaskakuje, gdy pochodzi od osoby chcącej uchodzić za metodologa. Barbara Krauz–Mozer, a wraz z nią pozostali teoretycy polityki, jakby nie zdawali sobie sprawy z istnienia odwiecznych pytań ludzkości i faktu, że część z nich przejmuje nauka. Jednym z takich potocznych pytań jest pytanie o polityczną egzystencję i organizację ludzi, które ujawnia się w stawianych od tysiącleci problemach państwa, władzy politycznej, interesów politycznych, wpływów politycznych, partii politycznych, polityki, a potem tak abstrakcyjnych (i już nie rozumianych potocznie) kwestiach jak podmiot polityczny, środek polityczny i wreszcie to, co polityczne. Ich znana nam historia faktycznie liczy sześć tysięcy lat<sup>6</sup>. **Zjawiska polityczne określają egzystencję gatunku ludzkiego i dlatego stają się przedmiotem jego zainteresowania. Najpierw na poziomie refleksji potocznej, a potem badań naukowych.** Nie można ich pomi-

4 W sposób charakterystyczny widać to w języku angielskim, gdzie *politics* w niewielkim zakresie odnosi się do działania, głównie obejmując sposób sprawowania rządów, idee i instytucje państwa. Taka interpretacja tych zjawisk jest jednym z wariantów ujawniania się tego, co polityczne w języku używanym przez ludzi na co dzień. Ciekawą ilustracją opisanego zjawiska są przykłady zebrane w artykule A. Heidenheimera (*Politics, policy and polices as concepts in English and continental languages: an attempt to explain divergences*. "The Review of Politics" 1986, nr 1, s. 3–30; zob. też K. Palonen, *The struggle with time. A conceptual history of <<politics>> as an activity*, Münster 2006).

5 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*, Kraków 1992, s. 10.

6 Pokazałem to w tekście: *Powstanie polityki i początki prehistorii stosunków międzynarodowych*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17, s. 13–33.

jać. W szczególności nie mogą ich pomijać politolodzy, gdyż one stanowią przedmiot ich badań.

Myśl potoczna jest formą teorioignorancji. Właściwe jej rozumowanie nie tyczy się poza nieuświadomionymi schematami myślowymi, lecz tkwi w nich całkowicie. Dlatego poddający się wzorcom potocznym są niezdolni do refleksji na temat statusu własnego rozumowania. Autorka postulatu zakończenia debaty na temat polityki, a więc i nad tym, co polityczne, nieświadomie postuluje odrzucenie jednego z ważnych pytań ludzkości. Tylko dlatego, że nie zna jego genezy, znaczenia i funkcji. Niezdolna do elementarnej skromności, pozwalającej rozważać rzeczy podstawowe po raz kolejny od początku (co jest sednem poważnej nauki), nie pojmuje też, jak odwieczne problemy ludzkości przenikają z języka potocznego do debaty naukowej, by zająć w niej centralne miejsce i prowokować do badania tego, co dotychczas pozostało poza polem poznania. Tym samym Krauz-Mozer głosi, że jedynym możliwym stanowiskiem metodologicznym na gruncie politologii jest podejście potoczne. Dla teorii rozumianej w znaczeniu nowoczesnej nauki nie ma tu miejsca.

**Już sam język i treść debaty publicznej, dywagacje profesorów próbujących zmierzyć się z pojawiającymi się tu pytaniami<sup>7</sup>, którzy nie rozumieją istoty problemu tego, co polityczne, ale są czytani i tłumaczeni na obce języki (a więc swoją refleksją wywołują zainteresowanie)<sup>8</sup>, a przede wszystkim pojawiające się od czasu do czasu teksty wnikliwych uczonych, zastanawiających się nad istotą i społecznym usytuowaniem polityki<sup>9</sup> czy bezpośrednio rozważających istotę tego, co polityczne<sup>10</sup>, przejawianie się tego, co polityczne w przełomowych wydarzeniach i aktach społecznych<sup>11</sup>, analizujących kształtowanie się tego, co polityczne w procesie historycznym<sup>12</sup> czy sieciach stosunków społecznych<sup>13</sup>, albo nawet oceniających stan badań w tym zakresie<sup>14</sup>, powodują, że nie sposób uniknąć problemu tego, co polityczne w kontekście naukowych docie-**

7 P. Dybel, Sz. Wróbel, *Granice polityczności*, Warszawa 2008.

8 Ch. Mouffe, *Polityczność*, Warszawa 2008, s. 24.

9 Taki charakter mają faktycznie teksty M. Oakeshotta, *Racjonalizm w polityce, Filozofia polityki, Roszczenia polityki i O postawie konserwatywnej*, zebrane w tomie *Wieża Babel i inne eseje* (Warszawa 1999).

10 Po wygaśnięciu intelektualnej aktywności Schmitta i jego śmierci debata nad problematyką tego, co polityczne nie wygasa. Daleko wykracza poza debatę nad tezami Niemca. W ostatnich dekadach szeroko podejmowali ją na przykład J. Freund (*L'essence du politique*, Paris 1986) i E. Vollrath (*Grundlegung einer philosophischen Theorie des Politischen*, Würzburg 1987; *idem, Was ist das Politische? Eine Theorie des Politischen in seiner Wahrnehmung*, Würzburg 2003).

11 F. Ryszka, *Stan wojenny. Parę założeń teoretycznych*, (w:) *idem, Historia – polityka – państwo. Wybór studiów*, t. II, Toruń 2002, s. 261–268; *idem, Stan wojenny 1981. Decyzja*, *ibidem*, s. 269–280; R. Skarzyński, *Siedem ćwiczeń z rozumienia polityki i stosunków międzynarodowych*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” Sectio K, *Politologia* 2009, nr 2, s. 8–36.

12 H. Spruyt, *The sovereign state and its competitors*, Princeton 1994, s. 59–150.

13 R. Skarzyński, *Anarchia i policentryzm. Elementy teorii stosunków międzynarodowych*, Białystok 2006, s. 165–258.

14 A. Heller, *The Concept of the Political Revisited*, (w:) D. Held (red.), *Political theory today*, Cambridge 1991, s. 330–343; K. Palonen, *Politics or the political? An historical perspective on a contemporary non-debate*, “European Political Science” 2007, nr 1, s. 69–78.

**kań na temat specyficznego przedmiotu poznania.** Ustalono to mniej więcej sto lat temu<sup>15</sup>, tylko polscy teoretycy polityki nie zdają sobie z tego sprawy.

Rozważania Franciszka Ryszki z zakresu semantyki politycznej niezbitcie pokazują jak wielkie znaczenie ma problem tego, co polityczne<sup>16</sup>. Który jednak politolog czytał jego teksty? Tym bardziej kto z nich rozumie, co profesor miał na myśli. Recepcji nie widać. Walka toczy się o jak najszybsze zapomnienie jego dorobku.

Opisaną ignorancję można zrozumieć w odniesieniu do nowej generacji imigrantów, ponieważ mamy tutaj do czynienia z politologicznymi dyletantami, których wiedza kształtuje się w warunkach kryzysu nauki. Nie powinni być nimi przecież jednak Mirosław Karwat, Tadeusz Klementewicz, Bohdan Kaczmarek, Barbara Krauz–Mozer i Zbigniew Blok, którzy osobiście znali Ryszkę, czytali jego teksty i zajmują się problematyką teoretyczną kilkadziesiąt lat, uzyskując doktoraty w zakresie politologii. **Czy po to otrzymali stopnie na tym obszarze, aby teraz podważać status własnej dyscypliny publikacjami dowodzącymi braku znajomości podstawowej literatury, problemów badawczych i statusu politologii w świetle współczesnej teorii nauki?** Publikacjami promującymi przemycanie pod nazwą *politologia* potocznej wiedzy o społeczeństwie!

## 9. Teoria, metodologia i erudycja

**Stwierdzenie, że „nie wiem, co jest polityczne” czy „nie wiem, czym to, co polityczne różni się na przykład od tego, co społeczne”, nie oznacza zniesienia problemu.** Oznacza tylko, że osoba tak twierdząca, gdy jednocześnie nazywa się „politologiem”, „teoretykiem polityki” czy „metodologiem politologii”, nie ma pojęcia o podstawowym problemie własnej dyscypliny nauki. Taki sam status ma ten, kto w tekście z teorii polityki lub metodologii politologii nie rozważa problemu tego, co polityczne lub rozważa go bez znajomości treści, które z nim są związane, albo też sugeruje, że chodzi o jakieś „mechaniczne” rozdzielenie<sup>17</sup>. Są to dominujące „podejścia” w polskiej politologii, które prowadzą całe środowisko uniwersyteckich wydziałów politologii na manowce. Tymczasem w teorii tego, co polityczne nie ma jakiegokolwiek „mechaniki”, natomiast zajmuje się ona proce-

15 Sam na ten temat sporo napisałem już blisko dwadzieścia lat temu (np. *Od chaosu do ładu. Carl Schmitt i problem tego, co polityczne*, Warszawa 1992), ale żaden politolog nie zmierzył się z moimi тезami. Oni je czytali, ale publicznie ignorują, ponieważ w ogóle nie rozumieją znaczenia debaty nad problemem tego, co polityczne. Zdaje się, że to przerasta ich możliwości, jak ostatnio pokazał M. Karwat (*Polityczność i upolitycznienie. Metodologiczne ramy analizy*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17, s. 63–88), który nie zmierzył się nawet z jedną elementarną тезą teorii tego, co polityczne. W tym tekście jedynie krąży wokół tematu, jakby nie wiedział, w którym miejscu go zaatakować.

16 F. Ryszka, *Cecha „polityczności”*, (w:) *idem*, *O pojęciu polityki*, Warszawa 1992, s. 43–85.

17 M. Karwat, *Polityczność i upolitycznienie...*, *op. cit.*, s. 65.

sami społecznymi, na przykład procesem mobilizacji politycznej. Gdy mówimy o „mechanice” tych zjawisk, mamy na myśli nie coś sztucznie wydzielonego, ale funkcjonowanie zależności międzyludzkich i zmiany w nich zachodzące.

**Nieznajomość lub spychanie problemu badawczego do podświadomości uczonego nie prowadzą do jego zaniku.** Takie stanowisko wyłącznie podważa kompetencje autora wypowiedzi. Gdy jest to fundamentalny problem dyscypliny badawczej i ów autor uważa się za jej reprezentanta, mamy do czynienia z brakiem zrozumienia, czym jest nauka, a może nawet z symulowaniem jej uprawiania. Wystarczy zapoznać się z historią matematyki, fizyki, chemii czy biologii, by uświadomić sobie, że odpowiedź na wiele pytań wymagała setek lat, a niejedno z nich do dzisiaj pozostaje poza zasięgiem najwybitniejszych umysłów.

**Tylko politologia rozumiana potocznie lub doktrynalnie może obywać się bez badania problemu tego, co polityczne.** Standardowa refleksja politologiczna zawsze wychodzi od tej kwestii, co znajduje wyraz w podejmowanych tematach i w języku. Jednak zazwyczaj fakt ten nie jest uświadamiany. Dlatego tak często mamy do czynienia z błędzeniem politologów, którzy – nie ustaliwszy, czym się zajmują – poświęcają się badaniu przypadkowych problemów w dowolny sposób, najchętniej naśladowując kolegów z innych dyscyplin. **Gdy brak świadomości przedmiotu poznania, naśladownictwo innych dyscyplin w zakresie powierzchownych czynności jest naturalnym odruchem,** który staje się powszechny. Kolejnym krokiem jest powielanie twierdzeń, a nawet pseudoteorii autorytetów i kręgów, których zwyczaj cytowania się utrwalił. Na przykład cytowanie Tukidydesa, Platona i Arystotelesa w sposób nieliczący się z przesłaniem ich filozofii i warunkami powstania, a także kopiowanie amerykańskich haseł i wizji politycznych, w rodzaju „końca historii” czy „świata jednobiegunowego”. Bez jakiegokolwiek krytycznej refleksji, ponieważ do niej brak podstaw teoretycznych. Politolodzy nie zauważają, że w drugim przypadku mamy do czynienia z pseudoteoriami, które z nauką nie mają nic wspólnego i za bezkrytyczne prace na ten temat przyznają stopień doktora habilitowanego. Polscy politolodzy propagandowe zawołania i publicystyczne przedstawienia oczekiwanego ładu traktują jako naukę, samym sobie wystawiając świadectwo skrajnej ignorancji i naiwności.

Uznanie, że wszystko może być polityczne, albo że po prostu nie wiadomo, co jest polityczne, bez formułowania na ten temat jakichkolwiek hipotez, ujawniające się na przykład w stosowaniu kategorii metafory do analizy rozumianej jako analiza politologiczna, oznacza przyznanie, że teoretykom polityki brak kategorii wyjaśniających i tym samym stwierdzenie, że politologia nie ma swego własnego przedmiotu poznania, a więc nie może istnieć w postaci odrębnej dyscypliny nauki.



Dlatego proponuje się, w efekcie aktu zwątpienia z powodu niepojawienia się wymarzonej „nowej syntezy”, coś, czego nie uznaje się za oryginalne, ale dające nadzieję. „[...] skoro polityka jest zjawiskiem wielowymiarowym i wieloaspektowym, to może będzie interesujące oświetlić ją z różnych punktów widzenia wychodzących z ujęcia różnych wymiarów i aspektów polityki w taki sposób, jakby to one właśnie były jej istotą. Coś, co w klasycznej interpretacji jawiło się jako aspekt, parametr, jedno z wielu uwarunkowań, niekiedy uboczny problem, można potraktować jako kwestię zasadniczą, konstytutywną dla zjawiska, w konsekwencji **wyolbrzymić ją** i zgeneralizować do poziomu sedna rzeczy i przez ten pryzmat spojrzeć na całość zjawiska”<sup>18</sup>.

Przytoczyłem ten dłuższy fragment, ponieważ w nim ujawnia się specyfika polskiej teorii polityki, a warszawskiej bezpośrednio i dosłownie. Autor kwiecistym językiem proponuje, aby to, co dotychczasowe uchodziło za marginalne, uznawać za istotę zjawisk politycznych i w ten sposób wyjaśniać rzeczywistość polityczną. Tym samym nieświadomie podważa fundamentalne ustalenia Webera odnośnie do istoty zjawisk wyrażone w koncepcji typu idealnego, bez jakiegokolwiek krytycznego odniesienia się do jego prac. Koncepcji szeroko, chociaż często bez świadomości pochodzenia stosowanej w nauce.

Być może zastąpienie teorii Webera propozycjami Kaczmarka (równocześnie one nie mogą być użyte) i zastosowanie jej do badania zjawisk politycznych nie razi przynajmniej na pierwszy rzut oka, gdyż prawdopodobnie spośród profesorów uniwersyteckich wydziałów politologii mało kto rozumie, o co tutaj chodzi. Spróbujmy jednak „**podejście metaforyczne**” zastosować w nauce prawa lub w ekonomii. Na przykład do instytucji rynku, wpływu wysokości stopy procentowej na tempo wzrostu gospodarczego albo najlepiej do instrumentów pochodnych. Wtedy dopiero pojmiemy, jak ono jest już nie tylko dziwaczne, ale nie nadaje się do wyjaśnienia czegokolwiek. Takie „podejście” (bo nie jest to hipoteza ani tym bardziej teoria w rozumieniu współczesnej teorii nauki) prowadzi myślenie na manowce i musi być odrzucone jako bezpodstawne. Nie mamy tutaj do czynienia z twierdzeniem, ale z luźnymi dywagacjami na dowolny temat, prowadzonymi bez elementarnej znajomości dorobku nauki.

Cóż w ogóle znaczy powtarzany od czasów Bodnara zwrot „polityka jest zjawiskiem wielowymiarowym i wieloaspektowym”. A społeczeństwo nie jest czymś takim? Organizm jest prosty? A co z prawem w tym kontekście? Jeśli polityka jest tak bardzo złożona, to co z genetyką i lingwistyką? Takie stwierdzenia dzisiaj mogą pochodzić tylko od kogoś, kto zupełnie się zagubił, niczego nie czyta i nie jest zdolny przemyśleć swoich problemów badawczych. Nie możemy dążyć do poznania istoty polityki? **Tak łatwo, jak w politologii, nie znosi się proble-**

18 B. Kaczmarek, *Wstęp*, (w:) *idem* (red.), *Metafory polityki*, Warszawa 1991, s. 9–10; podkreślenie moje.

**mów badawczych w żadnej dyscyplinie.** Tylko że taka politologia jest wyłącznie pseudonauką, która może istnieć w środowisku, gdzie zdolni są przetrwać jedynie dyletanci symulujący pracę badawczą. Inaczej głoszący te pseudonaukowe hasła dawno zostaliby usunięci poza uniwersytet.

Stanowisko Kaczmarka jest oryginalne, odważne, rewolucyjne, tyle że pomija milczeniem uznaną koncepcję naukową. W artykułach zawartych w trzech tomach *Metafor polityki*, publikowanych kolejno w latach 2001–2005 pod redakcją warszawskiego politologa, ujawnia się podstawowa cecha rozwijanej po śmierci Ryszki teorii polityki, a mianowicie ignorancja w zakresie literatury i głównych problemów własnej dyscypliny wiedzy. Redaktor firmujący te prace zbiorowe, odpowiedzialny za kwalifikowanie do nich tekstów, nie zdaje sobie sprawy z tego, że jeśli odrzuca się dokonania nauki z przeszłości, to najpierw trzeba je poznać, zrozumieć i poddać krytyce. W *Metaforach polityki* tego nie znajdziemy. Nikt tu nie odnosi się do pracowitych uczonych kształtujących w przeszłości podstawy wiedzy o społeczeństwie i polityce. Nikt nie dyskutuje też Maxa Webera, Carla Schmitta, Hermanna Hellera czy Harolda Lasswella, nie zagłębia się w traktaty epistemologiczne Karla Poppera i Imre Lakatosa, nikt nie poznaje teorii samooszukiwania Roberta Triversa czy teorii uczuć i emocji Antonio Damasio albo najnowszej wiedzy o naturze ludzkiej. Nawet nie sięga się do dorobku Ryszki. A przecież on jasno wskazywał, że dla politologa problem natury ludzkiej ma kluczowe znaczenie<sup>19</sup>. Kolejne tomy *Metafor polityki* wypełniają teksty z zakresu wiedzy o społeczeństwie, których zdecydowanej większości pozytywnie nie oceniliby żaden rzetelny recenzent. Jedynym ich celem jest symulowanie nauki i zacieranie śladów dorobku Ryszki.

Taka „nowoczesna politologia” zajmuje się tym, co intuicyjnie uchodzi za jej przedmiot badania, nierzadko zjawiskami zupełnie przypadkowymi i faktycznie odległymi od polityki lub nawet niemającymi z nią jakiegokolwiek związku. **Nie ma więc również czegoś takiego, jak „perspektywa politologiczna” czy „podejście politologiczne”.** Powyższe sformułowania są wyłącznie pustymi frazesami, pełniącymi funkcje zasłon dymnych, pozwalających ukryć **bezradność politologów wobec podstawowego dla nich problemu, jakim jest badanie tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne.** Dlatego nikt z nich nie określił w swoich książkach, co znaczy, że mają one charakter politologiczny<sup>20</sup>. Ci politolodzy po prostu tego nie wiedzą i mechanicznie posługują się niezrozumiałymi dla siebie terminami.

Gdy ktoś mający się za politologa pisze o „perspektywie politologicznej”, „podejściu politologicznym”, „interpretacji politologicznej” lub „teorii politolo-

19 F. Ryszka, *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*, Warszawa 1984, s. 10–25.

20 M. Karwat, *Teoria prowokacji. Analiza politologiczna*, Warszawa 2007, s. 14; J. Czaputowicz, *Teorie stosunków międzynarodowych. Krytyka i systematyzacja*, Warszawa 2007, s. 11.

gicznej”, tym bardziej zaś przypisuje sobie jedno z tych „stanowisk”, dowodzi tym samym własnej nieznamomości nauki, ponieważ to, o czym się wypowiada, nie istnieje wedle wiedzy obowiązującej w jego środowisku. Jeśli nie ma żadnego z wymienionych zjawisk, politolodzy obracają się w świecie fikcji, symulują uprawianie nauki, głosząc, że politologia nie ma własnego przedmiotu poznania i jedynie kamuflują swój dyletantyzm, dowodząc, że ich dyscyplina nie występuje. Wtedy politologia i oni sami mogą stać się już tylko przedmiotem drwin.

Czyli **przypisywane politologii dotychczas miejsce wśród innych nauk zostało faktycznie wyznaczone intuicyjnie**. W efekcie tego doszło jednak do utraty z pola widzenia podstawowego dylematu politologii, bez którego ona rozplywa się, a jej badania przejmują pozostałe nauki społeczne. Oznacza to, że politologia jest wyłącznie modnym czy ładnie brzmiącym hasłem dla ludzi, którzy słabo rozumieją świat, a chcieliby spędzić przyjemnie życie podczas kilkuletnich studiów. Budowanie takiej politologii postulują teoretycy z Warszawy, Krakowa i Poznania. Inni posłusznie drepczą za nimi, niezdolni sformułować konkurencyjne hipotezy badawcze.

Wedle niektórych teoretyków polityki z narzędzi badawczych politologa pozostały już tylko metafory. Reszta się skończyła. Jednak nikt z nich nie próbował nawet uczciwie dowieść słuszności tego stanowiska. Zaprezentowano je bez elementarnych rygorów normalnie obowiązujących w nauce. Traktowanie wiedzy w kręgu teoretyków polityki sugeruje, że staje się ona przedmiotem ich wiary, powtarzanej w postaci rytualnych komunałów, a nie wynikiem przeprowadzenia dowodu w efekcie krytyki stanowiska poprzedników. Wiedza przybiera tutaj formę zestawu mantr recytowanych na seminariach naukowych i na zajęciach ze studentami. Na hipotezy badawcze nie ma więc miejsca.

Ponieważ wedle członków szczególnego grona teoretyków polityki nie da się wyodrębnić przedmiotu poznania politologii, pozbawione sensu jest też istnienie placówek zajmujących się teorią polityki. Oni tego nie napisali, ale powyższa teza logicznie wynika z ich wyводу. **Jeśli nie da się wyodrębnić tego, co polityczne, jeśli politologia nie ma swego przedmiotu poznania, to teoria polityki jest nie tylko zbyteczna, ale w ogóle niemożliwa**. Jak może istnieć, skoro uprawiający ją nie znajdują swojego przedmiotu poznania. Dowodem tego są prace teoretyków polityki, faktycznie składające się na nieświadome wezwanie do likwidacji ich katedr i zakładów. Tym samym teoria polityki w jej obecnym wydaniu jest zjawiskiem szkodliwym, gdyż służy tylko dezorientacji politologów. Każdy, kto broni teorii polityki jest wyłącznie pseudopolitologiem, a więc jest politologiem jedynie z nazwy.

**Prace teoretyków polityki III Rzeczypospolitej zdają się być manifestem nieprzemyślanego, instynktownego buntu wobec dokonań nauki, wobec jej**

**dorobku i procedur, skutkiem tęsknoty za prostą wiedzą potoczną (którą bez wysiłku można skodyfikować w mantry i na zawołanie powtarzać) oraz pośrednim dowodem nieświadomego wezwania do likwidacji warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki wraz z pozostałymi jednostkami organizacyjnymi zajmującymi się tą problematyką w Polsce.** Dostarczają obszernego materiału dowodowego, że ich pracownicy nie posiadają elementarnej znajomości literatury przedmiotu, nie rozumieją problemów badawczych z zakresu przedmiotowego zatrudniającej ich placówki, zajmują się wymyślaniem koncepcji na własną rękę. Żonglują bowiem dowolnymi pomysłami, aby tylko wykazać się publikacjami i zaliczyć sobie punkty. Nic innego nie wynika z ich tekstów. **Czy wśród pracowników tychże jednostek jest chociaż jeden, który dysponuje świadomością podstawowego dylematu politologii? Dylematu, którego rozstrzygnięcie na korzyść politologii bez przedmiotu poznania uzasadnia likwidację nie tylko zakładów teorii polityki, nie tylko pozbawienie uprawnień doktorskich wydziałów politologii, ale konieczność ich przemianowania na wydziały potocznej wiedzy o społeczeństwie. Czy takie wydziały będą mogły przetrwać?**

Jeśli funkcjonuje coś, co bierze się za teorię polityki, ma to miejsce jedynie w efekcie niedomówień i niejasności. Faktycznie zaś osoby uważające się za uprawiające teorię polityki niepostrzeżenie przeobraziły się w „teoretyków” polityki, czyli teoretyków z nazwy, ignorujących teorię, ponieważ doprowadziły do rozmycia przedmiotu poznania politologii, a właściwie jego utraty z pola widzenia. Dorobek tworzących teorię tego, co polityczne dla nich nie istnieje. Tak samo nie jest przez nich dostrzegany dorobek współczesnej teorii nauki. Szczególnie bolesne jest, że nie zapoznali się z osiągnięciami szkoły Karla Poppera, nie inspirowali się twierdzeniami Paula Feyerabneda, Imre Lakatosa i Johna Watsona. Jak mogli jednak to uczynić, skoro wzgardzili nawet spuścizną swego niedawnego nauczyciela.

Badania nad polityką Klementewicz proponuje traktować jako naturalny przedmiot dociekań socjologii podobnie jak Krauz–Mozer, dowodząc konieczności likwidacji własnej placówki badawczej. Tak oto także politologia przekształca się w swoją atrapę, czyli w „politologię”, a głównymi promotorami tego procesu są pracownicy uniwersyteckich zakładów teorii polityki, którzy swoich kolegów prowadzą na manowce nauki. Ich sojusznikami są imigranci ostatniej generacji. Ci ludzie nie mogą mieć pojęcia o przedmiocie poznania politologii. Gdzie bowiem mieli poznać tę kwestię i zrozumieć jej znaczenie. Nie kończyli przecież studiów politologicznych, a habilitacje uzyskali, nie zdając nawet jednego egzaminu z politologii. Przejmują kontrolę nad zakładami teorii polityki i metodologii na nowo tworzonych wydziałach politologii i są tylko zainteresowani rozmyciem i zniszczeniem dyscypliny naukowej, która jest dla nich wyłącznie narzędziem kariery, gdy szans na nią zostali pozbawieni na macierzystych wydziałach. Dzie-

ki temu politologiem może być każdy. Przede wszystkim zaś ten, kto został usunięty z macierzystej dyscypliny nauki i nie zdawał nigdy żadnego egzaminu z politologii.

Na tym podłożu dociera do nas z Krakowa pozbawiona ugruntowania teza o potrzebie integracji politologii przez metodologię. Jest ona faktycznie nie tylko objawem braku jakiegokolwiek kreatywnego pomysłu, ale i dowodem bezsilności badawczej. Ujawnia się w niej brak zdolności przeprowadzenia wywodu na temat statusu poznawczego politologii, wzmocniony dodatkowo niezajomością dorobku politologii.

**Nie może istnieć metodologia, jeśli nie jest znany obiekt poznania.** Metodologia ma wprowadzić swoje zasady ogólne. Wynika to z samego charakteru bytu i poznającego go podmiotu. Jednak taka metodologia daleko nas nie zaprowadzi. Zasady metodologii muszą być skonfrontowane z przedmiotem poznania i dopiero potem mogą być rozwijane na ich gruncie twierdzenia metodologii szczegółowej, danej grupy dyscyplin lub pojedynczej dyscypliny. Dlatego, **zanim zostanie określona metodologia dyscypliny, konieczna jest teoria dyscypliny.**

Mówiąc bardziej ogólnie, oznacza to w konsekwencji, że **zawłaszczone przez dominującą na uniwersytetach politologię obszary badawcze, wedle twierdzeń teoretyków polityki III Rzeczypospolitej przypadają w sposób naturalny ekonomii, socjologii, psychologii, prawu i historii, których przedmiot poznania jest jasno określony, a zakres pola badawczego budzi nieporównanie mniejsze kontrowersje.** Już tylko socjologia i historia, wedle ich stanowiska, mogą z powodzeniem zastąpić politologię. Z widocznymi sukcesami zajmują się przecież badaniem zjawisk politycznych i, z własnego, całkowicie słusznego punktu widzenia, nie muszą troszczyć się o refleksję na temat ich statusu.

Dlatego pracownicy jednostek badających teorię polityki zaczynają zajmować się czymś innym, co z politologią nie ma nic wspólnego. Na przykład demonstrowaniem własnej pogardy dla normalnych ludzi i formułowaniem instrukcji pożądanego zachowań, prezentowanych nie cyklem artykułów na jeden temat, ale ciągiem niekończących się opasłych tomów, których finałem jest manifest „prawidłowej” akredytacji. Jest to między innymi wynikiem tezy o braku możliwości określenia przedmiotu poznania politologii.

Wskutek nie słabości, ale dramatycznego niedostatku erudycji i zagubienia profesorów zatrudnionych w uniwersyteckich zakładach teorii polityki, dzisiejsza politologia niczym nie odróżnia się od dziwaczno-melanzu socjologii, historii najnowszej, z dodatkiem wątków nauki o administracji, państwie i prawie. Wszystko to odznacza się koncentracją uwagi na nieokreślonej klasie zjawisk społecznych i wyraźną nieporadnością metodologiczną oraz warsztatową.

**Politolog, w konsekwencji twierdzeń teoretyków polityki, którzy utracili zdolność rozważań nad przedmiotem poznania politologii, to, innymi słowy, dużo gorszy socjolog albo historyk: mało świadomy, rozchelstany metodologicznie i zagubiony żongler metafor.** Podczas seminariów plotący trzy po trzy na dowolny temat, by ukryć podejrzany status swojej wiedzy. Tego wszystkiego uczy się już na studiach od zagubionych pracowników zakładów teorii polityki. Przynajmniej ma to miejsce na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych w Warszawie. Wzorce te kultywuje się jednak także z pewnością na uniwersytetach w Krakowie i Poznaniu. Znakomicie ilustrują to publikowane tam teksty. Takie stanowisko profesorów pod niezauważalną presją przełożonych upowszechniają ich asystenci. Wobec tych niedorzeczności studenci muszą być bezsilni<sup>21</sup>.

Warto zastanowić się, czy inni politolodzy chcą być traktowani na uniwersytecie z przymrużeniem oka, oceniani w kontekście niedojrzałości dyscypliny. Czy nie mają trochę większych ambicji i godzą pozostawać w towarzystwie pseudo-teoretyków opowiadających się za niejasnym statusem ich wiedzy, rzekomo podobnym pedagogice, a faktycznie najbardziej przypominającym wiedzę z zakresu bezpieczeństwa i higieny pracy? Ta oburzająca analogia zdaje się być coraz bardziej zasadna, zwłaszcza po lekturze cytowanych w tym tekście prac. Ona się po niej po prostu sama narzuca. Pozwala nam zrozumieć, jak politolodzy przeobrażają się w III Rzeczypospolitej w „politologów”, czyli pseudouczonych pozbawionych nie tylko wiedzy na temat przedmiotu poznania dyscypliny, ale w ogóle negujących możliwość jego poznania czy obecność.

## 10. Samolikwidacja politologii

Stanowisko zajmowane przez pracowników uniwersyteckich zakładów teorii polityki prowadzi do tego, że nie tylko funkcjonujące placówki teorii polityki, ale **wszystkie instytuty i wydziały politologii mogą zostać bez strat zlikwidowane**, ponieważ ich przedmiot badań nie istnieje. Przez dwadzieścia lat symulujący uprawianie teorii polityki niszczyli podstawy własnej dyscypliny. Studenci studiujący na wydziałach politologii uczyli i uczą się nie wiadomo czego, gdyż nie określono przedmiotu i zakresu wiedzy politologii. **Studiują nie politologię, ale co najwyżej nauki społeczne w gorszym wydaniu, uczone przez wykładowców, którzy nie utrzymali się na macierzystych wydziałach i nie dysponują zdolnością uświadomienia sobie tego, co robią.** Dlatego uciekają w metafory, lekceważą podstawowe ustalenia teorii nauki i szkołę zajmującą się rozważaniami nad tym, co polityczne. Jej dorobek jest dla nich zbyt trudny, aby mogli go przyswoić.

21 Zob. ich tekst na temat wykładu Bloka w Krakowie (<http://www.politeja.pl/index.php?t=416> – 29.10.2010).

Likwidacja wydziałów politologii mogłaby dać nowy impuls rozwojowy historii i socjologii. Pracownicy wydziałów historii i socjologii prezentują bez wątplenia o wiele wyższy poziom świadomości przedmiotu poznania swojej dyscypliny wiedzy, mają wypracowaną zaawansowaną metodologię i nieznaną na wydziałach politologii umiejętność warsztatową.

Taka zmiana, w warunkach bezwładu naszego rządu i bezradności uniwersytetów, nie będzie oczywiście przeprowadzona administracyjnie. Nie oznacza to jednak, że nie będzie wprowadzona w ogóle. Ona faktycznie już ma miejsce, zupełnie samorzutnie, w wyniku działań części zatrudnionych na wydziałach politologii pracowników naukowych. Wystarczy przyjrzeć się składom personalnym wydziałów politologii. Znaczną ich część, a nawet większość profesury stanowią nie politolodzy, ale przede wszystkim historycy, w mniejszym stopniu filozofowie, socjolodzy, ekonomiści, prawnicy, specjaliści od zarządzania, a nawet zdarzają się teolodzy i fachowcy od kultury fizycznej. Dyplomowani politolodzy rzadko są w stanie uzyskać habilitację, a tytuł profesora jest dla nich praktycznie nieosiągalny. Stanowi to efekt poziomu kształcenia na uniwersyteckich wydziałach politologii, gdzie przedmiotem wykładów jest wiedza pseudonaukowa, a o teorii dyscypliny i jej metodach badawczych pracownicy nie mają pojęcia. Tutaj nie wykłada się politologii, tylko nauki społeczne w bardzo mizernym, najczęściej potocznym wydaniu.

**Ekspansja przedstawicieli różnych nauk społecznych na uniwersyteckie wydziały politologii jest efektem słabości politologów, którzy ulegli twierdzeniom teoretyków polityki.** Dyplomowani politolodzy są zdolni robić doktoraty głównie dlatego, że wymagania zeszły do poziomu niegdysiejszej pracy magisterskiej. Habilitacja stanowi barierę, którą rzadko pokonują. Na wydziałach politologii częściej habilitują się imigranci i to tylko dlatego, że brak jest nadzoru ze strony Centralnej Komisji. Tytuł profesora, gdy trzeba konfrontować się z historykami i socjologami, pozostaje dla dyplomowanych politologów zwykle nieosiągalny. Ich publikacje są łatwo dostępnymi dowodami ignorancji przeważającej części członków tego grona i jego samego w całości. Nie tylko dlatego, że **na uniwersyteckich wydziałach politologii** poziom kształcenia jest wyjątkowo niski, ale ponieważ **przekazywana tam wiedza nie bardzo odbiega od wiedzy potocznej, a w zakresie przedmiotu poznania dyscypliny w ogóle nie istnieje.**

Na uniwersyteckich wydziałach politologii brakuje zdolności tworzenia wiedzy odmiennej od wiedzy potocznej. Przyczyną tego jest oczywiście ignorancja w zakresie przedmiotu poznania politologii. Teoretycy polityki III Rzeczypospolitej wnieśli wielki wkład do unicestwienia debaty nad tym zagadnieniem. Wiodący **proces rugowania politologów z instytutów i wydziałów politologii zachodzi głównie w efekcie stanowiska zajmowanego przez pseudoteoretyków polityki, wychowujących rzeszę pseudopolitologów.** Są oni pseudoteoretykami

i pseudopolitologami, ponieważ faktycznie tylko odwołują się do słowa *politologia*, podszywają pod nazwę dyscypliny o nieznanym im przedmiocie poznania. Ci ludzie faktycznie uprawiają nauki społeczne w wydaniu niespełniającym rygorów współczesnej socjologii, historii, prawa, ekonomii czy psychologii. **Wiedza o społeczeństwie nie jest dyscypliną nauki i w ogóle nie jest nauką, ale tworzy jedynie tematykę pozwalającą symulować badania.**

Pseudoteoretycy i pseudopolitologowie są autorami obecnego rozmywania się politologii wśród nauk społecznych i naukowej słabości czy nawet intelektualnego niedołęstwa absolwentów, nie mówiąc już o ułomności teoretycznej<sup>22</sup>. Wydziały politologii nie kształcą na poziomie pozwalającym rywalizować w nauce ich najlepszym wychowankom z socjologami i historykami. O równorzędnym udziale w badaniach naukowych nie może być mowy. Gdyby wnioski o granty były uczciwie recenzowane, prawie żaden politolog nie otrzymałby finansowania<sup>23</sup>.

**Stanowisko reprezentowane przez teoretyków polityki, powszechne w polskiej politologii, podważa sens jej istnienia i faktycznie oznacza poddanie spontanicznemu procesowi samolikwidacji, polegającemu na zastąpieniu przez potoczną wiedzę o społeczeństwie.** Ma on miejsce od czasu odejścia tych profesorów, którzy zajmowali się specyfiką i odrębnością politologii. Ani Artur Bodnar<sup>24</sup>, Kazimierz Opalek<sup>25</sup>, ani Franciszek Ryszka<sup>26</sup> nie udzielili zadowalających odpowiedzi, ale postawili problemy, których dzisiaj nie tylko nie próbują rozwiązać ich następcy. Opalek i Ryszka odważnie budowali podstawy samowiedzy dyscypliny zwanej *politologią* w zakresie, jaki wówczas był możliwy. Czynił to też Marek Sobolewski, próbując rozwijać ugruntowaną socjologicznie teorię państwa<sup>27</sup>. W ten sposób wykraczał poza tradycyjnie rozumianą naukę prawa. Oni tego wszystkiego podejmowali się dlatego, że **zostali za młodu, studiując prawo, wykształceni w poczuciu tożsamości swojej dyscypliny wiedzy** i szacunku do niej. Właśnie prawo, obok historii i socjologii, jest tą dyscypliną, w której świadomość odrębności, na gruncie refleksji nad własnym przedmiotem poznania, jest bardzo wysoka.

22 Tę ułomność można byłoby łatwo wykazać, analizując już same tytuły prac magisterskich. Powszechnie znane tytuły prac doktorskich i habilitacyjnych jednoznacznie dowodzą, że przedmiotem przewodów naukowych na wydziałach politologii najczęściej jest potoczna wiedza o społeczeństwie. Do rzadkości należą absolwenci politologii, którzy są w stanie sformułować poważny politologiczny problem badawczy. W zakresie teorii polityki i horyzontu poznawczego politologii takich prac w ogóle nie ma. Szerzej na ten temat w rozdziale 22.

23 Tezę tę opieram na własnym doświadczeniu opiniodawczym.

24 Pisał o politologii jako dyscyplinie nauki, której centralnym problemem jest zagadnienie podmiotu polityki. A. Bodnar, *Status metodologiczny teorii polityki*, (w:) K. Opalek (red.), *Elementy teorii polityki*, Warszawa 1989, s. 21.

25 Głosił, że przed politologią stoi problem oczyszczenia z obcych wątków i usamodzielnienia, aby nie była tylko federacją wcześniej ukonstytuowanych nauk. K. Opalek, *Zagadnienia teorii prawa i teorii polityki*, Warszawa 1986, s. 131.

26 F. Ryszka, *Nauka o polityce...*, op. cit., s. 10–25.

27 M. Sobolewski, *Podstawy teorii państwa*, Kraków 1986, s. 9–27.



Ta świadomość musi być zabójcza dla politologów tolerujących w swoim towarzystwie pseudoteoretyków polityki, tym bardziej że dzisiaj widać, że **Bodnar pojmował od nich znacznie więcej**. Być może pod wpływem Ryszki i Opalka, ale to nie zmienia faktu, iż chociaż trochę rozumiał status politologii. Bodnar wiedział, że może ona istnieć wyłącznie jako dyscyplina nauki. W tamtych czasach, gdy dorobek szkoły Poppera był nieomal nieznany, trudno było dokonać czegoś więcej. Obecnie sytuacja jest inna, ale teoretycy polityki nie korzystają z osiągnięć teorii nauki.

Dzisiejsi politolodzy czymś takim jak prawnicy nie dysponują. Oni nawet nie wiedzą jakie znaczenie ma problem przedmiotu poznania. Zamiast debaty nad tym zagadnieniem coraz bardziej widoczne są w Polsce objawy niekontrolowanej **samolikwidacji politologii**. Czy aby w związku z wieloletnią działalnością teoretyków polityki III Rzeczypospolitej nie nadciąga dzień, w którym **trzeba będzie ogłosić naukową i dydaktyczną klęskę dyscypliny nazywanej „politologią”, obróconej w pseudonaukę?** Istnieje dostateczny materiał dowodowy, aby takie wnioskowanie przeprowadzić.

Do autodestrukcji politologii dochodzi już tylko dlatego, ponieważ ci, którzy posługują się terminem *politologia*, nie wiedzą, co on oznacza. Zapomnieli o przesłaniu swoich nauczycieli i uprawiają badania intuicyjnie, głównie je symulując. Większość jednak nawet nie jest zdolna w ogóle do jakiegokolwiek refleksji. Pracuje na wydziale politologii, bo akurat na takim znalazła etat, kiedy w pośpiechu i bezmyślnie, drogą naśladownictwa, tworzono nową jednostkę uczelni, a to, czym jest politologia, w ogóle ich nie interesuje. Ci pracownicy wydziałów politologii nie dysponują jakąkolwiek świadomością, że to, co polityczne nie jest tożsame z tym, co społeczne, tylko stanowi jego swoistą część. **Można nie zgadzać się z Bodnarem, Opalkiem i Ryszką, ale nie sposób pomijać ich wskazań odnośnie do konieczności określenia przedmiotu poznania i tożsamości dyscypliny.**

Z politologii pozostała właściwie tylko nazwa. Na wydziałach określanych „wydziałami politologii” nie ma wielu profesorów tej dyscypliny, tym bardziej takich, którzy cokolwiek z niej rozumieją. Historycy, prawnicy, socjologowie i filozofowie, a także specjaliści od zarządzania i „turystykologii” rozstrzygają, czym ma być politologia, bez jakiegokolwiek znajomości dorobku dyscypliny. Także nazwy zakładów i katedr coraz mniej odnoszą się do tradycyjnej problematyki politologicznej. Dominują oczywiście zakłady historii politycznej czy współczesnej, ale poza tym przecież coraz więcej jest placówek zajmujących się administracją, geopolityką, filozoficznymi, socjologicznymi, hermeneutycznymi, w których uczą specjaliści od wychowania fizycznego. Oni się do nich najlepiej kwalifikują. Tak dla erudyty na wydziałach politologii po prostu nie ma miejsca. Tworzyliby przecież niewygodną konkurencję.

Niedługo z pewnością na wydziałach politologii pojawi się jeszcze teologia polityczna. Prawie nikt nie wie, co to jest, a więc coś takiego doskonale pasuje na wydziały politologii. Podobny los powinien spotkać biopolitykę. Jej nazwa nieźle się kojarzy. Sztandarowym świadectwem stanu wiedzy politologów byłyby zakłady postpolityki. Trudno zrozumieć, dlaczego jeszcze nie powołano ich w Warszawie, Krakowie i Poznaniu.

Czy aby trafnym rozwiązaniem nie byłoby przemianowanie warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki na Zakład Postpolityki? Być może jednak jeszcze lepszym wyjściem z obecnej, nedorzecznej przecież sytuacji, byłoby **powołanie Zakładu Postpolitologii, czyli wiedzy o społeczeństwie bez przedmiotu poznania** (założenia są gotowe), sprzedawanej obecnie studentom jako politologia. Obok Zakładu Bezpieczeństwa i Higieny Polityki? Umożliwiłoby to ostateczne przekreślenie dorobku politologii jako dyscypliny nauki, ośmieszenie osiągnięć Ryszki i Sobolewskiego (a także Einsteina i Poppera!), utrwalenie nauk Klementowicza, Karwata, Krauz-Mozer, Bloka i Kaczmarka, a także dalsze utrzymanie już od dawna nieograniczonego dostępu na wydziały politologii tych, którzy nie utrzymali się na innych wydziałach nauk społecznych. Czy aby nie jest to przeznaczeniem politologii, która obróciła się w postpolitologię tożsamą z potoczną wiedzą o społeczeństwie? Takie podejście uwzględniłoby najnowsze trendy i mogłoby doprowadzić do uznania wydziałów politologii za „fabryki przyszłości” politycznej. W ten sposób polskie uniwersytety po raz pierwszy zdystansowałyby amerykańskie w tworzeniu nie nowatorskiej, ale nonsensownej wiedzy.

## 11. Prawidłowa akredytacja

Nowe tendencje znajdują skrajnie wyraziste odbicie w pisarstwie Mirosława Karwata. Z dorobkiem kierownika warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki w zakresie destrukcji politologii za pomocą dzieł seryjnie schodzących z komputera profesora, który swe życie już od wczesnej młodości poświęcił misji naprawy życia politycznego, nic nie może się równać. Czy aby ta misja, biorąc pod uwagę dorobek od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku po dzień dzisiejszy, nie jest czasem związana z odczuwaniem powołania do uczynienia świata lepszym? Karwat w latach dziewięćdziesiątych nie został usunięty ze środowiska politologów, tylko otrzymał szansę uprawiania poważnej nauki. Między innymi dzięki kredytowi zaufania, którego mu wówczas udzieliłem. Dzisiaj zastanawia mnie, dlaczego z niej nie skorzystał? Dlaczego kontynuował pisarstwo w stylu zapoczątkowanym jeszcze w schyłkowej fazie epoki Edwarda Gierka<sup>28</sup>.

28 Zob. na ten temat rozdział 4.

Obszernego i nieskomplikowanego tomu *Akredytacja w życiu społecznym i politycznym* nie kończy po prostu bibliografia. Spis literatury nosi zaskakujący tytuł „Inspiracje”. Wyjaśnić go można tylko w jeden sposób. Zdaniem autora nie mamy do czynienia z rozprawą akademicką, z monografią naukową, chociaż na stronie tytułowej znajdujemy napis: „Instytut Nauk Politycznych, Uniwersytet Warszawski”. We wstępie nie wyjaśnia on wprawdzie, jaki charakter ma książka, ale widzimy, że został jej nadany status traktatu napisanego ręką myśliciela, zaangażowanego, ambitnego reformatora społecznego. Kiedyś próbował on intelektualnie uzdrawiać Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Obecnie swoją aktywność skierował na reformę demokracji.

Powyższe słowa mogłyby być traktowane jako niewybaczalna insynuacja, gdyby nie fakt, że znajdują oparcie w obszernym materiale źródłowym. Nie tylko z czasów PRL, ale także III Rzeczypospolitej. Ten najbardziej zaskakuje, ponieważ z pewnością nie został stworzony dla kariery, by stanąć po właściwej stronie. Jednak nie wolno pominąć faktu, że Karwat w ostatnich latach zbudował sobie pozycję przypominającą obiekt kultu w kręgach teoretyków polityki. Widać to zwłaszcza wśród doktorantów i pracowników jego zakładu. Adoracja otoczenia określa widzenie świata profesora. Jego asystent opublikował niedawno recenzję *Akredytacji w życiu społecznym i politycznym*, w której usiłuje przypodobać się mistrzowi następującymi słowami: „Precyzja analityczna Autora w połączeniu z nie tak powszechną nawet w środowisku naukowym umiejętnością systematyzacji wiedzy pozostaje niedoścignionym wzorem dla wielu badaczy”<sup>29</sup>. Wcześniej uczeń Filip Pierzchalski ogłosił swego mistrza klasykiem przynajmniej w zakresie teorii podmiotowości politycznej, a może nawet filozofii marksizmu<sup>30</sup>. Tadeusz Klementewicz uwypuklił wielkość Karwata nazwiskiem słynnego francuskiego prozaika<sup>31</sup>. Nie sprecyzował tylko, o jaką politologię chodzi: warszawską, polską czy światową. Pewnie miał na myśli tę ostatnią. Sprawa nie jest jednak taka prosta. Z pewnością Karwat ofiarował światu cykl prac na jeden temat, ale im nie tylko daleko do Marcela Prousta. One budzą liczne skojarzenia, które nie są pochlebne ani dla niego, ani dla jego kolegów. Skłaniają natomiast do wniosku, że otoczenie Karwata zamiast budować solidną teorię polityki, zajmuje się czynnościami dawno uznanymi za niegodne etosu pracownika uniwersytetu.

Podczas lektury wstępu, a potem także pozostałego tekstu *Akredytacji w życiu społecznym i politycznym* potwierdza się hipoteza, że autor chciał dać ludzkości dzieło napisane ręką myśliciela, by ją zmienić na lepsze. Dokładnie tak samo jak niegdyś próbował ofiarowywać Polskiej Zjednoczonej Partii Robotni-

29 M. Tobiasz, [recenzja, M. Karwat, *Akredytacja w życiu społecznym i politycznym*, Warszawa 2009], „Studia Politologiczne” 2010, vol. 18, s. 332.

30 F. Pierzchalski, *Podmiotowość polityczna w perspektywie indywidualistycznej i holistycznej*, Pułtusk 2009, s. 26, 30–33, 37, 41, 58, 60–66, 72, 84, 92–93, 97, 117, 143, 230, 237, 242–243.

31 T. Klementewicz, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce*, Warszawa 2010, s. 218.

czej liczne teksty mające przyczynić się do jej naprawy. Narzuca się interpretacja, że oto mamy może do czynienia z efektem pasji, z tomem napisanym z powołania. Obecnie Karwat poszedł dalej i chce powiedzieć całemu światu, że ten jest kiepski albo w ogóle do niczego, a on sam wie, jaki powinien być.

*Akredytacja w życiu społecznym i politycznym* nie została opublikowana, aby komuś wyjaśnić zjawiska społeczne, mechanizmy i związki. Tutaj idzie o naprawianie świata, mamy do czynienia z dziełem człowieka idei, głęboko przeżywającego własne powołanie. Widać je już w tytułach i w tekstach prac z okresu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, gdy Karwat wskazywał, że istnienie opozycji politycznej jest możliwe tylko wtedy, kiedy wyhoduje ją sobie partia rządząca<sup>32</sup>. W III Rzeczypospolitej najpłodniejszy uczeń Bodnara kontynuował ten typ refleksji, zmieniając obiekt troski. Jego książki noszą wymowne tytuły: *Sami swoi* (1991), *Miernoty i figuranci* (1993), *Sztuka manipulacji politycznej* (1998), *O perfidii* (2001), *Figurantwo jako paradoks uczestnictwa* (2004), *O demagogii* (2006), *O złośliwej dyskredytacji* (2006), *Teoria prowokacji* (2007). Wyrażają one nastawienie nie wizjonera proponującego konkretny model porządku, ale uczuciowo zaangażowanego reformatora, który sprzeciwia się istniejącemu stanowi rzeczy i instruuje ludzi, jak powinni postępować

Gdyby Karwat napisał jedną lub dwie książki o tego typu tytułach, tym bardziej bez wymieniania na nich Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, nikt by pewnie na to nie zwrócił uwagi. Tutaj jednak mamy do czynienia z całą serią publikacji, która wymaga nie tyle krytycznej analizy naukowej, co zdiagnozowania. Nie mamy bowiem do czynienia z pracami, które spełniają elementarne wymagania metodologii nauki. Przed nami swoje idee roztacza reformator społeczny, z zaangażowaniem uczuciowym kreślący program polityki prawdziwej, uprawianej uczciwie przez ludzi prawidłowo akredytowanych.

Dzieła Karwata nie są budujące. Nie pozwalają zrozumieć zjawisk politycznych, ponieważ nie zostały im poświęcone. Lektura skłania do wniosku, że autor pisze, nie mając elementarnej erudycji w tematach, które podejmuje, a  **kolejne książki są tylko aktami osobistej ekspresji, do której pchają go jakieś osobiste urazy z okresu młodości**. Być może takie urazy pozostawił po sobie upadek partii, której naprawie Karwat poświęcił niegdyś tyle tekstów. Teraz swoją wiedzę chce podarować ludzkości w licznych książkach. W tych książkach nie ma jednak czegokolwiek z Prousta. Ani stylu, ani obserwacji, ani myśli. Przeżycia są powierzchowne i mają charakter uprzedzeń prowadzących do kompleksów. W wyliczonych tomach nie znajdziemy nawet czegokolwiek z wielkości Kornela Makuszyńskiego.

32 M. Karwat, *Deformacje i słabości. Co musimy przezwyciężyć*, (w:) R. Bryła, M. Karwat, W. Milanowski, *Być partią*, Warszawa 1981, s. 52–53.

Gdy Proust i Makuszyński w różny sposób mówią nam o naturze ludzkiej, Karwat – wbrew elementarnym naukom Ryszki – w ogóle nie dostrzega tego problemu, z uporem śledząc w swych licznych publikacjach przejawy tego, co uznaje za patologie życia publicznego, które wyodrębnia wedle własnych kryteriów. **Gdy politolog standardowe cechy natury ludzkiej uznaje za patologie, nie jest badaczem. Zajmuje się czymś, co nawet nie przypomina nauki.** Opiera się na fałszywych przesłankach i powinien być traktowany jako promotor twierdzeń prowadzących myślenie na manowce. Gdy zamyka się wobec krytyki, ogłasza w krótkich odstępach czasu kolejne tomy, otacza współpracownikami przekształcającymi go w obiekt adoracji, jego aktywność i dorobek zaczynają wymagać głębszej analizy. Czuję się do niej uprawniony, a nawet zobowiązany jako ten, który kiedyś warszawskiego profesora nieopatrznie obdarzył nadmiernym kredytem zaufania, wierząc, iż należy mu dać szansę.

Karwat nie rozumuje na przykład przez pryzmat uznanej w literaturze kategorii *klientelizmu*<sup>33</sup>, opartej na głębokiej wiedzy na temat natury ludzkiej i mechanizmów funkcjonowania sieci stosunków społecznych, tylko pisze o „figuranctwie”. Nie widzi instytucji kontroli społecznej i związanych z nią dostosowań (choć cytuje Ervinga Goffmana). Nie bada zjawisk politycznych w kontekście wpływu technologii na zachowania publiczne<sup>34</sup>, wymogów przywództwa, ale rozwodzi się o „demagogii”, „perfidii” i na temat „miernot”. Nowoczesne teorie oszukiwania i samooszukiwania, których podstawy przedstawił Robert Trivers<sup>35</sup>, są mu obce. Z teorii demokracji medialnej, która pokazuje zależność pomiędzy zachowaniami ludzi i technologią oraz uwikłanie ich umysłów w procesy komunikowania<sup>36</sup>, nie zamierza skorzystać. Karwat najchętniej potępia przyjmując pozę reformatora społecznego, gdyż wierzy, że wie, jak powinno być.

Najbardziej może zaskakuje, że problem natury ludzkiej zupełnie nie przyciąga jego uwagi, chociaż jest to podstawowa kwestia dla każdego teoretyka polityki. Pokazał to już wykreślony z pamięci Krakowskiego Przedmieścia 3 Ryszka. Na dodatek w ostatnich dziesięcioleciach wiele na ten temat napisano<sup>37</sup> i prace te są bardzo pouczające dla politologa, nawet nieaspirującego do rangi Prousta. Jeśli oczywiście je czyta. Karwata to nie interesuje. Nie cytuje nawet dostępnego po

33 A tak pięknie pisał o niej chociażby A. Mączak (*Klientela. Nieformalne systemy władzy w Polsce i Europie XVI–XVIII w.*, Warszawa 1994; drugie wydanie ukazało się sześć lat później; *idem*, *Nierówna przyjaźń. Układy klientalne w perspektywie historycznej*, Wrocław 2003).

34 G. Basalla, *The evolution of technology*, Cambridge 1988.

35 Szczególnie R. Trivers, *Self-deception in service of deceit*, (w:) *Natural selection and social theory. Selected papers of Robert Trivers*, Oxford 2002, s. 255–293; *idem*, *Social evolution*, Menlo Park 1985, s. 395–420.

36 R. Skarżyński, *Rzeczywistość obrazu: myśl polityczna w demokracji medialnej*, (w:) *idem*, *Od liberalizmu do totalitaryzmu. Z dziejów myśli politycznej XX w.*, t. II, Warszawa 2002, s. 274–305.

37 Gdyby zapoznał się z książkami S. Milgrama (*Posłuszeństwo wobec autorytetu*, Kraków 2008) i P. Zimbardo (*Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?* Warszawa 2008), sam poddałby miażdżącej krytyce swój dorobek.

polsku tomu Stevena Pinkera<sup>38</sup>. Gdyby wymienione pozycje przynajmniej przejrzał, lepiej zrozumiałby Ryszkę i mógłby twórczo rozwinąć jego hipotezy. Tymczasem stawia się na pozycjach myśliciela, samodzielnego i rewolucyjnego, który nie potrzebuje nawiązywać ani do tradycji intelektualnej, ani do jakiegokolwiek szkoły naukowej. Przed nim, sugeruje, było niewiele (tylko inspiracje), a może nikt. Prawdziwe myślenie o społeczeństwie zaczyna się dopiero wraz z początkiem jego własnego dzieła.

Trzeba przyznać, że tezy publikacji Karwata są bardzo proste i jasne, prezentowane w kategoriach dychotomicznych, wynikających z jednoznacznego podziału na dobre i złe. W ostatniej książce, która na pierwszy rzut oka może wydawać się tomem czysto akademickim, to myślenie także dochodzi do głosu. Oto autor wyróżnia akredytację uczciwą i manipulatorską<sup>39</sup>, a przede wszystkim obywatela racjonalnego i irracjonalnego<sup>40</sup>, by poświęcić wiele wysiłku zdefiniowaniu jego przyzwoitego (czyli racjonalnego) oblicza<sup>41</sup>. Idzie mu bowiem o pokazanie, kto jest dobry, kto zaś zły, czyli kto przyzwoicie akredytował się u ludzi, a kto jest tylko obecny jako manipulant i oszust.

*Akredytacja w życiu społecznym i politycznym* jest pewnie najprostszą książką, jaką w życiu czytałem. Została napisana tak jasnym językiem jak żadna inna. No może za wyjątkiem pewnej bajki dla dzieci, którą jednak poznawałem w odcinkach bardzo dawno temu, więc mogę się mylić. Kredo autora zyskuje finalną postać w koncepcji obywatela racjonalnego<sup>42</sup>, w ubolewaniach nad ułomnością ludzi w tej dziedzinie<sup>43</sup> i w zakończeniu zostało przedstawione niezwykle dobitnie. Tutaj Karwat dowodzi, że wiedza na temat akredytacji „[...]” potrzebna jest politologom i wszystkim humanistom (a więc filozofom, socjologom, psychologom, pedagogom, etykom, prawnikom), którzy zajmują się formami i mechanizmami życia publicznego. W szczególności tym, którzy szukają odpowiedzi na pytanie, jak to się dzieje, że karierę nie zawsze robią <<najlepsi z najlepszych>>, że marny towar (materiał ludzki) może wydać się tak atrakcyjny w odpowiednim opakowaniu, w specjalnie dobranym towarzystwie, wśród przyjemnych rekwizytów i w zaaranżowanych okolicznościach”<sup>44</sup>.

Podkreślmy wyraźnie, nie jest to język monografii naukowej, eseju, pracy popularyzatorskiej, podręcznika, a nawet szkicu, pomimo firmowania książki przez znaną placówkę flagowego uniwersytetu. Jest to język manifestu, język autora, który wie, kto jest dobry, kto zaś zły i jest przeciwny temu, aby źli – wedle jego

38 S. Pinker, *Tabula rasa. Spory o naturę ludzką*, Gdańsk 2005.

39 M. Karwat, *Akredytacja w życiu społecznym i politycznym*, Warszawa 2009, s. 8–9, 14–15, 187–228.

40 *Ibidem*, s. 14.

41 *Ibidem*, s. 181–182.

42 *Ibidem*

43 *Ibidem*, s. 186.

44 *Ibidem*, s. 341.

kryteriów – robili kariery społeczne. Karwat z uporem tropi fałsz i obłudę, jakby zarazony przed laty, w młodości, jakimś wirusem, uniemożliwiającym mu zwrócenie się ku innym sprawom. W istocie jednak pisze kolejne odcinki bajki, która nie przyciągnie uwagi. Pomimo prostoty niczego ani nie tłumaczy, ani nie porusza uczuć. Jeśli coś wywołuje, to zdenerwowanie i zastanowienie nad tym, do czego doszedł autor po latach pracy.

Karwat rozpaczliwie rozminął się z tendencjami nowoczesnej nauki, która już przynajmniej od stulecia kieruje swoją uwagę ku badaniom irracjonalnych skłonności człowieka jako przejawu jego natury<sup>45</sup>. Rozminął się też z oczekiwaniami polskiego środowiska politologicznego, które nie potrzebuje traktatów profesorów udających myślicieli. Czeka natomiast na przywoity podręcznik teorii polityki. A przecież przychylni koledzy, chociażby Eugeniusz Zieliński<sup>46</sup>, o mnie nie wspominając (gdy jeszcze troszczyłem się o przywrócenie kolegi nauce), nieraz wskazywali mu, że zajmuje się sprawami marginalnymi i odwraca od zagadnień fundamentalnych. Przejął schedę po Ryszce, ale nie kłopotce się dziedzictwem. W ogóle nie interesuje się tym, że jego publikacje są co najwyżej zaangażowaną publicystyką i nie jest to twórczość, która przyciąga uwagę swoją treścią.

Ktoś z Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych nazwał ostatnio w rozmowie ze mną pisarstwo Karwata eseistyką, ale przecież to gruba przesada. Refleksję nad jego dorobkiem wzbudza ilość wydawanych książek i koncentracja ich treści nad specyficznymi zagadnieniami, bez wyjątku marginalnymi, ponadto fałszywie interpretowanymi wskutek braku elementarnej wiedzy na temat natury ludzkiej. Zastanowienie budzi też poziom analizy i argumentacji, brak znajomości literatury przedmiotu, powierzchowność wywodu, a nawet naiwność, czego najbardziej dobitnym przykładem jest właśnie omawiana książka. Książki Karwata, jak on doskonale wie<sup>47</sup>, nie znajdują czytelników, ponieważ nie sposób w nich znaleźć czegokolwiek przyciągającego uwagi.

**Spróbujmy jednak mimo wszystko poszukać naukowej wartości w tym tomie.** Ostatecznie znamy myślicieli, którzy w pisanych z pasją tekstach potrafili także wyjaśniać świat. Rozumiem, że Karwat, jako profesor tytularny, a więc uczony formalnie o statusie mistrza, zdaje sobie chociaż trochę sprawę z tego, że w ramach instytucji uniwersytetu pierwszorzędym zadaniem jest wyjaśnianie, a nie manifestowanie stosunku do społeczeństwa i gotowości jego naprawy. Kto tego nie pojmuje, nie dysponuje przecież kwalifikacjami upoważniającymi do tytułu profesora.

45 G. Le Bon, *Psychologia tłumu*, Warszawa 1994. Tendencja ta widoczna jest też przecież w znanej pracy Ericha Fromma o skłonności człowieka do poddania się władzy (*Ucieczka od wolności*, Warszawa 1978). Także: T. Adorno i inni, *The authoritarian personality*, New York 1950; B. de Jouvenel, *On power. Its nature and the history of its growth*, Boston 1962.

46 E. Zieliński, *Problemy badań teorii polityki*, „Studia Nauk Politycznych” 2004, nr 1, s. 75.

47 M. Karwat, *Metodologiczne przewartościowania politologów*, „Studia Nauk Politycznych” 2004, nr 1, s. 7.

Akredytacja to, zgodnie z wywodem Karwata, postępowanie mające na celu zdobycie uznania społecznego. Rozumiane jest jako działanie zmierzające do uzyskania poparcia, które jest konieczne do uczestnictwa w życiu społecznym<sup>48</sup>. W takim znaczeniu ujęcie jest w pełni oryginalne, tylko że wynika ze zlekceważenia ustalonych kategorii nauk społecznych. Miałoby ono ewentualnie sens, gdyby cokolwiek służyło pogłębieniu wyjaśniania świata. Z tym jednak nie mamy tutaj do czynienia. Dlatego też autor nie podjął tak kluczowego problemu, jak kształtowanie się uznania w warunkach działania kontroli społecznej i walki o pozycje społeczne, które toczy każdy człowiek niezależnie od swego charakteru.

Od strony socjologicznej ta książka zaskakuje. W kontekście badanego problemu nie ma tu żadnej analizy tego typu. Autor opisuje objawy zjawiska, zgodnie z założeniami swojej nowej „syndromatycznej” interpretacji polityki<sup>49</sup>, tylko że to wszystko nie służy zrozumieniu czegokolwiek. Natomiast recepta naprawienia świata wydaje się tak bardzo potoczna, przypominająca efekt dyskusji w pociągu dalekobieżnym, że po prostu irytuje. Do tego ma się wrażenie, jakby autor nie przeczytał cytowanych książek Goffmana, a jedynie instrumentalnie użył nazwiska wpływowego socjologa i tytułów jego prac do uwiarygodnienia własnych twierdzeń.

Tytułowa kategoria *akredytacji* została zdefiniowana szeroko, bez jakiegokolwiek szacunku dla języka polskiego i tradycji myśli społecznej, nie mówiąc już o teorii społeczeństwa. Podejście to nie znajduje naukowego usprawiedliwienia w tekście w postaci przekonywającego wywodu, jest konsekwentnie realizowane w duchu dzieła reformatora społecznego.

Karwat nie analizuje złożonych mechanizmów określających procesy nazywane przez niego „akredytacją”, związanych z konstrukcją ludzkiego umysłu, naturalnymi potrzebami człowieka, stosunkami społecznymi, funkcjonowaniem instytucji społecznych, tradycją, obyczajami i przesądami. Nie interesuje go rola religii w społeczeństwie, nie pociągają bajki, plotki, legendy, wymagania mobilizacji politycznej, nie frapują procesy prowadzące do wyłaniania autorytetów i grupowania się wokół nich ludzi. Nie bada, co znaczy odgrywanie ról w społeczeństwie. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że to, co tak krytykuje i odrzuca, jest codzienną strawą człowieka normalnego, określoną jego ewolucyjnie wyłonioną naturą.

***Akredytacja w życiu społecznym i politycznym to krytyka zwykłego człowieka, którego potępia się, ponieważ nie postępuje zgodnie z oczekiwaniami autora książki.*** Gdyby ten przestał kierować się uprzedzeniami, obserwował

48 M. Karwat, *Akredytacja w życiu...*, op. cit., s. 13.

49 M. Karwat, *Syndromatyczny charakter nauki o polityce*, (w:) K. Wojtaszczyk, A. Mirska (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie. I Ogólnopolski Kongres Politologii Warszawa 22–24 września 2009*, Warszawa 2009, s. 175–188.



i poznał najnowsze teorie natury ludzkiej, nie pisałby umoralniających uwag, tylko zająłby się poważniejszymi problemami i nie nadużywał autorytetu Goffmana. Ten przecież nikogo nie potępiał, a jedynie opisywał i analizował procesy komunikowania społecznego w sieciach stosunków społecznych, gdy jednostka zostaje poddana kontroli i musi grać swoją rolę, by się odnaleźć i przetrwać<sup>50</sup>. Goffman rozumiał naturę człowieka i jego uwikłanie w sieci relacji społecznych. Karwat nie wziął tego wszystkiego w ogóle pod uwagę. Każdy czytelnik tekstów Kanaadyczyka łatwo dostrzeże, że książka Karwata nie może być uznana za pracę naukową. Jest to tekst z potocznie rozumianej tematyki wiedzy o społeczeństwie.

Z omawianego tomu jasno wynika, że kto w taki sposób wprowadza pojęcie „akredytacji”, nie rozumie znaczenia biologii ewolucyjnej i dowodzi nieznamomości klasycznych kategorii socjologicznych i politologicznych, chociażby próbując zastąpić pojęcia *uzasadnienia*, *legalności*, a może nawet *legitymizacji* nową kategorią, przemyślaną bardzo powierzchownie. Prezentując tę książkę, autor mówi tylko o zakresie własnej wiedzy i niezdrowej skłonności niepomamowanego pisania opasłych tomów, które nie przynoszą mu uznania. Ich drukowanie stało się możliwe w efekcie zaniku krytyki naukowej. Książka warszawskiego politologa stanowi wyraz nadmiernego pędu do pisania, do publikowania bez krytycznej oceny wartości tekstu. Jej autor płaci wysoką cenę, która ujawnia się brakiem zdolności do rozważania podstawowych zagadnień teorii polityki i skłonnością szybowania w przestworzach myślami, które tylko z pozoru są wolne i wnikliwe. Dlatego właśnie on potrzebuje adoracji i organizuje ją sobie w kierowanym przez siebie Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki.

Karwat nie pyta, lecz jak wytrawny i działający z powołania pedagog tropi to, co rzekomo pozorne, wskazując obiekty jego zdaniem prawdziwe. Dlatego bez zbędnych analiz, od razu zmierza do celu i strzela ze swojej dydaktycznej armaty do czytelnika: „Inne są przesłanki uznania społecznego dla pretendenta do ról wpływowych i do przywództwa w przypadku racjonalności obywateli lub racjonalności instytucji nadających komuś określony status albo udzielających zezwolenia na pewien typ działalności, a inne w przypadku, gdy jednostkami, masami, a nawet instytucjami społecznymi (stowarzyszeniami, organami, agendami) kieruje żywioł irracjonalności”<sup>51</sup>. Widać, że Karwat pozostał wierny swojej dawnej humanistycznej wykładni marksizmu. Jakby nie dostrzegł, że czasy się zmieniły i materializm historyczny nie przemawia już do ludzi. Dawno wskazano, iż nie mamy tu do czynienia z nauką. Wystarczy w tym celu przeczytać traktat o społeczeństwie otwartym Poppera. Narzuca się pytanie, czy autor jest w ogóle w stanie rozumować ponad prostymi, dychotomicznymi kategoriami? Czy może rozwinie

50 E. Goffman, *Człowiek w teatrze życia codziennego*, Warszawa 1981, s. 35–51.

51 M. Karwat, *Akredytacja w życiu...*, op. cit., s. 14.

jakaś przynajmniej minimalną analizę socjologiczną i przedstawi bardziej wyrafinowane rozważania w dalszej części pracy.

Tutaj wprawdzie znajdujemy uwagi na temat legitymizacji, wiarygodności, a nawet tożsamości, ale bez odwołania do elementarnej literatury naukowej i stale czynione przez pryzmat prostych kategorii sformułowanych na wstępie. Nie dowiadujemy się czegokolwiek istotnego poza tym, że autor nie wglębia się w analizy mechanizmów określających funkcjonowanie społeczeństwa. W rozdziale o tożsamości już nie odwołuje się do jakiegokolwiek pracy, snując swoje myśli bez ograniczeń i zahamowań<sup>52</sup>. Pozwala mu to pominąć prosty i fundamentalny fakt, że tożsamość istnieje tylko jako zjawisko związane z ludzką zbiorowością i sama w sobie ma z natury charakter irracjonalny (jeśli użyć kategorii Karwata). Kiedy mówimy o indywidualności podmiotu przeżywającego tożsamość, to nie będzie nim izolowana jednostka ludzka. Człowiek samotny może się tylko zagubić. Nawet ateista w katolickiej Polsce nie jest samotny. Jego stanowisko, światopogląd, określają tak wierzący, jak i pozbawieni tej zdolności.

Dlatego samookreślenie podmiotu przeżywającego tożsamość może mieć miejsce wyłącznie przez odniesienie się do tego, co jest wobec niego zewnętrzne. Jeśli będzie tym zbiorowość, taka na przykład jak kościół, klasa, rasa czy naród, to odniesienie nie ma charakteru przemyślanego, ale wynika z uczuciowego przeżywania przez umysł symboli i związanej z nimi nadziei. Gdyby umysł był racjonalny, to człowiek nigdy nie chodziłby do kościoła, nie uwierzyłby w istnienie rasy, klasy czy narodu. Wszystko to należy jedynie do zbioru symboli, których ludzie nie są w stanie przemyśleć i rozważyć, ale z którymi identyfikują się, aby ich umysł nie zagubił się, a oni sami mogli fizycznie przetrwać i zapewnić dobry los swoim dzieciom.

Wiemy to z najnowszych badań<sup>53</sup>. Także łatwo obserwować opisane zjawiska. Wystarczy na przykład zadać sobie pytanie, jak jest akredytowana w społeczeństwie indyjskim Sonia Gandhi. Jak to możliwe, że Włoszka może przynajmniej formalnie przewodniczyć największej partii politycznej tego olbrzymiego kraju. Tylko dlatego, że jest wdową po synu Indiry Gandhi? Czy to oznacza, że mieszkańcy Indii głoszący na Partię Kongresową mają nie po kolei w głowie? A może Sonia Gandhi to jakaś oszustka akredytowana niezgodnie z regułami społeczeństwa indyjskiego? Jednak takie rozważania, oparte na poszukiwaniach, przemyśleniach i falsyfikacjach hipotez, są obce Karwatowi. Stąd te wszystkie

52 *Ibidem*, s. 177–180.

53 Zob. np. S. Taylor, *Positive illusions. Creative self-deception and healthy mind*, New York 1989; A. Damasio, *Tajemnica świadomości. Ciało i emocje współtworzą świadomość*, Poznań 2000; *idem*, *Jak umysł zyskał jaźń. Konstruowanie świadomego mózgu*, Poznań 2011; D. Buss, *Psychologia ewolucyjna*, Gdańsk 2003; M. Rosano, *Evolutionary psychology. The science of human behavior and evolution*, Hoboken 2003; F. Wuketis, *Der freie Wille. Die Evolution einer Illusion*, Stuttgart 2007; S. Fiske, S. Taylor, *Social cognition. From brains to culture*, New York 2008; G. Gigerenzer, *Intuicja. Inteligencja nieświadomości*, Warszawa 2009.

nieodpowiedzialne wypowiedzi i „dzieło myśliciela” zamiast monografii czy podręcznika. Stąd skłonność do potępiania człowieka normalnego i budowania pozornych wzorców dydaktycznych, a nawet formułowania instrukcji.

Ciekaw jestem jaka książka zeszlaby z komputera Karwata, gdyby kilka lat mieszkał w Indiach i otwierając rankiem gazetę, często widział na pierwszej stronie Sonię Gandhi. Czy zastanowiłby się nad funkcją symbolu zawartego w słowie *Gandhi*? Czy zrozumiałby, że sposób jego przeżywania jest efektem nie irracjonalnej, nieuczciwej akredytacji, zbiorowej głupoty, ale uzewnętrzniania się natury ludzkiej?

Karwat nie ma żadnych zahamowań odnośnie do spojrzenia na problem tożsamości z własnej perspektywy przy kompletnej nieznajomości tego, co twierdzi na ten temat nowoczesna nauka. Czyni to konsekwentnie, odróżniając tożsamość uwierzytelnioną<sup>54</sup> od niewuierzytelnionej<sup>55</sup>. Instruuje przy tym, aby do tej drugiej nie odwoływać się, ale „[...] powrócić do zapomnianych kategorii poważniejszych, o rodowodzie filozoficznym – takich jak: tożsamość, poczucie tożsamości, samookreślenie, oblicze; i dopiero w tym kontekście osadzić swoje manipulacje wizerunkiem”<sup>56</sup>. Czy wskazówka ta byłaby przydatna Soni Gandhi albo głosującym na Partię Kongresową mieszkańcom Indii? Nie będę już komentował **trafności tych instrukcji** z punktu widzenia teorii naukowej. Wystarczy, że powiem, iż one nie kojarzą mi się ani z nauką, ani nawet z rozumowaniem eksperta marketingu politycznego, tylko z czymś zupełnie innym.

Jakie odniesienie proponuje autor dla człowieka racjonalnego. Nie ma o tym w tekście niczego, poza paroma wskazówkami, czyli instrukcjami, co robić, aby być racjonalnym<sup>57</sup>. Rozumiem, że mają być one nowym punktem wyjścia tożsamości racjonalnej. Zapewniam Karwata, że tej funkcji nie spełnią. Ludzie dalej będą się czuli członkami kościoła, rasy, klasy i narodu. Pójdą nie za mądrymi, tylko za tymi, którzy niosą przemawiające do nich symbole. Nawet jeśli będzie to tylko legendarna przeszłość i nazwisko. Oni pójdą nie tam, gdzie życzyłyby sobie profesor, ale pomaszczą starą drogą, kierowani nie przemyśleniami, ale własnymi instynktami i wskazówkami tych, których Karwat określił mianem źle akredytowanych.

Manifest autora nic nie jest wart, ponieważ nie przemawia do uczuć, a one są podstawą przeżywania tożsamości. Tak, przeżywania! Dobrze byłoby uświadomić sobie, że tożsamość nie jest odbierana świadomymi aktami umysłu, ale przeżywana uczuciowo w kontekście położenia ciała ów umysł przenoszącego. Gdyby ktoś tego nie rozumiał, jest teoria dobrze owe zjawisko wyjaśniająca. Nie na

54 M. Karwat, *Akredytacja w życiu...*, op. cit., s. 177–180.

55 *Ibidem*, s. 235–243.

56 *Ibidem* s. 237.

57 Warto się z nimi zapoznać – *ibidem*, s. 181–182.

podstawie spekulacji, ale solidnych badań prowadzonych między innymi przez neurologa światowej sławy (jego książki są dostępne w języku polskim<sup>58</sup>).

Nasuwa się proste pytanie: czy mianowicie Karwat sam uważa się za racjonalnego obywatela i politologa. W pierwszej sprawie z oczywistych względów nie będę się wypowiadał. Odnośnie do drugiej, mam dowód rzeczowy w postaci książki. Jej lektura dowodzi, że z racjonalizmem autora jako uczonego jest bardzo źle. Nie tylko z racji poddania się dziwnie pojmowanemu powołaniu pedagogicznemu (wbrew Karwatowi uważam, że politologia nie ma nic wspólnego z pedagogiką, a pedagogika nie jest nauką interdyscyplinarną), ale także braku znajomości najnowszych ustaleń nauki, gotowości prowadzenia badań naukowych, które znalazłyby swój wyraz w hipotezach i wyrafinowanym wywodzie. Zamiast tego mamy dydaktykę na poziomie kursu zawodowego z wiedzy potocznej, która bystrzejszego czytelnika zmusza do zastanowienia, o co w tym opasłym tomie w ogóle chodzi. **Czy czasem Karwatowi nie chodzi o bezpieczeństwo i higienę pracy w polityce?** Czy czasem jego powołaniem nie są wykłady uniwersyteckie, gdzie przecież rozważa się hipotezy, tylko przeznaczeniem są szkolenia w ramach kursów zawodowych lub jakiejś szkoły ideowej. Obawiam się jednak, że ani polska, ani tym bardziej światowa polityka nie potrzebują kogokolwiek, kogo twórczość kojarzy się z takimi czynnościami. Natomiast polska politologia od śmierci Ryszki zgłasza zapotrzebowanie na przynajmniej jednego solidnego teoretyka. Dlaczego Karwat nie chciał nim zostać? Dlaczego nie podjął się kontynuacji dzieła rozwijania polskiej teorii polityki, tylko zajął się tworzeniem instrukcji z bezpieczeństwa i higieny polityki?

W moim odczuciu Karwat nie może aspirować do tytułu Prousta, nawet politologii warszawskiej, gdzie konkurencja wśród teoretyków polityki nie istnieje, ponieważ tam nikt nie uprawia czegokolwiek podobnego do teorii. Klementewicz całkowicie się myli. Jeśli cykl prac Karwata cokolwiek przypomina, to jedynie instruktażowy podręcznik behapowca polityki. Znajduje to finalny wyraz w instrukcjach zawartych w *Akredytacji w życiu społecznym i politycznym*, nadających się nie na uniwersytecki wykład, ale na materiał szkoleniowy. Piszę to z przykrością, jednak materiał dowodowy jest bezwzględny. Tworzy go dorobek Karwata i jego otoczenia. Ostatnia książka profesora jest jednoznacznym, niepodważalnym dowodem, że **nie mamy do czynienia z badaczem, ale kimś, kto poświęcił się pisaniu instrukcji**. Karwat nie pyta, nie tworzy hipotez i ich nie bada, on głosi prawdę, ale nie jak myśliciel, zdolny rozwinąć wizję porządku społecznego. Profesor po prostu wskazuje sposób postępowania. Pokazuje, jak jego zdaniem bezpiecznie działać politycznie. Taka jest wymowa wykładu, a więc skojarzenie

58 A. Damasio, *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, Poznań 1999; idem, *Tajemnica świadomości...*, op. cit.; idem, *W poszukiwaniu Spinozy. Radość, smutek i czujący mózg*, Poznań 2005.

dorobku Karwata z efektami aktywności behawpowca polityki znajduje niepodważalne potwierdzenie w jego publikacjach.

Gdyby chodziło o walkę z nadwagą, o utrzymanie zębów w czystości, zapobieganie nowotworom czy zdrowe odżywianie, wszystko byłoby w porządku. Lekarze, także z tytułami profesorskimi, są po to, by pouczać ludzi w sprawach zdrowotnych. Takiej funkcji nie może jednak pełnić przedstawiciel nauk społecznych, tym bardziej zaś politolog. Na dodatek w książce sygnowanej przez placówkę uniwersytecką flagowej uczelni.

Aby oddać groźę sytuacji, atmosferę panującą w warszawskim Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki, warto może jeszcze przytoczyć parę słów sprawnego ucznia. W cytowanej już recenzji pisze on, że jego mistrz dysponuje wysoką świadomością metodologiczną i dlatego „[...]” potrafi integrować wiedzę wypracowaną w ramach całych nauk społecznych i wykorzystać w politologicznym kontekście, a **nie zamykać się w ciasnych poznawczo dyscyplinarnych okowach**”<sup>59</sup>. Otóż ów uczeń powinien wiedzieć, że akurat do jego szefa kompletnie nie pasuje ta charakterystyka, a teza o „ciasnych poznawczo dyscyplinarnych okowach” dowodzi, że wprawdzie uzyskał on stopień doktora nauk, ale nie wie czym jest nauka. Skąd on ma to wiedzieć, przez lata ćwiczony przez przełożonego w posłuszeństwie? Do tego stopnia, że pisze wiernopoddańczą recenzję. Przecież w otoczeniu Karwata nie chodzi o poznanie, tylko o lojalność i utrzymywanie przewodnika w dobrym nastroju.

Nie przypominam sobie, abyśmy w czasach komunizmu podlizywali się swoim profesorom, nie było takiego zwyczaju. Gdyby ktoś spróbował coś takiego zrobić w stosunku do Remigiusza Bierzanka czy Jana Baszkiewicza, pewnie zostałyby to potraktowane jako akt całkowicie nieodpowiedzialny. My, młodzi, polemizowaliśmy wówczas z profesorami, nieraz odnosząc na tym polu sukcesy. Ja sam napisałem w tamtych latach bardzo krytyczną recenzję książek Andrzeja Garlickiego<sup>60</sup> i nie przypominam sobie, abym miał z tego powodu kłopoty. Profesor nie odpowiedział, chociaż wiem, że tekst go poruszył. Chyba więc miałem chociaż trochę racji. Wtedy jednak ludzie uniwersytetu mieli niemało godności i rozumieli znaczenie krytyki. Dzisiaj, jak pokazuje przykład lubelskiego europośła, Mirosława Piotrowskiego, który podał do sądu recenzenta własnego tekstu, to wszystko zanikło i profesorami są osoby uważające, że spory naukowe można rozstrzygać poza uniwersytetem. Być może wróci moda na pojedynki. W każdym razie jesteśmy przynajmniej świadkami narodzin obyczaju ćwiczenia asystentów w czynnościach pozwalających profesorom utrzymywać się w dobrym nastroju.

59 M. Tobiasz, [recenzja M. Karwat], *op. cit.*, s. 332. Podkreślenie moje

60 R. Skarzyński, [recenzja: A. Garlicki, *U źródeł obozu belwederskiego*, Warszawa 1978 i *Przewrót majowy*, Warszawa 1978], „Studia Nauk Politycznych” 1981, nr 2, s. 199–202.

Zastanawiam się, **jaka w tych warunkach jest akredytacja Karwata**, profesora tytularnego i kierownika zakładu na flagowym Uniwersytecie Warszawskim. Uwierzytelniona czy pozbawiona tego statusu? Gdy inny doktor habilitowany, jego podwładny, we własnej książce akredytuje się u niego jak poddany, a asystent publicznie, za pośrednictwem dedykowanego tekstu, opublikowanego w organie Instytutu Nauk Politycznych, składa wiernopoddańczą deklarację. Przecież z socjologicznego punktu widzenia to wszystko dokładnie odpowiada wzorcom funkcjonowania zamkniętego kręgu, którego przewodnik nie określa swojej pozycji własnymi cechami charakteru, zdolnościami umysłu, wywodem, dorobkiem, **ale instrumentalnie wymusza na członkach nie tylko posłuszeństwo, lecz jeszcze mobilizuje do publicznego demonstrowania lojalności.**

Tadeusz Klementewicz i Marcin Tobiasz swoje tezy na temat Karwata pisali w odruchu serca, z uczucia bezinteresownej miłości, z podziwu? Traktując Karwata jako charyzmatycznego mistrza? Nie mogę w to uwierzyć. Moim zdaniem ogłosili je w efekcie poddania się presji stosunków panujących w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki. Jest to krąg zainstalowany na uniwersytecie w efekcie kryzysu tej instytucji, a jego szef korzysta z obowiązujących na nim mechanizmów akredytacji. Zastanawiające, jak może dochodzić do takiego przekształcenia stosunków pracy na czołowym uniwersytecie w warunkach demokracji. Coś takiego nie miało miejsca w PRL. Przynajmniej ja się z tym nie spotkałem.

W rozważaniach o tożsamości ostatecznie ujawnia się zasób wiedzy Karwata i jeszcze raz ukazują jego intencje. W produktach współpracowników profesora wyraz znajduje stosunek szefa do ludzi. W całym tym zjawisku jak na dłoni daje się zaobserwować proces samolikwidacji politologii, przekształcanej w wiedzę o społeczeństwie opartą ma kredo recytowanym na konferencjach i seminariach. Tym procesom towarzyszy samolikwidacja całego uniwersytetu, ponieważ przekształca się on w szkołę zawodową, gdzie wykłady zastępuje się szkoleniami, a badania naukowe wypiera kopiowanie treści stworzonych za granicą i formułowanie instrukcji.

Mamy też do czynienia z autodestrukcją Karwata jako badacza i profesora uniwersytetu. Tylko dlatego, że poszedł on drogą ideowego zaangażowania, gdy nie pełny wątpliwości, poszukujący umysłu, ale uczucia kierują działaniami. Dlatego uczeń Bodnara nie stawia hipotez, ale jest wierny prostym zasadom, które traktuje jak prawdę, jako wyznanie wiary niepodlegające krytyce. Wyznawca prawdy nigdy nie będzie uczonym, ponieważ praca tego ostatniego polega na ciągłym wątpleniu, podważaniu dogmatów, twierdzeń i poszukiwaniu przez budowanie także obrazoburczych hipotez. **Uczony nie zna prawdy, natomiast dla odczuwającego powołanie do misji ideowej hipoteza jest czymś nie do przyjęcia.** On idzie raz wytyczoną drogą, a ta droga to droga pouczania ludzi, jak prawidłowo powinni się akredytować i zachowywać, przy całkowitym zlekceważeniu ich

natury. Jest to droga nie uczonego, nie politologa, ale instruktora i behapowca polityki.

Uczony nie ma prawa niczego potępiać, prowadząc badania naukowe, a już z pewnością nie wolno mu potępiać człowieka normalnego. Prawo do tego ma doktryner, który nie godzi się z istniejącym stanem rzeczy i proponuje jego zmianę. Teoretyk jedynie analizuje i uogólnia celem stworzenia warunków do poznania i zrozumienia, także konsekwencji poznawanych zjawisk. Na przykład konsekwencji wynikających z przyjęcia, że politologia nie ma własnego przedmiotu poznania. Doktryner nie próbuje wnikać w istniejący stan rzeczy. Wydaje mu się, że go zbadał, ale faktycznie stawia od razu diagnozę, która jest wynikiem właściwych mu preferencji i oczekiwań.

Dopiero po lekturze *Akredytacji w życiu społecznym i politycznym* stało się dla mnie jasne, że Mirosław Karwat nie mógł podjąć i już nie podejmie problemu przedmiotu poznania politologii. Nie jest teoretykiem, nie lubi zastanawiać się nad tym, co abstrakcyjne, ulotne, niepewne, co wymaga wnikliwości i subtelnych rozróżnień. Zarówno seria publikacji z czasów PRL, jak i liczne tomy ogłoszone w III Rzeczypospolitej dowodzą, że potrzebuje tego, co niewzruszone, co jasno wytycza drogę. Karwat nie jest człowiekiem tworzącym teorię. Jego powołaniem jest doktryna. Dlatego jej egzegezę, polegającą na dowiedzeniu aktualności, powierzył swemu uczniowi w czasach, kiedy powszechnie uchodzi ona za martwą.

W normalnych społeczeństwach ludzkich, gdzie nie prawda jest najważniejsza i nie są najważniejsze badania naukowe, jest miejsce dla uczonych i doktrynerów. Dlatego **powyższa ocena nie ma charakteru wartościującego**, wprowadza tylko rozróżnienie pomiędzy tych, których umysł zdolny jest poruszać się w niepewnym, niejasnym świecie i tych, których umysł wymaga jasności i niewzruszonego oparcia. Ci drudzy nigdy nie staną się odkrywcami i badaczami. Wnikliwa hipoteza nie będzie ich celem. Oni minęli się z powołaniem podejmując pracę na uniwersytecie.

Dla współczesnego uniwersytetu byłoby lepiej, gdyby dominowali na nim nie doktrynerzy, ale znający dorobek nauki i zdolni formułować hipotezy. Poza tego typu uczelnią jest dość miejsca dla uczuciowo przeżywających powołanie i spełniających się w krzewieniu doktryny. Ich miejsce jest nie tylko w kościołach, sektach, partiach politycznych i niektórych stowarzyszeniach mniejszości, gotowych ofiarne manifestować swoją obecność. Są też takie uczelnie, gdzie nie toleruje się stawiających hipotez. Tam dominują doktrynerzy. W warunkach współczesnej Europy nie są to uczelnie flagowe, ale i zatrudnieni na nich wykładowcy już nie zajmują się dzisiaj potępianiem normalnych ludzi. Historia wiele uczy. Uczy między innymi tego, że natura ludzka nie zmienia się w czasie dostępnym nie jednemu, ale nawet wielu pokoleniom. Warto by politolodzy zdali sobie z tego sprawę.

Nie wolno im w tekstach drukowanych pod szyldem uniwersyteckiego instytutu potępiać człowieka normalnego i pisać dla niego instrukcji.

## 12. Od rolnictwa do politologii politechnicznej

**Bez adekwatnej oceny teorii polityki politolodzy muszą utracić poczucie swojej tożsamości.** Bez teorii politologii nie będzie poważnych badań nad ideami politycznymi, systemami politycznymi, stosunkami międzynarodowymi, a politologia zostanie przejęta przez socjologów, prawników i przede wszystkim historyków, którzy nieświadomi tego, co robią, nazwą się „politologami” i będą uczyć historii politycznej, czasem powtarzając rozmaite nonsensy głoszone przez teoretyków polityki. Zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że są politologami jedynie z nazwy, którzy kopiują doktryny lub potoczną wiedzę o społeczeństwie. Opisane procesy już faktycznie mają miejsce.

Czy historyk zepchnięty na margines swego środowiska, czyli zagrożony historyk (bo wybitny na wydział politologii obecnie nie przyjdzie) zrozumie, że nie jest politologiem? Sam raczej nie dojdzie do tego. Musi mu to wyjaśnić politolog. Nie będzie to łatwe, ponieważ historycy odczuwają wyższość nad politologami i nie jest ona bezzasadna. **Gdy brak teorii politologii, gdy nie rozumie się przedmiotu poznania dyscypliny, nie ma komu wyjaśnić, kim jest politolog i czym się zajmuje.** W warunkach nadprodukcji tytułów naukowych, zwłaszcza w zakresie historii, **naturalna jest emigracja z dyscypliny silnej, ale przeludnionej, do słabej, upadającej, która traci własną tożsamość** i której absolwenci stają się niedouczonejmi kopiarkami najprostszycy schematów myślowych, przejmowanych z gazet, radia i telewizji. Obserwujemy to obecnie szczególnie wyraźnie na przykładzie historyków, a nawet specjalistów od zarządzania, którzy nie mają żadnych hamulców odnośnie do samooceny własnych kwalifikacji i uważają się za politologów. Tylko dlatego, że wydaje im się, że nadal będą klienci gotowi studiować ten kierunek.

Ciekawe przypadki tworzą ofiary procesów kryzysu nauki w demokratycznej Polsce. Niedawno rozmawiałem z pewnym historykiem, po jego referacie na konferencji. Zrobił on habilitację z politologii w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Zapytałem go, dlaczego to uczynił. Przecież nie ma za grosz ani wiedzy z podstaw politologii, ani nawet świadomości, czym jest ta dyscyplina. Odpowiedział mi on, że nie jest politologiem, tylko historykiem, a habilitację zrobił z politologii, ponieważ tutaj łatwiej i na dodatek istnieje więcej możliwości znalezienia zatrudnienia.



Biografia tego „politologa” obrazuje nam jednak szerszy proces, jakim jest parada „politologicznych” blagierów w Białymstoku. Na tutejszym uniwersytecie politologia nie powstała, ponieważ nie było kadry o odpowiednich kwalifikacjach. Dlatego sam nigdy nie dążyłem do powołania tego kierunku, zwłaszcza obserwując, jak dramatyczny i bolesny był proces budowania socjologii.

Kiedy Komisja Akredytacyjna podjęła decyzję o zamknięciu rolnictwa na Wydziale Zarządzania Politechniki Białostockiej, zrodził się tam pomysł otwarcia politologii. Promował go Stanisław Naruszewicz, który jednak opuścił tę uczelnię. W początkowych rozmowach sam uczestniczyłem, wyrażając sceptycyzm wobec powołania takiej politechnicznej politologii. Przecież każde środowisko ma swój dorobek i sposób patrzenia na świat. Politologia jest jedną z nauk społecznych i w naturalny sposób plasuje się na uniwersyteckich wydziałach nauk społecznych, ewentualnie humanistycznych. Nie ma nic wspólnego z obróbką skrawaniem, budową maszyn, elektroniką czy rolnictwem, a nawet zarządzaniem.

Mimo to politologię na Politechnice Białostockiej powołano. Nieformalne merytoryczne kierownictwo objął nad nią emerytowany oficer Wojska Polskiego, doktoryzowany na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Fachowców po habilitacji nie było, ponieważ Naruszewicz odszedł. Oni jednak w obecnych warunkach okazali się zbyteczni. Żaden profesor politologii nie ma nic do powiedzenia na Wydziale Zarządzania Politechniki Białostockiej. Potrzebni do minimum kadrowego dojeżdżają z Warszawy, bez jakiegokolwiek zainteresowania losem białostockiej politologii. **Tak bardzo nisko upadli nie tylko profesorowie, ale i państwowe uczelnie, że można powoływać kierunek studiów, gdzie tak zwanym „samodzielnym” pracownikom nauki przypada już tylko funkcja statystów.**

Dzisiaj absolwenci politechnicznej politologii przychodzą na moje seminarium magisterskie na zaocznej europeistyce. Sami kpią ze swoich studiów licencjackich. Jak mi donoszą, główne przedmioty na politechnicznej politologii to marketing, statystyka i informatyka. Wielu wykładowców podczas zajęć nie wie, o czym mówi i studenci to widzą. Istnieje strona internetowa, na której można poznać, co studenci i absolwenci sądzą o trzech latach spędzonych na zajęciach politologicznych Wydziału Zarządzania Politechniki Białostockiej. Wypowiedzi wskazują, że kierunek wybierają kandydaci, którzy nie wiedzą nie tylko, co można robić po politologii, ale nie mają pojęcia, czym w ogóle jest sam kierunek, czego się na nim uczy i po co<sup>61</sup>. Tym bardziej nie wiedzą, czego tam powinno się uczyć.

Fenomen białostockiej politologii politechnicznej, która bez trudu otrzymała pozytywną ocenę Państwowej Komisji Akredytacyjnej (w ten sposób środo-

---

61 <http://grono.net/pb/topic/1121851/sl/politologia/0/?> (05.11.2010).

wisko polskich politologów oficjalnie wniosło wkład do dezorientacji młodzieży polskiej i deprecjacji swojej dyscypliny), jest efektem dramatycznego kryzysu politologii. Tylko w jego wyniku mogą powstawać studia, gdzie profesorowie politologii nie mają nic do powiedzenia, ponieważ każdy historyk czy specjalista od zarządzania może udawać, że jest politologiem. Nie pisząc pracy z politologii, nie znając dorobku politologii i nie mając żadnego pojęcia o tym, czym jest politologia. Politolodzy skupieni na Politechnice Białostockiej nie kończyli studiów politologicznych, nie pisali doktoratów na tematy politologiczne<sup>62</sup>, ale mogli być zakwalifikowani do minimum kadrowego kierunku. Przecież mają odpowiednie dyplomy. Stopnie otrzymali na wydziałach politologii. Kwalifikacje nie mają znaczenia, nawet jeśli ich braku dowodzą tytuły prac doktorskich.

Opisane zjawiska są wynikiem kryzysu nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce. Przede wszystkim jednak zagubienia profesorów politologii. Warto przecież zauważyć, że po upadku rolnictwa na Politechnice Białostockiej nikomu nie przyszło do głowy powołanie prawa, ekonomii czy socjologii. Politologia politechniczna jest przede wszystkim efektem upadku teorii polityki i zgody tych, którzy mają się za politologów, na rozmycie dyscypliny i przejmowanie jej przez osoby niemające pojęcia o przedmiocie badań politologii, które chcą łatwo uzyskać dyplom doktora czy doktora habilitowanego z czegokolwiek. On jest dla każdego, ponieważ na razie politologia, jako dyscyplina wiedzy o statusie podobnym do historii, prawa, ekonomii, socjologii i pedagogiki, przestała istnieć.

Dyplomy z politologii są z naukowego punktu widzenia mocno wątpliwe. Wiele z nich jest nic nie warta, gdyż wiadomo, że ich posiadacze nie wykazali się żadnymi kwalifikacjami z dyscypliny, w której został przyznany stopień (zwłaszcza dyplomy imigrantów habilitowanych z politologii, bez zdania egzaminu ze znajomości podstawowego dorobku dyscypliny). **Osoby z doktoratami z politologii zwykle nie mają nawet świadomości, czym jest dyscyplina, z której uzyskały stopień. Nie mają też świadomości, iż ona w ogóle ma jakąkolwiek tradycję i dorobek.** Uzyskują stopnie za prace z potocznej wiedzy o społeczeństwie, których nawet pobieżna lektura pokazuje brak znajomości elementarnej literatury przedmiotu, pisane pod kierunkiem profesorów, którzy sami o jej istnieniu nie mają pojęcia. Bez zahamowań publicznie tego dowodzą własnymi publikacjami, otwarcie lekceważąc teorię dyscypliny i powielając treści przedstawiane językiem mediów, pozostawiając na poparcie powyższej tezy obfity drukowany materiał

62 Np. jedna z zatrudnionych osób doktoryzowała się w zakresie politologii na podstawie pracy *Uwarunkowania i kierunki rozwoju turystyki w województwie podlaskim*, inna z tematu *Zakres i charakter procesów integracyjnych w ramach Północnoamerykańskiej Strefy Wolnego Handlu*. Kolejna uzyskała doktorat z politologii na podstawie tekstu *Przedsiębiorczość kobiet w Polsce (na przykładzie województwa podlaskiego)* – przewod przeprowadzono na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Z podobnej problematyki doktoryzowała się na Wydziale Politologii UMCS autorka pracy *Standardy Unii Europejskiej w administracji celnej Rzeczypospolitej Polskiej*.

dowodowy<sup>63</sup>. Powyższy proces zaczyna też obejmować przewody habilitacyjne, w sposób niespotykany w jakiegokolwiek innej dyscyplinie.

Twierdzę, że wprawdzie w obrębie politologii pojawiają się prace poważne, to jednak przeważająca ich część nie spełnia elementarnych wymagań współczesnej nauki i jest dziełem gorszych, a nawet całkowicie niekompetentnych historyków, socjologów, prawników czy ekonomistów, którzy w swoich macierzystych dyscyplinach takich stopni by nie uzyskali przy włożeniu wysiłku, jaki jest konieczny do uzyskania stopnia z politologii. Politologia przekształciła się w wiedzę o społeczeństwie, której nie wykłada się, ale w której szkoli się naiwnych kandydatów, niemających pojęcia, co studiują. Dokładnie tak samo, jak ich wykładowcy.

**Dlatego miejsce politologii uprawianej jako naiwna wiedza o społeczeństwie jest obecnie w Polsce nie na uniwersytetach, ale na politechnikach.** Przecież ta dyscyplina upadła tak nisko, że na uniwersytetach jest wielu profesorów socjologii, historii, prawa, ekonomii, którzy zdają sobie sprawę z tego, iż na wydziałach politologii uczy się nonsensów, nierzadko przypominających astrologię, i szkoli studentów w zakresie wiedzy potocznej. Na politechnikach o tym nie mogą mieć pojęcia, a więc tutaj pseudopolitologia mogłaby znakomicie „rozwijać” się. W warunkach dewastacji nauki w Polsce przyszłością pseudopolitologii są politechniki. Droga obrona przez Politechnikę Białostocką powinna być wzorcem dla innych uczelni tego typu. W ten sposób profesorowie dają solidne świadectwo, że popierają politykę rządu Rzeczypospolitej i wedle jego zaleceń już nie wykładają, ale ofiarnie szkolą młodzież, by wszyscy, którzy cokolwiek rozumieją z nauki i chcieliby ją uprawiać, którzy dysponują zdolnością myślenia jak najszybciej wyjechali za granicę lub zajęli się czymś poważniejszym.

### 13. Bilans rozwoju teorii polityki po upadku komunizmu

Teoretyk polityki III Rzeczypospolitej krytyki się nie boi. W opublikowanej w 1997 r. recenzji *Wprowadzenia do teorii polityki* Chmaja i Żmigrodzkiego jasno pokazałem nie tylko, że nie nadaje się ono do pełnienia roli podręcznika akademickiego, ale zawarta w nim definicja polityki nie jest zdolna oprzeć się elementarnej krytyce<sup>64</sup>. W następnym roku ukazało się kolejne wydanie i książ-

63 Ciekawym materiałem, już z racji treści samego tytułu książki, ale także zebranych tekstów, jest produkcja politechnicznych politologów: K. Czerewacz (red.), *Wybrane problemy współczesnej polityki. Aspekty teoretyczne i empiryczne*, Białystok 2009. Z kwalifikacjami wymaganymi od politologa, z przedmiotem dyscypliny, nie mówiąc o zdolności formułowania problemów badawczych i erudycji, nie ma ona nic wspólnego.

64 R. Skarzyński, [recenzja, M. Chmaj, M. Żmigrodzki, *Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin 1996], „Studia Polityczne” 1997, nr 7, s. 248.

ka ta jest przez wielu wykładowców dalej polecana studentom<sup>65</sup>, chociaż nie spełnia elementarnych wymagań stawianych podręcznikom akademickim. Sami autorzy w opublikowanej w 1999 r. *Encyklopedii politologii* posłużyli się zawartymi w niej definicjami<sup>66</sup> i, jak mi wiadomo, nikt na ten temat nie wypowiedział się krytycznie, chociaż są tam elementarne błędy, łatwe do wytknięcia.

Dlatego bilans i skutki rozwoju teorii polityki w warunkach braku dyskusji muszą być katastrofalne. Wskażę tylko na kilka najważniejszych:

1) upowszechnia się pogląd, że politologia to nauka interdyscyplinarna lub rodzina nauk, czy też część socjologii albo coś podobnego do pedagogiki. Nikt nie zastanawia się, że takie podejście wymaga uzasadnienia. Nikt nie widzi, że obrona tego stanowiska nie jest możliwa, a brak jego krytyki dramatycznie obniża rangę wydziałów politologii. W efekcie „politologia” to coraz bardziej tylko ładne słowo, które nic nie znaczy (jak „geopolityka”, „etnopolityka” czy „biopolityka”), a politolodzy przeobrażają się w zdezorientowaną zbiorowość osobników niezdolnych wypowiedzieć się na temat tego, czym się zajmują.

2) problemem nie jest już to, że niejasny jest przedmiot politologii, ale fakt, że uznający się za politologów w ogóle nie umieją sformułować twierdzeń na temat obiektu własnych badań i nie sprzeciwiają się tym, którzy twierdzą, iż politologia nie jest dyscypliną nauki. W ten sposób politologia została sprowadzona do stanu wiedzy nieokreślonej, rozmytej, potocznej, z której stopień można uzyskać na każdy temat, nawet tylko ocierający się o problematykę społeczną. Tak oto teoretycy polityki przekształcili uniwersyteckie wydziały politologii w kosze na śmiecie. Jeśli wiedza z zakresu politologii coś dzisiaj przypomina, to najwyżej naiwnie rozumiane wiedzę o społeczeństwie, którą akceptują tylko dyletanci.

3) upowszechnia się pogląd, że polityka, tym bardziej zaś to, co polityczne, są tak tajemniczymi zjawiskami, że nie sposób ich zrozumieć. Grozę tej konstatacji pewnie najbardziej dobitnie wyraził Sylwester Wróbel, który napisał: „Chociaż nie sposób wyobrazić sobie istnienia i działalności społeczeństwa bez tej dziedziny życia, jaką jest polityka, nie ma bodaj dotyczących jej opinii, przekonania czy twierdzenia, które nie wywoływałyby wątpliwości czy też nie rodziłoby sprzeciwu”<sup>67</sup>. Skutki przerażenia są tak wielkie, że politolodzy nie są w stanie dostrzec, iż identyczna sytuacja panuje w odniesieniu nie tylko do pojęć socjologicznych i ekonomicznych, ale także na przykład biologicznych. W opisaną przez katowickiego profesora sytuację nie ma niczego nadzwyczajnego. Problem polega natomiast na tym, że **politolodzy za nic mają ustalenia Einsteina i Poppera, nie**

65 Warto zapoznać się z sylabusami przedmiotów wykładanych na uniwersyteckich wydziałach politologii. Wiele z nich jest dostępnych w internecie.

66 Zob. wyżej część pierwsza, przypis 1 i 2, s. 25.

67 S. Wróbel, *Polityka i proces polityczny*, (w:) B. Szmulik i M. Żmigrodzki (red.), *Wprowadzenie do nauki o państwie i polityce*, Lublin 2002, s. 243.

**umieją odróżnić ewidentnych nonsensów od potwierdzonych hipotez i elementarnych ustaleń nauki**, emocjonalnie uwikłani w politykę albo przynajmniej w dyskurs polityczny, zależni ideologicznie i pozbawieni erudycji. Dlatego w pracach politologów przywołuje się i poważnie rozważa tezy zupełnie bez sensu, na równi z tymi, które pozwalają nam rozumieć zjawiska polityczne. Tutaj tkwi istota różnicy pomiędzy politologami i socjologami, ekonomistami oraz biologami. Dodam jednak, że silne ideologiczne uwikłania nie są obce nawet biologom (eugenika), nie mówiąc już o socjologach (utożsamienie z doktrynami i stosunek do teorii ewolucji) i ekonomistach (wystarczy zbadać, jak wyjaśniają funkcjonowanie pieniądza, banków, szczególnie zaś giełdy i instrumentów pochodnych). Jednak reprezentanci normalnej nauki są w stanie przewyciężyć własne ograniczenia, czego nie da się powiedzieć o politologach, ponieważ ci zagubili nawet świadomość odrębności przedmiotu poznania własnej dyscypliny.

**4) dla teoretyka polityki cokolwiek jest polityczne albo nic nie jest polityczne. Wszystko mu jedno, ponieważ on tego problemu w ogóle nie rozumie i dlatego nie przywiązuje do niego wagi**, definiując politykę tak, że może ją prowadzić koło gospodyń wiejskich, a związek kolekcjonerów etykiet zapalczanych lub hodowców karasi odpowiada cechami jego definicji państwa.

5) upowszechnia się pogląd, szczególnie głoszony w kręgu Karwata i Klementewicza, że teoria polityki jest niemożliwa, ponieważ każdą jej tezę da się podważyć. Głoszą to i potwierdzają swoimi publikacjami pracownicy zakładu, w którego nazwie łączy się teorię polityki i filozofię polityki, jakby zupełnie nie rozumieli, gdzie pracują i jak jest obecnie interpretowany status wiedzy naukowej.

6) pojawia się pogląd, że metodologia to ogólna inspiracja filozofią nauki lub zestaw dość dowolnie sformułowanych twierdzeń pokazujących syndromy politologii. W istocie zaś dominuje przekonanie, że politolog żadnej metodologii nie potrzebuje, ponieważ uważa, iż Einstein i Popper niczego nie wnieśli do teorii wiedzy. Dorobek Paula Feyerabenda czy Imre Lakatosa jest im zupełnie obcy. Politolog przecież dobrze sobie poradzi bez erudycji, ponieważ zawsze z łatwością coś skopiuje z internetu. W efekcie studentów nie uczy się tego, czym jest politologia. Zamiast teorii i metodologii politologii serwuje im się „teorię” i „metodologię” i to na czwartym lub piątym roku studiów. Zwykle zresztą robi to jakiś przypadkowy i zarozumiały filozof lub historyk, który o politologii nie ma pojęcia i brak mu zahamowań w działalności prowadzącej do autośmieszania. Nasuwają się przynajmniej dwa pytania. **Co ten student studiuje przez pierwsze trzy lata? Kim jest po wykładzie z teorii i metodologii prowadzonym przez kogoś, kto nie jest politologiem i nie może mieć pojęcia, czym jest politologia?**

7) w najbardziej wyrafinowanym wydaniu **upowszechnia się jedyna specyficzna i uniwersalna „metoda” politologii, jaką jest <<biecie piany>> (termin ten już zapisał się w historii polskiej politologii), realizowane na trzy sposoby**. Pierwszy polega na powtarzaniu twierdzeń doktrynalnych i rozwodzeniu się o nich bez jakiegokolwiek krytycznej refleksji i konfrontacji z innymi doktrynami czy tym bardziej teoriami. Nawet tam, gdzie zupełnie nie ma to sensu, jak w przypadku problemu genezy państwa. Najlepiej po zaczerpnięciu tez z amerykańskich książek, ponieważ w nich obecnie upatruje się niezawodne źródło prawdy. Przykładami są „teorie” równowagi sił czy też systemów międzynarodowych, westfalskich, późnowestfalskich, jedno, dwu i wielobiegunowych, albo historie teorii stosunków międzynarodowych. Drugi sposób, prawdopodobnie najczęściej spotykany, polega na zestawianiu poglądów różnych autorów, najlepiej kolegów i próbach wyciągnięcia z tego jakichś wniosków. Zawsze opłakanych, gdy nie odróżnia się klasyków od kamratów, a o przemyśleniu tak zebranego materiału w ogóle nie ma mowy. Trzeci wariant sprowadza się do produkowania własnej „teorii”, bez jakiegokolwiek znajomości dotychczasowego dorobku nauki i pisaniu tego, co przyjdzie do głowy. Przykładem są wzmiankowane powyżej pseudoteorie metafor i syndromów. Ich autorzy nie mają pojęcia, iż politologia wykazuje się w ogóle jakimkolwiek dorobkiem.

8) chaos terminologiczny jest w politologii powszechny. Jego podtrzymywanie dobrze służy tworzeniu zasłony kryjącej treść publikacji. W istocie zaś prowadzi do złudnego wrażenia, że politologia zajmuje się niezliczoną liczbą bytów bez wzajemnego związku. Do tego stopnia, że chyba nikt nie wie, że „polityczna teoria normatywna” może oznaczać wyłącznie synonim filozofii politycznej (jeśli oczywiście jest czymś więcej aniżeli recytowaniem formułek kogoś, kto nie rozumie o czym pisze). Tak skutecznie niszczy się każdy zaczątek wiedzy o przedmiocie poznania politologii.

9) uznanie politologii za federację czy rodzinę nauk powoduje, że bez zahamowań powiela się to, czym te nauki się zajmują, ale jednocześnie bez świadomości, że owe czynności wykonuje się dużo gorzej, a nawet w sposób narażający na śmieszność. Politolodzy bawiący się w historyków nie mają nawet pojęcia, czym jest krytyka źródła. Nikt nie zdaje sobie sprawy, iż wyodrębnienie federacji nauk wymaga uzasadnienia i nie znosi problemu przedmiotu badań. Faktycznie zaś takie stanowisko z punktu widzenia dzisiejszej teorii wiedzy jest nonsensem.

10) rozwój pseudoteorii polityki prowadzi do dwóch groźnych zjawisk. Przedmiotem doktoratu czy habilitacji z politologii może być dowolna praca, także ta, która w ogóle do tego nie nadaje się i nie może być przedłożona na wydziałach prawa, socjologii, ekonomii, historii i pedagogiki. Akceptuje się prace z niebывale szerokiego zakresu, merytorycznie niedostateczne, pozbawione jasnego sformułowania problemu badawczego, konkluzji, bez wymagań odnośnie do wiedzy

na temat przedmiotu politologii i jej teorii. Te przecież nie istnieją, więc nie ma czego egzekwować. W ten sposób politologia nie tylko staje się wyspą ignorancji, ale promuje destrukcję wszystkich nauk społecznych. Państwowa Komisja Akredytacyjna pozytywnie ocenia placówki politologii, w których nie ma politologów. **Centralna Komisja przyznaje uprawnienia doktorskie z politologii wydziałom zdominowanym przez historyków i prawników, a tytuły profesorskie nadaje kandydatom podważającym istnienie dyscypliny, w której uzyskali habilitację.** Być może ktoś powie, że jest to ogólna tendencja związana ze złym zarządzaniem nauką w Polsce. Otóż nie. Tendencji, jakie mają miejsce w politologii, nie znajdziemy na wydziałach prawa, historii, psychologii i ekonomii.

11) badania politologiczne nie spełniają elementarnych kryteriów obowiązujących na prawie i socjologii, o historii nie wspominając. W zasadzie, poza nielicznymi wyjątkami, można mówić o symulowaniu pracy badawczej na wydziałach politologii, ponieważ w nich w ostatnich latach nie tylko nie rozwiązano żadnego problemu. W niejednej pracy habilitacyjnej nie został on nawet poprawnie sformułowany. Na poziomie prac doktorskich badań nie wymaga się już od dawna. Wystarczy ogólna orientacja (a faktycznie dezorientacja), tekst na jakiś temat i demonstrowanie posłuszeństwa wobec oceniających. W politologii polskiej posłuszeństwo jest podstawą przetrwania i awansu. **Wydziały politologii są fabrykami magistrów i doktorów funkcjonującymi na zasadzie powielarni.**

12) upowszechnia się praktyka pisania podręczników przez niedoświadczonych młodych badaczy. Nie tylko początkujący doktor habilitowany, ale doktor lub nawet magister mogą być autorami podręcznika, którego nikt poważnie nie recenzuje. Ciekawym i symptomatycznym przykładem tej twórczości magistrów i niedojrzałych doktorów jest *Encyklopedia politologii*. Powoduje to, że w podręcznikach z politologii jest taka ilość nonsensów, że możemy mówić o kompromitacji dyscypliny w tym zakresie, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę sprawy fundamentalne, jak definiowanie polityki, państwa, o tym, co polityczne nie wspominając. **Nikt już chyba nie jest świadomy, że napisanie przyzwoitego podręcznika jest trudniejsze od napisania rozprawy habilitacyjnej, że wymaga doświadczenia, a przede wszystkim erudycji.** Ponieważ profesorowie politologii często nie mają pojęcia, czym w ogóle jest erudycja, asystenci mogą produkować podręczniki, przepisując z prac kolegów lub nawet do tekstu wstawiając fragmenty z *Wikipedii*. Tak samo jak robią to studenci, produkując prace semestralne. Gdybyż jeszcze czerpali z wersji angielskiej! Przecież jednak oni bez zahamowań kopiuje z dużo gorszej edycji polskiej.

## 14. „Politolodzy” – z nazwy

Podstawy polskiej politologii ufundowali prawnicy. Jednak następna generacja wniosła ogromny wkład do destrukcji ich dorobku. Głównie z powodu tego, że uległa skłonności do prostego kopiowania wiedzy z zakresu teorii państwa i prawa, zamiast korzystać z inspiracji socjologicznych i historycznych<sup>68</sup>. Uprawianie pseudohistorii idei, pseudoteorii państwa (opartej na powielaniu wiedzy z zakresu doktryn politycznych i prawnych), tworzenie atrapy wiedzy na temat stosunków międzynarodowych (opartej na gazetowej terminologii i wizjach amerykańskich ideologów), to tylko kolejne przejawy upadku wypracowanych w środowisku prawniczym metod badawczych. Te zjawiska w całości powodują, że badania naukowe na wydziałach politologii zanikają.

Tymczasem teoria polityki i politologia oraz teoria państwa i prawa mają inne przedmioty poznania, a przede wszystkim u ich podłoża leżą różne pytania badawcze i hipotezy. Politologia musi budować na wiedzy historycznej, socjologicznej, a także empirycznych badaniach współczesności. Natomiast teoria państwa i prawa jest ukształtowana na doktrynach i formalizmie prawniczym, nierzadko opartym na skrajnym przekonaniu, że istnieją jedynie byty określone normatywnie, a wszystko inne jest jakąś formą fikcji. Dlatego pomiędzy tymi dyscyplinami istnieją nieprzezwyciężalne różnice. Stopniowo okazuje się, że inny jest przedmiot poznania, odmienny materiał do budowania teorii, jak i sama metoda.

Politolodzy bezkrytycznie ulegający wzorcom prawniczym nie tylko tracą z oczu przedmiot poznania, ale przekształcają się w teorioignorantów i ideokopiarki. Powielając nieświadomie, intuicyjnie pomijają to, co jest cenne w nauce prawa, przede wszystkim w zakresie rozumienia przedmiotu poznania, ulegając temu, co destrukcyjne. Nie korzystają też z szansy krytyki nauk prawnych, która dla nich samych mogłaby być bardzo inspirująca. Warto zapamiętać: nie da się wykorzystać metodologii prawniczej do budowania politologii, gdyż fundament prawa tworzy wiedza normatywna, a sama nauka prawa pełni inne funkcje społeczne. W części nie jest nauką, gdy zostaje zaangażowana w proces legislacji i uwikłana w procedury stosowania prawa.

Odrębną sprawą jest inwazja historyków na wydziały politologii. Środowisko historyków cierpi na nadprodukcję tytułów naukowych i poważny spadek poziomu badań. Nie tak wprawdzie dramatyczny, jak w przypadku politologów (historycy ciągle wiedzą, co badają i jakie należy stosować metody), ale powodujący, że historycy – emigranci ze swojego środowiska – chwytają się każdej pracy i każdego środka, by przetrwać. Dlatego zaczęli masowo udawać politologów. Do tego

68 Zjawisko to symbolizuje wspólne dzieło M. Chmaja i M. Żmigrodzkiego (*Wprowadzenie do teorii polityki*. Lublin 1996) oraz podręcznik pod redakcją B. Szmulika i M. Żmigrodzkiego (*Wprowadzenie do nauki...*, *op. cit.*).



stopnia, że opanowali całe wydziały i bez żadnych zahamowań, nie pisząc nawet jakiegokolwiek pracy politologicznej, uważają się za apostołów nowej dyscypliny. Oni nie tylko nie rozumieją przedmiotu poznania politologii. Nawet nie mają pojęcia, jak wiedza historyczna mogłaby być użyta do budowania politologii zdolnej oprzeć się krytyce naukowej<sup>69</sup>. Nie wskazują też, w jaki sposób warsztat historyka mógłby być wykorzystany w badaniach historycznych. Tylko dlatego, że są historykami, których nie interesuje nauka. Ich celem jest przetrwanie przez symulowanie badań naukowych. Naśladują siebie wzajemnie, nie zauważając, że kreują nonsensy.

Efektom stanu środowiska polskich historyków jest pseudopolitologia w wydaniu marnych dziejopisarzy. Uważają oni, że historyk jest politologiem tylko dlatego, że kiedyś obronił pracę na wydziale politologii, a jej treść i metoda nie mają znaczenia. Taką grupę tworzą na przykład uczniowie pracującego niegdyś na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych historyka Jerzego Tomaszewskiego. W okresie raczkowania dyscypliny uzyskali na podstawie prac historycznych doktoraty z politologii i uważają się za politologów, bez zdolności jakiegokolwiek refleksji nad przedmiotem poznania politologii. Pokazuje to tylko, jak niektórzy polscy historycy łatwo tracą z oczu problem przedmiotu poznania, specyfiki odrębnych dyscyplin i ich metod. Czy aby nie pod wpływem teoretyków polityki z nazwy, wspierających tendencje w nauce do zagubienia tradycyjnych metod naukowych, promujących kopiowanie tego, co akurat wpadło w oko czy ucho.

Inwazja socjologów jest słabsza. Tylko jednak dlatego, że reprodukują się umiarkowanie. Kiedy jednak przychodzą na wydziały politologii, też zwykle nie ma z nich żadnego pożytku, ponieważ nie rozumieją różnicy między politologią i socjologią. Charakterystyczne, potoczne przekonanie, że socjologia jest dyscypliną wszechobejmującą, która powinna czy nawet jest w stanie badać każdy przejaw tego, co społeczne, zabija ich myślenie i nie pozwala uświadomić sobie, iż wprawdzie socjologia jest daleko bardziej zaawansowana aniżeli politologia, ale to nauka nadal pozostająca na etapie wczesnego rozwoju. Nic tak nie dowodzi mizerności socjologii, jak brak zdolności wyjaśnienia ewolucji społeczeństwa, w kategoriach darwinowskich w szczególności. Socjolodzy nie rozumieją elementarnych mechanizmów zmiany społecznej, znaczenia stosunków wielkiej przestrzeni i nie zdają sobie sprawy z własnej niewiedzy.

69 Wyjątkiem jest próba Ryszarda Stemplowskiego określenia, w jaki sposób metoda historyczna mogłaby być użyta w badaniach nad stosunkami międzynarodowymi (*Wprowadzenie do analizy polityki zagranicznej RP*, Warszawa 2006). Drugim, zupełnie innym wyjątkiem w najgorszym tego słowa znaczeniu, są próby Marcelego Kosmana (*Polityka – historia – politologia*, (w:) *idem* (red.), *Na obrzeżach polityki*, t. III, Poznań 2002, s. 129–132) budowania „politologii historycznej”. Czy jednak autor zdaje sobie sprawę ze statusu politologii przmiotnikowej? Czy będzie też rozwijana politologia prawnicza, ekonomiczna, psychologiczna i socjologiczna? Przecież jest to sprzeczne z podstawowymi zasadami budowania wiedzy naukowej. Czy aby propozycja Kosmana nie jest efektem dezorientacji wywołanej działalnością teoretyków polityki? Czy historia może być czymś więcej aniżeli nauką pomocniczą politologii? Czy można mówić o historii politologicznej? Każda elementarna analiza prowadzi do wniosku, że politologia historyczna jest efektem dezorientacji.

Efektom tych procesów jest systematyczne przekształcanie politologii w wiedzę o społeczeństwie, bez przedmiotu poznania, dysponującą „tematyką” badawczą. Dobrze brzmiące słowo *politolog* traci treść kojarzącą się z jakimkolwiek określonym przedmiotem poznania. Coraz bardziej staje się synonimem nieudacznika, ignoranta, symulanta, a nawet oszusta, który nie wie, co robi, a więc robi, co w danym momencie wypada, by przetrwać. Wydziały politologii przekształciły się w swoiste kosze na śmiecie. Dzisiaj każdy może nazwać się „politologiem”. Gdy robią to profesorowie, zaczynam zastanawiać się, co motywuje ich do takiego jednoznacznego aktu autoośmieszenia. Dobrze by było, aby oni sami zadali sobie to pytanie. Trudno jednak tego oczekiwać, kiedy ich zachowania są nieomal powszechnie aprobowane na uniwersyteckich wydziałach politologii. Przecież imigranci nierozumiejący problemu przedmiotu poznania politologii sami nie widzą, że nie są politologami. Ktoś musi ich o tym poinformować. Problem w tym, że musi to być ktoś, kto wie, czym zajmuje się politologia. Tymczasem ta wiedza prawie już zanikła.

CZĘŚĆ III

**GŁÓWNE TWIERDZENIA TEORETYKÓW POLITYKI  
III RZECZYPOSPOLITEJ**

Rozważmy na poziomie elementarnym pięć sztandarowych twierdzeń politologii ukształtowanej w Polsce w warunkach demokracji. Zbadajmy od podstaw, jak są one ugruntowane i odpowiedzmy na pytanie, czy można ich bronić. Wreszcie ostatecznie rozstrzygnijmy, jaki typ wiedzy reprezentują uniwersyteccy teoretycy polityki: potoczny, doktrynalny, czy może naukowy.

### **15. Politologia interdyscyplinarna**

Gdy studiowałem na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego wśród odważniejszych słuchaczy studiów doktorskich krążyła teza, że są dwa wydziały uczelni radykalnie odbiegające poziomem od pozostałych: pedagogiczny i politologiczny. Być może jej zasięg i wpływ był większy, aniżeli wówczas sądziłem i dlatego myśl ta nie tylko przetrwała w świadomości niektórych profesorów mojej generacji, ale nawet znalazła swoją publiczną artykulację.

Rozważmy przyciągające uwagę twierdzenie Mirosława Karwata: „[...] politologia jest multidyscyplinarną rodziną nauk, podobnie jak np. pedagogika czy nauka o pracy”<sup>1</sup>. Tym bardziej ono zaciekawia, gdy czytamy ogłoszone nieomal równocześnie twierdzenie Tadeusza Klementowicza: „Potoczna świadomość politologa obciążona jest tzw. myśleniem <<dyscyplinowym>>. Dąży on do poszukiwania <<specyficznego>> przedmiotu badania oraz <<właściwej>> metody czy technik badawczych. Poszukiwania te są bezcelowe, gdyż przedmioty badań poszczególnych dyscyplin humanistycznych przenikają się, krzyżują, tworząc sieci powiązań między dziedzinami”<sup>2</sup>. Czyli historia jest też nauką interdyscyplinarną, podobnie jak socjologia? Czy takie twierdzenie gotowi byłiby uznać historycy i socjologowie?

W każdym razie teoretycy polityki twierdzą, że nie istnieje specyficzny przedmiot poznania politologii (tak samo jak historii, prawa czy socjologii) i dla-

1 M. Karwat, *Polityczność i upolitycznienie. Metodologiczne ramy analizy*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17, s. 65.

2 T. Klementowicz, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce*, Warszawa 2010, s. 30.

tego jest ona nauką interdyscyplinarną, jak pedagogika i nauka o pracy (a w istocie także historia, socjologia itd.). Skąd to porównanie? Dlaczego akurat Karwat wybrał nie historię i socjologię, ale pedagogikę i naukę o pracy. Politologia jest gorsza od socjologii i historii, a równa pedagogice i nauce o pracy? Czy mamy tu do czynienia z przypomnieniem tezy szeptanej w kręgach doktorantów na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku? Od razu nasuwa się dodatkowe pytanie, czy aby profesor nie obraża, i to drastycznie, specjalistów z zakresu pedagogiki i nauki o pracy? Czy oni chcieliby porównania z politologami? Czy oni uważają się za uprawiających „dyscyplinę interdyscyplinarną”?

Nawet powierzchowna znajomość literatury z zakresu pedagogiki uświadamia, że uprawiający ją badacze nie głoszą wcale tego, co twierdzi Karwat. Mamy tu jedynie do czynienia z **typową dla politologa skłonnością formułowania opinii bez zapoznania się z materiałem źródłowym**. Pedagogika dysponuje długą tradycją debaty na temat własnego przedmiotu poznania, którą ostatnio podsumowano bardzo ciekawym i pouczającym tomem<sup>3</sup>. Rozpoczyna się on od prostej uwagi: „Nauki rozpoznaje się po przedmiocie ich badań”<sup>4</sup>. Tej kwestii nie da się uniknąć i pedagogzy są jej w pełni świadomi. Dlatego debatują nad przedmiotem poznania swojej dyscypliny, trudnościami związanymi z jego delimitacją i mają w tej kwestii dość jasne poglądy<sup>5</sup>. Jak normalni uczeni, jak fizycy, chemicy, biolodzy, socjolodzy i historycy. Pedagogzy w niczym nie przypominają zdezorientowanych politologów.

A co z nauką o pracy? Warszawski profesor nie precyzuje, co jest dla niego nauką o pracy. Czy jest to ergonomia, czy może bezpieczeństwo i higiena pracy. Oczywiście rozważając problem poważnie, tylko ergonomia może aspirować do statusu nauki o pracy. Kiedy się jednak czyta prace Karwata, nie ma jasności, co on na ten temat myśli. Biorąc pod uwagę charakter publikacji, warszawski profesor za naukę o pracy raczej uznaje bezpieczeństwo i higienę pracy. Przecież pisanie instrukcji autor *Akredytacji w życiu społecznym i politycznym* uczynił głównym przedmiotem swojej refleksji, na dodatek formułowanych tak, jakby politykę rozumiał jako część ludzkiej pracy. Czy aby nie widać tu wpływu marksizmu kopowanego w Polsce w czasach naszej młodości?

3 K. Rubacha (red.), *Konceptualizacje przedmiotu badań pedagogiki*, Kraków 2008.

4 K. Rubacha, *Wstęp*, *ibidem*, s. 7.

5 Warto wskazać na pouczający tekst: T. Bauman, *Komplikacje i dylematy przy określaniu przedmiotu badań pedagogicznych*, *ibidem*, s. 57–72.

Powyższe tezy są o tyle zasadne, że ergonomia ma jasno określony przedmiot badań<sup>6</sup> i nikt poważny nie głosi, iż jest nauką interdyscyplinarną<sup>7</sup>. Natomiast pojawiają się wątpliwości, czy ergonomia w ogóle jest nauką<sup>8</sup>. Niezależnie czym jest, nauką czy typem wiedzy praktycznej, ergonomia korzysta z nauk pomocniczych, typu biomechaniki, fizjologii, psychologii czy antropometrii, ale to przecież w jakikolwiek sposób nie czyni jej nauką interdyscyplinarną. Natomiast w przypadku bezpieczeństwa i higieny pracy z całą pewnością mamy do czynienia z dziedziną ludzkiej wiedzy, której naukowy status może nie być jasny. Tym bardziej teraz, kiedy pojawia się na niektórych uczelniach jako kierunek studiów. Jest to wiedza oparta między innymi na ergonomii, a celem jej gromadzenia pozostaje kształtowanie optymalnych stosunków pracy przez formułowanie zasad i instrukcji. Inaczej mówiąc, bhp to zbiór reguł i wskazań dotyczących wolnego od zagrożeń wykonywania czynności pracy, tak aby była ona efektywna i nie godziła w ludzkie zdrowie i życie. Celem rozwijania wiedzy z zakresu bhp jest regulowanie zbiorowych stosunków pracy.

Wszystko to dowodzi, że gdyby Karwat wiedział, czym jest nauka o pracy, nie porównywałby jej z politologią w taki sposób, jak to uczynił. Zakres bhp wyraźnie różni się od przypisywanego przez nowoczesną teorię nauki dyscyplinom naukowym. **Poważna politologia nie może schodzić na poziom tego, czym jest bhp, zaś uprawiający ją uczeni nie mogą redukować się do rangi instruktorów.** Zdaje się, że szczególnie politolog powinien wiedzieć, że idee mają konsekwencje. Amerykański politolog napisał nawet książkę na ten temat, dostępną w języku polskim<sup>9</sup>. Tymczasem konsekwencje wypowiedzi Karwata są wręcz dramatyczne.

Porównywanie politologii do pedagogiki i nauki o pracy jest wielce ryzykowne. Pedagogika zdołała się na tyle rozwinąć, że ma jednoznacznie określony przedmiot badań. Nie ma natomiast jasności, czy istnieje wiedza o pracy dysponująca statusem naukowym. **Stanowisko Karwata byłoby do utrzymania tylko wtedy, gdyby odmawiał on politologii statusu dyscypliny nauki lub w ogóle statusu nauki. I tak on faktycznie sądzi, proponując politologię w formie refleksji nad bezpieczeństwem i higieną pracy w polityce.** Karwat tym się zajmuje od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku<sup>10</sup> i bez zahamowań przez trzydzieści lat pisze kolejne tomy wypełnione instrukcjami dla partii i polityków, ale prze-

6 Specjaliści od ergonomii wypowiadają się na temat własnego przedmiotu poznania znacznie bardziej jednoznacznie od politologów. Np. J. Rosner, *Ergonomia*, Warszawa 1985, s. 11; M. Trzeciak, *Podstawy ergonomii*, Radom 1996, s. 8; M. Wróblewska, *Ergonomia*, Opole 2004, s. 33–34; S. Wieczorek, *Podstawy ergonomii*, Rzeszów 1998, s. 15–19.

7 Poza może polską *Wikipedią*. W edycji angielskiej ergonomię określa się za International Ergonomics Association jako dyscyplinę nauki.

8 J. Jabłoński, *Czy ergonomia jest nauką?* Poznań 2005.

9 R. Weaver, *Idee mają konsekwencje*, Kraków 1996.

10 M. Karwat, *Teoria działacza, czyli załącznik do prakseologii*, Warszawa 1979; broszura wydana w serii: „Materiały szkoleniowe dla aktywu SZSP”, przez Komisję Szkoleń SZSP.

cież nie jest to ani politologia, ani jakakolwiek inna nauka. **Trzeba zdecydowanie sprzeciwić się temu, co głosi warszawski profesor, ponieważ on swoimi publikacjami obraca politologię w pseudonaukę, w jakąś formę wiedzy instruktażowej czy konsultingu, gdy nie odróżnia badań naukowych od pisania instrukcji politycznych.** Należy także dokładniej zbadać jego tezę o interdyscyplinarnym charakterze politologii, ponieważ z niej wynika, że politologia nie jest dyscypliną nauki i może być podobna do bhp.

Nasuwa się kolejne pytanie: co profesor rozumie pod sformułowaniem „multidyscyplinarna rodzina nauk”. Chodzi mu chyba o to, że politologia ma charakter interdyscyplinarny. Wprawdzie w ramach współczesnej nauki funkcjonuje pojęcie „multidyscyplinarności”, ale raczej w pracach anglojęzycznych, których Karwat nie przywołuje. Można więc przypuszczać, że chodzi tu o zwyczajowe rozumienie tego terminu w środowisku jego polskich koleżanek i kolegów. W kręgach politologów to dzisiaj automatycznie reprodukowany komunał, przed paru laty wyraźnie wyartykułowany przez Barbarę Krauz–Mozer: „Nauki polityczne stanowią syntezę wielu dyscyplin – często o odmiennych, zróżnicowanych metodologiach przedmiotowych – i zajmują się wszystkim, co ma znaczenie polityczne”<sup>11</sup>. Szkoda, że krakowska badaczka nie zauważyła, że w ten sposób zbliżyła się do określenia przedmiotu poznania politologii. Nie dostrzegł tego chyba też nikt w środowisku politologów, gdzie obecnie jedynie powtarza się tezę o interdyscyplinarności politologii, bez zastanowienia nad jej treścią i konsekwencjami. Czyżby zgodnie z umacniającym się w Polsce trendem, że politologia jest wiedzą o społeczeństwie?

Kiedy weźmiemy do ręki jakikolwiek podręcznik metodologii, nic w nim nie znajdziemy o metodzie interdyscyplinarnej, tym bardziej zaś o nauce interdyscyplinarnej<sup>12</sup>. Nawet w ekstremalnie „luzackim” podręczniku, gdzie poważne problemy nauki sprowadzono na poziom swobodnej opowieści, nie ma słowa o jakimkolwiek „podejściu interdyscyplinarnym”<sup>13</sup>. Jak dalej zobaczymy, nie jest to przypadek. Zachodzi podejrzenie, że **interdyscyplinarność w polskiej politologii rozumiana jest jako spotkanie specjalistów różnych dyscyplin, dla których zabrakło miejsca w ramach macierzystych placówek.** Jest więc efektem nie rozwoju metody naukowej, ale społecznych warunków funkcjonowania uczonych, którzy nie radzą sobie sami ze sobą. Ostatecznie rzekoma interdyscyplinarność politologii jest efektem ignorancji nazywających się „politologami” w sprawach elementarnych. **Przede wszystkim idzie tu o niezrozumienie, czym jest**

11 B. Krauz–Mozer, *Teorie polityki*, Warszawa 2005, s. 15.

12 Zob. np. A. Grobler, *Metodologia nauk*, Kraków 2006; J. Karpiński, *Wprowadzenie do metodologii nauk społecznych*, Warszawa 2006.

13 E. Babbie, *Badania społeczne w praktyce*, Warszawa 2004.

**własna dyscyplina, zwłaszcza zaś o brak świadomości, że jest ona dobrem, które należy szanować i rozwijać!**

Powiedzmy otwarcie: **interdyscyplinarność w polskiej politologii jest skutkiem specyficznego funkcjonowania środowiska niezdolnego podjąć problemu przedmiotu poznania własnej dyscypliny.** Jest to także efekt dominacji w nim ludzi niezdolnych do formułowania hipotez (nawet nie bardzo odważnych) i pozbawionych umiejętności prowadzenia sporów. Czy aby także hasło interdyscyplinarności nie rozwija się w efekcie zdominowania środowiska polskich politologów przez teoretyków polityki? W ten sposób jednak, przy braku debaty, przed politologią otwiera się jedynie perspektywa ostatecznego przekształcenia się w potoczną wiedzę o społeczeństwie.

Czy coś więcej? Oto pytanie o charakterze zasadniczym. Chyba nie, ponieważ, jak zorientowałem się w rozmowach z różnymi wykładowcami politologii, wedle ich poglądów: (1) interdyscyplinarność nie ma podstaw teoretycznych, gdyż realizuje się w sferze praktyki, a nie teorii; (2) trudno tu mówić o metodologii, bo praktyczne wykonania dyrektywy interdyscyplinarności mogą być różne, zarówno w odniesieniu do pracy pojedynczego badacza, jak i zespołów. Sugerowano mi też, że politologia opiera się na refleksji interdyscyplinarnej, ponieważ dociekania politologiczne wykorzystują metodologie różnych dyscyplin. Przestrzeń nauk politycznych „zagospodarowują” ze swej strony bardzo różne nauki (obok politologii, zwłaszcza historia, filozofia i socjologia), jest więc to przestrzeń skrajnie interdyscyplinarna.

Mamy tu do czynienia z tymi samymi twierdzeniami, które znajdujemy w pracach teoretyków polityki. Są one powtarzane jak mantry, bez jakiegokolwiek krytycznej refleksji. **Bez zastanowienia nad prostym faktem, że oto uczestniczy się w pogrzebie własnej dyscypliny nauki,** ponieważ nie ma „dyscypliny interdyscyplinarnej”. Tezy o badaniach interdyscyplinarnych i interdyscyplinarnym statusie politologii tworzą zestaw twierdzeń uzasadniających powoływanie nowych jednostek naukowych na uniwersytetach przez zatrudnienie na stanowiskach profesorskich kolegów, którzy akurat nie czują się dobrze merytorycznie na swoim macierzystym wydziale, ale nie znajduje to podstaw w teorii nauki. Są co najwyżej reprodukowanymi tezami, których nie poddano nawet elementarnej weryfikacji. Nikt nie zastanawia się nad tym, że nie tylko źle świadczą o głoszących owe niedorzeczności, ale prowadzą do destrukcji politologii, obracanej w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Rozumianą naiwnie, bez próby zdystansowania się od języka mediów i refleksji uzasadniającej interesy polityczne.

Jeśli ktoś chciałby polemizować z powyższymi tezami, radzę najpierw dobrze zapoznać się z polską literaturą na ten temat. Autorzy piszący o badaniach interdyscyplinarnych nie są zbyt aktywni, ich twierdzenia są rozmyte, pozba-

wione odniesienia do literatury na temat interdyscyplinarności i na dodatek mają trudności z pojęciem *przedmiotu poznania*. Zwolennicy tezy o interdyscyplinarnym charakterze politologii zwykle się nim nie posiłkują i to nie jest przypadkiem. Zamiast posługiwać się tym standardowym terminem współczesnej nauki, piszą o „tematyce badawczej”. Język ten pokazuje jednoznacznie, że mamy tu do czynienia z osobami nieznającymi podstawowej terminologii teorii nauki. Przede wszystkim jednak powyższa zamiana ułatwia schodzenie na poziom wiedzy potocznej. **Rozumiana na sposób ludowy wiedza o społeczeństwie nie ma przedmiotu poznania, lecz ma „tematykę badawczą”**. Oto dlaczego dochodzi do unikania poważnych terminów i zastępowania ich potocznymi sformułowaniami, czerpanymi z mediów. Ludzki język jest czasem bardziej logiczny, aniżeli nam się wydaje. Intuicyjnie także jest do pewnego stopnia logiczny na poziomie myśli potocznej. W przypadku refleksji interdyscyplinarnej mamy do czynienia wyłącznie z logiką potoczną.

Gdy rozwija się tezę o interdyscyplinarności politologii, wypadałoby znać literaturę na ten temat. Oczywiście w pracach polskich politologów, którzy nie rozumieją, czym jest erudycja, z czymś takim nie mamy do czynienia. Tymczasem poszukiwania na tym polu prowadzą do bardzo ciekawych ustaleń.

Jeśli spróbujemy spenetrować obcą literaturę na temat badań interdyscyplinarnych (ponieważ polska niemal nie istnieje<sup>14</sup>), to przynajmniej natkniemy się na pozycje anglojęzyczne. Cóż jednak z nich wynika. Zwolennicy badań interdyscyplinarnych chwala ją, podkreślają rzekomą innowacyjność (ona jest jednak tylko przedmiotem ich wiary, nie wynika z argumentacji), ale nie odwołują się do ustaleń współczesnej teorii nauki. Specjaliści od badań nazywanych „interdyscyplinarnymi” funkcjonują w formie zamkniętego kręgu, o którym mało kto wie i który w swoich ramach kultywuje coś, co bardzo przypomina wiedzę potoczną<sup>15</sup>. Gdy przychodzi do formułowania jednoznacznych definicji, wynika z nich niewiele. Może nawet nie wynika nic konstruktywnego, jeśli interdyscyplinarność określa się jako „przekraczanie granic tradycyjnych dyscyplin”, „interakcję różnych dyscyplin” lub „przerzucanie mostów pomiędzy dyscyplinami”<sup>16</sup>, a także pomija problem przedmiotu poznania i głosi, że interdyscyplinarność oznacza studia włączające wiedzę przynajmniej z dwóch dyscyplin<sup>17</sup>.

Każda z tych wypowiedzi jest próbą głoszenia banału. Bardzo rzadko można spotkać wnikliwie, tym bardziej zaś krytyczne uwagi na temat badań czy meto-

14 Czy aby opublikowany po raz pierwszy w 1996 r. tekst S. Wierzychostławskiego (*Wielodyscyplinarność i interdyscyplinarność statystycznych badań zjawisk społecznych*, „Studia Demograficzne” 2009, nr 1, s. 30–47) nie jest tu wyjątkiem?

15 Np. J. Klein, *Crossing boundaries. Knowledge, disciplinarity and interdisciplinarity*, Charlottesville 1996.

16 L. Lattuca, *Creating interdisciplinarity. Interdisciplinary research and teaching among college and university faculty*, Nashville 2001, s. 78 i 82.

17 A. Repko, *Interdisciplinarity research: process and theory*, London 2008, s. 344.



dy interdyscyplinarnej. Nawet tak oczywiste jak fakt, że **badania interdyscyplinarne zakładają obecność dyscyplin i mogą być prowadzone dopiero wtedy, gdy zna się gruntownie przynajmniej dwie**. Jak bowiem bez tej wiedzy wykrczać poza dyscypliny, łączyć je i przerzucać mosty? Poza tym należy przecież zastanowić się, czym interdyscyplinarność różni się od eklektyzmu?<sup>18</sup> Chyba więc nie bez powodu w podręcznikach metodologii nie znajdujemy rozdziałów na temat badań interdyscyplinarnych. Wypowiedzi na ten temat nie wykraczają poza poziom wywodów potocznych, ponieważ **bardzo trudno byłoby sformułować zdolną oprzeć się elementarnej krytyce teorię i metodologię badań interdyscyplinarnych**.

Czy coś więcej tkwi w postulacie metody interdyscyplinarnej? Wątpię. Natomiast fakt, że autorzy szermujący postulatami badań interdyscyplinarnych nie uwzględniają ustaleń współczesnej teorii nauki, zwłaszcza w kwestiach specyfiki ludzkiego poznania, charakteru teorii i znaczenia przedmiotu badań, skłania do wniosku, że **nie istnieje sprecyzowana metoda badań interdyscyplinarnych**. Jest to jedynie modne hasło, popularna dyrektywa, której „politologów”, za mierzonymi literaturoznawcami i słabymi socjologami, ulegają bez świadomości, co ono znaczy. **Prawdopodobnie tylko dyletant głośno mówi, że prowadzi badania interdyscyplinarne**. Poważne badania interdyscyplinarne są możliwe, ale ci, którzy rzeczywiście działają na pograniczu dyscyplin i przerzucają mosty, są rzadkiej klasy erudytami. Nie wypowiadają się tak otwarcie i łatwo na temat tego, co robią. Być może dlatego, że ich metoda istnieje tylko w indywidualnym, niepowtarzalnym wydaniu, a jej fundamentem jest nieuchwytna intuicja geniusza.

**Badania łączące wiedzę z różnych dyscyplin muszą koncentrować się na specyficznym zdefiniowanym przedmiocie poznania i są dostępne jedynie gigantom nauki**. Zwykli profesorowie mogą jedynie szermować hasłem „interdyscyplinarności”, popisując się nim, raczej nie zdając sobie sprawy z tego, o czym mówią. Ci, którzy cokolwiek rozumieją z interdyscyplinarności i mają pojęcie o możliwej dzisiaj metodzie naukowej, w milczeniu patrzą na nich z politowaniem.

Skoro politologia jest rzekomo nauką interdyscyplinarną, to czy twórcy i popularyzatorzy tej tezy cokolwiek powiedzieli na ten temat? Czy stworzyli podstawy teorii politologii interdyscyplinarnej? Oczywiście, oni niczego takiego nie zbudowali. Operują jedynie płytkimi hasłami na poziomie wiedzy potocznej i nigdy nie przyszło im do głowy, aby wytyczyć interdyscyplinarny politologiczny program badawczy.

Przed wszystkim rzuca się w oczy, że teza o interdyscyplinarnym charakterze politologii została sformułowana przez tych, którzy nie rozumieją, iż poli-

18 J. Moran, *Interdisciplinarity*, London 2010, s. 167.

tologia ma własny przedmiot poznania. Nie dostrzegają problemu tego, co polityczne i próbują skonstruować nawet nie namiastkę teorii, ale ograniczają się do hasła, którego powtarzanie pozwoliłoby wybrnąć z zaistniałej sytuacji. Twierdzenie o rzekomej „interdyscyplinarności politologii” z punktu widzenia współczesnej teorii nauki nie jest bowiem niczym więcej jak trywialną, ludową „mądrością”, za którą kryje się totalna pustka myślowa. Popularność tej potocznej „wiedzy” w środowisku politologów niezdolnych do jej oceny ujawnia skłonność do bezkrytycznego powtarzania najłatwiej wbijających się w pamięć porzekadeł. Natomiast bardzo **szkodzi samej politologii, ponieważ postuluje wykreślenie jej z listy dyscyplin nauki**. Ona oznacza, że należy zaprzestać przyznawania stopni naukowych w politologii, ponieważ doktoraty są tu efektem ignorancji przynajmniej w zakresie wiedzy na temat statusu nauki. Czy którykolwiek z opowiadających się za interdyscyplinarnością politologii zdaje sobie z tego sprawę? Nie! Tacy politolodzy po prostu mówią o politologii jako „dyscyplinie interdyscyplinarnej”, nie zdając sobie sprawy ze śmieszności własnego położenia i tragicznych konsekwencji, jakie wynikają z reprodukcji tych nonsensów.

Twierdzenie o interdyscyplinarności politologii okazuje się być efektem ignorancji teoretyków polityki, którzy nie wiedzą, dlaczego i po co istnieją dyscypliny nauki, po co w nauce wytycza się granice, w jaki sposób wolno je przekraczać, nie znają teorii tego, co polityczne i nie posiadają wiedzy na temat metody interdyscyplinarnej, ale bez zahamowań, z wielką ochotą budują tezy pozbawione ugruntowania, niemające osadzenia we współczesnej wiedzy. Nawet takie, które prowadzą do destrukcji własnej dyscypliny nauki.

**Teza o interdyscyplinarności politologii może być efektem kopiowania z sieci.** Po wpisaniu do przeglądarki nonsensownego hasła „dyscyplina interdyscyplinarna”, znajdziemy najbardziej niedorzeczne sformułowania. Na przykład, że biotechnologia, a nawet biologia są „dyscyplinami interdyscyplinarnymi”, ponieważ korzystają z dorobku wielu innych nauk. Jest to nonsens o tyle łatwy do dostrzeżenia, że prawdopodobnie nie istnieje dyscyplina, która nie czerpałaby z innych dyscyplin materiału pomocniczego w postaci dostarczanych danych i metod, oprócz może matematyki i logiki (ale w obu tych przypadkach także jest to kwestia dyskusyjna<sup>19</sup>). Nie znaczy to więc, że czerpanie z dorobku innych dyscyplin powoduje prowadzenie badań interdyscyplinarnych.

Natomiast dyscypliny społeczne, tak samo jak przyrodnicze, zawsze posługują się paletą nauk pomocniczych. W dyscyplinie historii istnieje cały dział zajmujący się wykorzystaniem wielu nauk do badań nad przeszłością ludzkich społeczeństw<sup>20</sup>. Trudno wyobrazić sobie socjologię bez nauk pomocniczych, na

19 A. Grobler, *Metodologia nauk...*, op. cit., s. 65–75.

20 J. Szymański, *Nauki pomocnicze historii*, Warszawa 2004.

przykład bez statystyki, historii społecznej i psychologii. Twierdzenie, że „socjologia jest dyscypliną interdyscyplinarną”, byłoby sztandarowym nonsensem, który mógłby głosić wyłącznie jakiś kompletny ignorant. Natychmiast spotkałaby go surowa krytyka socjologów. A przecież społeczeństwem zajmują się wszystkie dyscypliny społeczne: prawo, politologia, psychologia, demografia, statystyka itd., ale nikt nie głosi nonsensownego twierdzenia, że socjologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”. Jakoś do takiego upadku socjologii daleko. W politologii on jest faktem.

Teza o interdyscyplinarności dla wielu może co najwyżej znaczyć, że zbierają się badacze z różnych dyscyplin i jakiś problem rozważają. Jeśli jednak nie wyodrębnili oryginalnego przedmiotu poznania, na którym skupia się ich uwaga i którego dotyczy metoda, pozostają jedynie kręgiem zagubionych, którzy nie rozumieją, czym jest nauka. Jeśli zebrano koło filozofów, historyków, prawników i psychologów, to jeszcze nie znaczy, że prowadzą dyskurs interdyscyplinarny, tym bardziej zaś nie znaczy to, że prowadzą badania interdyscyplinarne. O dyskurs polegający na wymianie opinii jest łatwiej. Zwykle jednak każdy wypowiada się z punktu widzenia własnej dyscypliny, jeśli tylko zna jej podstawy. Natomiast w przypadku badań, które mają zakończyć się konkretnymi wynikami, nieomal zawsze prowadzi się je z własnego punktu widzenia, w odniesieniu do przedmiotu poznania swojej dyscypliny, korzystając jedynie z pomocy innych nauk. Tylko geniusze mogą wykraczać poza ten schemat.

Warto zastanowić się, ilu prawników rozumie cokolwiek z socjologii? Moim zdaniem prawnicy tylko udają, że cokolwiek pojmują z problematyki społecznego funkcjonowania prawa, a faktycznie najczęściej żyją myślą, że istnieją jedynie byty prawne i wyłącznie one mogą być przedmiotem rozważań w kategoriach prawnych. Socjologia prawa to mało dynamiczna i skrajnie hermetyczna dziedzina badań. Szczególnie widać stosunek prawników do socjologii w rozważaniach specjalistów od prawa międzynarodowego, czyli tu, gdzie socjologia jest szczególnie przydatna. Oni socjologią państwa i stosunków międzynarodowych w ogóle się nie zajmują. Tak samo badań interdyscyplinarnych zwykle nie prowadzą historycy, socjologowie i psychologowie.

**Nie istnieje systematyczne poznanie metodą interdyscyplinarną. Badania naukowe są prowadzone w ramach dyscyplin określonych przedmiotem poznania, przy wykorzystaniu dorobku nauk pomocniczych. Nie oznacza to więc zamykania się w obrębie dyscyplin, nie oznacza też jednak poznania z perspektywy różnych dyscyplin ani poznania interdyscyplinarnego.**

Najlepiej pokazują to książki z historii nauki, zwłaszcza zaś praca Thomasa Kuhna, który przedstawił przebieg zmian w ludzkiej wiedzy na przestrzeni stule-

ci. Nie może być mowy o rozwoju poznania naukowego bez formułowania paradygmatów, wydzielenia dyscyplin i ich konstytuowania się wokół specyficznych przedmiotów poznania. **Nauka nie rozwija się na gruncie „tematyki badawczej”, ale drogą precyzowania wiedzy o tym, co poznaje**<sup>21</sup>. Zwłaszcza kiedy boryka się z problemem oddzielenia jej od wiedzy potocznej i demarkacji w stosunku do pseudonauki. Chyba tylko politolodzy nie zdają sobie sprawy z tego i wskutek owej ignorancji kwitnie pseudopolitologia w wydaniu charakterystycznym dla III Rzeczypospolitej.

Badania z perspektywy różnych dyscyplin mogą być prowadzone przez wyjątkowych, wybitnych badaczy, pasjonatów i erudytów i to najczęściej jedynie w ramach studiów nad konkretnymi przypadkami. Na przykład nad jakimś aspektem funkcjonowania społeczeństwa, nad zjawiskami z zakresu literatury, języka, norm itd. Taką metodą można pogłębić rozumienie konkretnego problemu. Natomiast posługiwanie się kompleksową wiedzą dwóch dyscyplin w zakresie ich przedmiotów poznania jest trudne nie tylko do zrealizowania, ale nawet do wyobrażenia. Zauważmy też, że badania porównawcze nie muszą być i najczęściej nie są badaniami interdyscyplinarnymi.

**Tym bardziej nawet zastosowanie metody interdyscyplinarnej przez geniusza nie znosi problemu przedmiotu poznania.**

Trzeba natomiast wyraźnie **odróżnić zastosowanie metody interdyscyplinarnej od zastosowania nauk pomocniczych w badaniach prowadzonych w ramach dyscypliny**. Ten drugi przypadek nie ma związku z jakąkolwiek interdyscyplinarnością.

Jak wiec Krauz–Mozier może pisać, że ponieważ każdy fragment rzeczywistości politycznej mogą badać rozmaite dyscypliny społeczne, nie istnieje jednolita dyscyplina zajmująca się zjawiskami politycznymi i „[...] lepiej poprzestać na stawianiu wspólnych zadań badaczom instytucjonalnie reprezentującym różne dyscypliny, a zainteresowanym tym samym, niż nieustannie poszukiwać – wymykającego się jednoznacznyemu określeniu – przedmiotu politologii”<sup>22</sup>. Przecież na to pytanie udzielił już odpowiedzi w latach siedemdziesiątych Jan Woleński, wskazując na proces kształtowania się ludzkiej wiedzy w efekcie dojrzewania dyscyplin, który prowadzi od pluralizmu do monizmu i rozwoju świadomości przedmiotu poznania<sup>23</sup>. Twierdzenie Krauz–Mozier może być tylko skutkiem niezajomości elementarnych ustaleń teorii nauki. Jest sprzeczne nawet ze zdrowym rozsądkiem, jeśli ten cokolwiek wzniosł się ponad emocjonalnie przeżywaną wiedzę potoczną.

21 T. Kuhn, *Struktura rewolucji naukowych*, Warszawa 1968, zwłaszcza s. 26–38 i 59–67.

22 B. Krauz–Mozier, *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*, Kraków 1992, s. 12.

23 J. Woleński, *Spór o status metodologiczny nauki o polityce*, (w:) K. Opalek (red.), *Metodologiczne i teoretyczne problemy nauk politycznych*, Warszawa 1975, s. 32–57. Zob. wyżej rozdział 4.

Czy aby ekonomia nie zajmuje się zjawiskami, które badają też historia, socjologia czy psychologia? Czy socjologia nie zajmuje się przedmiotem poznania wpadającym w pole zainteresowania historii, ekonomii i psychologii? Przykłady można mnożyć w nieskończoność. Nie ma dzisiaj tak wydzielonego przedmiotu poznania, który w jakiejś mierze nie byłby obiektem penetracji innych dyscyplin. Ani przedmiot poznania politologii, ani sama politologia nie są wyjątkami w nauce, tylko Krauz–Mozer nie poznała, jak kształtuje się i funkcjonuje wiedza naukowa. Nie zrozumiała, jak wyjaśnia to na przykład nowoczesny fallibilizm.

**Próbujący bronić tezy o interdyscyplinarnym statusie politologii nie pojmują, czym są nauki pomocnicze, przedmiot poznania, dyscyplina nauki, rozwój nauki i dlatego nie zdają sobie sprawy, iż nie można uznać za interdyscyplinarną wiedzy, której przedmiot poznania jest obiektem zainteresowania innych dyscyplin, tworzonej w efekcie sięgania do dorobku innych nauk albo służącej za naukę pomocniczą.** Dlatego twierdzenie o interdyscyplinarności politologii jest niebywałym, ekstremalnym nonsensem, zbudowanym na gruncie ignorancji w sprawach elementarnych. Ignorancji, która powinna być tępiona nie u profesorów politologii, ale u studentów politologii. Te zupełnie proste kwestie powinny być zrozumiałe nie tylko dla każdego profesora nauk społecznych, ale każdego studenta. Politologia, jak prawie wszystkie, a może nawet wszystkie nauki, korzysta z ustaleń innych nauk, ale to nie określa jej specyfiki. Gdyby politologia była nauką interdyscyplinarną, tak samo byłyby nią historia, socjologia, ekonomia i prawo.

**Teza o interdyscyplinarności jakiejś nauki pojawia się, gdy uprawiającej ją nie radzą sobie z problemem przedmiotu poznania albo tracą pozycje w społeczności uprawiającej jedną z dyscyplin nauki.** Jej postawienie nie oznacza jednak zniesienia problemu przedmiotu poznania, ponieważ „[...] epistemologiczna kategoria przedmiotu poznania jest nie tylko użytecznym, ale wręcz nieodzownym narzędziem w rozważaniach, które tak lub inaczej podejmują kwestię epistemologicznej ważności teorii społecznych”<sup>24</sup>. Tam, gdzie mamy do czynienia z wyodrębnionym przedmiotem poznania, nawet poddawanego dyskusji (ponieważ w nauce wszystko jest przedmiotem krytycznej analizy – w odróżnieniu od świata doktrynerów), nie ma mowy o „podejściu” (ponieważ teoria badań interdyscyplinarnych nie istnieje) interdyscyplinarnym. **Nie „tematyka badań”, ale sprecyzowany przedmiot badań określa dyscyplinę. Nie wola uczonych, ale jego doniosłość dla zbiorowości ludzkich przesądza o znaczeniu tej dyscypliny.** Powyższe twierdzenia należą do zakresu elementarnej wiedzy o ludzkim poznaniu i powinny być znane każdemu studentowi politologii. Tymczasem nie znają ich profesorowie politologii.

24 J. Niżnik, *Przedmiot poznania w naukach społecznych*, Warszawa 1979, s. 140.

**Politologia jest dyscypliną nauki nie dlatego, że tak podoba się tym czy innym profesorom lub negują to uprawiający konkurencyjne dyscypliny, ale ponieważ jej przedmiot poznania ujawnia swoją obecność w ciągu tysięcy lat.** Z dostępnych nam od dawna tekstów wynika, że proces ten możemy obserwować przynajmniej od czasów klasycznej Grecji, gdy Platon i Arystoteles przechadzali się po uliczkach Aten. Badania z ostatnich dziesięcioleci dowodzą jednak, że jest on znacznie starszy. Tego prostego faktu nie zmieni nawet największy wysiłek teoretyków polityki III Rzeczypospolitej, poświęcony odebraniu politologii statusu dyscypliny nauki i sprowadzeniu jej do rangi pseudonauki. Natomiast oni swoimi twierdzeniami kompromitują się osobiście do końca, tylko o tym jeszcze nie wiedzą. Nie zdają sobie sprawy z tego, że prowadzi to do konieczności zaprzestania przyznawania doktoratów z politologii, którą redukuje się już nawet nie do poziomu wiedzy o społeczeństwie, ale do rangi wiedzy behapowca.

Próba badania interdyscyplinarnego nie może być motywowana chęcią uniknięcia refleksji nad przedmiotem poznania i zajęcia się „tematyką badawczą”. Wynika to ze sposobu gromadzenia wiedzy przez ludzki umysł i modyfikowania jej w procesie interakcji społecznych. Postulat badań interdyscyplinarnych nie został zrodzony w efekcie krytyki tych, którzy tylko dla siebie chcą wydzielić „działkę” badawczą. Wbrew temu, co głosi Karwat, takich uczonych nie ma. Teza o politologii jako rzekomej nauce interdyscyplinarnej została zbudowana na ignorancji w sprawach elementarnych.

**Politologia jest jak pedagogika, ale to oznacza, że ma własny przedmiot poznania, nauki pomocnicze i nic w niej nie znajdujemy z tego, co mgliście określa się słowem „interdyscyplinarny”.** Twierdzenia Karwata, Krauz–Mozer i wielu innych politologów III Rzeczypospolitej biorą się z nieznamości podstawowej wiedzy z zakresu teorii nauki i samej politologii. Warto przestać nieświadomie powielać stary męt, że z powodu statusu poznawczego politologia jest na uniwersytecie na poziomie pedagogiki. W praktyce politologia w hierarchii dyscyplin uniwersytetu jest daleko za pedagogiką, ale zasługa w tym ogromna warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki oraz jego współpracowników z Krakowa i Poznania.

Twierdzenie o interdyscyplinarności politologii jest wyłącznie **zasłoną dymną ignorancji** wielu osób zatrudnionych na uniwersyteckich wydziałach politologii III Rzeczypospolitej. Oni nie doczytali, czym zajmuje się politologia i jaki jest jej dorobek badawczy. Nikt chyba nie zdaje sobie sprawy, że tak łatwo powtarzany slogan o interdyscyplinarności politologii nie jest neutralny, ale pociąga za sobą przekształcenie tych wydziałów w kosze na śmiecie, jak pokazałem to wyżej na konkretnych przykładach. Można je mnożyć praktycznie w nieskończoność. Powoduje też, że politolodzy zajmują się zjawiskami powierzchownymi i faktycznie niczego nie wnoszą do zrozumienia ważnych kwestii funkcyjno-

wania państwa, demokracji, oligarchii czy stosunków międzynarodowych. W ten sposób ostatecznym efektem twierdzenia o interdyscyplinarności politologii jest coraz bardziej rzucający się fakt, iż politologia zaczyna wykazywać cechy pseudonauki.

Czy aby tezy Karwata i innych teoretyków polityki nie powodują, że politologia zostaje przekształcona w wiedzę o statusie **astrologii, alchemii i meteorologii w wydaniu młodego, niedoświadczonego górala**? Twierdzenie to z całą powagą zbadam w dalszej części tej pracy.

## 16. Politologia empiryczna

W pracach Krauz–Mozera dominuje teza, wedle której politologia nie jest nauką, ponieważ ma charakter indukcyjny. „Opowiadając się za analityczno–empirycznym modelem nauki, trudno politologię traktować jako naukę w ścisłym tego słowa znaczeniu. Indukcyjny charakter osiągniętych przez nią rezultatów osłabia przysługującą im cechę naukowości, tak że przypominają one często wyniki pracy historyka, przedstawiającego w formie usystematyzowanego opisu to, co już się zdarzyło”<sup>25</sup>.

Cóż to wszystko znaczy? Czy politologia rzeczywiście jest nauką indukcyjną? Z tekstów Krauz–Mozera można wywnioskować, że ona sama w to nie wierzy<sup>26</sup>, chociaż stale podkreśla indukcyjny charakter politologii i w ogóle nauk społecznych. Dlatego po lekturze prac krakowskiej autorki pozostaje jednak przeświadczenie o jakimś pseudonaukowym charakterze politologii, która jest jakby swoistą „ćwierćnauką” i inna nie może być. Takie same wrażenie pozostaje po lekturze prac pozostałych teoretyków polityki, zwłaszcza zaś po zapoznaniu się z ostatnią książką Klementewicza, w której nie tylko nie potrafi, ale nawet nie próbuje określić przedmiotu poznania politologii i jej teorii. Zamiast tego wskazuje, że „Busołą działań poznawczych politologa jest [...] teoria, zwykle istnieje ona w postaci <<wiedzy milczącej>>”<sup>27</sup>. Czyżby więc politolog był człowiekiem, który działa intuicyjnie, nieświadom tego, co robi? Jeśli milcząco posługuje się teorią, to swoim zachowaniem przypomina człowieka, który rozumuje na poziomie potocznym. Przecież normalny uczony operuje teorią świadomie, po konfrontacji jej z innymi teoriami.

25 B. Krauz–Mozera, *Metodologiczne problemy...*, op. cit., s. 5; por. *idem*, *Teorie polityki...* op. cit., s. 42–46. Na poziomie rozważań nad naturą poznania teoretycy polityki nie głoszą skrajnie naiwnego empiryzmu i dostrzegają znaczenie teorii, ale gdy przychodzi podjąć rozważania nad teorią politologii, wyjaśnić, czym jest politologia i jaką stosuje metodę, wtedy ich kredo staje się skrajny empiryzm, czyli przekonanie, że politologia jest zbieraniem faktów bez teorii.

26 *Ibidem*, s. 95–104.

27 T. Klementewicz, *Rozumienie polityki...*, op. cit., s. 29.

Czy aby Klementewicz nie postuluje wprost: uznajmy wiedzę potoczną za naukową, a naukową za potoczną. Czy aby nie jest to już praktyką na uniwersyteckich wydziałach politologii w Polsce, gdzie głównie kopiuje się wypowiedzi zasłyszane w mediach?

Wymaga to głębszego rozważenia, ponieważ zachodzi podejrzenie, że teoretycy polityki reprezentują wielce anachroniczne spojrzenie na problem poznania naukowego. Krauz–Mozer zgodne z wyobrażeniami XVIII, najdalej XIX w., a Klementewicz prawdopodobnie cofa się gdzieś do średniowiecza, gdy stwierdza, że poznanie „dyscyplinowe” jest wyrazem potocznej świadomości politologa<sup>28</sup>. Uczni kilkaset lat walczyli o wyjaśnienie procesu poznania naukowego. Orzekli, że dokonuje się to przez wydzielanie dyscyplin, rozwijających się drogą precyzowania wiedzy o przedmiocie poznania. Tymczasem teoretycy polityki wszystko to przekreślili w ciągu kilku lat. Klementewicz dokonał tego jednym zdaniem, bez głębszego wywodu. **Prawdopodobnie więc teraz wielu młodych polskich politologów może sądzić, że wielcy myśliciele byli w błędzie, a Krauz–Mozer, Karwat i Klementewicz otwierają nowe perspektywy przed teorią nauki.** Warto bliżej zastanowić się nad tą kwestią. Czy aby twierdzenia teoretyków polityki nie wymagają sprostowania?

Przed wszystkim obecnie, po wykładach Alberta Einsteina, już chyba nie wypada dzielić nauk na indukcyjne i dedukcyjne. Można nie zrozumieć nieco powikłanego wywodu na ten temat Karla Poppera<sup>29</sup>, ale przecież wielki fizyk blisko sto lat temu wykazał w prostych tekstach publikowanych w gazetach i od dawna powszechnie dostępnych, także po polsku, że naiwne jest rozumowanie w stylu Isaaca Newtona. Ten głosił, że najpierw obserwował spadające jabłko, leżąc pod drzewem, a potem sformułował prawo ciężenia. Ów przykład jest w literaturze przedmiotu, a nawet w prasie<sup>30</sup> powtarzany tak często, że chyba każdy profesor nauk społecznych powinien go znać. W każdym razie wniosek Einsteina brzmi następująco: „[...] **wszelka próba logicznego wyprowadzenia podstawowych pojęć i praw mechaniki z elementarnych doświadczeń skazana jest na niepowodzenie**”<sup>31</sup>. Newton opowiadał bajkę, która nie miała związku z rzeczywistym procesem generowania teorii i formułowania praw.

Ludzkie poznanie jest zbyt złożoną czynnością, aby podział na nauki indukcyjne i dedukcyjne mógł być obecnie podtrzymywany. Skłania to do poważnego zmierzania się z problemem: co oznacza, że politologia jest nauką empiryczną? Nasuwa się też pytanie: jakie znaczenie ma w politologii teoria i debata nad

28 *Ibidem*, s. 30.

29 K. Popper, *Logika odkrycia naukowego*, Warszawa 1977, s. 29–32

30 Ostatnio w rozmowie (*Ogród rozgałęziających się wszechświatów*, wywiad z Davidem Deutschem) przedrukowanej w *Niezbędniku inteligenta*, dodatku do tygodnika „Polityka” (*Czego szuka nauka?* Nr 6/2010, s. 6–7).

31 A. Einstein, *O metodyce fizyki teoretycznej*, (w:) *idem*, *Pisma filozoficzne*, Warszawa 1999, s. 115.



przedmiotem poznania? Krauz–Mozer zdaje się sugerować, że politolodzy, jak rzekomo czynią to historycy, poznają to, co spotkają na swojej drodze i czynią to przypadkowymi metodami, bez teorii i bez uprzedniego sformułowania twierdzeń odnośnie do przedmiotu poznania. Czyli postępują jak zwykli ludzie z ulicy.

Przecież, jak pokazali między innymi Einstein i Popper, nauka nie polega na mierzeniu, testowaniu i zbieraniu danych. Takimi czynnościami parali się już dawno hodowcy i ogrodnicy, a także handlarze. Przecież oni w efekcie tych działań nie zajmowali się nauką. Tutaj chodzi o coś więcej. Znacznie więcej, a mianowicie o ludzkie wyjaśnianie świata, tak aby stał się on zrozumiały w swej istocie i w jego ważnych dla ludzi aspektach. Wyjaśnianie inne aniżeli to, do jakiego zdolni są rolnicy i podróżnicy. Zebranie nawet najlepszych danych w dużej ilości nie prowadzi automatycznie do zrozumienia czegokolwiek. Na dodatek ludzki umysł jest tak skonstruowany, że sensowne, czyli dostarczające jakichś wyników, a nie tylko kolekcjonerskie zbieranie danych nie jest możliwe bez teorii. Nie mówiąc już o tym, że jakiegokolwiek wykorzystanie tych danych bez teorii nie powiedzie się. Powyższe twierdzenia poznawałem jeszcze jako student i należą one dzisiaj do elementarnej wiedzy każdego badacza, który cokolwiek rozumie ze stojących przed nim zadań. Okazuje się jednak, że obecnie nie są one znane na wydziałach politologii.

Dodajmy, że nauka zajmuje się poznaniem takich zjawisk, rozwiązywaniem takich problemów, które nie mogą pojawić się w głowach hodowców, ogrodników i handlarzy, jeśli tylko nie wykazują się specyficznym stosunkiem do świata: ciekawością dla samego poznania. Każdy hodowca, ogrodnik i handlarz mogą zostać odkrywcami, uczonymi, ale w praktyce zdarza się to niezmiernie rzadko i nie jest to przypadek. Dlatego istnieją uniwersytety. One istnieją, chociaż zwykli ludzie nie mają pojęcia, co jest zadaniem takich placówek.

Jeśli ktoś nie czytał Einsteina i nie rozumie Poppera, to może powinien zapoznać się z dość prostymi tezami Willarda Quine’a, zawartymi w szeroko znanym, ogłoszonym pod wymownym tytułem, tekście *Dwa dogmaty empiryzmu*. Otóż w nim Amerykanin bezwzględnie rozprawia się z mitem dychotomii wiedzy, przez naiwnych empirystów dzielonej na *analityczną*, niezależną od faktów i *syntetyczną*, rzekomo istniejącą wyłącznie na gruncie faktów. „Całokształt naszej tzw. wiedzy czy też przekonań, od najbardziej przypadkowych prawd geografii i historii aż po najgłębsze prawa fizyki atomistycznej, a nawet czystej matematyki i logiki formalnej, jest tworem człowieka i styka się z doświadczeniem tylko wzdłuż swoich krawędzi. Mówiąc inaczej, nauka jako całość podobna jest do pola siły, którego warunkami brzegowymi jest doświadczenie. Konflikt z doświadczeniem na brzegach pola powoduje odpowiednie przystosowania w jego wnętrzu.

[...] Żadne poszczególne świadectwo doświadczenia nie jest związane z jakimś określonym zdaniem z wnętrza pola; związek ten ma co najwyżej charakter pośredni, za sprawą równowagi pola jako całości<sup>32</sup>.

Trudno o bardziej lapidarne i trafne wyłożenie istoty empiryzmu. Zdaje się jednak, że teoretykom polityki III Rzeczypospolitej nie jest ono znane. Tutaj dominuje bowiem empiryzm w wersji zwalczanej przez Einsteina, Poppera i Quine'a. Te nazwiska nie są dostatecznie znaczące dla politologów, aby współcześni polscy teoretycy polityki mogli je zauważyć i przyswoić sobie głoszone przez nich twierdzenia. Jak bowiem Krauz–Mozer, Karwat i Klementewicz mogliby to uczynić, skoro za nic mają powszechnie szanowane autorytety, głoszące, że nie jest możliwa wiedza bez podziału na dyscypliny zajmujące się coraz bardziej precyzyjnie określonymi przedmiotami badań. Wymagałoby to przyznania, że teoretycy polityki głoszą niebываłe nonsensy. Dlatego oni wolą ignorować Einsteina, Poppera i Quine'a. Tak samo jak ignorują Maxa Webera i Carla Schmitta, jak za nic mają Thomasa Kuhna, Imre Lakatosa i Paula Feyerabenda.

**Powiedzmy jasno: Karwat, Klementewicz i Krauz–Mozer mają rację wyłącznie wtedy, jeśli myślą się Einstein, Popper, Quine, Kuhn i Lakatos.**

Teoretycy polityki uznane autorytety mają za nic, nie przyswoili sobie nawet wywodów Jana Woleńskiego i powtarzają, że jest możliwa politologia bez teorii, bez przedmiotu poznania. Najlepsza jest politologia na przykład na gruncie metafor lub syndromów. Przedmiot poznania politologii nie tylko przestał przyciągać ich uwagę, ale ogłosili, że nie jest możliwe jego określenie, a nasza dyscyplina ma w istocie charakter potoczny, zaś jej metodą jest empiryzm polegający na wolnym od jakiegokolwiek teoretycznego ukierunkowania zbieraniu danych. Dlatego należy zaprzestać debaty nad istotą i specyfiką polityki, nad przedmiotem poznania politologii, tym bardziej zaś skończyć z czynnościami formułowania solidnej teorii politologii.

W książce Krauz–Mozer *Teorie polityki* znajduje się rozdział „Przedmiot badania empirycznej politologii – założenia filozoficzne”. Tytuł brzmi ładnie, ambitnie, a nawet wzniośle. Podczas lektury tomu zaczynamy przypuszczać, że może jednak ten przedmiot poznania istnieje. Niestety, czytelnik po zapoznaniu się z tekstem zyskuje jedynie świadomość, że autorka nic nie jest w stanie powiedzieć o przedmiocie poznania politologii. Dowiadujemy się natomiast, że politologia nie istnieje, co powinno cieszyć każdego pseudopolitologa, zamiast politologii uprawiającego wiedzę o społeczeństwie. Ostatecznie Krauz–Mozer kreuje metodologię uzasadniającą jego postępowanie.

32 W. Quine, *Dwa dogmaty empiryzmu*, (w:) *idem, Z punktu widzenia logiki*, Warszawa 1969, s. 65.

**Krakowska profesor nieświadomie zbudowała nie podstawy metodologii politologii, ale potocznej wiedzy o społeczeństwie, które upowszechnia na wydziałach flagowych uniwersytetów.** Moim zdaniem w swoich publikacjach nie przedstawiła właściwie tej prostej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy dwoma pojęciami: *wiedzy* i *nauki*. Skłaniam się do wniosku, że jej w ogóle nie zauważa, jak nie dostrzega różnicy pomiędzy nauką politologii i potoczną wiedzą o społeczeństwie. Nie widzą jej także Karwat i Klementewicz.

Wedle krakowskiej autorki politologia nie istnieje, ponieważ bez żadnych zahamowań argumentuje, że jej przedmiotem zainteresowania jako badaczki są wyłącznie nauki społeczne, które „[...] zmierzają do opisywania tego, co dzieje się w rzeczywistości społecznej, do wyjaśniania obserwowanych zjawisk, ale także do przewidywania tego, co się zdarzy, sterowania tym, co się dzieje, a na koniec do podnoszenia jakości życia przez zmianę tego, co jest”<sup>33</sup>. Zaiste Krauz–Mozer ma swoistą wizję nauk społecznych, mocno zakorzenioną w leninizmie i wykazującą silne podobieństwo do nauki Artura Bodnara (tak bowiem pisano w podręcznikach nauk politycznych redagowanych pod jego kierunkiem) – poza oczywiście problemem przedmiotu poznania dyscypliny. Gdy bliżej zastanowić się nad efektami badań krakowskiej profesor, łatwo dojść do wniosku, że dysponuje ona potocznym wyobrażeniem politologii, utopijnym, inżynierskim, a przede wszystkim sprzecznym z aktualną wiedzą na temat tego, czym jest nauka i co ona może. Ustaleniami Einsteina, Poppera i Quine’a Krauz–Mozer w ogóle się nie kłopotuje, a rozważania Woleńskiego ignoruje.

**Gdyby Krauz–Mozer miała rację, należałoby nie tylko pozbawić wszystkie wydziały politologii prawa do doktoryzowania, ale w ogóle je zlikwidować.** Jak bowiem mogą istnieć wydziały politologii, kiedy politologia nie istnieje. Kiedy jest tożsama z naukami społecznymi, a faktycznie z wiedzą o społeczeństwie, która najbardziej przypomina wiedzę z wychowania obywatelskiego. Czy aby nie tą z czasów Edwarda Gierka? Czy aby więc nie należy też socjologii, prawa i historii pozbawić uprawnień doktorskich i nadawać stopnie z wiedzy o społeczeństwie? Taka wiedza ma przynajmniej pozornie jasny przedmiot poznania. Nie sądzę jednak, aby prawnicy, historycy czy socjologowie zgodzili się na to. Oni nie gardzą własną dyscypliną, co z łatwością przychodzi politologom. Przynajmniej niektórym z nich. Są nimi z pewnością teoretycy polityki.

W tym samym rozdziale książki Krauz–Mozer jest kolejne zdanie, godne przytoczenia. „W omawianym wzorcu nauki odnaleźć można jeszcze jedno, pełne ufności, a zarazem kłopotliwe dla politologów, przekonanie. Sądzi się mianowicie, że wiedza naukowa przewyższa ignorancję, ponieważ w nauce nie chodzi o każdą wiedzę, lecz tylko o taką, co do której możemy żywić nadzieję, że jest

33 B. Krauz–Mozer, *Teorie polityki...*, op. cit., s. 36.

prawdziwa”<sup>34</sup>. Na czym tutaj polega kłopot dla politologa? Na tym, że nie jest w stanie powiedzieć czegokolwiek więcej od tego, co stwierdzi ignorant operujący wiedzą potoczną? To chyba jest problem Krauz–Mozer i innych teoretyków polityki. Kto zna dorobek światowej, a nawet polskiej politologii, łatwo dowiedzie, że wiedza politologa dysponującego elementarną erudycją, czyli będącego przeciwieństwem ignoranta, nie jest taka marna jak sądzi krakowska profesor i jest on w stanie z powodzeniem wykroczyć poza wyobrażenia na temat polityki dostępne zwykłym ludziom.

Podjąwszy się zadania dezawuowania politologii bez znajomości jej osiągnięć, Krauz–Mozer może beztrąsko pisać „W konsekwencji **problem poznawczy** nauk społecznych pozostaje nadal nierozwiązany, co może oznaczać, że nauki polityczne (politologia) czy nauki społeczne w ogóle nie mają jednej drogi do naukowości [...]”<sup>35</sup>. Cytat ten znakomicie oddaje istotę wyводу autorki: nic nie wiadomo, wszystko wolno, każde „podejście” jest tak samo wartościowe, a prawdziwym dramatem jest brak jednej drogi do naukowości. Czy aby nie przypomina to problemu drogi do socjalizmu, o którym to uczyliśmy się w liceum? Czy aby tutaj nie przebijają się pewne schematy myślowe z czasów naszej młodości? Przede wszystkim jednak nie wiadomo, czym jest teoria, do czego służy, nie istnieje przedmiot poznania politologii, a ona sama ma wstydlivy „problem poznawczy”. Dlatego właśnie można bezkarnie dezawuować dorobek politologii i głosić, że ta jest indukcyjną pseudonauką. Dlatego można pominąć problem przedmiotu poznania politologii. To właśnie wynika z publikacji Krauz–Mozer.

Cechą charakterystyczną dorobku teoretyków polityki III Rzeczypospolitej jest teza, że oni nie mogą określić przedmiotu poznania swojej dyscypliny i głoszą, że politologia nie jest dyscypliną, ale jakąś niesprecyzowaną wiedzą interdyscyplinarną. Rzecznicy tego zespołu poglądów nie pokusili się o ustalenie, czym zajmują się badania interdyscyplinarne, ale nie wahają się do nich odwoływać. Nie znają dorobku teorii nauki i nie mają zamiaru z nim się zapoznać. **Pracują w zakładach teorii polityki, ale twierdzą, że solidna, a nawet jakakolwiek teoria polityki nie jest możliwa.** W ten sposób poświęcili swoje życie zawodowe ośmieszaniu politologii, uzasadniając odebranie jej statusu dyscypliny nauki i sprowadzając ją do poziomu potocznej wiedzy o społeczeństwie – bez teorii i określonego przedmiotu poznania. Wszystko to dzieje się przy milczącej akceptacji kolegów z uniwersyteckich wydziałów politologii.

Wyłącznie dlatego Krauz–Mozer może głosić, że politologia jest nauką indukcyjną. Jest to wariant skrajnego, nonsensownego empiryzmu w stylu XVIII, najdalej XIX w., który opiera się na przeświadczeniu, że uprawianie nauki polega

34 *Ibidem*, s. 38.

35 *Ibidem*, s. 50; podkreślenie moje.

na zbieraniu danych bez ukierunkowania umysłu pozwalającego oddzielić w procesie poznania to, co dla niego ważne od tego, co bez znaczenia. Krauz–Mozier wierzy w bajkę Newtona i na niej oparła swoje prace, rzekomo teoretyczne, które faktycznie są zaprzeczeniem teorii i żartem z nauki. Takiego empiryzmu, jaki znajdujemy w jej pracach, nie ma dzisiaj w żadnej dyscyplinie nauki. Z pewnością nie ma w pedagogice i w ergonomii. Teoretycy polityki tym jednak nie muszą się kłopotać, ponieważ wedle nich politologia nie jest dyscypliną nauki, tylko potoczną wiedzą o społeczeństwie.

Dlatego właśnie Krauz–Mozier mogła bez żadnej reakcji kolegów sformułować przytoczone na początku tego rozdziału zdanie, które warto jeszcze raz w całości powtórzyć, ponieważ jest ono zdumiewające: „Opowiadając się za analityczno–empirycznym modelem nauki, *trudno politologię traktować jako naukę w ścisłym tego słowa znaczeniu. Indukcyjny charakter osiągniętych przez nią rezultatów* osłabia przysługującą im cechę naukowości, tak że przypominają one często wyniki pracy historyka, przedstawiającego w formie usystematyzowanego opisu to, co już się zdarzyło”. Przywołuję je dosłownie ponownie, gdyż w nim znajduje swój wyraz istota rozumowania teoretyków polityki III Rzeczypospolitej, która dominuje także w świadomości współczesnych polskich politologów.

Jej kwintesencję wyrażają następujące twierdzenia:

- 1) politologia nie potrzebuje teorii;
- 2) politologia nie ma przedmiotu poznania;
- 3) politologia jest potoczną wiedzą o społeczeństwie;
- 4) metoda politologii polega na kolekcjonowaniu wiedzy o faktach.

Gdy poczytamy prace doktorskie i habilitacyjne z ostatnich lat, a także artykuły z czasopism politologicznych, łatwo dojdziemy do wniosku, że program naiwnego empiryzmu, skrytykowanego dawno przez Einsteina, Poppera i Quine’a, jest na uniwersyteckich wydziałach politologii realizowany systematycznie i bez zahamowań (o tym w części czwartej tej pracy). Polega on głównie na opisywaniu powierzchownych, rzucających się w oczy zjawisk, faktów, o których wiedzę czerpie się z mediów. Kopiuje się najprostsze, najłatwiejsze wzory. Ten program jest przede wszystkim formułowany i realizowany na warszawskim Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, a prowincja go powieliła, ponieważ pozwalała pod szyldem politologii sprzedawać na uniwersytetach potoczną wiedzę o społeczeństwie i zdobywać stopnie naukowe o wiele łatwiej niż na wydziałach prawa, historii czy socjologii. Dlatego właśnie ten, kto nie ma szans na przyjęcie do pracy przez prawników, socjologów czy historyków, natychmiast udaje się do placówki politologicznej. Tutaj wszystko przyjmą i mają do tego nawet oryginalne uzasadnienie. Stworzyli je teoretycy polityki w III Rzeczypospolitej.

Dosadnie na ten temat ostatnio wyraziła się Krauz–Mozer i jest to opinia zgodna z obecnym programem polskich teoretyków polityki, którzy zniszczyli cały dorobek polskiej politologii, z takim trudem raczkującej w PRL. Jej zdaniem: „Politologia jako przedsięwzięcie naukowe oznacza systematyczne porządkowanie danych empirycznych, w powiązaniu z tworzeniem perspektyw poznawczych i teorii, które służą do objaśniania tych danych”<sup>36</sup>. Otóż nie! Politologia nie tylko nie zajmuje się porządkowaniem danych empirycznych. Chodzi o coś znacznie więcej. Także w zakresie genezy i funkcji teorii w poznaniu.

**Warunkiem uprawiania politologii empirycznej jest dysponowanie teorią politologii określającą przedmiot badań i pozwalającą sprecyzować metody badawcze.** Tutaj nie idzie o namiastkę teorii, tworzonej wedle potrzeb w danym momencie, w powiązaniu z rzucającymi się w oczy faktami. Poważnie traktowana politologia jako dyscyplina nauki nie jest wiedzą o społeczeństwie, która kształtuje się podczas lektury gazety czy oglądania telewizji. Tutaj chodzi o solidną teorię, poważnie przedyskutowaną i rozważoną przez najętsze umysły w środowisku politologów, zdolną przynajmniej trochę opierać się krytyce i określać przedmiot poznania dyscypliny.

Taka teoria nie będzie wolna od kontrowersji, ponieważ nie jest od niej wolna na przykład teoria określająca myślenie biologów, czy nawet teoria będąca podstawą fizyki. Teoria pedagogiki i teoria socjologii pełne są sprzeczności i szeroko dyskutowane. Nikomu jednak w tych środowiskach nie przychodzi do głowy, by głosić nonsens, że teoria ich dyscypliny nie jest potrzebna czy jest niemożliwa. Tym bardziej zaś nikt nie mówi o socjologii czy pedagogice interdyscyplinarnej i nikt nie próbuje obrócić własnej dyscypliny w potoczną wiedzę o społeczeństwie. **Zwłaszcza socjology i pedagogy są tego świadomi i doskonale rozumieją, że nie wolno pozwolić, aby na ich wydziałach zatrudniać specjalistów od turystyki, zarządzania i im przeprowadzać przewody doktorskie.** Tymczasem takie zjawiska na politologii są już powszechne i znajdują nawet uzasadnienie w pracach teoretyków polityki.

Nie może mówić o politologii empirycznej ani o jakiegokolwiek innej politologii ten, kto głosi, że nie sposób określić przedmiotu badania politologii. Ktoś taki twierdzi wówczas faktycznie, że politologia jako dyscyplina nauki nie jest możliwa i zamiast niej postuluje uprawianie wiedzy o społeczeństwie (dzisiaj nie ma już dawnej „nauki o społeczeństwie”, którą jeszcze w PRL niektórzy próbowali rozwijać, zwłaszcza na słynnej Akademii Nauk Społecznych).

36 B. Krauz–Mozer, *Politologia z punktu widzenia metodologii sensu largo*, (w:) A. Antoszewski, A. Dumala, B. Krauz–Mozer, K. Radzik (red.), *Teoretyczne i metodologiczne wyzwania badań politologicznych*, Lublin 2009, s. 12.

„Podejście” teoretyków polityki reprezentuje ten typ myślenia, który Feyerabend dawno określił mianem empiryzmu kreującego twierdzenia zabezpieczające przed obaleniem<sup>37</sup>. Takimi twierdzeniami są wszystkie wypunktowane powyżej cztery tezy, których efektem jest zastępowanie politologii przez naiwną wiedzę o społeczeństwie. Jej rzecznicy wspomagają się postulatem wzmocnienia badań empirycznych, jakby nieświadomi, że **jest to niemożliwe bez teorii politologii określającej przedmiot badań dyscypliny**.

## 17. Politologia jako metodologia

Wszystkie zaprezentowane wyżej tezy politologii „empirycznej”, a faktycznie pseudonaukowej, nie pozostają bez skutków. Spowodowały, że teoretycy polityki III Rzeczypospolitej przedstawili twierdzenia sprzeczne z dorobkiem teorii nauki, z tym, co głosili Einstein, Popper, Kuhn, Quine i Lakatos, co w Polsce popularyzował Woleński i znaleźli się na manowcach nauki, sprowadzając tam zdecydowaną większość swoich kolegów.

Krauz–Mozer konsekwentnie głosi: „[...] rozwój takiej dyscypliny jak politologia dokonuje się prawdopodobnie głównie w płaszczyźnie metodologicznej świadomości, gdzie *kładzie się akcent nie tyle na to, co się bada*, lecz przede wszystkim, jak się bada, jakie okoliczności towarzyszą temu badaniu, jaka jest wartość poznawcza uzyskanych rezultatów”<sup>38</sup>. Jeśli nie jest ważne, co się bada, to można badać ruch drogowy, metropolitalny charakter Warszawy, ludność województwa podkarpackiego, samorządy, bezpłatną prasę i to wszystko prezentować jako dokonania z zakresu politologii.

Twierdzenie, że niezbyt ważne jest to, co się bada, trzeba zaliczyć do tez oryginalnych. Nie spotkałem się z nim u żadnego innego autora. Z pewnością mogłoby zająć wysokie miejsce w konkursie na absurdalne twierdzenia kiedykolwiek sformułowane przez uniwersyteckich profesorów. Konkurencja byłaby ostra z racji ilości ekstremalnych bzdur obecnych w publikacjach teoretyków polityki III Rzeczypospolitej, ale w tym przypadku mamy do czynienia z wyjątkowym nonsensem.

Zejdźmy na poziom najgorszego banału i powtórzmy kwestie elementarne. Nie można poważnie badać czegokolwiek, jeśli nie ma się przynajmniej minimalnego pojęcia odnośnie do tego, co się bada. Na temat przedmiotu poznania mogą występować poważne kontrowersje, ale on musi być obiektem, który próbuje się

37 P. Feyerabend, *Jak być dobrym empirystą? Wezwanie do tolerancji w kwestiach epistemologicznych*, (w:) *idem, Jak być dobrym empirystą*, Warszawa 1979, s. 24.

38 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy...*, *op. cit.*, s. 7–8; moje podkreślenie.

określić. Jak bowiem bez teorii przedmiotu poznania prowadzić badania i gromadzić wiedzę? Może to być badanie dowolne i wiedza, jaka się po prostu nasunie? Tak nie uprawia się nauki! Tak nie tworzy się nawet bardziej systematycznej wiedzy potocznej, ponieważ ona koncentruje się na obiektach ważnych dla człowieka, wyłanianych nieświadomie w efekcie funkcjonowania w sieciach stosunków społecznych i przyswajania obowiązujących pewników. Nie ma tu za grosz dowolności, a przedmioty poznania są określane potrzebami organizmu w konkretnych warunkach jego egzystencji.

**Wiedza, która jest odbierana mglście, czyli nie dysponuje teorią przedmiotu poznania, nie jest dyscypliną nauki i w ogóle nie jest nauką.** Jest ona co najwyżej wariantem wiedzy potocznej, a kiedy ją reprodukuje się w książkach akademickich, pod wieloma względami przypomina średniowieczną scholastykę, która redukowana do kopiowania wzorców narzucanych z zewnątrz (z tą jednak różnicą, że scholastyka dysponowała przedmiotem poznania – głoszą konieczność sprecyzowania tego, w co się wierzy, ponieważ inaczej nie mogło być mowy o zgodności wiary z przykazaniami boskimi). **W nauce sama metodologia jest tylko narzędziem poznawczym i niczego nie jest w stanie ani scalać, ani integrować. Powyższe zadanie może wypełnić jedynie teoria.** Trudno o większe truizmy na gruncie teorii i metodologii nauki.

Poza tym, jak może politologia być integrowana przez metodologię, skoro jej nie posiada, czerpiąc podstawy stosowanej metody z metodologii nauk społecznych? **Jedynym fundamentem jakiegokolwiek dyscypliny nauki jest teoria jej przedmiotu poznania i to tworzona nie przez filozofów czy zawodowych metodologów, ale wyłącznie własnych wybitnych przedstawicieli.** Podejście Krauz–Mozer prowadzi do upowszechniania poglądów blokujących zmiany w tym kierunku. Stanowi silny impuls do destrukcji politologii. Autorka rozwija go od swojej niefortunnej rozprawy habilitacyjnej z 1992 r.

Ludzki umysł, nawet w sieciach stosunków społecznych, nie działa jak uniwersalna maszyna poznawcza. Zawsze kieruje się na konkretne obiekty i posługuje się wobec nich narzędziami poznawczymi dostosowanymi do ich cech, będącymi wypadkową jego własnych możliwości. Dlatego są ogólne zasady metodologii, ale muszą one być stosowane w odniesieniu do konkretnego przedmiotu poznania przez specjalistów z zakresu danej dyscypliny. Powtórzmy: **nie może istnieć metodologia dająca się zastosować w badaniach, jeśli nie jest znany obiekt poznania, określony przez jego teorię.** Zasady metodologii muszą być skonfrontowane z przedmiotem poznania i dopiero potem mogą być rozwijane na ich gruncie twierdzenia metodologii szczegółowej, danej grupy dyscyplin lub pojedynczej dyscypliny. Dlatego, **zanim zostanie określona metodologia dyscypliny, konieczna jest teoria dyscypliny.**



Teza o integracji politologii na gruncie metodologii stanowi z pewnością jeden z największych nonsensów w historii metodologii nauki i na dodatek nie ma nic wspólnego z tym, co faktycznie robią politolodzy. Można było ją postawić tylko bez znajomości teorii wiedzy, teorii nauki i elementarnej erudycji w zakresie dorobku politologii, celem uzasadnienia czynności wykonywanych przez pseudopolitologów uprawiających potoczną wiedzę o społeczeństwie.

Nie wiem, czy politolodzy obecnej generacji są świadomi, że teza o budowaniu nauki politologii na gruncie metodologii oznacza wcześniejsze przyjęcie założenia, że politologia nie dysponuje przedmiotem poznania i nie jest dyscypliną nauki, tylko stanowi jakąś nieokreśloną hybrydę, funkcjonującą poza standardami wyznaczonymi przez współczesną teorię nauki. Stawia to środowisko polskich politologów na specyficznych, już nawet nie wątpliwych, ale dziwacznych, anachronicznych pozycjach. Brak krytyki tezy Krauz–Mozera oznacza, że politolodzy nie dysponują elementarną wiedzą z zakresu współczesnej teorii nauki, w szczególności jej standardów. Skutki tego trudne są do przecenienia. W każdym razie tacy politolodzy faktycznie zaczynają demonstrować cechy pseudopolitologów, czyli kreują pseudonaukę.

Prawdopodobnie głównym wyróżnikiem politologii III Rzeczypospolitej jest ignorancja odnośnie do przedmiotu poznania, czyli niezajomość tego, co się bada. Krauz–Mozera usprawiedliwia ten stan w efekcie własnej niezajomości dorobku politologii światowej. Cały dorobek naukowy krakowskiej badaczki jest dowodem braku erudycji w zakresie osiągnięć politologii jako dyscypliny nauki. Nigdzie, w żadnej pracy nie zmierzyła się z poglądami tych autorów, którzy ukształtowali teorię tego, co polityczne. Nie zmierzyła się też z poglądami politologów rozwijających inne próby wyjaśniania przedmiotu poznawania politologii. Jakie więc ma kwalifikacje do wypowiedzania się na temat teorii i metodologii politologii?

**Jednak skutkiem takiego sojuszu pseudopolitologów, zbudowanego na gruncie konsekwentnego ignorowania dorobku politologii, jest nie tylko to, że politolodzy obecnie nie wiedzą co badają. Oni nawet nie prowadzą debaty na ten temat.** Politolodzy III Rzeczypospolitej nie próbują ustalić przedmiotu badań, a więc dopuszczają badanie czegokolwiek. Nawet w zakresie tematów, które z polityką nie mają nic wspólnego, albo związki z nią wykazują subtelne, wymagające nie prostego opisywania, lecz wnikliwej analizy. Dlatego częścią politologii czyni się wiedzę o turystyce, gospodarce przestrzennej czy regulacji ruchu drogowego. Prace poświęcone takim tematom dopuszcza się do obrony w przewodach na stopnie naukowe, by koledzy, których nikt nie chce wśród socjologów, prawników czy historyków, mogli zaspokoić własną próżność. Wedle politologów na każdy temat z wiedzy o społeczeństwie można przyznać doktorat i oni to z ochotą czynią. **Tak wygasa jednak zdolność formułowania twierdzeń, które mogły-**

**by być przedmiotem kontrowersji, debaty i rozwoju. Tak rodzi się typowy dla uniwersyteckich wydziałów politologii marazm i przekształcają się one w wydziały potocznej wiedzy (nie nauki!) o społeczeństwie.**

Krauz–Mozer wniosła trudny do przecenienia wkład do uśmiercenia politologii jako dyscypliny nauki i uzasadnienia przekształcenia jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Uzasadniała tym samym konieczność odebrania wydziałom politologii prawa do nadawania doktoratów. Krakowska profesor od dwudziestu lat promuje politologię jako pseudonaukę, politologię z nazwy – uprawianą metodą bezproblemowego, bezkontrowersyjnego, wolnego od teorii, debaty nad przedmiotem poznania opisywania zjawisk społecznych, głównie zaś przepisywania z prac reprezentantów innych dyscyplin, w szczególności autorów amerykańskich. Metoda krakowskiej badaczki uzasadnia kopiowanie. Jak nie precyzuje się wiedzy na temat przedmiotu poznania, jedyną słuszną metodą jest powielanie „tematyki”, która akurat przypadła do gustu. Tak właśnie kształtuje się pseudonauka i pogłębia się kryzys uniwersytetu.

W warunkach spadku zainteresowania naukami społecznymi, w świecie poszukującym przede wszystkim wiedzy służącej ekspansji gospodarczej, technologicznej i poprawie życia, traci znaczenie tak doniosła dyscyplina jak politologia, wyjaśniająca, jak w ogóle możliwa jest egzystencja gatunku ludzkiego w wielkiej przestrzeni i długim czasie. Politologia traci znaczenie w Polsce w przyspieszonym tempie, także dzięki tezom rozwijanym przez Krauz–Mozer i innych teoretyków polityki. Politolodzy odnajdują się jako pseudouczni, jako specjaliści w zakresie manipulowania ludźmi, komentowania wydarzeń i pisania rozprawek w zakresie potocznie rozumianej tematyki wiedzy o społeczeństwie, która to wiedza nie jest nauką o społeczeństwie, ale specyficznym wariantem myślenia ludowego. Taka politologia nie jest jakąkolwiek nauką. Nie jest nawet przyzwoitą publicystyką, ponieważ politolodzy są zbyt słabo wykształceni, aby być fachowymi publicystami.

## **18. Politologia otwarta ontologicznie**

Politolodzy III Rzeczypospolitej są pod paroma względami podobni do geopolityków. Przyjęli tezę o politologii jako „interdyscyplinarnej dyscyplinie nauki bez przedmiotu poznania” i zwykle nie wiedzą, co badają, poza tym, iż nie zdają sobie sprawy w tego, co wynika z ich założeń. Ujawnia się to między innymi niefrasobliwym stosunkiem do problemu czasu.

Krauz–Mozer za główny wniosek swojej pracy habilitacyjnej uznała twierdzenie, że „[...] nauka o polityce należy do takiego obszaru uprawianej wiedzy

o świecie społecznym, gdzie zadania dyktuje przede wszystkim przyszłość<sup>39</sup>. Jeśli krakowska profesor uważa, że nauka, zwłaszcza nauka społeczna, jest określana przez przyszłe wydarzenia, to nic dziwnego, że nie może ustalić przedmiotu poznania politologii. Czy w ogóle potrafi wyjaśnić, czym zajmuje się nauka i jaki status ma badana przez nią rzeczywistość? Czy nie myli nauki z futurologią, nieświadoma, że futurologia nie jest nauką? Czy aby w jej pracach nie mamy do czynienia z jakimiś pozostałościami idealistycznego marksizmu i w ogóle myślenia ideologicznego?

Klementewicz spogląda w odwrotnym kierunku i głosi: „Politolog ma do czynienia z procesami otwartymi ontologicznie: część bezpośrednich i bardziej pośrednich skutków obserwowanych wydarzeń należy w chwili badania do przeszłości<sup>40</sup>. Takie stanowisko również musi uniemożliwiać zrozumienie problemu przedmiotu poznania politologii. Cóż bowiem może znaczyć teza o badaniach na styku przeszłości i przyszłości? Czy aby nie chodzi tu o publicystykę, czy niefrasobliwe wywoływanie na temat wywołany w mediach?

Krauz–Mozer i Klementewicz mogą głosić powyższe twierdzenia tylko dlatego, że nie rozumieją znaczenia czasu w kontekście przedmiotu badań politologii. Nie wiedzą, że to, co polityczne istnieje w ramach tego, co społeczne w czasie. Nie jest uniwersalnym atrybutem pewnych obiektów społecznych, ale przypada im od pewnego momentu, by potem zaniknąć. Szczególnie pouczające jest stanowisko zajęte przez warszawskiego profesora.

Mówienie o rzeczywistości otwartej, jak czyni to autor *Rozumienia polityki*, próbując w ten sposób określić specyfikę politologii, oznacza jawne promowanie fałszu. Rzeczywistość badana przez politologa jest tak samo otwarta, jak poznawana przez socjologa, internacjologa czy ekonomistę. Wszyscy oni jednak przede wszystkim badają istotę zjawisk społecznych. Aby bowiem mogli wyjaśniać to, co dzieje się na ich oczach lub zdarzyło w nieodległej przeszłości, muszą wiedzieć, co badają i na czym polega istota opisywanych i wyjaśnianych zjawisk. Jak wymienieni koledzy, politolog powinien więc zagłębiać się w czasie (co nie jest tożsame z historią rozumianą na sposób klasyczny, jako odcinek przeszłości utrwalonej w źródłach pisanych), ponieważ bada to, co polityczne jako składową procesów społecznych, od kiedy wyłoniły się społeczne zgrupowania ludzi zdolne z powołania operować w wielkiej przestrzeni celem ustanowienia powszechnego porządku wszystkimi środkami.

Tego prostego faktu Klementewicz nie widzi, ponieważ nie zdaje sobie sprawy, że działanie polityczne jako cecha określająca status ludzkich zgrupowań nie jest zjawiskiem odwiecznym, chociaż pisze, że pierwsi podejmowali je Gre-

39 *Ibidem*, s. 8.

40 T. Klementewicz, *Rozumienie polityki...*, *op. cit.*, s. 93.

cy, Etruskowie i Rzymianie. W *Rozumieniu polityki* ujawnia się pojmowanie polityki jako rzeki wydarzeń jednostkowych, co nie jest równoznaczne z widzeniem jej jako procesu, ponieważ wtedy należałoby rozumieć ją w kontekście mechanizmów zmian w czasie. Jednak autor nie dostrzega znaczenia ani czasu, ani przestrzeni dla wyjaśniania zjawisk politycznych, gdyż **socjologia Klementewicza jest całkowicie intuicyjna, a ponieważ jego intuicja zawodzi, zawsze w końcu schodzi on na poziom wiedzy potocznej**. O badaniu jakichkolwiek mechanizmów społecznych w *Rozumieniu polityki* nie ma mowy.

Jednak mój zarzut wobec anachronizmu charakterystycznego dla tej książki sięga głębiej. Brak zrozumienia roli czasu i procesu sieci stosunków społecznych w przestrzeni powoduje, że zawiera ona pozornie historyczne ujęcie polityki, które ogranicza się do opisywania zjawisk powierzchownych, rzucających się w oczy podczas oglądu określonego współczesnym przekazem medialnym. Prowadzi to do fałszywej koncepcji politologii i sprowadzenia jej na poziom potoczny. Rzeczywistość polityczna nie jest bowiem tak otwarta, jak sugeruje autor. **Politolog nie powinien koncentrować się na styku współczesności z przeszłością, ponieważ więcej może powiedzieć, badając zjawiska skończone lub zamknięte na pewnym etapie. One mogą być wykorzystane do wyjaśniania współczesności**. Czy jednak to wyjaśnianie będzie miało charakter naukowy? Współczesność nie jest skończona, a więc jej poznanie jest możliwe w stopniu bardziej ograniczonym aniżeli dobrze udokumentowanej przeszłości. Może lepiej nie tworzyć pozorów naukowości i skromnie uznać, że takie badanie nie ma charakteru naukowego?

Nikt tak dobrze jak doświadczony historyk nie uczy, że badanie tego, co jeszcze się nie skończyło, jest niezwykle ryzykowne. W ogóle prawdopodobnie nauka nie ma narzędzi do badania zjawisk określonych przez Klementewicza jako „otwarte ontologicznie”. Jeśli takie badanie ktoś próbuje prowadzić, to ono może nie spełniać rygorów wiedzy naukowej, z łatwością natomiast schodzi na poziom poznania potocznego. W przypadku politologa mamy wówczas do czynienia z publicystyką, której zwykle – z racji typowej ignorancji politologów – nadaje się pozór naukowości. Jak naukowość symulują profesorowie i doktorzy komentujący zjawiska polityczne. Oni wrażenie naukowości wywołują nie argumentami, ale tytułem naukowym, szyldem uniwersytetu i potocznie przypisywanym im autorytetem. W praktyce zwykle narażają się na śmieszność w oczach fachowców, w konfrontacji z odczytanymi dziennikarzami, kiedy nie wiedzą, czym jest to, co polityczne, ale intuicyjnie, zdroworoządkowo tłumaczą wydarzenia polityczne.

Politolog powinien przede wszystkim badać, jeśli nie zjawiska skończone, to przynajmniej zamknięte na pewnym etapie. Chociażby takie, jak mechanizm ewolucji władzy publicznej i politycznej od pierwszych miast Mezopotamii po dominację rodów w polityce (nawet po początki XX w., kiedy najpotężniejsze dynastie straciły znaczenie) i wreszcie przejęcie polityki przez kierownictwa partii, które nie reprezentują już nikogo i w sposób zorganizowany świadomie grają na ludzkich uczuciach<sup>41</sup>. Wokół tych zjawisk występuje tyle przejawów tego, co polityczne, że ich badanie może zająć politologom setki lat. Poznanie powyższych procesów pozwoliłoby lepiej zrozumieć to, czego badanie postuluje Klementewicz: styk przeszłości z teraźniejszością. Na przykład umożliwiłoby wyjaśnienie narodzin współczesnej oligarchii, pozycji banków, genezy terroryzmu i zrozumienie przyczyn oraz skutków zmiany imperialnej pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie. Badanie tego, co skończone może być dobrym punktem wyjścia do częściowego zrozumienia tego, co się aktualnie dzieje, przy świadomości, że zastosowanie metody naukowej jest tu niezwykle ryzykowne. Problem w tym, że politolodzy, zgodnie z twierdzeniem Klementewicza, koncentrują się na drugiej kwestii, pierwszej poświęcając bardzo rzadko. W ten sposób pozbawiają się wiedzy potrzebnej im w rywalizacji z dziennikarzami dysponującymi nieraz od nich większą erudycją<sup>42</sup>.

Radziłbym zapoznać się z wnikliwą pracą wspomnianego już wyżej amerykańskiego politologa Hendrika Spruyta<sup>43</sup>. Samo jej przejrzenie nic nie da, trzeba byłoby ją przestudiować, ponieważ zawarte tam interpretacje nie są konwencjonalne. Poznanie w perspektywie politologicznej wymienionych wyżej zjawisk miałyby przełomowy wpływ na rozumienie społeczeństw ludzkich w kontekście procesów specyficznie politycznych. Jednak Klementewicz nie docenia ich znaczenia dla interpretacji polityki i określenia swoistości poznania na gruncie politologii. **Nie stawia narzucającego się pytania, dlaczego kiedyś ludzkimi społeczeństwami władali kapłani, potem władzę przejęli ojcowie rodów, dynaści, by wreszcie stracić ją na rzecz funkcjonariuszy partyjnych rządzących z mocy praw nadanych przez ideologie.** Jakie złożone procesy społeczne, niedające się uchwycić na poziomie wiedzy potocznej, przesądziły o powyższych zmianach? Dzisiaj liberalizm, konserwatyzm, socjalizm i inne tego typu produkty już nic nie znaczą, dlatego rządzą nami ludzie, którzy swoją władzę opierają na zdolności bezpośredniej manipulacji uczuciami na gruncie wizji społeczeństwa masowej konsumpcji i nieskończonego wzrostu gospodarczego. Co spowodowało tak zasadniczą zmianę?

41 R. Skarżyński, *Politycy: od wojownika do produktu*, „Pro Fide Rege et Lege” 2011, nr 1, s. 70–104.

42 Widać to szczególnie w Polsat News, gdzie pewien warszawski profesor internacjologii często komentuje wydarzenia i jego wypowiedzi z łatwością poddają w wątpliwość starsi wiekiem dziennikarze.

43 H. Spruyt, *The sovereign state and its competitors. An analysis of systems change*, Princeton 1994.

Jednak Klementwicz nawet nie zadaje sobie trudu wglębnienia się w problem sensu tezy o końcu ideologii<sup>44</sup>, ponieważ nie jest w stanie uchwycić istoty procesu zmiany społecznej, roli technologii, nie mówiąc już o ewolucji sieci stosunków społecznych w przestrzeni i czasie. Dla niego każdy system ludzkich idei jest ideologią. Tak samo **warszawski metodolog nie odróżnia historii polityki od historii politycznej** i nie jest w stanie pojąć, iż historia polityczna nie przynależy politologom już dlatego, że będą ją zawsze gorzej uprawiać od historyków i nie są w stanie wypracować do niej własnego podejścia. Przede wszystkim jednak historia polityczna nie ma znaczenia dla politologów, ponieważ jest to ten typ historii, którzy prześlizguje się po powierzchni zjawisk i niczego nie mówi o czynnikach i procesach je wywołujących. Kto nie rozumie powyższych rozróżnień, nie może uważać się za metodologa politologii. Dopiero gdy je dostrzegamy, widzimy ważne elementy specyfiki przedmiotu poznania dyscypliny nauki, jaką jest politologia.

**Tylko politolog sprowadzony na manowce wiedzy, pojmujący ją potocznie jako wiedzę o społeczeństwie, może głosić, że historia polityczna jest subdyscypliną politologii. Historia polityczna nie jest subdyscypliną politologii, ale z pewnością może być częścią potocznej wiedzy o społeczeństwie, jaka zaczyna dominować na uniwersyteckich wydziałach politologii III Rzeczypospolitej.**

Historia polityczna może być przedmiotem uwagi jako subdyscyplina politologii tylko tych politologów, którzy badają zjawiska zachodzące na powierzchni procesów społecznych. Jest polem ekspansji badaczy najniższej kategorii, którzy nie tyle chcą poznawać, co zdobywać szybko tytuły naukowe. Jak ci, co opisują organy władzy, administrację, działania dyplomatyczne, system wyborczy itd. Kto głębiej sięgnie w materię tego, co społeczne, pozostawi historię polityczną historykom. On też dostrzeże, że dziejopisarze nie mają o historii politycznej wielkiego mniemania, ponieważ doskonale zdają sobie sprawę z tego, że jej znajomość bardzo mało znaczy. Historia polityczna jest dla osób pozbawionych wnikliwości, lubiących symulować badania naukowe.

Poznanie historii politycznej, czyli opis, analiza i ocena wydarzeń politycznych, niewiele, a może nawet niczego nie wnosi do rozumienia zjawisk politycznych. Historycy już dawno ustalili, że historia polityczna pozwala bardzo mało zrozumieć z przeszłości ludzkich społeczeństw. W istocie jest przede wszystkim odpowiedzialna za kształtowanie niezliczonej ilości mitów i innych złudzeń. Historię polityczną często piszą ludzie zaangażowani politycznie, gdy chcą wykazać jakieś racje, bronić konkretnych interesów. Wtedy staje się ona z łatwością środkiem politycznym. Uprawiana bezpośrednio historia polityczna zwykle prowadzi

44 T. Klementwicz, *Rozumienie polityki...*, op. cit., s. 315.

do pomijania rzeczywistych problemów. Najchętniej wykorzystuje się ją do walki politycznej i fałszowania obrazu przeszłości. Jeśli historyk ma coś wyjaśniać, przede wszystkim musi zajmować się historią społeczną i gospodarczą, a także historią technologii, gdyż tutaj pojawiają się czynniki i zachodzą procesy przesądzające o zmianach politycznych. Tego wszystkiego politolodzy nie rozumieją, uprawiają historię polityczną w sposób potoczny, a Klementewicz serwuje wiedzę, która nadawałaby się do dyskusji w XVIII w., ale nie dzisiaj.

Warszawski metodolog nie widzi też, że **dla politologa kluczowe znaczenie ma historia polityki, a w istocie jednym z fundamentów jego wiedzy jest znajomość historii tego, co polityczne**, której jak na razie historycy nie odkryli. Warto może zastanowić się dlaczego? Dlaczego nie widzą jej też jednak politolodzy, którzy tutaj, zamiast powiełać pracę historyków, mogliby umocnić specyfikę swego podejścia? Warto zrozumieć, że politolog uprawiający historię polityczną wchodzi na pole badawcze zdolnych zrobić to lepiej i na dodatek rozmywa granice własnego przedmiotu poznania. **Czemu bowiem ma służyć poznanie historii politycznej. Może to być tylko działalność pomocnicza – i to mało pomocna – w stosunku do specyficznych dla politologa przedsięwzięć badawczych.** Jeśli uważa się ją za politologię, to jest to wyłącznie pseudopolitologia, potoczna wiedza powstała w efekcie niezrozumienia przedmiotu poznania politologii.

Czas dla politologa jest jednym z dwóch wymiarów (obok przestrzeni), w których powstaje, istnieje i zmienia się to, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Czas dla niego jest trudnym problemem, ponieważ jest to długi czas, z którego wyjaśnianiem problemy mają socjologowie, historycy i przedstawiciele innych nauk społecznych. **Politolog bada zjawiska społeczne w okresie życia wielu, nawet dziesiątków pokoleń.** Inaczej nie jest w stanie wyjaśnić procesów grupowania się ludzi w wielkiej przestrzeni. Na przykład nie rozumie, jak kształtowały się podmioty polityczne w postaci wielkich rodów, koncentrujących wokół siebie masy klienteli, a potem ich miejsce zajęły partie polityczne. Te procesy w Europie zaczęły się w warunkach anarchii końca pierwszego tysiąclecia naszej ery i trwały do XX w., czyli ponad tysiąc lat. Niestety, polscy politolodzy nie tylko ich nie badają. Oni w ogóle nie rozumieją znaczenia procesów społecznych przebiegających na wielkich ludzkich zbiorowościach, związanych z ich mobilizacją do stanowienia porządku w wielkiej przestrzeni. A tutaj właśnie kryje się przedmiot poznania politologii.

Bez zrozumienia czasu politolog redukuje własną refleksję do tego, co proponuje Klementewicz, do badania styku przeszłości i współczesności, co powoduje przeobrażanie go w **tragiczną postać powierzchownego komentatora współczesności, najchętniej posługującego się wiedzą potoczną.** Taki „politolog” niewiele rozumie i co najwyżej nadaje się na telewizyjnego gadułę, który masom opowiada bajki. W swoim kręgu może serwować twierdzenie, że historia politycz-

na jest subdyscypliną politologii. Taka teza jest wyłącznie efektem nieznamomości przedmiotu poznania tej dyscypliny. Do zbadania historii tego, co polityczne nie wystarczy powierzchowne opisanie historii politycznej. Konieczna jest natomiast dogłębna znajomość historii gospodarczej, społecznej, technologii itd.

W praktyce wśród politologów dominują obecnie dwie grupy. Pierwszą tworzą historycy, zwykle zajmujący się historią najnowszą (bo historii tego, co polityczne prawie nikt nie bada). Druga złożona jest z komentatorów aktualnych wydarzeń. Część z nich próbuje szczęścia na polu marketingu politycznego, czyli manipulowania ludzką świadomością. **Tutaj nie ma żadnej nauki.** Badania naukowe się symuluje, instrumentalnie posługuje szyldem uniwersytetu albo otwarcie kreuje techniki manipulowania ludźmi i niszczenia załączków społeczeństwa obywatelskiego. Czynią to z pewnością politolodzy specjalizujący się w marketingu politycznym, gdzie celem nie jest poznanie, ale są łatwe pieniądze. Naukowiec powinien badać te procesy, a nie promować uprzedmiotowienie ludzi. **Gdy para się praktyką marketingu politycznego, nie jest już uczonym i powinien zwolnić się z uniwersytetu.** Uniwersyteckie studia nie powinny uczyć, jak manipulować ludźmi, ale wyjaśniać genezę tych czynności, czemu one służą i na czym polegają.

Natomiast teorią politologii, budowaniem hipotez na temat tego, co polityczne na uniwersytetach już nikt się nie zajmuje. Wydaje się to zbyt łatwe, gdy tak łatwo uprawiać pseudohistorię i publicystykę, a przede wszystkim sięgać po łatwe pieniądze. Zwłaszcza kiedy wystarcza do tego potoczny aparat pojęciowy w rodzaju systemów „dwubiegunowych” i „wielobiegunowych”, „równowagi sił” czy „reżimów”. Tym bardziej kiedy za pewnik uchodzi twierdzenie, że wszystko, co społeczne jest polityczne i państwo definiuje się tak, że może za nie uchodzić dowolna organizacja społeczna, gdy w partiach politycznych widzi się nie produkt głębokich przemian społecznych, ale efekt wyłonienia instytucji przedstawicielskich. Bez zastanowienia nad tym, że te instytucje są skutkiem złożonych zmian w strukturze społecznej, gospodarce, technologii, symbolice jednoczącej ludzi i formach ich mobilizacji.

Teza Klementewicza o politologii otwartej ontologicznie jest skrajnym nonsensem, będącym kolejnym wyrazem sprowadzenia nauki na poziom potoczny przez osoby pozbawione elementarnej erudycji i jakiegokolwiek zdolności do budowania oryginalnych hipotez. Teza Klementewicza wspiera przekształcanie politologii w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Jej krytyka dowodzi, że historia polityczna nie jest częścią politologii, **a politolog powinien badać liczącą sześć tysięcy lat historię tego, co polityczne przy wykorzystaniu dorobku nauk historycznych, traktowanych jako nauki pomocnicze.**



## 19. Politologia jako socjologia

„Słuszne są racje po temu, by uważać naukę o polityce za subdyscyplinę socjologiczną, a politologa za socjologa z ograniczoną odpowiedzialnością [...]”<sup>45</sup>. Czy aby to twierdzenie Klementewicza nie jest kolejnym przykładem intuicyjnego rozumienia (niebylewale mizernej intuicji badawczej!) nie tylko tego, czym jest politologia, ale także czym jest socjologia? Czy czasem nie jest też przykładem rozumowania potocznego? Czy nie jest wynikiem zupełnej ignorancji w kwestii przedmiotu poznania politologii i jej możliwości badawczych? Czy aby nie przypomina zademonstrowanego przez Karwata rozumienia pedagogiki i nauki o pracy, gdzie o wygłoszonej tezie przesądził brak wiedzy o tym, o czym się pisze? Czy teza Klementewicza nie jest po prostu dowodem elementarnej niezajomości socjologii, jej przedmiotu poznania, metod i dorobku? Czy tak może twierdzić absolwent studiów socjologicznych?

Na pierwszy rzut oka socjologia jakby była powołana do analizy wszystkich zjawisk społecznych, w tym także tego, co polityczne. Wyrazy takich ambicji czasem spotykamy w literaturze socjologicznej. Jednak kiedy przychodzi do konkretów, wszechobejmująca socjologia, tym bardziej zdolna sobie poradzić z problemem tego, co polityczne, okazuje się niemożliwa, a próbujący ją uprawiać zarozumiały socjolog łatwo kapituluje i zaczyna posługiwać się komunałami, schodząc na poziom wiedzy potocznej.

Można wymienić praktycznie nieograniczoną liczbę wpływowych prac socjologicznych, w których problem tego, co polityczne się lekceważy, aczkolwiek on sam prosi się o podjęcie, na przykład podczas rozwijania ogólnej teorii społeczeństwa<sup>46</sup> lub jej prezentacji w podręczniku<sup>47</sup>. Nierzadko owo zagadnienie traktuje się nonszalancko czy wręcz dyletancko<sup>48</sup>, a przede wszystkim całkowicie ideologicznie, gdy demokracji nie bada się jako jednego z systemów politycznych, ale traktuje ją jako system jedynie słuszny<sup>49</sup>. Istnieją też prace, gdzie ów problem się podejmuje, ale sobie z nim po prostu nie radzi<sup>50</sup>.

W 1987 r. socjolog Jacek Tarkowski zauważył: „[...] powinniśmy właściwie zadać sobie pytanie, co rozumiemy przez określenie <<polityczny>>”<sup>51</sup>. Nie udzielił na nie odpowiedzi. Trudno jednak oczekiwać, że w tamtych czasach tak zaangażowany w praktykę społeczną człowiek mógłby to uczynić. Musiałby

45 *Ibidem*, s. 92.

46 T. Parsons, *Szkice z teorii socjologicznej*, Warszawa 1972.

47 J. Turner, *Socjologia. Koncepcje i ich zastosowania*, Poznań 1998.

48 „Poparcie dla polityki teorii średniego zasięgu” (R. Merton, *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982, s. 76).

49 S. Lipset, *Homo politicus. Społeczne podstawy polityki*, Warszawa 1998, s. 23–45.

50 S. Ossowski, *O strukturze społecznej*, Warszawa 1986, s. 58–74 i 98–99.

51 J. Tarkowski, *Socjologia świata polityki*, t. I, *Władza i społeczeństwo w systemie autorytarnym*, Warszawa 1994, s. 9.

przecież poświęcić się studiom nad rozległą i abstrakcyjną problematyką. Warto jednak zauważyć, że ta kwestia pojawiła się w jego świadomości, gdy brak jej u twórców teorii socjologii.

Zdaje się, że po latach, w warunkach stabilnej demokracji, zagadnienie tego, co polityczne powinno wkroczyć na salony socjologii. Przecież, jak zauważył Tarkowski, jest to nauka „imperialistyczna”. Chciałaby obejmować swoim zasięgiem wszystko, co jest związane z funkcjonowaniem społeczeństwa. Socjologowie dopracowali się rozmaitych zaawansowanych teorii, jednak problemu tego, co polityczne zwykle uparcie nie widzą, a kiedy już on zostanie im przedstawiony – łatwo kapitulują. Być może więc są o wiele bardziej ograniczeni w zakresie przedmiotu poznania, aniżeli im się wydaje i tylko próżność motywuje ich do stawiania sobie zadań, którym nie są w stanie podołać?

Idea socjologii obejmującej swoją analizą całość tego, co społeczne to przynajmniej na razie czysta utopia. Nie ma w tym nic złego. Przeciwnie, dowodzi to po prostu koncentracji na problematyce uchodzącej za kluczową dla samych socjologów. Jednak w jej ramach nie ma miejsca na problem tego, co polityczne. Należy to podkreślić, pokazać na przykładach i wyjaśnić powód takiego stanowiska.

**Dorobek socjologów jest jednoznacznym i zadziwiającym dowodem bezsilności na polu badań nad tym, co polityczne.** Ujawnia się to na przykład za pośrednictwem kolejnych publikacji uchodzących na wydziałach socjologii za osiągnięcia naukowe, będących zaś faktycznie efektem elementarnych pomyłek wynikających z niezrozumienia tego, czym są teoria polityki i myśl polityczna<sup>52</sup> albo braku zdolności uchwycenia tego, co polityczne<sup>53</sup>.

Socjologia, z racji obszaru poznania i stosowanych metod, ma szanse wnikać w samo centrum stosunków i struktur politycznych. Może nawet empirycznie badać procesy funkcjonowania tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Reprezentanci tej dziedziny wiedzy zdają się jednak cechować jakąś zadziwiającą obojętnością w odniesieniu do narzucającego się przecież problemu zjawisk po-

52 Taką szczególną manifestacją jest napisana pod kierunkiem J. Szackiego praca doktorska A. Waśkiewicza *Interpretacja teorii politycznej. Spór o metodę we współczesnej literaturze anglosaskiej* (Warszawa 1998). Ta książka jest typowym przykładem zaciemniania problemów badawczych przez socjologa przytłoczonego lekturami z zakresu historii idei.

53 Pomnikowym przykładem jest tu, przez socjologów uznawana za wybitne osiągnięcie naukowe, książka G. Woronieckiej *Działanie polityczne. Próba socjologii interpretatywnej* (Warszawa 2001), w której autorka buduje własną teorię działania politycznego w oparciu o „[...] interpretację wzajemnych działań uczestników konkretnej instytucji: wspólnoty mieszkaniowej” (s.28). Nie mogę oprzeć się myśli, że destrukcyjny wpływ teoretyków polityki III Rzeczypospolitej sięgnął także polskiej socjologii. Nie jest to teza pozbawiona ugruntowania. Wystarczy zapoznać się z tekstem autorki *Politologia i socjologia polityki: komplementarność czy autarkia?* (w:) T. Łoś–Nowak (red.), *Politologia w Polsce. Stan badań i perspektywy rozwojowe*, Toruń 1999 s. 159–173, który prowokuje wniosek, że tam, gdzie socjolog bierze się za analizę problematyki politycznej, bardzo łatwo się gubi i chętnie powtarza za politologami wszelkie niedorzeczności. W każdym razie książka *Działanie polityczne* jest symptomem tego, do czego prowadzi nieuprawnione uogólnianie wyników badań empirycznych w naukach społecznych.

litycznych. Dlatego na gruncie współczesnej socjologii okazuje się nawet możliwa analiza społeczeństwa w kategoriach traktowanych jako całościowe, wszechobejmujące, bez rozważenia tego, czym jest polityka, jak powstaje i jakie pełni funkcje. Jest realna socjologia, która opiera się na rozróżnieniu mnogości stosunków społecznych. Wśród nich zostają wyodrębnione relacje autoteliczne i rozproszone, dostrzega się stosunki produkcji, lecz nie uwzględnia stosunków politycznych<sup>54</sup>.

Ciekawe, że możliwe jest dedykowanie przez socjologa całego rozdziału działaniom masowym i ruchom społecznym, bez napisania słowa na temat tego, co charakteryzuje ich polityczne warianty. Można wiele uwagi poświęcić dynamice ruchów społecznych, przywódcom charyzmatycznym i nie sformułować zdania o instytucji mobilizacji politycznej<sup>55</sup>. Kiedy jednak interpretuje się egzystencję społeczną ludzi wyłącznie w kontekście interakcji, nie widzi się funkcjonowania ich umysłów, przeżywania uczuć i emocji. Kiedy nie pisze się ani słowa o roli *sacrum*, gdy pomija się sprawę organizacji życia społecznego pod kontrolą zachowań za pomocą wiary w boga i innych wielkich idei, wówczas nie sposób też poddać analizie to, co polityczne.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że kiedy socjolog zajmuje się badaniem życia publicznego, nie uniknie problemu tego, co polityczne. Faktycznie, ciągle o niego ociera się czy wręcz potyka. Pisze na przykład o partiach politycznych jako „[...] aktorach zbiorowych działających w przestrzeni politycznej, a więc w przestrzeni, w której formują się stosunki władzy”<sup>56</sup>. Pojawia się nawet, mające swoje korzenie w filozofii, dość dziwaczne, rażące sztucznością pojęcie „[...] *społeczeństwa politycznego*, a więc tej części społeczeństwa, która choćby co jakiś czas (np. w czasie wyborów) jest aktywna w politycznej przestrzeni życia publicznego”<sup>57</sup>. Tak oto mamy do czynienia z klasycznym, błędnym definowaniem politycznego przez polityczne i rozpatrywaniem owego zjawiska w kategoriach władzy.

Zauważmy, że to, co polityczne nie jest tutaj postrzegane przez pryzmat specyficznego grupowania ludzi, łączenia ich w rywalizujące ze sobą zjednoczenia. Punktem odniesienia jest akt wyborczy, ponieważ myślenie to za przedmiot poznania ma nie społeczeństwo jako byt wyłoniony ewolucyjnie, obiektywnie istniejący, ale ma demokrację jako ideologicznie preferowany, wedle obowiązującej aktualnie wiary jedyny prawomocny system. Taka socjologia nie jest nauką w rozumieniu tego terminu przez Einsteina, Poppera czy Kuhna, a tym bardziej Lakatosa. Taka socjologia ma charakter co najwyżej publicystyczny, ponieważ jej pod-

54 W Polsce sztanदारowym przykładem jest praca Piotra Sztompki (*Socjologia*, Kraków 2002).

55 *Ibidem*, s. 148–174.

56 E. Wnuk–Lipiński, *Socjologia życia publicznego*, Warszawa 2005, s. 232.

57 *Ibidem*, s. 234.

stawą są preferencje polityczne. Powstała w czasach zimnej wojny, gdy w Stanach Zjednoczonych obowiązywała dyrektywa nie prowadzenia badań naukowych, ale dowodzenia wyższości demokracji nad totalitaryzmem.

Wprawdzie czołowy socjolog amerykański tamtych czasów, Seymour Lipset napisał, że „Jednym z podstawowych problemów socjologii politycznej jest analiza warunków sprzyjających demokracji”<sup>58</sup>, lecz wszyscy zdawali sobie sprawę, że jest to główne zadanie uprawiających ją akademików. Dzisiaj to zadanie w Polsce nadal obowiązuje i taka sytuacja nie może dziwić. Ostatecznie jesteśmy młodą demokracją. Jednak realizacja tego zadania przebiega tak, że skutecznie uniemożliwia zrozumienie, czym jest społeczeństwo i tym samym nie pozwala na wyjaśnienie miejsca i funkcji tego, co polityczne w ramach bytu społecznego. Tylko dlatego, że też socjologii amerykańskiej nie rozważyło się w kontekście środowiska społecznego, w jakim one się ukształtowały.

Współcześni socjolodzy nie mają żadnej świadomości elementarnych błędów, o których prawnicy i politolodzy pisali niejednokrotnie w XX w. Biorą się za badanie życia publicznego, demokracji, partii, wyborów bez znajomości literatury na temat tego, co polityczne. Czy aby nie w efekcie koncentracji uwagi na tych mechanizmach i problemach życia społecznego, które uniemożliwiają zlokalizowanie tego, co polityczne i zrozumienie znaczenia owego fenomenu?

Faktycznie zaś socjolodzy bez zahamowań używają kategorii pojęciowych całkowicie intuicyjnie. „Najkrócej mówiąc, społeczeństwo polityczne składa się z indywidualnych obywateli i stowarzyszeń obywateli zaangażowanych w zdobywanie pozycji w strukturach władzy różnych szczebli (od szczebla lokalnego do szczebla ponadnarodowego – jak to jest w przypadku wyborów do Parlamentu Europejskiego)”<sup>59</sup>. Oznacza to inny typowy błąd. Polityczne jest tutaj w zasadzie wszystko, co łączy się z jakąkolwiek władzą publiczną. Także z kompetencjami radnego i dyrektora szkoły nadzorowanej przez samorząd lokalny. Czyli nie wiadomo, co jest polityczne. Jeśli jednak kategorii pojęciowych używa się intuicyjnie, bez świadomego, krytycznego ich rozważenia, rozróżnienie pomiędzy tym, co polityczne i tym, co nie jest polityczne nie ma po prostu znaczenia i nie widzi się fundamentalnego problemu nauki.

Dlatego w socjologii brak nie tylko wnikliwej, ale jakiegokolwiek refleksji nad problemem tego, co polityczne. Reprezentanci tej dyscypliny go nie czują i znakomicie obywają się bez niego. A ponieważ politolodzy nie są w stanie wykroczyć poza ich refleksję, posuwają się tą samą drogą, czyli na manowce nauki.

58 S. Lipset, *Homo politicus...*, *op. cit.*, s. 23.

59 E. Wnuk-Lipiński, *Socjologia życia...*, *op. cit.*, s. 137.

Standardowej socjologii nie tylko daleko do imperializmu, do pochłaniania kolejnych nauk społecznych. Ona nie radzi sobie z elementarną analizą podstawowych aktywności i struktur społecznych. **Taka socjologia, a inna nie istnieje, jest daleka od osiągnięcia fazy dojrzałości teoretycznej i pozostawia bardzo dużo miejsca dla politologii oraz pozostałych nauk społecznych.**

Klementewicz myli się całkowicie, kiedy widzi w politologii coś na podobieństwo działu socjologii. Promuje w ten sposób nie tylko potoczne rozumienie politologii, ale także socjologii. Ta nie jest w stanie unieść nakładanego na nią ciężaru. Teza warszawskiego metodologa mogła powstać nie w efekcie niezrozumienia czym jest to, co polityczne. On nie pojmuje, czym faktycznie jest socjologia i jaki jest jej zasięg poznawczy. Przyswoił sobie potoczne wyobrażenie socjologii, zdolnej objąć analizą wszystko to, co społeczne i ową tezę, nieznajdującą jakiegokolwiek potwierdzenia w literaturze, powtarza bez krytycznej nad nią refleksji. Oto przykład specyfiki refleksji w warszawskim Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki, gdzie rozwija się metodologię nie tylko bez elementarnej wiedzy o funkcjonowaniu nauki, ale i bez i znajomości stanu badań socjologii.

Socjologowie, gdy już dostrzegą istnienie tego, co polityczne, a zdarza im się to bardzo rzadko, są wobec problemu bezsilni. Dlatego socjolog powtarza tezy przejęte od politologów i pisze o „[...] niedookreślonej cesze polityczności [...]”, czy o „[...] permanentnym braku desygnatu dla terminu <<polityczny>> [...]”<sup>60</sup>, ale niczego nie robi, aby poddać tę kwestię bliższej analizie. Nie sili się na zapoznanie z dorobkiem politologii w tym zakresie. Po prostu socjolog nie jest w stanie spojrzeć z tej perspektywy na społeczeństwo. Ona jest dla niego obca i niepojęta. Zamiast tego w działalności wspólnoty mieszkaniowej widzi aktywność polityczną. Trudno wytłumaczyć to inaczej, jak faktem, że **socjologowie kompletnie nie rozumieją znaczenia zjawisk politycznych, w tym przede wszystkim w ogóle nie dostrzegają instytucji mobilizacji politycznej i nie zdają sobie sprawy z jej znaczenia dla funkcjonowania ludzkich społeczeństw od sześciu tysięcy lat.**

„Pojęcia: procesu politycznego, ośrodka decyzyjnego, instytucji politycznej, działania politycznego i podmiotu polityki socjologia uściśla jako kategorie: procesu społecznego, organizacji o strukturze hierarchicznej, jednostki działającej (aktora), systemu działań, hierarchii statusów, interakcji czy działania połączonego”<sup>61</sup>. Jeśli tak rzeczywiście myślą socjologowie, to nie mają żadnych szans zrozumieć tego, co polityczne i wyjaśnić jego znaczenia w egzystencji społeczeństw ludzkich, ponieważ to, co polityczne usuwają z własnej teorii przedmiotu poznania socjologii. Oni nie uściślają, ale zaciemniają problemy badawcze i nie pojmą, że od momentu pojawienia się tego, co polityczne funkcjonowanie naszego ga-

60 Oba cytaty: G. Woroniecka, *Politologia i socjologia...*, *op. cit.*, s. 169 i 172.

61 *Ibidem*, s. 171–172.

tunku tak się zmieniło, że istnieje on tylko w postaci zjednoczeń mobilizowanych do działania wizjami powszechnego porządku, gotowych z powołania uderzyć na wroga każdym środkiem.

**Mimo to nie wszystko jest polityczne. Jednak w głowach socjologów nie pojawi się myśl, iż technologiczna ekspansja ludzkości w jej obecnym zakresie i formach może być jedynie efektem ekspansji politycznej.** A przecież ta teza jest w gruncie rzeczy banalna. Tak samo jak twierdzenie, że nie mogłyby istnieć wielkie, wyrafinowane cywilizacje, gdyby populacje ludzkie nie zostały poddane mobilizacji politycznej. Mobilizacja polityczna czerpie energię z ludzkiej kultury, ale ją przeobraża i wznosi na niedostępny jej wcześniej poziom. Także ta interpretacja jest nie do pojęcia na gruncie współczesnej socjologii.

Niektórzy socjologowie wnieśli wkład do badań nad stosunkami politycznymi. Zajmuje się tym specjalny dział, czyli socjologia polityki. Reprezentujący ją badacze nie tylko nie pochyłają się jednak nad specyfiką podmiotów politycznych i polityką, o mobilizacji politycznej nie wspominając, ale całkowicie lekceważą rozważania nad istotą tych zjawisk<sup>62</sup>. Może pozostawiają je teorii polityki. Bardziej jednak przemawia myśl, że socjologowie tych zjawisk w ogóle nie widzą. W gruncie rzeczy w perspektywie socjologicznej zjawiska polityczne są tylko integralną częścią zjawisk społecznych i nie ma potrzeby bardziej szczegółowego zajmowania się powikłaną problematyką ich specyfiki zwłaszcza że nie istnieją one odrębnie. Dlatego socjologowie najchętniej zamiatają problem tego, co polityczne pod dywan i piszą ogólnie o ruchach społecznych, ale nie o mobilizacji politycznej. Zwłaszcza że nie cenią politologów i nie odczuwają potrzeby przyswojenia dorobku politologii.

Jest to stanowisko błędne, lecz powszechne. Niemożliwe do dostrzeżenia w warunkach koncentracji na władzy, demokracji i innych zjawiskach publicznych, codziennie rzucających się w oczy zwykłym ludziom. Czasem wydaje się po lekturze bardziej specjalistycznych, zaawansowanych teoretycznie prac socjologicznych, że ich autorzy mogą uważać, iż polityka nie jest składową życia społecznego albo ma w jego obrębie znaczenie marginesowe, na tyle że refleksję nad nią wyczerpuje teoria marketingu politycznego.

Zamiast poważnie rozważyć polityczny charakter demokracji w kontekście procesów mobilizacji politycznej, socjologowie powołują się na anachroniczne teorie, nie uwzględniają ewolucyjnej teorii umysłu i nierzadko spodziewają się za pomocą modeli matematycznych wyjaśnić funkcjonowanie systemów wyborczych. Tymczasem nawet najlepsze modele rachunkowe niewiele powiedzą, gdy opacz-

62 Spośród licznych publikacji w tym stylu wymienię: M. Duverger, *Sociologie de la politique. Eléments de science politique*, Paris 1988; T. Bottomore, *Political Sociology*, London 1993; I.L. Horowitz, *Foundations of Political Sociology*, New Brunswick 1997; P. Braud: *Sociologie politique*, Paris 2004.

nie lub nawet fałszywie rozumie się procesy społeczne i funkcjonowanie w nich jednostek ludzkich. Socjologdy jakby nie byli świadomi, że nawet uznane modele matematyczne wymagają interpretacji przy pomocy pojęć przetwarzanych przez ludzki umysł<sup>63</sup>. Aby było możliwe matematyczne wyjaśnienie demokracji, konieczna jest nie tylko teoria demokracji, ale przede wszystkim teoria tego, co polityczne. Przecież demokracja jest skutkiem politycznej mobilizacji mas ludzkich, która ma miejsce od sześciu tysięcy lat i zaczęła się, gdy demokracji nie było na świecie. Ten proces w niektórych jego przejawach można wprawdzie interpretować w kategoriach statystycznych, ale nie da się go zadowalająco zrozumieć na tym gruncie.

Socjologiczna teoria demokracji bez teorii tego, co polityczne, czyli bez naukowo uprawianej politologii, jest tylko analizą zjawisk rzucających się w oczy.

**Teza Klementewicza, iż można uważać „[...] politologa za socjologa z ograniczoną odpowiedzialnością [...]”, jest tylko przejawem socjologii potocznej, której główną metodą jest intuicyjny odbiór rzeczywistości, a efektem są nieuzasadnione twierdzenia.** Rzeczywisty dorobek światowej socjologii nie upoważnia do jej sformułowania. Socjologdy nie wypracowali nie tylko teorii, ale nawet własnego rozumienia tego, co polityczne (w tym polityki, państwa itd.), redukując je do tego, co społeczne.

Dlatego należy powiedzieć, że analiza dorobku socjologii przynosi wyniki pozwalające sformułować tezę, że ta dyscyplina nauki nie bada tego, co polityczne tak, że ono mieści się w polu poznania socjologów jako znaczące zjawisko społeczne. Do tego stopnia, iż socjologdy rozważają specyfikę i znaczenie stosunków produkcji, ale stosunków politycznych już w taki sposób nie widzą. Badają to, co polityczne jako integralną, niewiele znaczącą część tego, co społeczne i nie zamierzają zmienić swojej perspektywy. W ten sposób **nieświadomie wnoszą wkład do wyodrębnienia i uzasadnienia dyscypliny politologii.**

## 20. Ku pseudonauce politologii

Wszystkie zbadane tu sztandarowe twierdzenia politologów III Rzeczypospolitej są błędne. Każde z nich jest sprzeczne z dorobkiem politologii, a ich ocena na gruncie współczesnej teorii nauki zmusza do wydania dramatycznej wręcz opinii: oto **mamy do czynienia wyłącznie z pseudonauką**. Czerpie ona inspiracje i korzysta z pomocy wiedzy gazetowej, politycznej, potocznej, a podstawy swoje znajduje w rozumieniu empiryzmu, który był możliwy najdalej w XIX w.

63 Chociaż są wyjątki. Zob. J. Haman, *Demokracja. Decyzje. Wybory*, Warszawa 2003, s. 253–261. Jednak i ten autor nie dostrzega procesów mobilizacji politycznej w ramach struktur społecznych.

Taki empiryzm po Einsteinie i Popperze jest tylko efektem powrotu do wiedzy potocznej. Historyczna i socjologiczna wiedza politologów jest intuicyjna, mniej niż skromna, oparta na przesądach, a najczęściej ma charakter ludowy. Nie mają oni nawet pojęcia o tym, że niewybaczalnymi grzechami każdego badacza jest uleganie językowi źródeł, debaty politycznej i formułowanie twierdzeń nieodnoszących się do dorobku poprzedników.

Być może nikt tak nie wyartykułował podstaw programu politologii jako pseudonauki sprowadzonej do postaci potocznej wiedzy o społeczeństwie, jak Krauz–Mozer, która niedawno napisała: „Status naukowy takiej dyscypliny jak politologia, poziom jej prestiżu w środowisku akademickim zależą nie tyle od tego, czy ma ona wyraźnie wyodrębniony swój przedmiot badań i własne – bo tylko jej przysługujące – narzędzia badawcze, ale przede wszystkim od tego, czy stosowane w niej procedury badawcze oraz uzyskiwana dzięki nim wiedza spełniają w jakimś stopniu wymogi naukowości”<sup>64</sup>. Takie twierdzenia składają się na potocznie rozumianą metodologię, która nie może być metodologią dyscypliny nauki, ale stanowi uzasadnienie dla zastępowania politologii przez potocznie rozumianą wiedzę o społeczeństwie.

Na to nie tylko jest zgoda w środowisku, które politologię zastępuje wiedzą o społeczeństwie. Tutaj nie widzi się innej drogi, ponieważ nie rozumie się czym jest politologia w znaczeniu dyscypliny nauki, gdyż nie jest się w stanie poważnie rozważyć przedmiotu poznania i nikt nie zdaje sobie sprawy, że nie można mówić o metodach dyscypliny nauki bez przynajmniej wstępnego określenia obiektu badań.

**Zbadane tu tezy upowszechniły się nie tyle wskutek formułowania błędnych hipotez, ponieważ na nie zawsze jest miejsce w nauce, ale braku ich krytyki.** Efektem jest umacnianie się tezy, że politologia nie jest dyscypliną nauki i przeobrażanie uniwersyteckich wydziałów politologii w ośrodki, w których niemal każdy może pracować i uzyskać stopień naukowy. **Na flagowych polskich uniwersytetach potoczna wiedza o społeczeństwie wyparła badania politologiczne.** Tak upada ważna dyscyplina nauki, a same wydziały politologii przekształcają się w kosze na śmiecie. Zaawansowanie tych procesów nastroja raczej pesymistycznie. Nikt nie zdaje sobie sprawy, że sami politolodzy od lat w swoich pracach dowodzą konieczności pozbawienia ich wydziałów uprawnień doktorskich i wskazują, że są na samym końcu w hierarchii uniwersytetu. Tak głęboka jest ignorancja.

Źródłem ignorancji politologów jest nieznanostwo podstaw teorii nauki, innych nauk społecznych, jak historia, socjologia, pedagogika i prawo, a przede wszystkim dorobku teoretycznego politologii, w szczególności teorii tego,

64 B. Krauz–Mozer, *Politologia z punktu widzenia...*, op. cit., s. 12.



co polityczne. Ta ignorancja jest tak zaawansowana, że można mówić o istnieniu w polskiej politologii całego systemu twierdzeń banalnych, bezsensownych, sprzecznych z elementarną wiedzą cokolwiek różniącą się od intuicyjnej wiedzy potocznej i ze zdrowym rozsądkiem. Tutaj nie trzeba stosować żadnej wyrafinowanej analizy, by dostatecznie uzasadnić wnioski, że na uniwersyteckich wydziałach politologii dominuje symulowanie nauki, nadużywanie obcej terminologii i promowanie **tez, które są powtarzane we własnym środowisku, ale faktycznie składają się jedynie na zestaw tego, co już dawno nazwano modnymi bzdurami**<sup>65</sup>.

W gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego. Takie modne bzdury pojawiały się nierzadko w naukach przyrodniczych. Historia biologii odnotowuje ich niemało. Tym bardziej więc muszą występować w naukach społecznych. Problem w tym, że nauki przyrodnicze opracowały gorzej lub lepiej działające systemy obrony przed infekcjami nonsensów. Także historia i socjologia radzą sobie jakoś na tym polu, chociaż znacznie gorzej aniżeli biologia. W politologii tego nie ma. Tu nadal dominuje zadowolenie profesorów przekonanych, że głoszą „prawdę”, zwłaszcza kiedy widzą w sobie ekspertów lub intelektualistów odpowiedzialnych za los ludzkości, własnej klasy, rasy, kościoła czy partii. A takich na uniwersytetach, zwłaszcza amerykańskich i europejskich, nie brakuje. W Polsce nie artykułuje się już jakichkolwiek interesów. Politolodzy najczęściej są po prostu zbłąkanymi roninami, którzy nie wiedzą, co i jak mieliby robić. Badają więc co im przyjdzie do głowy, metodami, które z nauką nie mają nic wspólnego.

Politolodzy zdają się nie mieć żadnych zahamowań w traktowaniu własnej dyscypliny jako formy wiedzy potocznej. Dla Barbary Krauz–Mozer politologia to „[...] wybór informacji, jak też forma świadomości społecznej”<sup>66</sup>. To samo bardziej dosadnie głosi Zbigniew Blok, gdy aprobująco konstatuje: „Politologia tradycyjna pozostawała, a właściwie pozostaje, bowiem w dalszym ciągu ma ona licznych reprezentantów, w perspektywie potocznego doświadczenia ludzi”<sup>67</sup>. Jakoś nikomu nie tylko w kręgu powtarzającym tajemnicze mantry w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki, ale w ogóle wśród mających się za teoretyków polityki nie przychodzi do głowy, że wprawdzie politologia wyrasta z wiedzy potocznej, ale istnieć może wyłącznie jako dyscyplina nauki, kiedy się od niej wyraźnie odróżnia. **Politologia nie przetrwa jak astrologia, lecz musi kroczyć drogą astronomii, która oddzieliła się niegdyś od wiedzy potocznej i dzisiaj już do niej nie powraca.** Inaczej przeobrazą się w obiekt żartów, a politolodzy nieodwracal-

65 A. Sokal, J. Bricmont, *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, Warszawa 2004.

66 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy...*, op. cit., s. 8.

67 Z. Blok, *O polityczności, polityce i politologii*, Poznań 2009, s. 55.

nie staną się pośmiewiskiem na uniwersytecie. Dzisiaj nie są nim tylko dlatego, że ich prac się nie czyta.

Przecież jednak teoretycy polityki nie głoszą, że politologia jest dyscypliną nauki. Tylko dlatego dalej, ku własnemu zadowoleniu, mogą pozostawać na poziomie wiedzy potocznej, posiłkować się dywagacjami na temat metafor, gdy zaś te zużyją, rozwijać „podejście syndromatyczne”. Oznacza to jednak, że **politologia coraz bardziej redukuje się do wariantu wiedzy potocznej, podobnej astrologii i meteorologii młodego górala**, wiedzy, która w efekcie kryzysu nauki i instytucji uniwersytetu zainstalowała się na wyższych uczelniach i istnieje tutaj w formie przekazu transmitowanego przez pasożytnicze kółka, grupujące ludzi, którzy symulują uprawianie nauki. Powtarzają oni mantry sprzeczne z dorobkiem nauki i mieszają w głowach kolegom, a studentów ćwiczą w pseudonauce, w potocznej wiedzy o społeczeństwie wykładanej na poziomie nie uniwersytetu, ale technikum. Przede wszystkim dlatego, że nie zna się przedmiotu poznania i zanikła krytyka.

#### CZEŚĆ IV

### POLITOLOG W WARUNKACH KOLONIZACJI DYSCYPLINY

Nauka jest zjawiskiem społecznym, co oznacza, że zarówno jej teorie, jak i los poszczególnych dyscyplin zależą od stanu stosunków społecznych, ich układów sił i aktualnie dominujących światopoglądów. Zależy także od oczekiwań społecznych, zadań wyznaczanych przez elity, rządzących, od zakresu i mechanizmów finansowania.

Nauki społeczne funkcjonują obecnie w warunkach końca ideologii, triumfu demokracji medialnej, lekceważenia, a nawet pogardy dla wiedzy podstawowej, zwłaszcza wiedzy podstawowej na temat społeczeństwa, destrukcji uniwersytetów obracanych w szkoły zawodowe, gdzie wykłady zastępuje się kursami szkoleniowymi, a samodzielne myślenie przestaje się liczyć. Wielkie znaczenie ma też upadek układów sił charakterystycznych dla świata, który ukształtował się po klęsce faszyzmu w efekcie triumfu komunizmu. Tego świata już nie ma. Po nim pozostała w Europie i Stanach Zjednoczonych pustka duchowa, wywołana brakiem przemawiających do ludzkich uczuć wizji porządku naszego gatunku. Przejściową ofiarą tej pustki są przede wszystkim nauki społeczne, reprezentowane przez uczonych, których myślenie nadal uwikłane jest w kategorie zimnowojenne. Rozumują oni za pomocą przestarzałych pojęć, pseudoteorii i nikt nie oczekuje zmiany tego stanu rzeczy.

Masowe zjawisko tworzenia i tolerowania plagiatów na europejskich uniwersytetach nie jest przypadkiem. Teraz wystarczy kopiowanie, ponieważ myślenie stało się niemodne.

Pogarda dla nauk podstawowych czyni z nauk społecznych zwykły anachronizm. Ludzi XXI w., tworzących najbardziej rozwinięte technologicznie społeczeństwa, bardzo mało interesuje wiedza o nich samych, a o istnieniu zjawisk politycznych nie chcą w ogóle wiedzieć. Bardziej aktywnym wydaje się, że ściąganie na pendrive'a, kopiowanie skutecznie zastępuje myślenie. Ludzie ci zadowolają się utyskiwaniami na politykę i polityków, niezdolni do żadnej głębszej myśli. Tym bardziej nie interesuje ich wiedza politologów posługujących się anachronicznymi, medialnymi kategoriami, powtarzających truizmy i nonsensy, narzucających się w mediach ze swoimi powierzchownymi wyjaśnieniami zjawisk, które zwykli ludzie i tak odbierają na swój sposób, czyli w ogóle ich nie rozumieją.

Szczególną ofiarą owych procesów jest politologia, zwłaszcza w Polsce, gdzie podstawy teoretyczne dyscypliny tworzą ludzie wychowani na wzorach marksistowskich i radzieckich, niegdyś oddani partii, a dzisiaj kompletnie zagubieni. Ofiarą tego środowiska jest młode pokolenie, któremu zabrania się samodzielnie myśleć i każe reprodukować wzorce upowszechniane przez profesurę będącą ofiarą przemian społecznych związanych z upadkiem komunizmu i kryzysem światopoglądowym, niszczącym obecnie społeczeństwa Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych. W tych kręgach ćwiczy się młodych głównie w posłuszeństwie, odmawiając prawa do samodzielnego stawiania pytań i formułowania odkrywczych hipotez. Efektem jest bezprecedensowy konformizm. Jego skutkiem okazuje się być tchórzostwo. Zjawiska te osiągnęły niespotykany dotąd rozmiar, obracając uniwersytet w zbiorowość ludzi niezdolnych zachować autonomię tej instytucji.

## 21. Wydział Dziennikarstwa i Nauk Potocznych

Nad uniwersyteckimi wydziałami politologii w Polsce kładzie się niezauważalny cień teoretyków polityki, którzy określają myślenie tej społeczności, poczynając od zatrudnionych tam profesorów i kończąc na asystentach, zwłaszcza w kwestii rzekomego „interdyscyplinarnego” statusu politologii.

Prowincja, poza nielicznymi wyjątkami, kopiuje przede wszystkim wzorce kształtowane na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Niedysiejsza pozycja tej placówki, w połączeniu z obecnym marazmem, powodują, że odgrywa ona rolę siły przewodniej w procesach destrukcji polskiej politologii. Już tylko dlatego, że na Krakowskim Przedmieściu 3 nie uprawia się teorii i metodologii politologii zdolnych sprostać kryteriom współczesnej teorii nauki, tylko udaje, że coś na tym polu robi. Taki jest właśnie aktualny wzorzec metodologiczny polskiej politologii. Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych znajduje się w centrum uwagi i ma wielką tradycję, ale jednocześnie jego obserwatorzy coraz bardziej są zdziwieni dominującym tam w myśleniu profesorów prowincjonalizmem, pociągającym za sobą promowanie wiedzy potocznej. W ten sposób prowincjonalizm ogarnia całą Polskę i na wydziałach politologii czynności politologów w zakresie teorii i metodologii politologii symulują najczęściej gotowi do każdej pracy historycy i filozofowie, a także prawnicy i ekonomiści. Tym łatwiej, ponieważ nie dysponują jakimkolwiek pojęciem o dorobku politologii, a więc nie mają też hamulców w dziedzinie kopiowania nonsensów.

Pierwszy wydział politologii, najstarszy i najbogatszy niegdyś w mistrzów, dzisiaj jest duchowym zakładnikiem teoretyków polityki, przekształconym w ru-

mowisko uniwersytetu, na którym nie ma prawa pojawić się jakakolwiek oryginalna myśl. Mistrzowie wymarli, myślenie zostało zakazane i nie tylko nie ma liderów zdolnych wytyczać teorię, ale nawet brak jednostki organizacyjnej zajmującej się teorią i metodologią politologii. **Na Krakowskim Przedmieściu 3 łączy się symulowanie prac z zakresu filozofii polityki z tworzeniem atrapy teorii i metodologii polityki.** Faktycznie zaś najchętniej powieliła się czynności prawników, administratywistów, filozofów i psychologów. Świadczy już o tym chociażby struktura organizacyjna Instytutu Nauk Politycznych, gdzie w oczy rzuca się brak efektów jakiegokolwiek refleksji nad przedmiotem poznania politologii. Pracownicy najczęściej i najchętniej oddają się kopiowaniu. Wzorce wybierają daleko odbiegające od standardów nauki światowej, przyswajając myślenie potoczne. Ono najłatwiej wpada w ucho i nie wymaga wysiłku myślowego.

Upadek dawnego Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych jest przede wszystkim widoczny w publikacjach pracowników. Problemem odrębności i specyfiki politologii nie zajmują się nawet profesorowie bliscy emerytury czy na emeryturze. Co jednak wyjątkowo rzuca się w oczy, to poziom wielu tekstów pracowników Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, nieodpowiadających elementarnym wymaganiom dzisiejszych nauk społecznych. Szczególnie widać to **w podręcznikach, gdzie często bez jakichkolwiek zahamowań propaguje się wiedzę potoczną i reprodukuje drastyczne błędy.** Profesorowie wydziału oficjalnie wyrażają ambicje wytyczania kierunku myślenia politologicznego w Polsce, ale brak im elementarnej wiedzy teoretycznej i metodologicznej. Przede wszystkim dowodzą, że nie wiedzą, czym jest politologia, jaki jest jej przedmiot poznania i jakie mogą być stosowane metody celem jego badania. O naukach pomocniczych politologii na Krakowskim Przedmieściu 3 nikt nie ma wyobrażenia. Tutaj najchętniej uczy się manipulowania ludźmi, a nawet posługuje metodą badawczą słynnego redemptorysty. Jakby zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że marketing polityczny nie jest nauką, a obserwacja uczestnicząca musi spełniać liczne rygory, by mogła być zastosowana jako metoda naukowa o ograniczonym znaczeniu. Przede wszystkim nikt nie wie, że nie może to być główna metoda badawcza. Tymczasem bywa, że jest ona jedyną metodą pozyskania danych do analizy.

Rzeczywistym efektem okazują się nie wybitne dzieła, ale bywają książki i artykuły, które można określić jako żart z nauki. Nikt ich na wydziale nie krytykuje, ponieważ nad świadomością jego pracowników dyskretnie czuwają pracownicy Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, którzy – **zamiast inspirować dyskusję – niweczą ją w zarodku i rozpowszechniają łatwo dającą się przyswoić wiedzę potoczną.** Tę profesorem bez trudu powtarzają i ćwiczą w niej uczniów. Tym bardziej akademicy z pozostałych ośrodków politologicznych oficjalnie nie krytykują nawet najbardziej bezsensownych publikacji powstających na Krakowskim

Przedmieściu 3. W epoce postkomunistycznego uniwersytetu i konformizmu charakterystycznego dla demokracji medialnej krytyka pojawia się jedynie w formie szeptanej. Oficjalnie dominuje radosne powielanie wiedzy najłatwiej wpadającej w ucho – czyli potocznej i doktrynalnej.

Trudno tu oczywiście zajmować się dorobkiem całego Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Jest on obfity ilościowo i nie brak w nim pozycji z wyższej półki. Te pojawiają się jednak zwykle w subdyscyplinach dalekich od problematyki specyfiki politologii, jej przedmiotu poznania, a nawet poza obszarem politologii. Nie ma w ogóle znaczących prac na polu teorii i metodologii politologii.

Tutaj zajmę się niewieloma tekstami, w których naukowa słabość środowiska Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych znajduje swój skrajnie dramatyczny wyraz. Szczególnie chodzi mi o teksty związane z upowszechnianiem wiedzy, czyli o podręczniki. Ich zasięg jest przecież największy i łatwo psują myślenie młodzieży.

Być może największym wydarzeniem w naukowej historii Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych w czasach III Rzeczypospolitej była próba reanimacji „Studiów Nauk Politycznych”. Postrzegano ją jako ważny element odbudowy tradycji i procedury integracji środowiska politologicznego w Polsce pod przywództwem Krakowskiego Przedmieścia 3. Akt restytucji periodyku przygotowywano długo. W końcu w 2004 r. ukazał się pierwszy zeszyt, zapowiadający drugą serię. Jeśli można o nim powiedzieć coś pozytywnego w kontekście całości, to należy jedynie wskazać na udany projekt okładki. Jej wyrafinowana estetyka budzi ducha nostalgii i skłania do pytania, dlaczego przedsięwzięcie spaliło na panewce? Dlaczego był to zeszyt pierwszy i ostatni? Odpowiedź znajdziemy w opublikowanych artykułach.

Od razu widać, że same teksty zostały zebrane w pośpiechu. Parę artykułów jest niezłych, ale o dziwo znalazły się daleko, zostały jakby ukryte, a na początku umieszczono artykuły teoretyków. Na pierwszym miejscu, może z racji niedostrzegalnych duchowych wpływów autora, umieszczono wywody Mirosława Karwata. Z pewnością w redakcji nikt ich nie czytał i nie zauważył, iż nie tylko składają się one na bardzo powierzchowny tekst, ale faktycznie zbudowano go na gruncie wiedzy potocznej. Jest też wypełniony kawiarnianymi sloganami, a momentami ociera się o poziom refleksji charakterystyczny dla ludzi skupionych wokół budki z piwem.

W zeszytach naukowych tradycyjnie na początku publikuje się poważne studia. Tutaj zaś nierzadko napotykamy nawet nie publicystykę, ale osobiste przemyślenia najniższej próby. Najbardziej rzucają się w oczy właśnie w pierwszym arty-

kule, który zszedł z komputera przewodnika duchowego środowiska skupionego na Krakowskim Przedmieściu 3.

Tekst *Metodologiczne przewartościowania politologów* Karwata zawiera sformułowania, które kompromitują nie tylko Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, ale całą polską politologię. Zwłaszcza obraża on autorów poważnych studiów umieszczonych w tym zeszycie w dalszych jego partiach. Trudno zrozumieć kryterium selekcji, które spowodowało uplasowanie wywodów Karwata na pierwszym miejscu. Mogło ono mieć charakter towarzyski? Raczej należy skłaniać się do tezy, że porządek pierwszego zeszytu nowych „Studiów Nauk Politycznych” jest efektem tajemniczych, niedostrzeganych wpływów teoretyków polityki na umysły członków środowiska politologów skupionych na Krakowskim Przedmieściu 3, którym poddają się bezwiednie. Do tego stopnia, że nie są świadomi, że koledzy skupieni w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki ośmieszają Instytut Nauk Politycznych, Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, Uniwersytet Warszawski i wszystkich polskich politologów. Widać to szczególnie wyraźnie w jedynej pozostałości nieudanej reanimacji „Studiów Nauk Politycznych”.

Zatrzymajmy się nieco nad tekstem Karwata, ponieważ jest on niezwykle. Po raz pierwszy, nie w jakimś prowincjonalnym pseudonaukowym zeszyciku, ale w wydawnictwie politologicznym ogłoszonym pod szyldem flagowego uniwersytetu i mającym pełnić wiodącą rolę w kraju, do głosu w całej pełni dochodzi myślenie potoczne i językiem typowym dla piwiarni w późnych godzinach nocnych wyraża się przekonanie, że politologia jest czymś nieokreślonym, ale jednocześnie wspaniałym.

W wywodach Karwata przede wszystkim rzuca się w oczy utyskiwanie na to, że prac teoretyków polityki nikt nie czyta i „ruski kawał”. Jednak szczególną uwagę przyciągają niezwykle rozważania o „puszczaniu bąka przez politologa w wytwornym towarzystwie”<sup>1</sup>. Poza tym przebija w nim jakaś nadmiernie rozbuchochana duma, jakiś politologiczny „paranacjonalizm”, który ujawnia się w twierdzeniach dowodzących, że autor nie zna podstaw teorii nauki, o horyzoncie poznawczym i dorobku światowej politologii nie ma pojęcia, ale żarliwie wierzy w wielkość politologii. Być może po odejściu starych mistrzów ta wiara, ćwiczona niegdyś pracowicie w służbie partii, czyni go **niezauważonym ojcem duchowym na Krakowskim Przedmieściu 3**. Inaczej nie umiem sobie wyjaśnić publikacji zenującego tekstu kierownika Zakładu Filozofii i Teorii Polityki i to na pierwszym miejscu.

1 M. Karwat, *Metodologiczne przewartościowania politologów*, „Studia Nauk Politycznych” 2004, 2 seria, nr 1, s. 7 i 8. Rozważania o bąku na s. 23.

Tekst *Metodologiczne przewartościowania politologów* chciałoby się uznać za pomyłkę Karwata, nieopatrny błąd, jaki może zdarzyć się każdemu, ogłoszony przez nieodpowiedzialną redakcję, która bez przeczytania skierowała go do druku. W żaden sposób nie da się jednak usprawiedliwić decyzji o publikacji tekstu Karwata jakimś normalnym wyjaśnieniem. Głębsza lektura dowodzi bowiem, że tekst ten nie jest całkiem przypadkowy, pomijając niefortunny „ruski kawał” i fragment o „baku” politologa. Jego publikacja, na dodatek na pierwszym miejscu odbudowywanego periodyku, dowodzi, że na Krakowskim Przedmieściu 3 nie Franciszka Ryszkę, ale Artura Bodnara i jego ucznia Karwata uważa się za ojców polskiej politologii. Być może dlatego zeszytu nie otwiera artykuł o początkach polskiej politologii, gdzie konieczne byłoby wyliczenie nazwisk, które chce się zapamiętać.

Z czystego lenistwa z tekstu nie usunięto nieprzystojnych fragmentów. Przecież jednak nie one są w nim najważniejsze. **Tekst *Metodologiczne przewartościowania politologów* jest manifestem programowym środowiska skupionego na Krakowskim Przedmieściu 3.** W orędziu autor, zgodnie z odczuciami koleżanek i kolegów, ogłasza, że politologia nie jest dyscypliną naukową, tylko nauką już bardziej zaawansowaną aniżeli pozostałe nauki społeczne. Po prostu je wyprzedziła, a reprezentanci klasycznych dyscyplin nie nadążają za politologami, jak wedle Karwata i za jego aprobatą „[...] celnie zauważył prof. Mołdawa [...]”<sup>27</sup>. Tak pisało się manifesty przed zjazdami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i ten styl zachował się w demokracji, gdzie na flagowym uniwersytecie nie erudycja, nie argumentacja, ale ignorancja i wierność, wsparte optymizmem i entuzjazmem określają pozycję profesorów. W szczególności ich prawo do publikowania tekstów programowych.

Efekt pozostały po próbie reanimacji „Studiów Nauk Politycznych” dowodzi, że profesura Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych odznacza się daleko posuniętym zagubieniem. Przede wszystkim zaś nieświadomie działa pod wpływem wzorców myślowych płynących z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki. Łatwo znaleźć więcej przykładów wspierających tę tezę. Pokazują one, że profesorowie uważający się za samodzielnych, faktycznie pozostają pod wpływem Karwata i działają wedle jego dyrektyw, nawet jeśli nie są im przekazywane słownie. Karwat zbudował swoją pozycję na gruncie innych mechanizmów. Można mieć wątpliwości, czy jej fundamentem jest uczciwa akredytacja, ale nie da się zaprzeczyć, że profesura na Krakowskim Przedmieściu 3 jest wobec decyzji niegdyśszego autora tekstów o naprawie partii marksistowsko-leninowskiej bezradna i działa wedle jego wskazań. On jest jej nowym mistrzem, nawet jeśli profesura tego sobie nie uświadamia. Znakomicie zatarł wszystkie ślady po swoim poprzedniku

2 *Ibidem*, s. 9.



i nauczył kolegów powtarzać sformułowane przez siebie twierdzenia, których jedynym efektem jest destrukcja politologii jako dyscypliny nauki i przekształcenie jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie.

W związku z tym pozwolę sobie wskazać na inną książkę, w której obecność wytycznych propagowanych z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki daje o sobie wyraźnie znać. Nie dlatego, że są w niej jakieś teksty jego pracowników, ale ponieważ ich nie ma. Natomiast nad całym tomem wyraźnie unosi się sposób myślenia teoretyków polityki, którzy dyskretnie wcielili się w rolę złych duchów Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Do tego stopnia dominują, że pewien profesor, na podobieństwo nie ronina, ale jakiegoś skrajnie zmotywowanego kamikadze, poddał im się całkowicie i próbował ratować honor Krakowskiego Przedmieścia 3, gdy Karwatowi i współpracownikom zabrakło nie tyle odwagi, co elementarnej wiedzy. Oni jednak nie potrzebują erudycji, by sterować myśleniem i zachowaniami profesury Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Ta bowiem, zagubiona, bez wyobrażenia o teorii politologii, posłusznie drepcze za nimi i gotowa jest nawet do aktów autodestrukcji.

Wielokrotnie wznawiany warszawski podręcznik *Spoleczeństwo i polityka. Podstawy nauk politycznych*<sup>3</sup> powstał jako efekt dążenia Krakowskiego Przedmieścia 3 do przewodnictwa społeczności polskich politologów, a dzisiaj jest już znamiennym pomnikiem naukowej i dydaktycznej klęski całej polskiej politologii. Jest z pewnością najgrubszym i wagowo najcięższym z podręczników politologii. Liczy ponad tysiąc stron dużego formatu, ale na nich nie znajdujemy niczego, poza zlepkiem tekstów napisanych przez prawników, historyków, socjologów i psychologów. Parę z nich jest niezłych, ale to nie zmienia faktu, że cała książka jest antypodręcznikiem politologii, wyrażającym nieukrywaną pogardę dla odbiorcy, czyli studenta. Sprawia wrażenie wprowadzenia dla początkujących, ale czytelnik nie dowiaduje się, czym jest politologia (ani czym są nauki polityczne). Książka po prostu nie ma wstępu (w czwartym wydaniu pojawia się jedynie jego namiastka), gdyż napisanie go do takiego zestawienia przypadkowych tekstów było niemożliwe.

***Spoleczeństwo i polityka* stanowi jednoznaczny skutek twierdzenia, że nie istnieje dyscyplina politologii, a nazywający się „politologami” faktycznie powielają czynności prawników, socjologów, historyków itd.** Zebrane artykuły dowodzą jednego: akceptacji ich autorów tego, co serwują im koledzy z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki i co obraca politologię z dyscypliny nauki w potoczną wiedzę o społeczeństwie.

3 K. Wojtaszczyk, W. Jakubowski (red.), *Spoleczeństwo i polityka. Podstawy nauk politycznych*, Warszawa 2002.

Co ciekawe, podręcznik nie zawiera nawet jednego tekstu teoretyka polityki. **Pierwszy rozdział zrucono na psycholog** (autorka nie żyje, więc nie wymieniam jej nazwiska), chyba niezdarząca sobie sprawy, do czego i po co pisze tekst. Ten, powstały w czasach, kiedy na Krakowskim Przedmieściu 3 wierzono w psychologię jako naukę zdolną zintegrować nauki polityczne, jest pełen nonsensów<sup>4</sup>, ale przecież inny nie może być. Mamy do czynienia z produktem stworzonym przez laika. Symptomatyczny jest całkowity brak części politologicznej w tej książce. Zamiast tego poznajemy, jak łatwo automatycznie powiela się wiedzę, z nauk społecznych. Młody człowiek jest więc na studiach politologicznych od początku informowany, że politologia jest zlepkiem zjawisk i nauk, a politolodzy nie wiedzą czym się zajmują. Jest to dokładnie to, co głoszą Karwat i jego współpracownicy. Jest to potoczna wiedza o społeczeństwie. Wiedza, a nie nauka, lecz tej drobnej różnicy na Krakowskim Przedmieściu 3 nikt nie rozumie. Gdyby było inaczej, omawiany podręcznik nie ukazałby się drukiem.

Przepraszam bardzo autorów tomu, ale tak nie kształci się studentów historii, prawa czy ekonomii, o socjologii nie wspominając. Tam nie pisze się podręczników bez solidnego teoretycznego i metodologicznego wprowadzenia. Także na pedagogice nie ma takich pseudopodręczników, które studentów prowadzą na manowce, przekształcając w bezmyślne marionetki. **Warszawski antypodręcznik jest głównym pomnikiem naukowej samolikwidacji politologii w III Rzeczypospolitej.** Biorąc pod uwagę, jakie skutki musiał wyrzucić na świadomość studentów, **pozostaje także efektywnym narzędziem samolikwidacji politologii na polu dydaktyki.** Narzędziem, które dewastuje nie tylko rozumowanie studentów, ale także profesorów politologii. Gdy bowiem zerknie się do tego antypodręcznika, od razu widać nie ubóstwo wiedzy politologów, ale jej nędzę ujawniającą się w bezsilności teoretycznej i **braku świadomości statusu własnej dyscypliny nauki.** Nie ma w nim słowa o tradycji politologii, jej dorobku naukowym, horyzoncie poznawczym. Zamiast tego jest wiedza historyczna, prawnicza i socjologiczna. Wszystkie te wątki nie mają jakiegokolwiek powiązania i nawet kiedy czyta się teksty zupełnie dobre, nasuwa się pytanie: po co to wszystko wydrukowano. Zwłaszcza, że tom trudno dłużej utrzymać w rękach. Chyba jednak opublikowano go w takiej ekstremalnej objętości po to, by nikt z nim nie obcował.

*Spoleczeństwo i polityka* jest jak niezniszczalny mebel, tak niewygodny, że nie sposób na nim siedzieć. Dlatego w stanie pierwotnym przez dziesięciolecia można go obserwować i pokazywać znajomym. Wystarczy jedynie odkurzać. Tak samo warszawski antypodręcznik idealnie nadaje się wyłącznie do tego, by postawić go na jakimś regale, od czasu do czasu traktując ścierką. Książka nie nadaje się do czegokolwiek innego, w szczególności zaś nie nadaje się do czytania.

4 Szczególnie warto zapoznać się z jedną stroną, *ibidem*, s. 42.

W 2007 r. ukazało się zmodyfikowane wydanie antypodręcznika, już w wersji ogólnopolskiej. Do współpracy włączono autorów z innych ośrodków. Dodano namiastkę wstępu, w którym, jakby w akcie rozpacz, adresuje się tom do studentów magisterskich studiów uzupełniających. Z jakiego powodu? Studenci studiów licencjackich mają inny? Jedynym powodem dedykowania „cegły” studentom drugiego stopnia jest chyba jej waga? Podczas studiów licencjackich jest ona za ciężka do noszenia!

W krótkim i w tej formie zbytecznym wstępie, pióra Konstantego Wojtaszczyka i Wojciecha Jakubowskiego, ujawnia się zmęczenie redaktorów i utajona pokusa poddania się wpływowi idei rozpowszechnianych z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki. Redaktorzy poważnie zbliżają się do powielenia nonsensownej tezy, że wszystko jest polityką i piszą „Polityka, utożsamiana uprzednio z państwem, wypełnia dzisiaj różne obszary życia społecznego. Determinuje stosunki lokalne, relacje na poziomie regionalnym, ogólnopaństwowym oraz w układach międzynarodowych”<sup>5</sup>. Coś jednak, może zdrowy rozsądek, a może znajomość podstaw teorii nauki, zachowana jeszcze z nauk starego mistrza, powstrzymało Wojtaszczyka i Jakubowskiego od otwartego powielenia najbardziej destrukcyjnej myśli dominującej w polskiej politologii. Dobrze, że redaktorzy nie poszli dalej tą niebezpieczną drogą, wskazywaną przez Karwata i jego kolegów i nie kontynuowali rozważań. **Być może jednak na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych są jednak jeszcze profesorowie zdolni obronić się przed naukami płynącym z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki. Być może jest ktoś zdolny uprawiać politologię, a nie potoczne wydanie wiedzy o społeczeństwie?**

Oczywiście wielu osobom nie umknął fakt, że dwie pierwsze edycje *Społeczeństwa i polityki* są obciążone wielkimi niedostatkami. Pewnie pierwszymi w tym kręgu byli sami redaktorzy. Prawdopodobnie to oni dali sygnał do modernizacji podręcznika. Nie była ona jednak fortunna, ale nie mogła być w warunkach nieuświadomionego wpływu idei płynących z zakładu kierowanego przez Karwata i jego oporu wobec napisania solidnego rozdziału teoretycznego. Łatwo przecież dostrzec, że twórczość pracowników Zakładu Filozofii i Teorii Polityki wystarcza do symulowania działalności naukowej, ale nie pozwala na napisanie rozdziału do podręcznika – rozdziału, który powinien być ich dziełem.

Z nowego wydania antypodręcznika usunięto fragmenty autorstwa zmarłej psycholog, na początek przesuwając umieszczony dotychczas w dalszej części książki rozdział *Polityka w życiu społecznym*, autorstwa specjalisty od obszarów poradzieckich, Tadeusza Bodio. Nikt bowiem z teoretyków polityki nie poczuł się na tyle silny, aby napisać tekst wprowadzający. Karwat wprawdzie włączył się do

5 K. Wojtaszczyk, W. Jakubowski, *Wprowadzenie*, (w:) K. Wojtaszczyk, W. Jakubowski (red.), *Społeczeństwo i polityka. Podstawy nauk politycznych*, Warszawa 2007, s. 33.

współpracy, ale nie w zakresie problematyki teoretycznej. Szkoda, że poświęcił kolegę zajmującego się odległą problematyką i pozwolił, by ten zgodził się zastąpić go w obowiązkach.

W efekcie Bodio podjął się zadania typowego dla straceńca, zamiast skupić się na tym, w czym jest ekspertem. Profesor poddał swój tekst skromnemu liftin-gowi, wprowadzając korekty i uzupełnienia. Problem w tym, że wprowadził do nowej wersji rozdziału kolejne błędy. Nie brakowało ich już w poprzedniej edycji. Ginęły gdzieś jednak w całości, kiedy tekst znajdował się na dalszym planie. Teraz zostały wyeksponowane i wyraźnie widać, że autor zawodowo zajmuje się czymś zupełnie innym i nie czytał podstawowych prac z omawianej przez siebie problematyki. Jakby w akcie rozpaczki próbuje ratować kolegów, wypełniając zadanie w oczywisty sposób im przypadające. Taka próba okazuje się z wielu względów karkołomna i kosztowna. Przede wszystkim dlatego, że profesor demonstrowa brak znajomości podstawowych lektur z kanonu politologa. A tego nie powinien czynić, tym bardziej że teksty te są w większości dostępne po polsku i znajdują się na półkach wydziałowej biblioteki.

Już we wcześniejszej wersji rozdziału warszawskiego antypodręcznika Bodio dowiódł, że nie rozumie idei biopolityki. Teraz jeszcze dodatkowo napisał, iż twórcą biopolityki był Roger Masters<sup>6</sup>. Tymczasem tzw. „biopolityka” nie jest jakimkolwiek naukowym „podejściem” do polityki, a książka Amerykanina *The Biology of Politics* w ogóle nie spotkała się z reakcją politologów (biologia polityki nie jest biopolityką – niezależnie co znaczą oba terminy). Za twórcę nazwy *biopolityka* uchodzi u nas zazwyczaj, niesłusznie, francuski filozof Michael Foucault. W rzeczywistości geneza tego terminu sięga początków XX w., a Foucault jedynie go spopularyzował, nadając swoistą treść. *Biopolityka* z nauką nie ma nic wspólnego. Nigdzie jednak nie spotkałem w literaturze łączenia jej z Mastersem. Cała informacja na temat biopolityki w warszawskim wprowadzeniu jest fałszywa. To koncepcja filozoficzna i polityczna, lecz nie politologiczna i nie naukowa. Biopolityka brzmi tak samo ładnie jak geopolityka czy etnopolityka, powstała w tej samej epoce kreowania bezsensownych zbitok pojęciowych i ma dokładnie identyczną rangę w nauce. Czyli żadną. Dlatego znakomicie nadaje się do powtarzania przez politologów pozbawionych wyobrażenia, co badają i jaki jest horyzont poznawczy politologii.

Jednak znacznie gorszym, niewybaczalnym błędem jest twierdzenie Bodio, jakoby Weber głosił, że „Polityka w szerszym rozumieniu to każdy rodzaj samodzielnej kierowniczej czynności, w węższym – zespół działań podejmowanych w zamiarze uczestnictwa we władzy bądź pomiędzy państwami, bądź pomiędzy

6 T. Bodio, *Polityka w życiu społecznym, ibidem*, s. 47.

grupami wewnątrz państwa<sup>77</sup>. Otóż Weber niemałą część swoich wywodów poświęcił krytyce tego właśnie szerszego rozumienia polityki, propagowanego za jego życia w niemieckim dyskursie publicznym. Odrzucał je, gdyż uważał, że prowadzi do uznawania za politykę dowolnej działalności społecznej, na przykład banków, stowarzyszeń czy gmin. Można to łatwo ustalić, czytając polski przekład jego fundamentalnego dzieła<sup>8</sup>. Dlatego Niemiec rozróżniał działania polityczne i politycznie zorientowane, którym jednak nie przypisywał statusu politycznego we właściwym sensie.

Warto zastanowić się, jak możliwa była taka fatalna dezinterpretacja myśli Webera. Czy tylko powstała z racji tego, że Bodio nie poznał tekstów socjologa. Oczywiście nie. Przypisane Weberowi szersze rozumienie polityki jest kopią interpretacji polityki dyskretnie sączoną z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki. Przecież to tutaj głosi się, że wszystko jest polityką. **Bodio do tego stopnia zagubił się w nieznanym mu problematyce, iż potoczne poglądy Karwata i jego współpracowników przypisał Weberowi.** Nie można temu się dziwić. Destrukcyjne wpływy teoretyków polityki są zakamuflowane i jednocześnie silne. Tak one utrwaliły się na Krakowskim Przedmieściu 3, że trudno poddać je krytyce i odrzucić. Dlatego potocznie rozumiana wiedza o społeczeństwie określa treść flagowego antypodęcznika polskich politologów, którzy całkowicie ulegli wpływom myśli płynących z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki.

W efekcie powszechnego upadku refleksji teoretycznej, w rozdziale napisanym przez Bodio z niebywałym poświęceniem, pojawiają się twierdzenia, które wprowadzają świadomego czytelnika w najwyższe zdumienie. Autor nie tylko bez jakiegokolwiek znajomości problematyki referuje poglądy na politykę, ale w ogóle nie zajmuje stanowiska na temat tego, czym jest polityka, nie wspominając przy tym o problemie tego, co polityczne. Dla niego polityka to jakaś abstrakcja, którą rozważano w przeszłości, ale obecnie już nie ma potrzeby badania tej kwestii<sup>9</sup>. Czy ona straciła znaczenie? Z pewnością Bodio mógł dojść do takiego wniosku po lekturze prac kolegów z własnego wydziału. Jednak naukowo takiego stanowiska nie da się utrzymać.

W analizowanym rozdziale autor posiłkuje się twierdzeniami teoretyków polityki, nie zdając sobie sprawy z tego, że prowadzą swoich czytelników na manowce i z ich prac nie powinno się korzystać, gdyż grozi to co najmniej dezorientacją. Ich teksty można jedynie krytykować, ponieważ nie ma tam idei zdolnej się

7 *Ibidem*, s. 41.

8 M. Weber, *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*, Warszawa 2002, s. 41.

9 Podobne stanowisko zajmują A. Laska i J. Nocoń w swoim tekście, gdzie analizują politykę w „[...] perspektywie głównych orientacji teoretyczno-metodologicznych” (!!!), ale sami nie wypowiadają się, czym ona jest (*Teoria polityki. Wprowadzenie*, Warszawa 2010, s. 44). To z pozorów bezpieczne stanowisko czyni ich wywód podatnym na prostą krytykę, ale tak to już jest, jak za pisanie podręczników biorą się młodzi, niedoświadczeni pracownicy naukowi. Na ile mogą wykroczyć poza kopiowanie ustaleń starszych kolegów?

obronić. Efektem nienadążania za rozwojem wiedzy jest między innymi niezwykła klasyfikacja subdyscyplin politologii<sup>10</sup> (autor jakimś cudem, jakby nie znając stanowiska swoich kolegów, uznaje jednak słusznie politologię za dyscyplinę nauki – czyżby to pozostałość praktykowania u Bodnara?). I tak do subdyscyplin politologii zaliczono między innymi naukę o państwie (jest to kopiowanie schematów prawniczych), co gorsza jednak – także nauki o komunikowaniu, naukę o stosunkach międzynarodowych, naukę o polityce społecznej i naukę o integracji europejskiej. Właściwie autor zaliczył do politologii prawie wszystko, co tylko przychodzi do głowy, zgodnie z dyrektywą, że politologia jest obecnie wiedzą o społeczeństwie. Ciekawe czemu nie uwzględnił jednak edukacji politycznej? Dlaczego oddał historię myśli politycznej historykom? Czy dlatego, że nie wie, iż podstawą egzystencji podmiotów politycznych są idee określające ich tożsamość i pozwalające im działać w wielkiej przestrzeni z powołania? Nie zdaje sobie więc sprawy, że historia myśli politycznej to subdyscyplina typowo politologiczna. Skąd jednak ma to wiedzieć, gdy pisze na temat, który tylko laikom może wydawać się prosty.

Wszystkie te zadziwiające klasyfikacje są efektem nieporozumienia wynikającego z braku świadomości tego, co może stanowić przedmiot badań politologii. Na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych nikt nie stawia pytania o przedmiot badania i granice poznawcze politologii. Do niej tutaj wszystko zalicza się jak leci i w całości: internacjologię, politykę społeczną, komunikologię i europeistykę. Jak jednak postawić pytanie o granice politologii, jeśli z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki stale dociera myśl, że wszystko jest polityką? W ten sposób przekształca się politologię w potoczną wiedzę o społeczeństwie, ale żaden profesor tego nie widzi. Wszyscy na Krakowskim Przedmieściu 3 akceptują ten dramatyczny nonsens!

Ze stanowiska zajętego przez Bodio, który niepotrzebnie złożył z siebie samego ofiarę za kolegów na ołtarzu pseudonauki politologii (będącej faktycznie ową potoczną wiedzą o społeczeństwie), wynika, że przedmiotem badań politologii są na przykład międzynarodowe stosunki gospodarcze, jako część nauki o stosunkach międzynarodowych. Anektowanie w obręb politologii wiedzy o komunikowaniu także jest nie tylko efektem braku zrozumienia problemu tego, co polityczne, ale również zagadnień badawczych nauk o transmitowaniu informacji w społeczeństwach ludzkich. Komunikowanie nie jest zjawiskiem specyficznie politycznym, tylko w pewnych okresach i w szczególnym środowisku nabiera właściwości politycznych. Dlatego nauka o komunikowaniu nie może być częścią politologii. Subdyscypliną politologii jest natomiast nauka o komunikowaniu politycznym. Aby jednak to rozumieć, trzeba cokolwiek wiedzieć o tym, co po-

10 T. Bodio, *Polityka w życiu...*, op. cit., s. 46.

lityczne. A tej wiedzy nie dostarczają pracownicy Zakładu Filozofii i Teorii Polityki. Przeciwnie, oni tę wiedzę zwalczają środkami pozanaukowymi. Czy aby dlatego, by zatrzeć wszelkie ślady po Ryszce? Tekst Bodio jest – zapewne nie-uświadomionym – wkładem do dzieła pracowitej likwidacji pamięci o dorobku profesora, który wiele lat na próżno poświęcił, by na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych ktoś miał pojęcie, czym jest politologia.

Przeprowadzona przez Bodio analiza „orientacji teoretycznych” w nie mniejszym stopniu prowokuje do ciekawych wniosków, gdyż autor nie odróżnia teorii od doktryny. Już samo pojęcie „orientacji teoretycznych” wzbudza smutną refleksję, gdyż jest sprzeczne z elementarnymi ustaleniami teorii nauki. Kiedy jednak Bodio zalicza do kręgu „perspektyw” politologii normatywizm (faktycznie zaś „normatywizm – instytucjonalizm”; z takim zestawieniem nigdzie się nie spotkałem!), materializm historyczny i feminizm<sup>11</sup>, łatwo wskazać liczne wątpliwości. Przede wszystkim te stanowiska nie mają nic wspólnego z nauką. Są to aprioryczne systemy wiedzy, mające wskazywać ludziom drogę w życiu publicznym, czyli mamy tu do czynienia z doktrynami.

Bodio niestety przytacza najbardziej niedorzeczne twierdzenia wydziałowych teoretyków polityki i głosi, że „[...] nauka polityczna (*sic!*) pełni pięć podstawowych funkcji wobec praktyki politycznej”. Obok funkcji opisowej i wyjaśniającej, także funkcje prognostyczną, instrumentalną i aksjologiczną<sup>12</sup>. Przecież powyższe twierdzenia to najbardziej bezkrytyczna reprodukcja tez ze starych, radzieckich podręczników nauk politycznych (Bodnar był na tyle inteligentny, że gdyby dzisiaj żył, sam nie powtarzałby tych nonsensów – tymczasem znajdujemy je teraz w pracach wielu politologów), możliwa tylko skutek zupełnej nieznamomości współczesnej teorii nauki. Warto byłoby, aby wykładowcy zdali sobie sprawę z tego, że **politologia należy do nauk o społeczeństwie, a więc nie pełni żadnych funkcji wobec praktyki politycznej. Jest wartością samą w sobie, jak inne dyscypliny badawcze!** Należałoby także wreszcie przyjąć do wiadomości, że nie ma nauki zajmującej się społeczeństwem zdolnej pełnić funkcje prognostyczne, instrumentalne i aksjologiczne. Wyniki badań naukowych mogą być w tych celach wykorzystywane, ale nie jest to już nauka.

Pomijam wyliczenie wielu innych błędów tego rozdziału i tej książki. Lektura *Spoleczeństwa i polityki* jest z jednej strony koronnym dowodem, że źle się kształci młodzież na wydziałach politologii, dezorientując ją intelektualnie od samego początku. Z drugiej strony jest dowodem nie mniejszej rangi odnośnie do znaczenia, roli i miejsca teoretyków polityki w warszawskim środowisku politologicznym. Tam oni istnieją z boku i publikują sami dla siebie. Nikt ich nie czyta,

11 *Ibidem*, s. 46.

12 *Ibidem*, s. 44.

ale powoli sączone z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki idee upowszechniają się metodą szeptaną. Pracownicy skupieni wokół Karwata do tego stopnia się zmarginalizowali, że **przez wiele lat nawet nie byli w stanie napisać wstępnych rozdziałów do podręcznika**, który – jak można przypuszczać – z racji rozmiarów, miał tworzyć jego wizytówkę. Tymczasem jest pomnikiem dezintegracji i autodestrukcji. W czwartym wydaniu jest już pomnikiem autodestrukcji całej polskiej politologii. Tylko dlatego, że **teoretyków polityki w przekazie szeptanym traktuje się wprawdzie jako margines Krakowskiego Przedmieścia 3 i w ogóle polskiej politologii, ale w warunkach braku teorii i metodologii politologii ich twierdzenia są nieświadomie przejmowane, kopiowane i powtarzane. Opanowały myślenie znacznej liczby członków środowiska politologicznego.**

Widać to między innymi w podręczniku *Wstęp do politologii*, autorstwa profesora Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Tomasza Żyro, który nie małą część doświadczenia zdobył w Stanach Zjednoczonych. Książka jest próbą wykroczenia poza schematy szkoły Bodnara przez odwołanie się do doktryny (bo przecież nie teorii!) społeczeństwa obywatelskiego. Ta ciekawa próba, pomimo jej wątpliwych podstaw, także jest jednak naznaczona wpływem poglądów panujących na Krakowskim Przedmieściu 3. Do tego stopnia, że w tym podręczniku politologii brak w ogóle rozważań nad tym, czym jest politologia, w szczególności zaś co jest jej przedmiotem poznania. Takie podejście do problematyki podręcznika okazuje się kopią twierdzeń rozpowszechnianych z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki i jest niczym innym, jak propagowaniem wiedzy zbudowanej na potocznych rozważaniach na wybrany temat, przy wsparciu wiedzą doktrynalną, w tym przypadku doktryną społeczeństwa obywatelskiego.

Wśród polskich podręczników politologii książka Żyro uderza wyraźną oryginalnością, świeżością, będącą efektem próby odejścia od naiwnych schematów radzieckich i nakreślenia alternatywnego stanowiska. Jest to praca wyjątkowa. Gdy jednak wgłębimy się w tekst, okazuje się, że autor wielu zagadnień nie wiąże ze sobą tam, gdzie trzeba. Wprawdzie odwołuje się do teorii Schmitta, ale nie bardzo wie, co z nią zrobić i dlatego nie pokazuje znaczenia problemu tego, co polityczne. Znajduje to wyraz w definicji, wedle której wszystko może być polityką. Sama zaś polityka jest pojmowana z perspektywy społeczeństwa demokratycznego i w kontekście powierzchownie zaobserwowanych zjawisk. Ostatecznie jest to przecież nic innego, jak kopia amerykańskich wizji, stworzona częściowo pod wpływem kolegów z wydziału.

„Polityka może być zdefiniowana jako proces, na mocy którego grupa osób, której poglądy oraz interesy są pierwotnie rozbieżne, dochodzi do wspólnej decyzji, scalającej tę grupę, wzmocnioną odtąd przez wspólne postępowanie”<sup>13</sup>. De-

13 T. Żyro, *Wstęp do politologii*, Warszawa 2004, s. 16–17.



finicji tej odpowiada niestety tak samo dobrze spółka wodna zajmująca się kopaniem rowów melioracyjnych, jak i związek kolarski. Co gorsza, oddaje także istotę przedsiębiorstwa, w którym upadłe kobiety handlują swoimi ciałami. I nie zmienia tego bliższa charakterystyka polityki, zawarta w podręczniku<sup>14</sup>. Ciągłe napotykamy tu potoczne rozumienie polityki, które nacisk kładzie na jednoczenie ludzi i porządek. Dokładnie takie rozumienie, jakie obowiązuje w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki. Okazuje się, że bardzo trudno wykroczyć poza schematy kręgu skupionego wokół Karwata, jeśli pracuje się na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych.

Żyro lekceważy podstawowe problemy politologii nawet tam, gdzie one same ujawniają swoją obecność. Gdy państwo trafnie określa się jako jeden ze związków politycznych, który wyróżnia odrębność terytorialną<sup>15</sup>, to nadrzędną kategorią jest wówczas nie *państwo*, ale pojęcie *związku politycznego*, a ostatecznym odniesieniem staje się to, co *polityczne*. Na gruncie tych terminów i rozróżnień można bardzo dużo wyjaśnić, jak pokazał to sto lat temu Weber. Znacznie więcej aniżeli uczyniono dotychczas w tym zakresie w polskiej politologii. Niestety autor nie idzie tropem tego, co polityczne i traci z oczu wszystko, co przesądza o istnieniu politologii jako dyscypliny nauki.

Wprawdzie książka Żyro nie jest podręcznikiem teorii politologii, ale jest podręcznikiem z zakresu podstaw politologii, a więc musi opierać się na teorii. Tym samym podstawowe kategorie teoretyczne nie powinny pozostawać w podświadomości autora i nie wolno ich używać bez wyjaśnienia, bez opisu i charakterystyki znaczenia. W podręczniku Żyro to, co polityczne wyraźnie ujawnia swoją obecność, ale autor jakby nie zdawał sobie z tego sprawy. W każdym razie nie podejmuje podstawowego zagadnienia politologii. Gdy uczony nieświadomie posługuje się kategoriami teoretycznymi, operuje na poziomie wiedzy potocznej. Z tym właśnie mamy do czynienia we *Wstępie do politologii*, pomimo że w omawianym tomie znajdujemy niezliczoną listę wielkich nazwisk, a także mnogość kategorii niespotykanych w pracach innych politologów III Rzeczypospolitej.

Jednak najbardziej uderza brak jakichkolwiek rozważań nad przedmiotem poznania politologii. Żyro ucieka od tego tematu jak diabeł od święconej wody. Ostatecznie pozwala to sformułować wniosek, że zamiast rozwijać opozycję w stosunku do poglądów zagubionych kolegów, całkowicie uległ stylowi myślenia panującemu w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki. Wskutek tego jego ambitna próba wykroczenia poza wiedzę potoczną spaliła na panewce. Co najmniej jest dziełem niedokończonym.

14 *Ibidem*, s. 17–23.

15 *Ibidem*, s. 133.

Już tylko omówione sztandarowe przykłady przekonywająco dowodzą, że nie da się podważyć tezy, iż **pracownicy Zakładu Filozofii i Teorii Polityki określają myślenie niemal całego Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych**. Wytuczają pojmowanie politologii także tych, którzy tego by nie chcieli, a nawet gotowi są temu zaprzeczyć.

Myślenie charakterystyczne dla Krakowskiego Przedmieścia 3 cechuje się w przeważającej mierze refleksją na poziomie potocznej wiedzy o społeczeństwie, gdzie wszystko jest polityką, gdzie chętnie kopiuje się wiedzę z mediów, a nawet korzysta się z metody badań słynnego redemptorysty. Bywa jednak, że schodzi się na poziom wiedzy i posługuje słownictwem charakterystycznym dla środowiska najchętniej grupującego się wokół budki z piwem. W ten sposób adres Krakowskie Przedmieście 3 faktycznie lokalizuje Wydział Dziennikarstwa i Nauk Potocznych, tylko profesura placówki jeszcze tego nie zauważyła, oficjalnie lekceważąc dorobek kolegów z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, faktycznie zaś ulegając jego dyskretnym i niszczącym wpływom.

Wydział Dziennikarstwa i Nauk Potocznych nie ma nic wspólnego z tym Wydziałem Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, po którego korytarzach przechadzali się Artur Bodnar i Józef Kądzielski. Zginęła gdzieś właściwa im kultura refleksji i świadomość, że ona nie istnieje przynajmniej bez prób określenia przedmiotu poznania. Na Krakowskim Przedmieściu 3 umarła kultura zbudowana na starej idei uniwersytetu, głoszącej, że warunkiem rozwoju nauki są dyskusja i wymiana myśli. O demarkacji wiedzy nikt tu nie ma pojęcia, ponieważ zadowala powielanie wiedzy potocznej i doktrynalnej. Politologię zamieniono w wiedzę o społeczeństwie, ale nikt nawet nie próbuje oficjalnie zdiagnozować tej sytuacji, chociaż niemało osób zdaje sobie sprawę z tego, że jest ona żenująca. Na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Potocznych nie przyswojono żadnej wiedzy na temat aktualnego stanu teorii nauki, dominuje natomiast skłonność do kopiowania, konformizmu i poddania się pseudoteoriom podawanym z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki. Nie tyle pseudoteoriom metafor i syndromów, co sprzecznej ze stanem współczesnej teorii nauki, destrukcyjnej tezie, że politologia nie jest dyscypliną nauki, ale ma charakter interdyscyplinarny i nie potrzeba debaty nad jej przedmiotem poznania.

Tym bardziej obecny Wydział Dziennikarstwa i Nauk Potocznych nie ma nic wspólnego z tym Wydziałem Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, po którego korytarzach przechadzali się Franciszek Ryszka i Jan Baszkiewicz. Obaj profesorowie doskonale wiedzieli, że nic tak nie zabija myślenia, nauki i nie niszczy uniwersytetu, jak brak erudycji i kreowanie twierdzeń z kapelusza. Oni nie tylko krytykowali nasze pomysły, ale odrzucali nasze prace doktorskie i habilitacyjne, mobilizowali do myślenia i poszukiwania własnej drogi. **Dzisiaj na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Potocznych już praktycznie niczego nie odrzuca się,**

**gdyż brak podstaw do takich czynności. Kopiowanie i posłuszeństwo uchodzą za główne cnoty.** Młodszą kadre najchętniej mobilizuje się do przytakiwania profesorom i powtarzania nonsensów. Oni będą uprawiać już tylko wiedzę o społeczeństwie, metodami kopiowania wzorców zagranicznych i obserwacji uczestniczącej.

Gdy Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych przeobraził się w Wydział Dziennikarstwa i Nauk Potocznych, poddając pomysłom płynącym z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, automatycznie stał się powielarnią martwych schematów myślowych, w której najlepiej kopiuje się pozostałości marksizmu, pseudoteorie świata jednobiegunowego i teorie stosunków międzynarodowych. Oczywiście sprawnie czyni się to na poziomie myślenia potocznego, gdy nie liczą się erudycja, oryginalność, zdolność formułowania problemów badawczych i wyciągania wniosków, ale ceni się posłuszeństwo i oczekuje aktów demonstrujących lojalność.

Wtedy dyskusja nad przedmiotem poznania politologii nie tylko jest niepotrzebna, ale okazuje się niemożliwa. Przecież wszystkich zadowalają idee Mirosława Karwata, Tadeusza Klementowicza, Bohdana Kaczmarska i **nikt nie dostrzeża, że pracownicy Zakładu Filozofii i Teorii Polityki swoimi publikacjami od dawna dowodzą konieczności odebrania Wydziałowi Dziennikarstwa i Nauk Politycznych uprawnień doktorskich, a także zmiany jego nazwy na Wydział Dziennikarstwa i Potocznej Wiedzy o Społeczeństwie.**

## 22. Politologia turystyczna, drogowa, kościelna i historyczna

Gdyby ogłosić konkurs na najbardziej odległą od przedmiotu badań politologii pracę, za którą nadano stopień doktora lub doktora habilitowanego politologii, pierwsze miejsce miałyby szansę uzyskać autor dysertacji *Idea i praktyka kształtowania bezpieczeństwa ruchu drogowego w warunkach współczesnych przemian europejskich*, obronionej na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego<sup>16</sup>. Jej główną konkurentką<sup>17</sup> mogłaby być dysertacja przyjęta na Wydziale Politologii UMCS, nosząca tytuł *Metropolitalny charakter Warszawy*. Oba wydziały należą do czołówki uniwersyteckich ośrodków, gdzie politologię przekształca się w gimnazjalną wiedzę o społeczeństwie, a może nawet w wiedzę z wychowania obywatelskiego, jakiej uczono w czasach Edwarda Gierka.

16 Nazwisk autora, promotora i recenzentów nie podaję, gdyż chodzi tu nie o osoby, ale o analizę zjawiska. Dane wedle portalu „Nauka Polska”.

17 Gdy prace redakcyjne nad tą książką były na ukończeniu, odkryłem, że na początku 2011 roku UKSW nadał stopień doktora za rozprawę *Transport kolejowy w Unii Europejskiej. Studium politologiczne*.

Jednak wyobraźnia wyraźnie zawodzi, gdy dowiadujemy się, że na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego stopień doktora politologii nadano za rozprawy *Poczucie alienacji a użytkowanie mediów* i *Wirtualna przestrzeń funkcjonowania administracji samorządowej*. Ilość prac doktorskich z potocznie rozumianej wiedzy o społeczeństwie jest nieprzebrana, gdy przegląda się dorobek jednostek uprawnionych do nadawania stopni w zakresie nauki o polityce. Dlatego można przypuszczać, iż dałoby się znaleźć jakąś tezę doktorską zdolną jeszcze lepiej konkurować z pracą o ruchu drogowym<sup>18</sup>.

Nie tylko jednak na wymienionych wydziałach niemal każdy temat da się włączyć w krąg zagadnień nazywanych „politologicznymi”. **Przecież jeśli wszystko jest polityczne, polityczny jest też ruch drogowy, użytkowanie mediów i metropolitalny status Warszawy**<sup>19</sup>. W ten sposób politolodzy z nazwy, często bez żadnego dyplomu z politologii, mogą występować jako promotorzy, recenzenci i wiernie realizować dyrektywy teoretyków polityki. Nie można więc im niczego zarzucić. **Kto nie może zrobić doktoratu z historii, prawa czy socjologii, uzyska go z pewnością na wydziale politologii. Za stan politologii, za promowanie na wydziałach politologii doktorów z wiedzy o społeczeństwie odpowiadają nie historycy, prawnicy czy socjolodzy podszywający się pod politologów, ale dyplomowani politolodzy, którzy zaprzeczają, że politologia jest dyscypliną nauki i pozwalają na przekształcanie jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie.**

Dlatego głównym promotorem patologii w praktyce nadawania stopni z politologii nie był Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego, chociaż tam obroniono szczególnie dużo prac spoza zakresu politologii, zwłaszcza pod kierunkiem tajemniczego, pracowitego promotora. W latach 1992–2010 namaścił on 24 doktorów politologii (ostatnich już na Krakowskim Przedmieściu 3, gdzie udzielono mu gościny po odebraniu gdańskiej placówce uprawnień doktorskich). Pisali oni między innymi na następujące tematy:

- *Tożsamość społeczno–polityczna Kościerzyny w warunkach współczesnej transformacji systemowej;*
- *Stymulatory migracyjno–polonijne w funkcjonowaniu instytucji polsko–szwedzkich małżeństw mieszanych;*
- *Ordynariat Polowy Wojska Polskiego jako instytucja kształtowania postaw obywatelskich;*

18 Np. *Zreformowany system edukacji i jego wpływ na kształcenie i wychowanie dzieci w publicznych szkołach podstawowych* (UŚ 2007).

19 Druga praca zajmuje się też przyszłością naszej stolicy, jak dowodzi tego oficjalne streszczenie (<http://nauka-polska.pl/dhtml/raporty/praceBadawcze?rtype=opis&lang=pl&objectId=62377>; 11.03.2011).

- *Miejsce Kościoła w przeobrażeniach kulturowych w społeczności lokalnej na przykładzie wsi Zalasowa (w województwie małopolskim);*
- *Rola duszpasterstwa w kształtowaniu tożsamości polonijnej w Wielkiej Brytanii.*

Łatwo dostrzec, że **mamy w tym przypadku do czynienia z traktowaniem politologii już nawet nie jako wiedzy o społeczeństwie i to pojmowanej bardzo szeroko, potocznie, ale jako wiedzy obywatelskiej – wiedzy z zakresu wychowania obywatelskiego.** Czy aby nie powstającej wskutek kopiowania dawnych wzorców radzieckich? Kiedyś jednak, w czasach PRL, za takie teksty na uniwersytetach, nawet w partyjnej Akademii Nauk Społecznych, nie dawano doktoratów. Co najwyżej za prace na podobne tematy z trudem przyznawano stopień magistra. Dzisiaj są to już doktoraty. Za takie produkty przyznaje się też habilitacje.

Bądźmy jednak sprawiedliwi w ocenie. W tym samym czasie na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego<sup>20</sup> nadano stopnie doktora w zakresie nauk politycznych na podstawie prac:

- *Kobieta na rynku pracy w małym mieście;*
- *Wolontariat we współczesnej Polsce. Model normatywny a praktyka;*
- *Bezpłatne czasopisma kulturalne w Polsce i ich wpływ na rynek czasopism kulturalnych;*
- *Przekształcenia własnościowe a udział pracowników w zarządzaniu;*
- *Działalność społeczno-kulturalna Gminy Żydowskiej w Berlinie w latach 1990–2004.*

Rada Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego także traktuje politologię jako potoczną, szeroko rozumianą wiedzę o społeczeństwie, w której zmieści się tekst na każdy temat. **Przecież to jednak Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego wyznaczył standard, że wszystko, co jest związane z badaniami w zakresie historii, prawa, administracji, stosunków międzynarodowych, polityki społecznej, instytucji samorządowych, komunikowania i europeistyki jest politologią.** Politologią jest więc cokolwiek, co wiąże się z wiedzą o społeczeństwie. Jest to tylko efektem poddania się twierdzeniom płynącym z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, skąd upowszechnia się tezę, że wszystko jest polityką i propaguje zarzucenie refleksji politologicznej, by zastąpić ją łatwą i niewymagającą myślenia naiwną wiedzą o społeczeństwie, najlepiej w postaci niegdyś prezentowanej na lekcjach wycho-

---

20 Na wydziałach politologii innych uniwersytetów także obroniono ciekawe, pseudopolitologiczne prace, tylko już nie ma miejsca w tej książce na ich wyliczanie.

wania obywatelskiego. Wówczas nie trzeba prowadzić trudnych debat o przedmiocie poznania, a także da się w przewodach na stopnie naukowe zaaprobować pracę na dowolny temat.

Kolejny więc raz widzimy skutki powielania wiedzy potocznej, wobec której profesorowie politologii są bezradni. Powielanie to ma miejsce na wszystkich uniwersyteckich wydziałach politologii? Nie prowadziłem badań w takim zakresie, ale przecież jeśli politologię zastępuje się naiwną pseudonauką o społeczeństwie w Warszawie, Lublinie, Katowicach, Gdańsku i Wrocławiu, to tak samo z pewnością postępuje się w innych ośrodkach naukowych<sup>21</sup>.

Można wnioskować na podstawie obfitego materiału dowodowego, że na uniwersyteckich wydziałach politologii wszystko, co faktycznie nawet nie ma związku z polityką, może być przedmiotem badań i stać się tematem rozpraw doktorskich i habilitacyjnych. Przedmiotem badań staje się ruch drogowy, kobieta w mieście i bezpłatna gazeta. Problematyka samorządowa uznawana jest już za problematykę czysto polityczną. Tak kształtuje się pseudonauka, pseudopolitologia, turystyczna, kościelna, drogową i historyczną. Dla politologów III Rzeczypospolitej wszystko to jest polityką, ponieważ nie rozumieją istoty debaty na temat tego, co polityczne. Oni nawet nie wiedzą o jej istnieniu.

**Tak politologię przekształca się nie w naukę interdyscyplinarną, ale w wiedzę o społeczeństwie, której szczytową formą może być co najwyżej pseudonauka na poziomie gimnazjalnym – wiedza z zakresu wychowania obywatelskiego. Faktycznie zaś dyscyplinę nauki i całe wydziały flagowych uniwersytetów zmienia się w kosze na śmiecie, gdzie politologia drogową, turystyczną, kościelną i historyczną zdobywa sobie rosnące znaczenie. Wszystko to czyni się pod wpływem Mirosława Karwata, Tadeusza Klementowicza, Barbary Krauz-Mozer, Zbigniewa Błoka i Bohdana Kaczmarka, nauki Franciszka Ryski, Kazimierza Opałka, Jana Woleńskiego i Artura Bodnara o przedmiocie poznania dojrzewającej dyscypliny mając za nic. Wypiera się je z pamięci, by koledzy nie musieli zbytnio napracować się, ubiegając o stopnie naukowe, by ich prace z wiedzy o społeczeństwie czy z wychowania obywatelskiego można było uznać za politologiczne, a aspirujący do roli nowych mistrzów mogli zdobyć, następnie zaś utrzymać upragnione pozycje. Prezentując nie godne mistrzów publikacje, ale zdolność kontrolowania konformizmu w środowisku uniwersyteckich wydziałów politologii.**

Te praktyki są coraz szerzej upowszechniane także przez środowisko Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, które wyspecjalizowało się w nadawaniu stopnia doktora habilitowanego politologii tym, którzy nie mają

21 Nie przywołuję tutaj tekstów teoretycznych i metodologicznych publikowanych przez pracowników tych ośrodków, ale znam ich niemało i muszę stwierdzić, że lektura była dla mnie skrajnie przygnębiająca.

żadnego wykształcenia politologicznego. Zdaje się, że organizatorom tej placówki chodziło niegdyś o powołanie nie jednostki politologicznej, ale zajmującej się interdyscyplinarnymi badaniami życia publicznego i mogącej w Polsce przyswoić tradycję Zachodu w tym zakresie. Idea była świetna, lecz już w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku legła w gruzach. Nie pozostało po niej nawet wspomnienie. Zwłaszcza kiedy próbowano nadać stopień doktora habilitowanego politologii pewnemu filozofowi nie na podstawie oceny merytorycznej, lecz jakiejś innej, trudnej do zrozumienia. Już wtedy wyszło na jaw, że podstawą przewodu habilitacyjnego w zakresie politologii może być praca, która nie uwzględnia podstawowej literatury przedmiotu. Nie tylko zresztą w zakresie samej politologii, ale tematu rozprawy habilitacyjnej. Tak i tutaj otwarto drogę do traktowania politologii jako potocznej wiedzy o społeczeństwie. Obecnie już takiej, z której habilitować może się każdy, kogo dorobku nie akceptują socjologowie i historycy.

Dzisiaj na Polnej 18, zamiast próbować prowadzić rzetelne badania interdyscyplinarne, podtrzymuje się pseudonaukową tezę o badaniach geopolitycznych, jakby nie wiedząc, że geopolityka jest taką samą nauką, jak astrologia i alchemia. Za teorię polityki uznaje się myśl polityczną i filozofię polityczną, jakby profesorowie wytyczający kierunek badań flagowego instytutu, który miał kreować nowe horyzonty poznawcze, nie mieli pojęcia o demarkacji wiedzy, zagadnieniu elementarnym zwłaszcza dla politologii. Dzieje się tak z wielu powodów, do których analizy być może w przyszłości trzeba będzie powrócić. Naukowa produkcja Instytutu Studiów Politycznych pewnie liczy się w zakresie historii i socjologii, ale na polu politologii ogranicza się do podrzędnych prac przyczynkarskich.

Refleksji teoretycznej tutaj nie uświadczymy, chociaż Instytut Studiów Politycznych dumnie głosi, że nią się zajmuje. Na stronie internetowej wymienia się, obok pionu geopolityki, pion teorii polityki<sup>22</sup>. Jednak chyba tylko dlatego, że nie dostrzega się różnicy pomiędzy teorią i filozofią polityki, a o teorii politologii nikt na Polnej 18 nie słyszał. Dlatego w przewodach na stopień bez jakiegokolwiek dozy sceptycyzmu akceptuje się prace, które z przedmiotem politologii nie mają nic wspólnego i na ich podstawie nadaje się stopień doktora, a nawet doktora habilitowanego politologii tym, którzy politologii nie studiowali i nie uzyskali z niej stopnia doktora. Bez jakichkolwiek poważnych egzaminów. Bez zdania nawet jednego egzaminu w teorii i metodologii politologii, po ocenach dokonanych przez historyków i socjologów. **Na Polnej 18 nikogo nie interesuje przedmiot poznania dyscypliny, w której instytut nadaje stopnie naukowe.**

Trudno pewnie wymagać ambitnych działań w warunkach finansowej miserii. Jednak Instytut Studiów Politycznych nadaje stopnie naukowe z politologii,

22 O programie badawczym Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk: <http://www.isppan.waw.pl/informator/informator.htm> (15.05.2011).

a więc powinien określić zakres dyscypliny i nie przyznawać dyplomów za typowe prace historyczne czy socjologiczne, a nawet dotyczące turystyki. Niestety, narzuca się wrażenie, że rada naukowa Instytutu Studiów Politycznych nadaje stopnie z politologii nie zgodnie z kryteriami naukowymi, ale zupełnie innymi. Po prostu jej członkowie jakby nie zdawali sobie sprawy, że politologia ma w ogóle jakiś własny przedmiot badań i akceptują rozprawy wedle kryteriów, których nie da się usprawiedliwić merytorycznie.

Ponieważ nie dokonano określenia przedmiotu poznania politologii, Polna 18 stała się promotorem dokładnie tych samych destrukcyjnych tendencji w polskiej politologii co Krakowskie Przedmieście 3, z racji braku elementarnej wiedzy na temat przedmiotu poznania politologii zatrudnionych tam profesorów socjologii i historii, którzy uważają, że najlepiej wiedzą czym jest politologia. Produkują oni doktorów politologii, także doktorów habilitowanych, którzy nigdy nie zdawali żadnego egzaminu z politologii, a o jej przedmiocie poznania nie mają jakiegokolwiek pojęcia<sup>23</sup>. Cóż jednak mieliby wiedzieć, jeśli tego nie mogą orzec nadający im stopnie. **Bywa przecież, że w przewodach prac nie ocenia ktokolwiek, kto ma dorobek politologiczny. Oceniającymi są najczęściej historycy, a pomagają im socjologowie<sup>24</sup>. Tak oto nie politolodzy, ale przedstawiciele innych nauk społecznych określają, czym jest politologia. Oni jednak nie konstytuują dyscypliny nauki, lecz przekształcają ją w potoczną wiedzę o społeczeństwie.**

Czy byłoby to możliwe, gdyby politolodzy z Krakowskiego Przedmieścia 3 byli twórcami solidnej teorii politologii? Nie sądzę. A więc to w istocie starszy brat, Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych jest odpowiedzialny za zagubienie profesury Instytutu Studiów Politycznych.

Na Polnej 18 doktorzy historii, którym nadano habilitację w zakresie politologii za prace historyczne, teraz recenzują i wspierają kolejne wnioski o nadanie stopnia doktora czy doktora habilitowanego politologii za prace historyczne, a nawet z turystyki. W ten sposób kwitnie wyłącznie pseudonauka i procedura nadawania stopni z politologii za prace na dowolny temat komukolwiek (kto nie zdał żadnego egzaminu z politologii i nie wie, czym jest politologia, w szczególności zaś co bada) stała się normą.

Tak Instytut Studiów Politycznych przekształcił się w jeden z głównych ośrodków psucia polskiej politologii i obracania jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie, gdyż nie prowadzi badań w zakresie teorii i metodologii politologii oraz nie jest w stanie poddać krytyce produktów teoretyków polityki. Może jedy-

23 Dowodzi tego treść prac przyjmowanych w ISP PAN, za które nadaje się doktoraty i habilitacje w zakresie politologii.

24 Dane wedle portalu Nauka Polska.



nie je ignorować. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć procedurę kopiowania zachowań w przewodach doktorskich z innych uniwersyteckich ośrodków politologicznych, które nadają stopnie za prace na dowolny temat i same obracają się w kosze na śmiecie?

W Instytucie Studiów Politycznych doktorem habilitowanym politologii można zostać, nie kończąc studiów politologicznych, nie mając doktoratu z politologii i w ogóle nie wiedząc, czym zajmuje się politologia. Wystarczy, że napisze się pracę historyczną, socjologiczną lub na inny temat, chociażby z „turystykologii”. Znajomość podstaw teoretycznych politologii nie jest egzekwowana od kandydatów nawet w zakresie elementarnym. Jak może być wymagana, kiedy one przestały istnieć w wyniku działalności teoretyków polityki? Na ekonomii, historii i prawie nie jest możliwe uzyskanie nie tylko habilitacji, ale i doktoratu bez odpowiedniego przygotowania. Dlatego ci, którzy tam nie otrzymują stopnia naukowego, udają się na Polną 18.

Skrajnym, ale wcale nie tak rzadkim przykładem owego procesu jest habilitacja przeprowadzona w Instytucie Studiów Politycznych PAN na podstawie rozważań na temat „polityki turystycznej”. W kwestii odległości od przedmiotu badań politologii może z pewnością konkurować z gdańską dysertacją o ruchu drogowym. Autor ukończył socjologię i w tym zakresie się doktoryzował. W swojej pracy habilitacyjnej na niecałych dwóch stronach jasno wykazał, że nie ma pojęcia, czym jest politologia<sup>25</sup>. Nawet nie spróbował określić, czym jest „polityka turystyczna”, zadowolając się stwierdzeniem, które z pewnością szczególnie przypadło do gustu recenzentom i członkom rady naukowej Instytutu Studiów Politycznych: *„Współcześnie zakres analiz politologicznych w turystyce znacznie się rozszerzył i obejmuje kwestie dotąd pomijane i niezauważane”*<sup>26</sup>. Powyższe zdanie jest głównym „politologicznym” ustaleniem zawartym w książce uznanej za rozprawę habilitacyjną na Polnej 18. Innego tam nie sposób znaleźć. Cały tom jest wypełniony podobnymi frazesami, co skłania do wniosku, że rozprawa stała się przedmiotem przewodu habilitacyjnego w zakresie politologii tylko dlatego, że ten gdzie indziej nie mógłby się odbyć. Z pewnością nie jest to praca z politologii, tylko z wiedzy o społeczeństwie i to w wersji mocno potocznej.

Ciekawe, co recenzenci książki *Turystyka i polityka turystyczna*, a także profesorowie zgromadzeni w radzie naukowej Instytutu Studiów Politycznych wiedzą o „zakresie analiz politologicznych w turystyce”? **To pytanie domaga się publicznej odpowiedzi.** Moim zdaniem przypisali sobie kompetencje, którymi nie dysponują, w dyscyplinie, o której przedmiocie poznania nie mają jakiegokolwiek wyobrażenia. Ich zapatrzenie w siebie powoduje, że bez zahamowań niszczą

25 M. Kozak, *Turystyka i polityka turystyczna a rozwój: między starym a nowym paradygmatem*, Warszawa 2009, s. 52–53.

26 *Ibidem*, s. 52, podkreślenie moje.

politologię. Są tego liczne dowody w postaci prac historycznych, za które nierozważnie przyznali habilitacje w zakresie politologii. Ci **profesorowie nie tylko nie wiedzą, jaki jest przedmiot badań politologii, ale nie chcą tego wiedzieć.**

Przyjrzyjmy się niektórym dowodom w sprawie.

Na przykład stopień doktora habilitowanego w zakresie politologii otrzymał Wojciech Śleszyński za typową pracę historyczną. Sam zresztą ją tak określił, wskazując, że posługuje się warsztatem badawczym historyka<sup>27</sup>. Uczciwe postawienie sprawy i jej wykonanie. Śleszyński niczego w swojej książce nie symuluje, na przykład sztucznie odwołując się do prac politologów. Dlaczego więc ówczesny kandydat na profesora, który nie studiował politologii, nie uzyskał stopnia doktora w zakresie politologii, nie zdał żadnego egzaminu z politologii, nie dysponuje jakąkolwiek znajomością literatury politologicznej, nie opublikował prac politologicznych, nie ma świadomości przedmiotu badań politologii, nie dowiódł merytorycznego zainteresowania przedmiotem badań politologii, wystąpił z wnioskiem o nadanie mu stopnia doktora habilitowanego w zakresie politologii?

Przecież białostocki historyk musiał zdawać sobie sprawę z tego, że w przyszłości będzie łatwo zauważyć, iż **otrzymał stopień w dyscyplinie, o której nie ma pojęcia.** Czy uczynił to ulegając modzie? Czy miły jest mu tytuł „pseudopolitologa”, czyli politologa z nazwy, symulującego kompetencje w dyscyplinie, o której nie ma pojęcia? Czy nie lepiej było po prostu habilitować się z dyscypliny, w zakresie której dysponuje się wiedzą i dorobkiem? A tak jest się tylko doktorem habilitowanym w zakresie potocznej wiedzy o społeczeństwie. Gdzie takim tytułem można poważnie się posługiwać?

Jedynym wyjaśnieniem zachowania Śleszyńskiego jest teza, że uległ wpływom kolegów, którzy nie wiedzą, co czynią. Być może też chciał uzyskać stopień w dyscyplinie, która niegdyś sprawiała wrażenie, że szybko się rozwija (czyżby czytał słynny manifest Karwata i uległ jego perswazyjnej potędze?). **Śleszyński z pewnością w okresie starań o habilitację nie wiedział, że habilituje się w dyscyplinie nauki, która znajduje się w fazie upadku i tylko dlatego habilitacja w niej jest możliwa na podstawie pracy niemieszczącej się w ramach przedmiotu poznania tej dyscypliny.** Nie zdawał sobie sprawy z tego, że profesorowie rozwiniętej, poważnej dyscypliny naukowej nie nadadzą w niej stopnia za pracę z innego obszaru. Takie postępowanie jest możliwe tylko w środowisku upadłym. Białostocki historyk napisał obszerną pracę habilitacyjną, by na jej podstawie uzyskać stopień w dyscyplinie, w której jest kompletnym dyletantem. Czy aby nie jest to jednak przede wszystkim świadectwem kompetencji rady nauko-

27 W. Śleszyński, *Bezpieczeństwo wewnętrzne w polityce państwa polskiego na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2007, s. 11.

wej Instytutu Studiów Politycznych, która zdeorientowanych historyków kieruje na manowce nauki?

W przypadku habilitacji Joanny Sadowskiej, poświęconej Związkowi Młodzieży Socjalistycznej, zatytułowanej *Sercem i myślą związani z Partią*, sprawa już nie jest taka prosta, ponieważ autorka próbuje symulować znajomość literatury politologicznej i prowadzić wywód politologiczny. Czyni to jednak tak bardzo niekompetentnie, że każdy, kto cokolwiek rozumie z politologii, podczas lektury pracy widzi, iż cytowania publikacji politologicznych są przypadkowe, a autorka odwołuje się nie do tych autorów, do których należałoby się odnieść. Politologia nie jest tak marna, aby można było zaznajomić się z jej dorobkiem, przeglądając najwyżej kilkanaście książek. Tak prostą drogą autorka próbuje udawać erudycję politologiczną, odwołując się do skromnego wyboru tekstów. Niczym student, który na zaliczeniu chce oszukać profesora i daje mu pracę, na podstawie której zaliczył już inne zajęcia. W tym przypadku zresztą kandydatka też z pewnością nie zadawała sobie sprawy nie tylko z tego, czym jest politologia, ale i jaki jest stan dyscypliny. Nie była świadoma, że faktycznie otrzymuje stopień w zakresie potocznej wiedzy o społeczeństwie.

Rozprawa Sadowskiej wyraźnie dowodzi jednak całkowitej obcości dyscypliny, w której został nadany stopień naukowy. Końcowe rozważania na temat modelu badanej organizacji, mające dowieść rzekomego politologicznego charakteru rozprawy, rażą sztucznością i powierzchownością. Podczas lektury pojawia się myśl o amatorskim warsztacie autorki. Gdy czytam, że system komunistyczny był faktycznie systemem monopartyjnym, „[...] gdzie patronująca organizacji [czyli ZMS] partia hegemoniczna miała gwarancję sprawowania władzy [...],<sup>28</sup>” wątpię, czy Sadowska w ogóle rozumie, czym jest system polityczny, w szczególności zaś czym był w jego radzieckiej wersji, jeśli do wyjaśnienia wykorzysta się dorobek politologii. Nie mam jednak złudzeń, że autorka nie zdaje sobie sprawy z tego, iż w politologii z pojęciem *hegemonii* łączą się konkretne treści. Hegemonia nie jest synonimem dominacji, jak potocznie się twierdzi, ale oznacza przywództwo o szczególnym charakterze, związane z przewodnictwem i prowadzeniem. Przypisywanie funkcji hegemonicznych PZPR, a z tym faktycznie mamy do czynienia w rozprawie habilitacyjnej Sadowskiej, dowodzi, że byłoby lepiej dla autorki, gdyby habilitowała się w zakresie swoich pierwotnych zainteresowań, czyli historii oświaty. Wtedy mogłaby wykazać się erudycją i nikt nie podważałby jej kompetencji.

Natomiast kierując się ku przedmiotowi poznania politologii bez jego elementarnej znajomości, Sadowska niepotrzebnie naraziła się na ryzyko zarzutu ig-

28 J. Sadowska, *Sercem i myślą związani z Partią. Związek Młodzieży Socjalistycznej (1957–1976)*, Warszawa 2010, s. 429.

norancji w sprawach elementarnych. Dowiodła, że nie ma pojęcia o podstawowych terminach dyscypliny. Autorka w swojej pracy błądzi zawsze tam, gdzie próbuje się brać za przedmiot poznania politologii. Dlatego własny wywód wspomaga nieporadnymi zdaniami typu „Temat książki jest obszerny, wielowątkowy i złożony”<sup>29</sup>. Tak właśnie piszą ci, którzy nie czują się dobrze w podjętym temacie, nie rozumieją przedmiotu poznania i metod obcej sobie dyscypliny. Posiłkują się pozbawionymi sensu zdaniami pomocniczymi. Kiedyś usuwali je pracownicy redaktorzy, ale w czasach wydawnictw publikujących teksty w wersji autorskiej coś takiego już nie może mieć miejsca.

Gdyby Sadowska pozostała historykiem oświaty albo nawet zajęła się historią polityczną, mogłaby uchodzić za fachowca. **Tak ma tylko habilitację z dyscypliny, o której przedmiocie poznania niczego nie wie.** Jedyne nieświadomie wniosła wkład do przekształcania politologii z dyscypliny nauki w wiedzę o społeczeństwie. Rozprawa habilitacyjna jest poważnym dowodem w tej sprawie. Wydaje mi się, że książka o Związku Młodzieży Socjalistycznej mogłaby służyć do ćwiczeń ze studentami na temat odrębności przedmiotu poznania i warsztatu naukowego historyka i politologa. W każdym razie jej lektura dowodzi, że po przekartkowaniu kilku czy nawet kilkunastu książek nie da się historyka przekształcić w politologa. Politologia nie jest tak niedojrzała i uboga, aby w krótkim czasie można było zorientować się w jej problematyce.

Zastanawiające jest, że doktor, która uzyskała wykształcenie w niegdyś nobliwej dyscyplinie historii, zbudowanej na wyrafinowanej metodologii, którą uczyli profesorowie zaszczipiający studentom szacunek do wiedzy, a także wpajali, co znaczy metoda, może sądzić, że historyczną pracą symulującą metody innej dyscypliny, bez zrozumienia jej przedmiotu poznania, uzyska liczący się wynik. **Czy aby nie mamy tutaj do czynienia z upadkiem środowiska historyków polskich, a białostockich w szczególności, gdzie mistrzowie wymarli i młodzież całkowicie się zagubiła?** A może szło tylko o stopień naukowy? Wtedy jednak mamy do czynienia ze sprzeniewierzeniem się idei nauki i przeznaczeniu uniwersytetu. Jest to już przypadek podlegający ocenie etycznej.

Pracą historyczną jest też publikacja Jacka Sawickiego<sup>30</sup>, absolwenta studiów historycznych i doktora historii. Autor nie sili się, aby wykazać jakkolwiek znajomością dorobku politologii. Gdyby wszak był politologiem, nie dałby swojej rozprawie habilitacyjnej tytułu *Bitwa o prawdę*. Tymczasem tytuł ten jest nieprzypadkowy. Autor faktycznie wierzy, że społeczeństwo walczące z monopolem informacji w państwie komunistycznym ustalało prawdę. Zresztą autor sam też tak pisze, że ma się wrażenie, iż swoim powołaniem uczynił ogłaszanie prawdy. Ni-

29 *Ibidem*, s. 19.

30 J. Sawicki, *Bitwa o prawdę. Historia zmagania o pamięć powstania warszawskiego 1944–1989*, Warszawa 2005.

czym inny historyk, Mirosław Piotrowski, który oczekuje, że sąd ustali prawdę w jego sporze z recenzentem. Przynajmniej tak wynika z wywiadu udzielonego gazecie przez europośla<sup>31</sup>.

W przypadku Sawickiego mamy do czynienia z historią w wydaniu Instytutu Pamięci Narodowej. A przecież każdy szanujący się historyk wie, że jest to inna historia. Nie na poziomie uniwersyteckim, tylko stanowiąca środek używany w walce politycznej. Symbolem tej historiografii jest głośna książka o Lechu Wałęsie. Wiedzą to szanujący się politolodzy i dlatego żaden z nich nie głosowałby za nadaniem jakiegokolwiek stopnia naukowego za publikację *Bitwa o prawdę*.

Zdaje się, że anachroniczna koncepcja poznania, na której zbudowano wywód w tej książce, gdzie prawda rozumiana politycznie uznana została za przedmiot badania naukowego w sensie dosłownym (autor pojmuje siebie jako tego, który oddziela prawdę od fałszu i określa co jest prawdą), opanowała część umysłów polskich historyków. Być może czują się powołani do nadawania stopni w zakresie politologii, nie zdając sobie sprawy, że wnoszą wkład do upadku politologii i jednocześnie dowodzą co najmniej głębokiego kryzysu polskiej historiografii. Tymczasem *Bitwa o prawdę* mocno przypomina w zakresie nastawienia poznawczego autora roszczenia i styl narracji Mirosława Karwata z jego ostatniej książki o akredytacji. Może się myśleć, ale chyba mamy tu do czynienia z zaangażowaniem, które polega na forsowaniu szeregu twierdzeń uznawanych za bezwzględne. Dokładnie w stylu minionego, potępionego ustroju.

Gdyby Sawicki cokolwiek poznał dorobek politologii, gdyby przeczytał parę książek z zakresu socjologii wiedzy (a w przypadku pracy z takiego tematu przedkładanej na stopień doktora habilitowanego politologii są one niezbędne – czy socjolodzy zgrupowani w radzie naukowej instytutu zwrócili uwagę na ten problem?), wówczas nie pisałby w kategoriach czarno-białych, ale posłużyłby się bardziej wyrafinowanymi pojęciami analitycznymi. Mamy tu do czynienia z książką historyczną, opartą na materiale źródłowym. W tym kontekście nie będę jej oceniał. Jednak mam jasność, że jej treść nie uprawnia do nadania stopnia naukowego w zakresie politologii przez szanujące się gremium profesorów. Nie tylko dlatego, że jest to studium historyczne, ale ponieważ opiera się na kategoriach analitycznych, które nie mają charakteru naukowego, natomiast mocno pachną niezbyt wyrafinowaną strategią zdobywania wpływów w życiu publicznym („polityką”?), praktykowaną przez kierownictwo Instytutu Pamięci Narodowej (gdzie nauki historyczne pojmuje się jako „walkę o prawdę”) i są sprzeczne z elementarnym dorobkiem politologii i w ogóle nauki. Zakończenie książki nie zawiera żad-

31 <http://www.kurierlubelski.pl/opinie/381948,piotrowski-poleszak-spor-lubelskich-historykow-w-sadzie,id.t.html?cookie=1> (19.04.2011).

nego ustalenia, które można byłoby uznać za efekt badania naukowego. Ma ono raczej formę gazetowego felietonu, omawiającego sprawy szeroko znane<sup>32</sup>.

Kiedy autor pisze: „Walka o prawdę Powstania Warszawskiego była częścią szerszych zmagania społeczeństwa z władzą komunistów na polu pamięci. O ile kłamstwo katyńskie opierało się na zмовie milczenia, o tyle manipulacja wokół Powstania Warszawskiego prowadzona była w sposób jawny”<sup>33</sup> – mamy tu do czynienia z językiem perswazyjnym, z językiem politycznym, który nie tylko niczego nie wyjaśnia, ale wręcz uniemożliwia analizę mechanizmów politycznych. Tym zaś, czyli badaniem mechanizmów politycznych, zajmuje się politolog, jeśli cokolwiek rozumie ze stojącego przed nim zadania. Szczególnie w pracy habilitacyjnej, gdzie kandydat powinien zademonstrować wnikliwość, obiektywność oceny, przede wszystkim zaś głębię analizy. **Politolog nie może pisać o „kłamstwie katyńskim”, ponieważ wtedy musiałby stwierdzić, że wszelka polityka opiera się na kłamstwie i jest kłamstwem.** Już tylko to elementarne ustalenie zmusza do posługiwania się bardziej wyrafinowanym językiem, który posunięcia polityczne interpretuje w kategoriach ich funkcji, a nie oceny moralnej.<sup>34</sup>

Politolog napisałby o posługiwaniu się wiedzą na temat Katynia jako środkiem politycznym, jako narzędziem kształtowania świadomości społecznej celem jej utrzymania w pożądanym stanie. Jest to normalna funkcja realizowana przez każdą władzę, przez dowolne kierownictwo partii politycznej, które interpretują historię wedle własnych interesów. Na przykład w postaci polityki historycznej w rozumieniu Prawa i Sprawiedliwości czy Platformy Obywatelskiej. Trzeba jednak rozróżnić typy manipulacji wiedzą historyczną, by to zrozumieć. Taki wywód, oddzielający politykę prowadzoną w imię obcych interesów i interesów narodowych, nie tylko byłby zbyt trudny dla autora *Bitwy o prawdę*. On był w jego przypadku niemożliwy, ponieważ Sawicki widzi w sobie bojownika walczącego o prawdę i nie rozumie, że w XXI w. już nie sposób uznać takiego „podejścia” za naukę.

Sawicki nie pokazał gry interesów potęg, która określała interpretacje powstania warszawskiego, nie przeanalizował warunków społecznych, w jakich się toczyła, tylko postawił tezy mające wspierać jego konkretne preferencje polityczne. Zgodnie z „polityką historyczną” realizowaną w Instytucie Pamięci Narodowej. Tak oczywiście ma prawo pisać, tylko czy za pracę z praktycznej „polityki historycznej” wypada nadawać stopień doktora habilitowanego? Czy praktyczna „polityka historyczna” należy do politologii? Czy należy do potocznej albo doktrynalnej wiedzy o społeczeństwie?

32 J. Sawicki, *Bitwa o prawdę...*, op. cit., s. 206–208.

33 *Ibidem*, s. 206.

34 Na temat prawdy i historii zob. niżej s. 249 i 254.

Czy praca historyczna w tym przypadku nie została poddana ocenie w przedwie na stopień z politologii, ponieważ w Instytucie Studiów Politycznych politologię pojmuje się nie jako badanie naukowe w zakresie konkretnego przedmiotu poznania, ale jako głoszenie prawdy politycznej? Może nawet politologię pojmuje się jako wiedzę obywatelską? Wtedy oczywiście wszystko byłoby w porządku, ponieważ praca Sawickiego jest bardzo obywatelska w dość specyficznym rozumieniu owego terminu. Warto jednak mieć świadomość, że **politologia nie jest wiedzą obywatelską, tylko jest dyscypliną nauki o określonym przedmiocie poznania**. Czy *Bitwa o prawdę* zostałaby zaakceptowana na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego albo w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk? Tego nie wiem, mam jednak pewność, że rozprawa habilitacyjna Sawickiego nie ostałaby się już po elementarnej analizie politologicznej.

Można zastanawiać się, czego dopracowało się środowisko naukowe, które wydało profesorów rewolucjonistów, czujących powołanie do „bitwy o prawdę” w sądzie i w pracy habilitacyjnej. Jak nisko upadło środowisko historyków, które nie zastanawia się, w jakim przedmiocie badań przyznaje stopnie naukowe? Czy aby nie mamy tutaj do czynienia z pseudonauką w wydaniu historyków polskich?

Jak zauważają metodolodzy: „Z uwagi na znaczny prestiż wiedzy naukowej coraz liczniejsze fragmenty innych gatunków wiedzy (w tym także irracjonalnej) udają wiedzę naukową, przybierając odpowiednią postać językową, naśladowując sformułowania naukowe”<sup>35</sup>. Czy aby w Instytucie Studiów Politycznych nie nadaje się stopnia doktora habilitowanego politologii dlatego, że dzisiaj łatwo symulować badania politologiczne pracami z potocznej wiedzy o społeczeństwie, a nawet książkami z wiedzy obywatelskiej w stylu PRL, a politolodzy przejściowo zdołali wytworzyć wrażenie ważności ich wiedzy? Także dlatego, że politologia nieoczekiwanie zdobyła sobie miejsce w mediach, przede wszystkim jako naiwna wiedza, prezentowana przez socjologów, którzy pozwalają się tytułować niefortunnym mianem „socjolog–politolog”? Chyba nikt na Polnej 18 nie zdaje sobie sprawy z tego, że obrócono ją w pseudonaukę, w wiedzę o społeczeństwie, w pseudoobywatelskie, medialne dywagacje. Może stopnie z politologii nadaje się komu popadnie dlatego, że młodzież garnęła się na wydziały politologii, tam była praca i łatwo dyletanci mogli młodym ludziom mieszać w głowach?

Przykładów prac historycznych, za które rada naukowa Instytutu Studiów Politycznych nadała stopnie w zakresie politologii, jest znacznie więcej. Już jednak przytoczone wystarczą do wykazania, że oto mamy tu do czynienia ze starą praktyką spychania wszystkich odpadków do placówek politologicznych. Jak to już niegdyś pokazano na przykładzie pedagogiki<sup>36</sup>, nikt jednak nie zauważył,

35 J. Such, M. Szcześniak, *Filozofia nauki*, Poznań 1999, s. 41.

36 Taki przypadek opisuje Cz. Mojsiewicz (*Problem tożsamości politologii*, „Prawo i Polityka. Półrocznik Lubelskiej Fundacji Przedsiębiorczości” 2009, nr 1, s. 86). Ciekawe, czy znany jest jakikolwiek przypadek spycha-

do czego to w końcu prowadzi. W ten sposób historycy i socjologowie wspierają zagubionych **politologów w przekształcaniu ich placówek naukowych w kosze na śmiecie, stawiając na marginesie uniwersytetu albo wręcz poza nim**. Kiedyś chroniła przed tym Centralna Komisja, podważająca nieodpowiedzialne decyzje rad wydziałów. Dzisiaj już nie ma instytucjonalnych hamulców w tym zakresie. **Istnieje natomiast „intelektualny” bodziec ze strony teoretyków polityki, aby akceptować wszystko, jeśli tylko jest poparcie kolegów. Przecież nie wiadomo, czym jest politologia**. Dlatego można stwierdzić, że jest ona jak pedagogika i wiedza o pracy. Faktycznie zaś mamy tutaj już do czynienia z czymś, co należy porównywać z wiedzą z zakresu „turystykologii”, bezpieczeństwa i higieny pracy, ruchu drogowego, a najpewniej alchemii, astrologii i meteorologii – oczywiście tej amatorskiej.

**Ciekawe, jaki interes mają historycy i socjologowie zasiadający w radzie naukowej Instytutu Studiów Politycznych, aby nadawać stopnie z politologii tym, którzy przedstawiają im dorobek z zakresu doktrynalnej lub potocznej wiedzy o społeczeństwie? To pytanie także domaga się publicznej odpowiedzi.**

W efekcie działalności teoretyków polityki przed politologią otworzyła się nowa, fascynująca perspektywa: przeprowadzanie przewodów habilitacyjnych ambitnych „turystykologów” (nie mylić z turkologami), drogowców, wykładowców szkół jazdy, zdezorientowanych historyków i behapowców (ciekawe, dlaczego socjologowie odmawiają im dostępu do swojego grona?). Faktycznie zaś ci, którzy habilitują się na wydziałach politologii albo nie rozumieją, co czynią, albo z premedytacją działają nieuczciwie, wykorzystując dezorientację politologów celem uzyskania pożądanego z próżności, gdzie indziej nieosiągalnego stopnia.

Trzeba powiedzieć jasno: **kto uzyskał stopień z politologii na podstawie pracy, która nie mieści się w przedmiocie badań politologii, sam sobie wystawił świadectwo. Takie samo świadectwo samodzielnie wystawia sobie każda rada naukowa, która za prace z wiedzy o społeczeństwie czy wychowania obywatelskiego nadaje stopnie w zakresie politologii**. Nie sposób inaczej ocenić tego typu działalności. Tak mogą postąpić tylko kandydaci i rady naukowe w warunkach braku wiedzy, czym jest politologia i jaki jest jej aktualny status. Z pewnością do przedmiotu badań politologii nie należą turystyka, bezpieczeństwo i higiena pracy, zagadnienia regulacji ruchu drogowego, a także problematyka samorządowa i gospodarki przestrzennej. Powinni o tym wiedzieć profesoria zasiadający w radach naukowych przyznających stopnie z zakresu politologii.

---

nia pracy politologicznej na wydział pedagogiki, aby tam został przeprowadzony przewód. Zaryzykuję hipotezę, że coś takiego nie miało miejsca. Pedagodzy wiedzą, czym jest ich dyscyplina. Natomiast na wydziałach politologii zaden „talent” się nie zgubi. Dlatego „politologowie” w odróżnieniu od „pedagogów” nie wyjeżdżają już za granicę, aby się habilitować. Oni to wszystko robią u siebie w domu, a nie na Białorusi czy na Słowacji.



Jeśli tego nie wiedzą, czynią krzywdę zdezorientowanym kandydatom na pseudopolitologów. Oni także rujną dyscyplinę nauki.

### 23. Od teorioignorancji do postpolityki

Nieznajomość teorii, która jest podstawą dyscypliny naukowej i punktem wyjścia wszelkich badań w jej ramach, to cecha znamienna politologów III Rzeczypospolitej. Oni są tymi, którym w dyscyplinie politologii niezmiernie rzadko udaje się cokolwiek interesującego powiedzieć – na dodatek czynią to co najwyższej intuicyjnie. Towarzyszy temu skłonność do kopiowania tego, co łatwo wpada w oko lub ucho.

Jak wskazałem, kiedyś z poświęceniem kopiowano wzory marksistowskie i radzieckie. Na nich została w znacznej mierze oparta wydana w 2010 r. książka Klementewicza *Rozumienie polityki*, której duchowym fundamentem jest kryptomarksizm. Zjawiska ignorancji w zakresie teorii i skłonność do kopiowania znajdują jednak szeroki wyraz w polskiej politologii. Pojawiają się kolejne generacje pracowicie powielających treści wymyślone przez innych, politologów nieświadomie wcielających się w rolę ideokopiarek. Oni wprawdzie piszą własnymi słowami i nie są autorami zwykłych plagiatów. Problem jednak w tym, że nie są twórcami własnych twierdzeń i koncepcji, a na dodatek bezkrytycznie posługują się treściami nie tylko wymyślonymi przez innych, ale prowadzącymi myślenie na manowce, na obszar pseudonauki.

W uprawianej przez politologów teorii stosunków międzynarodowych i w ogóle nauce o stosunkach międzynarodowych kopiowanie stosuje się na wielką skalę. Do tego stopnia, że do podręczników trafiają pozbawione teoretycznego uzasadnienia wizje „świata jednobiegunowego”, przeniesione z publikacji współczesnych publicystów amerykańskich, a prawdopodobnie także z raportów urzędników Departamentu Stanu. Tego wszystkiego uczą się studenci politologii i stosunków międzynarodowych. Umysłów przyszłych członków polskich elit nie kształtują wzorce akademickie, oni nie przyswajają sobie teorii naukowych, by rozwijać zdolność samodzielnego rozumowania. Ich indoktrynuje się już nie marksizmem, ale wizjami uzasadniającymi imperialistyczną politykę amerykańskiej oligarchii

Kiedy Teresa Łoś–Nowak wprowadza podejrzane tezy o jednobiegunowym systemie międzynarodowym do podręczników dla studentów przy braku reakcji jakiegokolwiek recenzenta, spekulując na temat zdolności Stanów Zjednoczonych do „[...] sprostania wyzwaniom związanym z takim modelem systemu globalne-

go<sup>37</sup>, rodzi się myśl, że niezdolność krytyki wiedzie do katastrofy doświadczonej profesury.

Działanie amerykańskiego wirusa możemy zaobserwować w lubelskim podręczniku międzynarodowych stosunków politycznych, gdzie Marek Pietraś, redaktor tomu i główny autor, pisze: „Obecny, pozimnowojenny ład międzynarodowy jest ładem jednobiegunowym, określonym przez hegemoniczną pozycję Stanów Zjednoczonych. [...] potęga USA jest bezprecedensowa w dziejach ludzkości. [...] w warunkach bezprecedensowej potęgi Stanów Zjednoczonych pozostałe mocarstwa nie są w stanie, nawet przez koalicję, stworzyć przeciwwagi. Oznacza to w praktyce odchodzenie od charakterystycznej dla westfalskiego ładu międzynarodowego zasady równowagi sił. Będąc przez kilka wieków podstawą międzynarodowego bezpieczeństwa i stabilności, zasada ta jest obecnie zastępowana jednobiegunową, hegemoniczną stabilnością<sup>38</sup>”.

Roman Kuźniar charakteryzuje swoje poglądy na ten temat następującymi słowami: „Pozycja Stanów Zjednoczonych w porządku międzynarodowym jest jedynie najbardziej spektakularnym i skoncentrowanym wyrazem wertykalizacji świata w procesach globalizacji. Przejawów tej tendencji jest znacznie więcej. Należy do nich, co jest częściowo związane ze wspomnianą powyżej pozycją USA, odchodzenie od zasady równowagi sił, wcześniej uważanej za fundament stabilności i bezpieczeństwa międzynarodowego, na rzecz świata <<jednobiegunowego>>, w którym <<centrum>> (USA), współpracując z wybranymi państwami, stara się zapewnić globalną stabilność<sup>39</sup>”.

Cytowanych profesorów kompletnie zawiodła intuicja. W efekcie nieznamości solidnej teorii politologii doszli do tego, że kopiują slogany z okresu zimnej wojny i postzimnowojenne wizje, wyrażające interesy amerykańskiej oligarchii, niezdolni uświadomić sobie, jakie skutki wywołują ich czyny. **One są znaczącym wkładem do destrukcji politologii i internacjologii, do szkolenia przyszłych członków polskich elit w niewolniczym, neokolonialnym myśleniu, zależnym od imperialnego centrum.**

Kopiowanie nie ogranicza się do specjalistów od problematyki międzynarodowej, ale jest zjawiskiem powszechnym na uniwersyteckich wydziałach politologii. Ta czynność jest tutaj faktycznie główną aktywnością, a poświęcają jej najbardziej szanowani profesorowie. Tylko dlatego, że **nie dysponują solidną wiedzą teoretyczną i stają się w ten sposób bezbronni wobec propagandy po-**

37 T. Łoś–Nowak, *System międzynarodowy*, (w:) *idem* (red.), *Współczesne stosunki międzynarodowe*, Wrocław 2008, s. 109.

38 M. Pietraś, *Pozimnowojenny ład międzynarodowy*, (w:) *idem* (red.), *Międzynarodowe stosunki...*, op. cit., s. 304–306.

39 R. Kuźniar, *Porządek międzynarodowy wczesnej globalizacji*, (w:) E. Haliżak, R. Kuźniar (red.), *Stosunki międzynarodowe. Geneza, struktura, dynamika*, Warszawa 2006, s. 524.

## **litycznej, wobec nachalnego, perswazyjnego języka mediów. Oni go przejmują i za jego pomocą symulują działalność naukową.**

Dlatego politolodzy nie będą badać tego, co polityczne. Oni mają własną tradycję zajmowania się problemami dostarczonymi im przez media i przygotowują się już do kolejnego „wielkiego” przedsięwzięcia, do „debaty” na nowy temat, popularyzowany ostatnio przez dziennikarzy. Jest nim „postpolityka”.

Tylko pozbawieni elementarnej wiedzy o tym, co polityczne, mogą twierdzić, że świat wkracza obecnie w fazę postpolityczną. Jest to co najwyżej swobodna, nieświadoma reprodukcja rozumowania Francisa Fukuyamy, który wprawdzie nie posługiwał się tym terminem, ale przecież postzimnowojenny, liberalny świat widział jako wolny od wielkich konfrontacji politycznych. W tym trendzie myślowym mieści się publicystyczna wizja postpolityki. Nie przeszkadza to jednak politologom, chętnie podejmującym wątek, który prawdopodobnie przyśnił się jakiemuś dziennikarzowi, rozpaczliwie w pośpiechu wymyślającemu tematy dla swoich kolegów z redakcji<sup>40</sup>, gdy usłyszał wpadający w ucho termin z ust powierzchownie myślących filozofów i socjologów. Jego koledzy sprowokowali niegdyś nawet na ten temat „dyskusję” „poważnych” autorytetów w „Dzienniku”<sup>41</sup>.

*Postpolityka* to przedni termin, wbijający się w struktury pojęciowe umysłu tak samo, jak *geopolityka*, *biopolityka*, *etnopolityka*, *równowaga sił*, *system jednobiegunowy* i *system wielobiegunowy*. Nikt nie zauważa, że służy on co najwyżej do powierzchownego opisu dających się łatwo zaobserwować zjawisk społecznych. Zjawisk postrzeganych na sposób potoczny, ludowy, a na dodatek mylnie wyjaśnianych. *Postpolityka* to termin prosty w użyciu nawet wówczas, gdy zupełnie nie ma się pojęcia, co znaczy. Słowo to znakomicie wpada w ucho. Dlatego publicyści posługują się nim w odniesieniu do każdego problemu. Zwłaszcza kiedy nie rozumieją, co się dzieje<sup>42</sup> lub chcą walczyć z całym światem<sup>43</sup>. *Postpolityka* to idealny termin do pisania codziennych tekstów do gazet, ale nie nadaje się do analizy naukowej. Niestety, zatrudnieni na polskich uniwersytetach politolodzy wykształceni w zakresie pseudonauki, jaką jest potoczna wiedza o społeczeństwie, nie zdają sobie z tego sprawy.

Jednak ktoś zdolny wprowadzić „postpolitykę” do prac naukowych już się pojawił w środowisku politologów i prawdopodobnie jako pierwszy opublikował

40 Jak wiadomo, redakcje zatrudniają już specjalistów zajmujących się wymyśleniem tematów o nieistniejących problemach. Przynajmniej jeden z moich dawnych studentów pracuje nad tym w redakcji regionalnego dziennika.

41 <http://wiadomosci.dziennik.pl/wydarzenia/artykuly/68009,antypolityka-polityka-postpolityka.html> (12.04.2011)

42 „Człowiek, który wtargnął do łódzkiej siedziby PiS z bronią i zabił jedną, a ranił drugą osobę to jednocześnie produkt i ofiara postpolityki”. P. Ciszewski. *Groźna postpolityka*, „Lewica.pl” 28.10.2010, <http://www.lewica.pl/?id=22714> (18.11.2010).

43 „Szał postpolityki niszczy tradycyjne wspólnoty”. „Nasz Dziennik” 30.06.2010, <http://www.naszdziennik.pl/index.php?dat=20100630&typ=my&id=my11.txt> (20.11.2010).

na ten temat tekst w periodyku o statusie akademickim<sup>44</sup>. Autor bez żadnych zahamowań przeinacza poglądy Webera, ma problemy z wyrażeniem, czym jest polityka, nie mówiąc już, że nie wie nic o tym, co polityczne. Nie pojmuje też, że stosunki polityczne, środki polityczne i metody polityczne nie są stałe, ale ewoluują w czasie. Nie widzi polityki międzynarodowej. Nie przeszkadza mu to jednak ogłaszać, że władza w polityce nie może być celem samym w sobie, a taka jest dzisiejsza polityka i dlatego przeżywa kryzys. W sprytnie napisanym tekście, gdzie dominuje tanie moralizowanie i tylko fachowiec znajdzie elementarne błędy, bo przecież dyletanci ich nie zobaczą, gdzie widać, że autor nie zna podstaw wiedzy z teorii i metodologii politologii, prowadzi się jednak „rozważania” i nawet próbuje wyciągać wnioski, chociaż łatwo dostrzec, że brak dla nich jakiegokolwiek uzasadnienia. Tekst tego politologa to symptomatyczny (a może syndromatyczny?) popis charakterystycznej dla politologów młodego pokolenia dramatycznej ignorancji i arogancji. Za dziennikarzami piszą, co im przyjdzie do głowy, bez żadnego namysłu. Potem takie teksty drukują „renomowane”, wysoko punktowane periodyki i rodzi się nowa generacja „uczonych”.

Nasz młody, zafascynowany postpolityką, nie tyle ambitny, co sprytny i pędzący doktor, trzy lata po promocji opublikował już zresztą własny podręcznik, z dumą ogłaszając to światu<sup>45</sup>. Może więc uchodzić za uznany autorytet naukowy, tym bardziej że sprawnie chwyta treści gazetowe i tym samym jest „top-trendy”. Ciekawe, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy z niestosowności pisania podręcznika w tak młodym wieku, przy braku doświadczenia dydaktycznego i erudycji. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co stałoby się z nim po poważnej analizie kogoś, kto nie jest ignorantem. Tym bardziej nie może sobie zdawać sprawy z tego, że bezkrytyczne posługiwanie się przez badacza nowymi, zwłaszcza popularyzowanymi w gazetach terminami, jest niezwykle ryzykowne i warto byłoby pewnie zaczekać, co na ten temat mają do powiedzenia starsi. Przecież jednak tekst został przyjęty do druku w „Studiach Politycznych”, a więc zdaje się, że zaakceptowali go starsi koledzy. Czy ktokolwiek kompetentny czytał go przed publikacją?

Ktoś mógłby powiedzieć, że nieprzemyślany artykuł o postpolityce to pojedynczy przypadek błędu redakcji naukowego czasopisma, która dopuściła tekst publicystyczny do druku. Ktokolwiek jednak by tak rozumował, jest w błędzie. Oto idzie cała fala tekstów na ten temat. Kolejni uczeni nowego typu, nieświadomi własnego udziału w procesach macdonaldyzacji uniwersytetów, niezdający sobie sprawy z poziomu własnej erudycji, upowszechniają „postpolitykę” na „salonach” placówek politologicznych, by sprowadzać naukowe periodyki na poziom

44 B. Michalak, *Czy grozi nam depolityzacja polityki? Rozważania na temat wizji postpolitycznej*, „Studia Polityczne” 2010, nr 25, s. 129–145.

45 <http://michalak.prac.umk.pl/> (20.11.2010).

publicystyki politycznej, zwykle gorszej od tego, co można poczytać w tekstach zamieszczanych w „Rzeczpospolitej” i „Gazecie Wyborczej”. **Ludzie ci są zupełnie nieświadomi roli długiego, rozciągającego się na życie wielu pokoleń, procesu kumulowania wiedzy, doświadczenia i znaczenia teorii w uprawianiu nauki. Czym jest przecież tekst młodego autora, jak nie efektem czerpania inspiracji z dorobku teoretyków polityki i tego, co robią teoretycy stosunków międzynarodowych.** Oni dysponują już międzynarodowym kościołem z Tukidydesem na ołtarzu. Być może teraz ukształtuje się światowy kościół postpolityki? Gdyby istniała solidna teoria politologii to wszystko, to całe gazetowe zamieszanie wokół postpolityki nie byłoby możliwe w normalnej dyscyplinie nauki.

Tymczasem proces wprowadzania *postpolityki* do debaty politologicznej uległ ostatnio dramatycznemu przyspieszeniu. Oto historyk habilitowany w zakresie swojej macierzystej dyscypliny, ale wykładający na uniwersyteckim wydziale politologii (a więc uważający się za politologa i uznawany za takiego w środowisku), w innym najwyżej punktowanym wydawnictwie politologicznym, wydawanym przez instytut flagowego uniwersytetu, kontynuuje debatę na temat postpolityki i przez pryzmat tej koncepcji analizuje ostatnie wybory prezydenckie w Polsce. W tomie, który wypełniają powierzchowne teksty poświęcone analizie nie naukowo pojmowanych zjawisk politycznych, ale potocznie rozumianych, łatwo rzucających się w oczy trendów obserwowanych w telewizji i technik marketingu, jak „ocieplanie wizerunku polityka” i „celebrytyzacja” polityki. Do tego dochodzą osobiste refleksje profesora politologii na temat wyborów prezydenckich. Przecież to wszystko jest czystą publicystyką, a nie nauką. Publicystyką bardzo niskiej próby, za którą na uniwersyteckich wydziałach politologii nalicza się pracownikom punkty normalnie przyznawane tylko za publikacje o statusie naukowym. Ta produkcja nie osiąga poziomu analiz z „Gazety Wyborczej”, chociaż jest oparta głównie na nich. Na tym tle tekst z zakresu postpolityki wygląda nawet poważnie, by nie rzec nobliwie. Może się wydawać, że kryje się za nim jakaś poważna myśl czy nawet teoria.

Jarosław Macała swój *Sukces postpolityki? Refleksje*<sup>46</sup> o wyborach prezydenckich w 2010 r. kończy nawet konstruktywnym, trafnym wnioskiem: mamy do czynienia ze zmianą metod, a nie istoty polityki<sup>47</sup>. Wcześniej jednak niestety konstataje, cytując tekst publicystyczny, że sporo jest racji w twierdzeniu, iż „[...] postpolityka zdobywa świat [...]”<sup>48</sup>. Łatwo zauważyć, że cały artykuł został oparty na wiedzy zaczerpniętej z gazet i nie jest niczym więcej jak publicystyką, która zeszyła z komputera kogoś, kto zupełnie nie ma pojęcia, czym jest polityka. W ar-

46 Kto publikuje w czasopiśmie naukowym *refleksje*?

47 J. Macała, *Sukces postpolityki? Refleksje o wyborach prezydenckich w 2010 r.* „Studia Politologiczne” 2011, vol. 19, s. 108.

48 *Ibidem*, s. 107.

tykule analizuje się istotne zjawiska, odwołuje do wątpliwego, gazetowego słownictwa, ale brak jakiegokolwiek odniesienia chociażby do jednego poważnego politologicznego tekstu. Cytowana literatura jest dobrana zupełnie przypadkowo. Dowodzi to, że dorobek politologii w zakresie analizy polityki nie jest zielonogórskiemu profesorowi znany, ale za to nie brak mu odwagi do prowadzenia rozważań, do których znajomość teorii politologii jest niezbędna.

Problem jest jednak poważniejszy, a polega na tym, że **politologia polska wykazuje już tendencję do obracania się w pseudonaukę do tego stopnia, że nazywający się „politologami” i zapelniający swoimi tekstami wydawnictwa politologiczne jedyne inspiracje czerpią z języka mediów**. Tylko na tej fali pozbawiony sensu termin *postpolityka* może wkraczać na salony uniwersytetu, jakby nikt nie widział, że wprowadzający go nie odrobili lekcji przed wejściem, nie przemyśleli swoich czynów i kopiują z gazet bez żadnej krytycznej refleksji, bez jakichkolwiek zahamowań.

Oto w kolejnym numerze tego samego wydawnictwa doktor nauk politycznych, specjalista w zakresie komunikowania politycznego, kontynuuje wątek postpolityki w kontekście celebrytyzacji polityki. „Od mniej więcej 2008 roku w polskich dyskusjach politycznych i o polityce pojawiają się często komentarze o istnieniu, czy też erze <<postpolityki>>. [...] Bez względu na to, ile jest racji w takiej diagnozie, można się przyjrzyć ciekawemu zjawisku, które wyrosło na kanwie owej postpolityki i zdaje się być coraz częstsze: celebrytyzacji politycznej”<sup>49</sup>. Trudno oprzeć się wrażeniu, że doktor nauk politycznych w tekście opublikowanym w czołowym polskim czasopiśmie politologicznym, sygnowanym przez uchodzącą za flagową uczelnię, czyli Uniwersytet Warszawski, pisze językiem gazetowym i to bardzo niskiej próby. Nie próbuje wyjaśnić badanego przez siebie zjawiska chociażby w odniesieniu do zmian w technologii i ewolucji stosunków społecznych (a przecież one go przede wszystkim określają). Zadowolona się powierzchownym opisem i wnioskami godnymi co najwyżej wypracowania szkolnego. Jego rozważań nie wydrukowano by bez znajomości w „Gazecie Wyborczej”, ale do naukowego pisma one się nadają.

Warszawski politolog posługuje się specyficznym terminem, ale nie próbuje nawet chociaż trochę, krytycznie go rozważyć. W tekście znajdziemy niewiele przypisów. Brak jakiegokolwiek odniesienia do teorii, cytuje się jedynie gazety. Oto nowy styl polskiej politologii, upowszechnianej między innymi w sztandarowym wydawnictwie Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Kolejny dowód, że Krakowskie Przedmieście 3 całkowicie przekształciło się w Wydział Dziennikarstwa i Nauk Potocznych. Tutaj młodzi doktorzy zupełnie nie rozumieją, czym są teoria i erudycja. Dla nich napisanie tekstu

49 O. Annusewicz, *Celebrytyzacja polityczna*, „Studia Politologiczne” 2011, vol. 20, s. 268.

naukowego oznacza streszczenie wcześniejszych lektur tekstów z gazet i internetu, uzupełnionych obserwacjami z telewizji.

Dlatego autor tekstu o celebryzacji politycznej nie waha się sformułować myśli, która każdego profesora starej daty musi skłonić do zadumy: „Skoro świat marketingu politycznego od lat z powodzeniem absorbuje zjawiska, narzędzia i techniki marketingu komercyjnego, było nieuniknione pojawienie się zjawiska celebryzacji także w świecie polityki”<sup>50</sup>. Oto próbka poziomu wnikliwości i zdolności prowadzenia wnioskowania nowej generacji doktorów Uniwersytetu Warszawskiego, wychowanych na Krakowskim Przedmieściu 3. Taki jest standard promowanych tam prac doktorskich i publikacji.

Czym jest tekst doktora habilitowanego, historyka imigranta, na temat postpolityki? Dowodem uzurpacji kogoś, kto nie ma szacunku do samego siebie jako naukowca? Czym jest tekst młodego doktora politologii, który gazetowym językiem, bez jakiegokolwiek próby odniesienia do teoretycznego dorobku politologii, nie zdając sobie sprawy, że uleganie językowi źródła jest grzechem elementarnym, pisze o celebryzacji polityki w kontekście rzekomego przekształcenia polityki w postpolitykę? Przede wszystkim jednak zastanawia praca redakcji „Studiów Politycznych” i „Studiów Politologicznych”, które publikują publicystykę bardzo niskiej jakości, bez świadomości, że nie mamy tutaj do czynienia z nauką, a zachowaniami autorów tekstów steruje mechanizm kopiowania – automatycznego powielania pojęć i treści przeczytanych w gazetach i w internecie.

Otóż mamy do czynienia nie tyle ze zjawiskiem przeniesienia polityki do mediów, podporządkowania jej regułom gry medialnej, co z fenomenem poddania się politologów treściom medialnym. Promotorem tezy o postpolityce warto wskazać, że współczesna polityka nie ogranicza się do tego, co dzieje się w mediach, ponieważ tutaj obserwujemy tylko mało znaczące jej przejawy. **Można je porównać z wierzchołkiem góry lodowej, której czubek wystaje z oceanu, a reszta jest niedostępna obserwatorom z przepływającego statku.** Rozwój technologii sprawił, że media stały się ważnym środkiem politycznym, czyli narzędziem walki politycznej. W gazetach, w telewizji, radiu i internecie toczy się jednak tylko część wydarzeń, działań, procesów politycznych. Z pewnością ta część, która ma stosunkowo małe znaczenie i nie jest zbyt obszerna – za to łatwo rzuca się w oczy przy kolacji. **Politolodzy mniej więcej tak badają politykę, jak górę lodową postrzega turysta z przepływającego obok niej statku.** Widzą tylko czubek. Reszta nie istnieje już tylko dlatego, że utracili teorię własnej dyscypliny nauki. Gdyby kapitan statku tak samo rozumował jak oni, turysta byłby skazany na śmierć. Politolodzy są takimi bez troskimi turystami, których nie interesuje isto-

50 *Ibidem*, s. 270.

ta polityki, jak nie zaprzęta ich uwagi przedmiot poznania politologii. Dlatego oni statek politologii prowadzą ku katastrofie, bez świadomości tego, co czynią.

Wróćmy jednak do polityki. Poza polityką dającą się zaobserwować w mediach mamy do czynienia z polityką, która przebiega w różnych obszarach życia społecznego i jest trudna do obserwacji. W każdym razie nie da się jej zobaczyć w telewizji, a nawet w ogóle nie da się obejrzeć. Jest to polityka, a więc działalność związana z posługiwaniem się wszystkimi środkami, działaniami gospodarczymi, przedsięwzięciami negocjacyjnymi, rywalizacją interesów różnego typu, a przede wszystkim kształtowaniem się podmiotów politycznych, ich próbami adaptacji i działającą na nich selekcją. Tak polityka obejmuje działania zbiorowe, określa los miliardów ludzi i musi być analizowana za pomocą abstrakcyjnych pojęć, których nie da się przejąć od polityków i dziennikarzy, ponieważ wtedy obiektem poznania staje się wyłącznie czubek góry lodowej.

Jeśli obserwujemy współcześnie procesy upadku jednych państw i kształtowania się nowych struktur tego typu, to jest to polityka *par excellence*. Tak samo jak interakcje na styku sektora finansowego i władzy państwowej, gdy idzie o kreowanie instrumentów pochodnych, by sztucznie pobudzać wzrost gospodarczy i zapewnić utrzymanie się przy władzy polityków reprezentujących interesy oligarchii. Mamy tutaj do czynienia z sojuszem polityków i bankierów. Pierwsi kupują sobie w ten sposób popularność pozwalającą im wygrywać wybory. Drudzy napęniają sobie kieszenie pieniędzmi, dopisując zera na dyskach komputerowych, gdzie bilansuje się ich majątek. Natomiast koncentracja politologów na zjawiskach zewnętrznych, dających się obserwować i opisywać słownictwem dziennikarskim, oznacza tylko, że nie mają oni pojęcia, czym jest polityka, jak przebiega, jakimi środkami i gdzie jest realizowana, a także kto w niej i w jakiej formie zgrupowania politycznego uczestniczy.

Nie można zrozumieć polityki bez teorii tego, co polityczne. Natomiast zjawisko celebryzacji polityki nie ma wielkiego znaczenia z punktu widzenia politologa, który cokolwiek rozumie z procesów politycznych zachodzących w społeczeństwie. Może to być ważne dla specjalistów od marketingu politycznego i naiwnych dziennikarzy kolorowych czasopism. Nie określa jednak dzisiejszej polityki poza jej salonowymi, zewnętrznymi przejawami, będącymi niczym więcej, jak skromnym czubkiem góry lodowej.

Nie mamy do czynienia z jakąkolwiek celebryzacją polityki, tylko z dwoma zupełnie innymi zjawiskami. Po pierwsze, z wykorzystaniem w życiu publicznym demokracji medialnej celebrytów jako środka politycznego – pozwalającego partiom na budowanie własnej popularności i wpływów politycznych, za pomocą ludzi, którzy są znani z programów oglądanych przez miliony widzów. Dlatego politycy spotykają się z nimi i wpisują ich na listy wyborcze. Po drugie, tech-



niki budowania popularności celebrytów są przejmowane przez specjalistów od marketingu politycznego, aby za ich pomocą kształtować medialne postrzeganie i wpływy przywódców partyjnych, na przykład przez sprzedawanie historyjek z ich życia prywatnego. Tak samo wykorzystuje się informacje z życia polityków i członków ich rodzin do niszczenia rywali politycznych.

Wszystko to ma miejsce, jednak obecność tych zjawisk nie pozwala mówić o celebrytyzacji polityki. Taka interpretacja pomija, czym faktycznie jest polityka, koncentruje się na łatwo dostrzegalnym czubku góry lodowej, a jej efektem jest umacnianie tendencji do traktowania politologii jako potocznej wiedzy o społeczeństwie, o jego życiu publicznym i zachowaniach opisywanych w gazetach, często faktycznie wymyślonych. Niczego natomiast nie mówi się o środkach politycznych, które nie są efektem zmiany samej polityki, tylko niewielkiej części środowiska, w jakim ona jest prowadzona. Przede wszystkim są związane z kształtowaniem polityki przez współczesną organizację i nowe technologie.

Tego jednak młodzi politolodzy nie widzą, ponieważ nie napisali o tym dziennikarze wzniciający debatę o postpolityce, a młodzi uczeni zdolni są jedynie kopiować. Samodzielne myślenie, erudycyjna analiza, to wszystko nie dla nich. Czy któryś z polskich politologów zadał sobie pytanie: jak to możliwe, że kiedyś środkiem politycznym była córka nadająca się do małżeństwa, a dzisiaj mogą nim być córka i żona nadające się do publicznego pokazywania w rolach oczekiwanych przez widzów i czytelników kolorowych gazet?

**Tak oto politolodzy swoje widzenie własnego przedmiotu badań określają nie w dyskusji pomiędzy sobą, nie w debacie na temat przedmiotu poznania politologii, ale wedle dyrektyw teoretyków polityki, ostatecznie bezwiednie kopiując tematy narzucane przez media.** Nie mają nie tylko własnego przedmiotu poznania, ale nawet języka. Dlatego zwykle to, co robią, jest jedynie prostą pseudonauką pozbawionych autonomii pseudouczonej, badania naukowe utożsamiających z czynnościami ideokopiarki. Możliwa jest głębsza analiza produkcji polskich politologów, która z łatwością dowiedzie, że powielanie jest w tym środowisku czynnością dominującą. Zwykle nie ma tu bowiem żadnej recepcji, ponieważ ona zakłada poświęcenie czasu na rozważenie problemu i minimalną dozę krytycyzmu. W przypadku teorii stosunków międzynarodowych upowszechnianej w podręcznikach międzynarodowych stosunków politycznych i w przypadku postpolityki brak jakiegokolwiek analizy krytycznej. Tutaj na flagowych uniwersytetach wyłącznie się powiela.

**Przecież wyraźnie widać, że polscy politolodzy zależność od partii komunistycznej niegdyś nie tylko zastąpili zależnością wobec amerykańskiej ideologii imperialnej, ale w warunkach jej załamania nie wykształcili krytycyzmu, nie wyciągnęli żadnych wniosków z dotychczasowej działalności.** Zakończyło

się to ich kompromitującymi porażkami, owocującymi przekształceniem własnej dyscypliny w wiedzę potoczną. Obecnie polscy politolodzy coraz bardziej zajmują się problematyką wyznaczaną im przez gazety i telewizję, posługując się kategoriami medialnymi i powielanymi z internetu. **Całkowicie na zasadzie: kopiuj-wklej.** Wydziały politologii polskich uniwersytetów zostały zdominowane przez ideokopiarki, które wzorce tracące znaczenie, przestarzałe natychmiast zastępują przez nowszy model, bez żadnego rozliczenia z własnych błędów. Ci ludzie nie myślą krytycznie, nie badają, nie analizują, tylko powielają.

Takie czasopisma, jak „Studia Polityczne” i „Studia Politologiczne” są coraz bardziej zdominowane przez teksty w ogóle pozbawione charakteru studiów naukowych. Dlatego obserwując dokonania osób wprowadzających na salony uniwersyteckich wydziałów politologii postpolitykę, faktycznie promujących potoczną wiedzę o społeczeństwie, **wróżę nowemu terminowi i samemu tematowi wielką karierę. Już tylko dlatego, że można dzięki niemu symulować uprawianie nauki – długo, tanio i bez żadnej liczącej się wiedzy. Dokładnie tak, jak lubią to czynić teoretycy polityki. Jest to idealny temat dla akademików pozbawionych erudycji.** Pewnie niedługo pojawią się obszernie książki, przypominające te z teorii stosunków międzynarodowych, gdzie postpolitykę będzie się wywodzić z prac autorów starożytnych. Ciekawe, kto zostanie uznany za bożka postpolityki. Przypominam, że teoretycy stosunków międzynarodowych uczynili nim Tukidydesa. Czy aby na bożka kościoła postpolityki najbardziej nie nadał się Platon?

Efektom łatwego kopiowania w warunkach braku debaty nad przedmiotem poznania politologii jest **dramatyczna nadprodukcja publikacji nie z politologii, ale z potocznej wiedzy o społeczeństwie i z wiedzy z zakresu wychowania obywatelskiego,** z których zdecydowana większość nie spełnia elementarnych wymogów tekstów naukowych. Prezentuje się je jako politologiczne tylko dlatego, że teoretycy polityki określili myślenie środowiska uniwersyteckich wydziałów politologii w Polsce. **Tymczasem publikacji politologicznych jest niewiele, a na przyzwoitym poziomie prawie nie ma.**

Tak samo promuje się doktorów i nadaje habilitacje osobom niemającym jakiegokolwiek pojęcia, czym jest politologia i co stanowi obiekt jej badań. Nadano już parę stopni i tytułów za kopiowanie w zakresie teorii stosunków międzynarodowych, teraz czas na doktoraty i habilitacje z postpolityki. W ten sposób na wydziałach politologii doktoraty, a potem **habilitacje trzeba będzie przyznawać dziennikarzom za ich teksty w gazetach.** Przecież to oni wymyślają terminy stosowane przez politologów i określają ich „przedmiot badań”. Gdyby przeanalizować, za co przyznaje się stopnie naukowe politologom, można by dojść do wniosku, że bardziej należą się one publicystom, którym przypada autorstwo wielu analiz, powielonych później w doktoratach i habilitacjach z politologii, gdzie pro-

dukcja książek, artykułów, dysertacji i rozpraw nie jest efektem badań, ale działalności ideokopiarów.

W ten sposób politolodzy utrwalają osobistą indolencję w zakresie rozumienia przedmiotu własnych badań, ale jednocześnie pseudonaukowcy młodej generacji zyskują dużo do powiedzenia. **Tak nie rozwija się już niegroźna politologia turystyczna i drogowa, ale tworzy się zorganizowany system bezmyślności, konformizmu i reprodukcji całego systemu pseudonauki.** Droga na skróty, wybrana przez teoretyków polityki, przyjęta przez większość polskich politologów, nierozumiejących, czym jest ich dyscyplina nauki, wywołuje zjawiska nieoczekiwane. Nieodpowiedzialność teoretyczna i metodologiczna teoretyków polityki III Rzeczypospolitej, a także profesorów niepodjęających krytyki ich produkcji, prowadzi do tego, że ci wszyscy profesorowie stają się na uniwersytetach niepotrzebni. Ich miejsce z łatwością zajmą „teoretycy” postpolityki i doktorzy zdolni publikować podręczniki zaraz po doktoracie, a może nawet jeszcze wcześniej, bo i takie przypadki są znane.

W ten sposób **uniwersyteccy politolodzy ostatecznie dowiedli, że przekształcili własną dyscyplinę nauki w pseudonaukę.** Mogą ją obecnie nazwać postpolitologią i ogłosić, że bada ona postpolitykę. Pierwsze teksty na ten temat zostały ogłoszone, mamy już więc młodych klasyków. Pora na odważnych kontynuatorów tradycji myślenia „wielobiegunowego”. „Jednobiegunowcy” właśnie schodzą ze sceny, więc tworzy się wolne miejsce. Akurat dla „teoretyków” postpolityki świata „wielobiegunowego”.

Tak uniwersytet przekształca się w kabaret, ale być może dzisiaj w Polsce nie ma innej przyszłości. Pytanie jednak pozostaje: **na ile w warunkach macdonaldyzacji nauki politologia odgrywa rolę wiodącą w procesach niszczenia uniwersytetów w naszym kraju,** zwłaszcza gdy już przechodzi od politologii drogowej i turystycznej do postpolitologii, zajmującej się postpolityką. Zdaje się, że proces przekształcania politologii w potoczną wiedzę o społeczeństwie nie napotyka granic, jak nie napotyka ich bezmyślność panująca na uniwersyteckich wydziałach politologii, gdzie ukształtował się już **system zorganizowanego powielania, zdolny do autoreprodukcji.** Takiej bowiem krótkowzroczności nie da się zaobserwować nie tylko na poważniejszych wydziałach historii i socjologii, ale także na pedagogice, z którą niektórzy promotorzy politologii bez przedmiotu poznania nierozważnie lubią porównywać swoje dzieło. Nieświadomi, że politologii w ich wydaniu daleko do poziomu pedagogiki.

## 24. Kto jest politologiem?

Jeśli mamy do czynienia z osobą, która dysponuje dyplomem z politologii, to dzisiaj do oceny jej kwalifikacji nie wystarczy ów dokument. Dokument o uzyskaniu stopnia naukowego dowodzi czegoś znaczącego w środowisku socjologów, historyków i prawników. Tutaj bowiem łatwo nie szafuje się dostępem do dyscypliny, nawet jeśli stopnie nadaje się za słabe prace, z czym coraz częściej mamy do czynienia. Jednak wymienione dyscypliny nauki nie posunęły się do tego, do czego zesza uniwersytecka politologia. Historia, socjologia i prawo nie przeobraziły się w wiedzę o społeczeństwie, tym bardziej w potocznym wydaniu.

W przypadku oceny politologa konieczna jest jeszcze analiza dorobku tej osoby w kontekście problematyki politologii i poziomu badawczego, czyli uwzględnienia teoretycznych podstaw politologii i zastosowanej metodologii. Wiele świadczą o magistrze czy doktorze politologii osoby promotora i recenzentów. Jednak ta wiedza nie wystarczy. Istnieje bowiem podejrzenie, że podający się za politologa jest autorem pracy z potocznej wiedzy o społeczeństwie albo nawet przedłożył do oceny coś z zakresu wychowania obywatelskiego w rozumieniu z czasów Edwarda Gierka i taka propozycja została przyjęta. Nie w jakiejś prywatnej szkole, ale na flagowym uniwersytecie. Jeśli bowiem mamy do czynienia z dyplomem z politologii Uniwersytetu Warszawskiego czy Uniwersytetu Jagiellońskiego, to jest on tak samo podejrzany, jak prowincjonalnej, jednokierunkowej uczelni.

W Polsce dominuje potoczne rozumienie terminu *politolog*. Jest nim albo absolwent studiów politologicznych, albo ktoś mający jeden ze stopni nadawanych z politologii, czy też komentator, którego określają w mediach tym mianem. Politologami są więc Aleksander Smolar, Jadwiga Staniszkis i Radosław Markowski. Dwie ostatnie osoby pewnie nie do końca z własnej woli (gdyż w tym określeniu obecnie nie ma niczego pozytywnego), ale w rezultacie gry interesów. Z takim potocznym definiowaniem nie wolno się zgodzić, gdyż wówczas politologiem może być każdy. Nie widzę przeszkód, aby wedle kryteriów ludowych za wybitnych politologów uznać Janusza Palikota (Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego jak najszybciej powinien przedstawić go do doktoratu honorowego albo przynajmniej przyznać nagrodę im. Franciszka Ryszki za osiągnięcia w zakresie wprowadzania postpolityki – byłoby to zgodne z preferencjami placówki) i poszukującego głębokich inspiracji Waldemara Pawlaka (sfilmowano go kiedyś czytającego antologię pism Schmitta). Czy nie należy się to byłemu trefnisiowi Donalda Tuska i zasłużonemu premierowi, tym bardziej zaś wieloletniemu prezesowi ochotniczej straży pożarnej?

Łatwo ustalić, że takie podejście do definiowania wykształcenia jest naiwne i mylące. Świadomość przedmiotu poznania i statusu naukowego dyscypli-

ny, w której został nadany stopień, jest wstępnym warunkiem operowania wiedzą uzyskaną na studiach, dowiedzioną doktoratem czy habilitacją. Dotyczy to każdego kierunku studiów i każdej wiedzy w wykładni akademickiej, zarówno tej należącej do dyscyplin podstawowych, jak i w efekcie ignorancji określanej mianem wiedzy interdyscyplinarnej.

Politologa powinno się określać tak samo jak wykształconego w innych dyscyplinach nauki, jak prawnika, socjologa, historyka, biologa, chemika czy astronoma. Inaczej niszczy się ważną dyscyplinę nauki. Politologiem z pewnością nie jest ktoś, kto napisał pracę z wiedzy o społeczeństwie albo z zakresu wychowania obywatelskiego. Tymczasem za takie prace obecnie często nadaje się doktora i habilitacje z politologii. Tym bardziej taka musi być problematyka prac magisterskich. Powiedzmy jasno: to są osoby wykształcone w zakresie pseudonauki, którym błędnie przyznano dyplomy z politologii.

**Pseudopolitologiem** jest ten, kto mówi o sobie, że jest „politologiem”, ale nie odróżnia politologii od wiedzy o społeczeństwie czy z wychowania obywatelskiego, ponieważ nie ma pojęcia, czym zajmuje się politologia.

**Politologiem jest tylko ten, kto wie, o czym mówi w zakresie własnej dyscypliny nauki.** Jest więc nim tylko ktoś, kto jest zdolny zmierzyć się z problemem oddzielenia w ramach tego, co nazywa się politologią założeń dyscypliny nauki od pseudonauki. Przecież nie może być inaczej. Tak elementarne kryterium musi obowiązywać. Aby wiedzieć, o czym mówi się w dyscyplinie nauki, trzeba mieć świadomość jej przedmiotu poznania. Jeśli ktokolwiek nie rozumie różnicy pomiędzy politologią i pseudopolitologią i na przykład habilituje się z politologii pracą z zarządzania, turystyki czy historii, ten nie może być uznany za politologa i w ogóle uczonego. Już tylko dlatego, że każdy, kto otrzymał stopień naukowy, musi wiedzieć, w jakim zakresie został on przyznany i co bada się w obszarze dyscypliny nauki.

Tymczasem pseudopolitologom wydaje się, że w przypadku politologii znaczenie ma tylko nazwa. Wiedza, przedmiot poznania, teoria i metoda nie liczą się. Dlatego właśnie oni są pseudouczonymi, symulującymi czynności naukowe i piszącymi prace udające rozprawy naukowe.

Losy polskiej politologii tak się ułożyły, że w jej ramach wykształciła się pseudopolitologia, na którą składa się potoczna wiedza o społeczeństwie, a nawet z wychowania obywatelskiego. Tego faktu nie da się podważyć, ponieważ istnieje zbyt obszerny materiał dowodowy, zebrany w bibliotekach i archiwach flagowych uniwersytetów. Tym bardziej nie można owego faktu podważyć, gdyż owa pseudopolitologia zdominowała polskie uczelnie, gdzie wydziały politologii należą do najliczniejszych.

**Politologiem jest wyłącznie ten, kto nie tyle ma odpowiedni dyplom, co rozumie, czym jest politologia, czyli umie wypowiedzieć się na temat jej przedmiotu poznania i tym samym jest w stanie określić, co jego dyscyplinę odróżnia od innych dyscyplin nauki.** Nie wystarczy więc do stania się politologiem napisanie tekstu o polityce, społeczeństwie czy wychowaniu obywatelskim. Z pewnością nie wiedzą tego chociażby doktorzy habilitowani w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Dlatego jeden z nich powołał dla siebie na uniwersytecie Zakład Stosunków Politycznych. Nie mam jasności, czy jako historyk wie, czym jest stosunek społeczny. Jednocześnie mam pewność, że nie ma pojęcia, czym jest stosunek polityczny. Ten doktor powinien jak najszybciej zmienić nazwę własnego zakładu, zanim koledzy zaczną z niej sobie dworować. Nie będzie natomiast mógł już zmienić tego, że jest doktorem habilitowanym nie w zakresie historii, ale pseudopolitologii.

Politolog, jak socjolog, prawnik, fizyk czy chemik, powinien dysponować wiedzą pozwalającą mu logicznie i spójnie wypowiadać się na temat własnego przedmiotu poznania. Na podstawie elementarnej erudycji, zbudowanej na znajomości horyzontu poznawczego politologii, a nie lektury prasy codziennej i oglądania telewizji. Każda inna osoba, także z dyplomem nadanym w zakresie politologii, nawet habilitowana w placówce z uprawnieniami politologicznymi, **jest tylko „politologiem”, czyli jest politologiem z nazwy, operującym wiedzą potoczną lub doktrynalną.** Szczyci się dyplomem, ponieważ nie rozumie, w jakich okolicznościach go otrzymała. Nic nie wie o upadku współczesnej polskiej politologii, który uniwersyteckie wydziały ważnej dyscypliny przeobraził w kosze na śmiecie.

Dlatego taka osoba co najwyżej powierzchownie mówi o polityce, władzy i państwie, a więc wypowiada się o rzucających się w oczy obiektach, za pośrednictwem których ujawnia się obecność niektórych cech politycznych zjednoczeń ludzi. Poważniejszych problemów politologii już jednak ktoś taki nie rozumie. Tego typu „politolog” ostatecznie nie ma pojęcia, o czym mówi i nie rozumie tego, co politologię odróżnia od socjologii czy filozofii politycznej. Historyk habilitowany na Polnej 18 w zakresie politologii z pewnością nie powie niczego, co wykraczałoby poza wiedzę potoczną. On nie umie powiedzieć niczego istotnego nie tylko o władzy i państwie, ale nawet o polityce, dominację myli z hegemonią, wypowiada się na temat refleksji politologicznej o turystyce, walczy o prawdę i nie wie, co jest istotą stosunku politycznego, chociaż tak nazwał własny zakład. Dla niego politologia może być tylko nauką o polityce, a faktycznie jest wiedzą o społeczeństwie. Przecież on nie powieli czegokolwiek ponad to, co kopiuje się na Krakowskim Przedmieściu 3.

Tak pseudopolitologdy będą teraz upowszechniali pseudowiedzę o polityce i psuli polską naukę, jeśli nie przyjmą do wiadomości, kim są. Jedynym ra-

tunkiem dla nich i dla polskiej nauki jest uznanie własnego rzeczywistego, a nie przypisanego statusu. Placówki, które wyspecjalizowały się w nadawaniu stopni naukowych z pseudopolitologii, powinny jak najszybciej poddać krytycznej refleksji swoje dotychczasowe czynności i zaprzestać procedur ośmieszających zatrudnionych w nich profesorów. Oni bez zahamowań nadają doktoraty z wiedzy potocznej, negując naukowy status politologii, zaprzeczając, że jest dyscypliną nauki. Profesorowie ci są nieświadomi, że wedle ustawy o stopniach i tytule naukowym ich wydziałom należy odebrać uprawnienia doktorskie.

Określone tu kryterium, pozwalającego oddzielić politologa od pseudopolitologa, identycznego z kryterium innych dyscyplin nauki, nie spełniają nie tylko absolwenci studiów politologicznych, ale także większość profesorów na nich wykładających. Oni nawet nie są w stanie sformułować twierdzeń wykraczających poza wiedzę potoczną, mówiąc, że politologia bada politykę albo że wszystko jest polityką. Jest to jedynie efektem zastąpienia teorii polityki przez „teorię” polityki.

Nie może być uznany za politologa historyk czy socjolog, nawet gdy habilitował się w placówce mającej uprawnienia w tym zakresie, jeśli nie napisał pracy świadomy przedmiotu poznania dyscypliny w której nadano mu stopień. Jeśli nie ukończył fachowo prowadzonych studiów politologicznych, nie może mieć dzisiaj podstawy teoretycznej wymaganej w danej dyscyplinie nauki.

Każdy kolejny imigrant ubiegający się o doktorat z politologii powinien zdać dodatkowe egzaminy, przynajmniej z teorii i metodologii dyscypliny. Tej drogi rozwoju naukowego nie trzeba zamykać, ale musi ona być określona konkretnymi wymaganiami, zgodnymi ze standardami współczesnej nauki. Takie egzaminy były obowiązkowe na studiach doktoranckich z politologii w latach osiemdziesiątych. **Historyk habilitowany z politologii bez przedłożenia kompetentnej, politologicznej pracy i zdania egzaminu przynajmniej z teorii i metodologii politologii, stanowi tylko żalosny produkt upadku polskich uniwersytetów i rozwijającej się w naszej nauce patologii.** Procedura ta powinna być zaniechana. Przecież trudno sobie wyobrazić dodatkowe egzaminy habilitacyjne z politologii dla tych, którzy wcześniej ich nie zdali.

Dlatego ten, kto nie ma magisterium lub doktoratu z politologii, nie powinien być dopuszczany do habilitacji w tej dyscyplinie. Takie habilitacje z przeszłości powinny być traktowane jako błąd proceduralny. Osoby legitymujące się nimi nie mogą być zaliczane do minimum kadrowego na kierunku studiów. **Powinno się postawić pytanie: dlaczego owe osoby ubiegały się o stopień na politologii, a nie w ramach macierzystej dyscypliny? Czy czasem nie miało to miejsca wyłącznie dlatego, że ich dorobek nie nadawał się na ekonomię, socjologię czy historię?** W zdecydowanej większości przypadków wynik takiego

testu będzie pozytywny. Oni otrzymali stopnie z politologii, ponieważ gdzie indziej nie byłoby w stanie nawet otworzyć przewodu.

Losy politologii tak się ułożyły, że nie da się powiedzieć, że politologiem jest ten, kto ukończył politologię, zrobił w jej zakresie doktorat czy habilitację. Tacy absolwenci nie mają bowiem zwykle pojęcia, czym faktycznie się zajmują w sensie dyscypliny nauki. Mogą badać historię tańca, muzyki i turystyki, systemy dominacji i hegemonii, stosunki wewnętrzne czy zagraniczne, ale to nie przesądza o ich statusie. Politologami bowiem nazywają się dzisiaj socjolog habilitowany z „turystykologii”, zagubiony historyk ujawniający „prawdę”, metodolog dowodząca, że nie istnieje dyscyplina politologii i profesor, który tropi perfidnych, źle akredytowanych prowokatorów i o istocie tego, co polityczne nie ma najmniejszego pojęcia. I nic nie zmienia tu fakt, że ktoś taki czyni to, deklarując perspektywę politologiczną i ma dyplomy z politologii. Jego prace są niepodważalnym dowodem, że nie rozumie, czym jest politologia. Także te prace nie napisane przez niego, jak na przykład brakujący rozdział w podręczniku *Społeczeństwo i polityka*.

Warto byłoby zbadać, ilu politologów robi doktoraty czy habilitacje na socjologii, ekonomii czy historii albo prawie, bez ukończenia któregoś z tych kierunków studiów. Zaryzykowałbym twierdzenie, że takie przypadki są rzadkością lub ich w ogóle nie ma. Nie zachodzi więc zjawisko odwrotne, nie występuje ekspansja politologów w socjologii, historii, prawie i ekonomii, a nawet pedagogice. Który wydział pedagogiki zatrudniłby kogoś, kto rozwija coś przypominającego pedagogikę polityki?

Oznacza to, że politologia jest dziedziną wiedzy o bardzo niskim statusie. Faktycznie jest ostatnia na uniwersytecie. Wyróżnia ją ignorancja profesorów, klęska własnych absolwentów i poddanie ekspansji gorszych prawników, socjologów, ekonomistów, a przede wszystkim historyków. **Stawiam tezę, że na polskich uniwersytetach nie ma drugiej takiej dyscypliny, której reprezentanci mieliby tak niski poziom samowiedzy i w ogóle wykształcenia.** Tak niski, że dyscyplinę określiliby jako „naukę interdyscyplinarną” czy nawet „dyscyplinę interdyscyplinarną”. Politologia nie może w zakresie ignorancji i dogmatyzmu konkurować nawet z teologią sprowadzoną do kopiowania pism papieża.

Na styku z innymi naukami społecznymi byłoby możliwe przekraczanie granic dyscypliny, o którym pisał Mirosław Karwat. Tylko że wykształceni na jego wykładach pseudopolitolodzy (bo nie sądzę, aby czytali jego książki) nie są do tego zdolni. Nie można bowiem przekraczać granic dyscyplin, obracając jedną z nich w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Warszawski profesor własnymi pracami sam dowiódł osobistego braku zdolności przekraczania granic dyscypliny. Nie dostrzegł, że granic dyscyplin nie można gwałcić, schodząc na poziom wiedzy potocznej. Warto sobie zdać sprawę z praktycznych konsekwencji uczenia



młodzieży analizy za pomocą metafor i syndromatycznego podejścia do polityki jako interdyscyplinarnej wiedzy o społeczeństwie.

Z pewnością absolwent wydziału politologii zgłaszający wniosek na poważny wydział historii o przeprowadzenie przewodu habilitacyjnego wywołałby wesołość albo politowanie. Zapoznanie się liczących historyków z jego warsztatem musiałyby wzbudzić konsternację. Gdyby tam jeszcze przedstawił wykład z „teorii” metafor i syndromów albo historii teorii stosunków międzynarodowych czy postpolityki, słuchacze prawdopodobnie nie wytrzymałoby dłużej aniżeli kwadrans. Komentarze byłyby miażdżące. Tak wielka jest bowiem dysproporcja pomiędzy tym, co rozumieją i robią szanujący się historycy, ekonomiści, prawnicy i socjologowie, a dokonaniem politologów, które stawiają ich poza nauką i skazują na bicie piany na obrzeżach uniwersytetu.

Przed laty pewien członek Centralnej Komisji opowiedział mi o historyku, który wylądował na wydziale politologii (a właściwie w placówkach politologii, ponieważ z racji cech charakteru zaliczył ich kilka). Jego pierwszy wniosek o tytuł profesora przeszedł na jednym z wydziałów politologii i upadł w Centralnej Komisji. Drugi wniosek, sfinalizowany na tym samym wydziale politologii, też otrzymał pierwszą negatywną recenzję w tej instytucji. Pewnego dnia ów profesor odbiera telefon od znanego historyka. Ten pyta: „jak mogliście mi coś takiego przysłać?” – mając na myśli dorobek kandydata na profesora. Zdziwiony, że w ogóle coś takiego zostało zaakceptowane na uniwersyteckim wydziale i doszło na ostatni szczebel oceny. Członek Centralnej Komisji: „to profesura z politologii, a nie z historii”! „Jeśli tak, to co innego” – odpowiedział znany historyk i napisał pozytywną opinię. Tak oto „historyk” wydalony ze środowiska kolegów po fachu, z trudem, ale jednak został w 2001 r. profesorem – jako politolog i przy pomocy historyka. Jego losy podczas starań o profesurę powinny dawać wiele do myślenia. Otrzymał ją tylko dlatego, że profesor historii zastosował kryteria oceny właściwe jego zdaniem do opiniowania dorobku politologa.

Tak oto typowy profesor „politolog” ostatecznie istnieje tylko dzięki litości kolegów z innych dyscyplin nauki. Dlatego zamyka się w tajemniczym gronie i broni profanom dostępu do niego wszelkimi środkami.

Warto zastanowić się, dlaczego absolwenci uniwersyteckich studiów politologicznych tak rzadko robią habilitacje, a tytuły profesorskie są dla nich niemal niedostępne. Jak już je dostają, to najczęściej z litości historyków, socjologów i prawników.

## 25. Imigranci a rozwój politologii

W warunkach umasowienia kształcenia i upadku badań naukowych cała polska politologia, w tym także wydziały uniwersyteckie, stały się przedmiotem kolonizacji ze strony imigrantów najrozmaitszego pochodzenia, przede wszystkim historyków. W tej bowiem dyscyplinie zaznacza się największa nadprodukcja stopni naukowych, a jednocześnie wyraźnie widoczny jest spadek wymagań. Najwyższy w słabszych jednostkach promujący doktorów i doktorów habilitowanych. W efekcie tego tworzone są nawet wydziały politologii zdominowane przez historyków.

Obecnie mamy do czynienia z częstym udawaniem przez imigrantów, że są politologami. Jeśli kiedyś prawnik czy historyk mógł widzieć w sobie politologa, gdyż wszyscy byliśmy imigrantami zdobywającymi obszar nowej dyscypliny, to dzisiaj, kilkadziesiąt lat po jej powstaniu, taka sytuacja jest niezręczna, budząca sprzeciw i niedopuszczalna jako efekt rozwoju patologii w nauce polskiej. Ona ostatecznie ma miejsce w wyniku sprowadzenia politologii na manowce przez teoretyków polityki z dyplomami politologów i upadku świadomości metodologicznej kolonistów w zakresie swojej pierwotnej dyscypliny, w szczególności historyków, ale także prawników i socjologów.

Polska politologia wyrosła z nauki prawa, a dokładniej z teorii państwa i prawa oraz historii doktryn politycznych i prawnych. Jednak dzisiaj, trzeba to jasno powiedzieć, dla prawników nie ma miejsca na wydziałach politologii. Oni szkoda rozwojowi politologii<sup>51</sup>. Teoria państwa i prawa znajduje się w wyraźnym impasie. Już tylko z racji tego, że wielu prawników trwa przy anachronicznym poglądzie, że realne są tylko byty prawne. Dla nich zależności społeczne, empiria ludzkich interakcji, nie bardzo się liczą lub w ogóle nie mają znaczenia. Dlatego z takimi oporami przyswajają wiedzę socjologiczną, a faktycznie zwykle nie przyswajają jej wcale. Historia doktryn politycznych i prawnych jest tylko historią wizji i poglądów. Nie daje nam wiedzy o stanie nauki i nie mówi nic o teorii, jeśli tej nie pojmujemy potocznie. Tymczasem prawnicy nierzadko przez jej pryzmat wyjaśniają, czym są polityka i państwo.

Prawnicy odegrali niemałą rolę także w kształtowaniu oblicza światowej politologii. Trudno przecenić znaczenie niemieckiej teorii państwa i prawa, w szczególności zaś wyjątkowego dzieła Schmitta dla rozumienia zjawisk politycznych, nawet jeśli zdecydowana większość politologów go nie rozumie. Jednak Schmitt był prawnikiem i to dziedzictwo obciąża wyniki jego badań. Niemiec pokazał wiele aspektów zależności politycznych, kreował pojęcia do ich opisu, ale nie ro-

51 Za symbol destrukcji politologii przez prawników z pewnością może uchodzić tom B. Szmulik, M. Żmigrodzki, (red.), *Wprowadzenie do nauki o państwie i polityce*, Lublin 2002.

zumiał zjawisk społecznych i dlatego jego rola w rozwoju politologii jest w sumie bardzo ograniczona. Myślę, że kiedyś przesadziłem, sugerując jakoby Schmitt był politologiem<sup>52</sup>. On był wyłącznie prawnikiem bardziej zainteresowanym zjawiskami politycznymi od innych reprezentantów własnej dyscypliny, rozumującym faktycznie w jej ramach.

**Język to narzędzie przekazu wiedzy. Trzeba go badać pod tym kątem, ale nie wolno zapominać, że właściwym przedmiotem poznania jest to, co społeczne, czyli przede wszystkim są ludzie, ich stosunki i związki w specyficznej postaci.** Język jest składową tego wszystkiego, ale na nim nie mogą koncentrować się procedury poznawcze.

Politolog od prawnika ciągle może wiele się nauczyć w kwestii świadomości przedmiotu poznania, znaczenia granic dyscypliny i konieczności chronienia tego wszystkiego, zwłaszcza tradycji myślenia i dorobku. Wiedzę na ten temat należy gromadzić i przekazywać studentom już od pierwszego roku. Chyba jednak niczego więcej politolodzy dzisiaj nie nauczą się od prawników. System prawa nie jest systemem wiedzy zbudowanej na hipotezach, które się bada, ale wiedzy ściśle związanej z utrzymywaniem porządku ludzkich działań i relacji. Taki w gruncie rzeczy jest dotychczasowy status nauki prawa, który wyznacza jej wyjątkowe miejsce wśród dyscyplin nauki.

W nauce prawa hipotezy są możliwe w jasno wytyczonych ramach. Tam, gdzie idzie o status normy prawa i systemu norm prawa hipotezy formułuje się niezwykle rzadko, nieomal wyłącznie w czasach silnej destabilizacji stosunków społecznych. Jeśli już pojawiają się pytania, to w ścisłej zależności od aktualnych konfiguracji stosunków politycznych. Na przykład kiedy upada władza państwa lub kończą się gigantyczne konflikty zbrojne i czas usiąść do rozmów prawnie sankcjonujących układ sił. **Prawo w ogromnej mierze opiera się na uznaniu niejasnego statusu ludzkiej wiedzy, na egzegezie doktryn i tradycji praktyki proceduralnej, a taka perspektywa jest obca naukom społecznym.** Tutaj nie ma i nie może być granic w formułowaniu hipotez. Politologia nie istnieje bez podejrzeń, które można kierować wobec dowolnego przedmiotu badań. Dlatego bez rozrodu z prawem nie będzie rozwoju politologii.

Stosunek do socjologii jest bardziej złożony. Przede wszystkim nie wiadomo, co znaczy socjologiczne badanie zjawisk politycznych. Tylko dlatego, że socjolodzy faktycznie nie badają tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Nawet ich badania władzy politycznej, państwa i partii rażą ograniczeniami, przede wszystkim powierzchownością, a nawet nieporadnością. Oni także niebezpiecznie skupiają uwagę na tym, co daje się zaobserwować. Gdy socjolog przychodzi

52 R. Skarżyński, *Carl Schmitt – ideolog i politolog*, (w:), *idem* (red.), *Carl Schmitt i współczesna myśl polityczna*, Warszawa 1996, s. 39–55.

na wydział politologii, bezrefleksyjnie powieła to, czego nauczył się w swojej macierzystej szkole. Czy takie podejście może być cokolwiek przydatne na politologii? W ograniczonym zakresie, gdyż politolog powinien znać coś więcej aniżeli podstawy socjologii. Politologia zbudowana na socjologii musiałaby powiełać czynności socjologów bez świadomości własnego przedmiotu poznania.

Jeśliby ograniczyć zadania socjologa do uczenia politologa socjologii, to nie wynikałyby wielkie korzyści z takich kontaktów. Sądzę, że **socjolodzy mogliby zacząć badać to, co polityczne z perspektywy socjologicznej, gdyby politolodzy pokazali im znaczenie owej problematyki**. Sami do tego nie dojdą już dlatego, ponieważ teoretycy polityki wnieśli ogromny wkład do dezorientacji socjologów. W każdym razie to, co polityczne nie jest przedmiotem poznania socjologii i dlatego politologia jest niezbędna na uniwersytecie, jeśli tylko reprezentujący ją uczeni będą zdolni do wykazania, że ma ona status dyscypliny nauki.

Jeśli **socjolodzy** nie pojęliby kwestii tego, co polityczne, to i tak **mają niemałe zadanie na polu makrosocjologii**. Ten tak ważny dla politologii obszar stanowi piętę achillesową socjologii. Gdy mikrosocjologia jest dość dobrze ukształtowana, makrosocjologia nie spełnia oczekiwań politologa w kontekście analizy zjawisk wielkiej przestrzeni i długiego czasu. Rozwój makrosocjologii jest zresztą konieczny nie tylko w efekcie zapotrzebowania ze strony politologii i internacjologii. Wymusza go także teoria ewolucji.

Historycy mają niemało do zdziałania na politologii, pod warunkiem zaprzestania pisania historii najnowszej czy politycznej i głoszenia, że one są subdyscyplinami politologii. Takie podejście jest jedynie efektem ich ignorancji, próżności i zarozumiałości. Dowodzi, jak nisko ostatnio upadła ich dyscyplina, gdzie szuka się „prawdy”, także w salach sądowych. Oczywiście wiemy, że historycy żadnej pracy się nie boją. Dowiedli tego wielokrotnie, ale takie interpretowanie własnej wielkości obecnie jest już nie tylko męczące, lecz nawet śmieszne, kiedy na rynku pracy pojawiło się wielu niedouczonego absolwentów tego kierunku studiów. Same tytuły o niczym nie świadczą, a ich dorobek bywa często mały i marny.

Politolodzy są kompletnymi ignorantami na polu historii. Nie tylko nie znają faktów, ale nie wiedzą, jak je interpretować i posługiwać się tą ogromną wiedzą. Nie zdają sobie sprawy, że za faktami stoją procesy społeczne, które są głównym przedmiotem poznania. Nie wiedzą, że historia polityczna prawie niczego znaczącego nie mówi o tym, co miało miejsce w społeczeństwie i wyjaśnianie zjawisk społecznych jest możliwe tylko na gruncie historii gospodarczej, dziejów kultury i technologii. Także nie mają nawet ułamka wiedzy dobrze wykształconego historyka na temat pracy ze źródłem. Nie pojmują, że uleganie językowi źródła już na samym wstępie kompromituje badacza. Taka praktyka badawcza faktycznie dyskwalifikuje jego pracę. Tymczasem politolodzy ową pseudonaukową metodą

wręcz się afiszują, prowadząc analizy we własnych tekstach przy użyciu języka polityki i mediów. Politolodzy nie wstydzą się gazetowego, potocznego wykładu swojej wiedzy. Brak możliwości akceptacji takiej metodologii historycy mogliby im tłumaczyć, pokazując elementarne błędy, gdyby tylko przestali symulować, że są politologami i zachowywali się jak solidni historycy. Tymczasem w ich kręgach, gdy tylko wykroczą poza swoje macierzyste wydziały, dominuje naśladownictwo patologii w nauce polskiej.

Jednak zadania historyków na wydziałach politologii nie należałoby ograniczać do tłumaczenia politologom historii. **To, co polityczne ma swoją historię. Liczy ona sześć tysięcy lat. Jest więc co badać. Gdyby historycy zrozumieli znaczenie problemu tego, co polityczne, mogliby wiele wnieść do poznania jego dziejów i tym samym rozwoju politologii.** Mają przewagę metody i erudycji nad politologami. Jak na razie jednak, w efekcie działalności teoretyków polityki, nie widzą, a tym samym nie pojmują tak określonego przedmiotu badań. Teraz otwiera się przed nimi szansa. Szczerze mówiąc, wątpię jednak by z niej skorzystali, gdyż w ostatnich latach przychodzili na politologię tylko dlatego, że są marnymi, zdeorientowanymi historykami. Stanowią przecież efekt nadprodukcji stopni naukowych w tej dyscyplinie.

Jeśli więc którykolwiek z historyków zacznie badać to, co polityczne, nie będzie to pewnie historyk osiadły na wydziale politologii, tylko historyk z wydziału historii. Dlatego historyków należy eliminować z wydziałów politologii, zwłaszcza tych udających politologów. Jeśli politolodzy nie podejmą tego wyzwania, a na samodzielne wycofanie się kolonizatorów przekonanych o swojej wielkości nie ma co liczyć, politologia rozpułynie się i jej miejsce zajmie potoczna wiedza o społeczeństwie, którą ignoranci będą nazywać „politologią”. Już w tej chwili ilość zakładów i katedr historycznych na wydziałach politologii musi budzić zastanowienie. Na niektórych tworzą one rdzeń takich jednostek. Wszystko to dlatego, że politolodzy w efekcie działalności teoretyków polityki nie rozumieją, co zachodzi na ich oczach, a historycy, głównie prowincjonalni, nie znają żadnych granic własnych kompetencji.

Konieczne jest zbadanie udziału imigrantów w destrukcji politologii, aby podnieść poziom samoświadomości reprezentantów tej dyscypliny. Oczywiście, ich największymi promotorami stali się teoretycy polityki. Bez zbadania dzieła tych, którzy wykładają na uniwersytecie i podważają naukowy status własnej dyscypliny wiedzy, bazując na osobistej ignorancji, wydziały politologii pozostaną bezbronne wobec nachalnych historyków – bez zahamowań, bezwstydnie głoszących, że są politologami. Kiedy jednak sami politolodzy nie rozumieją swego przedmiotu badań, takie podejście, w warunkach normalnie funkcjonującej dyscypliny będące oszustwem, zyskuje status standardu i trudno z nim walczyć.

Imigranci mogą być jedynie pomocnikami na wydziałach politologii. Ich liczba nie może być wielka, jeśli politologia ma się rozwijać. Inaczej przejmują kontrolę nad dyscypliną i bez zahamowań głoszą, że historia najnowsza jest politologią, że politologia bada styk współczesności z historią. Tak im przecież podpowiadają teoretycy polityki. Jedni i drudzy nie rozumieją, że bez świadomości przedmiotu badań i napisania pracy z jego zakresu nikt nie jest politologiem. Nawet jeśli teoretycy polityki flagowego uniwersytetu twierdzą inaczej.

**Eliminowanie imigrantów byłoby dowodem dojrzewania dyscypliny.** Dalsza ich ekspansja będzie symptomem postępującego upadku politologii. Utrwalenie się utożsamienia wiedzy o społeczeństwie z politologią będzie oznaczało koniec politologii i zastąpienie jej pseudonauką.

**Dopóki na wydziałach politologii nie będzie prowadzona debata o przedmiocie poznania uprawianej na nich dyscypliny, a studenci od pierwszego roku studiów nie będą kształceni w zakresie przedmiotu poznani politologii, treści tam wykładane nie wykrócą poza poziom potocznej wiedzy o społeczeństwie.** Miejmy świadomość, że nie zmieni tego także fakt nadawanie dyplomów określanych „dyplomami z politologii”. Takie wydziały potocznej wiedzy o społeczeństwie, gdzie mówi się językiem mediów, zaś problematykę badawczą wyznaczają dziennikarze, nie mogą być traktowane jako normalne wydziały uniwersyteckie, gdyż nie spełniają współczesnych kryteriów nauki. One nie są autonomiczne, lecz są jedynie powielarniami materiałów dostarczanych z zewnątrz. Nawet jeśli kształci się na nich najwięcej studentów. Przecież to nie jest uniwersytet w tradycyjnym znaczeniu. Nie jest to nawet szkoła zawodowa, tylko mamy do czynienia z instytucją przypominającą medresę czy jesziwę.

Dopóki wykształceni na wydziałach politologii nie będą reprezentować własnej dyscypliny w komisji kontrolującej nadawanie stopni i tytułów naukowych nie można mówić o istnieniu w Polsce politologii w sensie nauki odpowiadającej standardom XXI w.

## PODSTAWY TEORII I METODOLOGII POLITOLOGII

Jeśli politolog to, co polityczne uznaje za tożsame z tym, co społeczne, wówczas przypisuje dowolnym bytom i zjawiskom społecznym charakter polityczny. Wtedy naturalnym przedmiotem poznania stają się dla niego obiekty społeczne i politologia przekształca się w („szeroko rozumianą”) naukę o społeczeństwie. Reprezentujący ją badacze zaczynają zajmować się nie problemami charakterystycznymi dla dyscypliny nauki, ale „tematyką badawczą”, która powoli staje się coraz szersza i coraz bardziej jest rozumiana w sposób potoczny.

Efektom założenia, że wszystko jest polityką, jest teza głoszona w Polsce po upadku komunizmu, zgodnie z którą politologia nie ma określonego przedmiotu poznania i nie jest dyscypliną nauki. W praktyce powoduje to zastępowanie politologii pozbawioną statusu naukowego wiedzą o społeczeństwie. Wprawdzie można próbować traktować ją jak socjologię czy dział socjologii, ale w praktyce przeobraża się ona w ludową wiedzę czerpaną z treści przekazu medialnego.

Tak politologia za sprawą samych politologów traci status dyscypliny nauki, a oni nie zdają sobie z tego sprawy. Nie mogą więc rozumieć konsekwencji, które z tego wynikają. Przede wszystkim tego, że są politologami z nazwy, a ich wydziałom należy odebrać uprawnienia doktorskie.

Tymczasem politologia dysponuje własnym dorobkiem poznawczym i teorią zdolną określić jej specyficzny przedmiot poznania. Dlatego można dowieść, że jest ona dyscypliną nauki w takim samym stopniu, jak są nią historia, prawo, socjologia, biologia czy astronomia.

## 26. Teoria i poznanie

Rozpatrzmy przedmiot poznania politologii, porównując go z przedmiotem poznania ekonomii. Tak ekonomia, jak i politologia stopniowo przekształcają się z wiedzy potocznej w dyscypliny nauki, także będąc przedmiotem gry interesów. W przypadku ekonomii owe interesy są zresztą o wiele bardziej znaczące. W każdym razie politologia i ekonomia zajmują się specyficznymi zjawiskami społecznymi, związanymi z grupowaniem się ludzi i ich działaniami, które dają się wyodrębnić wśród zbioru wszystkich zjawisk społecznych pod względem właściwości. Są wyraźnie widoczne z racji doniosłości dla egzystencji ludzi.

Jednak ekonomia dysponuje rozwiniętą refleksją nad swoim przedmiotem poznania, nawet jeśli istnieją liczne kontrowersje. Muszą one występować nie tylko z powodu gry interesów, z racji światopoglądowych, które są nie do uniknięcia. Zjawiska społeczne z konieczności analizujemy na wielu poziomach, w różnych związkach i zależnościach. Stawiane są ciągle nowe pytania, „[...] ponieważ rozwój wiedzy polega na przechodzeniu od starych problemów do nowych problemów drogą hipotez i obaleń”<sup>1</sup>. Różne obszary i dziedziny życia mają wyjątkowe znaczenie dla poszczególnych ludzi i badaczy, dlatego spojrzenia na społeczeństwo i jakkolwiek aspekt czy dziedzinę jego funkcjonowania nie da się ujednoclić. W rozwijających się dyscyplinach nauki ciągle pojawiają się nowe hipotezy, kolejne „przypuszczenia i odrzucenia” także w odniesieniu do ich przedmiotu poznania.

Idzie więc nie o dopracowanie się monolitycznego punktu widzenia, nie o stworzenie dogmatu i trwanie na jego straży, ale o obecność problemu w postaci twierdzeń (czyli hipotez aktualnie uchodzących za potwierdzone) i hipotez (czyli przypuszczeń), poddawanych refleksji w różnych uwarunkowaniach, z których wyłaniają się teorie podlegające konfrontacji i falsyfikacji, ze zmienną intensywnością, w miarę uświadamiania sobie kolejnych kwestii, jak to się robi chociażby w obrębie ekonomii i socjologii. W politologii czegoś takiego nie ma, nie dyskutuje się nawet nad przedmiotem poznania własnej dyscypliny, nie buduje nowatorskich hipotez, a to oznacza, że **przypisywanie sobie przez ludzi nazywających się „politologami” czynności tworzenia wiedzy naukowej nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom metody naukowej.**

Rodzi to skrajny brak zdolności do krytycznego odnoszenia się nie tylko do faktycznie istniejących teorii naukowych, ale także do tych zespołów poglądów, które już dawno utraciły znaczenie i nie mogą liczyć się w debacie akademickiej, jeśli mamy na celu wyjaśnianie zjawisk społecznych. Jak normatywizm, behawioryzm, materializm historyczny czy „teoria racjonalnego wyboru”. One nie są nauką w świetle kryteriów określonych na gruncie współczesnej teorii nauki. Jednak na wydziałach politologii tego nie ustalono i tu do kręgu teorii naukowych zalicza się nawet geopolitykę, etnopolitykę, biopolitykę i teorię stosunków międzynarodowych. Bez jakiegokolwiek krytycznej analizy, chyba wedle aktualnie przeżywanego uczuć czy złudzeń. **Tutaj właśnie ujawnia się niezwykła, prawdopodobnie niespotykana w innych dyscyplinach, skłonność badaczy do pełnienia funkcji ideokopiarek**, gdy automatycznie, bezkrytycznie powielają to, co niegdyś ustalono jako rzekomo godne reprodukcji. Jest to droga, która prowadzi politologię do trwałego przekształcenia jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie.

1 K. Popper, *Wiedza obiektywna. Ewolucyjna teoria epistemologiczna*, Warszawa 1992, s. 328.



Tymczasem współczesna nauka opiera się na rywalizacji teorii, na przypuszczeniach i odrzuceniach eliminujących skłonność do automatycznego kopiowania, a warunkiem jej występowania jest krytyka hipotez i wymiana paradygmatów, czyli wzorców określających myślenie. W politologii skutecznie trwają „podejścia” anachroniczne, które już z samej swej istoty nie są teoriami. One nie ustępują miejsca teoriom opierającym się krytyce. Te drugie z ochotą się lekceważą, ponieważ ich zrozumienie wymaga szczególnego wysiłku, jak na przykład teoria tego, co polityczne. Nie bada się jednak także i nie wyciąga wniosków z innych teorii, także tworzonych przez wybitnych uczonych, próbujących iść własną drogą, np. Harolda Lasswella, Roberta Dahla, Hannah Arendt, Raymonda Arona czy Bertranda de Jouvenela. Nawet jeśli pojawi się jakaś praca na ten temat, wyniki badań są ignorowane.

Przedmiot poznania ekonomii nie istnieje jako wyłoniony intuicyjnie i przyjmowany wyłącznie milcząco. Nawet podstawowe podręczniki z zakresu tej dyscypliny zaczynają się od prostego pytania „czym zajmuje się ekonomia?” W nich można znaleźć nieskomplikowaną odpowiedź: „ekonomia jest nauką o procesach gospodarczych”<sup>2</sup>. Jest to odpowiedź powierzchowna, ale dająca pewne wyobrażenie o obiekcie zainteresowania ekonomii. W podręcznikach politologii, a nawet jej teorii, opublikowanych w III Rzeczypospolitej taki problem zwykle nie jest poruszany<sup>3</sup> albo wręcz neguje się sens rozważań nad przedmiotem poznania politologii<sup>4</sup>.

Przedmiot poznania ekonomii można obecnie łatwo określić w sposób o wiele bardziej wyrafinowany w efekcie zaznajomienia się z wynikami dyskusji prowadzonych przez pokolenia. Ekonomia zajmuje się badaniem gospodarowania zasobami w warunkach ich niedoboru. Tymi zasobami, które są niezbędne do zapewnienia przetrwania i reprodukcji ludzi. Socjologia, z grubsza rzecz biorąc, bada społeczeństwa ludzkie. Nie jest to specjalnie wnikliwe określenie przedmiotu poznania. Ono jest jednak także możliwe. Socjologia zajmuje się społecznymi rozszerzeniami życia w wydaniu ludzkim, czyli efektami interakcji członków naszego gatunku. Prawo zajmuje się systemem norm i ich stosowaniem do regulowania stosunków społecznych. Żadna z tych i innych dyscyplin nauki nie bazuje na intuicji, ale każda ma swoją teorię (a w istocie teorie<sup>5</sup>), ponieważ ona jest warunkiem prowadzenia badań i dysponowania tożsamością.

2 R. Milewski, *Podstawowe pojęcia i przedmiot ekonomii*, (w:) idem (red.), *Podstawy ekonomii*, Warszawa 2004, s. 17.

3 Sztandarowe przykłady: T. Żyro, *Wstęp do politologii*, Warszawa 2004; K. Wojtaszczyk, W. Jakubowski (red.), *Spółczesność i polityka. Podstawy nauk politycznych*, Warszawa 2007; A. Laska, J. Nocoń, *Teoria polityki. Wprowadzenie*, Warszawa 2010.

4 Ostatnio np. T. Klementewicz, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce*, Warszawa 2010, s. 30.

5 Zob. na ten temat na przykład podręcznik J. Turnera *Struktura teorii socjologicznej* (Warszawa 2004). Stawia on znakomity przykład precyzyjnej rekonstrukcji dorobku teoretycznego socjologii i refleksji nad jej horyzontem poznawczym, jako dyscypliny wiedzy w klasycznym znaczeniu tego terminu. Warto porównać jego

Wszystkie dyscypliny dopracowały się też kolejnych wersji teorii precyzujących jej przedmiot poznania. Nawet jeśli jest on kontrowersyjny, ekonomiści, prawnicy, socjologowie i historycy mogą na jego temat dyskutować i prezentować twierdzenia określające ich świadomość badawczą. Studentów podczas studiów wyposaża się w wiedzę o nim. Warto uzmysłowić sobie elementarne zjawisko: „Uformowanie się teorii poprzedza pojawienie się problemów i twierdzeń, traktowanych zrazu jako problemy i twierdzenia teorii już istniejących”<sup>6</sup>. Oznacza to, że **stosunkowo późno wyłoniona nauka, jaką jest politologia, musi początkowo opierać się na twierdzeniach innych nauk, ale nie może się do nich ograniczać. Wraz z własnym rozwojem, w efekcie dojrzwania, musi formułować specyficzne dla siebie hipotezy i badać je, a nie kopiować doktryny i treści medialne.** Chyba że założymy, jak pozbawieni znajomości horyzontu teoretycznego politologii, że politologia nie jest dyscypliną nauki. Czym jednak wtedy jest? Jak wskazałem, nie jest nauką interdyscyplinarną, ponieważ takie nauki nie istnieją<sup>7</sup>. Taka pseudopolitologia, bez określonego przedmiotu poznania, z łatwością degeneruje się do poziomu potocznej wiedzy o społeczeństwie.

Wyjaśnijmy prosto parę innych elementarnych kwestii:

- nie ma czystego dedukcjonizmu, gdyż poznanie nie jest możliwe bez doświadczenia;
- nie ma czystego indukcjonizmu już tylko dlatego, ponieważ empiryzm wymaga ukierunkowania poznania, a jego warunkiem są założenia;
- w przypadku wiedzy potocznej założenia określające przebieg poznania zawsze są obecne, ale pozostają nieuświadomione;
- w przypadku wiedzy naukowej dąży się do uświadomienia założeń poznawczych, buduje na ich podstawie teorię przedmiotu poznania podlegającą ciągłej weryfikacji, a także rozwija teorię poznania i wiedzę o metodach badań;
- jakiegokolwiek nagromadzenie faktów potwierdzających teorię nie jest dowodem, że teoria jest prawdziwa, jednak w nauce poznanie możliwe jest tylko wtedy, gdy tworzone są teorie<sup>8</sup>;

---

dzieło z cenioną u nas *Historią myśli socjologicznej* J. Szackiego (Warszawa 2002). Jej autor między innymi nie wykazał zdolności odgraniczenia socjologii od myśli politycznej i wskutek tego nie odróżnia doktryn politycznych od teorii naukowej (charakterystyczne są tu między innymi rozważania nad myślą grecką). Szacki uważa, że historia socjologii może obejmować każdego myśliciela, który podejmował kwestie później badane przez socjologów i inkorporować go w ramy tradycji socjologii jako nauki (s. 14). Dlatego w tej książce problem przedmiotu poznania socjologii rozmywa się w powodzi informacji bez znaczenia, a nawet bałamutnych.

6 A. Grobler, *Metodologia nauk*, Kraków 2006, s. 211.

7 Zob. wyżej rozdział 15.

8 Einstein napisał o tym w prosty sposób już w 1919 r. (*Indukcja i dedukcja w fizyce*, (w:) *idem*, *Pisma filozoficzne*, Warszawa 1999, s. 44).

- poznanie naukowe jest poznaniem dedukcyjnym, dlatego wychodzi od wiedzy zastanej<sup>9</sup>, złożonej z twierdzeń traktowanych jako hipotezy, które konfrontuje się z innymi i bada w zakresie wyjaśniania rzeczywistości<sup>10</sup>;
- ponieważ warunkiem indukcji w naukach społecznych (czyli prowadzenia badań empirycznych) jest dedukcja (procedura zastosowania teorii), nauki te są naukami dedukcyjnymi, zwłaszcza kiedy osiągnęły poziom pozwalający ich reprezentantom prowadzić debatę na temat specyficznego przedmiotu poznania;
- politologia nie jest wiedzą o społeczeństwie – **wiedza o społeczeństwie nie jest dyscypliną nauki, a nawet jakkolwiek jej formą**, w odróżnieniu od politologii, socjologii, ekonomii, prawa czy psychologii.

Ponieważ nie ma poznania bezzałożeniowego, nie istnieje czysta indukcja, teoria naukowa jest systemem krytycznie rozważonych twierdzeń przede wszystkim odnośnie do tego, co jest istotne dla danej dyscypliny. To, co jest istotne, początkowo wynika wyłącznie z odczuwanego sensu (przeżywanego przez ludzki umysł), czyli potrzeby wyodrębnienia takiego, a nie innego przedmiotu poznania. Potem jednak, wraz z rozwojem dyscypliny to, co istotne podlega rozważaniom w czasie życia kolejnych pokoleń uczonych i zmienia swój status. Nauka rodzi się i kształtują jej dyscypliny, gdy uświadomiony zostaje przedmiot poznania i zrozumiałe stają się metody służące do jego badania.

Teoria nauki funkcjonuje społecznie, ale musi wynikać z teorii umysłu, wyjaśniającej, jak ten organ działa, jak i po co przetwarza dane. Przede wszystkim zaś pod jakim kątem je selekcjonuje i przechowuje. Umysł segreguje dane w kontekście ich znaczenia dla funkcjonowania przenoszącego go ciała<sup>11</sup>. Wiedza, również teoria, liczy się w procesie ludzkiego poznania, jeśli ma w tym kontekście znaczenie, czyli jest ważna z punktu widzenia organizmu, ponieważ zapewnia mu dostęp do zasobów, prawo reprodukcji, a także zaspokaja ciekawość, nierzadko określając lub współokreślając (wraz z doktryną) sens egzystencji. Gdy wiedza ta traci znaczenie, musi ustąpić miejsca innej wiedzy, która spełnia wymagania umysłu w kontekście zadań stojących przed ciałem.

Każda teoria, a w istocie i metodologia jest tworem umysłu poznającego świat jako instrument troszczący się o przenoszące go ciało. Teoria i metodologia muszą uwzględniać cechy swego twórcy, ale mogą to czynić w ograniczonym zakresie i wtedy będą teorią lub metodologią niedojrzałą, odbiegającą od poziomu dzisiejszej wiedzy o człowieku i sposobu jej eksplikacji.

9 O problemie wiedzy zastanej: A. Grobler, *Metodologia nauk...*, *op. cit.*, s. 73–75.

10 Dlatego każda czynność powielania twierdzeń naukowych (czyli bez ich krytycznego i rzetelnego rozważenia w kontekście uznanych teorii i dostępnej wiedzy empirycznej) jest symulowaniem badań naukowych.

11 A. Damasio, *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, Poznań 1999 i inne prace tego autora; S. Pinker, *Jak działa umysł*, Warszawa 2002.

**Ponieważ nie istnieje poznanie wolne od założeń, a poznanie naukowe pozbawione teorii określającej przedmiot poznania, kolejne teorie powstają w efekcie modyfikacji lub odrzucenia poprzednich. Dlatego nie można stworzyć nowej teorii bez znajomości i oceny dorobku poprzedników.** Teorie bowiem – jak to przekonywająco określił Imre Lakatos – składają się na swoiste programy badawcze, w ramach których w czasie dochodzi nie tylko do wymiany poszczególnych twierdzeń, ale także samych teorii<sup>12</sup>. Nauka nie tworzy się chaotycznie. Przeciwnie, myślenie naszego gatunku o rzeczywistości toczy się w zakresie wytyczonych niegdyś problemów, wśród których pojawiają się nowe. Wiedza zastana ma kluczowe znaczenie dla rozumowania potocznego, ale także naukowego. W obu przypadkach inny jest mechanizm recepcji, zmiany i reprodukcji. Dlatego w **przypadku wiedzy potocznej liczy się wierność tradycji, a w przypadku wiedzy naukowej erudycja.**

**Każda teoria, szczególnie zaś dotycząca społeczeństwa, istnieje nie jako obiekt izolowany, ale wyłącznie jako produkt ludzkiego umysłu w systemie wiedzy danego społeczeństwa.** Wiedza życia codziennego, porządkowana wedle zasady istotności<sup>13</sup>, jest punktem wyjścia wszelkiej bardziej złożonej refleksji poznawczej, której kolejne warianty są budowane na dokonaniach poprzedników, przez ich krytykę i oddzielanie tego, co zachowuje swoją wartość od wszelkich przeżytków. Dlatego nie tylko wiedza naukowa, ale nawet wiedza potoczna nie może być tworzona dowolnie, ale powstaje w efekcie odniesienia do systemu wiedzy i dorobku możliwych poprzedników. Wiedza potoczna kształtuje się zwykle w sposób nieuświadomiony, natomiast wiedza naukowa, gdy jej rozwoju nikt nie zakłócił, zawsze jest rozwijana w efekcie budowania i testowania hipotez. Stąd bierze się charakterystyczny dla niej proces uzmysłowionej i rozważonej krytyki.

Nauka istnieje tylko wtedy, gdy oddziela się od wiedzy potocznej, od doktryn uzasadniających roszczenia zbiorowości ludzkich, nie brnie w ślepe uliczki namiastek teorii (np. pseudoteorii politologii syndromatycznej czy historycznej) i odpowiada na kolejne pytania stawiane z różnych pozycji, nie ulegając jednak intencjom osób je formułujących. Gdy jedni tworzą wiedzę zgodnie z jakimiś interesami, inni poddają ją krytyce. Tak zachodzi proces obiektywizacji wiedzy.

Każdy człowiek dysponuje swoją wiedzą osobistą, ale w ludzkich społeczeństwach wiedza funkcjonuje w sposób intersubiektywny. W ten sposób formowane są zasoby wiedzy danej epoki. W nich wyróżnia się wiedza naukowa, która w wersji żywej nie jest dogmatem, lecz jest zespołem hipotez. Nawet bowiem uznane teorie i twierdzenia mogą być poddawane w wątpliwość. Chyba że nauka obumiera i staje się przedmiotem egzegezy, a następnie automatycznie kopiuje się

12 I. Lakatos, *Falsyfikacja a metodologia naukowych programów badawczych*, (w:) *idem, Pisma z filozofii nauk empirycznych*, Warszawa 1995, s. 71–81.

13 P. Berger, Th. Luckmann, *Społeczne tworzenie rzeczywistości*, Warszawa 1983, s. 82–83.

pewne twierdzenia. Wtedy dominuje metoda bezrefleksyjnej reprodukcji, czyli panuje charakterystyczna dla dzisiejszej polskiej politologii scholastyka. W tych warunkach dominujące pozycje przypadają teorioignorantom i ideokopiarkom. Oni brzydzą się hipotezami i krytyką, uznając je za dziwactwo. Dlatego z ochotą poddają się ideom napływającym z mediów i je powielają. W warunkach niedofinansowania nauki i upadku krytyki jest to metoda tania, łatwa i gwarantująca sukces na krótką metę.

Gdzie zanika krytyka i symuluje się debatę, tam nie mamy do czynienia z nauką. Z pewnością możemy natomiast obserwować odwoływanie się do wiedzy potocznej, uleganie językowi mediów, ignorancję w zakresie dorobku nauki, teorii, a przede wszystkim ujawnia się skłonność do powielania tego, co zwyczajowo traktuje się jako wiedzę niepodważalną. Wówczas gaśnie skłonność do formułowania ocen, wszystko, co nie narusza błęgiego spokoju staje się na uniwersytecie wyznacznikiem myślenia i każdy, kto ma jakąkolwiek oryginalną myśl, boi się z nią wystąpić. Z pewnością nie sformułuje jej w pracy pisanej na stopień, gdyż mogłoby to zniszczyć mu karierę.

Nauka tworzy wiedzę, która jest niemożliwa do wyłonienia w perspektywie życia codziennego człowieka. Gdyby ludzkość trwała na poziomie wiedzy potocznej, nigdy nie doszłoby do ustalenia, że Ziemia krąży wokół Słońca! Na tym polega wielkość nauki, że wspiera ekspansję naszego gatunku w obszary, gdzie ludowa mądrość nie wystarcza do działania i formuluje się ryzykowne hipotezy, a potem je podważa. Ta zasada dotyczy każdej wiedzy aspirującej do statusu wiedzy naukowej, także politologii uwikłanej w język debaty publicznej.

**Podstawowe dyscypliny nauki wyrosły z wiedzy potocznej w wielopokoleniowym procesie odkrywania świata przez ludzi.** Tak kształtowały się astronomia, fizyka, kosmologia i matematyka. Problem w tym, że powyższe dyscypliny dawno wykroczyły poza poziom wiedzy potocznej, tymczasem politologii faktycznie udało się to dopiero w XX w., i rezultaty tego aktu są trudne do uświadomienia nawet profesorom uniwersyteckich wydziałów politologii. W środowisku politologów myślenie z łatwością powraca na poziom potoczny i pozostaje na nim, poddając się regułom dyskursu medialnego. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że politologia jest znacznie młodsza, ale również dlatego, że jej teoria tak łatwo staje się politycznie zależna, podlega grze interesów i ideologizacji, a wtedy rozwija się nie drogą formułowania hipotez badawczych, lecz kopiowania dogmatów.

**Jeśli politologia ma być dyscypliną nauki, musi ruszyć drogą przebytą przez dyscypliny bardziej od niej zaawansowane, nawet jeśli nie może podlegać takim rygorom, jak one. Nie ma innej drogi. Chyba że politolodzy zadowolą**

się statusem podobnym do astrologii i meteorologii młodego górala. Wtedy jednak sami plasują się na marginesie uniwersytetu.

Tym samym:

- dyscyplina nauki wyrasta z wiedzy potocznej, ale istnieć zaczyna dopiero, kiedy tę wiedzę sprawdza, wykracza poza nią uzbrojona w ciągle weryfikowaną teorię i stale rozwijaną metodologię;
- teoria tym się między innymi różni od wiedzy potocznej, że uprawiający ją badacze wiedzą, czym się zajmują, są świadomi swojego przedmiotu poznania i w podstawowych sprawach nie rozumują intuicyjnie – a gdy już posługują się intuicją, badają poprawność rozumowania na przykład przez krytykę hipotez lub konfrontację programów badawczych;
- wiedza ma charakter naukowy tylko wtedy, gdy opiera się na ciągle weryfikowanej teorii, a uprawiający ją poświęcają się nie kopiowaniu dogmatów, ale budowaniu hipotez i ich krytyce;
- teoria nie funkcjonuje w efekcie braku dorobku w postaci własnego zasobu wiedzy określającego rozważania nad przedmiotem poznania i horyzont poznawczy – ona jest możliwa tylko drogą kumulowania i selekcjonowania dorobku;
- podstawą warsztatu każdego teoretyka jest erudycja;
- teoria podlega próbom falsyfikacji w procesie badań naukowych, czyli sprawdzania hipotez i odróżniania twierdzeń potwierdzonych od niepotwierdzonych, nawet jeśli większość z tych nieobalonych funkcjonuje jako tymczasowe, gdyż nie jest możliwa weryfikacja natychmiastowa i z racji konstrukcji ludzkiego umysłu niemal każda hipoteza jest tak sformułowana, że kiedyś będzie obalona<sup>14</sup>;
- dowolni wizjonerzy i ideolodzy, a nawet teoretycy nie mogą zostać włączeni do panteonu poprzedników – liczą się jedynie ci, którzy pozostawili poddany ocenie wkład do dyscypliny i jej teorii, **będąc świadomi przedmiotu poznania**;
- dyscyplina nauki kształtuje się początkowo w efekcie procesu uwalniania rozważań na temat obiektu uznawanego za istotny od pytań postawionych przez dyscypliny starsze, co prowadzi do formułowania nowych pytań, specyficznego zdefiniowania przedmiotu poznania i wyjaśniania go w sposób oryginalny. Stanowi to wkład do wiedzy uchodzącej za naukową wedle aktualnie obowiązujących standardów;

---

14 I. Lakatos, *Falsyfikacja a metodologia...*, op. cit., s. 110–118.

- przedmiot poznania pojawia się wtedy, gdy jakiś fragment rzeczywistości jest na tyle doniosły dla ludzi, że skupiają na nim własne zainteresowanie i tak obiekt ten przyciąga ich uwagę, stając się przedmiotem refleksji przez pokolenia (nawet przez tysiące lat);
- dojrzała dyscyplina stawia własne pytania, precyzuje teorię przedmiotu poznania i dlatego jej uprawianie dotyczy uświadomionego przedmiotu poznania, który podlega dyskusjom, jest ciągle na nowo definiowany, zaś uprawiający ową dyscyplinę są w stanie uczestniczyć w debacie nad nim;
- jeśli jakiś przedmiot poznania w czasie życia wielu pokoleń uchodzi za istotny i powraca w debacie, a jednocześnie nie ma jasności co do jego statusu jako obiektu poznania, oznacza to, że jeszcze nie dojrzała wiedza pozwalająca zbudować jego teorię lub taka wiedza została utracona;
- poznanie z perspektywy interdyscyplinarnej, czyli przynajmniej dwóch dyscyplin nauki, gdyby było możliwe, nie znosiłoby problemu przedmiotu poznania. Jego rozważenie może prowadzić do wniosku, że nie mamy do czynienia z poznaniem interdyscyplinarnym lub w ogóle z poznaniem naukowym.

Inaczej mówiąc, umysł człowieka, a tym bardziej uczonego, nawet gdy w jego świadomości nie funkcjonuje to, co aktualnie uchodzi za teorię naukową, dysponuje zespołem wytycznych, które pozwalają mu w złożonej rzeczywistości, chociaż nie jest w stanie jej poznać w całości, wydobyć liczące się dla niego elementy i na nich skupić uwagę. Uczony świadomie koncentruje swoje badania na specyficznym określonym przedmiocie. Oznacza to, że musi znać przedmiot poznania własnej dyscypliny i umieć się na ten temat wypowiedzieć.

Prosty człowiek poznaje otoczenie przez pryzmat wiedzy potocznej, bardziej wykształcony sprawnie operuje doktryną. Natomiast współczesny akademik, chociaż trochę świadomy własnego poznania, powinien odwoływać się do teorii, która nie tłumaczy świata w sposób naturalny, czyli ludowy i dogmatyczny, nie funkcjonuje w podświadomości, ale opiera się na zespole znanych, wyartykułowanych i ciągle weryfikowanych hipotez. **Dlatego uprawianie nauki nie ma miejsca bez teorii przedmiotu poznania dyscypliny. Bez niej nauka nie istnieje, ponieważ nie jest możliwa.**

Warto powtórzyć: nie jest możliwa dowolna teoria. Nowa teoria musi wychodzić od rzetelnej krytyki swoich poprzedniczek. Dlatego uczonego musi być erudytą. Ignorant wyłączenie symuluje uprawianie nauki.

## 27. Nauki polityczne, nauka o polityce i politologia

Akademicy postulujący zastosowanie w politologii metody interdyscyplinarnej nie odróżniają badania naukowego od eklektyzmu pozorującego naukę, a faktycznie nie widzą różnicy pomiędzy nauką i pseudonauką. Nie rozumieją roli nauk pomocniczych w badaniach naukowych. Eklektyzm łatwo prowadzi do złudzeń, zwłaszcza do złudzenia odkrywania czegoś nowego, faktycznie może zaś być pseudodedukcjonizmem albo pseudoindukcjonizmem czy też jakimś wariantem działalności ideokopiarki. W nauce nie ma obecnie liczącego się poznania poza dyscypliną. Tzw. „podejście interdyscyplinarne”, którego istota nie jest określona, a czasem tylko można obserwować wyniki badań uczonych ją deklarujących, w praktyce charakteryzuje się wykorzystaniem teorii sformułowanej na gruncie jednej z dyscyplin i jej metodami, przy wykorzystaniu dorobku nauk pomocniczych.

Ten stan rzeczy wynika z natury ludzkiego umysłu, który – zgodnie ze swoim przygotowaniem – kieruje uwagę na istotne dla niego aspekty rzeczywistości, strukturalizuje i systematyzuje je, a potem operuje tą wycinkową wiedzą. W istocie umysł punkty swojej uwagi dziedziczy po poprzednikach, czyli po tych, którzy go wprowadzali w kulturę. Jedyne skrajni erudyci lub geniusze w zakresie formułowania hipotez są w stanie nieco wykraczać poza ten schemat, ale to nie znaczy, że prowadzą badania pomiędzy dyscyplinami, że formułują problemy z perspektywy dwóch lub więcej dyscyplin. Coś takiego zwykle uniemożliwia konstrukcja ludzkiego umysłu. Dlatego badania interdyscyplinarne są tak trudne, w wielu wydaniach wątpliwe i dotychczas nie została sformułowana żadna licząca się wykładnia metody interdyscyplinarnej, a argumentacja na jej temat, gdy już się pojawia, ma charakter potoczny.

Teoria jest zwykle dziełem pokoleń uczonych. Nie tylko wyjaśnia i umożliwia poznanie, ale jest także częścią programu badawczego i nie istnieje poza dyscypliną, lecz stanowi jej część. Jednak jest to część szczególna, przesądza ją o funkcjonowaniu tej dyscypliny, jak i tym samym o jej stanie. Ma ogromne znaczenie, ponieważ kształtowanie się i funkcjonowanie wiedzy podlega warunkowaniom społecznym. Wszyscy ludzie gromadzą wiedzę i operują nią nie samotnie, ale jako członkowie zgrupowań, razem i jednocześnie przeciw sobie. Przejmują pewną wiedzę i przekazują dalej, ale inną w tym samym czasie starają się zatrzymać dla siebie, jeszcze inną zapomnieć, a nawet utajnić. Wiedza jest bowiem ściśle związana z ich egzystencją. Może poprawiać szanse w życiu, jak i je pogarszać. Tak funkcjonują również kręgi akademickie, gdzie kształtują się dyscypliny, ale także szkoły. Obok nich zdarzają się kółka czcicieli dogmatów z uporem powtarzających swoje mantry.



Człowiek poznaje świat, przeżywając uczucia i emocje. Dlatego treść, konstrukcja, znaczenie i funkcje wiedzy, w tym teorii, zależą od „temperatury” przedmiotu poznania, którym się zajmuje.

Jeśli **przedmiot poznania jest zimny lub prawie zimny**, to znaczy nie angażuje ludzkich uczuć i emocji albo angażuje je w znikomym stopniu czy jedynie przejściowo, mamy do czynienia z dyscypliną, którą uczeni stosunkowo łatwo mogą określić i budować własną teorię oraz metodologię. Jak fizyka, matematyka czy mechanika.

Jeśli jednak **przedmiot poznania jest gorący lub bardzo gorący**, ponieważ silnie i na dodatek zwykle angażuje ludzkie uczucia i emocje, wówczas mamy do czynienia z wiedzą, która trudno poddaje się delimitacji przedmiotu poznania, określaniu granic zjawisk i ich istoty. Tym bardziej zaś w jej ramach piętrzą się trudności odnośnie do problemów teoretycznych i metodologicznych, łatwo też pojawia się chaos terminologiczny. Zwłaszcza gdy wiedza jest związana z masowym komunikowaniem społecznym, a więc jej treść i struktura zależą od interesów rywalizujących ze sobą zjednoczeń ludzi. Takimi gorącymi naukami są nauki społeczne, zwłaszcza zaś te, które mają status nauk politycznych i te, które koncentrują się na badaniu materii politycznej, wychodząc od ich ustaleń. Wbrew rozpowszechnionym i naiwnym poglądom status obu grup tych nauk nie jest identyczny

**Politologia nie należy do nauk politycznych.** Jest znacznie od nich młodsza i powstała, kiedy nieliczni ludzie zaczęli przejawiać silne skłonności do krytycznego analizowania pewnych aspektów świata społecznego, od dawna określanych mianem *politycznych*. Jej status jest szczególnie zarówno z racji wieku przesądającego o niedojrzałości, jak i tego, że nie jest wprawdzie nauką polityczną, ale bada najbardziej gorący materiał, jakim jest zjednoczenie ludzi często silnie rozbudzonych uczuciowo i poruszonych emocjonalnie, działających z powołania do ustanowienia powszechnego porządku wedle własnej wizji. Oni nierzadko walczą o zasoby, przetrwanie i prawo reprodukcji, a więc ich przeznaczeniem nie jest niezaangażowana refleksja tylko walka każdym środkiem, także przy użyciu osiągnięć nauki. Z powodu wyłonienia i funkcjonowania takiego zjednoczenia ludzi to, co polityczne pojawia się w obrębie sieci stosunków społecznych i przesądza o grupowaniu się osobników do tego stopnia, że ci poświęcają swój dorobek i życie, aby ono mogło istnieć, utożsamiając się z symbolami kształtującymi ich wyobraźnię, a przede wszystkim uczucia i emocje. Takimi, jak bóg, dynastia, rasa, klasa czy naród.

Badając podmiot polityczny, badamy też jego tożsamość, jej odczuwanie i przeżywanie w postaci poczucia przynależności do narodu, wyznawanej religii, ideologii itd. Dotykamy więc podstaw egzystencji bytów zbiorowych. Rozważa-

my to, co przesądza o prawomocności ich pozycji i roszczeń. Oczywiście jest, że taki przedmiot poznania nie jest łatwo badać nawet wtedy, gdy nie ma bezpośrednich politycznych oczekiwań od uczonego. Napotyka on nie tylko zewnętrzny opór, na przykład w postaci uprzedzeń otoczenia, ale także wikła się we własne sympatie, uprzedzenia, przede wszystkim zaś nadzieje i związane z nimi oczekiwania. Każdy podmiot polityczny upowszechnia wyobrażenia zgodne z jego interesami, uwiarygodniające i legalizujące własne interesy, próbując manipulować wyobrażeniami ludzi. Utrudnia to poznanie naukowe takiego obiektu.

Politologia sama w sobie nie jest gorąca, gdyż jej wiedza nie bardzo nadaje się do użycia politycznego. Wiedza ta jest mało precyzyjna, naiwna, nierzadko pełna sprzeczności. Prowadzone na gruncie politologii analizy materii społecznej muszą być przynajmniej we wstępnej fazie oparte na pojęciach i poglądach politycznych, ponieważ innych brak. Nauka rodzi się tu na żmudnej drodze wykraczania poza te ograniczenia. **Początkujący politolodzy** posługują się językiem dyskursu politycznego, który kształtuje się na gruncie uczuć i emocji, kierując się mniej ku poznaniu obiektów, bardziej zaś opisaniu ich i wartościowaniu zgodnie z interesami własnego środowiska. Wtedy jednak powoli wyłania się przedmiot poznania, który staje się celem krytycznej refleksji. Przy tych czynnościach używa się nawet takich terminów, jak „Bóg”, „rozsądek”, „racjonalność” i „prawda”. Bywa, że do tego stopnia rozpalają posługujących się nimi, iż z łatwością rozsadzają ich wywód w trakcie politycznej zawieruchy, a nawet przesadzają o osobistym losie. Treści z nimi związane nie mają nic wspólnego z tymi, które nadałby im ktoś neutralny politycznie.

Jeśli mówi się o „prawdzie”, ma się zawsze na myśli własną prawdę i fałsz wroga. Podobnie jest z innymi pojęciami, które służą do uwypuklenia i podbudowania naszych racji oraz podważenia roszczeń rywala. Gdy mówimy o „racjonalności”, mamy na myśli własną racjonalność i irracjonalizm wroga. W polityce nie ma innego podejścia, a ono z łatwością podporządkowuje sobie próbujących prowadzić badania naukowe. Egzystencja określa dążenia i narzuca postrzeganie świata, wytyczając tym samym poglądy, koncepcje i język uczestników. Dlatego zaczerpnięty z niej język politologii podlega silnym ograniczeniom, tym bardziej gdy politolodzy, w znacznej mierze jeszcze myślący potocznie, nie tylko nieświadomie stosują go do swoich analiz, ale jeszcze sami angażują się w rywalizację polityczną czy tylko komentowanie wydarzeń. Ostatecznie przecież są ludźmi przeżywającymi normalne uczucia, w tym także nadziei.

„Jest rzeczą dziwną, że nawet tak abstrakcyjne dociekania jak czysta epistemologia nie są bynajmniej do tego stopnia niewinne, jak można by sądzić (i jak sądził Arystoteles), lecz że jej idee mogą być w znacznym stopniu motywowane i nieświadomie inspirowane przez polityczne nadzieje i utopijne marzenia. Dla

epistemologa powinno to być przestrożą<sup>15</sup>. Czy aby nie powinno to dla politologa być przestrożą o szczególnym znaczeniu? Czy myśl Poppera nie powinna go inspirować do krytycznej refleksji na podstawami poznania własnej dyscypliny, która tak łatwo staje się zależna politycznie, że uprawiający ją posługują się językiem polityki i za jego pomocą kopiuje wiedzę potoczną i doktrynalną?

**Politologia wyrasta z myśli normatywnej, wyłonionej do artykułowania interesów, kształtowania i obrony tożsamości, ale, jako nauka, nie ma charakteru normatywnego.** Jej zadania ograniczają się do opisu i wyjaśniania. Aby jednak takie czynności były możliwe, konieczna jest **teoria politologii**. Taka teoria początkowo wyrasta z wiedzy normatywnej, czyli z doktryn i oddziela się od nich. Jest efektem ich krytyki i odrzucenia. **Warunkiem powstania nauki politologii jest wyzwolenie języka dyscypliny naukowej od wpływu języka doktryn i komunikowania politycznego dnia codziennego.** Temu służy formułowanie teorii politologii i kształtowanie świadomości języka. On nie może być językiem kopiującym język dyskursu potocznego i doktrynalnego.

Bez prób przewyżczenia naturalistycznego, ludowego, pozornie „zdroworozsądkowego” podejścia nie narodzi się nowoczesna politologia, czyli dyscyplina naukowa. Badanie myślenia naturalistycznego drogą krytycznej refleksji nad własnym językiem i terminologią jest fundamentalnym zadaniem w obrębie politologii. Jakakolwiek nauka nie może sobie pozwolić na naturalizm terminologiczny i językowy, jeśli chce badać świat poza interesami politycznymi i zgodnie ze standardami współczesnej teorii nauki.

**Istnieją cztery klasyczne nauki<sup>16</sup> polityczne:** teologia, filozofia, prawo i historia. Ich status i funkcje wynikają z tego, że zapoczątkowały złożoną intelektualną działalność człowieka, która służyła za środek polityczny. Polityczność tych nauk wynika więc nie tyle z samego przedmiotu badania, ile z tego, że zarazem ich przedmiot i osiągnięte wyniki czynią je nadającymi się do wykorzystania w walce jako narzędzie. Nie w każdej walce. W starciach młodzieżowych gangów, grup przestępczych, piratów, rozbójników i handlarzy, w sporach gospodyń i zbieraczy znaczków pocztowych są nieprzydatne. Posiadają jednak kluczowe znaczenie w działaniach, które kierują się na ustanowienie z powołania powszechnego porządku wedle jego wyznawanej wizji. Przedsięwzięcia tego rodzaju są nieprzygodkowe. Kto chce ustanowić własny porządek, musi działać z powołania, a ono wymaga uzasadnienia. Do jego sformułowania, obrony i wykorzystania konieczne są nauki polityczne.

15 K. Popper, *O źródłach wiedzy i niewiedzy*, (w:) *idem, Droga do wiedzy. Domysły i refutacje*, Warszawa 1999, s. 16–17.

16 Terminu „nauka” używam w tym miejscu w sensie wiedzy.

Teologia, filozofia, prawo i historia stanowią typy wiedzy o kluczowym znaczeniu dla treści uzasadnienia, tym samym zdolności zbudowania i utrzymania odrębnego ładu, jednoczącego nawet miliony osobników. Chodzi więc o ich użycie do walki w związku z jedną z fundamentalnych czynności, jaką zajmują się od kilku tysięcy lat ludzie zgrupowani w przestrzeni w rywalizujące ze sobą zjednoczenia. Rządzący i przewodzący masom posługiwali się tymi środkami z ochotą i bez zahamowań, działając z powołania, czyli nie w efekcie osobistych, prywatnych uczuć, ale przeżywania uczuć przez tych, których prowadzili, którymi dowodzili w działaniach mających na celu zabezpieczenie zasobów, stawianie oporu wrogom i ich zwyciężanie. Dlatego nie wybrali jako politycznego środka teologii, filozofii, prawa i historii, tym bardziej nie wymyślili ich i nie kształtowali treści poza nielicznymi przypadkami, gdzie reformatorskie zdolności dochodziły do głosu, ale po prostu używali, ponieważ były dostępne i okazały się nie tylko przydatne. Od pewnego momentu stały się niezastąpione. Bez nich polityka okazała się niemożliwa. Natomiast przy umiejętnym zastosowaniu osiągnięć nauk politycznych zyskiwała na skuteczności i wydłużał się czas jej prowadzenia.

*Teologia*<sup>17</sup>, czyli wiedza o bogu, jego oczekiwaniach i tym, co gotów dać ludziom, otrzymana za pośrednictwem przeżywanego objawienia i sformułowana w doktrynie, pozwala na wnioskowanie odnośnie do natury świata społecznego, tego, jak mają żyć ludzie, skąd pochodzą, jak powinna być skonstruowana i realizowana władza polityczna, przede wszystkim zaś ku jakim celom ma się kierować. W związku z tym teologia może też dostarczać wiedzy lub inspirować do refleksji na temat funkcjonowania i realizowania zadań przez państwo „miłe bogu”. Stąd jej polityczny charakter.

Pierwotna polityka była całkowicie oparta na teologii (a faktycznie na teogonii i teozofii), uzasadniona jej twierdzeniami, dlatego główne pojęcia polityczne do dnia dzisiejszego pozostają zsekularyzowanymi terminami teologicznymi<sup>18</sup>. W nich nie tylko ujawniają się ambicje gatunku ludzkiego. Przede wszystkim ujawnia się sposób interpretowania świata w kontekście siły sprawczej. Także w demokracji, która opiera się na rozdzieleniu kościołów i państwa. Terminologiczne korzenie demokracji tkwią tak samo w teologii, jak dyktatury czy królestwa i teokracji, ponieważ u ich podstaw stoi właściwa monarchii wizja wszechmocnego suwerena<sup>19</sup>. W teokracji suwerenem jest bóg, w dyktaturze jest nim dyktator, w królestwie król, zaś w demokracji lud. Gatunek ludzki z racji ewolucyjnie wyłonionych cech obecnie nie może istnieć bez wizji suwerena.

17 Jej pierwotną postacią były teogonia i teozofia.

18 Jedno z fundamentalnych ustaleń C. Schmitta (*Teologia polityczna. Cztery rozdziały poświęcone nauce o suwerenności*, (w:) tenże, *Teologia polityczna i inne pisma*, Kraków 2000, s. 60–61).

19 Pytanie o to, jak i dlaczego ona się pojawiła, należy do kluczowych problemów naukowej politologii. Zdaje się, że dotychczas żaden politolog nie zrozumiał jego znaczenia i nie podjął badań nad nim w oparciu nie o ideologię władzy, ale dane historyczne i socjologiczne. Być może najdalej posunął się B. Jouvenel (*On power. Its nature and the history of its growth*, Boston 1962), lecz kto rozumie znaczenie jego ustaleń?

Już w samej nazwie zawiera się nie naukowo, ale teologicznie wyrażona istota systemu, jeśli tylko dobrze odczytujemy tradycyjną terminologię. W treści doktryny tak opiekuńczego boga (troszczącego się o ludzi), dyktatora (który przejął władzę z troski o ludzi, by przywrócić porządek), króla (który panuje z powołania boga i w jego imieniu chroni porządek społeczny), jak i wszechmocnego ludu (z którego powołania i w trosce o który rządzą w demokracji wyłonieni w wyborach powszechnych) widać to pierwotne przesłanie, zgodnie z którym rządzący nie przypadkowo, nie wedle swej woli, ale z nadania, z konieczności władają, z racji otrzymanego od najwyższego ośrodka uprawnienia, aby lud przetrwał. On władają, ponieważ ma do tego nie tylko mandat, ale również niezbędną moc, którą otrzymał jako uprawniony do prowadzenia zbiorowości ludzi. W ten sposób zostają zaspokojone uczucia ludu i możliwa jest jego kosztowna eksploatacja, ale także zyskuje się nieznanne dotychczas możliwości w zakresie kontrolowania zasobów i przetwarzania ich na energię.

Teologia pierwsza wywiodła wizję ładu z tego, co jest odbierane jako absolutne, dlatego ma tak wielkie znaczenie polityczne. Wszystkie kolejne koncepcje ją zastępujące naśladują teologiczny wzorzec rozumowania i argumentacji. Teologia służyła i nadal służy uprzedmiotowieniu i kolektywizacji człowieka, lecz dzięki temu pierwotne zgrupowania polityczne ludzi podnosiły wydajność ekonomiczną i zdolność bojową, której nikt nie mógł się oprzeć. One zwyciężały, a ludzie poza nimi tracili prawo do życia. Teologiczny schemat myślenia obowiązuje do dzisiaj, nawet jeśli treść go wypełniająca jest inna, świecka. Także podstawą uzasadnienia i instytucji współczesnej demokracji, również w wersji liberalnej, jest rozumowanie teologiczne. Kapłani stoją u początków wszelkiej polityki i oni ją dzisiaj prowadzą, także we Francji, w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych, chociaż chodzą w garniturach i bywają ateistami.

*Filozofia*, czyli wiedza wynikająca z umiłowania mądrości i uczuciowego przeżywania prawdy, kształtowana coraz bardziej niezależną refleksją, uwalniająca się od objawienia i odkrywającą powoli nowe sposoby postrzegania świata, podmywa podstawy teologii i służy stworzeniu idei nauki, której ustalenia opierają się na konfrontacji i krytyce hipotez. Filozofia daje możliwość budowania systemów hipotez, czyli teorii zdolnej posłużyć do coraz bardziej wnikliwego rozumienia świata. Zanim jednak powstały takie teorie, jak teoria kopernikańska, teoria względności czy teoria ewolucji, czyli teorie naukowe pozbawione już charakteru filozoficznego, oparte nie na spekulacjach i uczuciach, ale dowodach, filozofia służyła władcom, tuszując te braki wiedzy, z którymi nie radziła sobie teologia. Na przykład na gruncie koncepcji suwerenności. Gdy coraz trudniej było wywodzić ją z woli boga, a coraz bardziej trzeba było odnosić do stosunków panujących wśród ludzi, teologia musiała tracić na znaczeniu i zastępowała ją filo-

zofia<sup>20</sup>. Dlatego w filozofii zawsze silny był wątek polityczny, czyli nienaukowe (niedające się nie tylko dowieść, ale nawet niepodlegające dowodowi, wywiedzione z uczuć przeżywanych przez organizm), normatywne podejście do świata, które mówi, jak powinno wyglądać i funkcjonować dobrze urządzone społeczeństwo. Filozofia jest refleksją charakterystyczną dla myślenia człowieka ewoluującego od teologii do nauki<sup>21</sup>. Sama jednak nie tylko nie jest nauką. Ona pozostaje zdecydowanie bliższa teologii.

Początkowo filozofowie tworzyli skromne doktryny, na przykład woli ludu, równości ludzi czy społecznej sprawiedliwości, cały czas stosując wzorce myślowe, a nawet samą terminologię teologii, by potem rozwijać na ich gruncie całe ideologie społeczne, jak liberalizm, konserwatyzm, socjalizm czy komunizm. U ich podłoża stały złożone wizje egzystencji ludzkiej i porządku społecznego, budowane metodą teologiczną, nawet kiedy dotyczyły wyłącznie *profanum*. Filozofia poszukuje więc prawdy o świecie i człowieku, rozumianej w tradycyjnym sensie, ale jest też w stanie wypowiadać się na temat znaczenia ludzkiej egzystencji i zastępować teologię. Ponieważ prezentuje idee, które działają na ludzkie umysły, modyfikuje uczucia, zyskuje nośność społeczną i jej produkt, nadaje się do politycznego wykorzystania. Zdobywa status politycznego środka, za pomocą którego skłania się ludzi do posłuszeństwa i mobilizuje, aby płacili wysokie podatki i ginęli na polu walki. Na przykład za „wolne, sprawiedliwe i równe społeczeństwo”, które faktycznie będzie charakteryzowało się tylko innym wydaniem zniewolenia, niesprawiedliwości i nierówności. Z takim zjednoczeniem ludzi od pewnego momentu historii naszego gatunku nie mogły się utrzymać w rywalizacji żadne inne, dlatego te uzbrojone w filozofię zwyciężały. Nadawało to filozofii szczególne znaczenie, chociaż w końcu ona nie była w stanie podołać stawianym jej zadaniom.

*Prawo*, czyli wiedza o pochodzeniu, statusie normy, jej treści i funkcjonowaniu systemu norm w porządku politycznym, żywi się ustaleniami teologii i filozofii, ale jest zależna od woli podmiotu politycznego. Dlatego prawo musi służyć zjednoczeniom politycznym ludzi i samo w sobie jest polityczne, nawet jeśli ludziom wydaje się, że za jego pomocą istnieje tylko sprawiedliwość (dlatego nie mówimy „prawo polityczne”, podobnie jak nie mówimy „państwo polityczne”). Prawo jest normatywnym fundamentem rzeczywistego porządku społecznego, rozumianego jako politycznie utrzymywane przeciwieństwo anarchii i dlatego samo w sobie stanowi jeden z kluczowych środków politycznych. Podobnie takim środkiem jest wiedza na temat prawa. Od momentu wyłonienia się politycznych zjednoczeń ludzi nie istnieje prawo apolityczne, podobnie jak nigdzie nie wyłoniło się

20 Jasno widać to po lekturze Jana Bodina (*Sześć ksiąg o Rzeczypospolitej*, Warszawa 1958).

21 Filozofowie jasno to wyrazili. Może najlepiej Ernst Bloch: „Filozofia niosła niegdyś pochodnię nauki, teraz niesie tren jej sukni”.

apolityczne państwo. Apolityczna nauka prawa z wielkim trudem kształtuje swoje miejsce wśród nauk społecznych. Sami prawnicy nie bardzo chcą posuwać się w tym kierunku. Najchętniej trwaliby jako wyjątkowa branża, o odrębnych interesach, kultywując swój pradawny status oparty na szczególnym stosunku do rządzących. Jako kapłani systemu norm, niezależnie od jego pochodzenia.

*Historia*, czyli wiedza o przeszłości, także ma naturalne znaczenie polityczne i od samego początku jest polityczna nie dlatego, że zajmuje się wydarzeniami politycznymi, ale ponieważ zgodnie z wolą polityczną je segreguje, porządkuje i interpretuje. Historia w pierwotnym, naturalnym wydaniu, obecnym także w dzisiejszych najbardziej rozwiniętych społeczeństwach<sup>22</sup>, to opowieść o chwalebnych dziejach odrębnej organizacji politycznej i jej przywódców, pisana w celu wytworzenia poczucia wspólnoty egzystencji i interesów przez kształtowanie i rozwijanie świadomości wspólnej przeszłości, wyrażającej się w przynależności terytorialnej, ciągłości kulturowej i wiedzy o wielkości dokonań przodków. Jej narratorzy pomijają liczne fakty, równocześnie absolutyzując inne wydarzenia. Koncentrują się na wspaniałych wyczynach swojego zjednoczenia i osiągnięciach własnych przywódców, nawet jeśli ci byli nieudacznikami i przegrali. Kiedy zwyciężyli militarnie, ale polegli dyplomatycznie, pamięta się tylko o tym pierwszym wydarzeniu, drugie usuwając z pamięci. Zadaniem historyków zaangażowanych politycznie, a pierwotnie innych nie było, pozostawało kreowanie bohaterów i partykularnej wizji dziejów, wyrażającej interesy danego podmiotu politycznego. Taka historia była środkiem służącym kształtowaniu egzystencji i pozycji podmiotu politycznego w środowisku. Fałszowanie wiedzy, świadome i nieświadome, było i pozostaje jej nierzadko stosowaną metodą. Nawet jeśli oficjalnie posługiwano się nią jest potępiane.

*Politologia* nie jest nauką polityczną, ale już z racji inspiracji czerpanych z teologii, filozofii, prawa i historii, to, co za nią uchodzi, było tworzone od początku, czyli w XX w., przez ludzi silnie zaangażowanych w artykułowanie interesów o wielkim znaczeniu. Dlatego politologia w naturalny sposób pozostaje obciążona trudnym dziedzictwem i jej rozwój określa konieczność starań o uwolnienie się od niego. Ona nadal nie może się z tego wszystkiego otrząsnąć. Dodatkowym balastem jest wiedza potoczna, która za pośrednictwem mediów codziennie narzuca i podtrzymuje naiwny, doktrynalny styl myślenia pierwszych pokoleń politologów. Upadający uniwersytet preferuje tani styl myślenia, w szczególności styl potoczny na mało teoretycznie zaawansowanych wydziałach politologii. Wszystko to przekształca politologów we frustratów, zupełnie niepodobnych do nowo-

22 Biolog Robert Trivers opisuje swoje studia z historii, od których zaczynał na uniwersytecie, w postaci kontaktu z „[...] dyscypliną nie tak bardzo akademicką, poświęcającą się ćwiczeniu w samooszukiwaniu. [...] Głównym problemem historiografii w USA było poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego jesteśmy największym narodem, który kiedykolwiek istniał i największymi ludźmi, jacy żyli na Ziemi” (*Self-deception in service of deceit*, (w:) *Natural selection and social theory. Selected papers of Robert Trivers*, Oxford 2002, s. 255).

czesnych historyków, socjologów i psychologów. Niezdolnych do debaty nad własnym przedmiotem poznania, tradycji poszukujących tam, gdzie jej nie ma.

Politologia nie jest też *nauką o polityce*, czyli nauką o działaniu ludzkim, które określa się słowem *polityka*. Zrozumienie tego faktu ma kluczowe znaczenie dla uświadomienia sobie przedmiotu poznania politologii. **Polityka jest tylko jednym ze zjawisk politycznych, czyli wyłącznie przejawem tego, co polityczne.** Na dodatek nie jest nawet przejawem głównym czy centralnym zgrupowania ludzi w wielkiej przestrzeni. Każdy, kto mówi o „nauce o polityce”, wypowiada się jedynie na temat powierzchownego fenomenu, który łatwo rzuca się w oczy, podobnie jak władza polityczna, państwo czy partia polityczna<sup>23</sup>, gdy nie widzi się jednoczenia zbiorowości ludzkich i ich rywalizacji, ale dostrzega wyłącznie ostateczne efekty przebiegających procesów społecznych. Nauka o polityce wymaga istnienia tylko ogólnej, bardzo prostej teorii polityki. Ta dzisiaj nie spełnia już stawianych przed nią wymagań, niewiele wyjaśnia i dlatego jest zastępowana przez naukę, która za zadanie stawia sobie poznanie złożonych fenomenów, dających się opisać abstrakcyjnymi kategoriami, wolnymi od sloganów codziennego komunikowania politycznego.

Języka politologii nie używa się przypadkowo, ale w systemie wiedzy uwzględniającym rozwój teorii nauki i nauk społecznych, powoli wyłaniających się z nauk politycznych.

**Odrzucenie „nauk politycznych” i „nauki o polityce” na rzecz politologii nie ogranicza się do zmiany nazwy dyscypliny. Ono znajduje swoje uzasadnienie w wyodrębnieniu i określeniu innego przedmiotu poznania i związane jest z ukonstytuowaniem dyscypliny dotychczas błędnie rozumianej i definiowanej – przede wszystkim w odniesieniu do przedmiotu poznania.**

Oczywiste więc jest, że politologia jest efektem długiego rozwoju ludzkiej refleksji i została oparta na złożonej teorii. Jej podstawową metodą jest wnioskowanie dedukcyjne, a nie kolekcjonowanie danych, chociaż badania empiryczne przesądzą o rozwoju tej nowej dyscypliny współczesnej nauki. Jako jej część może istnieć tylko w warunkach świadomości własnego przedmiotu poznania i debaty nad nim. Gdzie owa debata zanika, politologia przekształca się w „politologię” czyli dyscyplinę z nazwy, faktycznie zaś potoczną wiedzę z nauką nie mającą nic wspólnego.

*Politologia* to termin uwikłany w grecką wizję miasta–państwa, wyrażaną takimi słowami, jak *polis*, *polites* czy *politika*. W każdym razie w kontekście jego

23 Nawet jeśli w języku angielskim istnieje zwyczaj określania tych wszystkich zjawisk „polityką”. Pokazuje to tylko jak bardzo ten język jest zideologizowany i nieprecyzyjny. Ów brak precyzji ujawnia się także między innymi w terminach „*political theory*” i „*normative theory*”, które, rozumiane dosłownie, dzisiaj są pozbawione sensu. Tylko symulujący prowadzenie badań naukowych ignoranci mogą posługiwać się nimi, uważając, że uprawiają naukę.



źródła oznacza naukę zajmującą się określonym przedmiotem: sposobem egzystencji wielu ludzi zjednoczonych w swoistą strukturę, mającą swoje stosunki wewnętrzne i wchodzącą w relacje z rywalizującymi z nimi innymi zjednoczeniami tego typu, samowystarczalnymi i zabezpieczającymi dobre życie<sup>24</sup>. Te poglądy Arystotelesa, uwarunkowane ideami uprawomocniającymi istnienie społeczeństwa niewolniczego, pokazują jednak także pewien istotny aspekt takiego zjednoczenia ludzi (Stagiryta sobie tej kwestii nie uświadamiał): jego samodzielność w zakresie pozyskiwania i ochrony zasobów oraz zaangażowania w utrzymywanie konkretnego porządku, ściśle związanego z istnieniem terytorium. Porządek ten traktowany jest jako uniwersalny i dlatego tak łatwo zasadne stają się dążenia, aby ów ład narzucić światu.

Gdy uwolnimy się od myśli starożytnej, która nie jest dla nas w żaden sposób wiążąca i wykorzystamy zasoby współczesnej wiedzy, powiemy, że **politologia jest nauką o szczególnych fenomenach w ramach społeczeństw ludzkich, wyłonionych w efekcie pojawienia się specyficznych zjednoczeń osobników naszego gatunku, zmobilizowanych do ustanowienia powszechnego porządku wedle własnej jego wizji i każdym środkiem**. Powodem istnienia politologii jest obecność podmiotów politycznych, jednak politologia nie jest nauką, która zajmuje się wyłącznie nimi, gdyż ich obecność i aktywność pociąga za sobą zainicjowanie wielu zjawisk społecznych o statusie politycznym, niejednorodnych już tylko z racji radykalnej różnicy pomiędzy podmiotem politycznym i środkiem politycznym. Dlatego **trzeba badać historię, istotę, strukturę i funkcje tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne**.

Mówiąc w skrócie, **politologia to nauka o tym, co polityczne**. Takie twierdzenie oznacza, że politologia nie jest *nauką o polityce*<sup>25</sup> już tylko dlatego, ponieważ nie można polityki utożsamiać z przedmiotem poznania politologii.

Twierdzenie, iż politologia jest nauką o tym, co polityczne nie jest tautologią, jeśli tylko rozumiemy, co jest polityczne i jak istnieje w ramach tego, co społeczne. Politologia nie bada bowiem zjawisk politycznych w izolacji, ale lokalizuje je, opisuje<sup>26</sup> i wyjaśnia w niszach ekospołecznych, czyli w środowisku naturalnym i sieciach stosunków międzyludzkich.

24 Arystoteles, *Polityka*, Warszawa 1964, s. 6.

25 Ten właśnie problem był głównym przedmiotem sporu, jaki prowadziłem z Ryszką w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wiele z przedstawionych tu hipotez narodziło się właśnie w tamtej dekadzie podczas naszych nielicznych, ale nierzadko burzliwych spotkań.

26 W przypadku politologii akurat opis może mieć szczególne znaczenie, gdyż wiedza na temat zjawisk politycznych jest jeszcze bardzo mizerna. Także ta dostarczana przez naukę prawa, historię i socjologię. Powielając ich założenia poznawcze, politologia nie stanie się dyscypliną uprawianą przez ludzi w pełni świadomych swego przedmiotu poznania.

## 28. Teoria politologii

Niegdyś za przedmiot badania politologii uznawano politykę czy/i państwo. Jednak takie podejście okazało się niewystarczające, ponieważ są to jedynie warianty zjawisk politycznych. Świadomość, nawet intuicyjna i niedojrzała do tego, aby wyartykułować ją w tekstach, że to, co polityczne jest znacznie szerszym zjawiskiem, a ponadto nie można definiować polityki w kontekście państwa, by potem państwo pokazać w postaci przejawu polityki (elementarny błąd logiczny), zmuszała do dalszych poszukiwań.

Także niewystarczająca okazuje się teoria Schmitta. Chociaż bowiem w tym, co polityczne ujawnia swoją obecność w najbardziej skrajnej formie ów przerażający stosunek, wyrażony obecnością wroga i przyjaciela, który jego uczestnicy mogą realizować w walce na śmierć i życie<sup>27</sup>, to przecież nie w tej relacji ujawnia się istota tego, co polityczne. Ona jest przede wszystkim widoczna w specyficznych cechach jego uczestników, lecz nie dlatego, że mogą być wrogami czy przyjaciółmi, ale ponieważ, jak nikt inny, są agregacjami ludzi połączonych w zjednoczenia uderzające każdym środkiem, działające z powołania w imię ustanowienia porządku wedle własnej wizji. Dopiero to czyni ich wrogami, którzy muszą walczyć ze sobą na śmierć i życie, posuwając się nawet do prób wymazania populacji rywala za pomocą zorganizowanego ludobójstwa<sup>28</sup>. Polityka jest inicjowana w wielkiej przestrzeni i długim czasie. Istnieje jednak tylko jako efekt obecności politycznego zjednoczenia ludzi, czyli jest jednym z licznych przejawów tego, co polityczne.

Pomimo tych elementarnych i stosunkowo prostych ustaleń dzisiejsza politologia bazuje na tezie lub milczącej akceptacji „myśli” o nieprzewidywalnej niejasności przedmiotu własnego poznania, broniąc się przed dyskusją na ten temat i obracając w pseudonaukę. Takie stanowisko jest nie do utrzymania, ponieważ doprowadza politologię do upadku i czyni ją hybrydą bez przedmiotu poznania, stanowiącą łatwy do konsumpcji kąsek dla najsłabszych socjologów, historyków i reprezentantów innych nauk społecznych. Nie dlatego, że coś do niej wnoszą, ale ponieważ przejmują wydziały politologii i je w szybkim tempie rujną obracając w wydziały potocznej wiedzy o społeczeństwie.

**Teoretykom polityki, a za nimi politologom z nazwy brak elementarnej znajomości horyzontu intelektualnego, który tworzy podstawy dzisiejszej politologii.**

27 C. Schmitt, *Pojęcie polityczności*, (w:) *idem, Teologia polityczna...*, op. cit., s. 198–199.

28 Po raz pierwszy przedstawiłem tę teorię w książce *Anarchia i policentryzm. Elementy teorii stosunków międzynarodowych* (Białystok 2006, s. 191–258).

Horyzont poznawczy politologii kształtuje się pewnie nawet nie od Platona i Arystotelesa. Może sięgać pierwszych wizji religijnych i politycznych czwartego tysiąclecia p.n.e., powstających w Egipcie i Mezopotamii. Taka wykładnia przebija zasięgiem w czasie wszystkie deklaracje naiwnych uczonych poszukujących korzeni socjologii, politologii i teorii stosunków międzynarodowych w starożytności. Jednak te wszystkie pradawne pomysły i idee, jak nie były pierwszymi wydaniem socjologii i teorii stosunków międzynarodowych, tak nie tworzą też fundamentu politologii. Ona, jak wszelka wiedza naukowa, powoli, ewolucyjnie wyłania się z wiedzy potocznej i doktrynalnej, by z niemałym trudem obracać się w naukę opartą na falsyfikacjonizmie. Tak kształtował się jej horyzont poznawczy, który jeszcze dzisiaj jest daleki od wyłonienia się w całej okazałości. Nawet po ukazaniu się ostatnich prac wnikliwych uczonych, miary Paula Kennedy'ego i Hendrika Spruyta<sup>29</sup>.

Jednak niektórzy akademicy ignorują dorobek politologii, próbują rzucić politologów w objęcia Tukidydesa i budują mu ołtarz twórcy teorii stosunków międzynarodowych<sup>30</sup> albo za nic mają, jak wymienieni tu teoretycy polityki, dorobek naszego gatunku w zakresie wyjaśniania tego, co polityczne. Dlatego interpretowany przez teoretyków polityki status politologii jest przerażająco niejasny, a jej przedmiot poznania, ich zdaniem, niemożliwy do wyodrębnienia. Nie warto się trudzić, ponieważ, jak głoszono, w tym zakresie niczego nie da się zrobić.

Tymczasem politologię należy traktować dokładnie tak, jak socjologię, ekonomię, naukę prawa czy pedagogikę albo ergonomię. Dokładnie w kontekście zdolności do określenia własnego przedmiotu poznania. Wynika to już z prostego faktu, że problematyka tego, co polityczne ujawnia się przez tysiąclecia w refleksji nad państwem, polityką, władzą, partiami, rodami i innymi zjawiskami politycznymi. Nie może więc być odłożona na bok. Za jej los jest odpowiedzialna teoria, dotychczas nazywana teorią polityki, faktycznie jednak mająca rację bytu na uniwersytecie jedynie jako teoria dyscypliny nauki, czyli **teoria politologii. Dysponuje innym przedmiotem poznania aniżeli powierzchowna teoria polityki i jednocześnie nie ma nic wspólnego z filozofią polityczną, gdyż jej zadania nie polegają na czynnościach normatywnych, tylko sprowadzają się do budowania hipotez i ich weryfikowania.**

Chyba więc łatwo dostrzec proste różnice pomiędzy doktryną i teorią, pomiędzy filozofią polityczną i teorią politologii (nawet jeśli tę ostatnią nazywamy teorią polityki). Mamy tu do czynienia z programem badawczym o wyraźnej tra-

29 Lista najważniejszych autorów, którzy wytyczyli horyzont poznawczy politologii znajduje się w bibliografii. Trudno uznać ją za zamkniętą.

30 Jak ostatnio A. Gałganek (*Historia teorii stosunków międzynarodowych*, Warszawa 2009, s. 123–154) w długich rozważaniach, z których nic nie wynika, poza nasuwającym się wnioskiem, iż autor wykazuje zadziwiającą skłonność do pisania wedle pseudonaukowych „wzorców” zachodnich.

dycji, a nie ekspresją ludzkich uczuć, oczekujących zaspokojenia wizją porządku boskiego, rasowego, klasowego, seksistowskiego czy jakiegokolwiek innego.

Innymi słowy **politologia nie istnieje bez swojej teorii**, ponieważ musi **precyzować wiedzę na temat specyfiki, zakresu i miejsca zjawisk politycznych w ramach zjawisk społecznych**. Nie potocznie, na ludowo, ale w systemie wiedzy danego społeczeństwa i zgodnie z ustaleniami teorii nauki. Inaczej politologia się rozmywa, ulegając inwazji przedstawicieli innych nauk społecznych. Często imigrantów z konieczności, walczących o byt na uniwersytecie.

Widać to szczególnie na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, którego profesorowie poddali się wpływowi teoretyków polityki, jednocześnie świadomi słabości ich propozycji. Dlatego na wszelkie sposoby bezradnie posiłkowali się z zewnątrz, zatrudniając między innymi teologa, psychologów czy zdolnego opowiadacza bajek z Izraela, aby uratować własny wizerunek. Nie pomogą jednak nawet oni, o ekonomistach, historykach i prawnikach nie wspominając. Na Krakowskim Przedmieściu 3 brak bowiem świadomości, czym jest politologia. Dlatego profesor psychologii może zaproponować politologom wyłącznie prosty psychologizm<sup>31</sup>, a nie próbę psychologicznego wyjaśnienia zjawisk politycznych, gdyż nie rozumie, czym jest to, co polityczne. Skąd jednak miałby to wiedzieć, skoro teoretycy polityki wyłącznie mącą w głowach. Teolog, historyk, socjolog, psycholog czy prawnik, tym bardziej zaś nawet wyjątkowo uzdolniony opowiadacz bajek, nie określą przedmiotu poznania politologii. Oni niczego nie dokonają, gdy sami politolodzy własną dyscyplinę prowadzą do upadku.

Bez teorii politologii nie będzie postępu w badaniach nad zjawiskami politycznymi. Dlatego trzeba sobie wreszcie uświadomić, że ratunek nie przyjdzie z zewnątrz. **Ratować politologów musi ktoś, kto rozumie, czym jest politologia. Musi to być politolog**. Jednak nie pierwszy z brzegu. Musi to być teoretyk, który rozumie, jakie zadania stoją przed teorią politologii i czym jest metodologia dyscypliny.

31 Trudno wymagać od profesor psychologii podejścia politologicznego. Spojrzenie na przedmiot poznania innej dyscypliny z perspektywy własnej może być pouczające, ale do danej dyscypliny zwykle niczego nie wnosi w wymiarze ją konstytuującym. Wykład K. Skarżyńskiej (*Człowiek a polityka. Zarys psychologii politycznej*, Warszawa 2005), pomimo erudycji autorki w zakresie preferowanej przez nią wersji psychologii, która powoli przechodzi do historii (zastępuje ją psychologia ewolucyjna), ujawnia jak łatwo pomija ona zjawiska zbiorowe związane z grupowaniem ludzi w milionowe zjednoczenia. Tu zależności psychiczne odgrywają ogromną rolę, ale w cytowanej książce ich się nie wyjaśnia, ponieważ obrona perspektywa jest już przestarzała. Słabości myślenia Skarżyńskiej w odniesieniu do zjawisk politycznych ujawniają się między innymi w takich zdroworozsądkowych i nieuprawnionych konstatacjach, jak teza, że „[...] wszyscy jesteśmy politykami [...]” (s. 12), a „[...] uprawianie psychologii politycznej oznacza po prostu bezpośrednią aplikację psychologicznych modeli teoretycznych do sfery polityki” (s. 13). Podobnych twierdzeń jest w książce niezliczona ilość. Oznacza to, że jej wykłady mogą być nawet ciekawe dla początkujących studentów politologii, ale ich podstawa teoretyczna i założenia metodologiczne są błędne.

Teoretycy polityki pokazali specyfikę poznania realizowanego rzekomo bez teorii, w ramach podejścia interdyscyplinarnego czy rodziny nauk, metodologii, przez pryzmat metafor i syndromów. Zadali dyscyplinie ogromne straty, uzasadniające nawet jej likwidację. Teraz trzeba poszukiwać szans wyprowadzenia politologii z błędnej drogi, na jaką wywiedli ją pseudouczeni. Można tego dokonać na początek przynajmniej wykorzystując teorię wiedzy naukowej i badając tradycję horyzontu poznawczego politologii, całkowicie obcą teoretykom polityki. Oni jej nie znają, tymczasem tu znajduje się potężny dorobek naukowy, który jednak trzeba umieć oddzielić od wiedzy potocznej i doktrynalnej.

Należy pamiętać, że dzisiaj już nie wypada mówić o tym, iż rozwój politologii idzie w złym kierunku. Tak było dwadzieścia lat temu. Obecnie, w efekcie wieloletniej aktywności teoretyków polityki, politologia znalazła się na manowcach i jej naprawa wymaga radykalnej kuracji. Poprzez jasne wytyczenie granicy pomiędzy teorią polityki i teorią politologii, by tę pierwszą unieważnić jako błędną drogę opartą na potocznym empiryzmie, braku erudycji, zrodzoną naiwną skłonnością do opisywania zjawisk powierzchniowych.

**Jeśli politologia za pośrednictwem teorii politologii nie podejmuje problematyki swojego przedmiotu poznania, oznacza to, że zupełnie traci świadomość własnej odrębności i musi zanikać. Wtedy staje się „politologią”, czyli politologią jedynie z nazwy.**

Warto pamiętać, że wiele dyscyplin bada politykę i inne zjawiska polityczne, chociażby państwo, system polityczny, zachowania polityczne i partie polityczne, ponieważ wiążą się z ich przedmiotem poznania, a nawet istnieją w jego obrębie. Nie znaczy to jednak, że owe dyscypliny są w stanie uporać się ze specyficznym problemem, jakim jest obecność tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne. W szczególności, jak pokazałem wyżej, nie jest w stanie dokonać tego socjologia. Tak samo jednak nie wyjaśnią zjawisk politycznych ani teoria państwa i prawa, ani historia, ani ekonomia.

Postawmy sprawę jasno: **z podstawowego dylematu politologii wynika konieczność odpowiedzi na fundamentalne pytanie: czy mianowicie politolodzy są w stanie wykazać, że dostarczają wiedzy na temat tego, co przyciąga uwagę ludzi od pokoleń, ale o czym inne dyscypliny nauki nie wypowiadają się kompetentnie.** Obecnie coś takiego, na gruncie dokonań teoretyków polityki, nie jest możliwe. Jednak i w przyszłości nie wykaże się tego, gdy politolodzy z nazwy zdominują uniwersyteckie wydziały politologii i będą głosić, że politologia jest „rodziną nauk” albo charakteryzuje ją „metoda interdyscyplinarna”. Takie podejście niszczy proces badawczy i debatę akademicką, ponieważ **w nauce można udowodnić własną zdolność poznawczą, jedynie definiując przedmiot poznania i wykazując jego znaczenie w strukturze wiedzy ludzkiej.** Innej drogi nie

ma. Każda próba sugerowania alternatywnego postępowania, bez krytyki dorobku poprzedników i przekonywającego uzasadnienia nowego podejścia, oznacza stanowisko sprzeczne z ustaleniami nauki.

## 29. Znaczenie problemu tego, co polityczne dla politologii

Jeśli politologia miałaby być dyscypliną wiedzy równoprawną socjologii, historii i ekonomii, a przecież nie ma powodu (z uwagi na dominującą obecnie teorię wiedzy naukowej), aby istniała inaczej, to zjawiska polityczne nie mogą być rozumiane jako zjawiska społeczne. Gdyby taki pogląd nadal okazywał się popularny, oznaczałoby to, że politologia jest najwyżej działem socjologii i wszystko jest polityką: zarówno postępowanie wielkich mocarstw, jak i wójta gminy, może nawet wtedy, gdy wyprowadza psa na spacer, tym bardziej zaś flirtuje z sekretarką. Coś takiego nie jest nauką, tylko wiedzą potoczną.

**Przynajmniej wstępne określenie specyfiki tego, co polityczne i poddawanie tej kwestii debacie, jest warunkiem skończenia z politologią jako pseudonauką i rozpoczęcia od nowa budowy politologii.** Nawet jeśli to określenie będzie przedmiotem kontrowersji. Faktycznie długo jeszcze będzie. Nadal toczą się spory odnośnie do tego, czym są dzieje, społeczeństwo i rynek, a nawet norma prawa. Kontrowersje na temat funkcjonowania rynku, jego siły i ograniczeń nie mają końca, ale jakoś nie słyszałem, że ekonomia jest częścią socjologii. Tak samo nikt nie mówi, że prawo nie jest dyscypliną nauki. Tutaj bowiem, w kręgach prawników i ekonomistów, spory przebiegają na innym poziomie. Środowiska ekonomistów i prawników nie pozwalają się zdominować przez pseudoteoretyków. Gdyby ktoś taki się jakimś cudem wśród nich pojawił, zostałby natychmiast naturalną drogą krytyki naukowej wyeliminowany.

Natomiast w świadomości politologów problem tego, co polityczne nie jest obecny i nie rozumie się, że teoretycy polityki są szkodnikami niszczącymi podstawy dyscypliny nauki. Kiedy problem tego, co polityczne stanie się przedmiotem szerszej dyskusji, za pośrednictwem argumentów, otworzy się szansa na przynajmniej przybliżone uzmysłowienie sobie specyfiki politologii, zwłaszcza w kontekście jej odrębności od historii i socjologii. Każda inna droga prowadzi do przejęcia politologii przez socjologię, historię, ekonomię i prawo. Ostatnia dyscyplina, za pośrednictwem teorii państwa i prawa, zajmuje się przecież wieloma kwestiami, które powinna rozważać teoria polityki. Jakoś nie słyszałem, aby teoria państwa i prawa była bez sensu. Nie spotkałem też żadnego teoretyka prawa, który by głosił, że jego dyscyplina jest częścią jakiejś innej dyscypliny. Oni doskonale wiedzą, jaki jest status nauki prawa, ponieważ uczy się ich tego od pierwszego roku studiów.

Na wydziałach politologii nikt nie wpadł na pomysł, aby na pierwszym roku studiów wprowadzić porządnie wykładany przedmiot „Wstęp do politologii”. Studia politologiczne są zlepkiem przypadkowej wiedzy z socjologii, historii, psychologii czy teorii państwa i prawa, zwykle serwowanej przez ignorantów. Nawet wiedza o administracji jest ważniejsza od wiedzy na temat politologii. Dominuje potoczne spojrzenie na politykę z perspektywy problematyki wyborczej, zachowań dających się zaobserwować w telewizji i ujętych w ramach wiedzy z zakresu marketingu politycznego.

Dlaczego nie uczy się, czym jest politologia? Odpowiedź na to pytanie okazuje się banalnie prosta. Świadomość profesury uniwersyteckich wydziałów politologii określają twierdzenia formułowane przez Mirosława Karwata, Tadeusza Klementewicza, Barbarę Krauz-Mozer i Zbigniewa Bloka. W warunkach dominacji w Polsce idei, że politologia nie jest dyscypliną nauki i nie ma przedmiotu poznania, którzy politolog ma pojęcie, co należałoby na nim uczyć? Jestem pewien, że nie udałooby im się ułożyć sensownego programu takiego przedmiotu. Po lekturach publikacji pracowników uniwersyteckich zakładów teorii i metodologii polityki trudno nawet zrozumieć, że taki przedmiot powinien być wykładany. Proponuje się trwanie w błogim stanie nieświadomości teoretycznej.

**Politologów uczy się namiastki teorii polityki na czwartym lub piątym roku i czynią to zwykle nie politolodzy, ale pozbawieni wiedzy imigranci. Wskutek tego nawet nie umieją postawić prostego pytania: dlaczego prawnik koncentruje się na państwie i to mu wystarcza, ale dla politologa takie podejście jest nie do zaakceptowania? Być może ono pozwoliłoby ujawnić specyfikę politologii w ten sposób, że nikt nie śmiałby powiedzieć, iż zastępuje ją teorią państwa i prawa, jak to można głosić obecnie, gdyż teoretycy polityki niczego nie ustalili, co wykraczałoby poza wiedzę prawników, faktycznie zaś sprowadzają politologię na poziom wiedzy potocznej.**

Czy któryś z teoretyków polityki jest w stanie udzielić odpowiedzi na to fundamentalne pytanie w formie zdolnej wytrzymać elementarną krytykę na gruncie dorobku światowej politologii? Odpowiedź musi być negatywna. Brak im wiedzy, która pozwoliłaby przeprowadzić wymagany wywód. Pseudoteorie metafor i syndromów są tu bezsilne. Teoretycy polityki i wychowani przez nich politolodzy boją się debaty niczym diabeł święconej wody. Ich żywiołem jest spokojna egzystencja w ramach struktur przypominający pod wieloma względami tajemnicze kółka, w których wolno powtarzać tylko uznane mantry.

**Kolejne pytanie brzmiałoby następująco: jeśli punktem wyjścia teorii tworzonej przez politologa nie może być państwo, to gdzie musi ogniskować się jego uwaga podczas poszukiwania własnego przedmiotu poznania?**

Na to pytanie też nie będzie odpowiedzi, ponieważ zarówno na gruncie pseudoteorii metafor i syndromów, jak i niejasnych tez, że politologia jest socjologią, czymś podobnym pedagogice czy też integruje za pomocą metodologii wiedzę różnych dyscyplin, sformułowanie sensownych twierdzeń na temat tak postawionego problemu jest niemożliwe. Oznacza to propagowanie twierdzeń, które odwracają uwagę politologów od kluczowych problemów własnej dyscypliny i skierowanie myślenia na manowce.

Warto pamiętać, że status politologii jest wątpliwy nie tylko z racji upowszechniania tezy o niejasności jej obszaru poznania. Tutaj mamy do czynienia ze znacznie gorszym przypadkiem całkowitego braku wnikliwej (czyli niesymulowanej) refleksji nad tą problematyką i głoszeniem po cichu (za pomocą stwierdzeń pojawiających się z rzadka w pracach, których na dodatek prawie nikt nie czyta, ale których myśli przewodnie są wygodne i dlatego upowszechnia się je przekazem szeptanym) przez teoretyków polityki, że politologia nie ma swego przedmiotu poznania, czyli nie jest dyscypliną nauki. Dlatego **koniec politologii z nazwy i odbudowa politologii jako dyscypliny nauki będą możliwe dopiero wówczas, kiedy teoretycy polityki zostaną zastąpieni (bo sami się nie przeobrażą) przez teoretyków politologii.**

Rodzimi teoretycy polityki przyjęli stanowisko pozwalające im na uwolnienie się od wszelkiego wysiłku myślowego. Problem jednak w tym, że jest to stanowisko zabójcze dla politologów. Stawia w złym świetle wszystkich profesorów, którzy uzyskali stopnie naukowe na wydziałach politologii. **Brak możliwości rozwiązania problemu nie oznacza w nauce ani jego zniesienia, ani prawa do rezygnacji z zajmowania się nim.** Nauki (oczywiście poza politologią w jej obecnym wydaniu) znają wiele problemów nierozwiązanych albo rozwiązanych po setkach lat debaty nad nimi. Naukowcy zajmują się nimi poważnie i nikt nie kapituluje – poza politologami z nazwy. Po prostu dalej poszukuje się odpowiedzi. Na wydziałach pedagogiki nie prezentuje się tak bezsensownych i destrukcyjnych poglądów. Uniwersyteckie wydziały politologii są podobne do wydziałów teologii, ale przeciw od ich pracowników nie wymaga się refleksji naukowej. Dlatego na wydziałach teologii można bez końca bić pianę na temat Jana Pawła II. Kiedy jednak politolodzy biją pianę na temat teorii stosunków międzynarodowych, równowagi sił, porządku międzynarodowego i systemów jednobiegunowych, na krótką metę kamuflują osobistą ignorancję, w dłuższej perspektywie podważają swoją egzystencję.

Zagadnienie tego, co polityczne w postaci jednoznacznie sformułowanego problemu badawczego wkroczyło na salony nauki na dobre nie dalej jak sto lat temu. Wcześniej w zawołowanych postaciach od starożytności funkcjonowało w świadomości filozofów, prawników czy historyków. Jednak wyraźniejsza jego obecność ujawnia się dopiero w niemieckiej nauce prawa u schyłku XIX w. (war-



to byłoby zbadać okoliczności tego faktu), a jednoznacznie sformułował go na początku XX w. Weber, poruszony naiwnym określeniem działalności dowolnych organizacji społecznych mianem „polityki”<sup>32</sup>. Jest to więc problem całkiem młody. Jego historia w naukowym wydaniu jest stosunkowo krótka. Należałoby zdać sobie sprawę, że jest to także problem kluczowy dla politologii. Jeśli politolodzy nie zajmują się nim, to znaczy, że nie ma politologii, to, co polityczne nie jest niczym specyficznym, a badanie zjawisk związanych z polityką mogą pomieścić sobie podzielić prawo, historia, socjologia, ekonomia i psychologia. Tymczasem w kręgach politologów najwyżej czasem ktoś wymieni Webera, ale nikt go nie czyta. Z pewnością zaś nie można mówić o przemyśleniu fundamentalnych tez Niemca.

Politologia nie zaistnieje w Polsce w postaci dyscypliny wiedzy, jeśli politolodzy nie podejmą problemu tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Warto bliżej przyjrzeć się dyskusji socjologów nad tym, czym jest społeczeństwo. Ta debata nie jest zbyt żwawa, nie prowadzi się jej każdego dnia, ale toczy się i jej elementy pozostają w świadomości socjologów, ponieważ socjologia, jak każda inna dyscyplina czy subdyscyplina albo nawet próba badania interdyscyplinarnego, nie może uniknąć refleksji nad swoim przedmiotem poznania. Wynika to ze sposobu gromadzenia wiedzy przez ludzki umysł i modyfikowania jej w procesie interakcji społecznych.

Socjolog, ekonomista, prawnik, psycholog potrafią wypowiedzieć się na temat przedmiotu poznania własnej dyscypliny. A co potrafi współczesny polski politolog? On na ten temat niczego nie umie powiedzieć. Przecież od pierwszego roku uczy się go pogardy do politologii, serwując tezę, że politologia nie ma własnego przedmiotu poznania.

### 30. Pozorna mnogość teorii politologii

Czy można mówić o szkołach, podejściach, koncepcjach lub teoriach politologii? Od razu podkreślmy, że kto wypowiada się o „podejściach”, reprezentuje styl potoczny. Termin ten nie znaczy ani niczego specyficznego, ani konkretnego. We współczesnej metodologii nauki odchodzi się od rozmytych, wieloznacznych terminów i „podejście” rozumie się jako zespół twierdzeń spełniających wymogi stawiane przed teorią. Z koncepcjami mamy do czynienia w myśli politycznej, ale nie jest to termin precyzyjny. Odnoszony jest do przedstawień rzeczywistości spo-

32 M. Weber, *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*, Warszawa 2002, s. 40–42. Zob. na ten temat: R. Skarżyński, *W poszukiwaniu istoty polityki i tego, co polityczne. Tomasz Mann, Max Weber, Carl Schmitt i Hannah Arendt pomiędzy emocjami, marzeniami i poczuciem rzeczywistości*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2010, t. XXXII, s. 17–19.

łecznej i projektowania świata w efekcie rozwoju ludzkiej wyobraźni w kontekście artykułowanych interesów.

W nauce można wyodrębnić jedynie hipotezy i teorie (składające się na odrębne programy badawcze, gdzie liczą się wiedza zastana i stanowiące dla niej wyzwanie twierdzenia wymagające weryfikacji) oraz, w sensie społecznym, szkoły, czyli krąg uczniów zgrupowany wobec mistrza, funkcjonujący na gruncie specyficznych interakcji. Niekiedy także swoistych hipotez czy teorii, jeśli mistrz je rozwinął. Najczęściej jednak mistrzem staje się w nauce ten, kto nie przedstawił jakiegokolwiek oryginalnej hipotezy czy teorii, ale szczególnie dobrze opanował podstawy warsztatu dyscypliny naukowej i zajmuje się badaniami, jednocześnie umiejętnie oddziałując na młodych adeptów nauki. W dzisiejszej zbiurokratyzowanej nauce czasami mistrzami nazywa się kierujących zespołami badawczymi, nawet jeśli nie są kimkolwiek zdolnym do czegoś więcej aniżeli pozyskiwanie pieniędzy i poprawnego administrowanie.

Z teorii politologii rozumianej jako dyscyplina naukowa należy wykreślić nie tylko rzekome „podejścia”, ale i wszelkie polityczne wizje, doktryny i ideologie, jak liberalizm, konserwatyzm, katolicyzm, decyzyjonizm, feminizm, marksizm itd. One są wyłącznie wdzięcznym przedmiotem badań historyka idei, ponieważ stanowią mniej lub bardziej rozbudowane aprioryczne systemy dogmatyczne, dla których trwania kluczowe znaczenie mają wiara i obrona ortodoksji. Niezależnie, czy jest to wiara w *sacrum* czy *profanum*, z nauką nie ma to nic wspólnego. Tutaj rzadko poszukuje się czegoś nowego, wyłącznie celem zerwania z dotychczasową ortodoksją, by powołać nową. Wariantami takich produktów są także na przykład wizje Oswalda Spenglera, Arnolda Toynbeego i Francisa Fukuyamy. Mamy tu bowiem do czynienia z nieuzasadnionymi spekulacjami na temat procesu historycznego. Ich popularność wynika nie z naukowego charakteru, ze zdolności tłumaczenia zjawisk, ale z faktu, że silnie działają na ludzkie uczucia, przede wszystkim strachu i nadziei, a także wspierają konkretne interesy. Przecież nauka nie może wypowiadać się ani o przyszłości, ani też o sensie wielkich procesów społecznych, tym bardziej w kontekście znaczenia egzystencji gatunku ludzkiego i kierunku, w jakim rzekomo miałyby ona zmierzać.

Czy istnieją jakiegokolwiek teorie w sensie logicznie powiązanych systemów twierdzeń wyjaśniających przedmiot poznania politologii, będące warunkiem istnienia teorii wyjaśniających zjawiska szczegółowe? Gdy próbujemy im się przyjrzeć, rzuca się w oczy przede wszystkim fakt, że produkty uchodzące za nie w środowisku politologów mają charakter cząstkowy, ponieważ są efektem koncentracji uwagi na jakimś zjawisku, aspekcie, na dodatek najczęściej powierzchniowym, dającym się łatwo zaobserwować. Przedmiotem rozważań zwykle okazują się polityka, państwo, władza polityczna, interesy polityczne, wpływy polityczne, instytucje polityczne, naród czy zachowania wyborcze. Są to, ogólnie

rzecz biorąc „teorie polityki”, zespoły nie do końca uświadomionych i sprecyzowanych poglądów, pozostające pod silnym wpływem doktryn i potocznego myślenia politycznego. Innymi słowy mamy tu do czynienia z teoriami z nazwy. Jeśli chodzi o cechy charakterystyczne, najczęściej nie spełniają one wymogów współczesnej teorii nauki. Tym bardziej nie mogą być teoriami dyscypliny naukowej.

W żadnym wypadku nie są to teorie politologii, ponieważ w ich polu widzenia znajdują się rzucające się w oczy zjawiska polityczne, których nie umie się powiązać i przedstawić ich spójnego wyjaśnienia. Takie namiastki teorii, wśród których instalują się pseudoteorie (na przykład metafor czy syndromów), zajmują się przejawami tego, co polityczne, głównie krążąc wokół problematyki polityki, władzy i państwa, bez próby wyjaśnienia czym jest to, co polityczne w całości, jak powstało i jakie funkcje pełni w ramach tego, co społeczne. Nie tłumaczą istoty zjawisk politycznych, ponieważ nie uwzględniają jakiegokolwiek specyficznego przedmiotu poznania politologii, lecz czynią nim dowolne zjawiska, uznawane za ważne, bez refleksji nad tym, dlaczego pewne mają znaczenie, a inne już nie.

Kiedyś można było zadowalać się fragmentarycznymi stwierdzeniami szumnie nazywanymi „teoriami polityki”, gdy uwaga koncentrowała się na tym, co łatwo wpadało w oko, na przykład na władzy, państwie i polityce. Był to okres rozwoju politologii niewiele odbiegającej od wiedzy potocznej. Obecnie jest to już niemożliwe, ponieważ zostały wyjaśnione ograniczenia takiego stosowania metody naukowej (w istocie paranaukowej), a debata nauk społecznych powoli zaczyna dotyczyć procesu stosunków społecznych gatunku ludzkiego w kontekście reprodukcji i adaptacji życia. Konieczna jest więc teoria, która na gruncie teorii ewolucji wyjaśni funkcjonowanie tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne, interpretowanego w kategoriach społecznych rozszerzeń życia<sup>33</sup>.

Można wyodrębnić przynajmniej kilka cząstkowych i równocześnie zwykle powierzchownych tzw. „teorii polityki”, tworzonych pod wpływem koncentrowania uwagi na niektórych zjawiskach i przy pomijaniu innych:

**1) polityka jako efekt natury ludzkiej.** Polityka jest zakorzeniona w naturze ludzkiej, stanowi skutek jej przejawiania się w stosunkach społecznych. Idea powstała na gruncie przeświadczenia, że człowiek jest zły, a więc wymaga poskromienia. W opozycji pozostaje myśl lewicowa, głosząca, że ludzie są dobrzy, tylko psuje ich społeczeństwo. Obecnie oba te stanowiska zostały podważone. Cechy natury ludzkiej podlegają selekcji, a więc określają ją warunki przetrwania organizmów i jest ona o wiele bardziej złożona. Chociażby dlatego, że ludzie w zróżnicowanym środowisku są zdolni tak do czynienia dobra, jak i zła. Wyjaśnianie

33 R. Skarzyński, *Siedem ćwiczeń z rozumienia polityki i stosunków międzynarodowych*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” Sectio K, Politologia 2009, vol. XVI, nr 2, s. 8–15.

ich zachowań w kategoriach charakterystycznych dla prawicy i lewicy niczego istotnego nie mówi, natomiast łatwo jest wykorzystywane w retoryce politycznej.

Natura ludzka wywarła wielki wpływ na procesy grupowania naszego gatunku, ale zjawiska polityczne nie są z pewnością wyłącznie jej wytworem. Już dlatego, że ogromną rolę w ich rozwoju odegrało środowisko przyrodnicze i kształtujące się w nim sieci stosunków społecznych.

**2) polityka jako aktywność władzy.** Pozornie centralną instytucją społeczeństwa jest rzucająca się każdemu w oczy władza polityczna, zwykle rozumiana jako władza publiczna, a właściwie państwowa, uprawniona do wydawania rozkazów, stanowienia prawa, sądenia, a także żądania ofiary z życia od ludzi zgrupowanych w państwie. Stąd skłonność na poziomie refleksji potocznej lub bliskiej jej do utożsamiania polityki z działaniami władzy politycznej w państwie i na zewnątrz. Kiedyś ta teoria niemało wyjaśniała, gdy złożone procesy społeczne pozostawały poza analizami uczonych.

Obecnie jest to nie tyle teoria polityki, co raczej sposób łatwego opisu wybranych zjawisk politycznych, opartego na powierzchownych obserwacjach i na wypowiedziach pozbawionych wnikliwości. Jego główną słabością jest wyraźne podobieństwo do wiedzy potocznej, nieznajomość historii tego, co polityczne i kompletna ignorancja na temat procesów mobilizacji politycznej gatunku ludzkiego w ciągu ostatnich sześciu tysięcy lat. Ich analiza dowodzi, że władza polityczna nie jest centralną instytucją politycznie zmobilizowanych społeczeństw ludzkich.

**3) polityka jako aktywność publiczna.** Jest to zespół niejednorodnych poglądów, głównie związanych z interpretacją życia publicznego starożytnej Grecji i Rzymu oraz współczesnej demokracji przez intelektualistów oświecenia i kontynuujących niektóre idee tej epoki. Ich podłożem jest marzenie o wolnym człowieku, który angażuje się w działania publiczne dla swojego państwa. Dlatego jest to przede wszystkim wizja nadająca się na ideologię polityczną i tak nierzadko używana, z racji spopularyzowania jej w czasach zimnej wojny, gdzie pole konfrontacji prezentowano jako starcie demokracji i totalitaryzmu, głosząc, że demokracja jest dobra, gdyż promuje życie publiczne, a totalitaryzm jest zły, ponieważ zniewala ludzi i uniemożliwia działanie publiczne. Na tej dychotomii opierają się także obecnie publikowane podręczniki pseudonaukowej politologii<sup>34</sup>.

Teoria ta pomija fakt, że polityka jest efektem złożonych procesów społecznych, demokracja łatwo przekształca się w oligarchię (co obecnie widać szczegól-

34 „Możemy rozróżnić świat wolności i demokracji oraz świat autorytarnych i totalitarnych reżimów łamiących prawa człowieka” (R. Zenderowski, K. Cebul, M. Krycki, *Międzynarodowe stosunki kulturalne*, Warszawa 2010, s. 37). Takie stwierdzenie nie ma charakteru naukowego. Złe świadczy o autorach książki i wydawnictwie, które ją opublikowało.

nie wyraźnie), a zjawiska dające się zaobserwować publicznie są niezbyt wiernym, fragmentarycznym odbiciem niebywale skomplikowanych procesów gospodarczych, kulturowych i przemian technologicznych. Nie istnieje jakakolwiek poważna analiza zależności pomiędzy tym, co publiczne i tym, co społeczne, tym bardziej zaś tym, co polityczne. Znamy natomiast wnikliwe analizy procesów rywalizacji małych i wielkich potęg, które pokazują je w czasie życia kolejnych pokoleń<sup>35</sup>. Uzmysławiają nam, że wprawdzie działania polityków mogą mieć nie małe znaczenie, lecz są zależne na przykład od poziomu zasobów pozostających w dyspozycji zjednoczeń ludzkich, którym przewodzą.

**4) interakcjonizm.** Jest to jedna z najbardziej wyrafinowanych teorii socjologicznych, pokazująca jak kształtują się ludzkie relacje i zależności, a nawet przebiega kontrola zachowań. Nie jest to więc teoria politologii, ale teoria socjologii, która znajduje zastosowanie w politologii. W tym kontekście jest to jednak teoria bardzo obiecująca, chociaż nie pozbawiona ograniczeń, zwłaszcza z powodu pomijania problematyki umysłu, uczuć i emocji. Przyniesie efekty jeśli politolodzy przystosują ją do analizy zjawisk politycznych. Socjolodzy tego z pewnością nie uczynią.

**5) teoria konfliktu.** W warunkach zależności specjalistów nauk społecznych od doktryn politycznych głoszących jedność porządku ludzkiego, wszelkie próby wyjaśnienia rozrywających go sprzeczności otwierają inspirującą perspektywę poznawczą. Jednak w jej ramach głównie opisuje się naturę konfliktów społecznych, przy typowym dla socjologów utożsamieniu tego, co polityczne z tym, co społeczne. Uprawnione wydaje się twierdzenie, że mamy tu do czynienia z teorią socjologiczną, która niemało wyjaśnia w zakresie funkcjonowania zjawisk społecznych, jednak politolodzy niczego do niej nie wnieśli (a przecież szczególnie w zakresie problematyki konfliktu powinni mieć wiele do powiedzenia). Przed wszystkim zaś nie wyjaśnili genezy, właściwości uczestników, funkcji i specyfiki konfliktu politycznego. Być może ustalenie, że politolog bada to, co polityczne pozwoli w przyszłości dokonać rozwinięcia i sprecyzowania teorii konfliktu w politologii. Na razie trzeba uznać, że jest ona teorią socjologiczną, zaś politolodzy jedynie intuicyjnie powielają jej wybrane warianty, nie rozumiejąc do czego mogłyby służyć.

**6) funkcjonalizm.** Teoria wskazująca na znaczenie badań nad elementami bytu społecznego w kontekście ich miejsca w nim, jako swoistym systemie złożonym ze składowych wypełniających konkretne zadania, na przykład zaspokajających wyłaniające się potrzeby: pojedynczych ludzi, ale także systemów, organizacji i instytucji.

35 Autorstwa P. Schrödera, H. Spruyta i P. Kennedy'ego.

Analiza funkcji uchodzących za ważne elementy bytu społecznego jest dzisiaj czymś oczywistym. Badamy funkcje władzy, partii, prawa, idei, także w ich politycznych wariantach. Wyjaśnienie funkcji państwa słusznie uchodzi za coś oczywistego i nieuchronnego. Nie da się jednak wyjaśnić zjawisk politycznych wyłącznie w perspektywie wypełnianych przez nie zadań czy zaspokajanych potrzeb. Funkcjonalizm znalazł sobie trwałe miejsce w naukach społecznych i w politologii, ale nie może być podstawą jej teorii. W przypadku bytu politycznego jego funkcje można przecież zrozumieć dopiero po poznaniu genezy i istoty owego fenomenu. Wypełniane przez niego zadania, realizowane potrzeby są efektem procesów, które go zrodziły, pozwoliły się utrwalić, jak i pewnie po części mechanizmów określających jego działanie. Politolog obok funkcji obiektów politycznych musi badać też ich adaptacje do środowiska, w szczególności układów sił społecznych.

**7) teoria systemów.** Mamy tu do czynienia z zespołami hipotez pokazujących zależności pomiędzy elementami struktury społecznej, na przykład elementami politycznymi. Na tym poziomie jest to teoria wartościowa, jeśli pozwala zrozumieć powiązania obiektów społecznych, w szczególności politycznych, jak państwa, partie polityczne, grupy nacisku, ruchy społeczne itd., a także ich relacje do tego, co nie jest polityczne. Teoria systemów daleko odbiega od wiedzy potocznej i jest przykładem myślenia abstrakcyjnego, pozwalającego wyjaśniać funkcjonowanie obiektów, nierzadko niepojętych dla rozumujących potocznie.

Jednak ta teoria nie wyjaśnia pochodzenia systemów, w szczególności niewiele mówi na temat rządzących nimi mechanizmów. Widać to szczególnie w przypadku systemowych analiz partii politycznych i państw. Teoria systemów nie wyjaśnia ich cechy polityczności. Bez teorii ewolucji społecznej i wsparcia ze strony wiedzy historycznej teoria systemów traci dzisiaj status poważnej teorii naukowej, gdyż na jej gruncie nie można odpowiedzieć na wiele elementarnych pytań. Na przykład na pytanie: czy i jak zachodzi w czasie selekcja systemów społecznych.

Poza wymienionymi zespołami poglądów, w których nieliczne zbliżają się do tego, co w nauce uchodzi za teorię, niewiele można znaleźć w zakresie twierdzeń mogących aspirować do miana teorii politologii. Nie są one z pewnością produktami specyficznymi politologicznymi. Są albo ideami politycznymi, albo teoriami zaczerpniętymi z innych dyscyplin nauki i wykorzystywanymi do analizy zjawisk politycznych, często bez jakiegokolwiek adaptacji.

Gdy rozważymy kolejne „podejścia”, które w podręcznikach próbuje się prezentować jako teorie polityki lub coś do nich podobnego, wyniki analizy zaskakują. Co najwyżej można mówić o próbach wykroczenia poza potoczną interpretację.

tację rzeczywistości, które jednak najczęściej nie tłumaczą czegokolwiek, tylko prowadzą myślenie na manowce.

*Normatywizm* nie jest teorią naukową. Wyraża pierwotny, przednaukowy, doktrynalny stosunek człowieka do świata, który poszukuje w nim porządku, a więc chce dysponować wytycznymi odnośnie do tego, jak ma żyć. Normatywizm to stanowisko zakorzenione w wizji świata, w którą się wierzy i którą próbuje wykorzystać do jego opanowania. Normatywizm w politologii może być jedynie przedmiotem badania ze strony historyków myśli politycznej. Z niego wyłania się w mozolnym procesie oddzielania wiedzy opartej na uczuciach od wiedzy wyłonionej w efekcie stawiania i badania hipotez, teoria politologii, ale żaden jego nurt nie tworzy teorii politologii.

*Behawioryzmu* nie da się zaliczyć do teorii polityki, chyba że rozumiemy ją w sposób potoczny czy zbliżony do takiego wyjaśniania zjawisk. Nauka dysponuje już nowymi teoriami zachowań ludzkich, o wiele bardziej zaawansowanymi, opracowanymi na gruncie teorii ewolucji. Natomiast behawioryzm próbuje jedynie wyjaśniać zachowania społeczne, bez uwzględnienia zachowań specyficznie politycznych (jak miałby to zrobić?), w oparciu o metody uznawane dzisiaj za powierzchowne: koncentrację na zjawiskach łatwo dających się zaobserwować i zmierzyć. Jest przykładem wyjątkowo naiwnego empiryzmu.

*Instytucjonalizm* w politologii jawi się bardziej jako mgławicowy koncept aniżeli teoria mogąca aspirować do rangi zespołu twierdzeń wyjaśniających zjawiska polityczne. Nawet jeśli zwolennicy tego „podejścia” zaprzestali koncentracji uwagi na łatwo dającej się zaobserwować organizacji i zajmują się trudniejszymi do lokalizacji i opisu instytucjami stanowiącymi składową życia politycznego społeczeństwa, czyli zespołami reguł sterujących zachowania uczestników stosunków politycznych, jak systemy wyborcze, podatkowe i socjalne, decyzje czy procedury parlamentarne. Jeśli głosi się, że instytucjonalizm jest kierunkiem postulującym spojrzenie na społeczeństwo z perspektywy instytucji, to jest to tylko jedna z teorii promujących koncentrację uwagi na jednym ze znaczących zjawisk, ale przecież nie kluczowym dla socjologii i tym bardziej politologii. Instytucje, jak by ich nie rozumieć, nie są zjawiskiem utrzymującym zależności społeczne. Stanowią jedynie element systemu społecznego.

*Teoria racjonalnego wyboru* jest popularna, chociaż nie ma w sobie niczego z teorii w sensie naukowym. Nawet jeśli wybór społeczny określimy nie potocznie, ale w sposób bardziej wyrafinowany, czyli jako decyzję jednostki ludzkiej dążącej do maksymalizacji korzyści osobistych. W tym ujęciu jest to teoria niezdolna oprzeć się współczesnej ewolucyjnej teorii wyjaśniającej ludzkie zachowania. Natura ludzka została bowiem tak ukształtowana przez dobór naturalny, że człowiek nie jest racjonalny. Dyskusyjna jest nawet teza o maksymalizacji korzyści

osobistych (to są cele i dążenia niektórych, specyficznie uzdolnionych jednostek, składających się na niewielką mniejszość). Obecnie człowiek jawi się bardziej jako egoista poddany wspólnocie, którego zachowaniami sterują uczucia (przede wszystkim strachu i nadziei), emocje, a ostateczne decyzje podejmowane są w efekcie nie samodzielnego wyboru, tylko naśladowania postępowania innych.

Teoria racjonalnego wyboru szczególnie nie sprawdza się w analizie procesów mobilizacji politycznej i w jej specyficznej postaci, jaką jest mobilizacja wyborcza. Tutaj kluczową rolę odgrywają procedury gry symbolami, uczuciami i emocjami. Na nich bazują czynności manipulacji ludzką świadomością, przede wszystkim za pomocą wizji wzbudzających uczucie nadziei (najlepiej w połączeniu ze strachem). Powoduje to, że ludzie masowo podejmują decyzje skrajnie niekorzystne dla siebie, prowadzące do nierównowagi społecznej, destabilizacji i kryzysu, bez zrozumienia, czym jest bilans kosztów i zysków (popierają czy nawet wybierają polityków typu Napoleona, Benito Mussoliniego czy Adolfa Hitlera). W demokracji z łatwością podsuwa się im nieodpowiedzialnych przywódców, którzy później prowadzą naród do działań sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem i naturalnym dążeniem do przetrwania (Silvio Berlusconi). Gdyby ludzie postępowali zgodnie z założeniami teorii racjonalnego wyboru, radykalne ruchy społeczne nie mogłyby zyskać wpływów, a prawdopodobnie nawet się wyłonić. Faszyzm i komunizm nie powstałyby, a George Bush junior nie byłby wybrany na pierwszą, tym bardziej zaś na drugą kadencję prezydencką.

Jeśli gdzieś w nauce najbardziej ujawnia się naiwność teorii racjonalnego wyboru, to właśnie tą dyscypliną jest politologia. W ekonomii owa teoria dysponuje większą mocą wyjaśniającą. Pod warunkiem, że nie stosujemy jej do analizy wszystkich zjawisk ekonomicznych, zwłaszcza zaś tych, w których przejawia się niszcząca siła ludzkich uczuć i emocji. Kiedy bowiem wykorzystamy teorię racjonalnego wyboru do analizy spekulacji giełdowych, zwłaszcza zaś instrumentów pochodnych (a bogatego materiału dostarcza tu szczególnie kryzys finansowy 2008/2009), łatwo dojdziemy do wniosku, że masowymi ekonomicznymi zachowaniami ludzi kieruje chciwość (ponieważ ich zachowaniami sterują marzenia i nadzieja), wspierana silną skłonnością do naśladowania innych. One pchają do autodestrukcji. W warunkach narastania baniek spekulacyjnych szczególnie łatwo zaobserwować, że bilans kosztów i zysków nie liczy się jako czynnik określający zachowania podmiotów gospodarczych. Gdyby miał istotne znaczenie, miliony ludzi w ogóle nie kupowałyby bankowych produktów pochodnych, których funkcjonowania nie rozumieją i nie zaciągałyby kredytów hipotecznych w warunkach radykalnego przewartościowania nieruchomości.

Teoria racjonalnego wyboru zasługuje na szczególną uwagę jako przykład naiwnej pseudonauki, która istnieje tylko wskutek ignorowania prostych obserwacji zjawisk politycznych i ekonomicznych, przede wszystkim zaś teorii umysłu.



**Jedyną liczącą się dzisiaj teorią politologii jest teoria tego, co polityczne,** ponieważ tylko ona określa specyficzny przedmiot poznania tak, że:

- 1) rozumiemy jego cechy i znaczenie;
- 2) jawi się on nam jako szczególna składowa tego, co społeczne (czyli składowa, której wyłonienie w ramach tego, co społeczne powoduje, że ludzkie zgrupowania, w tym całe społeczeństwa, funkcjonują inaczej, aniżeli funkcjonowały wcześniej, gdy jeszcze to, co polityczne nie występowało);
- 3) nie został on w ten sposób (ani w podobny) określony na gruncie żadnej innej dyscypliny naukowej, w tym przede wszystkim socjologii.

Teoria tego, co polityczne jest oparta na hipotezie istnienia w ramach tego, co społeczne specyficznych bytów, materialnych i niematerialnych, które są efektem grupowania się ludzi w zjednoczenia, jak żadne inne rywalizujące pomiędzy sobą o porządek świata każdym środkiem. Nie jest to więc dogmatyczny zespół poglądów. Nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek doktryną, tym bardziej zaś z wiedzą potoczną. Hipoteza o obecności tego, co polityczne nadaje się do konfrontacji z innymi hipotezami i teoriami. Spełnia więc kluczowe kryteria teorii nauki. Została potwierdzona wieloma badaniami. Można mówić o tym, że przyjęła postać programu badawczego w sensie nadanym temu terminowi przez Lakatosa<sup>36</sup>. Oznacza to, że rozwinęła się do postaci zespołów twierdzeń i występuje w postaci serii różniących się wersji, które podlegają modyfikacji w czasie życia pokoleń ludzi. Taka teoria pokazuje mocne strony wcześniejszych teorii i wyjaśnia, dlaczego one już nie są wystarczające. Jest więc zbudowana nie na ignorancji, ale na erudycji.

Teoria tego, co polityczne głównym obiektem zainteresowania przestaje czynić politykę i pokazuje ją jako jedno ze zjawisk politycznych. W klasycznej wersji poznaniem obejmuje się na jej gruncie to, co polityczne w sensie kompleksu powiązanych zjawisk, wywołanych walką rywalizujących ze sobą ludzi, podzielonych na przyjaciół i wrogów. W tym sensie, że członkowie wyodrębnionego zjednoczenia są dla siebie przyjaciółmi, ponieważ ich przetrwanie zależy od współpracy, która jest warunkiem sprostania wyzwaniom rzucanym przez obcych, czyli wrogów. Takie zjednoczenia cechują się tym, że mogą funkcjonować i przetrwać tylko na własną rękę, a więc nikt nie sprawuje nad nimi nadzoru ani nie opiekuje się nimi.

W wydaniu Schmittowskim teoria opiera się na uproszczonej analizie, typowo prawniczej, która poddaje się redukcjonizmowi charakterystycznemu dla tej dyscypliny nauki i pomija złożoność społeczeństw ludzkich. Znaczenie teo-

36 I. Lakatos, *Falsyfikacja a metodologia...*, op. cit., s. 50–53 i 111.

rii tego, co polityczne ujawnia się w pełni, gdy aparat pojęciowy Niemca zostaje użyty w kontekście socjologicznym<sup>37</sup> do badań nad ewolucją zgrupowań ludzi w wielkiej przestrzeni i długim czasie. Jego siła ujawnia się tym bardziej, kiedy wykorzystamy ustalenia teorii ewolucji.

Zmodyfikowana teoria tego, co polityczne koncentruje się na analizie ewolucyjnie wyłonionego zjednoczenia ludzi, którzy działają razem w efekcie przeżywania uczuć do konkretnych symboli i dążą do ustanowienia powszechnego porządku, gotowi uderzyć w rywali każdym środkiem. Podstawową kategorią tej teorii nie jest dychotomia przyjaciela i wroga, ale pojęcie *podmiotu politycznego*, rozważanego nie abstrakcyjnie, ale jako efekt dającej się opisać i wyjaśnić selekcji stosunków społecznych oraz zjawisk związanych z tym procesem: wizji politycznych, potęg politycznych, struktur organizacyjnych, technologii itd.

**Teoria tego, co polityczne jako jedyna wyjaśnia przedmiot poznania politologii w sposób zdolny oprzeć się krytyce i dlatego powoli staje się jej podstawą.** Wiele twierdzeń wymaga jednak jeszcze dopracowania i doprowadzenia do postaci, która będzie zrozumiała dla politologów.

Nowoczesna teoria tego, co polityczne wprawdzie zajmuje się terminami służącymi do opisu rzeczywistości. Opiera się przy tym na ich możliwie apolitycznych, neutralnych wariantach. Jednak jej **przedmiotem poznania nie są te pojęcia, tylko zjawiska polityczne, charakterystyczne dla gatunku ludzkiego po podziale w toku ewolucji na zjednoczenia rywalizujące każdym środkiem o porządek świata.** Nasz gatunek został zgrupowany w ramach systemu społecznego, którego istotę najlepiej oddaje teoria poliarchii. Teoria tego, co polityczne jest więc ugruntowana na teorii ewolucji, której podstawy sformułował Karol Darwin. Jego teoria nie tylko nie została w XX w. podważona, ale radykalnie ją rozwinięto i uszczegółowiono. Znalazło to wyraz w szeregu prac biologów, których tezy składają się na nowoczesną teorię ewolucji, w tym także ewolucji społecznej<sup>38</sup>.

Ewulcjonizm jest nie tylko teorią życia w sensie reprodukcji i adaptacji organizmów (a mówiąc bardziej precyzyjnie jednostek fizjologicznie odrębnych), ale

37 Wskazywałem na to już dwadzieścia lat temu. R. Skarżyński, *Od chaosu do ładu. Carl Schmitt i problem tego, co polityczne*, Warszawa 1992, s. 191–208.

38 L. Buss, *The evolution of individuality*, Princeton 1987; J. Maynard Smith, E. Szathmáry, *The major transitions in evolution*, Oxford 1995; R. Michod, *Darwinian dynamics. Evolutionary transitions in fitness and individuality*, Princeton 1999. Dużo do myślenia dają też prace biologów rozwijających teorie z pozoru niemające znaczenia dla zrozumienia zjawisk społecznych. Wnioski z nich płynące, na pierwszy rzut oka bardzo różne, zwykle nie dają się bezpośrednio przenieść na analizy socjologiczne, ale faktycznie dotyczą podstaw społecznego funkcjonowania życia: R. Dawkins, *Fenotyp rozszerzony. Dalekosiężny gen*, Warszawa 2003; S. Turner, *The extended organism. The physiology of animal – built structures*, Cambridge Mass. 2000; J. Odling-Smee, K. Laland, M. Feldman, *Niche construction. The neglected process in evolution*, Princeton 2003; E. Jablonka, M. Lamb, *Evolution in four dimensions. Genetic, epigenetic, behavioral and symbolic variation in the history of life*, Cambridge Mass. 2005; B. Hölldobler, E.O. Wilson, *The superorganism. The beauty, elegance, and strangeness of insect societies*, New York 2009.

także tworzenia przez nie rozszerzeń społecznych. Zaawansowane życie funkcjonuje już nie w postaci pojedynczych organizmów, ale organizmów wchodzących w interakcje i łączących się w coraz bardziej złożone struktury, nawet w związki podlegające reprodukcji w czasie, głównie na gruncie złożonych sieci stosunków społecznych.

Polityczne zjednoczenie osobników ludzkich (w postaci tak państwa, rodu dynastycznego, partii politycznej czy nawet związku terrorystycznego, gdy takie zgrupowania ludzi chcą wcielić w życie specyficzną wizję porządku i działają z powołania pozwalającego im posłużyć się każdym środkiem) jest jednym z rozszerzeń życia w tym sensie, że oni razem tworzą swoistą całość (o szczególnych cechach) i wspólnie adaptują się do wymagań środowiska. Dlatego stanowią przedmiot zainteresowania teorii ewolucji, która wyjaśnia genezę i funkcjonowanie tego, co społeczne. Na podstawie tej teorii można nawet analizować problem tego, co polityczne. Nie jako dający się powierzchownie opisać proces społeczny, zestaw wydarzeń politycznych, ale jako proces społecznej ewolucji życia poddanej mobilizacji do walki o porządek wielkiej przestrzeni w długim czasie.

Ewolucjonizm społeczny nie jest zestawem dowolnych twierdzeń, ale zespołem twierdzeń wywiedzionych z biologii ewolucyjnej, przy udziale nauk pomocniczych, przede wszystkim historii i socjologii. Pokazuje, jak organizmy zostają w procesie ewolucji zgrupowane w zjednoczenia<sup>39</sup>, w których los jednostek zależy od losu tworzonego przez nie podmiotu, przede wszystkim w zakresie rywalizacji o dostęp do zasobów i ich przetwarzania na energię. Ludzi jednoczy i trwałość owego podmiotu w znacznej mierze podtrzymuje wizja powszechnego porządku, który on chce ustanowić. Zgrupowane w jego ramach osobniki mają nadzieję, że ustanowienie zapowiadanego porządku pozwoli im przetrwać, a nawet dobrze żyć.

Tak więc to, co nazywa się obecnie „teoriami polityki”, należy traktować z dystansem, jako twierdzenia cząstkowe, w bardzo ograniczonym stopniu wyjaśniające jedynie jakiś aspekt rzeczywistości politycznej i często już dzisiaj nieuprawnione (szczególnie dotyczy to teorii racjonalnego wyboru). Żadna z nich nie tłumaczy w zadowalający sposób interesujących nas zjawisk. Już tylko dlatego, że wymienione „teorie” koncentrują się na wybranych, nielicznych aspektach tego, co polityczne (bywa, że nawet na jednym lub dwóch – na państwie i polityce), zwykle zresztą do tego stopnia powierzchownych, że przypominają te ujawniające się na poziomie wiedzy potocznej. Jeśli wyliczone wyżej zespoły twierdzeń nazywamy „teoriami”, są to już najczęściej anachroniczne pseudoteorie, niezgodne z obecnym stanem wiedzy. Przede wszystkim zaś niezgodne z tym, co współczesna teoria nauki określa jako teorię dyscypliny wiedzy naukowej.

39 Podręcznikowe wprowadzenie R. Trivers, *Social evolution*, Menlo Park 1985.

Dzieje się to nie bez powodu. Politologia wyrasta z wiedzy potocznej, a następnie kształtuje się na gruncie myśli doktrynalnej, wyrażającej interesy ludzkich zgrupowań. W tym procesie kluczowe znaczenie ma **demarkacja wiedzy**, która niegdyś odegrała rozstrzygającą rolę w kształtowaniu astronomii, fizyki, chemii czy biologii<sup>40</sup>. Demarkacja wiedzy, czyli oddzielenie nauki od pseudonauki, zarówno jeśli chodzi o dyscypliny (które mają status naukowy jak astronomia i są go pozbawione jak astrologia), jak i wiedzę w ich ramach, jest kluczowym zadaniem uczonych, które muszą także wypełnić politolodzy, aby ich dyscyplina stała się równoprawną częścią współczesnej nauki. **Sprzeniewierzenie się politologów zadaniu demarkacji wiedzy, a więc oddzieleniu nauki od tego, co nauką nie jest, prowadzi do dominacji na uniwersyteckich wydziałach politologii wiedzy potocznej, doktrynalnej i obracania politologii w naiwną wiedzę o społeczeństwie, która jest jedynie pseudonauką.** Wtedy mamy do czynienia ze specyficznym zjawiskiem, opisanym już kilkadziesiąt lat temu przez Lakatosa<sup>41</sup>. Taka pseudonauka, prezentowana na uniwersytetach jako nauka, zadowala się wypowiedziami na temat faktów znanych. Niczego więc nie wnosi, a jej główną metodą jest powielanie i kopiowanie. Natomiast nauka w sensie właściwym pozwala tworzyć program badawczy, który prowadzi do odkrywania nieznanych faktów, a więc wyklucza kopiowanie.

Demarkacja przesądza o statusie wiedzy. W efekcie tego procesu część wiedzy zostaje określona mianem pseudonauki, a inna zyskuje status nauki. Gdy politologię uznamy za naukę, dalsza demarkacja pozwoli odróżnić to, co w ramach dyscypliny jest nauką, od pseudonauki.

Dlatego **należy oddzielić od siebie trzy poziomy wypowiedzi o zjawiskach politycznych: potoczny, doktrynalny i naukowy.** Dopiero ostatnia z nich może zostać nazwana politologią, jeśli jej podstawę tworzy teoria przedmiotu poznania. Tylko dlatego, że punktem wyjścia nie są tu dowolne poglądy czy wypowiedzi odnoszące się do przypadkowych, rzucających się w oczy zjawisk społecznych, artykułujące interesy, ale hipotezy ujmujące całość zjawisk politycznych. **W próbach odpowiedzi na pytanie, czy politologia jest nauką i która część przypisywanej jej wiedzy ma charakter naukowy, idzie więc o pytanie, dlaczego i jak ludzie grupują się na sposób określany przez nas politycznym, co z tego dla nich wynika i jakie miejsce zajmuje to, co polityczne w ramach tego, co społeczne.** Takie stanowisko nie koncentruje się na przypadkowych problemach, na dowolnie wyznaczanych przedmiotach poznania, lecz opiera na całościowej analizie zjawisk politycznych, które określa podlegająca weryfikacji teoria.

40 Popper problem demarkacji wiedzy definiował następująco: „Problem znalezienia kryterium, pozwalającego na odróżnienie pomiędzy naukami empirycznymi z jednej strony, a matematyką i logiką, jak również systemami <<metafizycznymi>> z drugiej, nazywam problemem demarkacji” (*Logika odkrycia...*, op. cit., s. 34).

41 I. Lakatos, *Nauka i pseudonauka*, (w:) *idem, Pisma z filozofii...*, op. cit., s. 360.

**Dopiero kiedy wyjaśnimy genezę, specyfikę i funkcje politycznego zgrupowania ludzi, możemy prowadzić badania nad państwem, władzą polityczną, polityką, systemami politycznymi i wszystkimi innymi zjawiskami politycznymi, czyli nad tym, co jest polityczne w ramach tego, co społeczne.**

Obecnie wiodącą teorią wyjaśniającą życie ludzkie, w tym także społeczne funkcjonowanie zbiorowości ludzkich, jest teoria ewolucji i ona musi stać się podstawą politologii. Oznacza to koniec wpływów w politologii doktryn konserwatywnych, liberalnych, kościelnych i wszystkich innych. Tak nauka powoli zastępuje wiedzę potoczną i aprioryczną, opartą na interesach. Kto broni politologii konserwatywnej, drogowej czy kościelnej, próbuje przeciwstawić się rozwojowi wiedzy naukowej.

**Nie ma wielu teorii politologii**, już tylko dlatego, ponieważ większość tego, co określa się jako „teorie polityki”, nie jest jakąkolwiek teorią, gdyż reprezentuje wiedzę potoczną lub doktrynalną. Takie pseudoteorie często zresztą w ogóle nie dotyczą polityki, jak chociażby „teoria racjonalnego wyboru”. Jedyńie mało zorientowani w nich politolodzy próbują posługiwać się owymi produktami w swoich wypowiedziach. Niestety, w politologii nawet doktryny, jak liberalizm czy feminizm nieodpowiedzialnie określa się mianem teorii i z powagą głosi, że mogą tworzyć podstawę teorii polityki. Tak samo za podstawę politologii uważa się pewien typ myślenia o społeczeństwie, jakim jest normatywizm, z nauką niemającą nic wspólnego. Wszystko to nie znajduje potwierdzenia żadną analizą zdolną oprzeć się elementarnej krytyce. Idzie tu wyłącznie o wyobrażenia i interesy.

Tak samo politologom miesza w głowach na przykład perspektywa przyjęta przez badaczy partii politycznych, którzy twierdzą, że partie polityczne były efektem rozwoju parlamentaryzmu. Ten naiwny schemat myślowy powieliła się do znużenia, nie pytając, co jest specyficznego w partii politycznej, z czego wynika jej polityczny charakter i na czym on polega. Partie polityczne nie były przecież produktem rozwoju parlamentaryzmu, tylko skutkiem przemian społecznych, które doprowadziły do upadku znaczenia politycznego wielkich rodów, przede wszystkim zaś dynastii. Parlamentaryzm rozwinął się w efekcie próżni powstałej w rezultacie rozpadu dynastii i ekspansji w nowych warunkach partii, a więc mamy tu do czynienia z całkowicie błędną diagnozą i analizą, które się bezmyślnie kopiują.

Parlamentaryzm nie jest zjawiskiem samym w sobie, autonomicznym, które pobudza ludzi do grupowania się w zjednoczenia. Ludzie zaczęli łączyć się w partie, ponieważ przestali utożsamiać się z kościołami, koronowanymi głowami rodów, natomiast przemówiły do nich zbliżone symbole i artykułowali podobne interesy. Tacy ludzie przeżywali i przeżywają też nieomal identyczne nadzieje. Przede wszystkim jednak istnieje przestrzeń do działania – powstała nie w efekcie

rozwoju parlamentaryzmu, ale wyłoniona w procesie upadku wielkich rodów. Parlament jest wynikiem aktywności ludzi gotowych rozstrzygać konflikty pomiędzy sobą nie na ulicy, nie przemocą, ale za pośrednictwem procedur negocjacji i powoływania rządu przez uprawnioną do tego z mocy tradycji, obowiązujących wizji i wreszcie prawa partię lub koalicję partii. Reprodukowana dzisiaj teoria partii nie jest efektem badań empirycznych, ale tak popularnego kopiowania poglądów na partię, sięgającego czasów, gdy te ugrupowania dopiero powstawały i nie rozumiano ich genezy.

**Twierdzenie, iż jedyną podstawę politologii tworzy dzisiaj teoria tego, co polityczne, mogłoby zostać obalone wtedy, gdyby została wyłoniona teoria alternatywna, lepiej wyjaśniająca przedmiot poznania.** Taka jednak obecnie nie istnieje. Dlatego dalsze badanie poprawności teorii tego, co polityczne, będącej już rozwiniętym programem badawczym, może polegać jedynie na jej weryfikowaniu przez analizę faktów z nią sprzecznych. Kiedy jednak dojdziemy do wniosku, że takie fakty istnieją, nie oznacza to jeszcze obalenia samej teorii. Oznacza tylko, że być może istnieje szansa na sformułowanie teorii alternatywnych lub poprawienie teorii tego, co polityczne. Przede wszystkim jednak trzeba wziąć pod uwagę, że ewentualnie owe fakty źle są interpretowane na gruncie aktualnie obowiązujących teorii.

Teoria politologii jest budowana tylko na gruncie teorii wyższego rzędu. Na podstawie ustaleń teorii nauki, której wymaganiom musi sprostać. **Natomiast biologia, socjologia, historia, teoria państwa i prawa, demografia, psychologia, neurologia i inne nauki<sup>42</sup> tworzą zestaw nauk pomocniczych politologii,** ponieważ tylko wykorzystanie ich badań pozwala nam opisać i wyjaśnić przedmiot poznania politologii. Posługiwanie się dorobkiem tych nauk przez politologa nie oznacza, że prowadzi on badania interdyscyplinarne. Przeciwnie, dowodzi prowadzenia badań w ramach dyscypliny, z punktu widzenia jej specyficznego przedmiotu poznania.

Warto sobie uświadomić, że **politologia przede wszystkim nie istnieje bez biologii,** ponieważ ludzkie zbiorowości są zbiorami organizmów powstałych w procesie ewolucji życia od pierwotnych komórek prokariotycznych do zwierząt zgrupowanych w złożone zjednoczenia, także poddane mobilizacji do ustanowienia porządku wedle własnej wizji i każdym środkiem. Biologia ewolucyjna dostarcza wiedzy, która pozwala zrozumieć, jak zgrupowania organizmów istnieją w wielkiej przestrzeni. Politologia wyjaśnia, jak one funkcjonują wskutek rozwinięcia społecznych rozszerzeń życia i co wynika z ich obecności od sześciu tysięcy lat. Wiedza biologiczna jest więc warunkiem zrozumienia kształtowania się

42 Pewnie niektóre z nich, szczególnie zaś biologia, są teoriami wyższego rzędu wobec politologii, ale to kwestia do rozstrzygnięcia w przyszłości.

zjednoczeń ludzkich o charakterze podmiotów politycznych, które adaptują się do warunków życia w niszach ekospołecznych i podlegają w nich selekcji w efekcie działania doboru naturalnego.

### 31. Przedmiot poznania politologii

Politologia może istnieć, jeśli wyodrębniony zostanie specyficzny przedmiot poznania. Nie taki, który tylko politolodzy mogą badać, ale taki, którego badanie oznacza istotny rozwój wiedzy na temat powstałych w procesie ewolucji społeczeństw ludzkich i uzasadnia to istnienie oddzielnej dyscypliny wiedzy. Inaczej politologia musi przekształcić się w wiedzę o społeczeństwie, która będzie coraz bliższa standardom wiedzy potocznej.

Wyłącznie teoria tego, co polityczne dostarcza wyjaśnienia specyficznej części bytu społecznego, którego w dostatecznym zakresie nie badają przedstawiciele innych dyscyplin nauki, w szczególności nie badają socjologów<sup>43</sup>.

Jedynym uprawnionym wyjaśnieniem tego, co polityczne jest teoria, która powstaje w efekcie badania owego zjawiska w ramach tego, co społeczne, czyli pokazująca jak to, co polityczne wyłania się w ramach sieci i struktur społecznych, jak je przeobraża i nadaje ludzkiej egzystencji niespotykany gdzie indziej charakter. Przy uwzględnieniu, że to, co społeczne tworzą organizmy wyłonione w efekcie selekcji ewolucyjnej.

**Problem tego, co polityczne jest głównym problemem badawczym dyscypliny politologii**, który nie został zniesiony, ale zlekceważony przez teoretyków polityki i zapomniany, pomimo istnienia ogromnego dorobku nauki na tym polu. Jego podjęcie jest warunkiem dalszego funkcjonowania tej dyscypliny, która tak łatwo schodzi na poziom refleksji potocznej i doktrynalnej, zwłaszcza kiedy uprawiający ją badacze tracą z oczu problem tego, co polityczne.

Problem ten okazuje się bardzo ważny, gdyż pojawienie się tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne do tego stopnia zmieniło warunki egzystencji gatunku ludzkiego, że przeobraził on życie społeczne na Ziemi, a nawet silnie wpływa na los gatunków żyjących w obcych mu niszach ekologicznych. Tylko dlatego, że nasz gatunek został podzielony na zjednoczenia poddane mobilizacji politycznej, zgłaszające niespotykane dotychczas zapotrzebowanie na energię, zgrupowane w państwach, w których artykułowane są interesy polityczne, funkcjonują władza polityczna, idee polityczne, podmioty polityczne czy wreszcie działają instytucje polityczne.

---

43 Szerzej rozdział 19.

**Politologia bada tylko to, co jest związane z obecnością tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne.** To, co polityczne przenika i reorganizuje to, co społeczne w efekcie obecności i aktywności podmiotów zmierzających z powołania do ustanowienia powszechnego porządku każdym środkiem i nie ma w jego ramach stałych granic. Nie da się wydzielić sfery politycznej w społeczeństwie. Tym bardziej tak, jak próbuje się określić sferę publiczną. Chociaż to, co polityczne nie jest tożsame z tym, co społeczne, kiedy już się wyłoni nieodwracalnie określa funkcjonowanie ludzi, a nawet innych zwierząt, gdy stają się one obiektami masowej eksploatacji i dewastacji. Bez tego, co polityczne owa zmiana nie miałaby miejsca, a życie naszego gatunku nie osiągnęłoby tej formy, jaką przyjmuje w państwach.

**Tradycja teorii politologii nie jest tożsama z tradycją myśli politycznej, czyli z refleksją normatywną. Ona z niej jedynie wyrasta i oddziela się od niej, jak nauka uwalniała się i nadal się wyzwala spod wpływu teologii, filozofii, ideologii politycznej itd. Podobnie, tylko z opóźnieniem i bardzo powoli, kształtuje się nauka politologii. Tak samo, jak na przykład nauka astronomii, lecz inaczej przebieg owego procesu został umiejscowiony w czasie.**

Politologia bez teorii nie istnieje jako nauka w dzisiejszym rozumieniu tego terminu. Politologia oparta na namiastce czy pseudoteorii polityki staje się pseudopolitologią, a nazywający się „politologami” są faktycznie tylko gorszymi historykami, socjologami itd. Nie są i nie mogą być nikim więcej, ponieważ albo nie wiedzą, co robią, albo, gdy wiedzą, wcielili się w rolę sprawnych oszustów. Mistyfikatorów i łgarzy, którzy nie napisawszy żadnej pracy politologicznej, nie mając kontaktu z żadnym profesorem politologii, nie uczęszczając na żaden politologiczny wykład i jakiegokolwiek politologiczne seminarium, nie zdawszy żadnego egzaminu z politologii, bez wiedzy na temat jej przedmiotu poznania, może nawet nie przeczytawszy żadnej politologicznej książki, samowładnie określają się politologami i nie mają jakiegokolwiek świadomości, że jest to rażąca uzurpacja. Niemożliwa w jakiegokolwiek innej dyscyplinie nauki. Na przykład niemożliwa w pedagogice i ergonomii. Tak symulujący bycie politologami bez żadnych zahamowań, bez świadomości, że stają się nieudacznikami, spychają wiedzę politologiczną na samo dno wiedzy pozostającej w dyspozycji ludzi.

**Zlepek historii, socjologii, prawa itd., nawet nazwany „politologią”, jest tylko konglomeratem przypadkowo dobranej wiedzy, czyli pseudonauką, która może trwać wyłącznie dzięki wzajemnej lojalności kolegów, niejasności i próbom głoszenia różnych dziwacznych haseł na swoją obronę. Na przykład o „studiach politycznych”, „studiach politologicznych” czy „naukach politycznych”, ale nie zmienia to faktu, że takie „podejścia” opierają się na nieświadomości specyfiki i znaczenia dyscypliny lub zwykłej niewiedzy. Działanie na pograniczu dyscyplin jest oczywiście możliwe i potrzebne, ale ma sens w przypadku,**



kiedy rozumie się status tych dyscyplin i wie, gdzie leżą ich granice oraz czym każda z nich się zajmuje. Pomysł „studiów politycznych”, „studiów politologicznych” czy „nauk politycznych” na czymś takim nie bazują. Są tylko efektami rozpaczliwego poszukiwania punktu oparcia nie dla nauki, lecz własnej kariery, całkowicie na zasadzie „tonący brzytwy się chwyta”. Takie „podejścia” promuje się obecnie w wyniku braku zdolności do przemyślenia podstawowych kwestii związanych z funkcjonowaniem społeczeństwa, przy ewidentnym braku przygotowania do głębszego zastanowienia się nad tym, co czyni wycinek wiedzy dyscypliną naukową i mnożeniu niepotrzebnych pojęć.

Politologia, która ma ambicje osiągnięcia takiego statusu, jak socjologia, historia czy ekonomia, musi być budowana na gruncie własnej teorii, czyli teorii politologii. Teoria jest warunkiem prawidłowego przebiegu procesu poznawczego w każdej dyscyplinie, już tylko dlatego, że hipoteza jest punktem wyjścia procesu poznania naukowego, a sprawdzić można ją dopiero po jej sformułowaniu zgodnie z wymaganiami stawianymi teorii<sup>44</sup>. Teoria jest warunkiem funkcjonowania także dyscypliny zajmującej się tym, co polityczne.

**Teoria, mówiąc precyzyjnie, konstruuje nie przedmiot poznania (gdyż ten istnieje sam w sobie – lub nie istnieje, kiedy został wymyślony), lecz jego sposób pojmowania i abstrakcyjne przedstawienie przetwarzane przez ludzki umysł. Jednak nie czyni tego dowolnie. Punktem wyjścia każdej teorii zawsze jest dorobek dyscypliny lub przynajmniej tego, co za niego może uchodzić. Jego lekceważenie, nieznanostwo, prowadzą do zagubienia i niezmiennie kończą się refleksją zablakanych czy nawet obłąkanych na manowcach wiedzy. Wtedy ta wiedza schodzi z powrotem na poziom doktrynalny lub potoczny i, kiedy jest uparcie prezentowana jako wiedza naukowa, mamy do czynienia z symulowaniem nauki.**

Punktem wyjścia teorii dyscypliny nie może być filozofia ani jakakolwiek metodologia, nawet najbardziej zaawansowana i przedstawiona zrozumiałym językiem. Teoria dyscypliny musi obecnie spełniać wymagania teorii nauki i metodologii. **Fundamentem teorii dyscypliny jest zawsze jej dorobek, przede wszystkim w zakresie refleksji nad własnym przedmiotem poznania, rozpatrywany i klasyfikowany w kontekście aktualnej teorii wiedzy. Dopiero poczynione na gruncie tego stanowiska ustalenia pozwolą określić, jaka metodologia jest możliwa i potrzebna.**

Dzisiaj nie sposób sformułować jakiegokolwiek teorii dyscypliny wiedzy bez uwzględnienia specyfiki funkcjonowania ludzkiego umysłu. W świetle wie-

44 K. Popper, *Logika odkrycia...*, op. cit., s. 31.

dzy o umyśle stara teoria o wielości rzeczywistości<sup>45</sup> nabiera nowego znaczenia. Wiedza na temat umysłu zmusza do odróżnienia obrazu przedmiotu poznania od obiektów istniejących w świecie (materialnych i niematerialnych), które człowiek poznaje. Dzięki temu wiemy, że człowiek czyni przedmiotem swoich dociekań tylko to, co znajdzie się w obszarze penetracji umysłu, operującego obrazami i przeżywającego poruszenia na ich tle. Jednak przedmiotem poznania, celem właściwego badania naukowego, nie są te obrazy i poruszenia (nawet jeśli poddaje się je badaniu), ale obiekty istniejące, na których penetrację umysł jest skazany z racji funkcji wypełnianych w stosunku do przenoszącego go ciała. Umysł poznaje za pomocą tych obrazów i w efekcie przeżywania na ich gruncie poruszeń, nazywanych emocjami<sup>46</sup>.

**Jeśli nawet ktoś ma wątpliwości, czy istnieje dyscyplina politologii, to z pewnością dysponujemy już zasobem wiedzy, który uchodzi za jej dorobek.** On musi być przedmiotem badania, krytyki i odrzucenia, jeśli chce się tworzyć coś alternatywnego lub dowieść, że politologia nie jest dyscypliną nauki, tylko częścią socjologii lub mgliście rozumianych nauk społecznych. **Każdy, kto neguje istnienie politologii jako dyscypliny nauki i na przykład twierdzi, że politologia ma charakter interdyscyplinarny, że określa ją metodologia, najpierw powinien zmierzyć się z dorobkiem teoretycznym politologii.**

Tymczasem twierdzenia teorii polityki III Rzeczypospolitej formułują ci, którzy o tym dorobku nie mają pojęcia. Ich błędne tezy są akceptowane w postaci rozpraw i przyjmowane w przewodach na stopnie i stanowiska naukowe, na Uniwersytecie Jagiellońskim i na Uniwersytecie Warszawskim, co czyni te uczelnie głównymi rozsądnymi pseudopolitologii. Dlatego wszystkie podstawowe twierdzenia teoretyków polityki, dowodzących na przykład, że nie można określić przedmiotu poznania politologii, czy politologia jest częścią socjologii, jest podobna pedagogice i nauce o pracy w zakresie własnego rzekomego interdyscyplinarnego charakteru, są wyłącznie dowodem stanu erudycji autorów oraz kondycji uniwersyteckich wydziałów politologii, żadne zaś nie wykazuje, iż politologia nie jest dyscypliną nauki.

Przedmiotem badania politologii nie są stany umysłu i produkty aktywności umysłowej doktrynerów, dziennikarzy, publicystów czy pseudopolitologów, ale są obiekty realnie istniejące i uchodzące za tak znaczące, że koncentruje się na nich uwaga ludzi przez pokolenia.

45 A. Schütz, *O wielości rzeczywistości*, (w:) *idem, O wielości światów. Szkice z socjologii fenomenologicznej*, Kraków 2008, s. 17–56.

46 Wyjaśnia to teoria umysłu A. Damasio (*Błąd Kartezjusza...*, op. cit.; *idem, Tajemnica świadomości. Ciało i emocje współtworzą świadomość*, Poznań 2000; *W poszukiwaniu Spinozy. Radość, smutek i czujący mózg*, Poznań 2005).

Teoria nie kształtuje się w próżni, ale początkowo nieświadomie wyłania na gruncie refleksji na temat tych obszarów rzeczywistości, które wywołują zaciekawienie ludzkiego umysłu. W momencie, gdy intuicyjne poznanie osiągnie pewien poziom zaawansowania, teoria staje się teorią dyscypliny mającej przedmiot poznania będący obiektem coraz poważniejszej i systematycznej debaty, jak ma to miejsce w socjologii, historii, prawie i ekonomii. Początki tego widzimy także w politologii, która jest już na tyle dojrzała, aby podjąć taki sam wysiłek z podobną intensywnością. Na jej gruncie istnieje zarówno intuicyjna świadomość obecności własnego przedmiotu poznania, obecne są hipotezy go określające, pojawia się świadomość specyfiki tego przedmiotu, jak i poczucie konieczności wyłonienia teorii dysponującej wyraźnym statusem wyjaśniającym. Innymi słowy, **istnieje program badawczy określający miejsce politologii jako dyscypliny wśród innych dyscyplin nauki.**

Świadomość przedmiotu poznania politologii dojrzała do tego poziomu, że nawet pojawia się w podręcznikach. „Choć można – czytamy w jednym z nich – postawić wiele pytań ontologicznych, kluczowym zagadnieniem jest dla politologów natura tego, co polityczne”<sup>47</sup>. Niestety problem natury tego, co polityczne w tych książkach nie jest adekwatnie traktowany, a na dodatek z wielką łatwością zanika wskutek nieznamości dorobku teorii politologii. Tak bowiem się składa, że **nawet uchodzący na uniwersyteckich wydziałach politologii za czołowych politologów nie znają dorobku własnej dyscypliny lub traktują go wręcz pogardliwie. Tymczasem wypadałoby, aby każdy, kto uważa się za politologa, przetestował własną zdolność uczestnictwa w debacie na temat przedmiotu poznania politologii i statusu poznawczego dyscypliny.**

Trudno jest dokonać tego ostatecznego kroku w warunkach anarchii poznawczej propagowanej przez teoretyków polityki i stałej inwazji imigrantów. Oni teorii politologii nie tylko nie potrzebują. Oni się jej boją, gdyż taka teoria ujawnia poziom ich erudycji i pokazuje, że są uzurpatorami w teatrze upadającej nauki. Taka teoria pokaże, że są wyłącznie marnymi aktorami, niezdolnymi mówić własnym językiem, pracowicie powielającymi tezy sformułowane przez innych. Najczęściej zresztą podpowiedziane przez dziennikarzy i polityków.

**Podstawowy problem politologii w zakresie teorii dotyczy specyfiki tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne, jego genezy, konstytuowania się, istoty, funkcji i kryteriów pozwalających pokazać zjawiska polityczne w ramach zjawisk społecznych.** Nie oczekujemy, że będzie to taka granica, jak między naszą działką i polem sąsiada. Coś takiego nie jest możliwe w naukach spo-

47 G. Stoker, D. Marsh, *Wprowadzenie*, (w:) *idem* (red.), *Teorie i metody w naukach politycznych*, Kraków 2006, s. 8; podobnie J. Johnson, H. Reynolds, J. Mycoff, *Metody badawcze w naukach politycznych*, Warszawa 2010, s. 16.

łecznych<sup>48</sup>, ale to nie znaczy, że w ich obrębie nie sposób mówić o istocie zjawisk, o ich odrębności, a nawet wytyczać pewnych granic, zamiast przypadkowo wyliczać ich „objawy”, jak proponuje się w warszawskim Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki, gdzie dorobek swego nauczyciela pracownicy zupełnie utracili. Proponują politologom, aby byli gorszymi socjologami, historykami czy prawnikami, żeby byli braćmi kolegów z pedagogiki (nie pytając pedagogów, czy chcą się z nimi bratać), a może nawet szkoleniowcami podobnymi behapowcom. Z tym nie można się zgodzić. Z pewnością pedagogzy nie chcieliby przyznać, że ich wiedza ma podobny status do wiedzy politologicznej. Istnieją liczne dowody, że nie ma niczego wspólnego w produktami uniwersyteckich teoretyków polityki. Tym pozostaje już tylko analogia z behapowcami, astrologami i góralskimi meteorologami. Oczywiście wyłącznie z tymi prawidłowo akredytowanymi.

Uznanie, że nie da się wyodrębnić tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne czyni z politologii typ wiedzy niejasnej, wydumanej, podobnej do alchemii uprawianej przez sprawnego oszusta, astrologii czy meteorologii w wykonaniu niedoświadczonego górala. Widać to dokładnie, gdy oglądamy politologów w telewizji, podczas komentowania wydarzeń politycznych. Albo występują w roli specjalistów od marketingu politycznego, czyli dyplomowanych, świadomych oszustów (gdy akurat udało im się uniknąć prezentacji własnej ignorancji), albo w roli zdezorientowanych komentatorów, którzy przejmują zadania publicystów lub starają się przypodobać politykom i budować własną popularność. Oni nawet nie są gorszymi pogodynkami, nawet nie przypominają młodego górala. Często stają się marionetkami odgrywającymi rolę pogodynek politycznych, czyli okazują się być środkiem, którego politycy używają do manipulowania opinią publiczną. Sterują nimi mniej lub bardziej sprawnie, ale zużytych zawsze posyłają na śmietnik. Jak czynią to politycy! Problem jednak w tym, że politolodzy nie rozumieją tego procesu i za krótki moment popularności medialnej ośmieszają własne środowisko i dyscyplinę, nierzadko niezdolni nawet do rozwinięcia refleksji na poziomie niedoświadczonego górala.

Każdy politolog, który osiągnąłby pozycję medialną Jadwigi Staniszkis, musiałby też skończyć tak samo jak ona. Na publicznym roztrząsaniu własnego „ja”<sup>49</sup> i mętnych dywagacjach na temat szans swego idola politycznego. Tutaj innej drogi nie ma. Rewolucja pożera swoje dzieci, a długoletni staż medialny komentatorów. Kto pojawia się w mediach, zakończył badania naukowe i poddaje się grze,

48 W istocie prawdopodobnie nie jest możliwe także w wielu innych naukach, również przyrodniczych. Aby to zrozumieć, warto zapoznać się z dyskusjami prowadzonymi w tak z pozoru jasno określonej terminologicznie nauce, jaką jest biologia. Chociażby na temat przedmiotu ewolucji, doboru naturalnego, a nawet tego, czym są gen, genom, genotyp i fenotyp. W biologii te pojęcia są różnie rozumiane, lecz nikt nie podważa naukowego statusu tej dyscypliny.

49 J. Staniszkis, *Ja – próba rekonstrukcji: sierpień – październik 2007*, Warszawa 2008.

która w nowy sposób określa jego świadomość. Ta gra nieuchronnie prowadzi do utraty zdolności budowania hipotez w rozumieniu współczesnej teorii nauki.

W zachowaniach Staniszkis i innych akademików, którzy uznali się za politologów bez jakiegokolwiek refleksji nad tym, co to oznacza, pojawiających się coraz częściej w telewizji, widać jak na dłoni, że nie rozumieją funkcjonowania mediów, w szczególności mediów operujących obrazem i nie zdają sobie sprawy z tego, jak w nich ktoś przekonany o własnej mądrości i wyższości intelektualnej z łatwością jest przekształcany w polityczny środek partii albo środek stacji telewizyjnej, dzięki któremu spółka nią władająca niskim kosztem wypełnia czas antenowy i podnosi własne dochody. Nie pojmują tego, ponieważ nie wiedzą, czym jest polityka i jakie są reguły sztuki jej prowadzenia, przeświadczeni o własnej mądrości i głodni taniej popularności. Nic tu nie zmienia podpieranie nazwiska marką flagowego uniwersytetu, gdy brak kwalifikacji jest z uporem demonstrowany przez lata na ekranach telewizyjnych. Jednocześnie zaś na flagowym uniwersytecie promuje się doktorów habilitowanych pozbawionych podstawowej wiedzy w zakresie dyscypliny, w której nadano im stopień.

Status politologii może określić jedynie refleksja nad jej przedmiotem poznania, który faktycznie nie różni się w swojej istocie od przedmiotu poznania innych nauk społecznych. Przedmiot poznania dyscypliny nauki nie może być określony w całości i na zawsze. **Twierdzenia dyscypliny dotyczące jej przedmiotu poznania są weryfikowane i modyfikowane wraz z jej rozwojem.** Politolodzy tym się głównie różnią od ekonomistów, socjologów i psychologów, że nie prowadzą debaty na temat przedmiotu poznania własnej dyscypliny i bezwiednie poddają tym, którzy twierdzą, że coś takiego nie istnieje lub nie jest możliwe do zlokalizowania. Przecież jest to wygodne, zwłaszcza dla imigrantów, którzy przyszli na uniwersyteckie wydziały politologii nie po to by rozwijać politologię, ale przetrwać, symulując badania naukowe metodą kopiowania tego, co uchodzi za pewnik.

Tymczasem przedmiot poznania każdej dyscypliny nauki to typowy **cel kierunkowy**. Osiąga się go przez formułowanie teorii coraz bardziej prawdopodobnych, głębszych i zunifikowanych<sup>50</sup>. Politologia nie jest i nie będzie ani fizyką, ani astronomią. Pewne cele są dla niej nieosiągalne. Jednak cel kierunkowy w postaci rozwijania wiedzy na temat własnego przedmiotu poznania jest w jej ramach z pewnością możliwy. Tutaj może osiągnąć status nie gorszy nie tylko od socjologii, ale także od biologii.

Jasne postawienie problemu przedmiotu poznania powoduje, że politologia nie musi schodzić na poziom refleksji potocznej czy doktrynalnej, nie musi przypominać naiwnej wiedzy o społeczeństwie i wydziały politologii nie muszą być

50 J. Watson, *Nauka a sceptycyzm*, Warszawa 1989, s. 36–41.

koszami na śmiecie. Politologia może być dyscypliną nauki, a wydziały politologii takimi samymi wydziałami, jak wydziały ekonomii, historii, pedagogiki, a nawet biologii.

### 32. Kryterium tego, co polityczne

Pytanie o kryterium pozwalające określić odrębność, scharakteryzować specyfikę tego, co jest polityczne w stosunku do tego, co nie jest polityczne, należy do kluczowych zagadnień politologii. Postawił je już Platon w *Polityku*, rozważając nie jako politolog, ale jako filozof, czym polityka i polityk odróżniają się od innych obiektów i zjawisk społecznych<sup>51</sup>. Uwagi Platona pokazują, że jest to bardzo stary i ważny problem, przez stulecia zapomniany, który jednak uparcie powraca i nie daje się skreślić z listy pytań ludzkości. Nie daje się usunąć nawet wtedy, gdy zarządzi to profesor uniwersytetu o długiej tradycji. Problem ten nie będzie zniesiony. Natomiast jego znaczenie będzie się ujawniać, im lepiej zrozumiemy funkcjonowanie ludzkich społeczeństw.

Już dzisiaj teoria ewolucji przesądza o nieuchronności próby odpowiedzi na pytanie o to, co polityczne i kryterium tego, co polityczne, gdy pokazuje jak dochodzi do mobilizacji mas ludzkich celem ustanowienia w wielkiej przestrzeni powszechnego porządku, gdy ludzie działają z powołania i uderzają każdym środkiem.

Mówiąc o kryterium tego, co polityczne musimy pamiętać, że może ono być określone jako typowy kierunkowy cel nauki. Nie dysponujemy na przykład powszechnie akceptowanym kryterium prawdy, ale go poszukujemy i nie przeszkadza to w stwierdzeniu, że istnieje obiektywna rzeczywistość. Nauka jest możliwa, chociaż nie oferuje racjonalności natychmiastowej<sup>52</sup> i ostateczne kryterium prawdy jest nieznanne albo rozumiane w postaci ideału. Tak samo możliwe jest do ustalenia kryterium tego, co polityczne, nawet jeśli czasem na jego podstawie trudno będzie oddzielić to, co jest polityczne od tego, co nie jest polityczne. Efektem określenia kryterium tego, co polityczne nie mają być sądy ostateczne, tylko sądy możliwe w warunkach konfrontacji z innymi teoriami i dysponowania konkretnym materiałem empirycznym. Nie przekreśla to szans wyodrebnienia przedmiotu poznania politologii i istnienia politologii jako dyscypliny naukowej. Kto zajmuje stanowisko odwrotne, powinien sobie zdawać sprawę z tego, że twierdzi, iż nauka jest niemożliwa, jest poznawczą fikcją, gdyż nie dysponujemy ostatecznym kryterium prawdy.

51 Platon, *Polityk*, (w:) *idem, Sofista, Polityk*, Kęty 2002, s. 76–78, 116, 133, 136–143.

52 I. Lakatos, *Nauka i pseudonauka...*, *op. cit.*, s. 361.

Ogólnie rzecz ujmując, pytanie o to, co polityczne dotyczy wskaźnika pozwalającego na wyodrębnienie czegoś, co jest złożone z elementów, zmienne, ujawniające się w różnych postaciach. Jednak nie w przypadkowych miejscach, ale w ramach tego, co społeczne, czyli ewolucyjnie wyłonionych społecznych rozszerzeniach życia. Dlatego nie może być tu mowy o jednorodności zjawiska<sup>53</sup> i jego mechanicznym wyodrębnianiu. Idzie o pokazanie, dlaczego i jak pojawia się to, co polityczne, opisanie zmiany i złożonej struktury, określenie, gdzie istnieje i jakie pełni funkcje. Gdy wiemy, że teoretycznie wszystko może być polityczne, ale wszystko nie jest polityczne i to, co polityczne pojawiło się na konkretnym etapie ewolucji gatunku ludzkiego.

**Może warto byłoby spróbować odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wszystko nie może być polityczne?**

Wiemy, że to, co polityczne jest elementem tego, co społeczne od sześciu tysięcy lat, ale zwykle nie rozumie się jego istoty i tym bardziej nie umie pokazać i oddzielić go od tego, co nie jest polityczne. Jest to tym trudniejsze, że to, co polityczne nie występuje samoistnie, tylko kształtuje się w efekcie swobodnego przeobrażenia tego, co społeczne (w stan odwracalny, czyli powodujący przejście od tego, co polityczne do tego, co już tej cechy nie posiada) i stale musi żywić się zasobami. Już tylko dlatego, że jest efektem aktywności ludzkich zbiorowości.

Na pytanie o kryterium wyodrębnienia złożonych przedmiotów poznania można odpowiedzieć na dwa sposoby. Po pierwsze, określając związki pomiędzy elementami składającymi się na całość, a więc badając stosunki pomiędzy nimi. Po drugie, wyodrębniając wspólną własność lub wspólne własności poszczególnych elementów, uchodzących za specyficzne i ważne<sup>54</sup>. Dodajmy: własności na tyle ważne, że tworzą nową jakość w postaci całości społecznej istniejącej inaczej niż wszystkie pozostałe i podejmującej niespotykane gdziekolwiek indziej zadania, na przykład zorganizowaną ekspansję w kosmos. Przy tym własności te nie muszą być rozumiane w sensie brzegowym, czyli nie muszą określać granic zjawiska. Bardziej przydatne jest tutaj i możliwe do zastosowania kryterium o charakterze istotnościowym, ujawniające cechy, funkcje i znaczenie badanego obiektu czy zjawiska, a może nawet czynniki powodującego jego wyłonienie się i trwanie. Jak się jednak przekonamy, badanie związków pomiędzy elementami też ma swoje znaczenie, ponieważ to, co polityczne przybiera złożone formy w skomplikowanej strukturze społecznej.

53 Samo społeczeństwo nie jest jednorodne, ponieważ składa się nie tylko z ludzi, ale na przykład także rozmaitych stosunków, działań, związków, zjednoczeń, czyli całości. Nie można więc oczekiwać, że byty czy klasy zjawisk wyodrębniane w jego ramach będą jednorodne. One takie w pewnych przypadkach mogą być. W innych jednak nie będą.

54 J. Karpiński, *Wprowadzenie do metodologii nauk społecznych*, Warszawa 2006, s. 73–74.

Fakt, że istnieją specyficzne i ważne polityczne elementy tego, co społeczne, które ludzie lokalizują i badają, dowodzi licząca przynajmniej dwa i pół tysiąca lat ludzka refleksja nad nimi, która zaczyna się od filozoficznych rozważań nad państwem, polityką, politykiem i władzą, a więc pewnymi przejawami tego, co polityczne, by mniej więcej sto lat temu to, co polityczne uczynić przedmiotem odrębnego, złożonego i usystematyzowanego badania<sup>55</sup>.

Ponieważ takie nauki społeczne, jak historia, prawo czy socjologia nie radzą sobie z opisem i wyjaśnianiem tego, co polityczne, konieczna jest dyscyplina podejmująca ten problem. Nie jest to dyscyplina marginesowa albo niewiele znacząca, ale dyscyplina tak samo ważna jak inne nauki społeczne, ponieważ **zrozumienie funkcjonowania ludzkich społeczeństw jest możliwe tylko dzięki wyjaśnieniu ich politycznego statusu i cech politycznej organizacji**. Jednak nie w postaci przypadkowego zespołu, syndromu, ale powiązanych obiektów o konkretnej genezie, istniejących w ramach tego, co społeczne i traktowanych jako ważny przedmiot badań. Z racji długości historii refleksji nad nim można ten problem uznać za jedną z odwiecznych kwestii przyciągających uwagę ludzi. Z tym zagadnieniem nie radzi sobie socjologia, która to, co polityczne interpretuje jako to, co społeczne. Tak samo nie podejmuje tematu historia, nie bada przecież dziejów tego, co polityczne jako wyodrębnionego i określonego przedmiotu poznania.

Tymczasem to, co polityczne jest właściwością tego, co społeczne, wyłonią po specyficznych przeobrażeniach. Dlatego **w badaniach nad tym, co polityczne liczą się dzisiaj nie abstrakcyjne dywagacje nad pojęciami, ale analiza społecznego procesu grupowania zbiorowości ludzkich w wielkiej przestrzeni i długim czasie**, gdy zorganizowane struktury osiągają po przekształceniu status potęgi zdolnej operować w tych wymiarach i zmieniać ludzkie stosunki, a nawet przeobrażać całe nisze ekospołeczne, w których żyją ludzie. Jest to stan radykalnie inny od wcześniejszego, niepolitycznego, jaki istniał na przykład dziesięć tysięcy lat temu. Ujawnia się on w podziale gatunku ludzkiego na rywalizujące ze sobą zjednoczenia, które walczą o wszelkie przydatne im zasoby i poza nimi nie ma żadnej ludzkiej egzystencji.

Powyższe ustalenia pozwalają nam pokazać, czym różni się zjednoczenie polityczne od innych ludzkich organizacji, nawet tak potężnych, jak kościoły koncentrujące się misji duchowej, grupy nacisku, korporacje ponadnarodowe czy federacje sportowe. One potrafią rzucić na kolana niejeden rząd, wiele uzyskać, ale nie dysponują statusem politycznym i w ostatecznym starciu, zawsze rozgrywanym się w wielkiej przestrzeni, nie są w stanie opierać się podmiotom działającym z powołania do walki o porządek świata. Gdy pozycję określają nie wia-

55 M. Weber, *Gospodarka i społeczeństwo...*, *op. cit.*, s. 40–42.



ra, pieniądze, wpływy, zdolności produkcyjne, ale liczy się mobilizacja do walki każdym środkiem, aby ustanowić powszechny porządek, którego wizja wywołuje u ludzi nadzieję na lepsze życie. Kiedy dowolny uczestnik układów sił społecznych może stać się środkiem innego.

Istnieją podmioty zdolne niszczyć państwa, pozbawione cech politycznych. Dzisiaj są nimi na przykład niektóre banki. Gdy jednak powiedzie im się dzieło destrukcji, gdy państwa zbankrutują, rozpadną się i zbiorowość ludzka przejdzie w stan anarchii, z czasem wyłonią się najpierw nie banki, ale nowe państwa i ludzie będą się w nich reprodukowali. Destrukcja państwa przez banki pociąga za sobą zniszczenie samych banków, ale potem pierwsze odrodzi się państwo. Tylko dlatego, że sprawnie funkcjonujące państwo tak bardzo podnosi wydajność pracy, przede wszystkim ujawniającą się efektywnością w zakresie przetwarzania zasobów na energię, że żadne inne ludzkie zjednoczenie nie może utrzymać się w rywalizacji z nim. Nie przetrwa żadna korporacja, mafia i inna struktura organizacyjna tam, gdzie z powołania trzeba uderzyć każdym środkiem. Banki nie utrzymają porządku społecznego. One go potrzebują, by prowadzić swoją destrukcyjną działalność i tylko państwo może je poskromić. Gdy tego nie dokona, rozpadnie się, a na jego miejsce powstanie nowe państwo, które przywróci bankom ich właściwą pozycję. Zwolennicy *leseferyzmu* do dzisiaj nie zdają sobie sprawy, że sam rynek tego nie uczyni. On nie reguluje w całości stosunków gospodarowania, ponieważ nie ma do tego środków. Do utrzymania ładu wielkiej przestrzeni jest zdolne tylko państwo wyzwajające ludzkie uczucia do szczególnych symboli i wymagające najwyższej ofiary.

Stąd bierze się znaczenie tego, co polityczne i refleksji nad nim jako uświadomionym przedmiotem poznania. Stąd bierze się znaczenie politologii jako jednej z podstawowych nauk społecznych, która różni się przedmiotem poznania od socjologii, historii, prawa czy ekonomii i nie ma nic wspólnego z astrologią i meteorologią.

To, co polityczne jest efektem masowego dzielenia i łączenia ludzi wskutek uczuciowego przeżywania przez nich symboli określających ich tożsamość i wskazujących im szczególne powołanie. Proces intensyfikacji koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych pod kontrolą zachowań zbiorowych, przy pomocy wizji powszechnego porządku, prowadzi do mobilizacji, która radykalnie zmienia funkcjonowanie organizacji społecznej. Do tego stopnia, że umożliwia posługiwanie się środkami powodującymi przekształcanie się zjednoczeń egoistycznych osobników w potęgę dzielące pomiędzy siebie przestrzeń świata, w której na kontrolowanym przez siebie terytorium kładą kres anarchii i ustanawiają system zależności wewnętrznych pozwalających im istnieć całkowicie na własne ryzyko.

Możliwa do uchwycenia różnica pozwala oddzielić zjednoczenia ludzi walczące każdym środkiem z powołania do ustanowienia powszechnego porządku od zgrupowań posługujących się tylko specyficznymi zasobami i siłami, tym samym niezdolne do walki o tak ambitny cel. Ta różnica określa swoistość podmiotów politycznych i tego, co jest z nimi związane, a więc stanowi kryterium podziału pomiędzy tym, co jest polityczne i tym, co nie dysponuje taką własnością<sup>56</sup>.

Innymi słowy, kryterium tego, co polityczne jest sposób (w tym zakres) posługiwania się środkami w efekcie gotowości do przekształcania rzeczywistości. Należy go rozumieć jako wspólną własność elementów, czyli nie każdego zjednoczenia członków zbiorowości ludzkiej, ale wyłącznie zjednoczenia tak zmobilizowanego, że stało się zdolne do uczestnictwa w walce każdym środkiem o niedostatecznie dostępne zasoby. Oznacza to, że pojedynczy ludzie, a nawet w postaci zgrupowań, poza jednym, politycznym, nie są w stanie wykonywać pewnych czynności, ważnych z punktu widzenia ich życia, gdy współpraca i rywalizacja rozwija się do tego stopnia, iż poddają kontroli wielką przestrzeń, w której stosunki społeczne zostają przeobrażone ze stanu anarchii w stan monarchii charakteryzującej się porządkiem zmieniającym egzystencję ludzi.

Należy postawić proste pytanie: **dlaczego wyodrębnił się i istnieje podmiot o tak niezwykłych cechach, nazywany podmiotem politycznym?** Jak możliwa jest agregacja ludzi, z natury egoistycznych, którzy gotowi są ofiarować swojemu zjednoczeniu nie tylko własne zasoby, ale nawet swoje życie?

Odpowiedź jest stosunkowo prosta, a dostarcza nam jej materiał historyczny, interpretowany w świetle dzisiejszej wiedzy o człowieku, uporządkowanej przez teorię ewolucji.

Jeśli gdziekolwiek wyłoni się zjednoczenie ludzi zdolne lepiej (bardziej wydajnie, skutecznie, celowo) aniżeli pozostałe operować środkami, zdobędzie przewagę i jego członkowie w podobnym środowisku będą lepiej się rozmnażać. W krótkim czasie będą przede wszystkim dysponować większymi zasobami i siłami do walki, a więc podporządkują sobie innych. **Organizacja polityczna daje przewagę, ponieważ, jak żadna inna, pozwala kontrolować różnorodne środki, dlatego się upowszechniła**<sup>57</sup>. Do tego stopnia, że dzisiaj gatunek ludzki istnieje

56 Szerzej R. Skarżyński: *Anarchia i policentryzm...*, op. cit., s. 205–212.

57 Stwierdził to już K. Darwin, tylko mało kto zauważył jego tezy, tym bardziej zaś zrozumiał. „Jeśli bowiem wszyscy mieszkańcy każdego terenu walczą pomiędzy sobą siłami prawie zupełnie równoważącymi się, to najdrobniejsze zmiany w budowie lub w zwyczajach jednego gatunku dadzą im częstą przewagę nad innymi, a dalej idące zmiany tego samego typu często mogą wzmóc jeszcze jego przewagę, skoro tylko żyć on będzie w tych samych warunkach i korzystać z tych samych środków pożywienia i obrony” (K. Darwin: *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. Warszawa 1959, s. 87.); „[...] plemię złożone z wielu jednostek wykazujących rozwinięty w wysokim stopniu duch patriotyzmu, wierności, posłuszeństwa, odwagę i zdolność współodczuwania, zawsze gotowych do udzielania sobie nawzajem pomocy oraz do poświęcania

wyłącznie w politycznych zjednoczeniach terytorialnych, czyli w państwach. Nie bez powodu porządek wielkiej przestrzeni, który nie jest jednorodny, ale jest zbiorem monarchii połączonych w system poliarchii, określają podmioty polityczne, a nie kościoły, związki handlarzy, fabrykantów, korporacje czy inne tego typu struktury.

Takie podmioty dają przewagę przede wszystkim w zakresie:

- przetwarzania zasobów na energię;
- celowego uderzenia dowolnym środkiem;
- zaangażowania zjednoczonych jednostek (egoistów zdolnych do ofiary);
- w czasie życia wielu pokoleń drastycznie podnoszą wskaźnik reprodukcji.

Tylko zgrupowanie ludzi uczuciowo przeżywających symbole łączące i mobilizujące ich do walki z powołania o powszechny porządek świata może posługiwać się tak zasobami i siłami w walce, że nie jest w stanie z nim rywalizować żadne inne, poza takim samym jak ono, czyli nieprzypadkowo władającym każdym środkiem wymaganym w danej niszy ekospołecznej.

Kryterium tego, co polityczne ujawnia nam **ostateczny podział polityczny**. Nie jest on podziałem na przyjaciela i wroga, czyli swojego i rywala, z którym walka może być rozstrzygnięta wyłącznie na własne ryzyko. Podział na przyjaciela i wroga, tak chętnie opisywany w literaturze niemieckiej po pierwszej wojnie światowej, skutecznie inspirujący Schmitta do sformułowania oryginalnej tezy o kryterium tego, co polityczne, ujawnia tylko rzucający się w oczy, powierzchowny efekt specyficznego grupowania się ludzi, czyli **zewnętrzny podział polityczny**.

Tymczasem owe szczególne zgrupowanie prowadzące do masowej walki na śmierć i życie, jest możliwe nie dlatego, że ludzie się dzielą, że muszą na własne ryzyko rozstrzygać konflikty pomiędzy sobą (to czynią także zgrupowania pozbawione statusu politycznego), ale że **podzieleni politycznie są skazani na odwołanie się do każdego wymaganego w ich niszy środka, jeśli chcą przetrwać** – sami, dzięki cechom swojej organizacji i w efekcie na własne ryzyko – w walce o porządek świata, gdyż uczestnikiem takiej walki jest każda ludzka zbiorowość poddana mobilizacji politycznej. Nadaje to ich egzystencji szczególny status i powoduje, że stworzone przez nich zjednoczenie zmienia świat, jak żadne inne.

Ostateczny podział polityczny, ujawniający swoją obecność w układach sił niszy ekospołecznej, przesądza o statusie egzystencji społecznej tak pojedynczych ludzi, jak i ich zjednoczenia, a tym samym rozstrzyga, kto istnieje poli-

---

się dla ogólnego dobra przeważnie będzie odnosić zwycięstwa nad większością innych plemion. I to właśnie byłoby doborem naturalnym" (*idem, O pochodzeniu człowieka*, Warszawa 1959, s. 128).

tycznie i prowadzi politykę, kto zaś funkcjonuje inaczej i jest przedmiotem polityki. Łatwo ustalić, że ostateczny podział polityczny jest podziałem ekstremalnie płynnym i tak, jak obecny wróg może być naszym sojusznikiem za chwilę, tak **podmiot polityczny w każdym momencie może być obrócony w środek polityczny, a bywa też, że środek polityczny w efekcie szczególnych okoliczności zostaje wyniesiony do roli podmiotu politycznego.**

Stąd trudność badania tego, co polityczne, która jednak jest możliwa do przewyciężenia, jeśli to, co polityczne zostanie właściwie zrozumiane jako przedmiot badań.

Ostatecznym podziałem politycznym jest **podział na podmiot polityczny i środek polityczny**, czyli nie abstrakcyjny (jak widział to Schmitt), ale specyficznie społecznie ukonstytuowany obiekt zdolny posługiwać się każdym zasobem i każdą siłą wedle wymagań określonych w jego niszy ekospołecznej i obiekt będący instrumentem nadającym się do użycia w owej walce, a więc będący narzędziem lub czymś, co służy do uruchomienia tego narzędzia.

**Ostateczny podział polityczny** kształtuje się nie dlatego, że ludzie dzielą się na przyjaciół i wrogów (dzielą się na nich także w rodzinie, sąsiedztwie i w gminie), ale ponieważ tak razem się organizują, że **zostają poddani specyficznej formie mobilizacji**, pozwalającej z powołania uderzyć każdym środkiem wymaganym w układzie sił, który przesądza o ich losie, a konkretnie o ich losie w wielkiej przestrzeni i długim czasie, czyli o tym, **czy liczą się w walce o porządek świata, czy ktoś im narzuca, w jakim porządku mają żyć i jakimi środkami dysponują.**

**Byt społeczny, który nie aspiruje do ustanowienia porządku świata wedle wizji poruszającej ludzkie uczucia, nie jest bytem politycznym**, nawet jeśli wartość jego produktu wielokrotnie przekracza całkowitą wartość produktu szeregu państw. W egzystencji zbiorowości ludzkich w wielkiej przestrzeni i długim czasie nie liczy się bowiem tylko ta wartość. Ona tutaj ma znaczenie jedynie wtedy, gdy staje się środkiem organizacji działającej z powołania do kształtowania świata wedle własnego jego przedstawienia. Powołanie to rozwija się mniej dzięki środkom materialnym, a zdecydowanie bardziej duchowym. Istnieje na gruncie symboli pozwalającym umysłowi człowieka przeżywać uczucia i emocje, przede wszystkim zaś uczucie nadziei, którym można manipulować, ale którego nie da się kupić.

Łatwo dostrzec, że nawet najbogatsze, najlepiej materialnie wyposażone podmioty społeczne niezdolne zmobilizować uczuć ludzi nie utrzymają się w walce z tymi podmiotami, z którymi ludzie łączą swoje uczucia i utożsamiają się z nimi.

**Ostateczny podział polityczny ujawnia nam kryterium tego, co polityczne. Pokazuje tę trudną do uchwycenia granicę pomiędzy podmiotami politycznymi i pozostałymi podmiotami społecznymi, czyli podmiotami, które uderzają każdym środkiem i podmiotami zdolnymi posługiwać się środkami jedynie wyspecjalizowanymi.**

Tak zdefiniowane kryterium nie określa granic zjawiska, lecz pokazuje jego istotę, a także genezę i funkcje. Już tylko dlatego, że pojawienie się w społeczeństwie podmiotu politycznego czyni politycznymi wiele zjawisk, które dotychczas nie miały takiego statusu. Na przykład przeobraża ludzi w polityków, stosunki społeczne, idee i interesy w ich polityczne warianty. Polityczne znaczenie może nadać krzyżowi, owłosieniu (gdy każą zapuszczać brody), a nawet małemu opornikowi, gdy ludzie masowo umieszczają go na ubraniu jako symbol wyrażający ich uczucie sprzeciwu.

Kryterium tego, co polityczne wskazuje byty pod wieloma względami niejednorodne, które jednak tworzą klasę bytów swoistych w ramach tego, co społeczne do tego stopnia, że są przez nas lokalizowane, opisywane i wyjaśniane od tysiącleci. Zestaw tych niejednorodnych bytów może być pokazany między innymi za pomocą analizy historycznej i socjologicznej<sup>58</sup>. Musi być jednak ona prowadzona jako analiza politologiczna, a historia i socjologia są tylko jej naukami pomocniczymi. Nie mamy tutaj do czynienia z badaniem interdyscyplinarnym, ale z badaniem w ramach dyscypliny zdolnej posługiwać się przydatnymi jej narzędziami.

Kryterium tego, co polityczne pozwala odróżnić podmioty polityczne i niepolityczne, a także pokazać, co jest środkiem podmiotu politycznego i na czym polega znaczenie tego środka. W przypadku podmiotów politycznych osiąga ją one formę zaangażowania z powołania i całkowicie na własne ryzyko w układy sił zjednoczeń zbiorowości ludzkich zmagających się pomiędzy sobą o porządek wielkiej przestrzeni. To zaangażowanie wynika nie z dysponowania środkami przemocy, ale z powołania ugruntowanego uczuciami przeżywanymi wobec szczególnych symboli. Dopiero ono pozwala w specyficznych warunkach uruchomić każdy środek w zakresie powodującym, że zwykle związki przemocy nie mogą mierzyć się z podmiotami politycznymi. Wówczas dochodzi do tego, że egoistyczne osobniki przekazują swoje zasoby na rzecz państwa, a nawet stawiają do jego dyspozycji własne życie.

Podmioty pozbawione cechy polityczności są do czegoś takiego niezdolne. Brak im wizji skutecznie modyfikującej ludzkie uczucia i powołania. Działają dla zysku, specyficznej idei, korzyści wodza, celem propagowania jakich wartości czy wreszcie zwykłego przetrwania i to powoduje, iż mogą posługiwać się tylko specyficznymi środkami. Nikt nie chce umierać za takie zjednoczenia ludzi, za fir-

58 Zob. rozdział następny.

mę, gang czy kółko hobbystów (wyjątkiem są męczennicy kościołów, ale tutaj nie mamy do czynienia z gotowością umierania masowego). Podmioty niepolityczne też nierzadko stosują przemoc, ale nie znajduje ona tego uzasadnienia, które pozwala zabijać w poczuciu misji, stanowiącej ostateczne odniesienie. Dopiero szczególne, zbiorowe przeżywanie powołania, pozwalające uderzyć każdym środkiem, umożliwi masowe niszczenie ludzkiego dorobku i ludobójstwo. Zauważmy, że nie jest możliwe ludobójstwo prowadzone przez kościół z pobudek religijnych. Dochodzi do niego, gdy jakiś kościół nie tylko dostarcza poczucia misji, ale korzysta ze wsparcia podmiotu politycznego lub sam staje się takim podmiotem.

**Podmiot polityczny** jest nieprzypadkowym zgrupowaniem ludzi tworzących działającą pod kierownictwem całość – z powołania dążącą każdym środkiem do wprowadzeniu powszechnego porządku społecznego wedle własnego wyobrażenia i interesów, znajdujących swoje uzewnętrznienie w wizji określającej jej tożsamość. We właściwych mu celach, w posługiwaniu się środkami, traktowaniu własnych członków, wewnętrznej zwartości i pozycji w przestrzeni ujawnia się szczególna forma istnienia ludzi, nazwana **mobilizacją polityczną**. Ponieważ podmiot polityczny zmierza do ustanowienia powszechnego porządku, ostatecznie jego cechy określa układ sił wielkiej przestrzeni, który w długim czasie grupuje i selekcjonuje zjednoczenia ludzi zdolne posłużyć się każdym środkiem i za cel stawiające sobie obrócenie zależności wielkiej przestrzeni w ład zgodny z własną wizją porządku.

Takie określenie pozwala nam pokazać, czym różni się zjednoczenie polityczne od innych ludzkich organizacji, nawet tak potężnych, jak kościoły ograniczające się do misji duchowej (ale nie kościoły, które stały się podmiotami politycznymi, jak katolicki czy lamaistyczny), grupy nacisku, korporacje ponadnarodowe czy federacje sportowe. One potrafią rzucić na kolana niejeden rząd, wiele od niego uzyskać, ale nie dysponują statusem politycznym i w ostatecznym starciu, zawsze rozgrywającym się w wielkiej przestrzeni, nie są w stanie opierać się podmiotom działającym z powołania do walki o porządek świata. Gdy pozycję określają nie wiara, pieniądze, wpływy, zdolności produkcyjne, liczy się mobilizacja do walki każdym środkiem, aby ustanowić powszechny porządek, którego wizja wywołuje u ludzi nadzieję na lepsze życie. Wtedy dowolny uczestnik układów sił społecznych może stać się środkiem innego.

Sama gotowość do walki, tym bardziej przemocą, nie przesądza o uzyskaniu statusu podmiotu politycznego. Byt społeczny, który nie dysponuje działającą na uczucia ludzkiej zbiorowości wizją powszechnego porządku, nie jest zdolny do egzystencji politycznej, nawet jeśli wchodzi w stosunki i rywalizuje z podmiotami politycznymi. Może pewien czas przetrwać dzięki sprzyjającym układom sił, ale to nie promuje go do tej szczególnej pozycji, jaka dostępna jest wyłącznie zjednoczeniom ludzi działających wszystkimi środkami pod wpływem uczuć

określanych specyficznym przeżywaniem obrazów ładu, gdy pragną urzeczywistnić go z powołania. Takie umiejscowienie czyni owe osobniki zdolnymi do wszelkich ofiar i daje zmobilizowanemu politycznie związkowi niemożliwą do wyzwolenia gdzie indziej siłę bojową.

### 33. Przedmiot poznania politologii w ujęciu historyczno–socjologicznym

**Przedmiotem poznania politologii jest to, co polityczne we wszystkich jego zmiennych przejawach, jak funkcjonuje w ramach tego, co społeczne.** Problem w tym, że mający się za politologów zwykle nie są w stanie zrozumieć, co to twierdzenie znaczy. Tylko dlatego, że nie dysponują podstawową wiedzą z zakresu socjologii i historii, a o horyzoncie poznawczym własnej dyscypliny nie słyszeli. Dlatego nie umieją operować wnikliwymi sformułowaniami i jest im wszystko jedno, jakie miejsce zajmuje to, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Oni po prostu nie „czują” problemu, którego analiza przesądza o losach uprawianej przez nich dyscypliny nauki.

W ten sposób politolodzy sami dyskwalifikują swój wywód już na początku, w rozważaniach nad polityką i państwem niezmiennie popadając w mętne dywagacje, zwykle bez konkluzji i prowadzone w zakresie wiedzy o społeczeństwie. Najłatwiej bowiem uznać, że wszystko jest polityczne, czyli przyjąć podejście potoczne. Wtedy nie trzeba wnikać w istotę rzeczy i można pisać bez żadnej dyscypliny to, co przyjdzie do głowy. Nikt nie widzi, że wówczas nic nie jest polityczne, a tym samym politologia musi być traktowana jako przypadkowy zlepek pseudonaukowych twierdzeń. Nikt nie dostrzega, że na gruncie stanowiska propagowanego przez teoretyków polityki nie sposób nie ulegać językowi potocznemu, kształtowanemu przez polityków i dziennikarzy. Wtedy politologia może być prezentowana jako część socjologii albo jako pseudonauka zbudowana na niejasnej metodologii.

Tymczasem **politologia**, jeśli ma być dyscypliną nauki (a jest to jedyna możliwa dla niej droga, aby różniła się statusem od geopolityki, etnopolityki, biopolityki, a także astrologii i meteorologii, aby nie była przedmiotem kpin na uniwersytecie), **musi zerwać z podejściem potocznym, z językiem walki politycznej, musi przestać poddawać się językowi mediów i oprzeć się na własnej teorii.** Alternatywa jest więc prosta: albo politologia będzie nauką w takim znaczeniu jak historia, prawo i socjologia, albo stanie się pseudonauką, jak geopolityka, biopolityka i etnopolityka. Wybór należy do uniwersyteckiej profesury, która obecnie, pod wpływem teoretyków polityki, opowiada się za drugim stanowiskiem. Ja sprzeciwiam się temu wyborowi.

Tym, którzy dotychczas nie zrozumieli podstawowych tez tego tekstu, prezentuję wykładnię problemu przedmiotu poznania politologii w formie elementarnego opisu historyczno-socjologicznego. Charakteryzuje się on daleko posuniętą dosłownością i pozwala zrozumieć to, czego nie obrazują każdemu odbiorcy dostatecznie krótkie i wnikliwe formuły.

**Politologia zajmuje się badaniem tego szczególnego sposobu funkcjonowania ludzkich zbiorowości, który prowadzi do wyłaniania zjednoczeń zmierzających do ustanowienia z powołania i każdym środkiem powszechnego porządku wedle jego własnej wizji<sup>59</sup>.**

Mniej więcej dziesięć tysięcy lat temu ludzie żyli w niewielkich skupiskach, które były zbudowane wyłącznie na gruncie więzów pokrewieństwa i łączyły najwyższej kilkanaście tuzinów osób. Żadnych innych struktur organizacyjnych ponad nimi nie było. Dzisiaj ludzie funkcjonują w zjednoczeniach złożonych z milionów osobników, które z powołania rywalizują ze sobą o prządek świata, są zgrupowane i wchodzą we wzajemne intensywne relacje w ramach globalnej struktury poliarchii. W nich funkcjonują dawne całości rodzinne i rodowe, ale już inaczej, ponieważ podlegają kontroli ze strony struktur dzielących pomiędzy siebie przestrzeń świata i dysponujących monopolem legalnej przemocy. Stwarzają nowe warunki życia, gdy do pewnego stopnia zapewnione jest codzienne bezpieczeństwo, ale trzeba płacić podatki, poddać się rozstrzygnięciom sądów powszechnych, a nawet umierać za tych, których nigdy nie widziało się na oczy.

W społeczeństwach opartych na pokrewieństwie takie warunki egzystencji i takie zachowania nie były możliwe. **Warto więc zapytać, jak doszło do tego, że ludzie do tego stopnia zmienili swoje życie, że stali się panami wielkiej przestrzeni, w której najbardziej naturalne więzy krewniacze nie mają znaczenia, a egoistyczne jednostki jednoczą i dzielą uczucia do wielkich symboli, jak bóg, naród, rasa, klasa, wolny rynek, demokracja itd.**

Członkowie naszego gatunku żyjący przed wyłonieniem się tego, co polityczne nie znali zjawisk wykraczających poza związki rodowe i wynikające ze stosunków z bliskimi sąsiadami. Egzystencja ich potomków uległa radykalnej zmianie, gdy ci zostali skupieni, w efekcie procesów koncentracji i polaryzacji stosunków, w jakie wchodzili, w wielkie zjednoczenia, liczące tysiące i miliony osobników, działające z powołania, sterowane uczuciami do symboli i związaną z nimi zbiorową tożsamością, uderzające każdym środkiem. Funkcjonowali, jak żadne inne dotychczas istniejące skupienia ludzi, w ramach szybko rosnących potęg, coraz bardziej intensywnie rywalizujących o porządek świata. Te potęgi dysponowały

59 Szczegółowo przeanalizowałem tę kwestię w mojej książce *Anarchia i policentryzm...*, *op. cit.*, za pomocą szeregu neutralnych pojęć, w tym przede wszystkim „koncentracji politycznej”, „polaryzacji politycznej”, „stosunku politycznego”, „podmiotu politycznego” i „środka politycznego”.



coraz bardziej licznymi i coraz lepiej wyposażonymi armiami, gdyż z racji politycznej organizacji mogły przetwarzać coraz więcej zasobów na energię.

Takie podmioty musiały niegdyś i obecnie muszą wykształcać cechy, które pozwalają im przetrwać w nowych warunkach. Inaczej giną, a żyjący w nich ludzie popadają w wielkie trudności. Nierzadko umierają lub stają się zależni, jako niewolnicy, eksploatowani pracownicy, jako mniejszość o ograniczonych prawach. Zarówno wspomniane cechy podmiotów skupiających ludzi w przestrzeni i czasie, jak i one same w całości, w zakresie struktur, organizacji i procedur rządzenia, podlegają intensywnej selekcji. Niedostosowane rozpadają się, są przekształcane w środki zwycięzców, a ich miejsce zajmują zjednoczenia wyposażone w wymagane uzbrojenie, przede wszystkim pozwalające wydajnie przetwarzać zasoby na energię i jednoczyć ludzi.

Idzie więc o uzbrojenie technologiczne, organizacyjne, przede wszystkim zaś o kulturę symboliczną, której wytwory jednoczą egoistyczne osobniki i pozwalają jednym występować przeciw drugim. Nawet kiedy osobiście nie znają się, ale gdy poczuwają się do wiary w tego samego boga, wiążą nadzieje z tym samym królem, albo kiedy przeżywają uczuciowo przynależność do tego samego narodu – czyli faktycznie do jego wyobrażenia. O odrębności, samodzielności i niezależności przesądzają nie armie, ale dostarczająca środków materialnych gospodarka i pozwalająca przeżywać uczucie tożsamości kultura. Dzięki nim można powołać i utrzymać wojsko, a potem posłać je do walki. **Ostatecznym sędzią, określającym los ludzkich zjednoczeń, są układy sił wielkiej przestrzeni, konkretnej niszy ekospołecznej, gdzie toczy się walka o życie i samodzielność.** Rozstrzygają, kto jest dostosowany do ich wymagań, kto zaś nie spełnia oczekiwań. Pierwsi idą dalej, drudzy upadają, a część skupionych w nich ludzi ginie. Inni tworzą kolejne zjednoczenia albo przenikają do obcych struktur i w nich, jako imigranci, próbują kształtować warunki do życia.

Historia wyłaniania i rozpadu terytorialnych podmiotów politycznych jest długa i bogata. Obejmuje zarówno dzieje tych, którzy dawno bezpowrotnie odeszli (ich symbole przestały cokolwiek znaczyć), jak Wandalowie, Rzymianie, Goci czy Burgundowie, jak i tych, którzy utracili swoje państwo, by, kultywując odrębną kulturę, znaleźć się pod obcą dominacją (Tybetańczycy) lub wytworzyć wiele cech predestynujących do samodzielności, a nawet ogłoszenia suwerenności, gdy układy sił wielkiej przestrzeni nie sprzyjają przekształceniu się w odrębną potęgę (Kurdowie). Inni wtopili się w wielką zbiorowość, by odgrywać w niej czołową rolę (Tamilowie indyjscy). Historia ta obejmuje także tych nie bardzo przygotowanych do samodzielnej egzystencji, ale uporczywie o nią walczących (jak Słowacy, Czesi, Węgrzy i Polacy), ostatecznie zdolnych wykorzystać sprzyjający wiatr historii, czyli korzystne dla siebie układy sił poliarchii, by zachować terytorialną organizację polityczną.

O przetrwaniu czy odrodzeniu suwerenności rozstrzygają czynniki zmienne w przestrzeni i czasie. Nierzadko zewnętrzne i niezależne wobec rywalizujących ze sobą podmiotów, z których każdy działa z powołania, motywowany własną wizją powszechnego porządku. Dlatego mówimy, że podmiot polityczny istnieje i polityka toczy się w niszy ekospołecznej, czyli wydzielonej przestrzeni, w której o działaniach ludzi i ich zgrupowań przesądzają warunki geograficzne, przyrodnicze, ale także sieci stosunków społecznych i obecne w nich struktury organizacyjne.

Gdy badamy to, co polityczne zawsze jednak idzie o nieprzypadkowe zjednoczenia ludzi, zdolne posłużyć się każdym środkiem. W ich egzystencji ujawnia swoją obecność to, co polityczne, gdy wyłaniają się w ramach tego co społeczne, tak że korporację i koło gospodyń wiejskich można łatwo odróżnić od rodu dynastycznego o statusie politycznym, partii politycznej i państwa.

Podstawą przetrwania podmiotów skupiających zbiorowości ludzkie w czasie życia wielu pokoleń i przestrzeni rozciągającej się daleko poza granicami takiego licznego zjednoczenia osobników nie są ani polityka, ani państwo, tylko jest to, co polityczne. Obejmuje szereg zjawisk, w tym politykę i państwo, ale także środki potrzebne do działania, stosunki, interesy czy wizje umożliwiające w specyficzny sposób łączenie ludzi, gdy ich zachowania są kierowane uczuciami i emocjami przeżywanymi na tle jednoczącego ich przedstawienia, czy to boga, dynasty, narodu, rasy albo klasy. Wtedy pojawia się efekt synergii w wymiarze niespotykanym gdziekolwiek indziej. Do tego stopnia, że stabilne i sprawne, efektywnie zmobilizowane polityczne zjednoczenie ludzi nie znajduje godnego siebie rywala, poza podmiotami o podobnym statusie. One dzielą pomiędzy sobą świat i grupują się w układach sił regionalnych poliarchii, by potem stworzyć poliarchię globalną.

W związku z tymi zjawiskami to, co polityczne ujawnia się nam w ramach tego, co społeczne w postaci wielu obiektów, lepiej lub gorzej lokalizowanych przez nas i zwykle określanych mianem *politycznych* (choć nie zawsze, nie mówimy przecież o *państwie politycznym* czy *prawie politycznym* – warto mieć na uwadze te niekonsekwencje naszego języka). Chodzi tu zarówno o byty społeczne, jak i relacje, tym bardziej zaś idee, ponieważ to, co polityczne powstaje i istnieje także jako połączenie ludzi w wyniku narastania napięcia w ich stosunkach z obcymi, co znajduje odzwierciedlenie w kreowanych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie wizjach. Ludzie łączą się politycznie nie dlatego, że patrzą sobie w oczy, trzymają za ręce albo razem śpiewają piosenkę, lecz ponieważ przeżywają uczucia do tych samych symboli i za nie gotowi są umierać.

Wśród tak wyłonionych różnorodnych zjawisk politycznych, jak państwo i polityka, mówimy także na przykład o koncentracji politycznej, polaryzacji politycz-

nej, stosunku politycznym, a przede wszystkim podmiocie politycznym i środkiem politycznym. Tak bowiem się składa, że te ludzkie zjednoczenia funkcjonują jako podmioty polityczne o specyficznych cechach. Najważniejszą z nich jest zdolność użycia każdego środka, nie przypadkowo, lecz z powołania, celem ustanowienia porządku, który jest odczuwany przez zbiorowość jako prawdziwy i powinien obowiązywać wszędzie. Środek jest polityczny nie dlatego, że taki jest z natury, ale ponieważ posługuje się nim podmiot polityczny. Dlatego wszystko potencjalnie może być polityczne, lecz nigdy nie jest tak, żeby wszystko było polityczne.

W każdym razie musimy pogodzić się z różnorodnością zjawisk politycznych, a jednocześnie uświadomić sobie, że nasz język narzuca nam ich badanie jako szczególnego fenomenu. Badanie metodą naukową, której zastosowanie jest możliwe w stosunku do tak złożonego i zróżnicowanego przedmiotu poznania. Różnorodność i zmienność zjawisk politycznych nie przekreśla szansy ich zbadania, opisanie, sklasyfikowania i wyjaśnienia, zwłaszcza pod kątem funkcji pełnionych w społeczeństwie.

Mówiąc o badaniu „tego szczególnego sposobu organizowania ludzkich zbiorowości, który prowadzi do wyłaniania zjednoczeń”, bynajmniej nie można więc mieć na myśli tylko państwa, lecz trzeba widzieć zjawiska, które państwo uczyniły możliwym, inicjując obecność tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne. Państwo nie jest ani pierwotnym, ani pierwszym przejawem tego, co polityczne. Jego istnieniu towarzyszy wiele innych, nierzadko trudnych do uchwycenia zjawisk politycznych. Warto też pamiętać, że państwo nie jest jednorodnym zjednoczeniem politycznym, nie jest „niepodzielnym bytem”, ale funkcjonuje jako opakowanie ludzi (także migrujących w różnych kierunkach) i ich zgrupowań, w rezultacie występowania równoczesnych procesów koncentracji i polaryzacji politycznej, wywoływanych przez różnorodne czynniki – nie tylko społeczne, ale także uwarunkowane genetycznie (natura ludzka) i geograficznie. W jego ramach występują podmioty polityczne, środki polityczne, stosunki polityczne itd. Nie wszystko też w ramach takiego państwa jest polityczne, chociaż ono samo jest szczególnym przejawem tego, co polityczne. Te same zjawiska są obecne poza nim, w strukturze poliarchii.

Politologia bada więc zarówno te szczególne zjednoczenia ludzi ukształtowane w efekcie mobilizacji do powołania powszechnego porządku każdym środkiem, jak i to wszystko w ramach bytu społecznego, co jest związane z ich obecnością, tak że ujawnia się nam jako polityczne. Ono, w tym także podmioty grupujące ludzi, zmieniają w czasie swój status. Zyskują, a potem tracą własny polityczny charakter. Stąd powstaje wrażenie, że to, co polityczne, jest nieuchwytnie. Jednak obecność tego, co polityczne, jest możliwa do stwierdzenia i opisanie, aczkolwiek tylko przez zastosowanie analizy procesów wyłaniania i funkcjonowania zjednoczeń ludzi z powołania zmierzających do ustanowienia powszechnego porządku

wedle własnej wizji. Wszystko to, co polityczne, jest skutkiem ich pojawiania się i istnieje dzięki nim.

**Nie wolno definiować państwa z perspektywy polityki i polityki z perspektywy państwa, ponieważ są to formy tego, co polityczne, co wyrasta z obecności podmiotów zdolnych z powołania posłużyć się każdym środkiem.** Taka interpretacja nie wyjaśnia nam czegokolwiek. Możemy natomiast mówić o państwie jako przejawie czy postaci tego, co polityczne. Tak samo możemy mówić o rodzie dynastycznym czy partii jako wariantach tego, co polityczne.

Nie było takiej sytuacji, aby ludzka zbiorowość od razu utworzyła państwo. Najpierw, w efekcie specyficznej koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych, musiały wyłonić się mniejsze podmioty polityczne (pozbawione statusu terytorialnego), aby państwo mogło powstać jako zjednoczenie terytorialne i uczestnik układu sił poliarchii. Takie na przykład podmioty, jak zgrupowania kapłanów, rody dynastyczne, koalicje arystokratów czy partie uzasadniające swoje pozycje, roszczenia i cele wizjami absolutu, stwórcy, opiekuna, przedstawieniami narodowymi, rasowymi czy klasowymi. Państwo nie mogło być pierwszym podmiotem politycznym. Badania archeologiczne i historyczne dowodzą, że takim pierwszym podmiotem było swoiste zjednoczenie osobników wyposażonych w wielką ideę (wierzących, że bóg powołał ich do szczególnego zadania), czyli skrajnie ambitnych kapłanów<sup>60</sup>, a potem członków rodów zdolnych do stabilnej reprodukcji i wytworzenia wokół siebie idei powołania do wielkich czynów, przede wszystkim zaś ustanowienia powszechnego porządku<sup>61</sup>. Partie polityczne są ich następcami, dziećmi epoki, w której nadzieje ludzi przestały się wiązać z zaspokajaniem woli bogów, życiem po śmierci, ponieważ zostały utożsamione z dobrym doczesnym życiem w warunkach stabilnej, masowej konsumpcji.

W stosunkach politycznych występuje jedna nieprzezwycięzalna zależność: misja i władza polityczna nie mogą być bezpośrednią właściwością czy immanentnym przeznaczeniem ani jakiegokolwiek człowieka, ani zgrupowania ludzi. Muszą być im przypisane uzasadnieniem wywodzącym ich pozycję i uprawnienia za pomocą idei, które w danym momencie określają świadomość elit wytyczających myślenie, przeżywanie uczuć i lojalność członków ludzkiej zbiorowości. Zbiorowości ludzkie wierzą bowiem zawsze w to, co głoszą ich elity. Masy naśladują zachowania prowadzących je elit. Tylko tacy, którzy sobie przypisali status i wiarygodne kompetencje w efekcie wizji przeżywanej przez ludzi, mogą zyskać

60 G. Algaze, *The Uruk world system. The dynamics of expansion of early Mesopotamian civilizations*, Chicago 1993, s. 5 i 97–115; M. van den Mierop, *The government of an ancient Mesopotamian city: what we know and why we know so little*, (w:) K. Watanabe (red.), *Priests and officials in the ancient Near East*, Heidelberg 1999, s. 139–161; K. Kleber: *Tempel und Palast. Die Beziehungen zwischen dem König und dem Eanna-Tempel im spätbabylonischen Uruk*, Münster 2008, s. 326–332.

61 Szczególnie pokazuje to historia Habsburgów (A. Wheatcroft, *Habsburgowie*, Kraków 2000).

uprawnienia polityczne, skutecznie aspirować do władzy politycznej i ją sprawować. Inni zawsze są uzurpatorami.

**Nie zrozumiemy polityki i państwa, nie wyjaśniliśmy tego, co polityczne. Już tylko dlatego, że obok państw istnieją inne podmioty zdolne posłużyć się każdym środkiem.** W dowolnym okresie historycznym niektóre zgrupowania ludzi musiały być wcześniejsze od tego, co rozumiemy pod pojęciem *państwa*. Niemalą rolę odegrały akty kolonizacji związane z przyspieszonym rozwojem gospodarczym, wewnętrznymi konfliktami, a może nawet względnym przeludnieniem w pewnych enklawach, które stosunkowo łatwo przeobrażały się w ogniska ekspansji realizowanej w efekcie ukształtowania się wizji boga wzywającego do walki o porządek świata zgodny z jego wolą<sup>62</sup>. Później próbowały do roli potęg politycznych aspirować związki gospodarcze, przestępcze i przemocy. Polityczne ambicje przejawiały miasta (Wenecja, Nowogród), koalicje miast (Hanza) czy organizacje gospodarcze (Kompania Wschodnioindyjska). Państw nie stworzyły narody, ale zostały one wyłonione w złożonych procesach społecznych przy znaczącym udziale zorganizowanych mniejszości, działających z powołania do urzeczywistnienia wizji narodowej. Kiedy dzisiaj naród kurdyjski aspiruje do niepodległości, to działalność prowadzi nie ten naród, ale jego organizacje polityczne: Partia Pracujących Kurdystanu, Patriotyczna Unia Kurdystanu czy Demokratyczna Partia Kurdystanu.

Gdy takim zgrupowaniom osobników, nierzadko ambitnym i walecznym, brak wizji skupiającej uczucia i jednoczącej członków zbiorowości w sposób pozwalający uderzyć każdym środkiem, nie działają one z powołania i nie są zjednoczeniami politycznymi<sup>63</sup>. Ich los jest dramatycznym losem rebeliantów. Bunt pozbawiony uzasadnienia wielką wizją zawsze kończy się tragicznie, śmiercią wielu osobników oraz likwidacją samego zjednoczenia. Kiedy jednak zbuntowani dopracują się opisanego tu przedstawienia porządku, atakują z niespotykaną siłą i z wielką energią kształtują swoją pozycję w przestrzeni i czasie, jak najbardziej ekspansywne imperia, nieuznające prawa kogokolwiek do suwerennego istnienia poza obszarem własnej dominacji. Tylko dlatego, że ich władcy działają z poczucia powołania do panowania nad całym światem. Jak pokazali to niegdyś Asyryjczycy, Rzymianie, Mongołowie, a całkiem niedawno rosyjscy komuniści i niemieccy faszyci. Ostatnio zaś tymi samymi skłonnościami popisują się człon-

62 Charles K. Maisels, *The emergence of civilization. From hunting and gathering to agriculture, cities and the state in the Near East*, London 1990. O początkach organizacji wielkiej przestrzeni w piątym i czwartym tysiącleciu p.n.e. w Mezopotamii zob. G. Algaze: *The Uruk world...*, *op. cit.*, s. 97–115; H. Wright: *Cultural action in the Uruk world*, (w:) M. Rothman (red.), *Uruk Mesopotamia and its neighbors. Cross cultural interactions in the era of state formation*, Santa Fe 2001, s. 123–147; J. Postgate, *Royal ideology and state administration in Summer and Akkad*, (w:) J. Sasson (red.), *Civilizations of the ancient Near East*, t. I–II, Farrington Hills 2006, s. 395–411; B. Oded, *War, peace and empire. Justification for war in Assyrian royal inscriptions*, Wiesbaden 1992; S. Maul, *Der assyrische König – Hüter der Weltordnung*, (w:) K. Watanabe (red.), *Priests and officials...*, *op. cit.*, s. 214.

63 Jak nie tworzyły ich masy Kozaków czy powstańcy chłopscy skupieni wokół Iwana Bołotnikowa.

kowie amerykańskiej oligarchii, która szermuje ideami porządku demokratycznego, końca historii i świata jednobiegunowego.

U podstaw każdego przejawu tego, co polityczne stoi wizja powszechnego porządku, przeżywana przez ludzi, dostarczająca symboli mobilizujących ich do wzajemnej lojalności i działania razem. Może to być przedstawienie stwórcy wzywającego do urzędzenia świata wedle jego przykazań, życia po śmierci, porządku nieba, króla powołanego przez boga do strzeżenia konkretnego ładu, potęgi narodowej, społeczeństwa bezklasowego czy czystego rasowo albo nawet świata demokratycznego. Wszystko zależy od specyfiki kultury, jaka się w danym czasie i miejscu w przestrzeni kształtuje. Tam, gdzie takiej wizji nie ma, tam nie ma też tego, co polityczne, a jedynie występują przejawy obecności zgrupowań gospodarczych, przestępczych, sportowych, hobbystycznych czy innych. Tam też nie ma polityki, ale są przedsiębiorczość, przemoc, rekord (sportowy), zbiór obiektów (kolekcji) czy zabijanie niewinnych. One nie są polityką, jak struktura mafijna nie tworzy podmiotu politycznego. Wszystkie te obiekty mogą jednak stać się polityczne jako środek podmiotu politycznego.

Dzisiaj politolog niczego nie osiągnie, tworząc nawet najlepsze koncepcje czy definicje polityki, władzy i państwa. Debata nad samymi pojęciami, którą tak lubił Schmitt i której poświęcił się ostatecznie Ryszka, chociaż może być pouczająca, nie prowadzi do formułowania hipotez i ich testowania, owocuje co najwyżej licznymi nieporozumieniami. Politolog musi lokalizować ewolucję stosunków społecznych, historię kształtowania się tego, co polityczne (zawsze łączącą się ze specyficznymi zjednoczeniami ludzi, uderzającymi z powołania każdym środkiem w marszu o urządzenie świata wedle jego własnej wizji) i rozumieć zmianę charakteru części zjawisk społecznych, które podlegają przeobrażeniom, gdy to, co polityczne wyłania się w ramach tego, co społeczne i przekształca sposób życia ludzi.

Politolog jest skazany na posługiwanie się terminami, które pozwalają zlokalizować to, co polityczne w ramach tego, co społeczne i wyjaśnić przedmiot badania za pomocą kompleksowej teorii – teorii tego, co polityczne – tworzącej fundament teorii politologii. Gdy tego nie czyni, przekształca się w „politologa”, a jego myślenie podlega destrukcji. Wtedy nie reprezentuje już dyscypliny nauki, ale potocznie rozumianą wiedzę o społeczeństwie.

**Teoria tego, co polityczne występuje w wielu wariantach, które składają się na ponadpokoleniowy program badawczy. Nie dlatego, że ktoś coś takiego wymyślił, ale ponieważ pewne zjawiska społeczne, określane jako „polityczne”, pojawiają się w świadomości nielicznych wnikliwych umysłów i stają się przedmiotem analizy.** Nie od wczoraj czy przedwczoraj, ale przynajmniej od czasu, kiedy wyraźnie na ten temat zaczęli wypowiadać się filozofowie greccy.

Nie wiemy, czy byli pierwsi, ale ponieważ problem utrzymuje się w debacie naszego gatunku przynajmniej dwa i pół tysiąca lat, warto zwrócić na niego uwagę i zbadać, dlaczego tak się dzieje.

Osobista ignorancja nie może być argumentem, by nie badać tego, co polityczne. Jest najwyżej argumentem by zamilknąć. Zawsze jednak lepiej zapoznać się z dorobkiem myśli ludzkiej w zakresie refleksji nad tym, co polityczne.

### 34. Rozstrzygnięcie podstawowego dylematu politologii

**Podstawowy dylemat politologii rozstrzygnięcie znajduje w twierdzeniu: ponieważ bez wyjaśnienia genezy, istoty i funkcji tego, co polityczne nie jest możliwe zrozumienie ostatnich kilku tysięcy lat ewolucji ludzkich społeczeństw i ich obecnego sposobu istnienia, politologia dysponuje przedmiotem poznania na tyle doniosłym i dającym się wyodrębnić, że jest dyscypliną nauki o statusie równorzędnym innym dyscyplinom nauk społecznych.**

Każda dyscyplina nauk społecznych, która nie czerpie z dorobku w ten sposób określonej politologii, jest dyscypliną ułomną, gdyż nie uwzględnia, jak to, co polityczne przekształciło życie ludzkie do tego stopnia, że między innymi uczyniło je zdolnym do ekspansji w kosmos. Taką ułomną nauką jest między innymi socjologia z jej naiwnym wyobrażeniem własnych zdolności badawczych i utożsamieniem tego, co polityczne z tym, co społeczne.

Losy wielkich cywilizacji, opartych na rozwoju kultury duchowej i materialnej, ujawniają się nie w metaforach i syndromach, nie w rozważaniach nad politologią jako nauką indukcyjną, ale są nierozzerwalnie związane z mobilizacją polityczną, czyli kompleksowym zjawiskiem społecznym, którego istotę i znaczenie uzmysławia nam **podział na podmiot polityczny i środek polityczny**. Ujawnia, jak to, co polityczne powstaje, rozwija się i pozostawia po sobie dalekosiężne skutki, przekształcając egzystencję zbiorowości i ich członków. Nie jako abstrakcja, ale zjawisko społeczne, w efekcie utrzymywanych w wielkiej przestrzeni i długim czasie interakcji ludzi.

Przedmiotem poznania politologii jest to, co polityczne we wszystkich przejawach w obrębie tego, co społeczne, gdyż władza, prawo, interesy, idee, podmioty nie są same w sobie polityczne, tylko istnieją w niektórych swoich wariantach na sposób polityczny w obrębie tego, co społeczne. Polityka i państwo też nie są same w sobie polityczne, chociaż są niezmiennie polityczne, jeśli tylko występują, ponieważ zawsze istnieją jako efekt specyficznego układu stosunków społecznych i szczególnej mobilizacji zgrupowanych ludzi, którzy działają z powołania i każdym środkiem, by ustanowić powszechny porządek wedle swego wyobra-

żenia. W owych szczególnych zjednoczeniach ludzi to, co polityczne ujawnia się najbardziej bezpośrednio i dosadnie, lecz obserwować możemy także jego inne przejawy w postaci idei, systemów, układów sił czy norm wykazujących cechę polityczności.

Jednak badanie poszczególnych przejawów, a nawet syndromów, do niczego nie doprowadzi, poza oczywiście wskazywaniem na zjawiska powierzchowne. Trzeba zrozumieć, że to, co polityczne istnieje nie wskutek aktywności politologa, nie w rezultacie kreowania przez niego abstrakcyjnych pojęć, ale w efekcie specyficznego grupowania się zbiorowości ludzkich w wielkiej przestrzeni i długim czasie, czyli w postaci zjawiska mającego swoją organiczną (wnikającą z fizjologii organizmu) i społeczną (związaną z kształtowaniem się i rozwojem interakcji międzyludzkich) genezę, ujawniającego własną istotę i pełniącego szczególne funkcje. Odmienne od zjawisk związanych ze sposobami istnienia zjednoczeń gospodarczych, religijnych, przestępczych, artystycznych czy sportowych. Wszystko to politolog opisuje abstrakcyjną terminologią i za jej pomocą wyjaśnia, nie wedle czyichkolwiek życzeń, ale zawsze mając na uwadze przedmiot badań swojej dyscypliny nauki i jej metodologię.

**Nie wszystko jest polityką i nie wszystko jest polityczne.** Kto by twierdził odwrotnie, nie rozumie procesów mobilizacji politycznej i funkcjonowania politycznego zjednoczenia ludzi w sieciach stosunków społecznych i ich układach sił. Nie rozumie, jak funkcjonowały ludzkie społeczeństwa przez ostatnie sześć tysięcy lat.

To, co polityczne tkwi głęboko w strukturze tego, co społeczne, ponieważ powstaje w efekcie specyficznej modyfikacji ludzkich relacji, ugruntowanych potrzebami organizmów i stanami umysłów ludzi. Dlatego ma być badane nie jako zbiór powierzchownych przejawów, lecz całościowo, w sieciach stosunków, struktur i instytucji społecznych, które grupują żywe osobniki, przez co radykalnym zmianom podlega sposób egzystencji gatunku ludzkiego. Mobilizacja polityczna i inne ważne przejawy tego, co polityczne stanowią dostosowanie do oczekiwań doboru naturalnego. Tutaj nie idzie o objawy, ale o specyficzne zjawisko w całej jego złożoności, gdyż ono tak zmienia życie ludzi, że muszą podporządkować się nowym wymaganiom do tego stopnia, iż gotowi są nie tylko systematycznie płacić podatki, ale ofiarować własne życie. Za boga, króla, klasę, rasę albo naród. Nie tylko w walkach obronnych, ale pod Somosierrą, w bezkresnych przestrzeniach Rosji, w piaszczystym Iraku i w zimnych górach Afganistanu. Gdy walka obiektywnie nie ma sensu, gdyż musi skończyć się porażką, ludzie mimo wszystko walczą i umierają, ponieważ wierzą, że takie jest ich powołanie.

**Aby badać to, co polityczne z refleksji potocznej wyłania się politologia jako dyscyplina nauki.** Uwikłana w bieżącą politykę, przepełniona skłonnościami



mi normatywnymi, ograniczona zwykłą ignorancją i próżnością uprawiających ją badaczy. Jednak ta dyscyplina ma przed sobą wielkie perspektywy, gdyż przedmiot jej badania posiada fundamentalne znaczenie dla ludzi.

**Politologia jest dyscypliną naukową, ponieważ na polu poznania tego, co polityczne inne nauki społeczne mogą jej służyć pomocą, ale żadna z nich nie dowiodła, iż jest w stanie efektywnie zastąpić politologię.** W szczególności nie dowiodły tego ani teoria państwa i prawa, ani socjologia. Przeciwnie, w tej książce wykazałem równorzędny status socjologii i politologii.

Teoria państwa i prawa zamyka się w kręgu debaty nad pojęciami<sup>64</sup>, rzadko i w niewielkim stopniu odwołując się do analiz socjologicznych. Na jej gruncie wyrosła teoria Schmitta, której wszak nie rozwijano, gdyż w czysto prawniczej wykładni nie nadaje się do wykorzystania w politologii, a dla nauk prawnych też nie przedstawia wielkiej wartości. Ta teoria, bez modyfikacji socjologicznej i historycznej, nie ma zastosowania do poważnej analizy zjawisk politycznych, które przecież posiadają charakter społeczny, zmieniają się w czasie i jako takie muszą być badane. Dlatego kluczowa rola przypada analizie podmiotów politycznych i ich stosunków<sup>65</sup>. Do niej zaś zdolna jest jedynie politologia, gdy na jej gruncie zostaną właściwie postawione problemy badawcze.

Socjologia nie dysponuje ani teorią, ani metodą pozwalającą jej na kompleksowe badanie społeczeństw ludzkich. Raczej bada pewne ich aspekty, szczególnie istotne cechy. Poświęca uwagę zjawiskom politycznym i wyłania z siebie socjologię wyspecjalizowaną, czyli socjologię polityki. Ta jednak dzisiaj, w świetle dostępnej nam wiedzy, oparta jest na powierzchownych, nieomal potocznych kategoriach pojęciowych i w ten sposób pozostawia pole badawcze politologii. Nauka, której centralną kategorią jest *władza polityczna*, nie może wiele wyjaśniać w czasach, gdy bada się już złożone procesy koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych w obrębie poliarchii.

**Politologia, pomimo upartych działań politologów obracających własną dyscyplinę w potoczną wiedzę o społeczeństwie, nie może degenerować się do roli pseudonauki kopiującej „podejścia” historyczne, prawnicze, psychologiczne czy socjologiczne, ale powinna korzystać z dorobku tych nauk w zakresie pomocniczym.** Korzystać konsekwentnie, w badaniach nad własnym przedmiotem poznania, który nie jest wyizolowany, lecz istnieje w przestrzeni i czasie. Dorobek socjologów jest daleko niewystarczający dla politologów. Prze-

64 Skłonnością tą był na przykład mocno obciążony Ryszka, który jak wiadomo dysponował wykształceniem prawniczym. Do tego stopnia, że twierdził, iż „[...] przecenilem warstwę antropologiczną i socjologiczną w rozważaniach <<od chaosu do ładu>> miał zwrócić większą uwagę na prawniczą *Begrifflichkeit*” (*Carl Schmitt w nauce prawa i polityki XX w.*, (w:) *idem, Historia – polityka – państwo. Wybór studiów*, t. I, Toruń 2002, s. 348). Podczas naszych spotkań powtarzał mi to z uporem godnym lepszej sprawy.

65 R. Skarżyński, *Od chaosu do ładu...*, *op. cit.*, s. 207.

de wszystkim trzeba wykorzystać mikrosocjologię, umiejętność posługiwania się abstrakcyjnymi, neutralnymi i precyzyjnymi terminami (umiejętność całkowicie obcą politologom, którzy czują się bezpieczni, posługując sloganami polityków i ich uniwersyteckich środków, czyli profesorów zaangażowanych politycznie – zwłaszcza gdy są nimi Amerykanie).

Bardzo inspirujące okazują się metody i osiągnięcia warsztatowe socjologów. Natomiast ślepe budowanie teorii politologii na gruncie obecnie istniejącej teorii społeczeństwa byłoby wielkim nieporozumieniem. Chociażby dlatego, że socjologowie wprawdzie głoszą, że badają makrostruktury, ale faktycznie w ogóle nie zajmują się problematyką wielkiej przestrzeni i długiego czasu, a także nie badają funkcjonowania interakcji społecznych w kontekście cech natury ludzkiej i ludzkiego umysłu. Tym bardziej nie rozumieją ewolucji ludzkich społeczeństw. Dostępna nam makrosocjologia jest nie do przyjęcia. Politologiczna krytyka makrosocjologii byłaby wielkim wkładem do nauk społecznych. Natomiast kopiowanie przez tak zwanych „socjologów polityki” tego, co robią socjologowie, podważa ich znaczenie w nauce i marginalizuje. Socjologia, nie polityki, ale **socjologia tego, co polityczne**, możliwa jest tylko z perspektywy politologii. Socjologiczna „socjologia polityki” wyczerpała swoje możliwości, zużyła się i wymaga wymiany przez nowoczesny program badawczy.

**Określenie politologii jako dyscypliny naukowej nie pociąga za sobą postulatu zamykania się wobec innych dyscyplin, tylko oznacza konieczność otwarcia na nie z perspektywy własnego przedmiotu poznania.** Wyłącznie dlatego, że tak przebiega ludzkie poznanie, a nie z racji specyfiki politologii. Utrata z pola widzenia przedmiotu badania oznacza koniec każdej dyscypliny nauki i poznania, którego produkty nadają się do weryfikacji metodami naukowymi. Aby prowadzić badania, najpierw trzeba ustalić, co się bada. W procesie badawczym przedmiot poznania może podlegać modyfikacjom, ale bez jego świadomości wykonywane czynności nie mają statusu naukowego, lecz pozostają na poziomie potocznym. Jak nie ma go teoria polityki III Rzeczypospolitej, która istnieje tylko w efekcie ignorancji, czyli braków w erudycji. Nie są tego świadomi ją uprawiający, dlatego głoszą tezy zupełnie pozbawione sensu, przyrównując badania prowadzone na gruncie solidnej metodologii do „łapania much w dziurawe sito”.

Politologia nie jest „nauką normatywną”<sup>66</sup>, gdyż jako nauka może pełnić jedynie funkcje opisowe i wyjaśniające (jednocześnie, ponieważ opis nie jest możliwy bez wyjaśniania, a ono z kolei bez rekonstrukcji cech badanego obiektu; wszystko to zaś ma zawsze miejsce w kontekście uczucia sensu przeżywanego przez poznający umysł). Każda inna czynność podejmowana przez odwołanie się do politologii, tak w znaczeniu nazwy, jak i wyników badawczych, już nie jest nauką.

66 Jest to pojęcie wewnętrznie sprzeczne.

Politologowie lubią te „inne czynności”, co samo w sobie jest rzeczą normalną, ponieważ przeżywają uczucia i mają interesy, jak każdy człowiek. Kiedy jednak nie rozumieją granicy pomiędzy tym, co jest możliwe w ramach nauk społecznych (a one podlegają ograniczeniom w stosunku do nauk przyrodniczych) i tym, co już w nich nie jest osiągalne, kompromitują się osobiście, ośmieszając własne środowisko i dyscyplinę. Politologowie powinni sobie wreszcie zdać sprawę, że nauka, zwłaszcza zaś nauki społeczne podlegają ograniczeniom. **Jak socjologia nie może badać wszystkich aspektów funkcjonowania społeczeństwa, tak politologia nie jest w stanie wypełniać zadań związanych z praktyczną polityką.** Politologia nie pełni jakiegokolwiek funkcji prognostycznej, instrumentalnej czy aksjologicznej.

Przypisywanie politologii zadań czy zdolności normatywnych lub w ogóle instrumentalnych jest efektem ignorancji w zakresie wiedzy na temat tego, czym jest politologia, jak i współczesna nauka. **Politologia jest dyscypliną nauki badającą specyficzny sposób grupowania zbiorowości ludzkich w wielkiej przestrzeni i długim czasie w procesach mobilizacji politycznej**, czego nie czyni żadna inna dyscyplina. W szczególności nie czynią tego socjologia, teoria państwa i prawa i historia. Politologia bada sposób istnienia ludzi w wielkiej przestrzeni i długim czasie, którego rozwinięcie zmieniło egzystencję naszego gatunku. Dlatego jej odrębny przedmiot poznania jest tak doniosły. Bez zbadania mobilizacji politycznej nie da się zrozumieć funkcjonowania gatunku ludzkiego w ciągu ostatnich sześciu tysięcy lat.

Politologowie nie mogą przewidywać ani nawet antycypować przyszłości. Ich dyscyplina nie ma narzędzi do tych czynności, jak biologia nie ma sposobu na określenie przyszłego biegu ewolucji życia. Trzeba wiedzieć, że efektywne uprawienie wspomnianych „innych czynności” przez politologów nie jest nauką, ale wiedza naukowa może podnosić poziom ich fachowości. Tylko jednak wtedy, jeśli pamiętamy, gdzie leży granica podziału pomiędzy nauką a radą, interpretacją, komentarzem, prognozą, strategią na przyszłość, programem naprawy partii i w ogóle ludzką mądrością. Gdy zdajemy sobie sprawę, że naukowcy faktycznie mało mogą zdziałać, nawet jeśli uważają się za bardzo mądrych i swoją mądrością chcą uczęśliwić świat.

W szczególności „naukowa polityka”, czyli polityka prowadzona wedle wskázówek ekspertów, jest czystym wymysłem ludzkiej fantazji. Ekspert w polityce rzadko ma szansę faktycznie coś doradzić. Zwykle przypada mu funkcja ornamentu, ponieważ decyzje polityczne nie są aktami racjonalnymi, tylko efektami uczuciowego przeżywania świata przez umysł dodatkowo poruszany emocjami i przenoszony przez ciało skazane na przetrwanie we wrogich układach sił. Umysł musi uwzględniać interesy ciała, ale w warunkach skomplikowanych relacji politycznych, gdy ten umysł i to ciało znajdują się pod presją wielu czynników. Wów-

czas decyzja potocznie pojmowana jako „racjonalna” faktycznie taka nie jest i nie może być. Często jest sprzeczna z interesami ciała i umysłu. Jest to zawsze decyzja w przeważającej mierze podejmowana pod wpływem uczuć i emocji, a także fałszywych danych.

Wystarczy poznać, jak wybuchają zwykle wojny, dochodzi do zamachów stanu lub inicjowane są rewolucje. Te procesy nie mają w sobie niczego racjonalnego. Jednak racjonalne nie są również decyzje rządów nadzorujących funkcjonowanie rynków, systemów bankowych, systemów emerytalnych, tym bardziej zaś przyznające dopłaty podtrzymujące pewne przedsiębiorstwa i inne skazujące na bankructwo. Kto głosi racjonalność polityków, widzi w polityce realizm, możliwość prowadzenia fachowej, eksperckiej polityki, ten nie ma pojęcia, czym jest to, co polityczne i jak funkcjonuje. Tutaj nie ma miejsca na jakąkolwiek naukowość, a eksperci mogą być tylko nic nieznaczącym ozdobnikiem albo środkiem służącym do realizacji polityki, gdy ich twierdzenia coś uzasadniają lub podważają. Zresztą sami ci eksperci są zawsze do nabycia za bardzo niską cenę. Kupieni, nie mówią tego, co myślą, ale to, czego się od nich oczekuje, by jak najdłużej pobierać wynagrodzenie. Zawsze znajdzie się ekspert, który powie to, czego oczekuje od niego decydent. I ten ekspert, a nie inny, będzie słuchany przez polityka. Polityk oczekuje bowiem nie prawdy, ale tego, co podtrzymuje jego własne poczucie racji, moralności i pozwala by muzyka grała do końca.

Jeśli więc ekspert rzeczywiście chce coś zdziałać (i wierzy, że nie jest do kupienia), to nie przez bezpośredni kontakt z politykiem (faktycznie niemożliwy), ale przez obalanie mitów debaty publicznej, które wpływają na decyzje polityków. Jak jednak pokazuje treść debaty publicznej prowadzonej w Stanach Zjednoczonych w okresie wybuchu wojny wietnamskiej i drugiej wojny irackiej, także tutaj zwykle nie ma on nic do powiedzenia. Głosy rozsądku zaczynają pobrzmiwać publicznie dopiero wtedy, gdy upada pewien układ sił i rodzi się nowy. Ekspert może mądrze mówić, lecz nikt go nie słucha, ponieważ ludzie kierują się nie głosami rozsądku, ale uczuciami, poruszani emocjami i prowadzeni przez elity sterowane własnymi interesami. Nawet jeśli znawca problematyki twierdzi coś tak elementarnego, banalnego jak to, że wypowiedzenie wojny powinno nastąpić dopiero po określeniu celów nadających się do osiągnięcia. **Polityka bowiem nie jest efektem racjonalnych aktów umysłu, ale rezultatem mobilizacji tak niezwyklej, że myślenie zostaje wyłączone albo przynajmniej zmodyfikowane do tego stopnia, że nie widzi się alternatywy dla własnych wizji i uczuć.** Inaczej ludzie by się nie poddali mobilizacji, która najprawdopodobniej nie doprowadzi ich do zwycięstwa, ale z pewnością w swoich skrajnych przejawach będzie ekonomicznie kosztowna i krwawa.

**Nie idzie więc o to, aby politolog nie zajmował się prognozowaniem, nie był analitykiem zjawisk politycznych, czy nie doradzał politykom. Chodzi**

**o to, by wiedział, gdzie jest granica nauki i miał świadomość statusu czynności przez siebie wykonywanych.** By rozumiał, że analiza i prognozowanie zjawisk politycznych nie należą do obszaru nauki, ponieważ nauka to czynność ograniczona i używając jej wyników, można osiągać mizerne cele w działaniach uwarunkowanych przede wszystkim własnym bagażem zobowiązań, interesów i niedorzecznych oczekiwań. Aby na przykład, prezentując się jako pracownik uniwersytetu, nie mówił w telewizji, która polityka jest dobra, która zaś zła (jak uparcie czynią to młodzi, coraz śmielsi i tym samym coraz mniej myślący wychowankowie uniwersyteckich wydziałów politologii, gdzie wykłada się potocznie rozumiane nauki społeczne), ponieważ politolog jako uczonego tego nie może rozstrzygać. Gdy zaś osiągnął status profesora tytularnego i pisze na ten temat książki, potępiając źle akredytowanych i gromiąc perfidnych, do końca kompromituje nie tylko siebie, ale i swoich kolegów.

**Powyższe stanowisko nie jest wariantem neopozytywizmu.** Jest tylko efektem wyciągnięcia elementarnych wniosków z ustaleń teorii nauki, rozważenia dotychczasowego dorobku politologii i zastanowienia się nad tym, jak zjawiska polityczne funkcjonują w ramach zjawisk społecznych. Powyższe stanowisko nie odrzuca rozważań o wartościach, a jedynie dowodzi, że nauka nie jest w stanie przesądzać o wartościach, ponieważ są one określone uczuciami umysłu zajętego dbaniem o los przenoszącego go ciała. Tak funkcjonowanie tego umysłu wytyczył dobór naturalny i nawet najwybitniejsi uczeni tego nie zmieniają. Nie zmieniają tego też mężowie stanu.

Nauka mogłaby tworzyć „teorie normatywne”, gdyby okazała się zdolna rozstrzygać o wartościach. Tego jednak nie jest obecnie w stanie uczynić i nie będzie mogła dokonać w przyszłości. Natomiast nazywanie filozofii czy teologii „nauką” niszczy naukę, mieszając ją z doktrynami. Pierwszą ofiarą jest zawsze politologia, nauka operująca na dość grząskim polu badawczym, w obrębie którego obecność doktryn niezmiennie odgrywa kluczową rolę.

Wartości nie są określane świadomymi aktami umysłu, ale kształtują się w sposób autonomiczny w procesach ewolucji sieci stosunków społecznych i interakcji umysłów członków ludzkich zbiorowości. Dlatego właśnie wartości nie mogą być wytyczane naukowo, a jedynie nauka jest w stanie, z trudem, je badać. **Nauka nie przesądza o wartościach, może jednak wyjaśniać, jak ludzie dobierają wartości i co kształtuje ludzkie wybory.** Politologia ma w tej dziedzinie niemało do powiedzenia. Jednak politolodzy nie sformułują na tym polu żadnych ważnych hipotez, dopóki nie zrozumieją znaczenia i istoty tego, co polityczne.

Twierdzenie, że na gruncie politologii istnieje wiele szkół czy kierunków, mówi jedynie tyle, że politolodzy nie umieją rozróżnić pomiędzy nauką a innymi typami wiedzy. Nie głosi niczego więcej. Nie ma wielu szkół i kierunków w poli-

tologii, gdyż jej dorobek jest mocno ograniczony. Politolodzy niepotrzebnie przypisują politologii to, co do niej nie należy, zapominając jednocześnie o faktycznych filarach dorobku własnej dyscypliny. Powyższe tezy być może są przykre dla wielu z nich, ale w gruncie rzeczy mają charakter banalny. W gronie politologów, zwłaszcza tych uprawiających potoczną wiedzę o społeczeństwie, większość bez zahamowań manifestuje swoją ignorancję, ponieważ zostali wychowani na „naukach” teoretyków polityki. Oni właśnie opowiadają się za pozornym pluralizmem poznawczym, nie zdając sobie sprawy z elementarnych ustaleń teorii nauki, dorobku politologii i faktycznie propagują anarchię.

Nauka nie jest wcale pluralistyczna, gdyż jej celem nie jest koegzystencja wielu poglądów. Za koegzystencją wielu idei czy teorii opowiadają się jedynie oszuści i ignoranci, którzy symulują badania naukowe. Celem nauki jest wyeliminowanie takiego stanu rzeczy i ona powoli zmierza w tym kierunku. Cel ten osiąga w odniesieniu do części badanych problemów. Dzisiaj już przecież nie ma wielu poglądów na to, jak Ziemia istnieje w przestrzeni. Kończy się czas szeregu koncepcji wyjaśniających mechanizm reprodukcji życia. Zaczyna dominować najmłodsza z nich, gdyż wyłącznie ona opiera się krytyce i może wykazać się statusem teorii w efekcie empirycznego potwierdzenia jej pierwotnych hipotez.

Nauka potrzebuje wolności, aby każda hipoteza mogła się pojawić, lecz nie toleruje ich wszystkich. Przeciwnie, metoda naukowa polega na tym, że oddziela się naukę od pseudonauki i eliminuje teorie, które utraciły zdolność wyjaśniania, dalej już poświęcając się weryfikacji teorii nadal uchodzących za wyjaśniające istotne zjawiska. Być może więc ta teoria polityki, która powstała w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, musiała się pojawić, gdy zbłądzono, nie radząc sobie z warunkami uprawiania nauki w demokracji. Teraz jednak nadszedł czas jej końca i ktoś musi wydać wyrok, aby politologia nie utraciła swojej tożsamości. Pseudoteoria polityki jest dobrym przykładem symulowania badań na uniwersytecie, który pokazuje, jak łatwo dyscyplina nauki degeneruje się do poziomu potocznej wiedzy o społeczeństwie.

Funkcjonowanie nauki określa prosty fakt, że rzeczywistość jest jedna. Mnogość rzeczywistości to zjawisko wynikające z odczuwania i interpretowania świata przez umysł. Ograniczenie ludzkiego poznania i uzależnienie od gry interesów w społeczeństwie powodują, że świat widzimy z wielu perspektyw: chrześcijańskich, muzułmańskich, liberalnych, socjalistycznych, rasistowskich, klasowych, feministycznych, realistycznych czy anarchistycznych. Tylko że to wszystko nie jest nauką, lecz są to doktryny, światopoglądy, religie czy ideologie. Tylko ignoranci prezentują pseudopluralistyczne zespoły idei jako naukę i podstawę politologii. Teza o wielości „perspektyw” czy „podejść” w politologii to efekt „łapania much w dziurawe sito”, które w kółku recytatorów mantr propaguje się z racji braku wiedzy na temat tego, czym jest teoria naukowa.

Nauka jest pluralistyczna tylko w tym sensie, że każda hipoteza i każda teoria mogą się rozwinąć i stawić opór krytyce. Nie ma nic świętego, jak głosił Paul Feyerabend<sup>67</sup>. Jednak to nie znaczy, że wszystko wolno. Przede wszystkim zaś nie znaczy, że można być ignorantem, czyli kimś, kto nie zna elementarnego dorobku nauki w obrębie jakiegoś tematu, ale tworzy własne wyjaśnienia zjawisk i je upowszechnia, unikając weryfikacji. Na przykład przez oblekanie pseudonaukowej wiedzy w mantry, ćwiczenie w posłuszeństwie podwładnych i cenzurowanie tekstów oponentów. Nie w przykościelnym pomieszczeniu, ale na flagowym uniwersytecie. Zawsze może być formułowana alternatywa do istniejących teorii, tylko że trzeba owe teorie znać i przynajmniej trochę rozumieć. Natomiast niedopuszczalne jest prezentowanie dowolnych wypowiedzi, sformułowań czy podejść bez odniesienia do poprzedników. Dzisiaj stan wiedzy jest taki, że każda nowa teoria musi być efektem odniesienia się do wcześniejszej.

Jak wykazał Lakatos, nauka nie jest demokracją uczestniczącą i nie może być oparta na głosowaniu, w którym rozstrzyga większość<sup>68</sup>. O drodze ludzkiej myśli przesądzają jednostki, które wytyczają kierunek myślenia, nawet jeśli napotykają sprzeciw polityków i uniwersytetu, gdzie utracono zdolność demarkacji wiedzy, czyli oddzielania nauki od pseudonauki.

Z tego szczególnie politolog powinien sobie zdawać sprawę. Politolodzy muszą wiedzieć, że uznawanie stanowisk doktrynalnych za naukowe jest przejawem ignorancji i anachronizmu. Nauka opiera się na pluralizmie hipotez nadających się do podważenia i teorii, które aktualnie podlegają weryfikowaniu. Zakończenie kolejnego etapu tego procesu oznacza, że jedna teoria wyszła z niego zwycięsko. Feminizm, liberalizm czy katolicyzm czymś takim nie są i dlatego nie należą do nauki. Mówienie więc o „feministycznej politologii”, o włączaniu feminizmu do kanonu badań politologicznych, czy tym bardziej bezkrytyczne referowanie „feministycznej teorii stosunków międzynarodowych”<sup>69</sup>, są nieświadomymi próbami promowania światopoglądu lub doktryny (faktycznie są efektami bezkrytycznego powielania nonsensów tworzonych na amerykańskich uniwersytetach), ale nie oznacza uprawiania nauki.

Gdy pseudoteorie wprowadza się do podręczników teorii stosunków międzynarodowych jako „podejścia”, mamy do czynienia z wystawianiem politologii i internacjologii na pośmiewisko, w efekcie demonstrowania ignorancji. **Gdy nie odróżnia się apriorycznej, zbudowanej na gruncie interesów doktryny od falsyfikowanej teorii, ignoruje się już jedno z fundamentalnych ustaleń**

67 P. Feyerabend, *Przeciw metodzie*, Wrocław 1996, s. 23–26.

68 I. Lakatos, *Popper o demarkacji i indukcji*, (w:) *idem, Pisma z filozofii...*, op. cit., s. 260–261.

69 J. Czuputowicz, *Teorie stosunków międzynarodowych. Krytyka i systematyzacja*, Warszawa 2007, s. 372–382.

**współczesnej teorii nauki.** Dzisiaj nauka nie istnieje poza fallibilizmem<sup>70</sup>, a to przekreśla wszelkie szanse politologii zbudowanej na gruncie doktryny społecznej kościoła, feminizmu, materializmu historycznego czy liberalizmu. Powyższe twierdzenia są zwykłymi truizmami, ale nie na uniwersyteckich wydziałach politologii, gdzie dominują scholastyka, teorioignorancja i kwitnie aktywność ideokopiarek.

Jedyną podstawą politologii zdolną obecnie oprzeć się krytyce jest teoria oparta na hipotezie tego, co polityczne, badanej na gruncie nowoczesnej teorii nauki, przy wspomaganie ze strony nauk pomocniczych. Hipotezie mającej aktualnie status potwierdzonej (każda potwierdzona teoria może być nadal podważana jeśli tylko pojawiają się ku temu jakieś racje), która jednak nie znajduje zastosowania w codziennych badaniach politologów, ponieważ swoją aktywność poznawczą opierają oni na doktrynach i pozostają na poziomie wiedzy potocznej. **Dlatego politolodzy mogą głosić pluralizm poznawczy w potocznym rozumieniu tego terminu, nie zdając sobie sprawy, co to faktycznie znaczy i jakie konsekwencje wynikają z takiego stanowiska,** które jest tylko naiwną pozostałością po czasach kończących konfrontację ideologiczną okresu zimnej wojny. **W nowoczesnym społeczeństwie technologicznym takie uprawienia nauki nie ma szans stawienia oporu krytyce.** Rzeczywistość jest jedna i jedna może być tylko potwierdzona teoria ją wyjaśniająca. Prezentowanie w podręcznikach wielu teorii bez rozstrzygnięcia o ich mocy wyjaśniającej jest tylko dowodem stanu wiedzy autorów takich książek. Jest „łapaniem much w dziurawe sito”.

„Teoria polityki” to tylko popularna nazwa. Faktycznie zaś to, co określamy tym mianem, jeśli ma mieć status naukowy, musi być traktowane jako **teoria politologii, czyli zespół twierdzeń na temat przedmiotu badań dyscypliny.** Twierdzeń określających jego istotę, kryterium, wytyczających granice, cechy, umiejscowienie, uwarunkowania, zmiany, a także główne mechanizmy funkcjonowania, jeśli takie występują, przy pomocy abstrakcyjnych twierdzeń, możliwie wolnych od preferencji związanych z aktami uczuć i emocji. **Bez ulegania językowi źródeł.**

Teoria jest zawsze wytworem umysłu, a więc strukturą istotnościową złożoną z twierdzeń, z których przynajmniej nieliczne zostały zweryfikowane jako hipotezy i w danym czasie dysponują wiarygodnością. Znaczy to, że aktualnie umysł nie znajduje wobec nich twierdzeń je podważających lub występują jedynie hipotezy narzucające pewne podejrzenia, czyli niepotwierdzone sądy.

**Warunkiem funkcjonowania politologii w charakterze dyscypliny naukowej jest teoria tego, co polityczne.** Wyłącznie ona przesądza, że politologii przysługuje taki sam status, jak pozostałym naukom społecznym. Każde inne

70 A. Grobler, *Metodologia nauk...*, op. cit., s. 69–70.



stanowisko jest tylko nieudolną próbą powielania socjologii, historii czy prawa – zwykle, a może nawet zawsze w wydaniu dużo gorszym od oryginału. Przedstawione przez te nauki wyjaśnienia genezy, istoty i funkcji zjawisk politycznych nie wystarczają do zrozumienia społeczeństw ludzkich, które podlegają szczególnej organizacji i kierownictwu, daleko wykraczającym poza to, co jest właściwe dla zjednoczeń gospodarczych, religijnych czy przestępczych.

Natomiast nazywana nauką „zabawa” politologów w badanie polityki z perspektywy państwa czy władzy państwowej albo odwrotnie prowadzi ich myślenie na manowce, ku rozważaniom potocznym. Wtedy teoria państwa i prawa, socjologia czy historia przestają być naukami pomocniczymi politologii, ponieważ ona sama uzależnia się od nich, gdy powiela charakterystyczne dla nich podejścia, co może czynić tylko gorzej lub całkiem nieudolnie. **Tak właśnie wygląda dzisiejsza politologia jako produkt teorioignorantów i ideokopiarek. Nieomal w całości przekształciła się w potoczną wiedzę o społeczeństwie, intuicyjnie powielaną przez tych, którzy nie mają pojęcia, że nauki nie można uprawiać bez wcześniejszej refleksji nad tym, co się bada.** Jej naiwny charakter porusza każdego, kto cokolwiek rozumie z nauki, ale jest zgodny z interesami pseudopolitologów, którzy zainstalowali się na uniwersytetach nie po to, by uprawiać naukę, ale by przetrwać.

### 35. Struktura tego, co polityczne

To, co polityczne formuje się w efekcie wyłaniania zjednoczeń ludzi z powołania zmierzających do ustanowienia każdym środkiem powszechnego porządku. Wskutek tego to, co społeczne ulega zróżnicowanemu przekształcaniu w procesach zmiennej koncentracji i polaryzacji ludzkich relacji i tym samym organizacji zbiorowości w przestrzeni i czasie. Gdy intensywność koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych rośnie lub maleje, ich sieci podlegają jednym razem stabilizacji i utrwaleniu, innym zaś destabilizacji i zostają zerwane. Kiedy dynastie, partie, państwa wyłaniają się z morza anarchii, by po okresie rozkwitu ponownie w nim zatonać, zastępowane są przez podmioty lepiej dostosowane do środowiska naturalnego i społecznych układów sił poliarchii.

Procesy te przebiegają w wielkiej przestrzeni i długim czasie, czyli w wymiarze egzystencji terytorialnych zjednoczeń zdolnych z powołania uderzyć na siebie wzajemnie każdym środkiem i toczą się w czasie życia wielu pokoleń ludzi je tworzących.

**Cechy tego, co polityczne ujawniają się w podziale na podmiot polityczny i środek polityczny.** Wynika to ze sposobu agregacji i organizowania ludzi oraz

operowania tak wyłonionych zjednoczeń w wielkiej przestrzeni i długim czasie, gdzie nie są samowystarczalne, ale warunkiem ich działania jest pozyskiwanie zasobów i posługiwanie się wszelkimi możliwymi siłami, na własną rękę i całkowicie na własne ryzyko. Ten sposób łączenia i dzielenia ludzi, ściśle związany z ich egzystencją, przetrwaniem i reprodukcją, rozstrzyga o istnieniu i funkcjonowaniu naszego gatunku od sześciu tysięcy lat, obecnie już w wymiarze globalnym. Stąd jego szczególne znaczenie i specyfika, ujawniające się do tego stopnia, że inne nauki społeczne nie są w stanie podołać badaniu tego, co polityczne i konieczna jest do tego odrębna dyscyplina – politologia.

To, co polityczne nie jest abstrakcją, nie jest syndromem ani szczególnie złożonym obiektem, dającym się poznać metaforycznie, lecz jest efektem przejścia materii organicznej do postaci egzystencji społecznej<sup>71</sup>, gdy organizmy jednego gatunku łączą się ze sobą nie tylko w małe grupy i stada, ale kiedy skupiają milionowe zbiorowości w zjednoczenia o statusie potęg rywalizujących ze sobą o porządek świata. To, co polityczne tworzy część bytu społecznego, okazuje się przy tym mocno zróżnicowane, niejednorodne i w sposób nieskoordynowany, nierzadko chaotycznie rozmieszczone w ramach tego, co społeczne. Wynika to już z charakteru podmiotów politycznych i używanych przez nich środków politycznych, zmienności tych obiektów w przestrzeni i czasie, jak i sposobu oraz zakresu przekształcania tego, co społeczne przez to, co polityczne.

Podmioty polityczne powstają w efekcie procesów koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych, na gruncie wizji pozwalających tak grupowanym ludziom odczuwać powinność mobilizującą ich do działania z powołania. Nie wobec siebie wzajemnie, ale w odniesieniu do symboli określających ich tożsamość, takich, jak bóg (absolut), król (dynasta), naród, rasa czy klasa (zbiorowość rozumiana nawet jako zjednoczenie). Czasem może nawet wydawać się, że takim symbolem jest też pleć albo środowisko naturalne. Wątpliwe jednak by feministki były w stanie stworzyć coś więcej aniżeli atrapę partii politycznej (jeśli prawidłowo rozumiemy istotę tego, co polityczne). Tak samo nieprawdopodobne jest, by „zieloni” byli w stanie dłużej utrzymać się u władzy w systemie demokratycznym, realizując własną wizję porządku. Szczególnie feministki do złudzenia przypominają dziewiętnastowiecznych anarchistów, którzy byli zdolni jedynie negocjować istniejący porządek, ale już nie walczyć o nowy, własny. Dlatego oni nigdy nie uzyskali statusu politycznego.

Obok nieudanych adaptacji politycznych czy wręcz tylko przypominających polityczne pojawiają się zgrupowania ludzi, które przez tysiąclecia lub przynajmniej stulecia łączą wielkie zbiorowości zdolne rywalizować o porządek świata i posługiwać się w tym celu każdym środkiem.

71 R. Skarzyński, *Siedem ćwiczeń...*, op. cit., s. 8–15.

Podmiotem politycznym czyni bowiem nie sama wizja, a nawet nie czynią szczególne interesy, ambicje czy wola działania z powołania (te wszystkie atrybuty anarchiści i feministki wykształcili w swoich kręgach – pomimo to w ich przypadku trudno mówić o politycznych zjednoczeniach ludzi), ale ostatecznie zdolność posługiwania się środkami pozwalającymi zmierzyć się z rywalami faktycznie walczącymi o porządek świata. Anarchiści i feministki takiej zdolności nie są w stanie wykazać, dlatego mogą pełnić jedynie funkcję kontestatorów istniejącego ładu. Tutaj liczy się przede wszystkim mobilizacja na gruncie religijnym i narodowym.

Aktualne układy sił wielkiej przestrzeni określają wymagania wobec podmiotów politycznych, czyli zjednoczeń faktycznie walczących o porządek świata. Byty społeczne ich niespełniające, nie są podmiotami politycznymi. Nie przesądza to oczywiście o możliwym przyszłym statusie politycznym owych zjednoczeń. W feministkach nie da się jednak dostrzec jakiegokolwiek potencjału, który mógłby wyzwolić w nich działania prowadzące do faktycznej politycznej egzystencji, jak nie było go w Polskiej Partii Przyjaciół Piwa i Polskiej Partii Posiadaczy Magnetowidów.

Bez wizji obligującej do działania z powołania, skutecznie działającej na uczucia zbiorowości, nie ma możliwości dysponowania wymaganymi zasobami i włączenia się w układy sił rozstrzygające o porządku wielkiej przestrzeni, czyli o tym, że pewne jej obszary zostaną wydzielone z anarchii i przeobrażą się w monarchię kierowaną przez rząd. Wizja jest warunkiem wyłonienia tak znaczącego zgrupowania ludzi, że jego środki mogą zacząć liczyć się w rywalizacji prowadzonej w wielkiej przestrzeni. Na gruncie feminizmu taka agregacja ludzi się nie ukształtuje, gdyż feministki nie poruszają nawet uczuć kobiet, by je zjednoczyć do walki o własny porządek świata.

Wszystkie opisane wyżej procesy jednoczenia się i rywalizacji ludzi w wielkiej przestrzeni podlegają ograniczonej kontroli<sup>72</sup> i nierzadko w znacznej mierze przebiegają żywiołowo, ze zmienną intensywnością w czasie. Określają istotę, a przede wszystkim rozmieszczenie tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne, zwłaszcza że w przypadku takich zjednoczeń ludzi, jak podmioty zmierzające do ustanowienia z powołania powszechnego porządku, idzie o kontrolę zasobów koniecznych do generowania sił i podtrzymania reprodukcji kolejnych pokoleń ludzi.

Kluczem do panowania w wielkiej przestrzeni i reprodukcji jest nadzór nad zasobami umożliwiającymi generowanie energii<sup>73</sup>. Kiedyś była nim w przeważającej mierze populacja ludzi i zwierząt. Stąd tak wielką rolę w ludzkiej histo-

72 Jej fundament tworzą: natura ludzka, środowisko przyrodnicze, sieci stosunków społecznych i ich układy sił.

73 V. Smil, *Energy in world history*, Boulder 1994.

rii odegrał koń. Masowe wykorzystanie tego zwierzęcia umożliwiło panowanie w wielkiej przestrzeni zjednoczonym ludzi na ówczesnym etapie rozwoju technologii. Od mniej więcej stulecia to zwierzę w ogóle się nie liczy. Znacząca rola przypadła także różnym formom niewolnictwa, które tworzyły systemy kontroli populacji traktowanej jako zasób energetyczny. Dzisiaj, w epoce masowej produkcji, fundamentem egzystencji ludzkich zgrupowań są surowce i technologie rozstrzygające o ich przetwarzaniu w gigantycznych elektrowniach. Niewolnicy przydają się gdzie indziej. Dlatego niewolnictwo nie zostało wyeliminowane, ale liczba niewolników została zredukowana i tej formie eksploatacji ludzi nadano inną postać.

To, co polityczne dotyczy podstaw egzystencji naszego gatunku w wielkiej przestrzeni i dlatego opis owych obiektów, tym bardziej zaś wyjaśnienie ich miejsca w ramach tego, co społeczne okazują się możliwe za pomocą abstrakcyjnych i neutralnych kategorii pojęciowych. Nie jest to zresztą specjalnie trudne, gdy tylko zrozumiemy znaczenie wyłonionych na szczególnym etapie ewolucji gatunku ludzkiego zjednoczeń ludzi, którzy przestali zadowalać się uprawą roli, hodowlą zwierząt, życiem w małych rodach i mniej więcej sześć tysięcy lat temu zaczęli funkcjonować w ramach całości społecznych aspirujących do panowania nad światem. Najpierw w imię boga, który – jak wierzyli – powołał ich do tego zadania, potem z ramienia narodu, rasy czy klasy, by nawet ogłosić, jak ostatnio uczyniono w Waszyngtonie, że Stany Zjednoczone mają prawo nieść nieoświeconym czy zbyt słabo rozwiniętym narodom kaganek demokracji i pozbawiać całe społeczeństwa niedobrych reżimów politycznych chirurgicznymi cięciami, przeprowadzonymi metodami wojskowymi (doktryna George W. Busha), otwierając przed nimi perspektywę upodobnienia się do form zgodnych z wzorcami narodu amerykańskiego<sup>74</sup>.

**Struktura tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne jawi się nam jako niebywale złożona, a nawet niemożliwa do uchwycenia, ponieważ w efekcie rozpowszechnienia się teorii polityki elementem tego, co społeczne masowo błędnie przypisuje się status polityczny lub cechę polityczności, niejednokrotnie fałszywie interpretując skutki operowania w obrębie sieci stosunków społecznych podmiotów politycznych.** Znajduje to wyraz w naszym języku, wykazującym skłonność przyznawania zjawiskom społecznym cechy polityczności wskutek nieuprawnionej klasyfikacji (mamy wtedy do czynienia z **tym, co polityczne z nazwy**, na przykład w efekcie gry interesów). Język często bywa żywiołowy i niekonsekwentny. Zwykle wyraża mniejszą lub większą dozę emocji, której politolodzy nie chcą uwzględniać w metodologii własnych badań i dlatego nieodpowiedzialnie posługują się pojęciami i koncepcjami potocznymi i politycz-

74 W Polsce najwierniej propagował ją A. Rottfeld (*Polska w niepewnym świecie*, Warszawa 2006).

nymi. Uniemożliwia im to zrozumienie subtelnej problematyki tego, co polityczne. Skutkiem jest brak adekwatnej definicji polityki i państwa.

Widać to na przykład szczególnie wyraźnie w efektach aktywności teoretyków polityki, gotowych mówić o państwie bez uwzględnienia jego cechy politycznej. Przecież jednak jest to fundamentalna właściwość państwa, której nie da się pominąć. Prawdopodobnie najlepsza możliwa dzisiaj do sformułowania definicja tego podmiotu brzmi: „państwo jest polityczną organizacją terytorialną”. Na jej gruncie możliwe jest określenie istoty i funkcji państwa, a także wyjaśnienie jego genezy i ewolucji. Jednak pod warunkiem, że rozumie się czym jest to, co polityczne. Kto jednak analizuje państwo bez rozważenia statusu politycznego owego bytu, musi być uznany za ignoranta, ponieważ nie ma pojęcia o elementarnym dorobku politologii w tym zakresie. Dorobku, którego dotychczas nie przyswoiła sobie teoria państwa i prawa.

Dlatego równocześnie, wskutek tej samej ignorancji, na przykład korporacjom i komitetom sportowym przypisuje się zdolności polityczne, bez zastanowienia się nad tym, co uprawnia do takiej kwalifikacji. W języku potocznym, jak blisko sto lat temu pokazał Weber, nagminnie określa się politycznym to, co polityczne być nie może i mówi o polityce tam, gdzie nie są obecne podmioty polityczne, chociażby o „polityce banków”, „polityce gminy”, „polityce zarządu”, „polityce korporacyjnej” itd. Tak samo mówi się na przykład o partiach z nazwy, czyli chociażby Polskiej Partii Przyjaciół Piwa i Polskiej Partii Posiadaczy Magnetowidów, które przecież nie wykazały jakichkolwiek cech politycznych.

Podobnie jest z partiami feministycznymi. Ich wizje przemawiają do niewielu i nie mogą zdobyć sobie takiego znaczenia, aby rzeczywiście mogły zmierzać do ustanowienia własnego porządku, tym bardziej z powołania i każdym środkiem. Jaki to zresztą miałyby być porządek. Feministyczny? Cóż to znaczy? Czy feministki będą gotowe za niego umierać w chwili próby? Polityczne zaangażowanie, mało kto sobie z tego zdaje sprawę, zawsze pociąga za sobą ewentualność umiarkowania. Nie za rodzinę i koleżanki, ale za symbole, z którymi utożsamia się własną egzystencję.

Feminizm jest tylko przejawem politycznej fikcji, a może nawet wyłącznie produktem środowisk akademickich skłonnych do kreowania bytów nieistniejących i niemożliwych. Mimo to próbuje się wprowadzić jego nieporadną wizję do uniwersyteckich podręczników myśli politycznej czy teorii polityki, zwłaszcza zaś stosunków międzynarodowych (co wprawia w zupełne zdumienie – ale w książkach internacjologów faktycznie wszystko jest możliwe), nadając mu status podobny na przykład do innych zespołów poglądów<sup>75</sup>. Okazuje się więc, że polityczna fikcja może zdobyć sobie znaczenie nie dlatego, iż jest polityczna ze

75 J. Czaputowicz, *Teorie stosunków...*, s. 372–382.

swej istoty, ale ponieważ jest polityczna z nazwy. Już dlatego może stać się przedmiotem rozważań prezentowanych jako poważne, naukowe i rzekomo krytyczne.

Jak pokazuje historia, praktycznie dowolne zjednoczenie ludzi może sobie przypisać status polityczny, by realizować własne interesy, które faktycznie nie mają jakiegokolwiek charakteru politycznego. Uczynił to na przykład krąg ludzi, który powołał do życia holenderską partię pedofilów, NVD (Dobroczynność, Wolność i Różnorodność), próbując promować uznanie za normalną, a może nawet legalną czynność określaną jako zboczenie, nie rozwijając własnych wpływów na partie polityczne (było to przecież niemożliwe), ale przez publiczne nadanie sobie statusu organizacji aspirującej do władzy w państwie. Tak samo ów status przypisywał niegdyś sobie i swoim towarzyszom Jemielian Pugaczow, gdy dowodził, że jest cudownie ocalałym carem Piotrem III. W ten sposób nie tylko uzasadniał istnienie rzekomych osobistych praw do władzy nad Rosją, ale także przyznał własnej osobie i otaczającemu go zgrupowaniu status polityczny, bez wykazania rzeczywistego uzasadnienia roszczeń. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak postępując, tworzy jedynie związek przestępczy, gdyż jego ruch był postrzegany jako uzurpatorski. Tym samym nie wyzwalał energii pozwalającej walczyć o porządek świata.

Być może nic tak nie ujawnia złożonego statusu i niezwykłej specyfiki tego, co polityczne, jak właśnie **różnica pomiędzy związkiem przestępczym i zjednoczeniem politycznym**. Gdyby Pugaczow odwołał się do samodzielnej wizji poruszającej uczucia ludzi, na przykład wskazującej ich prawa naturalne i gwałcenie tych przez rządzących (jak uczynili to liberałowie i socjaliści), wówczas miałyby szanse przeobrażenia kręgu buntowników ze związku przestępczego w zjednoczenie polityczne. Jeśli oczywiście byłby zrozumiany wówczas w Rosji i zdołałby zgromadzić odpowiednie siły militarne. On jednak, działając w warunkach, kiedy taka wizja nie mogła się narodzić, próbował ukraść inną, ogłaszając się carem. Tylko to mu zostało.

Pugaczow metodą zawłaszczenia nie mógł poruszyć ludzi wierzących w boga i posłusznych wobec, wedle ówczesnych wyobrażeń, działającego z jego woli cara. Dlatego od początku buntu ruch był skazany na klęskę, a przywódca na śmierć. Powstańcy nie dysponowali tym trudno uchwytnym, ale fundamentalnym środkiem, jakim jest wizja polityczna, pozwalająca działać, przeżywając uczucie własnej nieprzypadkowości i posługiwać się wszystkimi dostępnymi zasobami i siłami. Tylko ona porusza ludzi tak, że działają z powołania i gotowi są zmienić świat. Ukradzona wizja nie pobudzi nikogo, poza poszkodowanymi, którzy zrobią wszystko aby odbudować swój monopol w tym zakresie.

Anarchizm nierzadko uznaje się za ruch polityczny. Wyrastał on w czasach kształtowania się nowoczesnych partii parlamentarnych i pozaparlamentar-

nych oraz ich ideologii. Problem jednak w tym, że idee anarchistów faktycznie nie były polityczne, ponieważ uniemożliwiały tworzenie zwartej organizacji, co jest warunkiem istnienia podmiotu politycznego. Anarchizm wspierała wizja nie jednoczenia ludzi, ale ograniczonego ich rozproszenia. Poglądy wyrażane przez anarchistów wykluczały ich z codziennych procesów koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych, które prowadzą do walki z powołania i każdym środkiem o porządek świata.

Praktycznie można przytoczyć nieskończenie wiele przykładów przypisywania cechy polityczności czy statusu politycznego zgrupowaniom ludzi, a nawet rozmaitym zjawiskom, nierzadko apolitycznym z samej swej istoty, jak i społecznego osadzenia, czyli umiejscowienia w ludzkich wyobrażeniach i sieciach relacji. Wynika to z niezrozumienia czym jest to, co polityczne.

Warto na koniec przytoczyć jeszcze jeden charakterystyczny przykład, jakim jest idea „poprawności politycznej”, wyrażająca pewien wzorzec postępowania, polegający na eliminowaniu zachowań dyskryminujących innych, artykułowany postulatem unikania wszystkiego, co mogłoby naruszyć godność drugiej strony i wywoływać konflikty. Dlatego proponuje się zachowania neutralne, czyli sprzeczne z rzeczywistymi cechami tego, co polityczne, gdzie dyskryminacja jest na porządku dziennym i ujawnia się w hierarchii i dominacji. Ani w tej koncepcji, ani w wynikających z niej działaniach faktycznie nie ma niczego politycznego w sensie tradycyjnego rozumienia owego terminu, jak i używanego w niniejszej książce. Jest on w przypadku „poprawności politycznej” wykorzystywany w innym znaczeniu, opisującym szczególne obyczaje ludzi aniżeli rzeczywiste zbiorowe zachowania. Dla politologa to użycie pojęcia może być mylące, dlatego powinien on badać takie przypadki. Ich świadomość jest warunkiem istnienia dyscypliny politologii.

### Zreasumujmy

**Dychotomia podmiot polityczny – środek polityczny ujawnia nam istotę, a także znaczenie i funkcje tego, co polityczne oraz fundamentalne elementy jego struktury, lecz nie mówi wszystkiego o owej strukturze i samych cechach tego, co społeczne po wyłonieniu w jego ramach tego, co polityczne.** Jednak posługując się powyższym kryterium, możemy dość łatwo określić, co jest polityczne i jak zyskuje taki status, co zaś tylko za takie uchodzi na przykład w efekcie kształtowania się interesów lub nawet wyobrażeń ludzi. Różnych, gdyż cokolwiek może jawić się jako polityczne w efekcie dążeń ekonomicznych, przestępczych, osobistych, a także pod wpływem popędu seksualnego czy marzeń o społeczeństwie sprawiedliwym i pozbawionym dyskryminacji.

Nie znaczy to jednak, że taki obiekt faktycznie ma status polityczny. Najłatwiej jako polityczne jawi się nam to, co publiczne, gdy kształtuje się w jego ramach relacja władzy. Jest to jednak tylko złudzenie, które powstaje, kiedy nad naszym umysłem panują obrazy kreowane bezpośrednim oglądem, czyli rządzi nim dosłowność. Ona wywołuje u nas uczucia przeżywania prawdy i realistycznego postępowania, dwa uczucia charakterystyczne dla potocznego badania i pojmowania świata.

Tymczasem istota tego, co polityczne ujawnianiu się przede wszystkim dzięki analizie natury ludzkiej i sieci stosunków społecznych rozwijanych przez szczególny gatunek zwierzęcia, zdolnego przetwarzać symbole i zbiorowo działać z powołania każdym środkiem, by ustanowić powszechny porządek wedle własnej wizji. Sieci stosunków społecznych w wymiarze publicznym są efektem między innymi sieci stosunków ukrytych przed naszym wzrokiem już chociażby dlatego, że kształtują się w wielkiej przestrzeni i w długim czasie. Tam, gdzie liczne zbiorowości przeobrażają się w zjednoczenia rywalizujące ze sobą bez ograniczeń nakładanych przez jakąkolwiek stronę trzecią. Tym bardziej trudna do uchwycenia jest natura ludzka i jej związek z zachowaniami publicznymi.

Tak u początków istnienia, jak i u podstaw funkcjonowania tego, co polityczne znajduje się niepodobne do innych zjednoczenie ludzi.

Pojawienie się podmiotów politycznych pociąga za sobą radykalne zmiany w sposobie funkcjonowania gatunku ludzkiego wskutek wykształcenia aktywności ukierunkowanej na ustanowienie powszechnego porządku i zdolności do wykonywania czynności ów porządek mającej na celu. Prowadzi do **wyłonienia się w społeczeństwie trzech dających się od siebie odróżnić zbiorów elementów tego, co polityczne.**

**Pierwszym z nich są same podmioty polityczne, czyli zjednoczenia ludzi z powołania zmierzające do utworzenia każdym środkiem przewidzianego w ich wizji ładu.** Składają się na to, co jest **samoistnie polityczne**<sup>76</sup> w tym sensie, że egzystencja każdego z nich nie zależy od innego podmiotu, ale jest kształtowana na własną rękę w rezultacie dysponowania zasobami i siłami pozwalającymi im operować każdym środkiem w określających zapotrzebowanie na nie (czyli owe środki) układach sił. Możemy w tym przypadku mówić **o tym, co polityczne z samej swej istoty.**

Do podmiotów politycznych zaliczymy różne zbiory ludzi, zdolne wzajemnie dzielić się i łączyć. Także w ten sposób, że jedne wnikają w drugie lub podlegają anektowaniu. Uniwersalnym ich określeniem może być termin *partia*, oznacza-

76 Chociaż jest to samoistość ograniczona z racji zależności od niszy ekospołecznej, a więc zasobów przyrodniczych, ukształtowania środowiska i układów sił sieci stosunków społecznych.



jący przecież nic innego jak część całości. Taką partią faktycznie jest nie tylko to, co dzisiaj za nią uchodzi, w postaci ugrupowania zmierzającego do przejęcia władzy w państwie, ale również ród o ambicjach politycznych, kościół (w sensie hierarchii rządzącej zbiorowością wiernych), jak i wyposażony w wizję powszechnego porządku związek terrorystyczny. Partią jest też w ramach gatunku ludzkiego państwo. Ono jest terytorialną częścią przestrzeni, faktycznie zaś przede wszystkim politycznie wydzieloną częścią gatunku ludzkiego.

*Partią* jest specyficzne zjednoczenie ludzi, które zмага się z innymi bytami społecznymi, ale szczególnie rywalizuje z podmiotami o takim samym statusie. Gatunek ludzki jest więc z samej swej natury partyjny, a jego partyjność podlega intensyfikacji także z racji warunków, w jakich żyje. O jego politycznej fazie egzystencji i tym samym polityczności niektórych partii nie przesądza ilość zasobów pozostających w ich dyspozycji czy liczba członków. Bywa, że małe i ubogie w środki zjednoczenia ludzi, na dodatek skromne od strony ilości członków, są zdolne tak zażarcie walczyć z powołania, że wkraczają w polityczne układy sił i skutecznie uczestniczą w zmaganiach o porządek świata, jak niegdyś bolszewicy, a dzisiaj terroryści islamscy. Ileż to ruchów niepodległościowych zaczynało się od niewielkiej liczby przeżywających powołanie do czynu wyzwolenieczego.

Podstawowym podmiotem politycznym jest państwo, szczególnie terytorialna organizacja ludzi, uderzająca każdym środkiem jak żadna inna. O jej kontrolę toczy się zwykle walka, gdyż każde państwo jest faktycznie opakowaniem różnych zjednoczeń ludzi, rozmaitych partii, także tych rywalizujących ze sobą o porządek świata na śmierć i życie. Państwo jest partią partii, superpartią ludzi spakowanych w organizację funkcjonującą z wydzielonego terytorium, które zdolne jest ona utrzymać.

**Drugim zbiorem elementów struktury tego, co polityczne są środki**, którymi posługują się podmioty polityczne, a więc chodzi tu o obiekty **zależne politycznie**. Inaczej mówiąc **tworzą je zasoby i siły, które zyskują status polityczny, ponieważ dysponują nimi podmioty zmierzające z powołania do ustanowienia powszechnego porządku wedle jego własnej wizji**. Do środków politycznych zaliczamy nie tylko znajdujące się w dyspozycji politycznej zasoby surowcowe, zapasy energii, technologie, infrastrukturę, ale także różnorakie zespoły idei, w tym przede wszystkim określane mianem wizji politycznych, doktryn politycznych i ideologii politycznych. Do środków politycznych należą także metody i strategie działania, nierzadko wypróbowywane i rozwijane przez stulecia. Kiedyś, w czasach wielkich dynastii, ważnym instrumentem polityki było zawieranie odpowiednich małżeństw. Dzisiaj, w dobie telewizji i innych elektronicznych kanałów transmisji informacji, liczy się manipulowanie treścią masowego przekazu, kształtowanie wizerunku nie prawdziwego, ale takiego, który przyjmą masy, gdyż poruszy on ich uczucia i podda mobilizacji. Takie sterowanie myślami ludzi

pozwała prowadzić bezsensowne wojny, a przede wszystkim do władzy powoływać tych, którzy nie mają do niej żadnych kwalifikacji, ale dzięki temu mogą stać się wygodnym narzędziem grup nacisku. Na przykład banków, czy w ogóle oligarchii, jak ma to miejsce szczególnie wyraźnie we współczesnych Stanach Zjednoczonych. Tutaj prowadzona przez dziesięciolecia polityka manipulacji całym narodem doprowadziła do tego, że zaangażował się on w czynności masowego zabijania ludzi na świecie w imię demokracji.

Bez środków politycznych nie ma polityki, gdyż nie istnieją samowystarczalne podmioty polityczne. Są one możliwe tylko wskutek występowania działających na ludzkie uczucia symboli, używanych jako symbole polityczne. Te, wraz z wizjami uzasadniającymi nieprzypadkowość konkretnych przedstawień ludzkiego ładu, są fundamentalnym środkiem politycznym, który łączy ludzi, mobilizuje do wspólnego działania, do ofiar, by jednocześnie pozwolić radykalnie przyspieszyć rozwój gospodarczy i podnieść współczynnik reprodukcji.

**Do zestawu środków politycznych może należeć dowolny obiekt wskutek zależności od podmiotu politycznego zyskujący status polityczny, jednak zupełnie inny od statusu samego podmiotu politycznego.**

Nie ma jednak takich sytuacji, aby wszystko było przekształcane w środek polityczny.

Struktura środków politycznych jest zmienna i złożona. Do tego stopnia, że zaliczymy do nich też populację ludzką<sup>77</sup> i to nie tylko w postaci mas ciężko pracujących poddanych lub obywateli, ale również elity politycznej, w tym politycznie powiązanej klasy próżniaczej czy też klienteli politycznej (są nimi na przykład parlamentarzyści dzisiejszej demokracji medialnej, którzy nie mają własnej woli politycznej i nie reprezentują wyborców, ale występują w roli instrumentów mobilizacji politycznej w wykonaniu partii politycznych). Populacja umożliwia funkcjonowanie podmiotu politycznego, zapewnia pozyskiwanie innych zasobów i ich przetwarzanie na energię, w szczególności zaś dostarcza kręgów kierowniczych, które próbują działać na własną rękę, w prywatnych interesach, ale przetrwać mogą faktycznie tylko wtedy, gdy wypełniają przewidziane dla nich funkcje. Zrozumienie tego stanie się możliwe chociażby po zapoznaniu się z historią władców dynastycznych, zwłaszcza z okresem ich upadku, gdy masy społeczne przestały odczuwać, że królowie zabezpieczają ich egzystencję i „oddają” się w ręce zdolnych demagogów, czyli przedsiębiorców partyjnych<sup>78</sup>.

77 Być może trudno zrozumieć, że politycznie zmobilizowani ludzie nie są podmiotami politycznymi, tylko środkami pełniącymi zróżnicowane funkcje i rozmaicie wykorzystywanymi w działaniach politycznych. Przyjdzie to z pewnością łatwiej, gdy uświadomimy sobie, że mobilizacja polityczna ma miejsce nie podczas łączenia się ludzi, ale w aktach ich łączenia. Nie jest więc działaniem świadomym, lecz procesem niezależnym od woli jednostek, gdy muszą sprostać wyzwaniom sytuacji egzystencjalnej, a ich umysły podlegają penetracji symboli wywołujących u nich uczucia tożsamości i lojalności.

78 R. Skarzyński, *Politycy: od wojownika do produktu*, „Pro Fide Rege et Lege” 2011, nr 1, s. 70–104.

**Trzecim elementem struktury tego, co polityczne są funkcjonalnie polityczne efekty obecności podmiotów politycznych i posługiwania się przez nich środkami politycznymi.** Występuje tu cały szereg zjawisk o różnym pochodzeniu i znaczeniu, które odbieramy jako polityczne i które zwykle są polityczne, ale inaczej aniżeli same podmioty i środki. Ich ilość zaskakuje. Faktycznie jednak nie ma w tym niczego dziwnego, gdyż aktywność podmiotów zmierzających z powołania i każdym środkiem do ustanowienia powszechnego porządku może praktycznie wszystko obracać w to, co polityczne, aczkolwiek nie w dowolnym momencie.

**To, co funkcjonalnie polityczne ujawnia się w tym, co nie jest ani podmiotem politycznym, ani też środkiem politycznym, lecz jest związane z ich obecnością w społeczeństwach ludzkich,** na przykład w zdolnościach i aktywnościach zjednoczeń ludzi zmierzających z powołania i każdym środkiem do ustanowienia wyobrazonego porządku. Są to chociażby dążenia polityczne (interesy polityczne), decyzje polityczne, zachowania polityczne i wreszcie działania polityczne, czyli polityka. W zasadzie każdy przejaw aktywności podmiotu politycznego ma zwykle charakter polityczny i pociąga za sobą polityczne konsekwencje. Nawet wtedy, gdy zgrupowani w nim ludzie tworzą fundację dobroczynną, by ratować pozbawionych majątku w katastrofie, czy pomagać szczególnie chorym. Przecież robią to nie z powodu współczucia, ale z obowiązku politycznego (kiedy rządzą państwem) lub interesu politycznego (by utrzymać czy poprawić wpływy polityczne).

Podmiot polityczny tak jest bowiem zaangażowany w sieciach stosunków społecznych, że praktycznie nie zna niczego, ani działania, ani zachowania, ani tym bardziej interesu i zamiaru, który nie wynikałby z jego przewodniego celu, czyli ustanowienia powszechnego porządku wedle własnego wyobrażenia (tak go ukształtowała selekcja naturalna, która określiła jego zdolność i skłonność do działania każdym środkiem). On mu się nie tylko podporządkowuje, ale i poświęca, zgodnie z ewolucyjnie określonym przeznaczeniem.

Poza wymienionymi elementami tego, co funkcjonalnie polityczne w społeczeństwie ujawnia się jeszcze cały szereg innych zjawisk o odmiennym statusie, **kształtowanym nie przez pojedyncze podmioty polityczne, lecz przez ich zgrupowania, skupiska.** Należą do nich przykładowo interakcje polityczne, stosunki polityczne, władza polityczna (w sensie samego stosunku, jak i instytucji), koncentracja polityczna, polaryzacja polityczna, wrogość polityczna, sojusze polityczne, systemy polityczne, polityczne układy sił itd. Wszystkie są jednak obiektami, które swój polityczny status osiągają w efekcie pełnionych funkcji w stosunku do podmiotów politycznych, jednak zazwyczaj nie jako ich środki polityczne, ale skutek wzajemnych kontaktów, czyli relacji podmiotów politycznych.

Interesy polityczne, stosunki polityczne czy wrogość polityczna najczęściej nie są środkami politycznymi. W pewnych sytuacjach mogą jednak zostać tak użyte. Na przykład – gdy decydenci jakiegoś państwa grają przeciwko drugiemu, korzystając z utrwalonej jego wrogości z innym, a nawet z nim samym (władze Rosji z pewnością korzystały z polskiej rusofobii, planując i prowadząc politykę wobec wielu państw Unii Europejskiej). Wtedy ta relacja jest wykorzystywana jako środek. Podobnie dzieje się w przypadku władzy politycznej, która tworzy formę stosunku politycznego. Jeśli władza polityczna w sensie relacji służy do posługiwania się jakimś bytem, tam ona występuje jako środek polityczny, na przykład pozostający w dyspozycji obcej potęgi.

Ogólnie rozpatrując elementy funkcjonalnie polityczne, możemy **oddzielić to, co polityczne w sensie cechy lub zdolności podmiotu politycznego, od tego, co polityczne w tkance społecznej, a nawet w całej niszy ekospołecznej poza tym podmiotem, ale wskutek jego obecności i aktywności**. Gdy to, co społeczne przeobraża się w to, co polityczne w rezultacie działań podmiotów politycznych, a konkretnie ich odnoszenia się do siebie, czyli wzajemnych relacji, wtedy nie jest zależne od jednego podmiotu politycznego, ale jest wynikiem obecności wielu takich bytów. Każdy z nich będzie starał się dowolny obiekt poddać kontroli i przekształcić we własny środek, lecz obecność wroga zabezpiecza przed powołaniem podobnych działań, jeśli tylko jest on dostatecznie silny.

Widać więc, że **polityka i władza polityczna są efektami wyłonienia i obecności podmiotów w szczególny sposób grupujących ludzi**. Polityka i władza polityczna nie są samodzielnymi bytami i nie mogą stanowić punktów wyjścia do analizy tego, co polityczne. W obrębie tego, co społeczne **polityka i władza polityczna wchodzą w skład elementów funkcjonalnych politycznie**, ale dających się bez trudu zaobserwować w życiu publicznym. Stąd bierze się ich znaczenie w świadomości ludzi. Refleksja potoczna łatwo czyni je przedmiotem zainteresowania. Już tylko dlatego, że zwykli obserwatorzy nie są w stanie dostrzec takich zjawisk, jak koncentracja i polaryzacja polityczna, podmiot polityczny, środek polityczny, szczególnie zaś stosunek polityczny i polityczny układ sił. Tym bardziej zaś nie są w stanie rozważyć ich poza własnymi uczuciami i emocjami. Natomiast obecność władzy politycznej jest wyraźnie widoczna, podobnie jak rzucają się w oczy jej działania czy aktywność opozycji, a więc polityka. Te zjawiska bez trudu wyzwalają głębokie, a nawet dramatyczne uczucia i emocje, co powoduje koncentrowanie się na nich ludzkiej uwagi.

W ten sposób pewne łatwo dające się opisać zjawiska zostają wyeksponowane w refleksji ludzkiej, najpierw potocznej, a potem uchodzącej za naukową, chociaż prowadzi to do kształtowania wypaczonego obrazu rzeczywistości. Tak to jednak jest, że refleksja codzienna, oparta na prostych uczuciach, koncentruje się na czym innym aniżeli wnikliwa myśl poszukująca istoty rzeczy i głębiej sięgają-

ca w materię badanych zjawisk. **Skupienie uwagi na władzy politycznej i polityce jest grzechem pierworodnym wszystkich nauk społecznych, których nie tylko punktem wyjścia jest refleksja potoczna (tak zaczyna się każda nauka), ale które jeszcze nie oddzieliły się ostatecznie od wiedzy potocznej.** Dotyczy to prawa, historii, jak i socjologii. Politolodzy reprodukują ten błąd, ale ma to dla nich groźniejsze konsekwencje. Powoduje brak zdolności zrozumienia, czym jest to, co polityczne. Uniemożliwia nie tylko skuteczne próby wyodrębnienia własnego przedmiotu poznania, ale nawet prowadzenie nad nim debaty.

Warto zauważyć, że **historia i socjologia, a w gruncie rzeczy także prawo, nie są zdolne do wnikliwej refleksji nad tym, co polityczne.** Ten problem wprawdzie się pojawia, ale tworzy marginesowy element ich przedmiotu poznania. W zasadzie pojawia się za pośrednictwem języka i rzadko wykracza poza potoczne postrzeganie problematyki. Ginie na tle takich obiektów, jak społeczeństwo, państwo czy system norm. **Dlatego do wyodrębnienia, opisanie i wyjaśnienia tego, co polityczne jest przeznaczona politologia.** Jeśli oczywiście nie będzie reprodukowała wzorców myślenia charakterystycznych dla prawa, socjologii czy historii. Kiedy to czyni, ów przedmiot poznania musi zniknąć z pola widzenia i politologia przekształca się w nikomu niepotrzebną pseudonaukę, uprawianą przez ignorantów powielających to, co historycy, prawnicy i socjologowie robią znacznie lepiej.

**Polityka i władza polityczna „rzucają się w oczy”, ale wskutek tego kształtuje się błędna, potoczna perspektywa, która sprowadza się do nonsensownej tezy, że wszystko jest polityczne. Uniemożliwia zrozumienie społeczeństw zorganizowanych politycznie, o których losie przesądzają nie owe dwa zjawiska, ale obecność podmiotów politycznych i zdolność efektywnego dysponowania środkami pozostającymi w ich zasięgu.**

W tym kontekście chyba ostatecznie jasne staje się też, że państwo jest szczególną formą podmiotu politycznego, stanowiącego określone terytorialnie zjednoczenie ludzi. Z jego atrybutu terytorialności bierze się niezwykła zdolność przybierania postaci opakowania łączącego rywalizujące ze sobą podmioty polityczne pozbawione terytorium (lecz mogące władać obszarem – jak rody). Wyjątkowość państwa wynika z tego, że integruje ono w sobie różne podmioty, nawet dysponujące od siebie odbiegającymi, konkurencyjnymi wizjami, ale jednocześnie odczuwające do pewnego stopnia wspólną tożsamość i zbieżność interesów w danych środowiskowych warunkach egzystencji. Dlatego państwo jest efektywnym opakowaniem podmiotów politycznych w wielkiej przestrzeni. Powstaje na ich bazie i dzięki nim funkcjonuje do momentu, gdy któryś z nich zdecyduje się je rozetrwać i ma tyle siły w sobie, by to uczynić.

Powinno stać się też teraz zrozumiałe, że polityka, w sensie działania zjednoczeń ludzi z powołania operujących wszystkimi środkami, nie jest zjawiskiem znaczącym w ramach procesów ewolucji ludzkich społeczeństw. Jednak jest zjawiskiem tak zmiennym, iż przyjmuje wiele postaci, a to wyklucza jej krótką, lecz trafiającą w sedno i tym samym łatwo lokującą się w naszej pamięci definicję. Polityka jest przede wszystkim efektem mobilizacji politycznej, która określa jej sedno i funkcje, czyli przesądza o celach i pełnionych przez nią zadaniach.

**Mobilizacja polityczna** to szczególnie stan zjednoczenia ludzi, ujawniający się w tak intensywnej koncentracji i polaryzacji ich stosunków, że przeobrażają się w podmiot zdolny z powołania posłużyć się wszelkimi środkami, aby walczyć o ustanowienie w wielkiej przestrzeni powszechnego porządku wedle wyznawanej jego wizji.

**Polityką** są działania zjednoczeń ludzi zmobilizowanych do użycia z powołania wszystkich środków w układach sił, w których rozgrywa się walka o porządek przestrzeni dostępnej naszemu gatunkowi.<sup>79</sup>

Rozróżnienie *tego, co polityczne* i *polityki* nie jest wprawdzie fundamentalne dla politologii, ale ma znaczenie podczas wyjaśniania elementarnych błędów popełnianych przez politologów, przede wszystkim będących skutkiem koncentrowania uwagi na polityce i władzy politycznej.

Podstawową kategorią politologii w sensie dyscypliny naukowej, jak określa ją teoria politologii definiująca jej przedmiot poznania, jest *to, co polityczne*, którego pierwotną i główną postacią jest *podmiot polityczny*, wyłoniony w efekcie *mobilizacji politycznej*. Kategorie teorii politologii są wprawdzie abstrakcyjne, ale konotują rzeczywiste zjawiska i dlatego umożliwiają ich naukowe badanie drogą formułowania hipotez, a nie powielania wiedzy potocznej i doktrynalnej.

Podstawowym rozróżnieniem politycznym jest rozróżnienie *przyjaciela* i *wroga*. Podstawowym rozróżnieniem politologicznym jest rozróżnienie *podmiotu politycznego* i *środka politycznego*.

Wyodrębnienie *tego, co polityczne* w ramach *tego, co społeczne*, pomimo jego wielu zadziwiających cech, jest łatwiejsze, aniżeli się przypuszcza. Trzeba tylko wyrzec się perspektywy innych nauk społecznych i uświadomić sobie obecność przedmiotu poznania politologii. Teoretycznie wszystko może stać się polityczne, ale nigdy nie dochodzi do takiego stanu, aby wszystko było polityczne. Wprawdzie podmioty polityczne nie mają sobie równych rywali, lecz nie są w stanie kontrolować *tego, co społeczne* w całości. Poza tym muszą żywić się tym, co nie jest polityczne.

79 Obie definicje po raz pierwszy sformułowałem w mojej książce: *Mobilizacja polityczna. Współpraca i rywalizacja człowieka współczesnego w wielkiej przestrzeni i długim czasie*, Warszawa 2011, s. 265 i 312.

Gdyby doszło do pełnego upolitycznienia gospodarki, czyli poddania jej w całości woli podmiotów politycznych, ludzkość musiałaby zacząć wymierać z braku środków do życia, tylko dlatego, że podmioty polityczne nie są efektywne gospodarczo. Gdyby doszło do pełnego upolitycznienia kultury, twórczość uległaby zanikowi. Oznaczałoby to osłabienie, a potem destrukcję symboli tożsamości i wygaszanie tych ludzkich uczuć, które łączą ich w wielkiej przestrzeni, gdy oni się nie znają, ale jednak gotowi są umierać nie za siebie wzajemnie, ale za symbole. Państwo bliskie modelowi totalitarnemu zawsze jest nie państwem bez perspektyw rozwojowych, ale państwem skazanym na szybki upadek. Gdy dłużej trwa musi temu sprzyjać otoczenie. Nawet jeśli wiele elementów tkanki społecznej ma charakter polityczny, ich status jest zróżnicowany i nigdy nie zostaje określony na stałe, tylko jest efektem zmiennej obecności i aktywności podmiotów zmierzających do ustanowienia z powołania powszechnego porządku, działających zawsze na własne ryzyko i ponoszących konsekwencje swoich przedsięwzięć.

**Nie tylko możemy rozróżnić pomiędzy tym, co jest polityczne i tym, co nie jest polityczne, ale także stwierdzić, że warunkiem istnienia tego, co polityczne jest obecność tego, co nie jest polityczne.**

Prawdopodobnie struktura tego, co polityczne jest jeszcze bardziej złożona i dalsze badania ujawnią jej kolejne elementy oraz powiązania pomiędzy nimi. Powyższą typologię należy traktować jako wstępną politologiczną próbę określenia tego, co polityczne w ramach tego, co społeczne.

Odróżnienie w tym kontekście wspomnianych już zjawisk pozornie politycznych, czyli takich, które intuicyjnie określa się jako polityczne, gdy one nie mają takiego charakteru, ujawnia nam nie tylko specyfikę bytu społecznego, ale i sposób jego poznawania przez człowieka: emocjonalny, uwikłany w interesy i niekonsekwentny. Tutaj mamy do czynienia z **tym, co polityczne z nazwy**. Prawdopodobnie nie istnieją zjawiska powszechnie pozorne politycznie, ponieważ wszystko może w pewnym momencie stać się rzeczywiście polityczne. Dlatego obiekty czy zjawiska pozornie polityczne są nimi w danej chwili, w innej mogą już być w całej rozciągłości polityczne, gdy na przykład stały się środkiem podmiotu politycznego lub samym podmiotem politycznym. Wśród zjawisk politycznych z nazwy można znaleźć nawet uchodzące za znane, jak na przykład wspomniane partie przyjaciół piwa, właścicieli magnetowidów czy pedofilów. Faktycznie jednak byty te są pozbawione znaczenia politycznego. Pojawiają się w efekcie symulowania pewnych zachowań i cech obiektów politycznych. W pewnych sytuacjach mogą być co najwyżej użyte jako środek polityczny.

**Kiedy uznajemy, że wszystko jest polityczne, wówczas do rangi politycznej automatycznie podnosimy wiele zjawisk pozbawionych cechy polityczności, nadając im pozorny status polityczny.** Prowadzi to do zagubienia i braku możliwości zmierzenia się z rzeczywistymi problemami badawczymi. Właśnie

**uwikłanie myślenia politologów w analizy zjawisk bez znaczenia, przy jednoczesnym braku koncentracji na problemach kluczowych, wydaje się być jednym z efektów upadku teorii i metodologii politologii.** Takie stanowisko pociąga za sobą niezdolność zrozumienia, czym jest to, co polityczne w ramach tego, co społeczne i prowadzi do badania państwa w rozmaitym kontekście społecznym, bez uwzględnienia jego statusu politycznego.

Czasem wyodrębnienie zjawiska pozornie politycznego bywa trudne, gdyż możemy mieć do czynienia ze środkiem politycznym. W warunkach braku teorii politologii występuje powszechna skłonność do określania wszystkiego jako polityczne. Nawet do tego stopnia, że samorządy pojmują się jako instytucje polityczne i mówi o polityce burmistrza, rady miasta, samorządu<sup>80</sup> czy o polityczności wyborów samorządowych. Tymczasem, co może być politycznego w samorządach demokratycznego państwa? Tutaj chodzi o działanie w ramach prawa ustanowionego decyzją polityczną, bez kompetencji podejmowania decyzji politycznych. Zdaje się jednak, że polscy politolodzy nie rozumieją różnicy pomiędzy decyzjami publicznymi i politycznymi, a także decyzjami administracyjnymi, samorządowymi i politycznymi. Tym bardziej więc nie są zdolni odróżnić działalności samorządowej od polityki. Jest to efektem twierdzenia teoretyków polityki, że wszystko jest polityczne. Takie „podejście” prowadzi myślenie na manowce i pociąga za sobą **rozpowszechnianie wiedzy potocznej, której przypisuje się status naukowy.**

Celem stabilnie funkcjonujących samorządów demokratycznego państwa jest zarządzanie lokalnymi sprawami, a nie realizowanie wielkich wizji porządku czy rządzenie. To jest dzisiaj zadanie partii politycznych i państwa. Warto byłoby, aby politolodzy dowiedli zdolności rozróżniania aktywności administracyjnej, samorządowej i politycznej. Samorządy mogą działać dlatego, ponieważ wyłonienie państwa oznacza wprowadzenie określonego modelu porządku i narzuca ramy ich działalności, zwalniając od odpowiedzialności politycznej. Dlatego samorządy same w sobie nie są polityczne, ale bywają polityczne z nazwy. Podlegają też próbom przekształcania w środek polityczny, gdy na przykład partie przejmują

80 W 2011 r. na Wydziale Politologii UMCS została obroniona praca doktorska *Polityka regionalna samorządu województwa podkarpackiego*. Pod kierunkiem tego samego promotora w ciągu ostatnich pięciu lat obroniono kilka prac z tematyki samorządowej, a także rozprawę *Metropolitalny charakter Warszawy*. Jej zawartość autorka charakteryzuje następująco: „Celem rozprawy jest określenie rzeczywistej pozycji i funkcji Warszawy w globalnych, kontynentalnych (europejskich), regionalnych (ponadkrajowych) i krajowych układach przestrzennych, a także udzielenie odpowiedzi na pytanie – na ile Warszawa posiada rozwinięte cechy ukształtowanej metropolii. W toku badań scharakteryzowano prawno-polityczne, finansowe i przestrzenne bariery rozwoju stolicy. Celem pracy jest także przeanalizowanie możliwości oraz sformułowanie perspektyw rozwoju Warszawy w obliczu nowych uwarunkowań, jakie stworzył korzystny układ geopolityczny (wstąpienie Polski do struktur Unii Europejskiej), oraz jakie tworzy zdeterminowana przez globalne megatrendy cywilizacja oparta na wiedzy”. Nasuwają się dwa pytania: (1) co to ma wspólnego z politologią?; (2) czy aby nie jest to praca z potocznie rozumianej gospodarki przestrzennej? Podobnych dysertacji z wiedzy o społeczeństwie i obszarów pokrewnych, broniących w zakresie dyscypliny politologii, na uniwersyteckich wydziałach politologii było niemało. Są one efektem tezy, że wszystko jest polityczne, że wszystko jest polityką. W ten sposób politologia przestała różnić się od uprawianej potocznie wiedzy o społeczeństwie (na poziomie gimnazjum).



kontrolę nad wyborami do samorządów i próbują swoich ludzi stawiać w nich na czołowych pozycjach kierowniczych. Jest to jednak zupełnie inne zjawisko, wynikające z tego, że podmioty polityczne zawsze zmierzają do obrócenia we własny środek wszystkiego, co się do tego nadaje. A samorządy nadają się wprost idealnie, aby umocnić lokalne wpływy partii, ale także pozyskać synekury dla własnych działaczy. Tutaj też ewentualnie możliwe jest kreowanie nielegalnych źródeł finansowania partii.

**Samorządy są „łakomym kąskiem politycznym”, ale same nie są polityczne.** Nie mają ani wizji, ani nie działają z powołania, nie są też zdolne uderzyć każdym środkiem. Funkcjonują w ramach porządku prawnego państwa i są wykorzystywane przez partie polityczne i rząd, przerzucający na nie kolejne zobowiązania i wyrywający im majątek (jak ma to miejsce w naszym kraju, gdzie coraz więcej szkół i szpitali przekazuje się pod nadzór samorządów i jednocześnie kierownictwo partii rządzącej żywi się ich środkami, by tylko zaspokoić ambicje i żądania hierarchów Kościoła katolickiego).

Inny przykład, z zakresu zjawisk międzynarodowych. Cesarstwo Mandżukuo trzeba rozpatrywać w kontekście środka politycznego Japonii w walce o zasoby Azji. Niemiecka Republika Demokratyczna była środkiem politycznym Związku Radzieckiego, służącym kontroli terytorium Niemiec, części populacji tego narodu i utrzymywaniu pozycji (przede wszystkim militarnych) w centrum Europy Zachodniej. W jakimś sensie była środkiem dokumentującym też imperialną pozycję Moskwy i przypadającą jej z tego tytułu chwałę. Oba te twory musiały zniknąć wraz z końcem podmiotów politycznych, które powołały je do życia.

Jednak przypisywanie dzisiaj globalnym korporacjom statusu politycznego, nawet w sensie podmiotowym, jest tylko efektem niezrozumienia statusu tych organizacji, w szczególności pomijania odrębności tego, co polityczne i tego, co ekonomiczne. Celem korporacji jest bowiem zysk, a nie porządek powszechny, nawet jeśli ona tu czy tam pewien porządek tworzy lub burzy. Nigdy przecież nie podejmuje tych czynności z powołania, a kieruje się jedynie dążeniem do podniesienia własnych dochodów. Dlatego jej porządek nie przypomina nawet w niewielkiej części ładu państwa. **Gdy politolog przypisuje korporacji status polityczny, dowodzi tylko, że nie rozumie własnego przedmiotu badań.**

Podmiot polityczny porządkuje interakcje ludzi z powołania do ustanowienia konkretnego porządku wielkiej przestrzeni, który pojmuje jako powszechny, uniwersalny i tym samym jedyny słuszny. Natomiast podmiot gospodarczy zwykle reguluje część relacji ludzi, bardzo rzadko czyniąc w tym zakresie coś więcej, zmierza bowiem do uzyskania wartości dodatkowej. Gdy państwo czy partia podejmują działalność gospodarczą, ona faktycznie nie jest ich ostatecznym celem. Podobnie zaangażowanie korporacji w stosunki polityczne nie będzie kiedy-

kolwiek efektem zmierzania do powołania powszechnego porządku w imię woli boga, interesu narodu czy rasy. Te rozróżnienia składają się na elementarną wiedzę każdego politologa, który chce odróżnić się od socjologa, historyka, prawnika, ekonomisty i „politologa” z nazwy.

W każdym razie kluczem do zrozumienia tego, co polityczne jest dychotomia podmiotu politycznego i środka politycznego, ponieważ takie zjednoczenie ludzi swoiście i nieodwracalnie przekształca strukturę i funkcjonowanie tego, co społeczne. Dopiero od momentu pojawienia się zgrupowań ludzi z powołania dążących do ustanowienia powszechnego porządku każdym środkiem można mówić o wyłonieniu przez dobór naturalny tego, co polityczne i jego obecności w ramach tego, co społeczne. Wtedy zaczyna się historia tego, co polityczne w sensie zróżnicowanego i niejednorodnego efektu specyficznego społecznego grupowania się ludzi. Do tego stopnia znaczącego, że zmienia tak ich los, że nie tylko chcą kształtować życie swoich, ale stają do walki z obcymi w przestrzeni rozciągającej się poza granicami ich zjednoczenia i prowadzą ją z powołania w czasie życia kolejnych pokoleń. Lojalni wobec boga, króla czy narodu, gotowi umierać za nich w poczuciu spełnienia obowiązku najwyższego rzędu.

Za samorząd lokalny czy korporację globalną nikt nie będzie umierał, ponieważ lojalność wobec nich zawsze jest bardzo ograniczona i nie ma nic wspólnego z uczuciem powołania do szczególnych czynów. Wynika to z faktu, że owo zaangażowanie polega na uczestniczeniu w podejmowaniu drobnych, miejscowych decyzji lub świadczeniu pracy za wynagrodzeniem albo jest związane z przeznaczeniem kapitału. Oznacza to, iż taka struktura organizacyjna ludzi nie uderzy z powołania na inne zjednoczenie każdym środkiem. Ona działa inaczej. Takie wydarzenia, jak szarża pod Somosierrą, dwie wojny światowe czy powstanie warszawskie można wyjaśnić tylko w kategoriach tego, co polityczne, nawet jeśli głębokie podłoże niektórych z nich tworzyły procesy i zależności kulturowe oraz gospodarcze. Wprawdzie korporacje mogą modyfikować lub nawet wywoływać działania podmiotów politycznych, ale nie wskutek własnych posunięć politycznych, gdyż są do nich niezdolne. One jedynie wywierają wpływ społeczny o charakterze ekonomicznym, korupcyjnym, towarzyskim czy medialnym, ale nie wpływ wynikający ze statusu politycznego, gdyż takim nie dysponują.

Kto dowolne przepychanki, gry interesów, a nawet debaty nad decyzjami uznaje za politykę, ten nie wie, skąd wzięło się to, co polityczne i jakie funkcje wypełnia w ludzkich społeczeństwach. Przede wszystkim nie zdaje sobie sprawy z tego, że wszystko, co polityczne jest efektem egzystencjalnego i moralnego zaangażowania zbiorowości ludzkich w grę o życie i zasoby, gdy działają oni z powołania do ustanowienia porządku uznawanego przez nich za jedyny słuszny i godny istnienia. Ludzie z samorządów i korporacji nie kierują się takimi mo-

tywami, a ich lojalność wobec tych struktur nie przypomina tego, co przeżywają w stosunku do boga, dynasty, narodu, partii, klasy czy rasy.

Nie jest politologiem ten, kto nie rozumie powyższych kategorii i rozróżnień. Każdy, kto nimi nie operuje i określa się mianem „politologa”, jest tylko politologiem z nazwy, zdolnym co najwyżej posługiwać się potoczną wiedzą o społeczeństwie. Mamy tu wyłącznie do czynienia z pseudonauką. Jeśli upowszechnia się ona na uniwersytecie, oznacza to tylko, że ta instytucja przeżywa głęboki kryzys.

### **36. Metoda politologii**

Politologia jest nauką dedukcyjną, ponieważ jej przedmiot poznania może być badany tylko w efekcie sformułowania jego teorii i konsekwentnego posługiwania się nią w badaniach empirycznych.

Dyscyplinę nauki określa przedmiot poznania, a nie jej metoda, ta może zostać wyłoniona tylko wtedy znany jest przedmiot poznania. Przedmiot poznania jest celem kierunkowym dyscypliny nauki i wraz z jej rozwojem wiedza na jego temat jest precyzowana i rozbudowywana.

Politologia nie ma swojej specyficznej metody poznania. Może stosować każdą, lecz wyłącznie w odniesieniu do własnego przedmiotu poznania. Politologia różni się od wiedzy o społeczeństwie już tylko dlatego, że bada nie społeczeństwo, ale jak to, co polityczne powstaje, istnieje i funkcjonuje w ramach tego, co społeczne.

Politologia, jak każda inna nauka, określa swoje nauki pomocnicze i korzysta z ich:

- wyników,
- metod,
- osiągnięć warsztatowych.

Politologia jako nauka zimna, lecz zajmująca się szczególnie gorącym przedmiotem poznania, jakim jest politycznie zmobilizowane zjednoczenie ludzi, musi stosować metody badawcze, poddając je wielu ograniczeniom. Ich stosowanie innym naukom przychodzi o wiele łatwiej. Idzie tu przede wszystkim o następujące zasady:

- należy uświadomić sobie, że politologia wyrasta z refleksji potocznej i jej tradycyjny system pojęć wywodzi się z języka politycznego, a to radykalnie ogranicza wartość analizy politologicznej;

- rozwój politologii jest możliwy tylko w efekcie odchodzenia od tradycyjnego języka politycznego i wprowadzania neutralnych politycznie terminów oraz teorii;
- nie wolno ulegać językowi źródeł, przede wszystkim zaś językowi dyskursu politycznego;
- szczególnym błędem jest uleganie językowi współczesnej debaty publicznej, zwłaszcza zaś politycznej i kopiowanie do prac naukowych pojęć oraz twierdzeń wyrażających interesy ekonomiczne, kulturowe i polityczne;
- teorioignorancja jest podstawowym grzechem politologa, ponieważ przeobraża go w poddaną debacie politycznej ideokopiarkę, powielającą treści polityczne i prezentującą je jako naukowe;
- politolog szczególnie łatwo przekształca się w ideokopiarkę i tym samym staje się środkiem politycznym, tracąc jednocześnie status badacza;
- rozróżnienie podmiotu politycznego i środka politycznego pozwala politologowi zrozumieć własny status poznawczy i zmierzać do neutralizacji języka politologii jako dyscypliny naukowej;
- prognozowanie przyszłości na podstawie wiedzy politologicznej jest możliwe w bardzo ograniczonym zakresie, ale takie czynności nie mają charakteru naukowego;
- gdy politolog zajmuje się prognozowaniem przyszłości, doradztwem politycznym i marketingiem politycznym, powinien być świadomy, że nie wykonuje czynności naukowych;
- analiza bieżących zjawisk politycznych, z racji ograniczonej wiedzy na ich temat i nieuchronnego politycznego zaangażowania komentatora, także nie ma charakteru naukowego;
- jeśli współczesność jest przedmiotem badania politologa, to naukowy status takiego badania podlega wielu ograniczeniom i jest możliwy tylko w świetle teoretycznej wiedzy z zakresu politologii, czyli na gruncie teorii tego, co polityczne;
- w świadomości politologów bardzo łatwo instalują się poruszające uczucia zbitki pojęciowe, pseudoteorie, nierzadko o charakterze propagandowym<sup>81</sup>, tymczasem podstawą badań politologicznych musi być teoria wyjaśniająca funkcjonowanie gatunku ludzkiego w wielkiej przestrzeni i długim czasie.

---

81 Jak pseudoteorie o zderzeniu cywilizacji, końcu historii, systemie jednobiegunowym czy wreszcie pseudoteorie stosunków międzynarodowych.

### 37. Status poznawczy teorii tego, co polityczne

Teoria tego, co polityczne unieważnia obecnie wszystkie dotychczasowe teorie polityki, które nie mogą z nią rywalizować w zakresie wyjaśniania jednego z odwiecznych problemów ludzkości, czyli odpowiedzi na pytanie o zjawiska polityczne. Ona te teorie odsyła do lamusa i tworzy podstawy politologii jako dyscypliny nauki.

Jednak każda z tych unieważnionych teorii może być odbudowana, jeśli pojawi się ktoś, kto ją tak sformułuje, że będzie mogła rywalizować na polu wyjaśniania zjawisk politycznych z teorią tego, co polityczne.

Zauważmy wszak od razu, że każda próba rekonstrukcji mającej za cel rewitalizację którejkolwiek teorii polityki musiałaby zacząć się od udowodnienia, że polityka nie jest zjawiskiem politycznym, tylko jakimś innym, które ma na tyle szczególnie status, że pozwala z jego perspektywy wyjaśniać polityczną egzystencję ludzi. Dzisiaj taki dowód wydaje się niemożliwy do przeprowadzenia. Dlatego właśnie stawiam tezę, że **teoria tego, co polityczne przenosi do lamusa wszystko, co dotychczas uchodziło i w wielu kręgach nadal jest uznawane za teorię polityki**, od doktryn określanych mianem „teorii normatywnych” po namiastki teorii, czyli doktryn i pseudoteorii wyjaśniających zjawiska polityczne z perspektywy władzy politycznej i państwa.

Aby właściwie rozumieć status teorii tego, co polityczne, trzeba zawsze mieć na uwadze, że unieważnia ona badania zjawisk powierzchownych i wskazuje na znaczenie zjawisk dotychczas ukrytych, które rozstrzygają o tym, co widzimy na pierwszy rzut oka i co jest przedmiotem dociekań „politologii”, czyli politologii potocznej i wiedzy symulującej politologię. Teoria tego, co polityczne dowodzi, że nadrzędną kategorią analizy są masowe zjawiska rozstrzygające o wyłonieniu szczególnego sposobu egzystencji gatunku ludzkiego w wielkiej przestrzeni i długim czasie, a polityka, władza polityczna, państwo i prawo są tylko zjawiskami społecznymi z klasy zjawisk politycznych.

Wzorcami politologicznej analizy nie mogą być prace Karola Marksa, Francisca Fukuyamy czy Samuela Huntingtona. Tworzą je studia Paula Kennedy’ego i Hendrika Spruyta.

Jednak teoria tego, co polityczne nie może być uznana, z racji obecnie obowiązujących ustaleń, za ostateczną teorię politologii jako dyscypliny nauki. Wprawdzie dzisiaj wyłącznie teoria tego, co polityczne dostarcza wiedzy wyjaśniającej sposób egzystencji gatunku ludzkiego w wielkiej przestrzeni i długim czasie, jednak oparta jest na specyficznych kategoriach kreowanych przez ludzki umysł, które w przyszłości mogą i prawdopodobnie będą zastąpione przez kategorie lepiej oddające genezę, istotę i funkcje zjawisk politycznych.

Teoria tego, co polityczne nie jest teorią ani martwą, ani nie została przedstawiona w ostatecznej wersji. Faktycznie jest programem badawczym (w sensie nadanym temu terminowi przez Lakatosa) i może zachować swoją zdolność wyjaśniania egzystencji gatunku ludzkiego w wielkiej przestrzeni i długim czasie tylko w efekcie stałej konfrontacji z innymi teoriami oraz jej empirycznej weryfikacji.

# WNIOSKI

## 1. Politologia i problem dyscypliny nauki

Teoretycy polityki III Rzeczypospolitej twierdzą, że politologia nie ma własnego przedmiotu poznania i nie jest dyscypliną nauki w znaczeniu określonym przez współczesną teorię nauki. Przytoczone przez nich argumenty wskazują, że nie stworzyli ani własnej teorii, ani szkoły, natomiast zajmują się uprawianiem pseudonauki wskutek zignorowania nie tylko dorobku politologii jako dyscypliny nauki, ale także ustaleń teorii nauki.

Uniwersyteckie wydziały politologii w Polsce podupadły do tego stopnia, że zatrudnieni na nich profesorowie nie zdają sobie sprawy, iż brak krytyki teorii polityki, upowszechnianie jej tez, tym bardziej zaś stosowanie ich w praktyce oznacza nie tylko przekształcenie politologii w wiedzę o społeczeństwie, ale także konieczność odebrania tymże wydziałom uprawnień do nadawania doktoratów. Okazuje się to konieczne, gdyż jednostki organizacyjne uprawnione do nadawania stopni naukowych z politologii przyznają je tym, którzy nie wiedzą, co badają, rozumują w kategoriach potocznej wiedzy o społeczeństwie, a nawet tym, którzy nie są w stanie otrzymać ich w dyscyplinach nauki zdolnych dowieść swojej odrębności i obronić własną tożsamość. W ten sposób uniwersyteckie wydziały politologii stały się głównymi centrami psucia nauki w Polsce, tym bardziej wymagającymi pilnej naprawy, ponieważ faktycznie weszły w końcową fazę przeobrażania się w ośrodki koncentrujące się na powielaniu wiedzy potocznej.

Kiedy profesorowie flagowych uniwersytetów nie rozumieją problemu przedmiotu poznania własnej dyscypliny nauki, musi upaść ta dyscyplina.

Zatrudnieni na czołowych uniwersytetach profesorowie politologii nie mają wiedzy o podstawach własnej dyscypliny. Pewnie wielu zaprzeczy i poczuje się obrażonych tym sformułowaniem, ale fakt, że wśród nich jest coraz więcej imigrantów, a w 2010 r. w gronie kandydatów do Centralnej Komisji nie było absolwenta studiów politologicznych, zaś połowa kandydatów nie miała nawet jednego stopnia z politologii, **tworzy niezbity, wymierny dowód upadku politologii**. Daje jasne wyobrażenie, że poziom studiów politologicznych i wymagania w zakresie doktoratów daleko odbiegają od obowiązujących na wydziałach historycznych, psychologicznych, socjologicznych i prawniczych. Do tego stop-

nia, że **profesorowie politologii są niezdolni do elementarnej diagnozy położenia własnego środowiska i stanu dyscypliny**. Do komisji rozstrzygającej o stopniach naukowych jako reprezentantów wydziałów politologii kierują po czterdziestu latach funkcjonowania dyscypliny profesorów, którzy nie ukończyli studiów politologicznych, nie mają jakiegokolwiek stopnia z politologii, a samą politologię rozumieją potocznie. Bywa, że ci kandydaci w ogóle nie mają przyzwoitego dorobku naukowego nawet w swojej macierzystej dyscyplinie. **Efektom jakich zjawisk może być sytuacja, gdy dyscyplina jest reprezentowana na zewnątrz przez wykształconych w innych dyscyplinach nauki?**

Ostatnia lista kandydatów na członków Centralnej Komisji odzwierciedla kondycję uniwersyteckich wydziałów politologii uprawnionych do zgłaszania własnych reprezentantów. Jest dowodem stanu politologii jako nauki i poziomu kształcenia. Lista potwierdza, że w praktyce na polskich uniwersytetach mamy do czynienia już nie z dyscypliną nauki, ale z potoczną wiedzą o społeczeństwie.

Dla wydziałów, na których kształcą się masowo młodzież nieświadomą, co faktycznie studiuje, która uczy się potocznej wiedzy o społeczeństwie, myśląc, że studiuje politologię, wykładowcami zaś są profesorowie nieznający podstaw wiedzy z wykładanej dyscypliny, głoszący kompromitujące nonsensy, nie powinno być miejsca na szanujących się uniwersytetach. Należy dostosować uniwersytety nie tylko do praktyki społecznej, ale także do stanu wiedzy. Jak nie jest nauką teologia, tak samo nie jest nią politologia z nazwy, czyli potoczna wiedza o społeczeństwie.

**Studia politologiczne kształcą na tak niskim poziomie, że spośród ich absolwentów przez dziesiątki lat nie daje się wyłonić kandydatów na profesorów dbających o dyscyplinę**. Profesurę importuje się z historii, filozofii, prawa i socjologii, ale ona nie jest w stanie rozwijać politologii w warunkach systematycznego niszczenia myślenia politologicznego przez teoretyków polityki. Napływowa profesura nie może mieć i nie ma pojęcia o teoretycznych i metodologicznych podstawach politologii. Krąg ten tworzą desperaci pozbawieni zahamowań, gotowi do kształceniu armii kolejnych ignorantów.

Spośród absolwentów, którzy w ciągu ostatnich czterdziestu lat ukończyli studia magisterskie z politologii (tyle one mniej więcej funkcjonują), żaden nie jest w stanie reprezentować dyscypliny w komisji kontrolującej procedury nadawania stopni naukowych. Ich dorobek jest tak mizerny, że muszą poddać się dominacji prawników, socjologów i historyków. Oznacza to klęskę politologii, szczególnie trudną do przewyciężenia, ponieważ profesorowie uniwersyteckich wydziałów politologii nie umieją określić przedmiotu poznania i miejsca politologii wśród nauk społecznych. Zamiast tego – słowami reprezentującego ich warszawskiego profesora – wyrażają nadzieję, że historia i socjologia, a może także prawo, zej-



dą do poziomu politologii. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem spektakularnym, od którego politolodzy odwracają wzrok, dopuszczając do rozkwitu teorii polityki będącej typową pseudoteorią, która może jedynie tworzyć podstawę pseudonauki.

## 2. Tradycja uniwersytetu, kultura wumłowska i problem demarkacji wiedzy

**Niezajomość przedmiotu poznania nie prowadzi do rozwoju poznania, ale do destrukcji tej czynności umysłu ludzkiego.** Ów organ został bowiem tak skonstruowany działaniem doboru naturalnego, że nie bada świata wedle kaprysu, nastroju, przypadkiem ani czysto empirycznie, lecz dopiero po uzbrojeniu. Na przykład w wiedzę potoczną, którą otrzymuje wtedy, gdy przenoszący go organizm funkcjonuje w sieciach stosunków społecznych. Albo w wiedzę doktrynalną, transmitowaną zwykle tak samo, a w bardziej wyrafinowanych formach w specjalnych instytucjach, na przykład w takich, jak medresa czy jesziwa. Kiedyś jedną z instytucji powielania wiedzy doktrynalnej był także Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu–Leninizmu – świecka szkółka, w której aktywiści partii komunistycznej po pracy recytowali proste formuły własnej wiary. Czy aby wytworzone tam wzorce nie określają dzisiaj postaw myślenia części profesury uniwersyteckich wydziałów politologii, zwłaszcza profesury niegdyś piszącej broszury służące szkoleniu słuchaczy WUML-a?

Istnieją dowody pozwalające wnioskować, że nieliczni dawni wykładowcy Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu–Leninizmu ciągle nadają ton życiu największej liczebnie jednostce organizacyjnej flagowego uniwersytetu, jaką jest Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych. Do tej swoistej kultury dzisiaj przyznają się także ci, którzy z takim wydaniem marksizmu nie mieli do czynienia, ponieważ znalazła ona znakomite warunki do reprodukcji się na Uniwersytecie Warszawskim i w innych polskich uczelniach.

Wydane nie w 1982, ale w 2010 r. *Rozumienie polityki* Tadeusza Klementewicza jest ewidentnym dowodem nie rozwijania, ale kopiowania marksizmu – doktryny ciągle zdolnej w skrajnie dogmatycznym wydaniu penetrować uniwersytet w warunkach demokracji. Takim samym dowodem jest praca doktorska ucznia Mirosława Karwata, Filipa Pierzchalskiego, *Podmiotowość polityczna w perspektywie indywidualistycznej i holistycznej*. Te książki są przejmującymi przykładami powielania marksizmu przez ich autorów i popularności marksizmu w środowisku tych, którzy politologię przekształcili w potoczną wiedzę o społeczeństwie. Są dowodami nie żywotności marksizmu jako filozofii, ale witalności zupełnie innej kultury, która w warunkach kryzysu uniwersytetu zaczyna opanowywać tę

instytucję. Efektem jest zamykanie się we własnym gronie, nie rozwijanie, lecz kopiowanie marksizmu, obrona przed wpływami innych nurtów filozofii, tym bardziej zaś teorii nauki, zanik zdolności demarkacji wiedzy, odróżniania nauki od pseudonauki, poddanie się myśleniu doktrynalnemu i potocznemu. Wtedy pozostaje tylko posłuszeństwo i recytowanie obowiązujących w środowisku mantr.

W szczególności praca Klementewicza jest wyjątkowo nieuczciwym symbolem pseudonauki w sensie „podejścia”, które demonstracyjnie odwołuje się do powszechnie znanych, niemarksistowskich autorytetów współczesności, bez znajomości ich tekstów. Tylko dlatego, że są modni i utarł się zwyczaj ich cytowania. Ostatecznie nie celem skorzystania z inspiracji, dokonania własnych przemyśleń, ale by symulować rzekomo posiadaną erudycję i budować parawan osłaniający kryptomarksizm. Natomiast formułki do recytowania (jak to jest w *Rozumieniu polityki*) czerpie się już bezpośrednio z wiedzy skopiowanej od marksistów.

Mechanizm umożliwiający dominację kultury wumłowskiej w środowisku profesorów flagowego uniwersytetu, którzy poddali się mantrom płynącym z Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, całkowicie bezkrytycznie je powielają i głoszą, wymaga oddzielnego badania. Docieramy tu już do procedur budowania społecznego zapotrzebowania na pseudonaukę. Jego wyjaśnienie powinno być zadaniem nauki przyszłości, zgodnie z wytycznymi metodologicznymi programu badawczego zajmującego się oddzielaniem nauki od pseudonauki. Tutaj mogłem jedynie wskazać na najważniejsze mechanizmy promujące kulturę sprzeczną z tradycją uniwersytetu i pseudonaukę kosztem nauki.

Czy aby nie w efekcie niezauważalnej dominacji kultury wumłowskiej przez czterdzieści lat nie udało się wykształcić profesora zdolnego reprezentować środowisko politologów w komisji kontrolującej nadawanie stopni naukowych? Nie ukształtowała się żadna szkoła naukowa teorii politologii, a propozycje uczonego, który próbował tworzyć jej zaczątek, zapomniano. Co gorsza, **kandydaci na profesorów z Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych nie inspirują się dorobkiem politologii, ale nauki o organizacji, nauki o administracji, wizją społeczeństwa obywatelskiego, teorią państwa i prawa.** Profesorom politologii dorobek dyscypliny nauki, jaką jest politologia, pozostaje nieznamy do tego stopnia, że podważają rację bytu własnej jednostki organizacyjnej. Aktywność warszawskiej placówki uniwersyteckiej, która promuje wiedzę o społeczeństwie i to na poziomie potocznym, możemy wyjaśnić tylko na gruncie teorii nauki. Ona mówi nam, jak przemiany społeczne prowadzą do dezorientacji uczonych i utraty przez jednostkę uniwersytetu zdolności do prowadzenia działalności dla niej przewidzianej, gdy wiedza potoczna i kształcenie w technikach manipulowania wyborcami zastępują naukę.

Jeśli szukamy analogii, by zrozumieć mechanizm funkcjonowania warszawskiego Zakładu Filozofii i Teorii Polityki, narzucają się porównania do szkółki koranicznej, chederu, jesziwy i kółka różańcowego. Jednak one zawodzą z racji tego, że wiedza promowana przez pracowników owej placówki opiera się wprawdzie na powtarzaniu prostych formuł przypominających wyznanie wiary (hipotezy burzące porządek myśli są tu niedopuszczalne), ale odnosi się do *profanum* i jest związana z kopiowaniem nie tradycji przemawiającej do uczuć, ale nieodwracalnie upadłej, anachronicznej doktryny marksizmu, która już nie działa na uczucia ludzi. Przede wszystkim więc ta wiedza nie jest żywa, jak wiedza przekazywana w jesziwie czy medresie, tym bardziej zaś w kółku różańcowym. Ona jest martwa, jak martwa była wiedza reprodukowana na kursach Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu–Leninizmu.

Chociaż sam mechanizm kopiowania, recytowania i braku krytyki jest taki, jak w jesziwie, medresie i na WUML-u, jedynie analogia z Wieczorowym Uniwersytetem Marksizmu–Leninizmu okazuje się trafną hipotezą badawczą. Pokazuje nie tylko mechanizm kopiowania, ale także niezwykle zjawisko, że powieliła się to, co nie działa już na ludzkie uczucia. Dokładnie jak czyniono to w schyłkowej fazie PRL, jakby nie widząc zmian, które się dokonały. Powieliła się, aby przetrwać za wszelką cenę na gruncie tego, co nie może już dać realnego oparcia, pozwala jednak ochronić umysł przed obcowaniem z odrzucanymi zjawiskami. W przypadku pracowników Zakładu Filozofii i Teorii Polityki ma chronić przed wątpliwościami, jakie rodzą się w efekcie lektur zaznajamiających z dorobkiem teorii politologii i teorii nauki. Ma chronić przed pytaniami, które pojawiłyby się, gdyby ponownie przeczytali przynajmniej nieliczne prace Franciszka Ryszki. Analogia z WUML-em uświadamia nam, dlaczego ci, którzy oficjalnie uznają się za oświeconych, przodujących w zmienianiu świata na lepsze, faktycznie gardzą erudycją i stają się obrońcami anachronicznych formuł, dogmatów kierujących ludzkie myślenie na manowce.

Tak oto porównując dorobek teoretyków polityki do dorobku wykładowców WUML-a, precyzyjnie pokazują ważne mechanizmy kształtujące wiedzę w społeczeństwie, które rozwinęły się w warunkach dyktatury komunistycznej i swoją kontynuację znalazły w ramach demokracji medialnej. W tym przypadku decydującą rolę odegrały mechanizmy przekształcające politologię w potoczną wiedzę o społeczeństwie, **analogiczną do tej z zakresu peerelowskiej wiedzy z wychowania obywatelskiego**. Tylko teraz przedmiotem poznania nie jest demokracja socjalistyczna, ale są amerykańskie pseudoteorie, celebrytyzacja polityki i postpolityka. Taka anachroniczna wiedza służy obecnie do kształcenia elit naszego państwa, elit zdolnych tylko myśleć w ramach dogmatów dostarczanych z zewnątrz, niegdyś z Moskwy, a do niedawna z Waszyngtonu. Ten proces rozwinął się w PRL i trwa nadal w demokratycznym państwie prawa.

Teraz, kiedy amerykańskie wizje kończą swój żywot, kopiuje się już z krajowych gazet i z internetu, wspierając językiem telewizji. Dlatego przedmiotem rozważań nie jest zbyt trudna problematyka tego, co polityczne, a politologiczne salony zdobywa postpolityka. Gdy uniwersytet wspiera kopiowanie, jego przyszłość musi być wątpliwa. Szczególnie wątpliwa jest jednak przyszłość tych jednostek uniwersytetu, gdzie kopiuje się najbardziej intensywnie, gdzie dominuje powielanie, a dorobek uznanych teorii i niegdyś szanowanych profesorów podlega zapomnieniu.

Wyjaśnia to, dlaczego w Zakładzie Filozofii i Teorii Polityki nie prowadzi się badań naukowych, tylko publikuje grube tomy wypełnione twierdzeniami sprzecznymi z elementarnymi ustaleniami współczesnej nauki. Do tego stopnia, że neguje się istnienie dyscypliny politologii i wspiera obracanie własnego wydziału w kosz na śmiecie. Badań nie potrzeba, skoro w specyficznej enklawie Uniwersytetu Warszawskiego do przetrwania, a nawet awansu wystarczy powielanie ustalonych treści i kontrola zachowań wszystkich nieposłusznych, aby wytrwali w konformizmie i nie stawiali dociekliwych, oryginalnych pytań.

Poznanie naukowe radykalnie różni się od poznania potocznego i doktrynalnego. Umysł uczestnika poznania naukowego funkcjonuje odmiennie aniżeli recytatora ustalonych formułek. Propozycje Koła Wiedeńskiego dzisiaj wielu mogą wydawać się anachronizmem. *Logika odkrycia naukowego* Karla Poppera może uchodzić za przeżytek. Tak samo można za niego uznawać teorię programów badawczych Imre Lakatosa. Gdy jednak przyjrzymy się praktyce naukowej Zakładu Filozofii i Teorii Polityki Uniwersytetu Warszawskiego, perspektywa ulega zmianie. Dyrektywy badawcze sformułowane w atmosferze XX w. zyskują na aktualności. Jak bowiem dowodzi obserwacja ewolucji badań naukowych na Krakowskim Przedmieściu 3, problem demarkacji, czyli oddzielenia nauki od tego, co nie jest nauką, w epoce biotechnologii i lotów kosmicznych nadal pozostaje podstawowym zadaniem placówek naukowych. One radzą sobie z nim z trudem albo nie radzą w ogóle, jak to ma miejsce w jednostce organizacyjnej kierowanej przez profesora, który w swojej ostatniej książce poucza nas o prawidłowej akredytacji i radzi unikać fałszywej.

**W III Rzeczypospolitej największy wydział flagowego uniwersytetu poległ na polu demarkacji wiedzy.** Zagadnienie demarkacji okazuje się trudne w teorii, a w praktyce może nawet beznadziejne. Uniwersytet, jako instytucja kultury, tworzenia i transmisji wiedzy, był i będzie polem inwazji pseudonauki, a pierwszymi wydziałami, które przed nią kapitulują są dzisiaj już nie wydziały teologii, nie wydziały pedagogiki, ale politologii. Tutaj, z racji skłonności do poddawania się wiedzy potocznej i doktrynalnej, kryzys uniwersytetu jest zawsze najgłębszy i najlepiej widoczny.

Po prostu **uniwersytet funkcjonujący w warunkach symulowania finansowania nauki i dydaktyki, symulowania stanowienia prawa wspierającego rozwój nauki, coraz bardziej stać już tylko na udawanie prowadzenia badań i zajęć ze studentami**. Mamy więc do czynienia przede wszystkim ze specyficznym stanem państwa odpowiedzialnego za jego funkcjonowanie. Tego **państwa w warunkach demokracji i narastającego długu publicznego nie stać na ten uniwersytet**. On jest mu zresztą zbędny, gdy gospodarka coraz bardziej oparta jest na montowniach produktów zaprojektowanych w innych krajach, a na wykształconych absolwentów nie ma zapotrzebowania na rynku pracy. **Dlatego w Polsce kosztowna kultura uniwersytetu jest systematycznie zastępowana przez tanią kulturę wumłowską**. W ostatnich latach, w pełnej zgodzie z programami i interesami partii rządzących, które symulują troskę o szkolnictwo i naukę, w zamian oczekując jedynie symulowania pracy badawczej i dydaktyki po uznanej nazwą – pod nazwą uniwersytetu.

Jeśli to, co napisałem, oburza czytelnika, wywołuje jego negatywne uczucia, to tylko dlatego, że utracił kontakt z tradycją uniwersytetu i nieświadomie uległ kulturze wumłowskiej, zapominając, jak wielkie znaczenie ma demarkacja wiedzy, polegająca na oddzieleniu nauki od pseudonauki.

### 3. Politologia jako pseudonauka

W przypadku kryzysu polskiej politologii mamy do czynienia ze zjawiskami dawno zlokalizowanymi i opisanymi przez badaczy nauki. Przebiegają one dokładnie tak, jak wskazywał Popper w analizie problemu indukcji, a potem wnikliwie przedstawił Lakatos, rozważając procesy konfrontacji w nauce programów postępowych i degenerujących się.

**W efekcie upowszechniania twierdzeń teoretyków polityki pseudonauka politologii zaczęła dysponować własnym programem, który jest od dwudziestu lat kopiowany w pracach drukowanych, a na wykładach, seminariach i konferencjach recytowany w postaci prostych formulek. Wszystko to służy do symulowania badań naukowych i eliminuje z pola widzenia przedmiot poznania ważnej dyscypliny nauki**. Mamy tu do czynienia z typowym programem degenerującym w sensie nadanym temu terminowi przez Lakatosa. Wskutek tego zanika świadomość podstawowych pytań badawczych sformułowanych w ramach kształtującego się horyzontu poznawczego i tradycji politologii rozumianej jako pełnoprawna dyscyplina nauki.

Pseudonauka politologii zamiast wyjaśniać ważne zjawiska, odpowiadać na kluczowe pytania, kieruje aktywność badaczy ku opisowi mało znaczących wy-

darzeń czy procesów, skłania do powielania wiedzy potocznej i doktrynalnej, przy zastosowaniu języka przejmowanego z mediów. W ten sposób **pod nazwą „politologia” dzisiaj przemycą się naiwną wiedzę o społeczeństwie, doktoraty nadając bez żadnych rygorów obowiązujących w standardowych dyscyplinach nauki.**

Założenia programu pseudonauki politologii są stosunkowo łatwe do rekonstrukcji. Widać destrukcyjne skutki wprowadzania ich w życie.

Założenia:

- 1) wszystko jest polityczne i wszystko jest polityką, dlatego nie istnieje możliwość określenia przedmiotu poznania politologii;
- 2) ponieważ rzekomo nie istnieje możliwość określenia tego, co jest polityczne, odróżnienia zjawisk politycznych od pozbawionych cechy polityczności, a nawet beznadziejne są próby zdefiniowania, czym jest polityka, dlatego **tradycyjne pytania politologii powinny być porzucone**;
- 3) z racji trudności określenia przedmiotu badania politologia nie potrzebuje teorii: jest nauką empiryczną, która za pomocą metodologii integruje wyniki badań innych nauk;
- 4) politologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”;
- 5) politologia faktycznie jest częścią socjologii;
- 6) politologia bada styk współczesności z przeszłością.

Skutki:

- 1) jeśli wszystko jest polityczne, wszystko też może być przedmiotem badania politologii;
- 2) stosowanie tej dyrektywy w badaniach uzasadnia przekształcenie politologii w wiedzę, która nie jest nauką i dlatego tworzący ją inspirowaną się doktrynami, bezkrytycznie twierdzą, że politologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”, własną dyscyplinę zmieniając w potoczną wiedzę o społeczeństwie;
- 3) w politologii jako „dyscyplinie interdyscyplinarnej” nie występuje problem demarkacji wiedzy; tutaj wszelka wiedza, potoczna, doktrynalna i naukowa ma taki sam status, dlatego uprawnione jest posługiwanie się wiedzą transmitowaną w mediach i prezentowanie jej językiem mediów;
- 4) język źródeł, polityki i mediów jest nie tylko pełnoprawnym, ale faktycznie dominującym, a może nawet stał się już jedynym językiem tak rozumianej pseudonauki;

- 5) politologia empiryczna faktycznie stała się niemożliwa z powodu braku teorii określającej przedmiot badania i pozwalającej sprecyzować metody badawcze;
- 6) ponieważ brak świadomości przedmiotu poznania za uznaną metodę naukową uchodzi powierzchowny opis wybranych zjawisk, na przykład państwa, partii politycznych, systemów politycznych czy stosunków międzynarodowych; nikt nie bada kształtujących ich procesów społecznych, nie stawia pytań o adaptację i selekcję chociażby podmiotów politycznych;
- 7) szczytem refleksji „politologicznej” stają się komentarz polityczny, marketing polityczny i konsulting polityczny, które pojmują się jako swoiste „technologie” polityczne, przeobrażając wydział uniwersytetu w specyficzne technikum kształcące specjalistów od manipulacji, gdzie wyrachowane metody sterowania masami określają sposób postępowania z ludźmi;
- 8) tą drogą wydział uniwersytetu przekształca się w szkołę szkolącą na kursach zawodowych, najlepiej w technikach manipulowania decyzjami wyborców;
- 9) z racji programowej i w praktyce nieomal powszechnie obowiązującej teorioignorancji ulubioną metodą politologów staje się kopiowanie przede wszystkim wizji i doktryn (ich treści traktuje się jako wiedzę naukową), natomiast coraz rzadziej kandydaci na stopnie naukowe przestają zajmować się badaniem rzeczywistości; wydziały politologii przeobrażają się w powielarnie idei, a kandydaci do stopni naukowych w ideokopiarki;
- 10) teoretycy polityki nie stawiają problemów badawczych, ale próbują zamazywać i znosić uznane, fundamentalne problemy politologii; za nimi to samo robią pozostali politolodzy; erudycję wypierają popisy w zakresie ignorancji i wydajności w kopiowaniu;
- 11) kluczowe problemy politycznej egzystencji ludzkich społeczeństw znikają z pola widzenia nauki, ponieważ socjologia, teoria państwa i prawa, psychologia i historia dzisiaj też nie radzą sobie z nimi, a politolodzy jedynie umieją kopiować zachowania reprezentantów pozostałych nauk społecznych, najlepiej zaś powielają treści dostarczane przez media;
- 12) na polskich uniwersytetach pod przykrywką politologii coraz częściej nadaje się doktoraty w zakresie potocznej wiedzy o społeczeństwie, głównie kopiowanej z treści przekazywanych przez media i ich językiem;
- 13) faktycznie należałoby wydziały politologii przekształcić w wydziały wiedzy o społeczeństwie, a **politologię wykreślić z listy dyscyplin nauki** –

tego nieświadomie dowodzą teoretycy polityki i aprobujący ich idee politolodzy;

- 14) już tylko w efekcie negacji, że politologia jest dyscypliną nauki, tym bardziej zaś wskutek przekształcenia jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie, należy jak najszybciej **zaprzestać nadawania doktoratów z politologii**, ponieważ jest to sprzeczne nie tylko z ustaleniami teorii nauki, ale przede wszystkim niezgodne z obowiązującym prawem.

Warto by było, aby profesorowie uniwersyteckich wydziałów politologii zastanowili się wreszcie, jakie skutki niesie ze sobą upowszechnianie teorii polityki. Dla politologów ich własna dyscyplina przestała być dobrem. Przekształciła się w obiekt pogardy do tego stopnia, że profesorowie nie zauważyli, iż publikacjami i praktyką w przewodach na stopnie naukowe sami dowodzą konieczności pozbawienia ich wydziałów uprawnień doktorskich, a faktycznie także przemianowania na wydziały wiedzy o społeczeństwie.

#### 4. Politologia jako dyscyplina nauki

Istnieje dorobek politologii, który jednoznacznie dowodzi, że jest ona pełnoprawną dyscypliną nauki, tak samo, jak historia, socjologia, psychologia czy prawo. Politologia rozumiana jako dyscyplina nauki ma swój ustalony rozwojowy program badawczy.

Program badawczy:

- 1) z racji specyfiki ludzkiego umysłu nauka dzieli się na dyscypliny, z których każda dysponuje własnym przedmiotem poznania; rozwój dyscypliny jest związany z coraz bardziej dokładnym określaniem tego, co się bada;
- 2) z podziału wiedzy na dyscypliny wynika nie tylko możliwość bardziej precyzyjnego określenia przedmiotu badań, ale i dostosowania do niego metod badawczych; przekraczanie granic dyscyplin jest możliwe i potrzebne, ale tylko wtedy, gdy wiadomo, po co istnieją dyscypliny nauki i jakie konsekwencje wynikają z badań interdyscyplinarnych, a przede wszystkim jaka jest ich metodologia; przekraczanie granic dyscyplin nauki nie prowadzi do ich zniesienia, lecz grozi naiwnym eklektyzmem; bezkrytyczne przekraczanie granic dyscypliny przez uprawiających ją musi obracać tę dyscyplinę nauki w wiedzę potoczną, której przedmiot poznania staje się coraz bardziej niejasny;



- 3) aby prowadzić badania interdyscyplinarne, nie wystarczy to ogłosić, ale trzeba określić przedmiot poznania w perspektywie interdyscyplinarnej teorii nauki i pokazać możliwe do zastosowania metody;
- 4) politologia jest jedną z dyscyplin nauki, taką samą jak inne nauki zajmujące się społeczeństwami ludzkimi, ponieważ dysponuje jasno określonym przedmiotem poznania, którego znaczenie potwierdza ludzka refleksja nad nim, trwająca od kilku tysięcy lat;
- 5) politologia nie jest tożsama ani z naukami politycznymi, ani z nauką o polityce, ponieważ nie jest wiedzą polityczną, a jej przedmiot poznania nie ogranicza się do polityki, lecz obejmuje zjawisko znacznie szersze;
- 6) przedmiotem poznania politologii jest to, co polityczne, jak wyłania się i funkcjonuje w ramach tego, co społeczne w ciągu ostatnich sześciu tysięcy lat;
- 7) politologia w jakikolwiek sposób nie integruje wyników badań innych nauk, tylko korzysta z ich dorobku jako nauk pomocniczych w badaniach prowadzonych nad własnym przedmiotem poznania;
- 8) politologia nie jest zestawem wiedzy politycznej, ale zajmuje się wyjątkowo gorącym przedmiotem poznania, który wywołuje silne uczucia i emocje u ludzi, ponieważ określa ich egzystencję – dlatego dla funkcjonowania politologii kluczowe znaczenie ma demarkacja wiedzy, polegająca przede wszystkim na oddzieleniu wiedzy potocznej i doktrynalnej od tego, co uchodzi w politologii za wiedzę naukową, określoną kryteriami współczesnej teorii nauki;
- 9) teoria jest podstawą funkcjonowania politologii, jak każdej dyscypliny nauki, ponieważ za jej pomocą określony zostaje przedmiot poznania i specyfika metod używanych do jego badań; warunkiem rozwoju politologii jest rozwój jej teorii;
- 10) nie istnieje wiele teorii politologii: mamy do czynienia tylko z jedną teorią politologii, która zdolna jest opierać się krytyce, ale jej założenia są sprzeczne z obecnymi warunkami funkcjonowania uniwersytetu w społeczeństwie, dlatego ta teoria jest marginalizowana i wiele się robi, by została zapomniana;
- 11) teoretyczna refleksja nad przedmiotem poznania jest warunkiem istnienia politologii jako dyscypliny nauki i opierania się degeneracji jej w potoczną wiedzę o społeczeństwie; rozwój teorii politologii powinien prowadzić do coraz bardziej konsekwentnej, logicznej i tym samym jednoznacznej wiedzy o przedmiocie poznania dyscypliny.

- 12) politolog nie zajmuje się opisem powierzchownych zjawisk, takich jak wydarzenia polityczne, teatr demokracji medialnej, życie publiczne, dającej się zaobserwować władzy i przejawów obecności państwa; politolodzy nie mogą naśladować czynności publicystów i powinni badać złożone procesy społeczne, by wyjaśniać mechanizmy określające ewolucję ludzkich społeczeństw, zgrupowanych w strukturach jednoczących ludzi w wielkiej przestrzeni i długim czasie, gdzie podejmuje się próby ustanawiania porządku wedle specyficznych wizji – porządku, który istnieje tylko politycznie;
- 13) politolodzy nie mogą przejmować badań innych dyscyplin, jeśli nie ma to szczególnego uzasadnienia w kontekście ich przedmiotu poznania i stanu aktualnej wiedzy; w szczególności nie powinni uprawiać historii politycznej, ale warto, by zajęli się historią tego, co polityczne;
- 14) ostatecznym celem politologii nie jest sam opis tego, co polityczne, ale wyjaśnienie, jak ono powstało i jak zmieniło funkcjonowanie, a następnie ewolucję ludzkich społeczeństw, zwłaszcza w kontekście zarządzania zasobami i reprodukcji w wielkiej przestrzeni i długim czasie;
- 15) wiedza politologiczna może być wykorzystana do przewidywania przyszłości, do doradztwa politycznego, a nawet manipulowania ludźmi; jednak wtedy nie mamy już do czynienia z tworzeniem wiedzy naukowej, ale jej używaniem do czynności pozanaukowych;
- 16) uniwersyteckie wydziały politologii nie mogą być szkołkami nauki o społeczeństwie ani technikami manipulacji ludźmi, ponieważ jest to niezgodne ze specyfiką dyscypliny nauki, z misją uniwersytetu, a jednocześnie prowadzi do degeneracji tych placówek i upadku tworzonej w ich ramach wiedzy.

Skutki:

- 1) wykazanie, że politologia jest dyscypliną nauki przywróci wydziałom politologii godne miejsce na uniwersytecie;
- 2) uznanie politologii za dyscyplinę nauki oznacza konieczność powrotu do rozwijania jej teorii i metodologii;
- 3) oddzielenie nauki od pseudonauki zabezpieczy wydziały politologii przed przekształcaniem ich w technika szkolące w zakresie procedur manipulowania ludźmi;
- 4) zaprzestanie praktyki przekształcania politologii w potoczną wiedzę o społeczeństwie unieważni konieczność odebrania wydziałom politologii prawa nadawania doktoratów.

# BIBLIOGRAFIA<sup>1</sup>

## 1. Wybór klasycznych prac określających horyzont poznawczy politologa

- Arendt Hannah, *Kondycja ludzka*, Warszawa 2000.
- Arendt Hannah, *O rewolucji*, Kraków 1991.
- Arendt Hannah, *Wprowadzenie w politykę*, (w:) *idem*, *Polityka jako obietnica*. Warszawa [b.r.w.].
- Aron Raymond, *Paix et guerre entre les nations*, Paris 1984. Część pierwsza w przekładzie: *Pokój i wojna między narodami (teoria)*, Warszawa 1995.
- Arystoteles, *Polityka*, Warszawa 1964.
- Bismarck Otto von, *Erinnerung und Gedanke*, t. I-III, Stuttgart 1915–1919.
- Bodin Jan, *Sześć ksiąg o Rzeczypospolitej*, Warszawa 1958.
- Burke Edmund, *Rozważania o rewolucji we Francji*, Kraków 1994.
- Clausewitz Carl von, *O wojnie*, Lublin 1995.
- Dante Alighieri, *Monarchia*, Kęty 2002.
- Heller Hermann, *Die souveränität. Ein Beitrag zur Theorie der Staats- und völkerrechts*, (w:) *idem*, *Gesammelte Schriften*, t. II. Leiden 1971.
- Heller Hermann, *Staatslehre*, Leiden 1934.
- Hobbes Tomasz, *Lewiatan czyli materia, forma i władza państwa kościelnego i świeckiego*, Warszawa 1954.
- Jouvenel Bertrand, *On power. Its nature and the history of its growth*, Boston 1962.
- Jouvenel Bertrand, *The pure theory of politics*, Cambridge 1963.
- Kennedy Paul, *Mocarstwa świata. Narodziny – rozkwit – upadek. Przemiany gospodarcze i konflikty zbrojne w latach 1500–2000*, Warszawa 1994.
- Lasswell Harold D., *Politics. Who gets what, when, how*, New York 1936.
- Locke John, *Dwa traktaty o rządzie*, Warszawa 1992.
- Machiavelli Niccolo, *Książę*, (w:) *idem*, *Wybór pism*, Warszawa 1972.
- Machiavelli Niccolo, *Rozważania nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Tytusa Liwiusza*, (w:) *idem*, *Wybór pism*, Warszawa 1972.
- Mann Thomas, *Betrachtungen eines Unpolitischen*, Berlin 1918.
- Mannheim Karl, *Ideologia i utopia*, Lublin 1992.
- Marks Karol, *18 brumaire'a Ludwika Bonaparte*, Warszawa 1980.

1     Literatura podstawowa. Literatura uzupełniająca, niezbędna do zrozumienia problemów szczegółowych, znajduje się w przypisach.

- Marks Karol, *Manifest komunistyczny*, Warszawa 1983.
- Marks Karol, *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, Warszawa 1958.
- Marks Karol, Engels Fryderyk, *Ideologia niemiecka*, (w:) Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła*, t. III, Warszawa 1961.
- Marsyliusz z Padwy, *Obrońca pokoju*, Kęty 2006.
- Michels Robert, *Political parties. A sociological study of the oligarchical tendencies of modern democracy*, New Brunswick 2002.
- Morgenthau Hans J., *Polityka między narodami. Walka o potęgę i pokój*, Warszawa 2010.
- Mosca Gaetano, *The ruling class*, New York 1939.
- Oakeshott Michael, *Filozofia polityki*, (w:) *idem*, *Wieża Babel i inne eseje*, Warszawa 1999.
- Oakeshott Michael, *O postępowaniu człowieka*, Warszawa 2008.
- Oakeshott Michael, *Racjonalizm w polityce*, (w:) *idem*, *Wieża Babel i inne eseje*, Warszawa 1999.
- Oakeshott Michael, *Roszczenia polityki*, (w:) *idem*, *Wieża Babel i inne eseje*, Warszawa 1999.
- Pareto Vilfredo, *The mind and society. A treatise on general sociology*, New York 1963.
- Pareto Vilfredo, *The rise and fall of elites. An application of theoretical sociology*, New Brunswick 1991.
- Pareto Vilfredo, *Uczucia i działania. Fragmenty socjologiczne*, Warszawa 1994.
- Platon, *Państwo*, Warszawa 1958.
- Platon, *Polityk*, (w:) *idem*, *Sofista, Polityk*, Kęty 2002.
- Platon, *Prawa*, Warszawa 1960.
- Popper Karl, *Spółczesność otwarte i jego wrogowie*, t. 1–2, Warszawa 1993.
- Rousseau Jean-Jacques, *Umowa społeczna*, Warszawa 1966.
- Schmitt Carl, *Der Nomos der Erde im Völkerecht des Jus Publicum Europaeum*, Köln 1950.
- Schmitt Carl, *Pojęcie polityczności*, (w:) *idem*, *Teologia polityczna i inne pisma*, Kraków 2000.
- Schmitt Carl, *Teologia polityczna. Cztery rozdziały poświęcone nauce o suwerenności*, (w:) *idem*, *Teologia polityczna i inne pisma*, Kraków 2000.
- Spinoza Benedykt, *Traktat polityczny*, (w:) *idem*, *Traktaty*, Kęty 2000.
- Spinoza Benedykt, *Traktat teologiczno – polityczny*, (w:) *idem*, *Traktaty*, Kęty 2000.
- Spruyt Hendrik, *The sovereign state and its competitors. An analysis of systems change*, Princeton 1994.
- Tocqueville Alexis, *Dawny ustrój i rewolucja*, Kraków 1994.
- Tocqueville Alexis, *O demokracji w Ameryce*, Warszawa 2005.
- Treitschke Heinrich von, *Politik*, t. I–II, Leipzig 1913.
- Tukidydes, *Wojna peloponeska*, Warszawa 1953.

- Weber Max, *Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej*, Warszawa 2002.
- Weber Max, *Polityka jako zawód i powołanie*, (w:) *idem, Polityka jako zawód i powołanie*, Kraków 1998.

## 2. Teoria wiedzy i metodologia

- Babbie Earl, *Badania społeczne w praktyce*, Warszawa 2004.
- Bauman Teresa, *Komplikacje i dylematy przy określaniu przedmiotu badań pedagogicznych*, (w:) Rubacha Krzysztof (red.), *Konceptualizacje przedmiotu badań pedagogiki*, Kraków 2008.
- Berger Peter, Luckmann Thomas, *Społeczne tworzenie rzeczywistości*, Warszawa 1983.
- Damasio Antonio R., *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, Poznań 1999.
- Damasio Antonio R., *Jak umysł zyskał jaźń. Konstruowanie świadomego mózgu*, Poznań 2011.
- Damasio Antonio R., *Tajemnica świadomości. Ciało i emocje współtworzą świadomość*, Poznań 2000.
- Damasio Antonio R., *W poszukiwaniu Spinozy. Radość, smutek i czujący mózg*, Poznań 2005.
- Derksen Anthony, *The seven sins of pseudo-science*, "Journal of General Philosophy of Science" 1993, nr 1.
- Derksen Anthony, *The seven strategies of sophisticated pseudo-scientist. A look into Freud's rhetorical tool box*, "Journal of General Philosophy of Science" 2001, nr 2.
- Einstein Albert, *Indukcja i dedukcja w fizyce*, (w:) *idem, Pisma filozoficzne*, Warszawa 1999.
- Einstein Albert, *O metodzie fizyki teoretycznej*, (w:) *idem, Pisma filozoficzne*, Warszawa 1999.
- Einstein Albert, *Zasady badań naukowych*, (w:) *idem, Pisma filozoficzne*, Warszawa 1999.
- Feyerabend Paul, *Jak być dobrym empirystą? Wezwanie do tolerancji w kwestiach epistemologicznych*, (w:) *idem, Jak być dobrym empirystą*, Warszawa 1979.
- Feyerabend Paul, *Nauka bez doświadczenia*, (w:) *idem, Jak być dobrym empirystą*, Warszawa 1979.
- Feyerabend Paul, *Przeciw metodzie*, Wrocław 1996.
- Gardner Martin, *Pseudonauka i pseudouczni*, Warszawa 1966.
- Gigerenzer Gerd, *Intuicja. Inteligencja nieświadomości*, Warszawa 2009.
- Grobler Adam, *Metodologia nauk*, Kraków 2006.
- Johnson Janet, Reynolds Henry, Mycoff Jason, *Metody badawcze w naukach politycznych*, Warszawa 2010.
- Karpiński Jakub, *Wprowadzenie do metodologii nauk społecznych*, Warszawa 2006.
- Kuhn Thomas, *Struktura rewolucji naukowych*, Warszawa 1968.
- Lakatos Imre, *Falsyfikacja a metoda naukowych programów badawczych*, (w:) *idem, Pisma z filozofii nauk empirycznych*, Warszawa 1995.

- Lakatos Imre, *Nauka i pseudonauka*, (w:) *idem, Pisma z filozofii nauk empirycznych*, Warszawa 1995.
- Lakatos Imre, *Popper o demarkacji i indukcji*, (w:) *idem, Pisma z filozofii nauk empirycznych*, Warszawa 1995.
- Lakatos Imre, Zahar Elie, *Dlaczego problem badawczy Kopernika wyparł program Ptolemeusza?* (w:) *idem, Pisma z filozofii nauk empirycznych*, Warszawa 1995.
- Marsh David, Stoker Gerry (red.), *Teorie i metody w naukach politycznych*, Kraków 2006.
- Niżnik Józef, *Przedmiot poznania w naukach społecznych*, Warszawa 1979.
- Ossowski Stanisław, *O osobliwościach nauk społecznych*, Warszawa 1983.
- Pinker Steven, *Jak działa umysł*, Warszawa 2002.
- Popper Karl, *Logika odkrycia naukowego*, Warszawa 1977.
- Popper Karl, *Nauka: domysły i refutacje*, (w:) *idem, Droga do wiedzy. Domysły i refutacje*, Warszawa 1999.
- Popper Karl, *Nęcza historycyzmu*, Warszawa 1984.
- Popper Karl, *O źródłach wiedzy i niewiedzy*, (w:) *idem, Droga do wiedzy. Domysły i refutacje*, Warszawa 1999.
- Popper Karl, *Wiedza obiektywna. Ewolucyjna teoria epistemologiczna*, Warszawa 1992.
- Quine Willard, *Dwa dogmaty empiryzmu*, (w:) *idem, Z punktu widzenia logiki*, Warszawa 1968.
- Schütz Alfred, *O wielości rzeczywistości*, (w:) *idem, O wielości światów. Szkice z socjologii fenomenologicznej*, Kraków 2008.
- Sokal Alan, Bricmont Jean, *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, Warszawa 2004.
- Watkins John, *Nauka a sceptycyzm*, Warszawa 1989.
- Wierchosławski Stanisław, *Wielodyscyplinarność i interdyscyplinarność statystycznych badań zjawisk społecznych*, „Studia Demograficzne” 2009, nr 1.
- Wróblewski Andrzej, *Nauka i pseudonauka*, (w:) *idem, Prawdy i mity w fizyce*, Warszawa 1982.

### **3. Początki teorii i metodologii dyscypliny politologii w Polsce**

- Opalek Kazimierz, *Zagadnienia teorii prawa i teorii polityki*, Warszawa 1986.
- Ryszka Franciszek, *Historia – polityka – państwo*, t. I–II, Toruń 2002.
- Ryszka Franciszek, *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*, Warszawa 1984.
- Ryszka Franciszek, *O pojęciu polityki*, Warszawa 1992.
- Ryszka Franciszek, *Wstęp do nauki o polityce (rozważania metodologiczne)*, Warszawa 1978.
- Sobolewski Marek, *Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego*, Warszawa 1974.
- Sobolewski Marek, *Pisma nieznanne i rozproszone*, Kraków 2003.
- Sobolewski Marek, *Podstawy teorii państwa*, Kraków 1986.

Woleński Jan, *Spór o status metodologiczny nauki o polityce*, (w:) Opałek Kazimierz (red.), *Metodologiczne i teoretyczne problemy nauk politycznych*, Warszawa 1975.

#### 4. Oficjalna teoria polityki PRL

Bodnar Artur, *Decyzje polityczne. Elementy teorii*, Warszawa 1985.

Bodnar Artur, *Ekonomika i polityka. Podstawowe zależności*, Warszawa 1978.

Bodnar Artur, *Niektóre właściwości metodologiczne teorii polityki*, (w:) Opałek Kazimierz (red.), *Elementy teorii polityki*, Warszawa 1989.

Bodnar Artur, Cetwiński Olgierd, *Rola teorii wyjaśniającej w nauce o polityce*, (w:) Opałek Kazimierz (red.), *Elementy teorii polityki*, Warszawa 1989.

Bodnar Artur, Pianowski Wiktor, *Miejsce nauki o polityce w naukowym komunizmie*, (w:) Opałek Kazimierz (red.), *Metodologiczne i teoretyczne problemy nauk politycznych*, Warszawa 1975.

Karwat Mirosław, *Podmiotowość polityczna. Humanistyczna interpretacja polityki w marksizmie*, Warszawa 1980.

Wiatr Jerzy, *Socjologia stosunków politycznych*, Warszawa 1978.

#### 5. Wybór prac twórców teorii polityki III Rzeczypospolitej

Blok Zbigniew, *Koncepcje strukturyzacji pola polityki*, (w:) Wojtaszczyk Konstanty, Mirska Andżelika (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie. I Ogólnopolski Kongres Politologii, Warszawa 22–24 września 2009*, Warszawa 2009.

Blok Zbigniew, *O polityczności, polityce i politologii*, Poznań 2009.

Kaczmarek Bohdan, *Organizacje. Polityka – władza – struktury*, Warszawa 2001.

Kaczmarek Bohdan, *Wstęp*, (w:) idem (red.), *Metafory polityki*, Warszawa 1991

Karwat Mirosław, *Akredytacja w życiu społecznym i politycznym*, Warszawa 2009.

Karwat Mirosław, *Cecha polityczności i dziedzina teorii polityki*, (w:) Skarżyński Ryszard (red.), *Carl Schmitt i współczesna myśl polityczna*, Warszawa 1996.

Karwat Mirosław, *Metodologiczne przewartościowania politologów. „Studia Nauk Politycznych” 2004, nr 1.*

Karwat Mirosław, *O złośliwej dyskredytacji. Manipulowanie wizerunkiem przeciwnika*, Warszawa 2006.

Karwat Mirosław, *Polityczność i upolitycznienie. Metodologiczne ramy analizy*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17.

Karwat Mirosław, *Specyfika metodologiczna i poziomy badań teoriopolitycznych*, (w:) Łoś-Nowak Teresa (red.), *Politologia w Polsce. Stan badań i perspektywy rozwojowe*, Toruń 1999.

Karwat Mirosław, *Syndromatyczny charakter nauki o polityce*, (w:) Wojtaszczyk Konstanty, Mirska Andżelika (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie. I Ogólnopolski Kongres Politologii, Warszawa 22–24 września 2009*, Warszawa 2009.

Karwat Mirosław, *Teoria prowokacji. Analiza politologiczna*, Warszawa 2007.

Klementewicz Tadeusz, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce*, Warszawa 2010.

Klementewicz Tadeusz, *Spór o model metodologiczny nauki o polityce*, Warszawa 1991.

Krauz-Mozer Barbara, *Metodologia politologii w perspektywie pluralistycznej*, (w:) Wojtaszczyk Konstanty, Mirska Andżelika (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie. I Ogólnopolski Kongres Politologii*, Warszawa 22–24 września 2009, Warszawa 2009.

Krauz-Mozer Barbara, *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*, Kraków 1992.

Krauz-Mozer Barbara, *Politologia z punktu widzenia metodologii sensu largo*, (w:) Antoszewski Andrzej, Dumała Andrzej, Krauz-Mozer Barbara, Radzik Katarzyna (red.), *Teoretyczne i metodologiczne wyzwania badań politologicznych w Polsce*, Lublin 2009.

Krauz-Mozer Barbara, *Teorie polityki*, Warszawa 2005.

## 6. Inne charakterystyczne prace z zakresu teorii polityki i politologii III Rzeczypospolitej

Chmaj Marek, Żmigrodzki Marek, *Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin 1996.

Chodubski Andrzej, *Wektory rozwoju współczesnej politologii w Polsce*, (w:) Wojtaszczyk Konstanty, Mirska Andżelika (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie. I Ogólnopolski Kongres Politologii*, Warszawa 22–24 września 2009, Warszawa 2009.

Chodubski Andrzej, *Wstęp do badań politologicznych*. Gdańsk 2004.

Czaputowicz Jacek, *Teorie stosunków międzynarodowych. Krytyka i systematyzacja*, Warszawa 2007.

*Encyklopedia politologii*, t. I, Sokół Wojciech, Żmigrodzki Marek (red.), *Teoria polityki*, Kraków 1999.

*Encyklopedia politologii*, t. V, Łoś-Nowak Teresa (red.), *Stosunki międzynarodowe*, Kraków 2002.

Gałganek Andrzej, *Historia teorii stosunków międzynarodowych*, Warszawa 2009.

Krzysztofik Małgorzata, Gauza Dariusz (red.), *Politologia jako nauka? Analiza politologiczna na wobec kwestii współczesnego świata*, Zielona Góra 2009.

Laska Artur, Nocoń Jarosław, *Teoria polityki. Wprowadzenie*, Warszawa 2010.

Michalak Bartłomiej, *Czy grozi nam depolityzacja polityki. Rozważania na temat wizji postpolitycznej*, „Studia Polityczne” 2010, nr 25.

Pierzchalski Filip, *Podmiotowość polityczna w perspektywie indywidualistycznej i holistycznej*, Pułtusk 2009.

Potulski Jakub, *Socjologia polityki*, Gdańsk 2008.

Sielski Jerzy, *Wyznaczniki politologii*, (w:) Antoszewski Andrzej, Dumała Andrzej, Krauz-Mozer Barbara, Radzik Katarzyna (red.), *Teoretyczne i metodologiczne wyzwania badań politologicznych w Polsce*, Lublin 2009.

Szumlik Bogumił, Żmigrodzki Marek (red.), *Wprowadzenie do nauki o państwie i polityce*, Lublin 2002.

Wojtaszczyk Konstanty, Jakubowski Wojciech (red.), *Spółczesność i polityka. Podstawy nauk politologicznych*, Warszawa 2002; wyd. IV, 2007.



Zenderowski Radosław, Cebul Krzysztof, Krycki Mateusz, *Międzynarodowe stosunki kulturalne*, Warszawa 2010.

Ziółkowski Jacek, *Socjotechnika autorytetu politycznego*, Warszawa 2007.

## 7. Problem tego, co polityczne w literaturze współczesnej

Axelrod Robert, *The evolution of cooperation*, London 1990.

Bloch Marc, *Spółczesność feudalna*, Warszawa 1981.

Bröckling Ulrich, Feustel Robert (red.), *Das Politische denken. Zeitgenössische Positionen*, Bielefeld 2010.

Creveld Martin van, *The rise and decline of state*, Cambridge 1999.

Crick Bernard, *W obronie polityki*, Warszawa 2004.

Dahl Robert A., Stinebrickner Bruce, *Współczesna analiza polityczna*, Warszawa 2007.

Duverger Maurice, *Sociologie de la politique. Eléments de science politique*, Paris 1988.

Dybel Paweł, Wróbel Szymon, *Granice polityczności. Od polityki emancypacji do polityki życia*, Warszawa 2008.

Etzioni Amitai, *What is political?* (w:) *Der Begriff des Politischen*, "Soziale Welt" 2003, zeszyt specjalny nr 14.

Freund Julien: *L'essence du politique*, Paris 1986.

Heidenheimer Arnold, *Politics, policy and policey as concepts in English and continental languages: an attempt to explain divergences*, "The Review of Politics" 1986, nr 1.

Heller Agnes, *The concept of the political revisited*, (w:) Held David (red.), *Political theory today*, Cambridge 1991.

Mouffe Chantal, *Polityczność*, Warszawa 2008.

Nassehi Armin, *Der Begriff des Politischen und die doppelte Normativität der „soziologischen Moderne“* (w:) *Der Begriff des Politischen*, "Soziale Welt" 2003, zeszyt specjalny nr 14.

Palonen Kari, *Politics or the political? An historical perspective on a contemporary non-debate*, "European Political Science" 2007, nr 1.

Palonen Kari, *Politik als "chamäleonartiger" Begriff. Reflexionen und Fallstudien zum Begriffswandel der Politik*, Helsinki 1985.

Palonen Kari, *Politik als Handlungsbegriff. Horizontwandel des Politikbegriffs in Deutschland 1890–1933*, Helsinki 1985.

Palonen Kari, *The struggle with time. A conceptual history of "politics" as an activity*. Münster 2006.

Reinhard Wolfgang, *Geschichte der Staatsgewalt. Eine vergleichende Verfassungsgeschichte Europas von den Anfängen bis zur Gegenwart*, München 2000.

Ryszka Franciszek, *Cecha „polityczności“*, (w:) *idem, O pojęciu polityki*, Warszawa 1992.

Ryszka Franciszek, *Mały słownik wiedzy o polityce*, (w:) *idem, Historia – polityka – państwo*, t. II, Toruń 2002.

Ryszka Franciszek, *Polityka i wojna. Świadomość potoczna a teorie XX wieku*, Warszawa 1975.

Ryszka Franciszek, *Stan wojenny. Parę założeń teoretycznych*, (w:) *idem, Historia – polityka – państwo*, t. II, Toruń 2002.

- Ryszka Franciszek, *Stan wojenny 1981. Decyzja*, (w:) idem, *Historia – polityka – państwo*, t. II, Toruń 2002.
- Simon Rupert, *Die Begriffe des Politischen bei Carl Schmitt und Jacques Derrida*, Frankfurt am Main 2008.
- Skarżyński Ryszard, *Anarchia i policentryzm. Elementy teorii stosunków międzynarodowych*, Białystok 2006.
- Skarżyński Ryszard, *Carl Schmitt – ideolog i politolog*, (w:) idem (red.), *Carl Schmitt i współczesna myśl polityczna*, Warszawa 1996.
- Skarżyński Ryszard, *Historia myśli politycznej w ujęciu politologicznym*, „Studia Polityczne” 1992, nr 1.
- Skarżyński Ryszard, *Od chaosu do ładu. Carl Schmitt i problem tego, co polityczne*, Warszawa 1992.
- Skarżyński Ryszard, *Mobilizacja polityczna. Współpraca i rywalizacja człowieka współczesnego w wielkiej przestrzeni i długim czasie*, Warszawa 2011.
- Skarżyński Ryszard, *Politycy: od wojownika do produktu*, „Pro Fide Rege et Lege” 2011, nr 1.
- Skarżyński Ryszard, *Powstanie polityki i początki prehistorii stosunków międzynarodowych*, „Studia Politologiczne” 2010, vol. 17.
- Skarżyński Ryszard, *Rozczarowanie wskutek niezrozumienia. O podstawach teorii stosunków międzynarodowych i tym, jak nie powinno się czytać tekstów oraz nie wypada pisać recenzji*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” Sectio K, Politologia 2009, nr 1.
- Skarżyński Ryszard, *Siedem ćwiczeń z rozumienia polityki i stosunków międzynarodowych*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” Sectio K, Politologia 2009, nr 2.
- Skarżyński Ryszard, *Stosunki międzynarodowe, system międzynarodowy i poliarchia*. „Stosunki Międzynarodowe – International Relations” 2010, nr 1–2.
- Skarżyński Ryszard, *W poszukiwaniu istoty polityki i tego, co polityczne. Tomasz Mann, Max Weber, Carl Schmitt i Hannah Arendt pomiędzy emocjami, marzeniami i poczuciem rzeczywistości*, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2010, t. XXXII.
- Sober Elliott, Wilson David S.: *Unto others. The evolution and psychology of unselfish behavior*, Cambridge Mass. 1998.
- Spruyt Hendrik, *The sovereign state and its competitors. An analysis of systems change*, Princeton 1994.
- Tilly Charles: *Coercion, capital, and European states, A.D. 900–1992*, Cambridge Mass. 1992.
- Vollrath Ernst, *Grundlegung einer philosophischen Theorie des Politischen*, Würzburg 1987.
- Vollrath Ernst, *Was ist das Politische? Eine Theorie des Politischen in seiner Wahrnehmung*, Würzburg 2003.
- Woroniecka Grażyna, *Działanie polityczne. Próba socjologii interpretatywnej*, Warszawa 2001.
- Woroniecka Grażyna, *Politologia i socjologia polityki; komplementarność czy autarkie?* (w:) Łoś-Nowak Teresa (red.), *Politologia w Polsce. Stan badań i perspektywy rozwoju*, Toruń 1999.